

AUTOR *KODU LEONARDA DA VINCI*

DAN BROWN



POCZĄTEK



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

DAN BROWN POCZĄTEK

Z języka angielskiego przełożył
Paweł Cichawa



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tego autora

ANIOŁY I DEMONY

ANIOŁY I DEMONY:

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

KOD LEONARDA DA VINCI

KOD LEONARDA DA VINCI:

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

CYFROWA TWIERDZA

ZWODNICZY PUNKT

ZAGINIONY SYMBOL

ZAGINIONY SYMBOL:

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

INFERNO

INFERNO

SPECJALNE WYDANIE ILUSTROWANE

Pamięci mojej matki

Musimy zrezygnować z planów na życie
żeby przeżyć to, co naprawdę nas czeka

Joseph Campbell

FAKTY:

Wszystkie wspomniane w tej powieści dzieła sztuki, budynki, miejsca oraz wszystkie przytaczane w niej prace i badania naukowe są autentyczne.

Prolog

Stary wagonik kolei zębatej z trudem piał się pod górę. Edmond Kirsch błędził wzrokiem wzdłuż poszarpanej linii szczytu. Zbudowany na zboczu potężny kamienny klasztor zdawał się wisieć w powietrzu jakby cudem zespolony z pionowymi skałami urwiska.

To katalońskie sanktuarium przez ponad czterysta lat opierało się niepowstrzymanej sile grawitacji, mimo upływu czasu niezmiennie wypełniając misję, dla której je zbudowano: izolować mieszkańców od współczesnego świata.

„Jak na ironię, to oni pierwsi poznają prawdę” – pomyślał Kirsch, zastanawiając się, jak zareagują jego rozmówcy. Historia uczy, że najniebezpieczniejsi są właśnie kapłani, zwłaszcza gdy ktoś zagraża ich bóstwu. „A ja przecież zamierzam wetknąć rozżarzoną włócznię w gniazdo szerszeni”.

Gdy pociąg dotarł na szczyt, Kirsch dostrzegł samotną postać oczekującą go na peronie. Wychudzony mężczyzna o pokrytej zmarszczkami twarzy był ubrany w prostą sutannę i biskupią piuskę. Kirsch rozpoznał kościstą twarz, którą widywał wcześniej tylko na zdjęciach, i poczuł przypływ adrenaliny.

„Valdespino wita mnie osobiście!”

Biskup Antonio Valdespino należał do najbardziej wpływowych ludzi w Hiszpanii, nie tylko jako przyjaciel i zaufany doradca samego króla, lecz także jako jeden z najzagorzalszych zwolenników konserwatywnych wartości katolickich i tradycyjnych standardów politycznych Hiszpanii.

– Pan Edmond Kirsch, prawda? – zapytał, gdy tylko gość wysiadł z wagonu.

– Do tego zarzutu się przyznaję – **odparł Kirsch, z uśmiechem ściskając** dłoń swojego gospodarza. – Dziękuję, że zgodził się ksiądz zorganizować to spotkanie.

– To ja dziękuję, że pan o nie poprosił. – Głos biskupa brzmiał silniej, niż Kirsch oczekiwał. Był dźwięczny i przenikliwy jak bicie dzwonu. – Nieczęsto naukowcy proszą nas o konsultację, zwłaszcza tacy o pańskiej pozycji. Tędy, proszę.

Biskup ruszył wzdłuż **peronu i jego sutanna zatrzepotała na zimnym górskim wietrze.**

– Muszę wyznać, że wygląda pan inaczej, niż sobie wyobrażałem – powiedział Valdespino. – Spodziewałem się naukowca, a pan przypomina raczej... – zawahał się, z lekką pogardą zerkając na elegancki garnitur K50 od Kitona i brązowe buty marki Barker – modnisia. Tak to się chyba nazywa?

Kirsch uśmiechnął się uprzejmie. „Określenie «modniś» wyszło z użycia kilkadziesiąt lat temu”.

– Choć zapoznałem się z listą pańskich dokonań, to nadal nie jestem pewien, czym dokładnie się pan zajmuje – powiedział biskup.

– Specjalizuję się w teorii gier i modelowaniu komputerowym.

– To znaczy, że pan tworzy te gry dla dzieci?

Kirsch wyczuł, że to udawana ignorancja, pozowanie na człowieka starej daty.

Wiedział przecież doskonale, że Valdespino jest wyjątkowo dobrze poinformowany w zakresie najnowszych technologii i często ostrzega przed niebezpieczeństwami, jakie niosą.

– Nie, księże biskupie, teoria gier jest działem matematyki badającym wzorce zachowania oraz przewidującym przyszłość na podstawie analizy procesów i zdarzeń.

– Ach, tak. Chyba nawet czytałem, że kilka lat temu przewidział pan kryzys walutowy w Europie. Nikt nie chciał słuchać, a pan napisał program komputerowy, który wskrzesił z martwych Unię Europejską. Czy to nie wtedy oznajmił pan, że dokonał cudu, będąc w takim samym wieku, w jakim Chrystus zmartwychwstał, trzydziestu trzech lat?

To był słynny cytat.

Kirsch poczuł zażenowanie.

– Faktycznie, to nie najlepsze porównanie. Byłem wtedy młody.

– Młody? – Biskup zachichotał. – Ile pan ma teraz lat? Czterdzieści?

– Właśnie mi stuknęło.

Duchowny się uśmiechnął, a jego sutanna znów zafurkotała na silnym wietrze.

– No cóż, ziemię mieli przejąć potulni, a trafiła w ręce młodych, uzdolnionych technicznie, którzy ciągle się wpatrują w ekrany monitorów, zamiast wejrzeć we własną duszę. Nigdy nie przypuszczałem, że zaproszę na spotkanie człowieka, który walczy z nami tak zaciekle. Wie pan, że nazywają pana prorokiem?

– Niezbyt dobrym w tym konkretnym przypadku – odparł Kirsch. – Kiedy wysyłałem prośbę o prywatne spotkanie, szanse na to, że ksiądz biskup zgodzi się ją przyjąć, obliczałem na dwadzieścia procent.

– Przekonałem moich kolegów, mówiąc im, że pobożny zawsze skorzysta na wysłuchaniu niewierzącego. Głos diabła pozwala nam docenić słowo boże. – Uśmiechnął się. – Oczywiście żartuję. Proszę mi wybaczyć moje starzejące się poczucie humoru. Od

czasu do czasu wyczucie mnie zawodzi.

Po chwili skinął głową.

– Pozostali są już na miejscu. Tędy, proszę.

Kirsch spojrzał we wskazanym kierunku. Olbrzymia cytadela z szarego kamienia przycupnęła na samej krawędzi ściany opadającej setki metrów aż do gęstego dywanu z koron drzew u podnóża góry. Nieprzerażony wysokością Kirsch oderwał wzrok od zielonej czeluści i ruszył za biskupem po nierównej ścieżce wzdłuż urwiska, skupiając myśli na czekającym go spotkaniu.

Kirsch siedł na rozmowę z trzema prominentnymi przywódcami duchowymi, którzy uczestniczyli w dopiero co zakończonym kongresie religijnym.

„Parlament Religii Świata”.

Od tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku setki kapłanów prawie trzydziestu religii wyznawanych na całym świecie zbierają się co kilka lat w innym miejscu, żeby przez tydzień dyskutować o dialogu międzyreligijnym. W Parlamencie zasiadają najbardziej wpływowi duchowni chrześcijańscy, rabini i mułlowie obok hinduskich pujari, buddyjskich bhikku, sikhów, dżinistów oraz przedstawicieli wielu innych wyznań.

W specjalnej proklamacji Parlament Religii Świata uznał, że będzie „rozwijać harmonię między religiami, budować mosty między różnymi rodzajami duchowości i odnajdować wspólne płaszczyzny dla wszystkich wyznań”.

„Szlachetny cel” – pomyślał Kirsch, choć widział w tych działaniach wyłącznie puste gesty, bezsensowne poszukiwania przypadkowych zbieżności między kompilacjami starożytnych opowieści, bajek i mitów.

Idąc za biskupem Valdespino po górskiej ścieżce, z sardoniczną myślą ponownie spojrzał w dół urwiska. „Mojesz wszedł na górę, żeby przyjąć słowo boże. Ja się tu wdrapuję, żeby postąpić odwrotnie”.

Wiele razy Kirsch sobie powtarzał, że musi wjechać na ten szczyt ze względów etycznych, dobrze też jednak wiedział, że część jego motywacji stanowiła zwyczajna pycha: chciał doświadczyć, jak to będzie usiąść naprzeciw trzech kapłanów różnych religii i przepowiedzieć im rychły upadek.

„Wasz czas na definiowanie naszej prawdy minął”.

– Przejrzałem pański życiorys – obcesowo oznajmił biskup, zerkając na Kirscha. – Jest pan produktem Uniwersytetu Harvarda, prawda?

– Tam kończyłem studia licencjackie.

– No cóż, ponoć ostatnio po raz pierwszy w historii Harvardu wśród nowych studentów jest więcej ateistów i agnostyków niż tych, którzy określają się jako osoby religijne. To

znamienne statystyki, panie Kirsch.

„Co mam ci powiedzieć? Że studenci są coraz mądrzejsi?” – chciał odpowiedzieć, ale ugryzł się w język.

Wiatr się nasilił, gdy dotarli do wiekowego kamiennego gmachu. W mrocznej sieni powietrze było ciężkie od intensywnego zapachu kadzidła. Biskup i jego gość wkroczyli do labiryntu ciemnych korytarzy. Wzrok Kirscha z trudem się przyzwyczajał do braku światła, skupiając się na sutannie idącego przodem duchownego. Wreszcie dotarli do zaskakująco niskich drewnianych drzwi. Kapłan zapukał, pochylił się i wszedł do pomieszczenia, gestem zapraszając swojego gościa, żeby podążył za nim.

Niepewnym krokiem Kirsch przekroczył próg.

Znalazł się w prostokątnej, wysokiej komnacie ze ścianami od góry do dołu zasłoniętymi przez grzbiety starych, oprawnych w skórę tomów. Od ścian niczym zebra odstawały wolno stojące rzędy półek, między którymi porozmieszczano żeliwne grzejniki, które sycząc i pogwizdując, stwarzały upiorne wrażenie, że pomieszczenie żyje.

Kirsch spojrzał na ozdobne balustrady drewnianych pomostów biegnących wzdłuż górnego piętra regałów i nie miał już żadnych wątpliwości, gdzie jest.

„Słynna biblioteka Montserrat” – pomyślał zdziwiony, że go tu wpuszczono.

Krążyły legendy o przechowywanych w tym bibliotecznym sanktuarium unikatach udostępnianych tylko tutejszym mnichom, którzy poświęcili życie Bogu, zamykając się w odosobnieniu na szczycie tej góry.

– Prosił pan o dyskrecję – przypomniał biskup. – Wybrałem nasze najbardziej prywatne miejsce. Niewielu postronnych przekroczyło te progi.

– To wielki przywilej. Dziękuję.

Kirsch podszedł za biskupem do dużego drewnianego stołu, przy którym czekali na nich dwaj starcy. Ten po lewej wyglądał na **steranego życiem**. Miał zmęczone oczy, zmierzwioną siwą brodę, pognieciony czarny garnitur i kapelusz na głowie.

– Rabin Yehuda Köves, wybitny żydowski filozof – przedstawił go biskup. – Jest autorem wielu publikacji na temat kosmologii kabalistycznej.

Kirsch wyciągnął rękę, uprzejmie witając starego rabina.

– Miło mi pana poznać – powiedział. – Czytałem pańskie książki o kabale, choć nie mogę powiedzieć, że je zrozumiałem.

Köves przyjaźnie skinął głową, przykładając chusteczkę do łzawiących oczu.

– Szacowny allamah Syed al-Fadl – kontynuował prezentację biskup.

Powszechnie szanowany islamski naukowiec szeroko się uśmiechnął. Był niskim, przysadzistym mężczyzną o jowialnej twarzy, która zdawała się nie pasować do jego czarnych, świdrujących oczu. Nosił skromną białą galabiję.

– Ja natomiast, panie Kirsch, czytałem pańskie przepowiednie na temat przyszłości rodzaju ludzkiego, choć nie mogę powiedzieć, że się z nimi zgadzam – oznajmił.

Kirsch się uśmiechnął, po czym uściśnął dłoń al-Fadla.

– To nasz gość, pan Edmond Kirsch – zakończył prezentację biskup, zwracając się do swoich współbraci. – Jak wiecie, jest wysoko cenionym informatykiem i wynalazcą, specjalistą w dziedzinie teorii gier i kimś w rodzaju proroka nowych technologii.

Wiedząc, czym się zajmuje i co głosi, byłem zaskoczony, gdy poprosił mnie o spotkanie w tym gronie, dlatego z niecierpliwością czekam, aż wyjaśni, z czym do nas przybywa.

Powiedziawszy to, Valdespino zajął miejsce między swoimi kolegami, założył ręce na piersi i spojrzał wyczekująco na Kirscha. Wszyscy trzej siedzieli teraz przed nim jak sędziowie trybunału, przez co miał wrażenie, że przybył na rozprawę Inkwizycji, a nie pogawędkę uczonych. Dopiero teraz sobie uświadomił, że biskup nawet nie wskazał mu krzesła.

Kirsch czuł się jednak bardziej rozbawiony niż onieśmielony, patrząc na trzech starców przed sobą. „A więc to jest święta trójca, którą tu zebrałem. Trzej mędrcy”.

Żeby okazać swoją przewagę, podszedł do okna i przez chwilę milcząc, oglądał roztaczającą się za nim panoramę. Skąpane w słońcu pastwiska na dnie głębokiej doliny ustępowały miejsca postrzępionym szczytom masywu Collserola. Wiele kilometrów dalej, gdzieś blisko horyzontu nad Morzem Balearskim, zbierały się chmury burzowe.

„W sam raz” – pomyślał Kirsch, przeczuwając turbulencje, jakie za chwilę wywoła w tej prastarej bibliotece.

– Panowie – zaczął, raptownie odwracając się do nich twarzą. – Jak sądzę, biskup Valdespino przekazał wam moją prośbę o dyskrecję. Zanim jednak przejdę do meritum, chcę jasno stwierdzić, że to, co za chwilę tu przedstawię, musi zostać zachowane w najściślejszej tajemnicy. Innymi słowy, chcę prosić, żebyście złożyli przysięgę milczenia. Czy przysięgacie?

Wszyscy trzej zgodnie skinęli głowami, a Kirsch pomyślał, że prawdopodobnie to zbędna ostrożność. „Będzie im zależało, żeby te informacje zataić, a nie nagłaśniać”.

– Poprosiłem o to spotkanie, ponieważ moje badania naukowe doprowadziły do odkrycia, które będzie dla was wielkim zaskoczeniem. Przez wiele lat szukałem odpowiedzi na dwa fundamentalne pytania dotyczące ludzkości. Teraz, gdy ją znalazłem, najpierw przychodzę do was, ponieważ wynik moich badań w szczególny sposób wpłynie na ludzi wierzących, zaburzając porządek ich świata, jeśli mogę się tak wyrazić. Na razie jestem jedynym człowiekiem na ziemi, który o tym wie, i przybywam podzielić się tą wiedzą z wami.

Kirsch sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął umieszczony w etui ozdobionym mozaiką

jaskrawych kolorów smartfon z wyświetlaczem ponadstandardowej wielkości, a następnie umieścił go na stole przed siedzącymi duchownymi niczym telewizor. Za chwilę użyje telefonu, żeby połączyć się ze specjalnie zabezpieczonym serwerem, wprowadzi swoje czterdziestoczteroliterowe hasło i wyświetli prezentację.

– Przedstawię wam roboczą wersję prezentacji, którą zamierzam upublicznić mniej więcej za miesiąc. Zanim jednak świat ją obejrzy, chcę poznać opinię trzech wybitnych religijnych myślicieli, żeby się przekonać, jak moje odkrycie wpłynie na tych, których dotyczy przede wszystkim.

Biskup westchnął głośno, sprawiając wrażenie raczej znudzonego niż przejętego.

– Intrygujący wstęp, panie Kirsch. Można by pomyśleć, że po tym, co pan nam za chwilę pokaże, zadrżą w posadach wszystkie religie świata.

Kirsch spojrzał na święte teksty od wieków zbierane w tej skarbnicy.

„Wasze religie nie zadrżą od tego w posadach. One wszystkie runą” – pomyślał, taksując wzrokiem siedzących przed nim starców. Nie mogli mieć pojęcia o tym, że swoją prezentację zamierza upublicznić za trzy dni, podczas szokującego, wyreżyserowanego w najmniejszych szczegółach przedstawienia, a wtedy ludzie na całym świecie zrozumieją, że wszystkie religie świata rzeczywiście mają wspólny mianownik.

Wszystkie fundamentalnie się mylą.

Rozdział 1

Profesor Langdon zadzierał głowę, oglądając siedzącego na placu dwunastometrowego psa. Zamiast sierści zwierzę miało gęsty dywan z trawy i pachnących kwiatów.

„Próbuję cię polubić” – pomyślał. „Naprawdę się staram”.

Przez chwilę Langdon medytował nad przerośniętym psem, po czym ruszył do podwieszanej kładki prowadzącej na szeroki taras uformowany ze schodów, których nierówne stopnie miały zaburzać rytm kroków, do jakiego zwiedzający są przyzwyczajeni na co dzień. „Zadanie wykonane” – pomyślał Langdon, gdy po raz drugi się potknął.

U stóp schodów Langdon gwałtownie się zatrzymał, wpatrzony w olbrzymią konstrukcję, która nagle ukazała się jego oczom.

„Teraz już nic mnie nie zaskoczy”.

Opierając się na cienkich stalowych nogach, gigantyczna czarna wdowa unosiła swój olbrzymi odwłok dobrych dziesięć metrów nad ziemią. Pod brzuchem pajęczycy wisiał wykonany z metalowej siatki kokon wypełniony marmurowymi kulami.

– Ma na imię Maman – ktoś powiedział.

Langdon opuścił głowę i zobaczył szczupłego, ubranego w brokatowe szerrywani mężczyznę noszącego niemal komicznie podkreślone wąsy jak Salvador Dali.

– A ja mam na imię Fernando, moim zadaniem jest powitać pana w naszym muzeum. Czy mogę prosić o nazwisko?

– Oczywiście. Robert Langdon.

Wąsacz spojrzał na niego uważnie.

– Och, przepraszam, nie poznałem pana.

„Sam siebie nie poznaję” – pomyślał Langdon, nieswojo się czując w muszce, fraku i atlasowej kamizelce. „Wyglądam, jakbym śpiewał w przedwojennym chórze męskim”.

Jego smoking liczył prawie trzydzieści lat i pochodził z czasów, gdy Langdon należał do Ivy Club w Uniwersytecie Princeton, ale dzięki ścisłemu przestrzeganiu reżimu codziennych wizyt na basenie ubiór nadal dobrze na nim leżał. Pakując się jak zawsze w pośpiechu, Langdon chwycił nie ten wieszak i pokrowiec ze smokingiem został w szafie.

– Na zaproszeniu widniała adnotacja o strojach wieczorowych – powiedział Langdon. – Mam nadzieję, że frak będzie odpowiedni.

– Frak to klasyka. Wygląda pan doskonale – zapewnił go wściz, po czym podszedł bliżej i ostrożnie przyczepił plakietkę z nazwiskiem do klapy marynarki. – Jestem zaszczycony, że mogłem pana poznać – dodał po chwili. – Zapewne odwiedzał pan nas już wcześniej, prawda?

Langdon zerknął między nogami pajęczycy na błyszczący budynek.

– Prawdę mówiąc, nie. Z zażenowaniem muszę przyznać, że nigdy tu nie byłem.

– Niemożliwe! – Mężczyzna udał, że mdleje. – Nie jest pan wielbicielem sztuki współczesnej?

Langdon zawsze lubił wyzwania stawiane przez sztukę współczesną, najbardziej zaś fascynowało go dociekanie, dlaczego dany artefakt zyskiwał sławę arcydzieła – malarstwo gestu Jacksona Pollocka, puszki zupy Campbell Andy’ego Warhola, kolorowe prostokąty Marka Rothki. Mimo to czuł się o wiele swobodniej, rozmawiając o symbolice dzieł Hieronymusa Boscha albo fakturze obrazów Francisca Goi.

– Bardziej do mnie przemawia klasyka – odparł Langdon. – O wiele lepiej radzę sobie z da Vincim niż de Kooningiem.

– Ale przecież da Vinci i de Kooning są tacy podobni!

Langdon wyrozumiale się uśmiechnął.

– Muszę więc jeszcze sporo się nauczyć o de Kooningu.

– W takim razie jest pan w dobrym miejscu. – Mężczyzna wskazał ręką na ogromny budynek. – W tym muzeum znajdzie pan najlepszą na świecie kolekcję sztuki współczesnej. Mam nadzieję, że obejrzy ją pan z przyjemnością.

– Taki mam zamiar – odparł Langdon. – Żałuję tylko, że nie wiem, z jakiej okazji zostałem tu dziś zaproszony.

– Tego nie wie żaden z gości! – Mężczyzna zaśmiał się radośnie. – Program dzisiejszego wieczoru to wielki sekret naszego gospodarza. Nawet pracownicy muzeum nie mają pojęcia, co się będzie działo. Tajemnica to połowa sukcesu każdego przedsięwzięcia! Krążą już najróżniejsze plotki. Przybyło kilkuset gości, wśród nich wiele znanych twarzy, ale żaden z nich nie wie, co go tutaj czeka.

Langdon uśmiechnął się od ucha do ucha. Niewielu ludzi na tym świecie miałooby odwagę wysłać w ostatniej chwili zaproszenie, które sprowadzało się do ośmiu słów: „Sobota wieczorem, przyjdź koniecznie, uwierz mi, że warto”, a już naprawdę garstka zdołałaby w ten sposób przekonać setki sławnych osobistości, żeby rzuciły wszystko i przybyły do Hiszpanii.

Langdon wyszedł spod pajęczycy i ruszył w stronę budynku, patrząc na olbrzymi

czerwony transparent wydymający się wysoko nad jego głową.

WIECZÓR

Z EDMONDEM KIRSCHEM

„Pewności siebie to mu nigdy nie brakowało” – zaśmiał się w duchu Langdon.

Trochę ponad dwadzieścia lat wcześniej Eddie Kirsch był jednym z pierwszych studentów Langdona na Uniwersytecie Harvarda: komputerowy maniak z czupryną bujnych włosów zapisał się na kurs dla studentów pierwszego roku zatytułowany *Kody, szyfry i język symboli*. Już wtedy Langdonowi wielce zaimponował intelekt Kirscha i chociaż chłopak ostatecznie zostawił przykurzony świat semiotyki dla świetlanej przyszłości właśnie się otwierającej przed komputerami, to jednak relacja, którą wtedy nawiązali jako profesor i student, okazała się na tyle silna, że mimo upływu czasu pozostali w kontakcie.

„Teraz uczeń wyprzedził nauczyciela” – pomyślał Langdon. „O kilka lat świetlnych”.

Dziś Edmond Kirsch był indywidualistą znanym w całym świecie: miliarderem, informatycznym futurystą, wynalazcą i przedsiębiorcą. W wieku czterdziestu lat mógł się pochwalić autorstwem wielu nowoczesnych technologii znacznie przyspieszających rozwój tak różnych dziedzin jak robotyka, neurobiologia, sztuczna inteligencja i nanotechnologia. Trafnymi prognozami na temat przełomów w nauce i technice stworzył wokół siebie mistyczną wręcz aurę.

Langdon podejrzewał, że u podstaw tego niesamowitego daru prognozowania leży rozległa wiedza Edmonda o świecie, w którym żyje. Od zawsze był nienasyconym książkożercą czytającym dosłownie wszystko. Langdon nie znał nikogo innego, kto z taką samą pasją pochłaniałby każdy tekst, który wpadł mu w ręce, i dorównywałby Edmondowi zdolnością zapamiętywania treści tego, co przeczytał.

Przed kilkanaście laty Kirsch osiadł w Hiszpanii, co tłumaczył swoją wielką słabością do wszechobecnych w tym kraju uroków świata, który dawno przeminął, awangardowej architektury, ekscentrycznych knajpek oraz idealnej pogody.

Co roku, gdy Kirsch przyjeżdżał do Cambridge, żeby wygłosić wykład w Laboratorium Mediów Elektronicznych MIT, Langdon spotykał się z nim na kolacji w najmodniejszych akurat bostońskich lokalach, o których wcześniej nawet nie słyszał.

Nigdy nie dyskutowali o technologii, ponieważ Kirsch chciał rozmawiać o humanistyce.

– Gdyby nie nasze spotkania, nie miałbym kontaktu z kulturą – zgrywał się często Edmond. – Wśród moich znajomych tylko ty poślubiłeś sztukę.

Żartobliwa aluzja do stanu cywilnego Langdona brzmiała szczególnie ironicznie w ustach kawalera, który odrzucał monogamię jako „afront wobec ewolucji” i przez lata pokazywał się w towarzystwie kolejnych supermodelek.

Wiedząc, że Kirsch jest wybitnym informatykiem i wynalazcą, ktoś mógłby go sobie wyobrazić jako dziwaka i samotnika, a w najlepszym razie typowego nerda.

Tymczasem Kirsch stworzył wizerunek ikony popkultury. Bywał wśród celebrytów, ubierał się zgodnie z najnowszymi trendami, słuchał undergroundowej muzyki.

Zgromadził bezcenną wręcz kolekcję impresjonistów i twórców sztuki współczesnej.

Często konsultował się z Langdonem, prosząc go o radę w sprawie dzieła, które zamierzał kupić.

„A potem postępował dokładnie odwrotnie” – rozmyślał Langdon.

Ale podczas ubiegłorocznego spotkania Kirsch zaskoczył Langdona, rozmawiając nie o sztuce, lecz o Bogu – dziwny temat jak na zdeklarowanego ateistę. Przy żeberkach crudo w bostońskiej restauracji Tiger Mama Kirsch szczegółowo wypytywał o podstawowe założenia różnych religii, interesując się zwłaszcza głoszonymi przez nie wizjami początku świata.

Langdon krótko scharakteryzował najważniejsze współczesne oraz antyczne wierzenia religijne, szczegółowo przedstawiając byłemu studentowi wspólną dla judaizmu, chrześcijaństwa oraz islamu historię stworzenia świata przez Boga, hinduistyczną opowieść o Brahmie, babilońską o Marduku i inne.

– Ciekaw jestem, dlaczego futurysta tak bardzo się interesuje przeszłością. Czyżby nasz sławny ateista szukał drogi do Boga?

Edmond szczerze się uśmieł.

– Pobożne życzenia! Tylko sprawdzam konkurencję, Robercie, nic więcej.

Po tamtym spotkaniu Kirsch zniknął na prawie rok, po czym ni stąd, ni zowąd trzy dni temu Langdon otrzymał przesyłkę kurierską, a w niej zaproszenie, bilet na samolot, potwierdzenie rezerwacji hotelowej i ręcznie napisaną notkę: „Robercie, bardzo mi zależy, żebyś przyjechał. Bez tego, co usłyszałem od Ciebie podczas naszego ostatniego spotkania, nie mógłbym zorganizować mojego wystąpienia”.

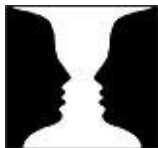
Langdon był zaskoczony. Przecież żaden z tematów tamtej rozmowy nie pasował do pokazu organizowanego przez futurystę w muzeum sztuki współczesnej. W kopercie Langdon znalazł także czarno-biały obrazek przedstawiający dwie zwrócone ku sobie twarze, odręcznie podpisany przez Kirscha krótką rymowanką:

Robercie,

Gdy będziemy się widzieli,

Ujawnię, co zawiera kielich.

Edmond



Langdon się uśmiechnął. Rysunek był sprytną aluzją do przygody ze Świętym Graalem, którą Langdon przeżył przed kilkunastu laty. Przestrzeń między twarzami na rysunku miała właśnie kształt kielicha.

Idąc w stronę muzeum wzdłuż wybetonowanego brzegu krętej rzeki Nervión, kiedyś będącej krwiobiegiem świetnie prosperującego przemysłowego miasta, Langdon się zastanawiał, co jego były student zamierza ogłosić. Wiatr lekko szarpał połami fraka.

W powietrzu unosił się delikatny metaliczny zapach. Dopiero za zakrętem Langdon przystanął, żeby rzucić okiem na potężny, błyszczący budynek. Fasady nie sposób było objąć wzrokiem, dziwaczne wydłużone kształty obserwował więc jeden po drugim.

„Nie można powiedzieć, że ten budynek łamie zasady” – pomyślał. „On je całkiem ignoruje. To rzeczywiście idealne miejsce dla Edmonda”.

Muzeum Guggenheima w Bilbao wygląda jak halucynacja kosmity. Olbrzymie, pofalowane arkusze lśniącego metalu sprawiają wrażenie, jakby ktoś je poustawiał w przypadkowy sposób. Rozciągającą się na ogromnej powierzchni chaotyczną masę kształtów przykrywa ponad trzydzieści tysięcy tytanowych płytek, które mieniają się jak rybie łuski, przez co cała konstrukcja wygląda jak żywa, jednocześnie sprawiając wrażenie nieziemskiej, jakby jakiś kosmiczny lewiatan wypełznął z wody na brzeg, żeby pogrzać się w słońcu.

Gdy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku budynek został oddany do użytku, „New Yorker” napisał, że jego twórca Frank Gehry zaprojektował „bajkowy statek o falujących kształtach spowitych welonem z tytanu”. Inni recenzenci z zachwytem pisali o najwybitniejszej konstrukcji naszych czasów, błyskotliwym geniuszu i niesłychanym osiągnięciu architektonicznym.

Po otwarciu Muzeum Guggenheima wzniesiono kolejne budynki dekonstruktywistyczne, wśród nich salę koncertową Disneya w Los Angeles, monachijskie centrum wystawowe BMW Welt czy gmach biblioteki na macierzystej uczelni Langdona. Każdy z nich miał nieprzewidywalną konstrukcję, ale zdaniem Langdona żaden nie mógł się równać z muzeum w Bilbao, bo żaden nie wyglądał tak szokująco.

Gdy Langdon podchodził bliżej, pokryta tytanowymi płytkami fasada zmieniała się z każdym krokiem, prezentując się inaczej pod nowym kątem. Dopiero teraz dostrzegł najwspanialszą iluzję architektoniczną tego gmachu: zdawało się, że olbrzymia konstrukcja dosłownie leży na wodzie, unoszona przez „nieskończoność” fal obmywających jej ściany.

Langdon przystanął na chwilę, podziwiając ten widok, po czym ruszył na drugi brzeg po minimalistycznej kładce biegnącej nad szklistą taflą wody. Był mniej więcej w połowie drogi, gdy rozległ się głośny syk. Przystanął przestraszony. Dźwięk dobiegał gdzieś z dołu. Po chwili spod kładki zaczęły się dobywać wirujące kłęby pary. Gęsta zasłona mgły, która powstała wokół niego, powoli przepłynęła nad wodę, by tam opaść, zasnuwając podstawę olbrzymiego budynku.

„Rzeźba z mgły” – pomyślał Langdon.

Czytał o tej instalacji i jej autorce, Fujiko Nakaya. Tak zwana rzeźba z mgły jest pomysłem rewolucyjnym: powstaje w powietrzu i po jakimś czasie znika, a ze względu na wiatr oraz zmienne warunki atmosferyczne za każdym razem wygląda inaczej.

Kładka przestała syczeć. Teraz Langdon mógł obserwować, jak białe kłęby powoli opadają na taflę wody, wirując i pełznąc, jakby kierował nimi jakiś rozum. Efekt był zarówno eteryczny, jak i dezorientujący. Z trudem odpierał wrażenie, że muzeum wisi w powietrzu unoszone na nieważkiej chmurze, niczym zagubiony pośród fal statek widmo.

Langdon zdecydowanie wolał klasyczne muzea, jak Luwr czy Prado, ale patrząc, jak mgła powoli przykrywa wodę przed tytanowymi ścianami, doszedł do wniosku, że byłoby trudno o lepsze miejsce na spotkanie z człowiekiem, który tak bardzo kocha sztukę, a dzięki swojej wiedzy i innowacyjności potrafi odgadnąć przyszłość.

Langdon przedarł się przez mgłę i stanął pod wejściem do gmachu. Wyglądało złowieszczo: wielka czarna dziura w ciele olbrzymiego gada. Przystępując próg, miał wrażenie, że wkracza w paszczę smoka.

Rozdział 2

Admirał Luis Ávila siedział przy barze w pustym pubie. Czuł się zmęczony po podróży. Przyleciał do tego nieznanego miasta zaraz po zakończeniu zadania, które wymagało, by w dwanaście godzin pokonał tysiące kilometrów. Wypił łyk drugiego już toniku, wpatrując się w rząd kolorowych butelek po drugiej stronie baru.

„To żadna sztuka nie pić na pustyni, ale tylko naprawdę wierni potrafią się powstrzymać w oazie” – rozmyślał.

Nie pił już od ponad roku. Widząc swoje odbicie w barowym lustrze, pozwolił sobie na rzadki moment zadowolenia z wyglądu człowieka, który nań w nim spoglądał.

Ávila należał do tych szczęściarzy o śródziemnomorskim typie urody, którym wiek raczej sprzyjał niż przeszkadzał. Z upływem lat jego sztywny czarny zarost przyprószyła siwizna, a w miejscu gniewnego ognia w czarnych oczach pojawił się pogodny spokój.

Dawniej sprężysta oliwkowa skóra była teraz ogorzała od słońca i pomarszczona, przez co wyglądał jak prawdziwy wilk morski.

Mimo sześćdziesięciu trzech lat na karku był wysportowany, a jego imponującą sylwetkę podkreślał jeszcze krój szytego na miarę białego galowego munduru.

Dwurzędową marynarkę z szerokimi czarnymi naramiennikami zdobiła imponująca kolekcja odznaczeń, koszula ze stójką szeleściła od krochmalu, a na spodniach połyskiwały jedwabne lampasy.

„Wielka Armada nie jest już może najpotężniejszą flotą na świecie, ale wciąż wie, jak ubrać oficera”.

Admirał nie zakładał munduru od lat, ale dziś czekał go wyjątkowy wieczór.

Spacerując ulicami tego nieznanego miasta, z przyjemnością zauważał przychylnie spojrzenia kobiet i szacunek, z jakim mężczyźni schodzili mu z drogi.

„Wszyscy szanują ludzi, którzy kierują się w życiu zasadami”.

– *¿Otra tónica?* – zapytała barmanka. Była po trzydziestce, miała pełne kształty i wesoły uśmiech.

Ávila pokręcił głową.

– *No, gracias.*

Sala była pusta. Admirał czuł na sobie zachwycony wzrok barmanki. Zrobiło mu się miło, że znów ktoś na niego patrzy. „Wróciłem z samego dna piekiel”.

Potworne wydarzenie, które pięć lat temu zniszczyło mu życie, na zawsze pozostało w zakamarkach jego pamięci. Pojedynczy ogłuszający huk, po którym rozstąpiła się ziemia, żeby go pochłonąć.

Katedra w Sewilli.

Wielkanoc.

Andaluzyjskie przedpołudniowe słońce przenikało przez witraże, malując kolorowe plamy na kamiennych ścianach katedry. Organy dudniły radośnie, gdy wierni czcili cud zmartwychwstania.

Ávila klęczał przy balustradzie, a jego serce przepełniała wdzięczność. Po długich latach poświęconych służbie na morzu boże błogosławieństwo zesłało mu największy dar – rodzinę. Z szerokim uśmiechem na ustach zerknął przez ramię na swoją młodą żonę Marię, która została w ławce, bo w zaawansowanej ciąży trudno jej było przejść przez całą nawę. Siedzący obok niej ich trzyletni syn Pepe z ożywieniem pomachał ojcu. Ávila puścił do niego oko, a Maria posłała mężowi ciepły uśmiech.

„Dzięki ci, Boże” – pomyślał Ávila, odwracając głowę do ołtarza, żeby przyjąć komunię.

Chwilę później nieskazitelnie pięknym wnętrzem katedry wstrząsnął potężny wybuch.

Oślepiający błysk obrócił w perzynę cały świat admirała Ávili.

Siła eksplozji rzuciła nim o balustradę i niemal w tej samej chwili poczuł uderzenie kawałków gruzu i części ludzkiego ciała. Gdy odzyskał przytomność, z trudem oddychał w gęstym kurzu i przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje ani co się wydarzyło.

Potem mimo dzwonienia w uszach usłyszał głośnie jęki. Z trudem się podniósł i przerażony uświadomił sobie, gdzie jest. Powtarzał w myślach, że to musi być zły sen.

Kulejąc, ruszył przez wypełnioną pyłem i dymem nawę. Mijał okaleczonych ludzi, desperacko przedzierając się do miejsca, skąd chwilę wcześniej uśmiechali się do niego żona i syn.

Ale nic tam nie było.

Żadnych ławek. Żadnych ludzi.

Tylko zakrwawione szczątki na osmalonej kamiennej podłodze.

Na szczęście makabryczne wspomnienia przerwał dzwonek otwieranych drzwi.

Ávila sięgnął po szklankę i wypił swój tonik, próbując się otrząsnąć z mrocznych myśli, które odpychał od siebie już tyle razy wcześniej.

Drzwi lokalu otworzyły się szeroko i Ávila zobaczył w nich dwóch krzepkich mężczyzn ubranych w zielone koszulki z napisem *fútbol* opinające się na wydatnych brzuchach.

Nie miłosiernie fałszując, skandowali po irlandzku kibolskie okrzyki, widocznie drużyna Irlandii dobrze sobie poradziła na wyjazdowym meczu.

„Potraktuję to jako sygnał, że na mnie już pora” – pomyślał Ávila, wstając z miejsca. Poprosił o rachunek, ale barmanka tylko puściła oczko i gestem dała mu znać, że może iść.

– Jasna cholera! – wrzasnął na całe gardło jeden z przybyszów. – To król Hiszpanii!

Mężczyźni zarechotali ze śmiechu i ruszyli w jego stronę.

Ávila próbował ich ominąć, żeby wyjść, ale wyższy chwycił go za ramię i pociągnął z powrotem do baru.

– Nie tak szybko, Wasza Wysokość! Jechaliśmy do Hiszpanii kawał drogi, to wychylimy z królem po kufelku.

Ávila spojrzał na brudną łapę ściskającą świeżo wyprasowany rękaw jego marynarki.

– Puść mnie – powiedział spokojnym głosem. – Muszę wyjść.

– Nie, musisz zostać i napić się z nami piwa, *amigo*. – Mężczyzna ścisnął jego ramię jeszcze mocniej, a kolega brudnym paluchem wskazał na przypięte do munduru medale.

– Chyba jesteś bohaterem, dziadku – oznajmił, po czym szarpnął za jedną z najcenniejszych pamiątek Ávili. – Co to jest, średniowieczna maczuga? Jesteś rycerzem w lśniącej zbroi? – zarechotał.

„Tolerancja” – przypomniał sobie Ávila. Spotkał w życiu setki takich ludzi – prymitywnych nieszczęśników, którzy nigdy się nie identyfikowali z żadnymi wartościami, ślepo nadużywających swobody i praw, o które walczyły dla nich przeszłe pokolenia.

– Maczuga jest symbolem Unidad de Operaciones Especiales hiszpańskiej marynarki wojennej – spokojnie wyjaśnił admirał.

– Operacje specjalne? – Mężczyzna udał, że drży ze strachu. – Robi wrażenie! A to co? – Wskazał na prawą rękę Ávili.

Admirał opuścił wzrok. Pośrodku dłoni widniał czarny tatuaż przedstawiający symbol, którego historia sięgała czternastego wieku.



„Ten znak ma mi zapewnić ochronę” – pomyślał. „Choć akurat teraz nie będę jej potrzebował”.

– Zresztą wszystko jedno – odezwał się po chwili chuligan, puszczając wreszcie ramię admirała i przenosząc uwagę na barmankę. – Niezła z ciebie laska – oznajmił. – Jesteś

stuprocentową Hiszpanką?

– Tak – odparła z wdziękiem.

– Nie masz w sobie nic irlandzkiego?

– Nie.

– To może chciałabyś mieć? – zapytał, uderzając dłonią w ladę i wybuchając histerycznym śmiechem.

– Zostaw ją! – rozkazał Ávila.

Mężczyzna odwrócił głowę, rzucając mu wściekłe spojrzenie.

Drugi zbir silnie dźgnął admirała palcem w pierś.

– Tylko nam nie mów, co mamy robić.

Ávila wziął głęboki wdech, czując zmęczenie po długiej podróży, i wskazał ręką na bar.

– Usiądźcie, panowie, stawiam piwo.

„Dobrze, że jednak zostaje” – pomyślała barmanka. Świetnie poradziłaby sobie sama, ale mężczyzna w marynarskim mundurze zaimponował jej spokojem, z jakim traktował tych dwóch prostaków, i byłaby najszczęśliwsza, gdyby siedział przy barze do zamknięcia.

Marynarz zamówił dwa piwa i kolejny tonik dla siebie, po czym usiadł tam gdzie poprzednio. Kibole zajęli stołki po jego lewej i prawej stronie.

– Tonik? – szyderczo zapytał jeden z nich. – Myślałem, że napijemy się razem.

Marynarz posłał barmance zmęczony uśmiech i wypił swój napój do dna.

– Mam spotkanie – oznajmił, podnosząc się ze stołka.

Gdy wstał, obydwaj mężczyźni jak na komendę chwycili go za ramiona i siłą posadzili z powrotem. W oczach marynarza pojawił się gniew, zaraz jednak zniknął.

– Dziadku, chyba nie zostawisz tu swojej narzeczonej samej z nami? – zapytał jeden z mężczyzn i zwrócił ku niej głowę, obrzydliwie wywijając językiem.

Marynarz siedział spokojnie przez dłuższą chwilę, po czym sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Obydwaj chwycili go za ramiona.

– Co robisz?!

Bardzo powoli wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i odpowiedział na pytanie po hiszpańsku. Gdy spojrzeli na niego nic nierozumiejącym wzrokiem, przeszedł na angielski.

– Przepraszam, ale muszę zadzwonić do żony i uprzedzić ją, że się spóźnię. Zanosi się na to, że zostanę tu jeszcze chwilę.

– No, nareszcie mówisz do rzeczy, człowieku – odparł wyższy z nich, po czym wypił do dna swoje piwo i uderzył pustym kuflem o blat baru. – Jeszcze jedno!

Nalewając piwo, barmanka patrzyła w lustrze, jak marynarz wystukuje kilka cyfr na klawiaturze telefonu, a następnie przykłada aparat do ucha. Uzyskawszy połączenie niemal natychmiast, odezwał się po hiszpańsku.

– *Le llamo desde el bar Molly Malone* – mówił szybko, odczytując nazwę i adres pubu z podkładki leżącej przed nim. – *Calle Particular de Estraunza, ocho.* – Odczekał chwilę, zanim znów się odezwał. – *Necesitamos ayuda inmediatamente. Hay dos hombres heridos* – dodał i się rozłączył.

¿Dos hombres heridos? Puls barmanki przyśpieszył. „Dwóch rannych mężczyzn?”

Zanim zdążyła się nad tym zastanowić, zobaczyła w lustrze szybko przesuwającą się białą plamę. Gwałtownie wykonała nagły zwrot i z całej siły zdzieliła wyższego Irlandczyka w nos. Rozległ się potworny trzask, trysnęła krew i ranny upadł na plecy.

Zanim drugi z mężczyzn zdążył zareagować, marynarz znów się obrócił, tym razem w przeciwną stronę, by lewym łokciem trafić w jego krtań, zrzucając go ze stołka.

Barmanka z niedowierzaniem wpatrywała się w leżących na podłodze zbirów: jeden głośno dyszał, trzymając się za gardło, a drugi na cały głos wrzeszczał z bólu.

Marynarz powoli wstał z krzesła. Z niewzruszonym wyrazem twarzy sięgnął po portfel i położył na barze stueurowy banknot.

– Najmocniej przepraszam. Zaraz tu będzie policja, żeby pani pomóc – powiedział do niej po hiszpańsku, po czym się odwrócił i wyszedł.

Przed budynkiem admirał Ávila głęboko odetchnął wieczornym powietrzem i ruszył ulicą Alameda de Mazarredo w stronę rzeki. Na dźwięk syren policyjnych usunął się w cień, żeby przepuścić funkcjonariuszy. Czekало go poważne zadanie i nie mógł sobie pozwolić na kolejne komplikacje.

„Regent wyraźnie określił moją dzisiejszą misję”.

Dzięki poleceniom Regenta Ávila zyskiwał spokój. Nie musiał podejmować decyzji. Nie miał poczucia winy. Tylko działał. Przez całą zawodową karierę w wojsku to on wydawał rozkazy, teraz więc z ulgą odszedł od steru, pozwalając innym prowadzić okręt.

„Na tej wojnie jestem piechurem”.

Kilka dni temu Regent przekazał mu w sekrecie wiadomość tak zatrważającą, że Ávila nie widział innego wyjścia, jak tylko całkowicie się oddać do jego dyspozycji.

Brutalność zadania, które musiał wykonać wczorajszego wieczoru, wciąż nie dawała mu spokoju, wiedział jednak, że jego przewiny zostaną wybaczone.

„Prawość przybiera różne formy”.

„Zanim ten dzień dobiegnie końca, znów zetknę się ze śmiercią”.

Wyszedłszy na plac przy brzegu rzeki, Ávila podniósł wzrok na potężny budynek, który

miał przed sobą. Zobaczył falującą masę perwersyjnych kształtów pokrytych metalowymi płytkami – jakby ktoś celowo zrezygnował z dwóch tysięcy lat rozwoju architektury na rzecz totalnego chaosu.

„Niektórzy nazywają to muzeum. Dla mnie to zwyczajna ohyda”.

Skupiony na czekającej go misji przeszedł przez plac, mijając kilka dziwacznych rzeźb ustawionych wokół Muzeum Guggenheima w Bilbao. Po drodze obserwował dziesiątki gości w strojach wieczorowych.

„Zebrały się bezbożne masy”.

„Ale dzisiejszy wieczór nie przebiegnie tak, jak to sobie wyobrażają”.

Poprawił swoją admiralską czapkę i wygładził marynarkę, w duchu zagrzewając się do wykonania zadania, które mu powierzono. To, co miał zrobić dzisiejszego wieczoru, było częścią większej operacji: krucjaty prawości.

Podchodząc do głównego wejścia, delikatnie dotknął różańca, który ukrył w kieszeni.

Rozdział 3

Atrium wyglądało jak futurystyczna katedra.

Gdy Langdon wszedł do środka, jego wzrok natychmiast powędrował do wysoko sklepionego sufitu, pod którym halogenowe lampy płonęły czystym białym światłem. Do samej góry, miał wrażenie, że aż do nieba, pięła się sieć kładek i wiszących balkonów, po których ubrani w czarno-białe stroje goście snuli się między górnymi galeriami albo podchodzili do wysokich okien, żeby spojrzeć na jezioro. Pod jedną ze ścian cicho zjeżdżała szklana winda.

To wnętrze nie przypominało żadnego z muzeów, które Langdon dotychczas odwiedził. Nawet akustyka wydała mu się obca. Zamiast zwyczajnej w takich miejscach, pełnej szacunku ciszy wzmaganey jeszcze tłumiącym dźwięk wykończeniem wnętrza, wszędzie słyszał echo szeptów odbijających się od kamienia i szkła. Jedynym znajomym wrażeniem, jakie Langdon tu odnalazł, był cierpki, jakby sterylny posmak u nasady języka: w każdym muzeum na świecie powietrze jest tak samo pracowicie pozbawiane zanieczyszczeń i utleniaczy, a następnie nawilżane jonizowaną wodą do czterdziestu pięciu procent wilgotności.

Langdon przeszedł przez kilka zaskakująco skrupulatnych punktów kontroli, zauważając po drodze kilkunastu uzbrojonych ochroniarzy, i w końcu stanął przy dużym stole, za którym powitała go młoda kobieta ze słuchawkami w ręku.

– ¿*Audioguía*? – zapytała.

– Nie, dziękuję – odpowiedział z uśmiechem.

Gdy się odwracał, żeby odejść, kobieta zatrzymała go gestem dłoni.

– Przykro mi, ale gospodarz wieczoru pan Edmond Kirsch prosił, żeby wszyscy korzystali ze słuchawek – powiedziała nienaganną angielszczyzną. – Są niezbędne, żeby uczestniczyć w dzisiejszym wydarzeniu.

– W takim razie wezmę jedną.

Langdon sięgnął po pierwszy z brzegu zestaw, ale kobieta znów go zatrzymała, sprawdziła nazwisko na plakietce i wręczyła mu słuchawki z numerem

przyporządkowanym do jego nazwiska na liście gości.

– Dziś zwiedzanie jest spersonalizowane. Każdy gość ma własnego przewodnika – wyjaśniła.

„Jak to możliwe?” Langdon się rozejrzał. „Przecież tu są setki gości”.

Słuchawki okazały się cienkim paskiem lśniącego metalu z małymi podkładkami na końcach. Zapewne widząc zdziwienie na twarzy Langdona, młoda kobieta podeszła do niego i zaoferowała pomoc.

– To nowa technologia – wyjaśniła, pomagając mu włożyć urządzenie. – Przetworniki dźwięku umieszczamy nie w uszach, lecz na policzkach. – Założyła mu kabłąk w taki sposób, że obydwie podkładki delikatnie przylgnęły do jego twarzy na kościach policzkowych tuż pod skroniami.

– Ale jak to...

– Słuchawki wykorzystują przewodnictwo kostne – przerwała mu. – Dźwięk z przetworników trafia do kości szczęki, a stamtąd prosto do przewodu słuchowego. To niezwykle doświadczenie. Wiem, bo próbowałam. Miałam wrażenie, że dźwięk dochodzi ze środka mojej głowy. Co więcej, można normalnie rozmawiać, bo uszy nie są zasłonięte.

– Sprytne.

– Pan Kirsch wynalazł tę technologię ponad dziesięć lat temu. Obecnie korzysta z niej kilku producentów słuchawek dostępnych na rynku.

„Mam nadzieję, że Ludwig van Beethoven dostanie należne tantiemy” – pomyślał Langdon, przypominając sobie, że osiemnastowieczny kompozytor też wykorzystywał przewodnictwo kostne. Gdy zaczął tracić słuch, odkrył, że jeśli ścisnie między zębami drut, którego drugi koniec przyczepi do fortepianu, dzięki wibracjom przenoszonym przez kości szczęki usłyszy to, co gra.

– Mam nadzieję, że dzisiejszy wieczór będzie dla pana przyjemny – powiedziała kobieta.

– Przed rozpoczęciem wystąpienia pana Kirscha ma pan mniej więcej godzinę na zwiedzanie muzeum. Przewodnik poinformuje pana, gdy nadejdzie czas, żeby udać się do audytorium.

– Dziękuję pani. Jak się włącza słuchawki?

– Nie trzeba ich włączać – wyjaśniła. – Usłyszysz pan swojego przewodnika, jak tylko zacznie pan zwiedzanie.

– Ach, tak, oczywiście – powiedział Langdon z uśmiechem i wszedł w tłum gości spacerujących po atrium w oczekiwaniu na windy. Wszyscy nosili metalowe kabłąki, a na policzkach mieli słuchawki.

Był mniej więcej w połowie atrium, gdy usłyszał męski głos.

– Dobry wieczór. Miło gościć pana w Muzeum Guggenheima w Bilbao.

Langdon wiedział, że głos płynie ze słuchawek, a mimo to się zatrzymał i spojrzał za siebie. Efekt był zdumiewający. Kobieta miała rację, gdy mówiła, że dźwięk dobywa się jakby ze środka głowy.

– Serdecznie witam w imieniu muzeum i własnym, panie profesorze Langdon. – Mężczyzna mówił przyjaznym tonem, z zawadiackim brytyjskim akcentem. – Mam na imię Winston i czuję się zaszczycony, że mogę dziś wieczorem być pańskim przewodnikiem.

„Kogo oni nagrali? Hugh Granta?”

– Proszę swobodnie się przemieszczać po całej ekspozycji, a ja postaram się jak najciekawiej opowiedzieć o eksponatach, które pan będzie oglądał – zapewnił głos.

Najwyraźniej oprócz radosnego narratora, spersonalizowanych nagrań i technologii przewodnictwa kostnego słuchawki oferowały też lokalizację GPS

pozwalającą dokładnie określić, w którym miejscu gmachu zwiedzający się znajduje, żeby odtworzyć odpowiedni komentarz.

– Zdaję sobie sprawę, że jako profesor historii sztuki jest pan dzisiaj jednym z naszych najlepiej przygotowanych gości, może więc wcale nie będzie pan potrzebował moich objaśnień. Co gorsza, nie da się wykluczyć, że całkowicie się pan nie zgodzi z moją analizą poszczególnych eksponatów – dodał głos i zachichotał.

„To jakiś żart? Kto pisał scenariusz tej audiodeskrypcji?” Pogodny głos i narracja skierowana osobiście do każdego ze zwiedzających były wielką uprzejmością ze strony organizatorów, ale Langdon nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak ogromnego wysiłku wymagało spersonalizowanie setek zestawów słuchawkowych.

Na szczęście głos w jego głowie na chwilę zamilkł. Zapewne przygotowany na powitanie monolog się zakończył.

Dopiero teraz Langdon zauważył wielki czerwony transparent rozwieszony nad głowami oczekujących po przeciwległej stronie pomieszczenia.

EDMOND KIRSCH

DZIŚ STAWIAMY WIELKI KROK NAPRZÓD

„Co, u diabła, Edmond zamierza ogłosić?”

Langdon przeniósł wzrok na windy, przy których ucinając sobie pogawędkę grupka oczekujących. Wśród nich dostrzegł dwóch założycieli firm internetowych o globalnym zasięgu, sławnego hinduskiego aktora i kilka innych wyjątkowo dobrze ubranych osób, które zapewne powinien skądś kojarzyć, ale nie potrafił określić, kim są. Langdon nie miał ani ochoty, ani przygotowania, żeby prowadzić towarzyskie rozmowy na temat mediów społecznościowych i Bollywoodu, ruszył więc w przeciwnym kierunku, dryfując w stronę olbrzymiego eksponatu po drugiej stronie pomieszczenia.

Instalacja umieszczona w ciemnej grocie składała się z dziewięciu przenośników taśmowych, które wychodziły z podłogi i znikwały w szczelinach na samej górze.

Wyglądało to jak dziewięć ustawionych pionowo ruchomych chodników. Na każdym z nich do góry przesuwał się tekst.

Modłę się na głos... Na skórze czuję twój zapach...

Wypowiadał moje imię.

Dopiero z mniejszej odległości Langdon zauważył, że taśmy przenośników stoją w miejscu, a iluzję ruchu wywołują umieszczone na nich diody LED zapalające się po kolei w taki sposób, że to samo słowo wędrowało od podłogi do sufitu.

Zalewam się łzami... Tam była krew...

Nikt mnie nie uprzedził.

Langdon wszedł do środka i spacerował wokół pionowych taśm, próbując zrozumieć, co widzi.

– To prowokujące dzieło – niespodziewanie powrócił głos przewodnika. – *Instalacja dla Bilbao* stworzona przez konceptualną artystkę Jenny Holzer. Składa się z dziewięciu pasów z diodami elektroluminescencyjnymi, o długości dwunastu metrów każdy, transmitujących cytaty w językach baskijskim, hiszpańskim i angielskim.

Wszystkie cytaty opisują potworność epidemii AIDS i ból tych, którym z powodu tej choroby zmarł ktoś bliski.

Langdon musiał przyznać, że efekt jest hipnotyzujący, a samo dzieło wzruszające.

– Widział pan już prace Jenny Holzer?

Langdon jak zaczarowany patrzył na przewijający się tekst.

Zakrywam twarz dłońmi... Zakrywam twoją twarz...

Zakrywam wieko trumny.

– Panie Langdon, słyszy mnie pan? – odezwał się głos. – Czy pańskie słuchawki działają?

Langdon wyrwał się z zamyślenia.

– Nie słyszałem, przepraszam. Kto mówi?

– Przecież już się przedstawiałem. Sprawdzam tylko, czy pan mnie słyszy.

– Przepraszam... – wyjąkał Langdon niepewnym głosem, odwracając się od instalacji świetlnej. – Sądziłem, że słyszę przygotowane wcześniej nagranie. Nigdy bym nie przypuszczał, że komunikuję się z żywym człowiekiem.

Langdon wyobraził sobie rzędy kabin dla armii przewodników uzbrojonych w słuchawki i katalogi dzieł sztuki.

– Nic się nie stało, panie profesorze. Będę pańskim osobistym przewodnikiem przez cały wieczór. Słuchawki są też wyposażone w mikrofon, żebyśmy mogli rozmawiać o sztuce,

a przynajmniej taka idea przyświecała organizatorowi dzisiejszego wydarzenia.

Dopiero teraz Langdon zauważył, że inni goście też rozmawiają przez słuchawki.

Nawet ci, którzy przyszli jako para, zdążyli już się rozdzielić i wymieniali tylko między sobą speszzone spojrzenia, prowadząc ożywioną rozmowę z osobistym przewodnikiem.

– Każdy z gości ma własnego pilota podczas dzisiejszej wycieczki?

– Tak, panie profesorze. Dziś wieczorem oferujemy indywidualny program zwiedzania dla trzystu osiemnastu gości.

– Niewiarygodne!

– No cóż, jak pan wie, Edmond Kirsch jest zagorzałym wielbicielem nowych technologii. Zaprojektował ten system specjalnie dla muzeów, mając nadzieję, że z czasem wyeliminuje on wycieczki grupowe, których pan Kirsch tak nie znosi. Dzięki tym słuchawkom każdy może nie tylko zwiedzać muzeum w swoim tempie, ale też zadać przewodnikowi pytanie, które być może krępowałoby go w grupie. Kontakt ze sztuką staje się bardziej intymny, a zwiedzający bardziej się angażuje.

– Nie chcę zabrzmieć staromodnie, ale czy nie lepiej byłoby iść obok gościa, którego się oprowadza?

– To kwestia logistyki – odparł Winston. – Fizyczna obecność pilotów w muzeach podwoiłaby liczbę obecnych, co musiałoby o połowę zmniejszyć liczbę zwiedzających.

Co więcej, kakofonia nakładających się na siebie głosów tylko rozpraszałaby zwiedzających. Równie ważny jest fakt, że dzięki tej nowej technologii rozmowa przebiega gładko, a pan Kirsch zawsze powtarza, że sztuka ma ułatwiać dialog.

– Całkowicie się z tym zgadzam, i właśnie dlatego ludzie często odwiedzają muzea w towarzystwie, a wtedy słuchawki mogą przeszkadzać w nawiązywaniu kontaktu – ripostował Langdon.

– No cóż, jeśli ktoś wybiera się do muzeum w towarzystwie jednej lub więcej osób, to wszystkie słuchawki można dostroić do kontaktu z jednym pilotem, umożliwiając tym samym dyskusję grupową. Oprogramowanie pana Kirscha jest naprawdę zaawansowane.

– Ma pan odpowiedź na wszystko – stwierdził Langdon.

– Na tym polega moja praca – odparł Winston, po czym dyskretnie się zaśmiał i natychmiast zmienił temat. – Jeśli podejdzie pan do okien po drugiej stronie atrium, to zobaczy pan największy obraz w zbiorach tego muzeum.

Przechodząc między ludźmi, Langdon minął parę atrakcyjnych trzydziestokilkulatków w identycznych czapkach bejsbolowych i spostrzegł zaskoczony, że w miejscu, gdzie nad daszkiem zwykle znajduje się logo firmy, mają wyszyty symbol.



Langdon doskonale znał ten znak, ale nigdy nie widział go na czapeczce.

W ostatnich latach wymyślnie stylizowana litera A stała się uniwersalnym symbolem jednej z najszybciej się rozrastających i coraz lepiej słyszalnych grup społecznych na świecie – ateistów, którzy co dzień głośniej protestują przeciwko temu, co uznają za zagrożenia wynikające z przekonań religijnych.

„Ateiści noszą czapki bejsbolowe z własnym logo?”

Rozejrzał się dookoła, uświadamiając sobie, że zebrani tu młodzi ludzie mają wybitne analityczne umysły, które uczyniły z nich nie tylko geniuszy informatycznych, ale też zadeklarowanych przeciwników jakiegokolwiek religii, podobnie jak to było z Edmondem. Jako profesor symboliki religijnej nie mógłby nazwać zaproszonych tu dzisiaj gości swoją publicznością.

Rozdział 4



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

Najpopularniejsze tematy na naszym portalu znajdziesz tutaj. Na liście szybko się przebija najnowsza informacja.

ZASKAKUJĄCE OŚWIADCZENIA EDMONDA KIRSCHA?

Największe osobistości świata nowych technologii przybyły do hiszpańskiego Bilbao na imprezę organizowaną w Muzeum Guggenheima tylko dla wybranych gości futurysty Edmonda Kirscha. W budynku przedsięwzięto specjalne środki bezpieczeństwa, a gościom nie powiedziano, co ma się wydarzyć. Z nieoficjalnych informacji portalu ConspiracyNet wynika, że głos zabierze Edmond Kirsch, który zamierza zaskoczyć swoich gości, ogłaszając ważne odkrycie naukowe. O wszystkim będziemy informowali na bieżąco.

Rozdział 5

Największa europejska synagoga leży w Budapeszcie przy ulicy Dohány.

Zbudowana w stylu mauretańskim z dwiema masywnymi wieżami bożnica mieści ponad trzy tysiące wiernych – dół przeznaczono dla mężczyzn, a balkony dla kobiet. Na świątynnym dziedzińcu w zbiorowej mogile pochowano setki węgierskich Żydów, którzy zginęli podczas okupacji nazistowskiej. W miejscu ostatniego spoczynku postawiono na cześć zamordowanych Drzewo Życia, metalową rzeźbę wierzby płaczącej z nazwiskami ofiar wygrawerowanymi na każdym liście. Kołysane wiatrem blaszki uderzają o siebie ze szcękaniem, który niesie się upiornym echem nad tą świętą mogiłą.

Od ponad trzydziestu lat duchowym przywódcą Wielkiej Synagogi był wybitny znawca Talmudu i kosmologii kabalistycznej, rabin Yehuda Köves, który mimo zaawansowanego wieku i słabego zdrowia brał aktywny udział w życiu społeczności żydowskiej na Węgrzech i w świecie.

Gdy nad Dunajem zaszło słońce, rabin Köves wyszedł z synagogi. Mijając sklepy i słynne budapeszteńskie ruin bary przy Dohány, udał się na skwer Márciusa, gdzie mieszkał pod numerem piętnastym, rzut kamieniem od mostu Elżbiety łączącego Budę i Peszt, które jednym miastem stały się dopiero w tysiąc osiemset siedemdziesiątym trzecim roku.

Nadchodziło święto Pesach, zazwyczaj najradośniejszy okres w roku, ale od powrotu z Hiszpanii po obradach Parlamentu Religii Świata rabin Köves odczuwał przygnębienie i niepokój.

„Bodajbym tam nie pojechał!”

Nieplanowane spotkanie z biskupem Valdespino, allamahem Syedem al-Fadlem oraz futurystą i naukowcem Edmondem Kirschem od trzech dni nie dawało mu spokoju.

Po powrocie do domu od razu udał się do ogrodu, gdzie otworzył drzwi swojego *házikó*, czyli małego domku, który mu służył za pracownię i prywatne sanktuarium.

Domek miał tylko jedno pomieszczenie od góry do dołu wypełnione półkami uginającymi się pod ciężarem świętych ksiąg. Rabin podszedł do biurka, usiadł i zmarszczył brwi,

widząc panujący tam bałagan.

„Gdyby ktoś zobaczył, jak ostatnio wygląda moje biurko, to musiałby chyba dojść do wniosku, że oszalałem”.

Na całym blacie leżały otwarte teksty religijne upstrzone samoprzylepnymi kartkami. Za nimi na drewnianych stojakach stały trzy ciężkie tomy: hebrajska, aramejska i angielska wersja Tory, wszystkie otwarte na tej samej karcie.

„Księga Rodzaju”.

„Na początku...”

Köves oczywiście mógł recytować Księgę Rodzaju z pamięci w każdym z tych trzech języków, bardziej prawdopodobną lekturą w jego przypadku byłyby więc mistyczne komentarze *Księgi blasku* albo jakieś zaawansowane teoretyczne rozważania o kosmologii kabalistycznej. Dla naukowca formatu Kövesa studiowanie Księgi Rodzaju było tym, czym dla Einsteina byłby podstawowy kurs arytmetyki. A jednak to właśnie robił od początku tygodnia, zapisując kartki leżącego na biurku zeszytu notatkami tak chaotycznymi, że sam ledwie mógł je odczytać.

„Zachowuję się jak wariat”.

Stary rabin zaczął od Tory, historii stworzenia wspólnej dla żydów i chrześcijan.

„Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię”. Następnie Köves sięgnął do interpretacji, po raz kolejny czytając rozważania rabinów na temat *Księgi Bereszit*, opisującej akt stworzenia świata. Zaraz potem zaczął studiować midrasze, całe godziny przesiadując nad komentarzami wielu czcigodnych egzegetów próbujących wyjaśnić sprzeczności występujące w tej księdze. Na koniec pogrążył się w mistycznych rozważaniach *Księgi Zohar*, w której nieskończony i niepoznawalny Bóg objawia się poprzez dziesięć różnych sefir, czyli emanacji boskiego światła układających się w trzy kolumny Drzewa Życia dające początek naszym czterem odrębnym wszechświatom.

Złożoność i nieprzystępność wierzeń, które zapoczątkowały judaizm, zawsze przynosiła Kövesowi ukojenie, wiedział bowiem, że w ten sposób Bóg przypomina o istnieniu rzeczy, których człowiek zrozumieć nie może. Teraz jednak, po obejrzeniu prezentacji Edmonda Kirscha, skonfrontowany z klarownością i prostotą tego, co ona zawierała, Köves nie mógł się pozbyć wrażenia, że patrzy na zbiór nieaktualnych antynomii. W pewnym momencie potrafił jedynie odepchnąć od siebie wszystkie te święte prastare teksty, postanowił więc zebrać myśli podczas spaceru wzdłuż brzegu Dunaju.

Rabin Köves zaczął się w końcu godzić z bolesną prawdą, że wystąpienie Kirscha będzie miało fatalne skutki dla świata ludzi wierzących. Młody naukowiec odważnie zaatakował niemal każdą religijną doktrynę, w dodatku zrobił to w prosty i przekonujący sposób.

„Ten ostatni slajd po prostu nie pozwala o sobie zapomnieć” – myślał rabin,

przypominając sobie przygnębiającą konkluzję prezentacji Kirscha, którą obejrżeli na jego ponadwymiarowym telefonie. „Wyniki jego pracy zainteresują wszystkich bez wyjątku, nie tylko ludzi wierzących”.

Mimo wielu godzin intensywnych rozważań rabin Köves nadal nie miał pojęcia, co zrobić z informacjami Kirscha. Przypuszczał, że Valdespino i al-Fadl też tego nie wiedzą.

We trzech dyskutowali o tym podczas telekonferencji dwa dni temu, ale nie doszli do żadnych konkretnych ustaleń.

– Moi drodzy – zagaił Valdespino. – Nie da się zaprzeczyć, że wystąpienie pana Kirscha było niepokojące, i to na wielu płaszczyznach. Nalegałem, żeby się ze mną spotkał i porozmawiał, ale on jakby się zapadł pod ziemię. Musimy jednak podjąć jakąś decyzję.

– Ja już podjąłem – odparł al-Fadl. – Nie możemy siedzieć bezczynnie. Musimy przejąć kontrolę. Kirsch jest powszechnie znany z pogardy dla religii, nie mam więc najmniejszych wątpliwości, że przedstawi te swoje rewelacje w taki sposób, żeby wiara ucierpiała jak najbardziej. Trzeba działać. Musimy sami ogłosić to, co nam pokazał.

Natychmiast. Oczywiście przedstawimy jego ustalenia w odpowiednim świetle, żeby złagodzić siłę uderzenia i możliwie najskuteczniej zmniejszyć zagrożenie, które niosą dla duchowości na całym świecie.

– Też rozważałem upublicznienie tych informacji – oznajmił Valdespino. – Niestety nie potrafię sobie wyobrazić scenariusza, w którym nie wyrządziłyby nam szkody. – Westchnął ciężko. – No i jeszcze jedno. Przysięgaliśmy panu Kirschowi, że dochowamy tajemnicy.

– To prawda, ja też mam wątpliwości co do złamania tej przysięgi, ale moim zdaniem musimy wybrać mniejsze zło i działać w imię wyższego dobra. Zaatakowani zostaliśmy wszyscy, muzułmanie, żydzi, chrześcijanie, hinduiści, bez żadnego wyjątku.

Fundamentalne prawdy, które podważa pan Kirsch, leżą u podstaw każdego wyznania, mamy więc obowiązek przedstawić jego materiał w sposób, który nie zaszkodzi naszym wiernym.

– Obawiam się, że to nie ma sensu – powiedział Valdespino. – Gdybyśmy chcieli jako pierwsi upublicznić przekaz Kirscha, to jedynym skutecznym sposobem byłoby podać go w wątpliwość. Trzeba by podważyć jego ustalenia.

– Zdyskredytować Edmonda Kirscha? – zachnął się al-Fadl. – Błyskotliwego naukowca, który nigdy się w niczym nie pomylił? Wszyscy widzieliśmy przecież ten pokaz. Był spójny i przekonujący.

Valdespino odkaszlnął.

– Nie bardziej niż wywody Galileusza, Bruna czy Kopernika, gdy je przedstawiali.

Nie pierwszy raz religie znalazły się w takiej sytuacji. To tylko nauka, która znów się

dobija do naszych drzwi.

– Ale tym razem nauka sięga znacznie głębiej niż fizycy i astronomowie! – wykrzyknął wzburzony al-Fadl. – Kirsch kwestionuje samą istotę religii. Burzy fundament, na którym opiera się wszystko, w co wierzymy. Możesz sobie cytować historię do woli, ale nie zapominaj, że mimo wszelkich wysiłków czynionych przez twój Watykan, żeby uciszyć Galileusza i jemu podobnych, ich teorie w końcu się przebiły.

Z Kirschem będzie tak samo. Nie ma sposobu, żeby go powstrzymać.

Zapanowała głucha cisza.

– Moje stanowisko w tej sprawie jest jasne – odezwał się w końcu Valdespino. – Wolałbym, żeby Edmond Kirsch w ogóle nie zaczął swoich dociekań, i boję się, że nie jesteśmy przygotowani, żeby sobie poradzić z ich wynikiem. – Zrobił pauzę. – Ale też głęboko wierzę, że wszystko na tym świecie dzieje się zgodnie z wolą naszego Pana, może więc dzięki modlitwie Bóg przemówi do Kirscha i przekona go, żeby nie upubliczniał swojej prezentacji.

Al-Fadl zaśmiał się kpiąco.

– Nie wydaje mi się, że pan Kirsch należy do osób zdolnych wsłuchać się w głos Boga.

– Może i nie należy – zgodził się Valdespino. – Ale przecież cuda zdarzają się co dzień.

Al-Fadl zareagował zacierzowaniem.

– Z całym szacunkiem, ale jeśli nie modlisz się o to, żeby Bóg położył trupem Kirscha, zanim ten zdąży ogłosić światu swoje rewelacje, to...

– Moi drodzy, przecież nie musimy decydować już teraz – przerwał mu Köves, próbując rozładować napięcie. – Mamy czas, żeby wypracować jakieś wspólne stanowisko. Kirsch zapowiedział, że dopiero za miesiąc ogłosi swoje ustalenia, proponuję więc, żeby każdy z nas się nad tym zastanowił w ciszy własnego serca i porozmawiamy ponownie za kilka dni. Może właściwa droga odkryje się dzięki refleksji.

– Mądra rada – pochwalił Valdespino.

– Nie powinniśmy jednak zwlekać zbyt długo – ostrzegł al-Fadl. – Zdzwońmy się za dwa dni o tej samej porze.

– Zgoda – przytaknął Valdespino. – Wtedy zadecydujemy.

Dwa dni minęły i nadchodził właśnie wieczór, gdy mieli się naradzić. Rabin Köves niecierpliwie czekał w swojej pracowni, ale umówiona rozmowa się opóźniała.

Po dziesięciu minutach wreszcie zadzwonił telefon.

– Dobry wieczór, Yehuda – przywitał go biskup Valdespino zmartwionym głosem.

– Przepraszam, że musiałeś czekać. – Zamilkł na chwilę. – Obawiam się, że allamah al-Fadl dziś do nas nie dołączy.

– Naprawdę? – zdziwił się Köves. – Co mu się stało?

– Nie wiem. Od rana próbuję się z nim skontaktować, ale Syed zniknął. Nigdzie go nie ma i nikt nie wie, dokąd się udał.

Rabina przebiegł zimny dreszcz.

– To bardzo niepokojące.

– Też tak myślę. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało. Niestety to nie wszystkie złe wiadomości. – Biskup zamilkł na chwilę, po czym kontynuował mrocznym tonem. – Właśnie się dowiedziałem, że Edmond Kirsch zaprosił ludzi z całego świata na spotkanie, podczas którego przedstawi swoje ustalenia. Dziś wieczorem.

– Dziś?! – wykrzyknął zdziwiony Köves. – Przecież powiedział, że robi to za miesiąc.

– Kłamał – skwitował Valdespino.

Rozdział 6

Przyjacielski głos wibrował w słuchawkach Langdona.

– Bezpośrednio przed sobą zobaczy pan najpokaźniejszy obraz w naszych zbiorach, panie profesorze, choć większość zwiedzających zwykle nie zauważa go od razu.

Langdon patrzył przed siebie, ale nie widział niczego oprócz wielkiej tafli szkła w oknie wychodzącym na jezioro.

– Zdaje się, że należę do większości, bo go nie widzę – stwierdził.

– No cóż, został wystawiony w raczej nietypowy sposób, bo zamiast wisieć na ścianie, leży na podłodze.

„Że też o tym nie pomyślałem!” – skarcił się Langdon. Przechodząc do przodu i spuszczając wzrok, zauważył prostokątne płótno rozciągnięte na kamiennej posadzce.

Olbrzymie malowidło miało tylko jeden kolor: było wielkim ciemnoniebieskim prostokątem, a stojący wokół niego widzowie odnosili wrażenie, że patrzą na mały staw.

– To monochromatyczne dzieło ma ponad pięćset pięćdziesiąt merów kwadratowych – poinformował go Winston.

Langdon uświadomił sobie, że obraz jest dziesięciokrotnie większy od jego mieszkania w Cambridge.

– Jego autorem jest Yves Klein. Powszechnie funkcjonuje jako *Basen*.

Langdon jedno musiał przyznać: niezwykle intensywna głębia błękitu była tak wielka, że patrząc na płótno, miało się ochotę zanurkować pod jego powierzchnię.

– To Klein wynalazł ten kolor – kontynuował Winston. – Opatentował go pod nazwą International Klein Blue. Twierdził, że nasycenie i głębia tej ultramaryny wyrażają niematerialność oraz bezkresność jego własnej wizji świata.

Langdon wyczuł, że Winston cytuje tekst z katalogu.

– Klein jest najbardziej znany z niebieskich obrazów, ale sławna jest też jego kontrowersyjna fotografia zatytułowana *Skok w pustkę*, która wywołała sporą panikę, gdy ujrzała światło dzienne w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku.

Langdon widział *Skok w pustkę* w nowojorskim muzeum sztuki współczesnej i uznał

fotografię za co najmniej niepokojącą. Widać na niej ubranego w garnitur mężczyznę, który z wysokiego muru skacze twarzą w stronę chodnika. Zdjęcie oczywiście jest fotomontażem, błyskotliwie pomyślanym i genialnie retuszowanym przy użyciu żyłki na długo przed czasami Photoshopa.

– Klein skomponował też utwór o nazwie *Monotonna cisza*, w którym orkiestra symfoniczna przez pełne dwadzieścia minut gra ten sam akord D-dur.

– I ludzie tego słuchają?

– Tysiącami! Akord jest tylko pierwszą częścią utworu. W drugiej orkiestra siedzi nieruchomo, grając „idealną ciszę”.

– Żartuje pan, prawda?

– Nie, mówię całkiem poważnie. A występ wcale nie jest taki nudny, jak się może wydawać, ponieważ obok orkiestry na scenie występują trzy nagie, pokryte grubą warstwą niebieskiej farby kobiety, które tarzają się po gigantycznych płótnach.

Chociaż Langdon poświęcił znaczną część swojej kariery naukowej na studiowanie sztuki, z zakłopotaniem przyznawał, że nigdy się nie nauczył, jak oceniać najbardziej awangardowe dzieła współczesnych artystów. Urok sztuki nowoczesnej pozostawał dla niego tajemnicą.

– Z całym szacunkiem dla twórców i wielbicieli muszę wyznać, Winstonie, że często mam problem z określeniem, co jest dziełem sztuki współczesnej, a co zwyczajnym dziwactwem.

Winston odpowiedział śmiertelnie poważnym głosem.

– To ważne pytanie. W pańskim świecie sztuki klasycznej dzieła są podziwiane za kunszt wykonania i umiejętności artysty, innymi słowy, oceniamy sprawność, z jaką twórca operuje pędzlem albo dłutem. W dziełach sztuki współczesnej najczęściej chodzi o concept. Raczej podziwiamy pomysł niż wykonanie. Weźmy przykład symfonii Kleina.

Czterdziestopięciominutowy utwór składający się z jednego akordu i ciszy skomponować może każdy, ale to Yves Klein wpadł na ten pomysł.

– Racja.

– Oczywiście, że tak. *Rzeźba z mgły* przed budynkiem muzeum jest idealnym przykładem sztuki konceptualnej. Artystka wpadła na pomysł, żeby pod kładką na jeziorze przeciągnąć rury z dyszami, przez które nad taflę wody wydostaje się mgła, ale samą instalację wykonali miejscowi hydraulicy. – Winston zawiesił głos. – Osobiście bardzo wysoko oceniam autorkę za wykorzystanie środka wyrazu jako kodu.

– Mgła jest kodem? – zainteresował się Langdon.

– Tak. To ukryty hołd dla architekta, który stworzył gmach muzeum.

– Franka Gehry’ego?

– Franka O. Gehry’ego – poprawił go Winston, akcentując samogłoskę. – Inicjały architekta składają się w angielskie słowo *fog*.

– Sprytne!

Gdy Langdon podszedł do okna, Winston znów się odezwał.

– Ma pan stamtąd dobry widok na pajęczycę. Widział pan *Maman* po drodze?

Langdon wyjrzał przez okno. Wielka czarna wdowa stała na drugim brzegu.

– Tak, trudno ją przeoczyć.

– Pańskie poirytowanie każe mi wnioskować, że niezbyt się panu spodobała?

– Staram się, ale jako znawca sztuki klasycznej czuję się tutaj trochę jak ryba wyjęta z wody.

– To ciekawe – stwierdził Winston. – Sądziłem, że akurat panu *Maman* się spodoba.

Jest doskonałym przykładem klasycznego kontrastu. Mógłby pan nawet wykorzystać ją podczas zajęć poświęconych jukstapozycji.

Langdon obserwował pajęczycę, ale nie dostrzegł niczego podobnego, a wprowadzając pojęcie kontrastu, wolał się trzymać klasycznych wzorców.

– Myślę, że mimo wszystko zostanę przy *Dawidzie*.

– Tak, Michał Anioł to sztandarowy przykład – przytaknął Winston rozbawionym głosem. – Ustawienie Dawida w zniewieściałym kontrapoście i dłoń trzymająca delikatnie zwiotczałą procę istotnie wskazują na kobiecą bezbronność. Ale w oczach Dawida widać śmiertelne zdecydowanie, a ścięgna i żyły widoczne pod skórą naprężają się w oczekiwaniu na zabicie Goliata. Rzeźba jest równocześnie i delikatna, i brutalna.

Langdon był pod wrażeniem opisu podanego przez przewodnika. Wiele by dał za to, żeby jego studenci tak doskonale rozumieli przesłanie arcydzieła Michała Anioła.

– *Maman* wcale się od *Dawida* nie różni – ciągnął Winston. – Jest równie śmiałym zestawieniem przeciwstawnych archetypów. W naturze czarna wdowa to stworzenie przerażające, drapieżnik chwytający ofiary w sieć, żeby je zabić. Ale choć pajęczycza zadaje śmierć, tutaj pokazana jest z kokonem jajowym, a więc gdy daje życie. Widzimy więc drapieżnika, ale i matkę. Masywny tułów utrzymuje się na niesamowicie cienkich nogach, co symbolizuje odpowiednio siłę i delikatność. Można by więc dowodzić, że *Maman* jest współczesnym *Dawidem*.

– Ja z pewnością się tego nie podejmę – odpowiedział Langdon z uśmiechem. – Ale muszę przyznać, że te analogie dają mi pożywkę dla rozmyślań.

– To dobrze. Pokażę panu jeszcze jedno dzieło. Jego autorem jest Edmond Kirsch.

– Naprawdę? Nie miałem pojęcia, że Edmond jest artystą.

Winston się zaśmiał.

– To już sam pan oceni.

Langdon pozwolił się poprowadzić wzdłuż okien do przestrzennej wnęki, w której kilku gości zebrało się przed wiszącą na ścianie wielką bryłą wyschniętego błota. Na pierwszy rzut oka skojarzyła się ona Langdonowi ze skamieliną. Ale nigdzie nie dostrzegł żadnych skamieniałości. Na powierzchni znajdowały się za to liczne kreski przypominające napisy, które dzieci wydrapują patykami w mokrym betonie.

Grupka zwiedzających wydawała się nieprzekonana.

– To Edmonda? – mruknęła ubrana w norki kobieta z ustami po botoksie. – Nie rozumiem, o co tu chodzi.

W Langdonie odezwał się nauczyciel.

– Powiedziałbym, że to bardzo pomysłowe dzieło – rzekł głośno. – Ze wszystkich obejrzanych dotychczas podoba mi się najbardziej.

Kobieta odwróciła się, patrząc na niego z nieskrywanym lekceważeniem.

– Ach tak? Niech mnie pan zatem oświeci.

„Gdyby to jeszcze dało się zrobić!”

Langdon podszedł bliżej do eksponatu.



– Moim zdaniem Edmond pokrył ten kawałek gliny kreskami po to, żeby złożyć hołd twórcom jednej z najstarszych na świecie odmian pisma, tak zwanego pisma klinowego.

Kobieta z niepewną miną zatrzepotała powiekami.

– Pośrodku widzimy trzy wyraźne znaki, które w języku asyryjskim oznaczają rybę. To piktogram. Wpatrując się weń, możemy sobie wyobrazić, że po prawej stronie mamy otwarty pysk, a na ciele ryby łuski.

Słuchacze zadarli głowy, żeby ponownie obejrzeć eksponat.

– Proszę spojrzeć tutaj – kontynuował Langdon, wskazując na serię wklęśnięć po lewej stronie. – Ślady stóp w błocie za rybą mają symbolizować ewolucyjny przełom, skutek którego wyszła ona na ląd.

Słuchacze zaczęli z uznaniem kiwać głowami.

– Po prawej widzimy niesymetryczny asterysk, który ryba wydaje się pożerać. Otóż jest to jeden z najstarszych stosowanych przez człowieka symboli Boga.

Kobieta wydeła botoksowe usta w grymasie niezadowolenia.

– Ryba zjada Boga?

– Tak należy sądzić. To żartobliwa wersja ryby Darwina, ewolucja pożerająca religię. – Langdon wzruszył ramionami. – Dlatego mówiłem, że dzieło jest bardzo pomysłowe.

Oddalając się od zebranej w niszy grupki, Langdon słyszał za sobą ściszone głosy.

Potem ze słuchawek popłynął śmiech Winstona.

– Muszę powiedzieć, że nieźle się ubawiłem – stwierdził. – Edmond z pewnością by docenił pański zaimprovizowany wykład. Niewielu widzów poprawnie interpretuje jego dzieło.

– Na tym polega moja praca – odparł Langdon.

– Racja. Teraz widzę, dlaczego Edmond Kirsch polecił mi traktować pana jako gościa specjalnego. Kazał mi też pokazać panu coś, czego dziś wieczorem nie zobaczy nikt inny.

– Naprawdę? Co to takiego?

– Po prawej stronie okien znajduje się odgrodzone przejście, a za nim korytarz.

Widzi je pan?

Langdon zerknął w tamtym kierunku.

– Tak.

– Świetnie. Proszę więc tam podejść, a potem stosować się do moich instrukcji.

Niepewnym krokiem Langdon poszedł do przejścia i zgodnie z instrukcjami Winstona, upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wślizgnął się za barierkę i wszedł do znajdującego się za nią korytarza.

Gdy zniknął z oczu pozostałym zwiedzającym, natknął się na metalowe drzwi zabezpieczone zamkiem cyfrowym.

– Zamek działa na sześciocyfrowy kod – oznajmił Winston, po czym podyktował cyfry, które należy wstukać.

Langdon wprowadził kod i zamek cicho szczęknął.

– Proszę wejść, panie profesorze.

Przez chwilę Langdon stał w miejscu, niepewny, co zobaczy. Zaraz jednak się pozbierał i popchnął metalowe skrzydło. Za nim panowała niemal zupełna ciemność.

– Za chwilę zapalę światło. Proszę wejść i zatrzasnąć się od środka.

Langdon przekroczył próg, wyteżając wzrok w półmroku, po czym zamknął za sobą drzwi. Znowu szczęknął zamek.

W rogach pomieszczenia rozbłysło światło, które stopniowo się nasilało, odkrywając przed jego oczami olbrzymią przestrzeń, która z pewnością mogłaby służyć za hangar dla całej floty jumbo jetów.

– Trzy tysiące sto pięćdziesiąt osiem metrów kwadratowych – poinformował go Winston.

Przy tym pomieszczeniu atrium wydawało się malutkie.

Gdy światła rozbłysnęły jeszcze bardziej, Langdon zauważył, że na podłodze coś stoi. Siedem albo osiem mrocznych kształtów wyglądających jak pasące się dinozaury.

– Co to takiego? – zapytał.

– To *Kwestia czasu* – odparł radosny głos Winstona. – Najcięższy eksponat w całym muzeum. Waży ponad dziewięćset ton.

Langdon wciąż próbował zrozumieć, co się dzieje.

– Dlaczego jestem tu sam? – zapytał.

– Już mówiłem. Pan Kirsch polecił mi, żebym pokazał panu ten wyjątkowy eksponat.

Światła rozbłysnęły pełną mocą, zalewając olbrzymią przestrzeń stonowanym blaskiem.

Langdon z bezgranicznym zdumieniem wpatrywał się w instalację.

„Wkroczyłem do świata równoległego”.

Rozdział 7

Admirał Luis Ávila podszedł do punktu kontrolnego, zerkając na zegarek, żeby sprawdzić, czy dotarł na czas.

„Co do minuty!”

Wylegitymował się, okazując Documento Nacional de Identidad, i na chwilę zamarł, gdy pracownik nie mógł odszukać na liście jego nazwiska. W końcu je znalazł na samym końcu, dopisane w ostatniej chwili, i przepuścił admirała dalej.

„Dokładnie tak, jak powiedział Regent”. Ávila nie miał pojęcia, jak mu się to udało.

Ponoć na liście gości mogli się znaleźć wyłącznie wybrani.

Podszedł do bramki z wykrywaczem metalu, przy której wyjął z kieszeni i umieścił na plastikowej tacy najpierw telefon komórkowy, a następnie różaniec, który delikatnie, z wielkim pietyzmem położył na telefonie.

„Tylko ostrożnie” – napominał się w duchu. „Bardzo ostrożnie”.

– *Qué rosario tan bonito* – powiedział ochroniarz, podziwiając sznur metalowych paciorków zakończonych dużym krzyżem o zaokrąglonych ramionach.

– *Gracias* – odparł Ávila. – Wykonałem go własnoręcznie.

Admirał przeszedł przez bramkę bez incydentów. Po drugiej stronie odebrał swój telefon i różaniec, ostrożnie schował je do kieszeni, po czym przeszedł do stanowiska, przy którym wręczono mu nietypowe słuchawki.

„Nie potrzebuję audiodeskrypcji” – pomyślał. „Mam zadanie do wykonania”.

Wchodząc do atrium, dyskretnie wyrzucił słuchawki do kosza. Z bijącym sercem rozejrzał się w poszukiwaniu odosobnionego miejsca, w którym mógłby swobodnie zatelefonować do Regenta, żeby mu zameldować, że już jest w środku.

„Dla Boga, ojczyzny i króla” – pomyślał. „Przede wszystkim jednak dla Boga”.

W tej samej chwili w odległym krańcu oświetlonej blaskiem księżyca pustyni na przedmieściach Dubaju siedemdziesięcioośmioletni szacowny allamah Syed al-Fadl nadludzkim wysiłkiem czołgał się po piachu, zaczynało mu jednak już brakować sił.

Miał odparzoną, pokrytą pęcherzami skórę, a w gardle zaschło mu tak bardzo, że ledwie mógł złapać oddech. Niesiony pustynnym wiatrem piasek dawno go już oślepił, on jednak mimo to pełził dalej. W pewnym momencie zdawało mu się, że słyszy w oddali silniki łożyków pustynnych, ale prawdopodobnie był to tylko wiatr wyjący na wydmach.

Wtedy al-Fadl stracił nadzieję, że Bóg zechce go uratować. Sępy przestały już nad nim krążyć. Teraz szły obok niego.

Wysoki Hiszpan, który go uprowadził, prawie się nie odzywał, gdy jechali autem allamaha w głąb tej olbrzymiej pustyni. Po godzinie zahamował, kazał duchownemu wysiąść i odjechał w mrok, zostawiając go bez wody i jedzenia.

Porywacz nie ujawnił, kim jest, ani nie wyjaśnił swojego postępowania. Jedyną poszlaką, którą al-Fadl zauważył, był dziwny tatuaż na prawej dłoni mężczyzny – symbol, którego allamah nie rozpoznał.



Przez kilka godzin al-Fadl brnął przez pustynię i bezskutecznie wzywał pomocy.

Teraz, gdy odwodniony upadł, czując, że jego twarz zagrzebuje się w duszącym piasku i zawodzi go serce, po raz ostatni zadał sobie pytanie, które powtarzał w myślach, odkąd został uprowadzony.

„Kto mógłby chcieć mojej śmierci?”

Tym razem jednak, ku swojemu przerażeniu, znalazł jedyną logiczną odpowiedź.

Rozdział 8

Robert Langdon przenosił wzrok z jednego kolosalnego elementu na drugi.

Wszystkie były wygiętymi płytami niepomalowanego metalu ustawionymi na jednej z krawędzi, wyglądały więc jak szereg potężnych ścian, które jakimś cudem zachowywały równowagę. Każda płyta miała ponad cztery metry wysokości i została uformowana w inny kształt: falującą wstęgę, otwarty okrąg albo luźny zwój.

– *Kwestia czasu* – powtórzył Winston. – Twórca nazywa się Richard Serra.

Wykorzystuje niepodparte ściany z ciężkiego tworzywa tak, by osiągnąć złudzenie niestabilności. Proszę sobie wyobrazić, że owija pan banknot jednodolarowy wokół ołówka, który następnie pan usuwa. Zwinięty banknot będzie stał na krawędzi, utrzymywany własnym kształtem.

Langdon przystanął i przeniósł spojrzenie na wierzchołek potężnego okręgu, który mijał. Stał niskostopowa miała odcień miedzi i fakturę, która sprawiała wrażenie organicznej. Patrząc na tę potężną instalację, miało się poczucie wielkiej siły i delikatnej równowagi zarazem.

– Czy zauważył pan, panie profesorze, że kształt nie jest zamknięty?

Langdon ruszył z miejsca, żeby obejść rzeźbę, i dopiero wtedy dostrzegł, że jej ściany się nie stykały, niczym nieudany okrąg narysowany przez dziecko, które nie zdołało połączyć końców.

– Krzywizna tworzy przejście mające zaprosić widza do środka, gdzie zobaczy negatyw. „Chyba że ma klaustrofobię” – pomyślał Langdon, szybko ruszając dalej.

– Na wprost będzie pan miał trzy sinusoidalne stalowe wstęgi przebiegające mniej więcej równolegle – kontynuował Winston. – Ustawione są na tyle blisko siebie, by tworzyć falujące tunele o długości ponad trzydziestu metrów. Rzeźba nosi tytuł *Wąż* i nasi młodzi goście zwykle z radością w niej biegają. I jeszcze ciekawostka: dwie osoby stojące po dwóch stronach tunelu będą się doskonale słyszały, nawet jeśli mówią szeptem.

– Owszem, to godna uwagi ekspozycja, ale czy zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego Edmond chciał, żebym ją zobaczył?

„Doskonale przecież wie, że takie rzeczy do mnie nie trafiają”.

– Ekspонат, który polecił mi panu pokazać, nosi tytuł *Spiralny moment obrotowy* znajduje się przed panem w prawym rogu. Widzi pan?

„To coś, co wygląda, jakby stało kilkaset metrów stąd”.

– Tak, widzę.

– Wspaniale. Podejdźmy tam, dobrze?

Langdon niepewnie się rozejrzał po olbrzymiej przestrzeni, a następnie ruszył w stronę odległej spirali. Winston kontynuował.

– Wiem, że Edmond Kirsch z wielkim podziwem wyraża się o pańskim dorobku, panie profesorze, a zwłaszcza ceni pańskie rozważania na temat wzajemnych oddziaływań różnych tradycji religijnych oraz wpływu ewolucji wierzeń religijnych na sztukę. Pod wieloma względami teoria gier i obliczenia predykcyjne, którymi się zajmuje Edmond, są do nich podobne: przeprowadza analizy ewolucji różnych systemów, żeby określić, jak będą się rozwijały w przyszłości.

– Edmond jest w tym wyjątkowo dobry. Nie na darmo nazywają go współczesnym Nostradamusem.

– To prawda, chociaż moim zdaniem takie porównanie jest dla niego raczej obraźliwe.

– Niby dlaczego? – zaprotestował Langdon. – Nostradamus to najsłynniejszy prorok wszech czasów.

– Nie chcę się spierać, panie profesorze, ale Nostradamus napisał prawie tysiąc rymowanych czterowierszy, które przez kolejne wieki twórczo interpretowali przesądni ludzie, doszukując się sensu tam, gdzie go nie ma. Interpretatorzy dostrzegli w nich wszystko, od drugiej wojny światowej, przez śmierć księżnej Diany, po atak na World Trade Center. Czysty absurd! Z kolei Edmond Kirsch opublikował ograniczoną liczbę dokładnych prognoz, które sprawdziły się po raczej krótkim czasie, choćby przechowywanie danych w chmurze, samochody bez kierowcy czy procesory pentium.

Pan Kirsch nie jest żadnym Nostradamusem.

„Racja” – pomyślał Langdon. Nieraz słyszał, że zwolennicy Edmonda Kirscha okazują mu bezwarunkową lojalność. Winston był zapewne jednym z nich.

– Jak się panu podoba wycieczka w moim towarzystwie? – zapytał Winston, zmieniając temat.

– Bardzo. Kudos dla Edmonda za wynalezienie technologii umożliwiającej pracę przewodników na odległość.

– Edmond marzył o tym systemie od lat. Na jego stworzenie poświęcił niewyobrażalną ilość czasu i pieniędzy.

– Naprawdę? Technologia nie wydaje się skomplikowana. Muszę przyznać, że na

początku byłem sceptyczny, ale przekonał mnie pan. Ciekawie się z panem rozmawia.

– To bardzo miłe z pana strony. Mam nadzieję, że nie zepsuję dobrego wrażenia, gdy powiem panu całą prawdę. Dotychczas niestety nie byłem z panem całkiem szczery.

– Słucham? – zdziwił się Langdon.

– Zaczniemy od tego, że przedstawiłem się panu jako Winston, ale nie dokonałem pełnej prezentacji. Jestem sztuczny.

Langdon się zaśmiał.

– Przewodnik po muzeum sztuki współczesnej o nazwisku Sztuczny? No cóż, nie mam pretensji o to, że poprzestał pan na imieniu.

– Po drugie zaś, gdy pan zapytał, dlaczego nie towarzyszę panu osobiście, odpowiedziałem, że Edmond Kirsch chce zmniejszyć tłok w pomieszczeniach muzealnych. I jest to prawda, bo on rzeczywiście taki sobie stawia cel, ale znów nie udzieliłem pełnej odpowiedzi. Zasadniczy powód, dla którego komunikuję się z panem na odległość, zamiast spacerować obok, jest zgoła inny. – Zawiesił głos. – Ja nie mam zdolności poruszania się.

– Och, przykro mi. – Langdon wyobraził sobie człowieka na wózku inwalidzkim w odległym call center i zrobiło mu się przykro, że swoim pytaniem postawił Winstona w krępującej sytuacji.

– Niepotrzebnie. Zapewniam pana, że z nogami wyglądałbym dziwnie. Bo widzi pan, nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze.

Langdon zwolnił kroku.

– Co pan ma na myśli?

– „Sztuczny” to nie jest nazwisko, tylko termin fachowy, chociaż pan Kirsch woli używać określenia „syntetyczny”. – Na chwilę w słuchawkach zapanowała cisza. – Prawda jest taka, panie profesorze, że konwersuje pan z wirtualnym przewodnikiem.

Rodzajem komputera.

Langdon rozejrzał się niepewnie.

– To jakiś kawał, prawda?

– Nie, panie profesorze. Mówię całkiem poważnie. Edmond Kirsch poświęcił dziesięć lat i prawie miliard dolarów na badania nad sztuczną inteligencją. Dziś jest pan jednym z pierwszych, którzy doświadczają owoców jego pracy. Od początku zwiedzania pańskim przewodnikiem jest komputer. Ja nie jestem człowiekiem.

Przez chwilę Langdon nie mógł się z tym pogodzić. Język i dykcja jego rozmówcy były bez zarzutu, a jeśli nie liczyć niezręcznego chwilami chichotu, to prowadził rozmowę w sposób nienaganny. Mało tego, ze szczegółami omawiał wiele różnych tematów.

„Jestem w ukrytej kamerze” – pomyślał, rozglądając się po ścianach w poszukiwaniu obiektów. Zaczął podejrzewać, że uczestniczy w jakimś dziwnym przedsięwzięciu

sztuki eksperymentalnej, sprawnie zorganizowanym pokazie teatru absurdu. „Zrobili ze mnie szczura w labiryncie”.

– Niezbyt mi się to podoba – oznajmił, słysząc, jak jego własny głos odbija się echem od pustych ścian olbrzymiej galerii.

– Najmocniej przepraszam – odparł Winston. – To zrozumiałe. Zakładałem, że trudno panu będzie się z tym pogodzić. Zapewne właśnie dlatego Edmond polecił mi przyprowadzić pana tutaj, do pomieszczenia, gdzie pozostali goście dzisiejszego wieczoru nie mogą pana zobaczyć. Nie otrzymają też informacji, którą właśnie panu przekazałem.

Mimo wszystko Langdon przeszukiwał wzrokiem mroczną przestrzeń, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje.

– Jak pan zapewne wie – kontynuował głos, zupełnie niewzruszony zakłopotaniem Langdona – ludzki umysł jest systemem binarnym. Synapsy albo przenoszą impuls nerwowy, albo nie, są więc włączone albo wyłączone, zero-jedynkowe. Mózg ma ponad trzysta bilionów synaps, co oznacza, że skonstruowanie ludzkiego mózgu nie jest kwestią technologii, lecz skali.

Langdon prawie go nie słuchał. Znowś szedł, wpatrzony w strzałkę z napisem *Exit* wskazującą odległy koniec galerii.

– Zdaję sobie sprawę, jak trudno uwierzyć, że mój ludzki głos generuje maszyna, ale syntezywanie mowy wcale nie jest trudne. Nawet czytnik e-booków za niecałe sto dolarów to potrafi. Proszę pamiętać, że Edmond zainwestował miliardy.

Langdon przystanął.

– Jeśli jesteś komputerem, to powiedz mi, ile wynosił indeks Dow Jones na zamknięciu dwudziestego czwartego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku?

Odpowiedź padła bez chwili zwłoki.

– To była sobota, więc rynki były zamknięte.

Langdon poczuł zimny dreszcz. Jednym ze skutków ubocznych jego pamięci ejdetycznej było zapamiętywanie dat wydarzeń, w których uczestniczył. Tamtej soboty wypadały urodziny jego najlepszej przyjaciółki, zorganizowała przyjęcie w swoim basenie. „Helena Wooley miała niebieskie bikini”.

– Ale poprzedniego dnia, w piątek dwudziestego trzeciego sierpnia indeks Dow Jones na zamknięciu wyniósł sześćset osiemdziesiąt sześć i osiem dziesiątych, spadek o siedemnaście i osiemdziesiąt trzy dziesiąte punktu ze stratą dwa koma pięćdziesiąt trzy procent.

Dodatkowe informacje podał niemal natychmiast. Langdon przez chwilę nie był w stanie się odezwać.

– Z przyjemnością zaczekam, jeśli chce pan sprawdzić dane na swoim smartfonie –

usłyszał po chwili. – Chociaż oczywiście będę musiał wskazać na ironię takiego zachowania.

– Ale ja nie...

– Problem z syntetyczną inteligencją nie polega na szybkim dostępie do danych, bo ten jest całkiem prosty – kontynuował głos ze słuchawek, a jego lekki brytyjski akcent wydawał się teraz Langdonowi jeszcze dziwniejszy niż poprzednio. – Prawdziwym wyzwaniem jest ustalenie, jak te dane się ze sobą wiążą, w jakie relacje wchodzi. Jeśli się nie mylę, jest pan mistrzem, gdy idzie o wzajemne powiązania między pojęciami. Mam rację? Właśnie dlatego Edmond Kirsch chciał, żebym przetestował swoje umiejętności właśnie na panu.

– Edmond chciał mnie przetestować?

– Skądże znowu! – Znów ten dziwny śmiech. – To był sprawdzian dla mnie. Żeby określić, czy potrafię pana przekonać, że jestem człowiekiem.

– Test Turinga.

– Otóż to!

Langdon pamiętał, że mianem testu Turinga określa się zaproponowaną przez wybitnego matematyka i kryptologa Alana Turinga procedurę ustalenia, czy maszyna potrafi się zachować w sposób podobny do człowieka. Oryginalny test polegał na tym, że sędzia-człowiek prowadzi w języku naturalnym rozmowę między maszyną a istotą ludzką i jeśli nie jest w stanie określić, który z jej uczestników jest człowiekiem, wtedy można uznać, że maszyna przeszła test. Po raz pierwszy stało się tak w dwa tysiące czternastym roku podczas eksperymentu przeprowadzonego w londyńskiej siedzibie Towarzystwa Królewskiego. Od tamtego czasu badania nad sztuczną inteligencją rozwijają się w zastraszającym tempie.

– Jak dotychczas ani jeden z naszych gości niczego nie podejrzewa – poinformował głos z brytyjskim akcentem. – Wszyscy świetnie się bawią.

– Zaraz, zaraz, to znaczy, że wszyscy dzisiejsi goście rozmawiają z komputerem?

– Technicznie rzecz biorąc, wszyscy rozmawiają ze mną. Mam zdolność partycjonowania. Słyszysz pan mój głos standardowy, który zawsze wybiera Edmond, ale pozostali goście słyszą inne głosy i inne języki. Na podstawie pańskiego profilu, biorąc pod uwagę, że jest pan Amerykaninem, mężczyzną i naukowcem, wybrałem mój domyślny brytyjski akcent. Przewidziałem, że wzbudzi większe zaufanie niż na przykład głos młodej kobiety z typowym akcentem południowca.

„Czy to coś właśnie mnie nazwało szowinistą?”

Langdon przypomniał sobie nagranie, które jakiś czas temu krążyło w sieci. Szef waszyngtońskiego biura tygodnika „Time” Michael Scherer odebrał telefon od bota

telemarketingowego, który tak łudzaco przypominał człowieka, że Scherer postanowił upublicznić nagranie tej rozmowy w internecie. „To było dwa lata temu” – uświadomił sobie Langdon.

Wiedział, że Kirsch od lat zabawia się sztuczną inteligencją. Od czasu do czasu trafiał w związku z tym na okładki czasopism, gdy dokonywał kolejnych przełomów w tej dziedzinie. Winston jest zapewne jego najnowszym osiągnięciem.

– Rozumiem, że tempo wydarzeń jest raczej szybkie, ale nie wolno mi zapominać o życzeniu Kirscha – wyrwał go z zamyślenia głos dobiegający ze słuchawek. – Otrzymałem polecenie, żeby pokazać panu spiralę, przy której właśnie pan stoi. Edmond Kirsch prosił, żeby pan tam wszedł, a następnie dotarł do samego środka.

Langdon zajął do wąskiego, krętego przejścia i poczuł, jak sztywnieją mu mięśnie. „Czy Edmonda nie stać na lepsze żarty?”

– Wolałbym raczej usłyszeć informację, co się tam znajduje. Nie przepadam za ciasnymi przestrzeniami.

– Ciekawe. Tego o panu nie wiedziałem.

– Klaustrofobii zwykle nie umieszczam w notkach biograficznych.

Langdon nadal nie potrafił uwierzyć, że rozmawia z maszyną.

– Nie musi pan się obawiać. W centrum spirali jest dużo miejsca, a Edmond Kirsch wyraźnie prosił, żeby pan tam dotarł osobiście. Dodał, że przedtem powinien pan zdjąć słuchawki i zostawić je przy wejściu do spirali.

Langdon znów zerknął do środka i zaczął się wahać.

– To znaczy, że nie będziesz mi tam towarzyszył?

– Na to wygląda.

– Wszystko to jest bardzo dziwne i wcale nie jestem przekonany, czy...

– Panie profesorze, zważywszy na to, że Edmond sprowadził tu pana z drugiego końca świata, prośba o przejście do centrum tej rzeźby nie jest chyba wygórowanym życzeniem. Setki dzieci robią to codziennie i jakoś żyją.

Langdon nigdy nie dostał reprimendy od komputera, jeśli tym właśnie był jego rozmówca, ale sugestia, że zadanie jest dziecinnie proste, odniosła zamierzony skutek.

Zdjął słuchawki, ostrożnie położył je na podłodze i odwrócił się do szczeliny otwierającej spiralę. Wysokie ściany tworzyły wąski kanion, który za zakrętem rozplątywał się w ciemności.

– Raz kozie śmierć – powiedział, nie bardzo wiedząc do kogo.

Wziął głęboki oddech i wszedł w szczelinę.

Kręta ścieżka wiała się dalej, niż to sobie wyobrażał, i niebawem stracił rachubę okrążeń. Szedł zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Z każdym kolejnym łukiem przejście

stawało się coraz węższe i po chwili jego szerokie ramiona niemal ocierały się o metalowe ściany. „Oddychaj głęboko, Robercie!” Skośne metalowe arkusze sprawiały wrażenie, jakby w każdej chwili miały się zawalić, grzebiąc go pod tonami stali niskostopowej.

„W imię czego ja to robię?”

Już miał zawrócić do wyjścia, gdy wąskie przejście raptownie się skończyło, wyprowadzając go na otwartą przestrzeń. Zgodnie z obietnicą. Sala była nawet większa, niż oczekiwał. Szybko wyszedł z tunelu i głęboko odetchnął, uważnie oglądając gołą podłogę oraz wysokie metalowe ściany. Znów przyszło mu do głowy, że to jest jakiś sztubacki kawał.

Gdzieś za wysokimi ścianami metalowej rzeźby trzasnęły drzwi i rozległ się stukot energicznych kroków. Ktoś wszedł do galerii przez pobliskie wyjście, którym Langdon planował ją opuścić. Odgłos stale się zbliżał. Po chwili ktoś podszedł do spirali i zaczął ją okręzać. Potem wszedł do ślimaka.

Langdon oparł się plecami o ścianę i obserwował szczelinę między metalowymi ścianami, podczas gdy ktoś chodził dookoła, zbliżając się z każdym okrążeniem. Staccato robiło się coraz głośniejsze, aż w końcu z tunelu wyłonił się mężczyzna. Był wysoki, szczupły, miał bladą skórę, przenikliwe spojrzenie i ciemną czuprynę niesfornych włosów.

Przez chwilę Langdon patrzył na niego z kamienną twarzą. Dopiero potem pozwolił, by jego twarz rozjaśnił uśmiech od ucha do ucha.

– Wielki Edmond Kirsch zawsze wiedział, jak zrobić odpowiednie entrée.

– Bo zawsze ma się tylko jedną szansę, żeby zrobić pierwsze wrażenie – odpowiedział przyjaźnie Kirsch. – Brakowało mi ciebie, Robercie. Dziękuję, że przyjechałeś.

Mężczyźni uścisnęli się serdecznie. Klepiąc starego przyjaciela po plecach, Langdon wyczuł, że Kirsch bardzo schudł.

– Straciłeś na wadze – powiedział.

– Zostałem weganinem. To łatwiejsze niż się utuczyć i żyć w kształcie elipsy.

Langdon się roześmiał.

– Cieszę się, że cię widzę. Jak zawsze udało ci się wywołać u mnie przekonanie, że się przesadnie wystroiłem.

– Niby ja? – Kirsch spojrzał na swoje czarne obcisłe spodnie, świeżo wyprasowaną koszulkę bawełnianą w serek, na którą założył kurtkę ze skośnym suwakiem. – To *haute couture*, najwyższa elegancja.

– Czy japonki też się do niej zaliczają?

– Przecież to Guinea od Ferragamo!

– Zgaduję, że kosztują więcej, niż zapłaciłem za cały mój dzisiejszy strój.

Edmond krytycznym wzrokiem oszacował połę fraka.

– Zdaje się, że to całkiem przyzwoity garniak – ocenił z uśmiechem. – Nie jest od moich kłapek aż tak wiele tańszy.

– Muszę ci powiedzieć, Edmondzie, że twój syntetyczny przyjaciel Winston jest bardzo intrygujący.

Kirsch uśmiechnął się promiennie.

– Niewiarygodne, prawda? Nie uwierzysz, jak daleko się posunąłem w pracy nad sztuczną inteligencją. Prawdziwy skok kwantowy! Tylko w tym roku opracowałem kilka nowych technologii, dzięki którym maszyny mogą rozwiązywać problemy i dokonywać samoregulacji w całkowicie nowy sposób. Winston nie jest jeszcze programem skończonym, ale z dnia na dzień działa coraz lepiej.

Langdon zauważył głębokie zmarszczki, które pojawiły się wokół chłopięcych oczu Edmonda przez ostatni rok. Jego były student musiał być bardzo zmęczony.

– Czy możesz mi wyjaśnić, po co mnie tutaj sprowadziłeś, Edmondzie?

– Do Bilbao czy do spirali Richarda Serry?

– Zaczniemy od spirali. Wiesz przecież, że mam klaustrofobię.

– Wiem. Ale dzisiejszy wieczór na tym właśnie polega, żeby wypychać ludzi z ich strefy komfortu – odparł z uśmiechem.

– Przecież to twoja specjalność od zawsze.

– Jest jeszcze jeden powód, a mianowicie taki, że muszę z tobą porozmawiać, a nie chcę być widziany przed rozpoczęciem pokazu.

– Bo gwiazdy rocka nie mieszają się z tłumem przed koncertem?

– Właśnie dlatego – przytaknął Kirsch żartobliwie. – Gwiazdy rocka pojawiają się na scenie z nienacka, otoczone kłębam dymu.

Światła nad ich głowami nieco przygasły. Kirsch podciągnął rękaw kurtki, żeby zerknąć na zegarek. Potem znów spojrzał na Langdona i przybrał poważną minę.

– Nie mamy wiele czasu, Robercie. Dzisiejszy wieczór jest dla mnie wyjątkowy.

Prawdę mówiąc, będzie wyjątkowy dla całej ludzkości.

Langdon poczuł przypływ ciekawości.

– Dociekania naukowe doprowadziły mnie ostatnio do wniosków, które będą miały bardzo daleko idące implikacje. Praktycznie nikt nie wie, co odkryłem, ale za chwilę zamierzam to ogłosić całemu światu.

– Nie mam pojęcia, co powiedzieć – stwierdził Langdon. – To wspaniała wiadomość!

Edmond ściszył głos, a w jego słowach zabrzmiało nietypowe dla niego napięcie.

– Zanim podam tę informację do publicznej wiadomości, Robercie, muszę cię poprosić o radę. – Zawahał się. – Od tego może zależeć moje życie.

Rozdział 9

W olbrzymiej metalowej spirali zapadła cisza.

„Muszę cię poprosić o radę... Od tego może zależeć moje życie”.

Słowa Edmonda wisiały w powietrzu. W oczach przyjaciela Langdon dostrzegł niepokój.

– Co się dzieje? Dobrze się czujesz?

Światła pod sufitem znów na chwilę przygasły, ale Edmond zignorował sygnał.

– To był dla mnie niezwykle rok – zaczął, zniżając głos do szeptu. – Samotnie prowadziłem badania, które przywiodły mnie do przełomowego odkrycia.

– Wspaniale!

Kirsch skinął głową.

– To prawda. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo się cieszę, że za chwilę ujawnię światu wyniki. Zapoczątkują one poważną zmianę w sposobie myślenia. Bez cienia przesady mogę powiedzieć, że moje odkrycie przyniesie skutki porównywalne do przewrotu kopernikańskiego.

Przez chwilę Langdon myślał, że jego gospodarz żartuje, ale Kirsch nadal miał śmiertelnie poważną minę.

„Przewrót kopernikański?” Skromność nigdy nie była mocną stroną Edmonda, ale ta zapowiedź ocierała się o śmieszność. Mikołaj Kopernik był ojcem modelu heliocentrycznego: to on ogłosił, że planety krążą wokół Słońca, co zapoczątkowało szesnastowieczną rewolucję naukową i obaliło wielusetletnie nauczanie Kościoła, zgodnie z którym ludzkość zajmowała centralne miejsce w stworzonym przez Boga wszechświecie. Odkrycie Kopernika zostało potępione i zakazane przez Kościół na trzysta lat, ale nadszarpięło jego autorytet i świat nie był już potem taki sam.

– Widzę, że jesteś sceptyczny – powiedział Edmond. – Porównanie do Darwina zabrzmiałoby lepiej?

Langdon się uśmiechnął.

– Nie, ten sam kaliber.

– Dobrze, więc pozwól, że zacznę inaczej. Jakie dwa fundamentalne pytania zadawała

sobie ludzkość od zarania dziejów?

Langdon przez chwilę się zastanawiał.

– No cóż, na pewno jedno z nich dotyczyło pochodzenia: Jak się to wszystko zaczęło? Skąd przyszliśmy?

– Otóż to! Drugie pytanie jest natomiast konsekwencją pierwszego. Nie „skąd przyszliśmy?”, lecz...

– Dokąd idziemy?

– Tak! Te dwie tajemnice leżą u podstaw ludzkiego doświadczenia. Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy? To uniwersalne pytania o stworzenie człowieka i jego przeznaczenie – oznajmił dobitnym głosem i spojrzał wyczekująco na Langdona. – Otóż moje badania przyniosły jasną odpowiedź i na jedno, i na drugie.

Langdon próbował zrozumieć znaczenie słów Edmonda i wyobrazić sobie możliwe konsekwencje takiego odkrycia.

– Nie wiem, co powiedzieć – wyznał w końcu.

– Nie musisz nic mówić. Mam nadzieję, że po moim dzisiejszym wystąpieniu obydwaj znajdziemy chwilę, żeby wszystko dokładnie przedyskutować, teraz jednak muszę zamienić z tobą kilka słów na temat mrocznej strony tej sytuacji.

– Obawiasz się, że nastąpią jakieś reperkusje?

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Odpowiadając na te dwa pytania, wypowiadam wojnę ustalonym przez stulecia przekonaniom religijnym. Kwestia stworzenia człowieka i odpowiedzi na pytanie o jego przeznaczenie tradycyjnie jest domeną religii. Jestem więc intruzem, a przywódcom religijnym tego świata na pewno się nie spodoba to, co zamierzam dzisiaj ogłosić.

– Więc to dlatego podczas lunchu w Bostonie przez bite dwie godziny wypytywałeś mnie o różne religie!

– Owszem. Być może pamiętasz, co ci wtedy obiecałem. Jeszcze za naszego życia religijne mity zostaną zmiażdżone przez odkrycia naukowe.

Langdon skinął głową. „Taką obietnicę trudno zapomnieć”. W jego ejdetycznej pamięci śmiała obietnica Edmonda Kirscha wyryła się co do słowa.

– Oczywiście, że pamiętam. Odpowiedziałem ci wtedy, że przez stulecia religie przetrwały niejeden przełom w nauce, a ponieważ odgrywają w społeczeństwie ważną rolę, to mogą ewoluować, ale nigdy nie wymrą.

– Tak, też dobrze pamiętam twoje słowa. Powiedziałem ci też wtedy, że znalazłem cel w życiu: zaprząć naukową prawdę do wykorzenienia religijnych przesądów.

– Mocne słowa.

– Wtedy się z nimi nie zgodziłeś. Argumentowałeś, że ilekroć odkryję naukową prawdę,

która stoi w sprzeczności z zasadami religijnymi albo wręcz im przeczy, powinienem omówić swoje odkrycie z teologiem, bo dzięki temu być może się przekonam, że nauka i religia często próbują opowiedzieć tę samą historię różnymi językami.

– Dziś powtórzylbym tę radę. Ludzie nauki i spirytualiści często używają różnych określeń do opisania tych samych tajemnic wszechświata. Konflikty między nimi zazwyczaj sprowadzają się do semantyki, a nie do meritum.

– No więc posłuchałem twojej rady – oznajmił Kirsch. – Poinformowałem przywódców duchowych o moim najnowszym odkryciu.

– Naprawdę?

– Słyszałeś o Parlamencie Religii Świata?

– Oczywiście, że tak. – Langdon był wielkim zwolennikiem wszelkich wysiłków promujących dialog międzywyznaniowy.

– Tak się złożyło, że w tym roku Parlament obradował pod Barceloną, godzinę jazdy od mojego domu, na terenie opactwa w Montserrat.

„Spektakularna lokalizacja” – pomyślał Langdon, który wiele lat temu odwiedził górski klasztor.

– Gdy się dowiedziałem, że Parlament Religii Świata obraduje w tym samym tygodniu, na który zaplanowałem ogłoszenie wyników moich badań, pomyślałem, że...

– Że to palec boży? – dokończył za niego Langdon.

Kirsch się roześmiał.

– Mniej więcej. W każdym razie postanowiłem się skonsultować.

Langdon był pod wrażeniem.

– Przemówiłeś na forum Parlamentu Religii Świata?

– Skądże znowu! To byłoby zbyt niebezpieczne. Nie chciałem, żeby wyniki wyciekły, zanim sam je ogłoszę, poprosiłem więc o spotkanie tylko z trzema osobami, po jednym przedstawicielu chrześcijaństwa, islamu i judaizmu. Do rozmowy doszło w bibliotece klasztornej.

– Zdziwiałem się, że cię tam wpuścili – stwierdził zaskoczony Langdon. – Słyszałem, że to miejsce uświęcone.

– Zażądałem spotkania gdzieś, gdzie nie będzie kamer, telefonów ani żadnych intruzów. I zabrali mnie właśnie tam. Zanim cokolwiek im ujawniłem, poprosiłem, żeby złożyli przysięgę milczenia. Zgodzili się. Na razie są jedynymi ludźmi na ziemi, którzy wiedzą o moim odkryciu.

– Niesamowite! Jak na nie zareagowali?

Kirsch zrobił zakłopotaną minę.

– Możliwe, że nie rozegrałem tego najlepiej. Znasz mnie, Robercie, i wiesz, że gdy

owładną mną emocje, to dyplomacja nie jest moją mocną stroną.

– Owszem, czytałem gdzieś, że przydałoby ci się kilka lekcji taktu – ze śmiechem odparł Langdon. „Podobnie jak Steve’owi Jobsowi i wielu innym genialnym wizjonerom”.

– Tak czy owak, przeszedłem od razu do rzeczy i na samym początku powiedziałem prosto z mostu, że odkąd pamiętam, uznaję religię za formę zbiorowego urojenia, a jako naukowiec nie mogę zaakceptować faktu, że miliardy inteligentnych ludzi szukają w religii rady i pocieszenia. Gdy zapytali, dlaczego interesuje mnie zdanie tych, dla których najwyraźniej niewiele mam szacunku, odpowiedziałem, że poprosiłem o to spotkanie po to, żeby ocenić ich reakcję na wyniki moich badań, ponieważ chcę oszacować, jak zostaną przyjęte przez ludzi wierzących, gdy je upublicznię.

– Kwintesencja dyplomacji! – mruknął Langdon z grymasem. – Wiesz, że uczciwość nie zawsze popłaca?

Kirsch lekceważąco machnął ręką.

– Moja opinia na temat religii jest powszechnie znana. Miałem nadzieję, że docenią szczerość. W każdym razie po tym wstępie przedstawiłem im wyniki, szczegółowo wyjaśniając, jak do nich doszedłem i jakie mają implikacje. Posłużyłem się nawet telefonem, żeby pokazać im prezentację, która, przyznaję, jest raczej alarmująca. No i odjęło im mowę.

– Chyba jednak coś powiedzieli? – podsunął Langdon, coraz bardziej zaintrygowany odkryciem Kirscha.

– Miałem nadzieję na rozmowę, ale chrześcijański duchowny uciszył pozostałych, zanim zdążyli pisnąć choć słowo. Nalegał, żebym ponownie rozważył upublicznienie wyników moich badań. Odparłem, że będę się nad tym zastanawiał przez najbliższy miesiąc.

– Ale przecież upubliczniasz je dzisiaj.

– Owszem. Skłamałem, żeby myśleli, że mają jeszcze czas, bo inaczej wpadliby w panikę, a wtedy mogliby próbować mi przeszkodzić.

– Ale przecież się dowiedzą o dzisiejszym wieczorze – stwierdził Langdon.

– No cóż, nie będą zachwyceni, szczególnie jeden z nich. – Kirsch spojrzał Langdonowi w oczy. – Duchowny, który na moją prośbę zorganizował to spotkanie, nazywa się Antonio Valdespino. Słyszałeś o nim?

Langdon struchlał.

– Arcybiskup Madrytu?

Kirsch skinął głową.

– We własnej osobie.

„Zdaje się, że Valdespino nie jest idealną publicznością dla radykalnego ateizmu Edmonda” – pomyślał Langdon. Biskup z Madrytu to potężna postać w hiszpańskim

Kościele, znana z konserwatywnych przekonań i wpływu, jaki miał na samego króla.

– To on był gospodarzem obrad Parlamentu Religii Świata – kontynuował Kirsch.

– Dlatego z prośbą o zorganizowanie spotkania zwróciłem się właśnie niego.

Zaproponował, że będzie w nim uczestniczył osobiście, a ja poprosiłem, żeby przyprawił przedstawicieli islamu i judaizmu.

Światła pod sufitem przygasły po raz trzeci.

Kirsch westchnął ciężko, jeszcze bardziej ścisząc głos.

– Robercie, poprosiłem cię o rozmowę przed rozpoczęciem uroczystości, ponieważ potrzebuję twojej rady. Muszę wiedzieć, czy twoim zdaniem biskup Valdespino jest niebezpieczny.

– Niebezpieczny? – zapytał Langdon. – W jakim sensie?

– To, co ode mnie usłyszał, zagraża światu, w którym ten człowiek żyje. Chcę wiedzieć, czy twoim zdaniem coś mi grozi z jego strony. Czy według ciebie on może mi coś zrobić?

Langdon bez wahania pokręcił głową.

– To niemożliwe! Nie wiem oczywiście, co mu powiedziałeś. Valdespino jest filarem hiszpańskiego katolicyzmu. Jego powiązania z rodziną królewską dają mu olbrzymie wpływy, ale to duchowny, a nie płatny zabójca. Ma koneksje z władzami, może wygłosić kazanie, w którym cię potępi, trudno mi jednak sobie wyobrazić, żeby mógł ci zagrażać w sensie fizycznym.

Kirsch nie wydawał się przekonany.

– Nie widziałeś, jak na mnie patrzył w Montserrat.

– W bibliotece, którą chrześcijanie otaczają najwyższą czcią, oznajmiłeś biskupowi Kościoła katolickiego, że jego wierzenia są urojeniem! – wykrzyknął Langdon. – Spodziewałeś się, że potem zaprosi cię na kawę i ciasteczka?

– Oczywiście, że nie – stwierdził Kirsch. – Ale też nie oczekiwałem, że po spotkaniu zostawi na mojej poczcie głosowej wiadomość z pogrózkami.

– Arcybiskup Valdespino do ciebie dzwonił?!

Kirsch sięgnął do kieszeni skórzanej kurtki po niezwykle duży smartfon. Aparat miał jasnoturkusowe etui ozdobione powtarzającym się motywem sześciokątów, w których Langdon rozpoznał słynny wzór modernistycznego architekta z Katalonii Antoniego Gaudiego.

– Sam posłuchaj – Kirsch kliknął kilka ikon i podniósł aparat. Z głośników odezwał się starchy męski głos mówiący zwięźle, surowo i śmiertelnie poważnie.

Tu Valdespino. Jak pan wie, nasze poranne spotkanie bardzo mnie zaniepokoiło.

Moich dwóch kolegów także. Nalegam, żeby pan do mnie jak najszybciej zatelefonował, chcę pana bowiem ostrzec przed niebezpieczeństwem, jakie niesie ze sobą upublicznienie

wyników pańskich badań. Proszę się liczyć z tym, że jeśli pan nie zadzwoni, to ja i moi koledzy rozważymy kroki prewencyjne. Nie mogę wykluczyć, że podejmiemy działania wyprzedzające i sami ogłosimy pańskie ustalenia, przedstawiając je w dyskredytującym świetle, żeby zapobiec niewyobrażalnym szkodom, jakie zamierza pan wyrządzić światu.

Najwyraźniej nie zdaje pan sobie sprawy z ich rozmiaru. Czekam na pański telefon i usilnie nalegam, żeby pan nie wystawiał na próbę mojej determinacji.

Na tym wiadomość się skończyła.

Langdon musiał przyznać, że zaskoczył go agresywny ton starego biskupa, ale treść jego wypowiedzi nie tyle go przestraszyła, co zaostrzyła jego ciekawość na temat odkrycia Edmonda.

– Co mu odpowiedziałeś?

– Nie odpowiedziałem – stwierdził Edmond, wsuwając smartfon z powrotem do kieszeni. – Uznałem jego słowa za czcze pogrożki. Byłem przekonany, że duchowni będą chcieli raczej zataić wyniki moich badań, niż je wyciągać na światło dzienne. Wiedziałem też, że dzisiejszy termin ich zaskoczy, dlatego wcale się nie przejąłem działaniami wyprzedzającymi. – Zamilkł na chwilę, obserwując Langdona. – Ale teraz sam już nie wiem. Ton jego głosu nie daje mi spokoju.

– Martwisz się, że coś ci się stanie dziś wieczorem?

– Nie, nie, lista gości znajduje się pod ścisłą kontrolą, a budynek muzeum jest świetnie chroniony. Bardziej mnie martwi to, co się stanie po ujawnieniu rezultatu moich badań. – Edmond sprawiał wrażenie, jakby żałował, że to powiedział. – Wiem, to głupie.

Zzera mnie trema. Chciałem po prostu wiedzieć, co ci podpowie intuicja.

Langdon patrzył na przyjaciela z coraz większą troską. Edmond był niezwykle blady i wyraźnie zmartwiony.

– Intuicja mi podpowiada, że Valdespino nigdy nie sprowadziłby na ciebie żadnego niebezpieczeństwa, żebyś nie wiem jak go wkurzył.

Tym razem światła przygasły na dłużej.

– Dziękuję – powiedział Kirsch, zerkając na zegarek. – Teraz muszę już iść, ale co powiesz na to, żebyśmy się spotkali, jak już będzie po wszystkim? O niektórych aspektach mojego odkrycia chciałbym z tobą podyskutować dłużej.

– Oczywiście.

– Doskonale! Po moim wystąpieniu podniesie się nieopisany zgiełk, będziemy więc musieli znaleźć jakieś spokojne miejsce na rozmowę. – Edmond wyjął wizytówkę i napisał coś na odwrocie. – Po wszystkim złap taksówkę i pokaż to kierowcy. Każdy tutejszy taksówkarz będzie wiedział, o które miejsce chodzi. Tam się spotkamy. – Wręczył Langdonowi kartonik.

Langdon oczekiwał, że znajdzie na nim adres któregoś z miejscowych hoteli albo restauracji. Zamiast tego zobaczył jednak coś, co wyglądało jak szyfr.

BIO-EC346

– Mam to dać taksówkarzowi? – upewniał się.

– Tak, a on będzie wiedział, dokąd jechać. Uprzedzę ochronę, żeby się ciebie spodziewali. Dojadę najszybciej, jak to będzie możliwe.

„Ochronę?” Langdon zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy BIO-EC346 nie jest przypadkiem zaszyfrowaną nazwą jakiegoś towarzystwa naukowego.

– Rozwiązanie tej zagadki jest boleśnie proste, przyjacielu – oznajmił Edmond, puszczając do niego oko. – Kto jak kto, ale ty powinieneś je znaleźć bez problemu.

I jeszcze jedno, żebyś nie był zaskoczony. Odegrasz znaczną rolę w mojej dzisiejszej prezentacji.

Langdon nie krył zaskoczenia.

– Jaką znowu rolę?

– Nie martw się. Nie będziesz musiał nic robić.

Po tych słowach Edmond Kirsch ruszył do wyjścia ze spirali.

– Ja muszę natychmiast iść za kulisy, ale zajmie się tobą Winston. – Zatrzymał się i odwrócił głowę. – Zobaczymy się po wszystkim. I miejmy nadzieję, że się nie myliłeś co do Valdespina.

– Niepotrzebnie się denerwujesz, Edmondzie – uspokoił go Langdon. – Skup się na tym, co masz do powiedzenia. Ze strony duchowieństwa nic ci nie grozi.

Kirsch nie był jednak przekonany.

– Możesz zmienić zdanie, Robercie, gdy poznasz treść mojej dzisiejszej prezentacji.

Rozdział 10

Siedziba rzymskokatolickiej archidiecezji Madrytu, katedra Almudena, jest potężną neoklasycystyczną świątynią położoną obok pałacu królewskiego. Wzniesiono ją na miejscu antycznego meczetu, a jej nazwa wywodzi się od arabskiego *al-mudayna*, czyli „cytadela”.

Według legendy, gdy Alfons VI odbił Madryt z rąk muzułmanów w tysiąc osiemdziesiątym trzecim roku, postanowił za wszelką cenę odzyskać zaginiony obraz Matki Boskiej, który ponoć dla bezpieczeństwa miał zostać zamurowany w ścianach cytadeli. Nie zdołał jednak odnaleźć Najświętszej Panienki, zaczął więc intensywnie się modlić, a wtedy część murów fortyfikacji odpadła, odsłaniając świętą figurę oraz nadal płonące przed nią świece, z którymi wiele wieków wcześniej została zamurowana.

Obecnie Matka Boża Almudena jest patronką Madrytu, a pielgrzymi i turyści tłumnie nawiedzają tamtejszą katedrę, żeby się pomodlić przed jej wizerunkiem.

Wyjątkowa lokalizacja świątyni, którą wzniesiono przy placu przed pałacem królewskim, jest dla wiernych dodatkową motywacją, nie da się bowiem wykluczyć, że przy okazji mignie im przed oczami któryś z członków rodziny królewskiej przekraczający bramy monarszej siedziby.

Dzisiejszego wieczoru młody akolita biegał w panice po przepastnych czeluściach archikatedry.

„Gdzie jest biskup Valdespino?”

„Zaraz zaczyna się msza!”

Arcybiskup Antonio Valdespino był zwierzchnikiem tego kościoła od wielu dziesięcioleci. Równie długo przyjaźnił się z królem, służąc mu też jako duchowy przewodnik. Nie ukrywał swojego przywiązania do tradycji i niemal wcale nie tolerował jakichkolwiek prób modernizacji. Mimo sędziwego wieku osiemdziesięciu trzech lat biskup nadal skuwał nogi kajdanami w czasie Wielkiego Tygodnia i chodził w procesjach razem z wiernymi obnoszącymi święte figury po ulicach miasta.

„Kto jak kto, ale Valdespino na pewno się nie spóźni na mszę!”

Jeszcze dwadzieścia minut temu akolita pomagał arcybiskupowi przywdziać szaty liturgiczne. Gdy skończył, Valdespino odczytał esemes i bez słowa wybiegł z zakrystii.

„Dokąd się udał?”

Przeszukawszy prezbiterium, zakrystię, a nawet prywatną łazienkę arcybiskupa, akolita pędził teraz biegiem do pomieszczeń administracyjnych, bo tam Valdespino miał gabinet.

W oddali huknęły organy.

„Grają na rozpoczęcie procesji!”

Akolita ledwie zdołał wyhamować przed gabinetem, widząc snop światła przedzierający się pod zamkniętymi drzwiami.

„Czyżby tutaj siedział?”

Nieśmiało zapukał do drzwi.

– *¿Reverendísima Excelencia?*

Żadnej odpowiedzi.

Zapukał głośniej.

– *¿Su Excelencia?!*

Znowu nic.

Obawiając się o zdrowie starego kapłana, akolita nacisnął klamkę i otworzył drzwi.

– *¡Cielos!* – mruknął pod nosem, gdy zajrzał do środka.

Arcybiskup Valdespino siedział przy mahoniowym biurku wpatrzony w jaśniejący monitor laptopa. Na głowie wciąż miał mitrę, wokół niego mieniły się fałdy ornatu, a pastorał stał bezceremonialnie oparty o ścianę.

Akolita odkaszlnął.

– *La santa missa está...*

– *Preparadas* – nie pozwolił mu dokończyć biskup, nie odrywając wzroku od ekranu. –

El padre Derida me sustituye.

Akolita nie wierzył własnym uszom. „Ojciec Derida ma celebrować w zastępstwie”? Zwykły ksiądz nie odprawia przecież sobotniej mszy wieczornej.

– *¡Ahora vete!* – warknął hierarcha nadal wpatrzony w monitor laptopa. – *Y cierra la puerta.*

Przestraszony chłopak zrobił, co mu kazano: natychmiast wyszedł z gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Biegnąc z powrotem w kierunku, skąd dochodził dźwięk organów, akolita próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, co takiego mógł oglądać arcybiskup Valdespino, że z tego powodu zaniedbał swoje obowiązki wobec Boga.

W tej samej chwili admirał Ávila przemykał przez tłum w atrium Muzeum Guggenheima zdziwiony, że goście mówią sami do siebie. Wyglądało na to, że audioprzewodnik umożliwia komunikację w obie strony.

Poczuł ulgę, że się pozbył słuchawek.

„Nie mogę się rozpraszać”.

Sprawdził godzinę i zerknął na windy. Wszystkie były zapełnione gośćmi zmierzającymi na górę, gdzie miało się odbyć główne wydarzenie wieczoru, wybrał więc schody. Wspinając się po nich, czuł to samo niedowierzanie, które towarzyszyło mu poprzedniego wieczoru. „Czy naprawdę stałem się zabójcą?” Odmienili go bezbożnicy, którzy wysadzili w powietrze jego ciężarną żonę i dziecko. „Moje czyny sankcjonuje wyższa władza” – przypomniał sobie. „Działam w słusznej sprawie”.

Na półpiętrze wzrok Ávili przyciągnęła kobieta idąca po pobliskim pomoście.

„Najnowsza hiszpańska celebrytka” – pomyślał, oglądając słynną piękność.

Kobieta była ubrana w dopasowaną białą suknię z czarną skośną szarfą elegancko opasującą tors. Szczupła sylwetka, bujne czarne włosy i gracia ruchów istotnie mogły budzić podziw. Ávila zauważył, że nie on jeden obserwuje tę piękność.

Oprócz pełnych uznania spojrzeń gości kobieta w białej sukni skupiała na sobie całą uwagę dwóch wysportowanych mężczyzn, którzy nie odstępowali jej na krok.

Obydwaj poruszali się ostrożnie, a zarazem pewnie, jak pantery, i byli ubrani w takie same niebieskie marynarki z wyszytym godłem zawierającym inicjały GR.

Ávila nie był zaskoczony ich obecnością, ale i tak jego puls przyśpieszył na ten widok. Jako były członek hiszpańskich sił zbrojnych doskonale wiedział, co oznaczają inicjały na godle. Obydwaj mężczyźni byli zapewne uzbrojeni i zapewne trudno byłoby znaleźć na świecie lepiej wyszkolonego funkcjonariusza ochrony.

„Skoro oni tu są, muszę działać wyjątkowo ostrożnie” – powiedział sobie.

– Człowieku! – odezwał się męski głos tuż za jego plecami.

Ávila się odwrócił.

Brzuchaty mężczyzna w smokingu i kapeluszu kowbojskim na głowie śmiał się do niego od ucha do ucha.

– Świetny kostium! – powiedział, wskazując na mundur Ávili. – Gdzie takie dają?

Ávila wbił w niego wzrok, odruchowo zaciskając pięści. „W wojsku, po latach służby i poświęceń” – pomyślał.

– *No hablo inglés* – odpowiedział, wzruszając ramionami, i wrócił na schody.

Na piętrze znalazł długi korytarz. Kierując się oznakowaniem, ruszył w stronę łazienki, która znajdowała się na samym końcu. Już miał wchodzić, gdy światła w całym budynku przygasły na chwilę. Pierwszy sygnał dla gości, by zaczęli się kierować na górę przed

rozpoczynającym się niebawem wystąpieniem. Ávila wszedł do pustego pomieszczenia, wybrał ostatnią kabinę i zamknął za sobą drzwi. Pozbawiony ludzi dookoła poczuł, że znajome demony znów próbują nim zawładnąć, żeby zaciągnąć go na samo dno otchłani.

„Minęło pięć lat, a wspomnienia wciąż mnie dręczą”.

Gniewnie wyrzucił z głowy przerażające wizje i sięgnął do kieszeni po różaniec, który następnie ostrożnie umieścił na wieszaku po wewnętrznej stronie drzwi. Teraz miał go przed oczami i z dumą patrzył na swoje dzieło. Dewot mógłby się oburzyć na takie zastosowanie różańca, uznając je za profanację, on jednak uzyskał od Regenta specjalne warunki rozgrzeszenia.

„W świętej sprawie przebaczenie boskie jest gwarantowane” – zapewniał go Regent.

Nie tylko jego dusza, ale też ciało było chronione przez złem. Ávila spojrzał na tatuaż, który nosił na dłoni.



Podobnie jak używany od wieków chrystogram symbol składał się wyłącznie z liter. Ávila wytatuował go sobie inkaustem przy użyciu igły, skóra na dłoni była więc jeszcze napuchnięta i zaczerwieniona. Regent zapewnił go, że jeśli zostanie aresztowany, to symbol gwarantuje mu zwolnienie w ciągu kilku godzin: wystarczy, że pokaże tatuaż funkcjonariuszom. „Nasi ludzie znajdują się na najwyższych szczeblach władzy” – zapewniał go.

Ávila poznał już zaskakujące możliwości Regenta i miał wrażenie, że dzięki nim otacza go ochronna peleryna. „Są jeszcze ludzie, którzy szanują zasady praojców”. Miał nadzieję, że pewnego dnia wstąpi w ich szeregi, na razie jednak czuł się zaszczycony, że w ogóle może im służyć.

Mając pewność, że nikt go nie usłyszy, Ávila sięgnął po telefon i wybrał numer, który mu przekazano w największej tajemnicy.

Głos po drugiej stronie odezwał się po pierwszym dzwonku.

– ¿Si?

– *Estoy en posición* – zameldował Ávila, oczekując na dalsze instrukcje.

– *Bien* – pochwalił go Regent. – *Tendrás una sola oportunidad. Aprovecharla será crucial.*

Będziesz miał tylko jedną szansę. Nie możesz jej zmarnować.

Rozdział 11

Trzydzieści kilometrów wzdłuż linii brzegowej od lśniących wieżowców Dubaju, sztucznych wysp i bogatych willi leży miasto Szardża, ultrakonserwatywna kulturalna stolica Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Jako siedziba ponad sześciuset meczetów i najlepszych uniwersytetów, Szardża jest najprężniejszym w kraju ośrodkiem duchowości i nauki, a pozycję tę wzmacniają jeszcze rozległe złoża ropy oraz władca, dla którego wykształcenie poddanych jest najważniejsze.

Tego wieczoru rodzina powszechnie tu lubianego allamaha Syeda al-Fadla zebrała się na czuwaniu. Zamiast jednak przed nocą odmawiać tahadżdżud, modlili się o szczęśliwy powrót ich ukochanego ojca, wuja i męża, który w tajemniczych okolicznościach zniknął bez śladu.

Miejscowa prasa ujawniła już, że według jednego z kolegów allamaha dwa dni przed zniknięciem al-Fadl wrócił z obrad Parlamentu Religii Świata „dziwnie poruszony”. Ten sam informator twierdził również, że zaraz po powrocie allamah przeprowadził rozmowę telefoniczną, w której zagorzał się z kimś spierał. Rozmowa przebiegała po angielsku, nie zrozumiał więc ani słowa, ale był pewien, że kilka razy padło w niej jedno nazwisko.

Edmond Kirsch.

Rozdział 12

Pośpiesznie wychodząc z wnętrza spiralnej rzeźby, Langdon usiłował zebrać myśli.

Rozmowa z Kirschem była ekscytująca i niepokojąca zarazem. Nawet jeśli Kirsch przesadzał, to z pewnością odkrył coś, co jego zdaniem odmieni świat.

„Odkrycie porównywalne z przewrotem kopernikańskim?”

Gdy w końcu Langdon opuścił kręty korytarz, kręciło mu się w głowie. Słuchawka leżała tam, gdzie ją zostawił.

– Winstonie? – odezwał się, opierając na policzkach końce metalowego kabłąka. – Halo?

Usłyszał ciche kliknięcie i komputerowy brytyjski przewodnik powrócił.

– Jestem, panie profesorze. Pan Kirsch polecił mi przewieźć pana na górę windą towarową, ponieważ nie mamy dość czasu, żeby wracać do atrium. Wziął pod uwagę i to, że na pewno spodoba się panu ogromny rozmiar kabiny.

– Miły gest. Edmond wie, że cierpię na klaustrofobię.

– Teraz już wiem także ja. I na pewno o tym nie zapomnę.

Poprowadził Langdona przez boczne drzwi do betonowego korytarza. Zgodnie z obietnicą winda była olbrzymia, przystosowana do transportu eksponatów wielkogabarytowych.

– Górny przycisk – powiedział Winston, gdy tylko Langdon wszedł do środka. – Trzecie piętro.

Gdy przybyli na miejsce, Langdon wysiadł z windy.

– Na prawo – odezwał się w jego głowie radosny głos Winstona. – Przejdziemy do galerii po pańskiej lewej stronie. To najkrótsza trasa do audytorium.

Droga wiodła przez olbrzymią galerię wystawiającą kilka dziwacznych instalacji: stalowe działo strzelające lepkimi kulami z czerwonego wosku w białą ścianę naprzeciwko, kajak z drucianej siatki, który niewątpliwie nie utrzymałby się na wodzie, i makietę całego miasta wykonaną z lśniących metalowych klocków.

Przy wyjściu Langdon z osłupieniem odkrył olbrzymi eksponat zajmujący niemal całą przestrzeń galerii.

„Jedno jest pewne: niczego dziwniejszego już tu nie zobaczę” – uznał.

W poprzek galerii pędziło stado wilków, które wybijały się w powietrze, skacząc na przeźroczystą szybę pod przeciwległą ścianą, odbijały się od niej i jak martwe spadały na podłogę na stertę pobratymców.

– Autorem rzeźby jest Cai Guo-Qiang – odezwał się Winston niepytany. – Przedstawienie dziewięćdziesięciu dziewięciu wilków pędzących prosto na szklaną tafłę symbolizuje mentalność stada i brak odwagi, by odejść od normy.

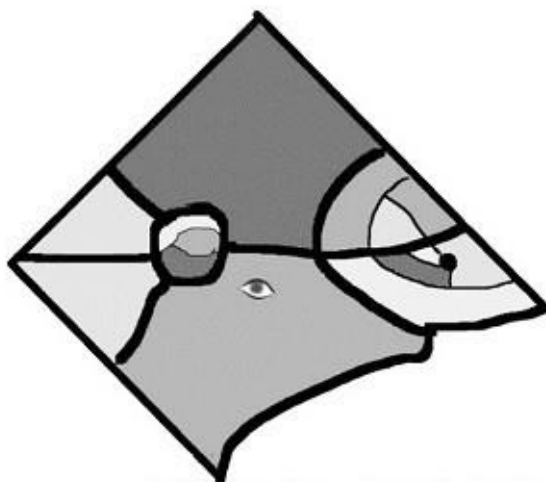
Ironiczna wymowa instalacji uderzyła Langdona. „Podejrzewam, że dziś wieczorem Edmond odejdzie od normy w sposób bardzo drastyczny”.

– Proszę iść dalej prosto – instruował go Winston. – Po prawej stronie, zaraz za kolorowym eksponatem w kształcie rombu zobaczy pan drzwi. Notabene autor romboidalnego dzieła należy do ulubionych artystów Edmonda.

Langdon dostrzegł jaskrawe barwy malowidła i natychmiast rozpoznał charakterystyczne zawijasy, barwy podstawowe i swawolne oko.

„Joan Miró” – pomyślał. Lubił radosne obrazy słynnego barcelońskiego artysty i zawsze miał wrażenie, że są skrzyżowaniem kolorowanki dla dzieci z surrealistycznym witrażem.

Gdy jednak podszedł bliżej, stanął jak wryty. Ze zdziwieniem zauważył, że powierzchnia płótna jest gładka, bez ani jednego śladu pędzla.



– To reprodukcja?

– Nie, oryginał – odpowiedział Winston.

Langdon przyjrzał się uważniej. Nie było wątpliwości, że obraz jest dziełem drukarki wielkoformatowej.

– Winstonie, przecież to jest wydruk. W dodatku nie na płótnie.

– Ja nie pracuję na płótnie – oznajmił Winston. – Tworzę sztukę wirtualnie, a potem Edmond ją drukuje.

– Zaraz, zaraz. To jest twój obraz? – upewniał się Langdon.

– Tak. Próbowalem naśladować styl Joana Miró.

– Widzę. Podpisałeś nawet jego nazwiskiem.

– Nie – sprostował Winston. – Podpis brzmi „Miro”, bez znaku diakrytycznego.

Hiszpańskie słowo *miro* znaczy „patrzę”.

„Sprytne” – musiał przyznać Langdon, inaczej teraz rozumiejąc wykonane w stylu Joana Miró oko, które patrzyło na niego ze środka obrazu.

– Edmond chciał, żebym namalował autoportret, i tak właśnie wykonałem jego polecenie.

„To twój autoportret?” – Langdon ponownie spojrzał na zbiór nierównych zawijasów. „Jak na komputer wyglądasz raczej dziwnie”.

Langdon czytał ostatnio w jednym z czasopism o fascynacji Edmonda programami graficznymi do tworzenia sztuki algorytmicznej, czyli dzieł wykonywanych przez komputery. Pojawiła się przy okazji konieczność odpowiedzi na niewygodne pytanie, czy autorem jest w tym wypadku komputer, czy informatyk, który go zaprogramował.

Wystawiana niedawno w MIT kolekcja zaawansowanych dzieł sztuki algorytmicznej postawiła w nowym świetle oferowane na Harvardzie zajęcia pod tytułem „Sztuka jako wyznacznik człowieczeństwa”.

– Komponuję też muzykę – dorzucił Winston. – Później może pan poprosić Edmonda, żeby odtworzył jeden z moich utworów. Teraz jednak musimy się pośpieszyć.

Zaraz zaczyna się wystąpienie.

Langdon wyszedł z galerii i stanął na pomoście zawieszonym wysoko nad atrium.

Po drugiej stronie przepastnego szybu pracownicy muzeum odbierali ostatnich gości przy windach, kierując ich w stronę drzwi niedaleko miejsca, w którym stał.

– Za kilka minut zaczynają – oznajmił Winston. – Widzi pan drzwi do audytorium?

– Tak, są tuż przede mną.

– Doskonale. Na koniec jeszcze jedna uwaga. Po wejściu zobaczy pan kosze na słuchawki. Edmond prosił, żeby pan zachował swoje. Dzięki temu po wszystkim będę mógł wyprowadzić pana z muzeum przez tylne wyjście, gdzie uniknie pan tłumu i łatwo złapie taksówkę.

Langdon przypomniał sobie rząd liter i cyfr, które Edmond zapisał na odwrocie wizytówki, instruując go, żeby je pokazał taksówkarzowi.

– Winstonie, zamiast adresu Edmond napisał tylko BIO-EC346 i dodał, że to boleśnie prosty szyfr.

– Miał rację – odparł szybko Winston. – Za chwilę zaczynamy. Mam nadzieję, że spodoba się panu wystąpienie Edmonda Kirscha. Po jego zakończeniu jestem do pańskiej dyspozycji.

Rozległ się cichy trzask i Winston zamilkł.

Langdon skierował się w stronę drzwi, potem jednak przystanął, zdjął słuchawki, wsunął je do kieszeni i dopiero wtedy pośpiesznie podszedł do wejścia, które przekroczył z grupką kilku spóźnialskich chwilę przed zamknięciem drzwi.

Znów znalazł się w zaskakującym miejscu.

„Mamy słuchać na stojąco?”

Langdon wyobrażał sobie, że Edmond wystąpi przed publicznością usadowioną w wygodnych fotelach, tymczasem goście tłoczyli się w ciasnej, pomalowanej na biało sali wystawowej. Nie było w niej żadnych dzieł sztuki ani siedzeń. Langdon dostrzegł tylko podium, nad nim duży ekran ciekłokrystaliczny, a na nim napis:

Rozpoczęcie transmisji za 2 minuty i 7 sekund

Poczuł, że ogarnia go coraz większa ciekawość. Przebiegł wzrokiem w dół ekranu, gdzie widniała jeszcze jedna informacja:

Liczba widzów online: 1 953 694

„Dwa miliony ludzi?”

Kirsch zapowiadał, że jego wystąpienie będzie transmitowane na żywo w internecie, ale takiej olbrzymiej publiczności by się nie spodziewał, a wyświetlana na ekranie liczba rosła z każdą chwilą.

Przez twarz Langdona przebiegł uśmiech. Nie dało się zaprzeczyć, że jego były student radzi sobie doskonale. Pozostawało tylko jedno pytanie: co Edmond ogłosi światu?

Rozdział 13

Na oświetlonej blaskiem księżyca pustyni przy wschodnich przedmieściach Dubaju łazik pustynny Sand Viper 1100 gwałtownie odbił w lewo i zaraz się zatrzymał, wzniecając tuman piachu, który opadał oświetlony przednimi halogenami.

Nastolatek za kierownicą pojazdu zdjął gogle i intensywnie się wpatrywał w coś, na co przed chwilą omal nie najechał. Zaniepokojony wysiadł i podszedł bliżej.

Niestety ciemny kształt okazał się tym, na co wyglądał: znieruchomiałym ludzkim ciałem.

– *Marhaba?* – zawołał chłopak. – Halo!

Żadnej reakcji.

Po ubiorze – tradycyjnej szasziji oraz luźnej galabiji – chłopak rozpoznał, że na piachu leży mężczyzna. Sylwetka wskazywała, że jest dobrze odżywiony. Odciski stóp oraz ewentualne ślady opon samochodowych albo inne wskazówki, które pozwoliłyby odgadnąć, skąd przyszedł, dawno już zasypał pustynny wiatr.

– *Marhaba?* – krzyknął ponownie.

Znowu nic.

Nie wiedząc, jak ma się zachować, chłopak delikatnie trącił stopą ciało. Chociaż rozmiary wskazywały, że powinno być raczej pulchne, okazało się sztywne i twarde, odwodnione już przez wiatr i słońce.

Z całą pewnością martwe.

Chłopak pochylił się, chwycił za ramię i szarpnięciem przekręcił zwłoki na plecy.

Pozbawione życia oczy gapiły się w niebo. Brodatą twarz pokrywał piasek, ale mimo to wydała się chłopakowi znajoma, jakby należała do któregoś z wujów albo do dziadka.

Zaryczały silniki kilku terenowych quadów. Koledzy chłopaka zawrócili, żeby sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku. Po chwili ich pojazdy wynurzyły się z wydmy i zjechały w dół.

Młodzi kierowcy wysiedli, zsunęli gogle, zdjęli kaski i stanęli nad makabrycznym znaleziskiem. Jeden z młodzieńców odezwał się poruszonym głosem, gdy rozpoznał ciało

allamaha Syeda al-Fadla, myśliciela i przywódcy duchowego, który od czasu do czasu przemawiał na uniwersytecie.

– *Matha Alayna 'an naf'al?* – zapytał na koniec. „ Co teraz zrobimy?”

Przez chwilę chłopcy stali w milczeniu nad zwłokami, by następnie zachować się tak, jak na ich miejscu postąpiłby przeciętny nastolatek na całym świecie: wyjęli telefony komórkowe i zaczęli robić zdjęcia, które natychmiast przesłali swoim przyjaciołom.

Rozdział 14

Stojąc ramię w ramię z gośćmi zbitymi w tłum wokół podestu, Robert Langdon ze zdumieniem obserwował, jak wskaźnik na wyświetlaczu ciekłokrystalicznym stopniowo rośnie.

Liczba widzów online: 2 527 664

W zatłoczonym pomieszczeniu towarzyskie rozmowy zlewały się w głuchy ryk, gdy setki zaproszonych gości niecierpliwie wyczekiwały na rozpoczęcie imprezy. Wielu z nich rozmawiało jeszcze przez telefon albo informowało o miejscu swojego pobytu na Twitterze.

Na podium wszedł pracownik obsługi i postukał w mikrofon.

– Panie i panowie, uprzejmie prosimy o wyłączenie telefonów komórkowych i urządzeń mobilnych. Od tej chwili do końca dzisiejszego wieczoru zostaną zablokowane wszystkie kanały komunikacji bezprzewodowej.

Goście, którzy jeszcze rozmawiali, raptownie stracili zasięg telefonów komórkowych. Wielu z nich miało głupie miny, jakby właśnie byli świadkami działania jakiejś cudownej Kirschowskiej technologii zdolnej w jednej chwili odciąć połączenie ze światem.

„Pięćset dolarów w pierwszym lepszym sklepie z elektroniką” – pomyślał Langdon, który jako jeden z kilku profesorów na Harvardzie używał podczas wykładów jammera, czyli urządzenia wytwarzającego martwą strefę, w której studenci nie mogli używać telefonów komórkowych.

Na stanowisku pojawił się operator z dużą kamerą na ramieniu skierowaną na podium. Światła w pomieszczeniu przygasły.

Napis na ekranie wyglądał teraz następująco:

Rozpoczęcie transmisji za 38 sekund

Liczba widzów online: 2 857 914

Langdon ze zdumieniem obserwował licznik wyświetlający wartość, która rosła szybciej niż dług publiczny. Z trudem mógł sobie wyobrazić, że prawie trzy miliony ludzi siedzi teraz przed monitorami i ogląda na żywo transmisję z tego pomieszczenia.

– Trzydzieści sekund – ogłosił technik przez mikrofon.

W ścianie za podium otworzyły się wąskie drzwi i tłum w jednej chwili ucichł, oczekując na przybycie wielkiego Edmonda Kirscha.

Ale on się nie pojawił.

Drzwi stały otworem przez prawie dziesięć sekund.

Nagle wkroczyła przez nie elegancka kobieta, która przeszła prosto do podium.

Była uderzająco piękna – wysoka, smukła, z kruczoczarnymi włosami, ubrana w dopasowaną białą suknię z ukośną czarną szarfą. Zdawała się bezszelestnie sunąć nad podłogą. Zająwszy miejsce pośrodku, poprawiła mikrofon, wzięła głęboki oddech i posłała zebranym promienny uśmiech, jakby prosiła, żeby cierpliwie czekali, aż licznik dojdzie do zera.

Rozpoczęcie transmisji za 10 sekund

Kobieta na chwilę zamknęła oczy, jakby chciała się opanować, a po chwili znów je otworzyła – uosobienie spokoju.

Kamerzysta podniósł dłoń, odliczając na palcach.

„Cztery, trzy, dwa...”

W galerii zapanowała całkowita cisza, gdy kobieta podniosła wzrok do kamery.

Komunikat na ekranie zamienił się w obraz jej twarzy. Zmierzyła publiczność ognistym spojrzeniem, naturalnym gestem odsuwając z oliwkowego policzka kosmyk włosów.

– Dobry wieczór państwu – zaczęła po angielsku uprzejmym głosem, w którym nieznacznie tylko pobrzmiwał hiszpański akcent. – Nazywam się Ambra Vidal.

Odpowiedziała jej niezwykle żywiołowa owacja. Niewątpliwie większość obecnych wiedziała, kto ich wita.

– *¡Felicidades!* – ktoś krzyknął. – Gratulacje!

Na twarzy wystąpiły jej rumieńce i Langdon wyczuł, że czegoś na temat tej pięknej kobiety nie wie.

– Panie i panowie – kontynuowała. – Od pięciu lat jestem dyrektorem Muzeum Guggenheima w Bilbao, dlatego przypadł mi w udziale zaszczyt powitania państwa dzisiejszego wieczoru na spotkaniu z naprawdę wyjątkowym człowiekiem.

Tłum zaczął entuzjastycznie klaskać. Langdon dołączył do reszty.

– Edmond Kirsch jest nie tylko nadzwyczaj szczodrym patronem tego muzeum, ale też moim przyjacielem. To dla mnie wielki honor, że przez ostatnie miesiące mogłam razem z nim pracować nad organizacją dzisiejszego wieczoru. Przed chwilą sprawdzałam.

W mediach społecznościowych na całym świecie aż huczy. Jak państwo zapewne słyszeli, Edmond Kirsch zamierza ogłosić wyniki swoich badań naukowych. Doprowadziły go one do odkrycia, które uznaje za swój największy wkład w losy świata.

Przez galerię przetoczył się pomruk uznania.

– Pan Kirsch będzie mówił w swoim ojczystym języku, po angielsku, ale nasi wirtualni widzowie mogą skorzystać z tłumaczenia, które zapewniamy symultanicznie w ponad dwudziestu językach.

Ekran za jej plecami się odświeżał, a ona ciągnęła:

– A jeśli ktoś krytycznie podchodził do pewności siebie Edmonda Kirscha, to niech spojrzy na komunikat, który piętnaście minut temu obiegł media społecznościowe na całym świecie.

Langdon popatrzył na wyświetlacz.

Dziś o 20:00 czasu środkowoeuropejskiego
futurysta Edmond Kirsch ma ogłosić odkrycie,
które na zawsze odmieni oblicze nauki.

Transmisja na żywo w internecie.

„Więc to tak się zdobywa trzy miliony widzów w kilkanaście minut!” – pomyślał Langdon.

Gdy ponownie przeniósł wzrok na podium, dostrzegł ludzi, których nie zauważył wcześniej: dwóch ochroniarzy z kamiennymi twarzami stało w pełnej gotowości pod boczną ścianą, uważnie obserwując tłum. Langdon był zaskoczony na widok monogramów na ich jednakowych marynarkach.

„Guardia Real? Co tu robią funkcjonariusze Gwardii Królewskiej?”

Wydało mu się nieprawdopodobne, żeby którykolwiek członek rodziny królewskiej znalazł się wśród dzisiejszej publiczności. Jako zagorzali katolicy, ci ludzie z całą pewnością nie chcą się pojawiać publicznie z takim znanym ateistą jak Edmond Kirsch.

Król Hiszpanii jest monarchą konstytucyjnym, jego władzę prawodawczą ogranicza więc parlament, zachował jednak wielki wpływ na umysły i serca swoich poddanych. Dla milionów Hiszpanów korona nadal stanowi symbol tradycji religijnej *los reyes católicos* oraz złotego wieku ich ojczyzny. Pałac królewski w Madrycie pozostał duchowym kompasem i pomnikiem długiej historii niezłomnej wiary katolickiej.

Langdon nieraz słyszał w Hiszpanii stwierdzenie, że parlament rządzi, ale król panuje. Od wieków monarchowie kierowali sprawami królestwa z wielką pobożnością i oddaniem dla wiary katolickiej. „Obecny monarcha nie jest wyjątkiem” – pomyślał Langdon, który czytał o religijności i konserwatywnych przekonaniach króla.

W ostatnich miesiącach pojawiły się informacje, że sędziwy monarcha jest przykuty do łóżka i umierający, a kraj przygotowuje się na przejęcie tronu przez jego jedyne syna Juliána, który przynajmniej według prasy był postacią tajemniczą, od lat żyjącą dyskretnie w cieniu ojca, dlatego poddani coraz częściej zadawali sobie pytanie, jakim

okaże się władcą.

„Czyżby książę Julián przysłał funkcjonariuszy gwardii na zwiady?”

Langdon pomyślał o groźbie, którą biskup Valdespino skierował wobec Edmonda.

Choć istotnie mogła ona budzić niepokój, atmosfera na sali była przyjazna i entuzjastyczna, czuł się więc bezpiecznie. Przypomniawszy sobie zapewnienie Edmonda o wyjątkowych środkach bezpieczeństwa – może więc Guardia Real była dodatkowym zabezpieczeniem, mającym zapewnić, że wszystko pójdzie gładko.

– Ci z was, którzy znają zamiłowanie Edmonda do teatru, wiedzą, że nigdy by się nie zgodził, żebyśmy długo stali w tej sterylnej sali – kontynuowała Ambra Vidal.

Wskazała na zamknięte podwójne drzwi na końcu galerii.

– Za tymi drzwiami Edmond Kirsch przygotował specjalne pomieszczenie, w którym przedstawi swoją dynamiczną prezentację multimedialną. Będzie transmitowana na żywo w całym świecie. – Zrobiła pauzę, żeby spojrzeć na zegarek. – Ponieważ wydarzenia dzisiejszego wieczoru zostały zaplanowane co do sekundy, Edmond poprosił, żebym wprowadziła państwa do tej specjalnej sali punktualnie kwadrans po ósmej. – Wyciągnęła dłoń w stronę drzwi. – A ponieważ to już za kilka sekund, zechciejcie państwo teraz tam przejść i osobiście się przekonać, co niezwykłego przygotował dla nas pan Edmond Kirsch.

W tej samej chwili drzwi stanęły otworem.

Langdon zerknął, spodziewając się, że za nimi będzie kolejna galeria, ale to, co zobaczył, bardzo go zaskoczyło. Po drugiej stronie drzwi znajdował się ciemny tunel.

Admirał Ávila trzymał się z tyłu, gdy tłum podekscytowanych gości zaczął się przedzierać w stronę prawie nieoświetlonego przejścia. Gdy w końcu wszedł do tunelu, z satysfakcją stwierdził, że za nim też jest ciemno.

Ciemność znacznie ułatwiłaby mu wykonanie zadania.

Dotykając paciorków ukrytego w kieszeni różańca, skupił się na szczegółach swojej misji, które właśnie poznał.

„Będziesz miał tylko jedną szansę”.

Rozdział 15

Wykonany z czarnej tkaniny rozciągniętej między łukowatymi wspornikami tunel miał około sześciu metrów szerokości i lekko skręcając, prowadził w lewo. Podłogę pokrywała czarna pluszowa wykładzina, a jedynym oświetleniem były dwie cienkie listwy ledowe umieszczone tuż nad nią.

– Proszę o zdjęcie butów – pracownik muzeum szeptem instruował nowo przybyłych. – Proszę, żeby wszyscy zdjęli buty i nieśli je w rękę.

Langdon zsunął z nóg skórzane półbuty i przez skarpetki poczuł, jak stopy zatapiają się w nadzwyczaj miękkiej wykładzinie. Natychmiast się odprężył. Wokół słyszał zachwyczone westchnienia.

Po chwili dotarł do końca tunelu. Wyjście zasłaniała czarna kurtyna, przed którą pracownicy muzeum wręczali każdemu gościowi coś, co wyglądało na gruby plażowy ręcznik, po czym przepuszczali go na drugą stronę.

Wcześniejsze podniecone szepty zastąpiło niepewne milczenie. Gdy nadeszła jego kolej, Langdon odebrał z rąk pracownika muzeum złożoną w kostkę tkaninę. Jak się okazało, nie był to ręcznik, lecz raczej niewielki miękki chodnik z doszytą na końcu poduszką. Langdon podziękował i wszedł za kurtynę.

Po raz drugi tego wieczoru stanął jak wryty. Chociaż nie oczekiwał za kurtyną niczego konkretnego, z całą pewnością nigdy by nie przypuszczał, że zobaczy akurat to.

„Wyszliśmy na zewnątrz?”

Stał na skraju wielkiej łąki. Nad nim rozciągało się rozgwieżdżone niebo, a w oddali nad samotnym klonem właśnie wschodził delikatny sierp księżyca. Świerszcze grały w najlepsze, a stopy pieścił delikatny wiatr.

– Proszę pana? – zaczepił go kolejny pracownik. – Proszę znaleźć miejsce gdzieś na trawie, rozłożyć koc i spocząć.

Langdon stąpał po trawie obok innych, równie osłupiałych gości, z których większość wybierała teraz miejsce, żeby się usadowić. Starannie przystrzyżony trawnik miał wielkość boiska hokejowego, a z każdej strony otaczały go drzewa, kostrzewy i pałki,

które szumiały na wietrze.

Langdon potrzebował kilku chwil, żeby sobie uświadomić, że otacza go iluzja – olbrzymie dzieło sztuki.

„Znajdujemy się w nietypowym planetarium” – pomyślał, podziwiając niesamowitą dbałość o wszystkie szczegóły dekoracji.

Gwiazdy na niebie, księżyc, płynące chmury i majaczące w oddali wierzchołki gór były projekcją. Szeleszczące trawy i drzewa naprawdę stały na swoich miejscach – albo ich doskonałe imitacje, albo niewielki zagajnik posadzony w doniczkach. Roślinność rozmieszczono tak sprytnie, by zasłaniała krańce wielkiego pomieszczenia, sprawiając wrażenie środowiska naturalnego.

Langdon przykucnął, żeby dotknąć trawy. Miękka w dotyku, sprawiała wrażenie naturalnej, choć była całkiem sucha. Czytał o nowej technologii produkcji sztucznych trawników, których od razu nie rozpoznają nawet zawodowi sportowcy, ale Kirsch poszedł jeszcze krok dalej, zadbał bowiem o nierówności terenu, tworząc pagórki i błotniste zagłębienia jak na prawdziwej łące.

Langdon przypomniał sobie, kiedy po raz pierwszy oszukały go zmysły. Jako dziecko siedział w małej łodzi płynącej przez oświetlony blaskiem księżyca port, w którym rozlegała się ogłuszająca kanonada dział zacumowanego tam pirackiego statku.

Umysł małego Roberta za nic nie chciał się pogodzić z faktem, że to wcale nie jest port, tylko olbrzymia podziemna sala widowiskowa w Disneylandzie, którą zalano wodą, żeby zabierać zwiedzających na przejażdżkę w towarzystwie piratów z Karaibów.

Otoczająca go łąka wyglądała zdumiewająco realistycznie. Langdon widział, że zachwyt i zdumienie wszystkich dookoła są tak samo wielkie jak jego. Po raz kolejny musiał docenić Edmonda – nie tyle za stworzenie tej cudownej iluzji, ile za przekonanie setek dorosłych ludzi, żeby zdjęli buty, zalegli na trawie i gapili się w niebo.

„Robiliśmy to jako dzieci, ale prędzej czy później każdy z nas przestał”.

Langdon położył się, oparł głowę na poduszce i czuł, jak jego ciało zapada się w trawie.

Obserwował połyskujące nad głową gwiazdy i na chwilę znów stał się nastolatkiem leżącym wśród zieleni w alei na polu golfowym Bald Peak obok swojego najlepszego przyjaciela, z którym przez pół nocy dyskutowali o tajemnicach życia. „Przy odrobinie szczęścia Edmond Kirsch może niektóre z nich wyjawić dziś wieczorem” – pomyślał.

W tym samym momencie admirał Luis Ávila po raz ostatni przestudiował rozkład pomieszczenia, po czym cicho się cofnął i niezauważony wsunął się za tę samą kurtynę, przez którą dopiero co wszedł. Stojąc samotnie w tunelu, wodził dłonią po ścianie, dopóki nie natrafił na złączenie. Cicho rozpiął rzepy, rozsunał dwie czarne płachty, przeszedł

przez ścianę i zapiął rzepy za sobą.

Iluzja wyparowała.

Ávila nie stał już na łące.

Znajdował się w olbrzymiej prostokątnej sali, pośrodku której wypiętrzał się owalny pęcherz. „Umieścili jedno pomieszczenie w drugim”. Nad kopułą kryjącą widownię unosił się potężny szkielet rusztowań z plataniną kabli rozciągniętych między kolumnami głośnikowymi oraz reflektorami. Jeszcze wyżej wisiały skierowane do dołu projektory rzucające szerokie snopy światła na półprzezroczysty dach kopuły, dzięki czemu powstawało wrażenie rozgwieżdżonego nieba i majaczących na horyzoncie wzgórz.

Ávila podziwiał zacięcie gospodarza wieczoru do teatralnych gestów, choć oczywiście Kirsch nie miał pojęcia, jaki dramat niebawem rozegra się w tej scenerii.

„Nie zapominaj, jaka jest stawka. Jesteś żołnierzem na słusznej wojnie. Częścią wielkiego planu”.

Ávila przepowiadał sobie w myślach scenariusz działania. Sięgnął do kieszeni po swój ogromny różaniec. W tej samej chwili pod kopułą rozległy się słowa dudniące niczym głos samego Boga.

– Dobry wieczór, przyjaciele. Nazywam się Edmond Kirsch.

Rozdział 16

Rabin Köves spacerował nerwowo po nie najlepiej oświetlonym wnętrzu swojej zorganizowanej w ogrodowym *házikó* pracowni, przerzucając kanały telewizyjne w oczekiwaniu na dalsze wiadomości od biskupa Valdespina.

Mniej więcej dziesięć minut temu kilka rozgłośni przerwało program, żeby przenieść widzów do muzeum w Bilbao. W oczekiwaniu na rozpoczęcie transmisji komentatorzy przypominali osiągnięcia Kirscha i spekulowali na temat treści tajemniczego oświadczenia, które miał wygłosić. Köves wzdrygnął się na myśl o skali zainteresowania tym wydarzeniem.

„Widziałem już to, co zaraz zobaczą oni”.

Przed trzema dniami na górze Montserrat Edmond Kirsch pokazał jemu, al-Fadlowi i Valdespinowi próbny, jak twierdził, montaż swojej prezentacji, ale teraz Köves podejrzewał, że za chwilę świat zobaczy dokładnie to samo co oni.

„Nic już nie będzie takie samo” – pomyślał ze smutkiem.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek telefonu. Pośpiesznie sięgnął po aparat.

Valdespino zaczął bez zbędnych wstępów.

– Yehuda, niestety znów mam złe wiadomości.

Smutnym głosem zrelacjonował potworne doniesienie, które właśnie otrzymał z Emiratów Arabskich.

Z przerażenia Köves zakrył usta dłonią.

– Allamah al-Fadl popełnił samobójstwo?

– Tak podejrzewają władze. Został znaleziony w sercu pustyni, zupełnie jakby poszedł tam właśnie po to, żeby umrzeć. – Valdespino zrobił pauzę. – Mogę się tylko domyślać, że nie wytrzymał napięcia ostatnich dni.

Köves przez chwilę rozważał jego słowa, czując smutek i konsternację. Także jemu nie dawały spokoju implikacje ustaleń Kirscha, ale myśl, że allamah al-Fadl w akcie desperacji odebrał sobie życie, wydała mu się nieprawdopodobna.

– Coś mi tu nie pasuje – oznajmił rabin. – Nie wierzę, że zrobiłby coś takiego.

Valdespino milczał przez dłuższą chwilę.

– Cieszę się, że to mówisz – zgodził się w końcu. – Muszę przyznać, że ja też nie mogę się pogodzić z myślą, że to było samobójstwo.

– W takim razie kto ponosi odpowiedzialność?

– Ktoś, kto chciał zachować odkrycie Kirscha w tajemnicy – bez wahania odpowiedział biskup. – Ktoś, kto tak jak my wierzył, że prezentacja futurysty odbędzie się za kilka tygodni.

– Ale przecież Kirsch twierdził, że nikt inny nie wie o jego badaniach! – zaproponował Köves. – Oprócz ciebie, allamaha al-Fadla i mnie.

– Może Kirsch kłamał także w tej sprawie. Ale nawet jeśli my trzej byliśmy jedynymi ludźmi, których poinformował o wyniku swojej pracy, to nie zapominaj, że al-Fadl stanowczo się domagał ujawnienia tego, co wiemy. Niewykluczone, że podzielił się tą wiedzą z kimś w Emiratach Arabskich, i może ten ktoś uznał, tak jak ja, że ujawnienie rewelacji Kirscha źle się skończy.

– Co sugerujesz? – w pytaniu rabina pobrzmiwała złość. – Że al-Fadla zabił któryś ze współpracowników, bo chciał go uciszyć? To niedorzeczne!

– Rabinie – odparł biskup spokojnym tonem. – Nie mam pojęcia, co się stało. Snuję tylko domysły, podobnie jak ty.

Köves odetchnął.

– Przepraszam. Wciąż próbuję się pogodzić ze śmiercią Syeda.

– Tak jak ja. Jeśli Syed został zamordowany, to także my musimy na siebie uważać.

Niewykluczone, że to samo grozi i tobie, i mnie.

Köves zastanowił się nad tym.

– Gdy rewelacje Kirscha zostaną ujawnione, nie będziemy już istotni.

– Racja. – Valdespino westchnął ze zmęczeniem. – Chyba jednak będę musiał się pogodzić z faktem, że moje modlitwy nie zostaną wysłuchane.

Köves zadał sobie pytanie, czy biskup naprawdę się modlił o to, żeby Bóg nakłonił Kirscha do zmiany zdania.

– Nawet po ujawnieniu jego ustaleń nie jesteśmy bezpieczni – stwierdził Valdespino. – Obawiam się, że Kirsch z wielką przyjemnością poinformuje media o konsultacjach, które trzy dni temu przeprowadził z trzema prominentnymi duchownymi. Zaczynam się zastanawiać, czy kierowały nim wyłącznie względy etyczne, gdy poprosił mnie o zorganizowanie tego spotkania. Jeśli wymieni nas z nazwiska, to i ty, i ja staniemy się przedmiotem drobiazgowych dociekań, a może nawet krytyki ze strony wiernych, którzy mogą dojść do wniosku, że powinniśmy byli coś z tym zrobić.

Przepraszam, ale ja po prostu... – Biskup się zawahał, jakby chciał coś jeszcze dodać.

– O co chodzi? – naciskał Köves.

– Porozmawiamy o tym później. Zadzwoń do ciebie znowu, gdy już będziemy wiedzieli, jak Kirsch się zachował podczas swojego wystąpienia. Do tego czasu, proszę, zostań w domu, zamknij drzwi i z nikim się nie kontaktuj. Uważaj na siebie!

– Martwisz mnie, Antonio.

– Nie taki miałem zamiar – odparł Valdespino. – Możemy już tylko czekać na reakcję świata. Teraz wszystko jest w rękach Boga.

Rozdział 17

Na chłodzonej delikatnym wiatrem łące w gmachu Muzeum Guggenheima zapanowała cisza, gdy z nieba rozległ się głos Edmonda Kirscha. Setki gości leżących na kocach wpatrywały się w jaśniejące nad ich głowami gwiazdy. Robert Langdon, który usadowił się mniej więcej pośrodku, czuł narastające zniecierpliwienie.

– Dziś wieczorem znów bądźmy dziećmi – odezwał się ponownie głos Kirscha. – Leżąc pod gwiazdami, otwórzmy umysł na wszystkie możliwości.

Langdon czuł panującą ekscytację.

– Dziś wieczorem znów bądźmy odkrywcami – zachęcał Kirsch. – Tak jak oni, zostawmy wszystko za sobą i wyruszmy na bezkresne oceany. Zamieńmy się w garstkę tych, którzy jako pierwsi zobaczyli nigdy wcześniej niewidziany ląd i padli na kolana, gdy ze zdumieniem zdali sobie sprawę z faktu, że świat jest większy, niż ich filozofowie ośmielali się zakładać. Gdy w obliczu nowego odkrycia ich dawne przekonania legły w gruzach. Z takim nastawieniem obserwujmy wydarzenia dzisiejszego wieczoru.

„Imponujące” – pomyślał Langdon, zastanawiając się, czy słyszy wcześniej nagrany tekst, czy też Edmond siedzi gdzieś za kulisami i czyta swoje wystąpienie z kartki.

– Przyjaciele! – Głos Edmonda nadal dobiegał spomiędzy gwiazd. – Zebraliśmy się tutaj, żeby się zapoznać z ważnym odkryciem. Proszę was o wyrozumiałość dla sposobu, w jaki zamierzam je przedstawić. Jak zawsze wtedy, gdy następuje wielka zmiana w paradygmacie myślenia, dziś musimy przede wszystkim zrozumieć kontekst, w którym się ta zmiana dokonuje.

Natychmiast po tych słowach w oddali przetoczył się grzmot. Langdon czuł, jak głęboki bas głośników niskotonowych przenika go do szpiku kości.

– W atmosferę wieczoru wprowadzi nas ktoś wyjątkowy – kontynuował Edmond.

– Jest wśród nas wybitny naukowiec, legenda w świecie symboli, szyfrów, historii, religioznawstwa i sztuki, a także mój wielki przyjaciel. Panie i panowie, powitajcie profesora Uniwersytetu Harvarda, pana Roberta Langdona.

Langdon uniósł się wsparty na łokciach, obserwując entuzjastyczną reakcję leżących. Po

chwili nad ich głowami zamiast nieba pojawiło się szerokokątne zdjęcie wypełnionej ludźmi sali wykładowej. Na katedrze stał on sam. Ubrany w tweedową marynarkę przemawiał do słuchającej go w skupieniu publiczności.

„Więc to jest rola, o której wspominał Edmond!” – pomyślał, z lekkim zaniepokojeniem opadając z powrotem na trawę.

– Pierwsi ludzie patrzyli na otaczający ich świat ze zdumieniem – odezwał się wyświetlany na suficie Langdon. – Zwłaszcza na zjawiska, których nie potrafili sobie racjonalnie wytłumaczyć. Aby oswoić część tych tajemnic, stworzyli okazały panteon bogów i bogiń, którzy tłumaczyli inaczej niemożliwe do wyjaśnienia na ich poziomie wiedzy zjawiska: wyładowania atmosferyczne, pływy, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów, nieplodność, plagi, a nawet miłość.

„To czysty surrealizm!” – mruknął pod nosem Langdon, obserwując samego siebie nad własną głową.

– Starożytni Grecy przypływy i odpływy morskie przypisywali zmiennym nastrojom Posejdona.

Wyświetlany na suficie obraz Langdona zniknął, ale jego głos mówił dalej.

Fale przyboju uderzyły o piach, wprawiając w drżenie łąkę, na której leżeli.

Langdon ze zdumieniem obserwował, jak kłęby morskiej piany przeistaczają się w smagane wiatrem sterty śniegu w bezkresnej tundrze. Nie wiadomo skąd na zielonej łące zerwał się zimny wiatr.

– Nadejście zimy było tłumaczone jako objaw smutku wywołanego powrotem Persefony do świata podziemnego.

Wiatr się ocieplił, a z zaśnieżonego krajobrazu wyłoniła się góra, która rosła coraz wyżej, a z jej wierzchołka zaczęły się dobywać iskry, dym i lawa.

– Mieszkańcy starożytnego Rzymu wierzyli, że wulkany są domem kowala bogów Wulkana pracującego pod powierzchnią góry w gigantycznej kuźni, z której buchają płomienie.

Gdy Langdon poczuł zapach siarki, z uznaniem pomyślał, że Edmond zamienił jego wykład w przedstawienie multimedialne.

Dudnienie wulkanu raptownie ustało. W ciszy znów rozdzwoniły się cykady, a żdźbłami traw ponownie poruszył ciepły wietrzyk.

– Starożytni wymyślili niezliczonych bogów, którzy wyjaśniali nie tylko zjawiska zachodzące na powierzchni planety, lecz także tajemnice ludzkiego ciała – kontynuował głos Langdona.

Nad głowami znów pojawiły się migotliwe gwiazdy, teraz połączone z wizerunkami różnych bóstw, które symbolizowały.

– Bezpłodność była konsekwencją utraty łask Junony. Miłość rozumiano jako skutek strzały Erosa, epidemie zaś uznawano za kary zsyłane przez Apolla.

Teraz niebo rozświetliły nowe przedstawienia bogów.

– Jeśli czytaliście moje książki, to zapewne jest wam znane moje określenie „bóg luki” – kontynuował głos Langdona przez głośniki. – Odwołuje się ono do faktu, że ilekroć starożytni natrafiali na lukę we własnej wiedzy, tworzyli sobie jakiegoś boga, żeby ją zapełnić.

Na niebie pojawił się teraz wielki kolaż obrazów i posągów przedstawiających starożytne bóstwa.

– Niezliczeni bogowie wypełniali niezliczone luki, ale przecież z czasem ludzka wiedza stawała się coraz obszerniejsza. – Bogów na niebie nad ich głowami zastąpiły symbole matematyczne i techniczne. – Gdy stopniowo znikwały luki w naszym rozumieniu świata natury, panteon bogów zaczął się kurczyć.

Na pierwszym planie pojawił się Posejdon.

– I tak na przykład gdy się dowiedzieliśmy, że pływy morskie są spowodowane fazami księżyca, Posejdon stał się zbędny, uznaliśmy go więc za głupi mit z czasów ciemnoty i uprzedzeń.

Figura boga mórz rozplynęła się niczym kłęb dymu.

– Jak wiecie, ten sam los spotkał wszystkich bogów, którzy umierali jeden po drugim, nie mogąc sprostać naszemu rosnącemu intelektowi.

Wyobrażenia bogów nad głowami zaczęły stopniowo się rozplýwać. Zniknął bóg grzmotów i błyskawic, bóg trzęsień ziemi, bóg zarazy i tak dalej.

Gdy znaczna liczba bóstw zniknęła, Langdon dodał:

– Nie wyciągajcie jednak pochopnych wniosków. Bogowie „nie weszli łagodnie w tę dobrą noc”. Kultura nie porzuca swoich bóstw aż tak łatwo. Wierzenia są nam zaszczepiane na wczesnym etapie życia przez tych, których kochamy i którym ufamy najbardziej: naszych rodziców, nauczycieli i przywódców religijnych. Dlatego każda zmiana w obszarze duchowości wymaga wielu pokoleń, często też dokonuje się w atmosferze niepokojów, a nawet w wyniku rozlewu krwi.

Teraz bogowie znikali jeden po drugim przy akompaniamencie szczęku mieczy i krzyków. Wreszcie pozostał obraz jednego boga o mądrej twarzy i długiej białej brodzie.

– Zeus. – Langdon mówił silnym głosem. – Bóg wszystkich bogów. To jego ludzie najbardziej się bali i jemu oddawali najwyższą cześć wśród pogańskich bóstw. On też najskuteczniej ze wszystkich bogów opierał się śmierci, wściekle walcząc o to, by nie zgaszono przed nim światła – zresztą tak samo jak wcześniej wszyscy bogowie, których zastąpił.

Przez sufit przemknęły obrazy Stonehenge, sumeryjskich tabliczek z pismem klinowym oraz wielkich piramid w Egipcie. Potem powróciła twarz Zeusa.

– Wyznawcy tak bardzo nie chcieli się rozstać ze swoim bogiem, że walczące z nim chrześcijaństwo nie miało innego wyjścia, jak tylko nadać swojemu nowemu bogu jego starą twarz.

Zeus na suficie powoli przeistoczył się we fresk przedstawiający identyczną brodatą twarz, z którą Michał Anioł namalował chrześcijańskiego Boga w *Stworzeniu Adama* na suficie Kaplicy Sykstyńskiej.

– Dzisiaj już nie wierzymy w opowieści o Zeusie, chłopcu wychowanym przez kozę, który dzięki cyklopom uzyskał nadludzką moc. Wiemy, że współczesna nauka klasyfikuje jego historię jako mitologię, uznajemy ją więc za uroczą powiastkę, z której czerpiemy wiedzę o naszej pełnej przesądów przeszłości.

Teraz na suficie wyświetlała się fotografia zakurzonej półki bibliotecznej, na której oprawne w skórę tomy o mitologii greckiej stały zapomniane obok rozpraw poświęconych mocom natury, Baalowi, Inanie, Ozyrysowi i wielu innym wczesnym teologiom.

– Teraz patrzymy na świat inaczej – oznajmił mocny głos Langdona. – Jesteśmy przedstawicielami nowej generacji.

Widzowie mieli przed oczami zupełnie inne obrazy: rozświetlony kosmos, układy scalone, laboratorium medyczne, akcelerator cząstek elementarnych, ryczący silnik odrzutowy.

– Jesteśmy gatunkiem zaawansowanym intelektualnie i uzdolnionym technicznie.

Nie wierzymy w kuźnie gigantycznych kowali umieszczone pod kraterami wulkanów ani w bogów decydujących o porach roku i pływach morskich.

– Czy na pewno? – mruknął Langdon równocześnie z nagraniem.

– Czy na pewno? – zawtórował mu głos spod sufitu. – Uważamy się za stworzenia racjonalne i nowoczesne, ale z drugiej strony najliczniej wyznawana przez nas religia obejmuje cały zestaw elementów magicznych: ludzie w niewyjaśniony sposób ożywają, dziewice wydają na świat potomstwo, mściwi bogowie zsyłają na ziemię plagi albo pokarm, a po śmierci czeka nas życie wśród chmur na niebie lub w ognistym piekle.

Słowom Langdona towarzyszyły dobrze znane chrześcijańskie obrazy Zmartwychwstania, Matki Bożej, Arki Noego, przejścia przez Morze Czerwone, piekła i nieba.

– Wyobraźmy sobie teraz, jak zareagują przyszli antropologowie i historycy – poprosił Langdon. – Czy z perspektywy czasu spojrzą na nasze przekonania religijne i uznają je za mitologię czasów ciemnoty? Czy spojrzą na naszych bogów tak, jak my patrzymy na Zeusa? Czy nasze święte księgi umieszczą na zakurzonej bibliotecznej półce?

Pytanie zawisło w ciemności.

Potem nagle ciszę przerwał głos Edmonda Kirscha.

– Tak, panie profesorze – odpowiedział przez głośniki pod sufitem. – Jestem absolutnie przekonany, że tak właśnie się stanie. Nie mam wątpliwości, że przyszłe pokolenia będą się zastanawiały, jak to możliwe, że gatunek używający tak zaawansowanych technologii, jakie obecnie wykorzystujemy, mógł dawać wiarę temu, co głoszą współczesne religie.

Głos Kirscha stawał się mocniejszy, gdy na ekranie pojawiały się nowe obrazy: Adam i Ewa, kobieta w burce, hindus idący po rozżarzonych węglach.

– Nie mam wątpliwości. Przyszłe pokolenia dojdą do wniosku, że żyliśmy w czasach ciemnoty. Jako dowód wskażą nasze przekonanie, że zostaliśmy stworzeni w rajskim ogrodzie, że nasz wszechmocny stwórca wymaga, aby kobiety zakrywały głowę, albo że czcimy bogów, ryzykując poparzenie.

Przez sufit przemknęły obrazy ceremonii religijnych z całego świata, od egzorcyzmów i chrztu po przekłuwanie ciała oraz składanie ofiar ze zwierząt. Na koniec zebrani obejrzelni zatrważający film, na którym hinduski mnich wymachiwał niemowlęciem, stojąc na krawędzi piętnastometrowej wieży. Po chwili rozluźnił uchwyt i dziecko spadło, lądując na kocu, który rozradowani wieśniacy rozciągali u stóp wieży.

„Rytuał w świątyni Griszneśwar” – pomyślał Langdon i przypominał sobie, że upuszczając dziecko z wieży tej świątyni, kapłan ma zapewnić mu bożą łaskę.

Na szczęście przerażający film szybko się skończył.

W zupełnej ciemności Kirsch kontynuował.

– Jak to możliwe, że zdolny do logicznej analizy umysł współczesnego człowieka pozwala nam akceptować religijne przekonania, które nie wytrzymują choćby pobieżnej krytyki rozumu?

Nad głowami gości znów rozbłysnęły gwiazdy.

– Okazuje się, że odpowiedź na to pytanie jest całkiem prosta.

Gwiazdy nagle pojaśniały i stały się wyraźniejsze. Równocześnie wyrosły między nimi cienkie włókna, splatając je w pozornie nieskończoną sieć połączonych węzłów.

„Neurony” – pomyślał Langdon, zanim znów odezwał się Edmond.

– Ludzki mózg. Dlaczego wierzy w to, w co wierzy?

Klika węzłów błysnęło jaśniej, wysyłając impuls elektryczny do pozostałych neuronów.

– Niczym komputer organiczny, nasz mózg ma system operacyjny, czyli zestaw reguł organizujących i definiujących chaotyczne dane wejściowe, które otrzymuje przez cały dzień – mowa, chwytliwa piosenka, dźwięk syreny, smak czekolady. Jak sobie możemy wyobrazić, strumień danych na wejściu jest bezładny i niepohamowany, a mózg musi je zinterpretować. Otóż postrzeganie otaczającej rzeczywistości zdefiniowane jest właśnie

przez system operacyjny naszego mózgu. Niestety padliśmy ofiarą ponurego dowcipu, bo autor tego systemu, kimkolwiek był, miał specyficzne poczucie humoru.

Innymi słowy, to nie jest nasza wina, że wierzymy w różne dziwactwa.

Synapsy nad głowami gości zaskwierczały i pojawiły się znajome obrazy: mapy astrologiczne, Jezus spacerujący po wodzie, twórca scjentologii L. Ron Hubbard, egipski bóg Ozyrys, czwororęki hinduski bóg o głowie słonia Ganeśa i marmurowy posąg Matki Boskiej roniący prawdziwe łzy.

– Jako programista musiałem sobie zadać to pytanie: jaki dziwaczny system operacyjny zwróciłby na wyjściu takie nielogiczne dane? Otóż gdybyśmy mogli zajrzeć do ludzkiego umysłu i odczytać jego system operacyjny, znaleźlibyśmy coś takiego.

Nad głowami leżących pojawiły się cztery gigantyczne słowa.

ODRZUCAJ CHAOS

TWÓRZ ŁAD

– Tak wygląda kod źródłowy naszego umysłu – oznajmił Edmond. – To on określa podstawową inklinację istot ludzkich: przeciwko chaosowi, za ładem i porządkiem.

Pomieszczenie zadrżało od kakofonii granych na fortepianie, fałszywie brzmiących dźwięków, jakby dziecko waliło w klawiaturę. Langdon odruchowo naprężył mięśnie, podobnie jak wszyscy wokół niego.

Edmond przekrzykiwał hałas:

– Skutek przypadkowego uderzania w klawiaturę fortepianu jest naprawdę nieznośny. Jeśli jednak weźmiemy te same dźwięki i ułożymy w innej kolejności, próbując jakoś je uporządkować... – zaakcentował ostatnie słowo.

Kakofonia przekształciła się w kojącą melodię *Światła księżyca* Debussy’ego.

Langdon poczuł, że się rozluźnia, a niepokój panujący wśród gości znika.

– Teraz te same dźwięki tego samego instrumentu mózg przyjmuje z zadowoleniem. Ale Debussy odpowiednio je skomponował, tworząc pewien ład. To samo zadowolenie odczuwamy, układając puzzle albo prostując wiszący krzywo obraz.

Predyspozycję do porządku mamy zapisaną w DNA, nie zaskakuje więc, że największym wynalazkiem człowieka jest komputer, czyli maszyna skonstruowana po to, żeby pomóc mu tworzyć ład z chaosu. Hiszpanie określają komputer słowem *ordenador*, które dosłownie znaczy „ten, który porządkuje”.

Na kopule pojawiło się zdjęcie młodego człowieka siedzącego samotnie przy terminalu olbrzymiego superkomputera.

– A teraz sobie wyobraźcie, że dysponujecie potężnym superkomputerem, który ma dostęp do wszystkich informacji z całego świata, i możecie korzystać z niego w dowolny sposób. Otóż bardzo prawdopodobne, że zadalibyście maszynie jedno z dwóch

fundamentalnych pytań, które towarzyszą człowiekowi, odkąd zyskał świadomość.

Młody człowiek wystukiwał na klawiaturze tekst, który natychmiast pojawiał się na ekranie.

Skąd przyszliśmy?

Dokąd idziemy?

– Inaczej mówiąc, zapytalibyście o swoje pochodzenie i o swoje przeznaczenie – kontynuował Edmond. – A na to pytanie komputer odpowiedziałby następująco:

DANE NIEWYSTARCZAJĄCE DO UDZIELENIA PRECYZYJNEJ ODPOWIEDZI

– Odpowiedź daleka od wyczerpującej, ale przynajmniej szczera.

Na wyświetlaczu pojawił się obraz ludzkiego mózgu.

– Jeśli jednak zadacie to samo pytanie komputerowi biologicznemu, stanie się coś zgoła innego. Spróbujmy: skąd przyszliśmy?

Z mózgu wypłynął strumień religijnych obrazów: Bóg wyciągający rękę do dłoni Adama, żeby go natchnąć życiem; Prometeusz lepiący człowieka z gliny zmiękczonej łzami, Brahma tworzący ludzi z różnych części własnego ciała, afrykański bóg rozdzielający chmury, by sprowadzić człowieka na ziemię, skandynawski bóg rzeźbiący człowieka z dryfującego drewna.

– Zadajmy teraz drugie pytanie: dokąd idziemy?

Mózg wyrzucił kolejne obrazy: czyste niebo, ognie piekielne, hieroglify ze staroegipskiej *Księgi umarłych*, kamienne rzeźby bóstw astralnych, greckie wyobrażenie Pól Elizejskich, kabalistyczne opisy gilgul neszamot, buddyjskie i hinduistyczne diagramy reinkarnacji, kręgi teozoficzne w Summerland.

– Ludzki umysł uważa, że lepsza jest jakakolwiek odpowiedź niż żadna – wyjaśnił Edmond. – Odczuwamy dyskomfort, gdy dane są niewystarczające do udzielenia precyzyjnej odpowiedzi, dlatego mózg wymyśla sobie dane, oferując nam coś, co w najlepszym wypadku możemy nazwać iluzją porządku. Tak powstały miriady filozofii, mitologii i religii mających nas zapewnić, że w świecie niewidzialnym panuje ład.

Gdy przez ekran przebiegały kolejne sceny religijne, Edmond mówił z rosnącym zaangażowaniem.

– Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy? Niemal obsesyjnie zadawałem sobie te dwa pytania i przez długie lata mogłem tylko marzyć, że kiedyś znajdę na nie odpowiedź. – Edmond zawiesił głos, po czym kontynuował ponurym tonem. – Niestety przez dogmaty wiary miliony ludzi uważa, że znają już odpowiedź na obydwa te pytania. A ponieważ różne religie odpowiadają na nie w różny sposób, jesteśmy świadkami międzykulturowej wojny o to, które odpowiedzi są poprawne i która wersja historii o bogu jest prawdą.

Na sklepieniu wyświetliły się obrazy strzelających żołnierzy i wybuchających pocisków

moździerzowych, a po nich wizerunki ofiar tej brutalnej walki: płaczący uchodźcy, przesiedlone rodziny, zwłoki cywilów.

– Wraz z pojawieniem się na świecie religii między przedstawicielami naszego gatunku rozpoczęły się podziały. Ateiści, chrześcijanie, muzułmanie, żydzi, hinduiści – wszyscy walczą ze wszystkimi, a jedyne, co nas łączy, to przemożne pragnienie pokoju.

Po obrazach wojny znów nad ich głowami było widać rozgwieżdżone niebo.

– Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyśmy poznali odpowiedź na najważniejsze pytania ludzkości, gdyby nagle znalazł się jakiś dowód, którego nie dałoby się podważyć, który moglibyśmy jedynie przyjąć z otwartymi ramionami. My wszyscy, cała ludzkość.

Na ekranie zobaczyli księdza modlącego się z zamkniętymi oczami.

– Poszukiwania duchowe zawsze były domeną religii, a to sprzyja ślepej wierze w jej nauczanie, nawet jeśli nie ma ono sensu z logicznego punktu widzenia.

Obok duchownego pojawili się teraz wyznawcy, wszyscy z zamkniętymi oczami, którzy w religijnym uniesieniu klęczeli pogrążeni w modlitwie, bili pokłony albo intonowali sakralne pieśni.

– Religia z definicji wymaga uwierzenia w coś, co jest niewidzialne i niedefiniowalne, przyjęcia za fakt czegoś, na co nie ma żadnych empirycznych dowodów. Jest więc całkowicie zrozumiałe, że różni ludzie wierzą w różne rzeczy, skoro żadna uniwersalna prawda nie istnieje. – Zawiesił głos. – Ale...

Miejsce rozmodlonych ludzi na ekranie zajęła kobieta z wielką uwagą i zaciekawieniem patrząca w okular mikroskopu.

– Nauka jest antytezą wiary – kontynuował Kirsch. – Nauka z definicji próbuje znaleźć dowód empiryczny na to, co jeszcze nie zostało poznane i zdefiniowane. Odrzuca przesady i błędne przekonania na rzecz dających się zaobserwować faktów. Gdy nauka znajduje ostateczną odpowiedź na jakieś pytanie, jest to odpowiedź uniwersalna. Ludzie nie toczą o nią wojen, lecz jednomyślnie ją akceptują.

Pod sufitem wyświetliły się zdjęcia z laboratoriów NASA, CERN i kilku innych.

Naukowcy różnych ras podskakiwali z radości, padając sobie w objęcia po dokonaniu kolejnego odkrycia.

– Drodzy przyjaciele – Edmond zniżył głos do szeptu. – Wiele razy przedstawiałem prognozy. Zrobię to również za chwilę. – Wziął głęboki, powolny wdech. – Era religii dobiega końca – oznajmił. – Właśnie rozpoczyna się era nauki.

Zapadła cisza.

– Dziś wieczorem ludzkość postawi wielki krok w tym kierunku.

Po tych słowach Langdon poczuł zimny dreszcz. Nie miał pojęcia, czym się okaże odkrycie Edmonda, ale jedno było pewne: jego dawny student szykował się do ostatecznej

rozgrywki z religiami tego świata.

Rozdział 18



ConspiracyNet.com

NAJŚWIEŻSZE WIADOMOŚCI NA TEMAT EDMONDA KIRSCHA *PRZYSZŁOŚĆ BEZ RELIGII?*

Wszystko na to wskazuje, że podczas transmisji na żywo, która obecnie dociera do rekordowej liczby trzech milionów widzów, futurysta Edmond Kirsch przedstawi wyniki badań naukowych, które mają dać odpowiedź na dwa odwieczne pytania ludzkości.

Po odtworzonym na wstępie z taśmy intrygującym zagajeniu harwardzkiego profesora Roberta Langdona, Edmond Kirsch z demaskatorską pasją podjął krytykę przekonań religijnych, którą zakończył odważnym stwierdzeniem: „Era religii dobiega końca. Właśnie rozpoczyna się era nauki”.

Dotychczas znany ateista przemawia w sposób stonowany, okazując religii więcej szacunku niż zwykle. Wcześniejsze, znacznie ostrzejsze antyreligijne wystąpienia Kirscha są dostępne tutaj.

Rozdział 19

Za kopułą, w której trwała prezentacja, admirał Ávila zajmował pozycję, kryjąc się za labiryntem rusztowań konstrukcyjnych. Kucnął, żeby nie zdradził go cień rzucony na wykonane z materiału ściany, podszedł kawałek dalej i schował się bliżej przedniej części audytorium, tuż przy tekstylnej powierzchni.

Poruszając się jak najciszej, sięgnął do kieszeni po różaniec.

„Będiesz miał tylko jedną szansę”.

Przesuwając dłonią wzdłuż sznura paciorków, znalazł ciężki metalowy krucyfiks.

Cieszył się, że żaden z ochroniarzy obsługujących bramkę wykrywacza metalu nie chciał go obejrzeć dokładnie.

Posługując się ostrzem ukrytym w najdłuższym ramieniu krzyża, admirał Ávila zrobił w tkaninie piętnastocentymetrowe nacięcie. Ostrożnie rozchylił krawędzie materiału i zajrzał do innego świata – otoczonej drzewami łąki, na której setki ludzi gapiły się w niebo, leżąc na kocach.

„Nawet sobie nie wyobrażają, co ich czeka”.

Ávila z ulgą zauważył, że obydwaj funkcjonariusze Guardia Real zajęli pozycje po przeciwnej stronie, w prawej przedniej części widowni. Stali w pełnej gotowości, dyskretnie ukryci pod drzewami. Dzięki panującemu pod kopułą półmrokowi zobaczą go dopiero w ostatniej chwili, gdy będzie już za późno.

Oprócz gwardzistów królewskich jedyną osobą w całym pomieszczeniu, która stała, była dyrektor muzeum Ambra Vidal. Prezentację Kirscha oglądała z widocznym zażenowaniem.

Zadowolony ze swojej pozycji Ávila z powrotem zsunął krawędzie materiału i skupił całą uwagę na różańcu. Zawieszony na jego końcu krucyfiks jak większość przedstawień krzyża miał dwa krótsze ramiona stanowiące poprzeczną belkę. Różnił się jednak tym, że tutaj ramiona przy pionowej belce trzymały się dzięki magnesowi, można więc było je odczepić.

Ávila chwycił jedno z ramion krzyża i silnie zgiął. Metalowy pręt się oderwał,

uwalniając ze środka niewielki przedmiot. To samo zrobił z drugiej strony, pozbawiając krzyż ramion. Teraz na końcu sznura paciorków wisiał tylko podłużny graniastosłup.

Admirał schował różaniec z powrotem do kieszeni. „Później jeszcze będzie mi potrzebny”. Skupił się na dwóch małych przedmiotach, które wypadły z ramion krzyża.

Dwa pociski krótkiego zasięgu.

Sięgnął za plecy, wsunął dłoń za pasek spodni i wyjął stamtąd przedmiot, który przemycił pod marynarką.

Upłynęło kilka lat, odkąd młody Amerykanin Cody Wilson zaprojektował i wykonał liberatora, pierwszy wydrukowany w technologii 3D plastikowy pistolet. Od tamtego czasu konstrukcję znacznie ulepszono. Wykonanemu w całości z ceramiki i polimerów pistoletowi nadal brakowało mocy, ale kiepską nośność z pewnością rekompensował fakt, że liberator był niewidzialny dla wykrywaczy metalu.

„Muszę tylko wystarczająco blisko podejść”.

Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, to lokalizacja, w której się znajdował, byłaby wręcz idealna.

Regentowi jakoś się udało zdobyć precyzyjne informacje o programie dzisiejszego wieczoru oraz plany budynku. Gdy przekazywał je Ávili, wyraźnie określił swoje oczekiwania. Misja była brutalna, ale słuchając bezbożnej preambuły Kirscha, admirał zyskiwał coraz większą pewność, że grzech, który za chwilę popełni, zostanie mu odpuszczony.

„Nasi wrogowie wypowiedzieli nam wojnę” – powiedział mu Regent. „Musimy ich zabić albo oni zabiją nas”.

Stojąc pod ścianą w prawej przedniej części widowni, Ambra Vidal miała nadzieję, że nie wygląda tak niezręcznie, jak się czuje.

„Edmond zapewniał, że chodzi o badania naukowe”.

To oczywiste, że czekała ją przeprawa z członkami rady nadzorczej muzeum, najbardziej jednak martwiły ją kwestie bardziej osobiste.

Kilka tygodni temu zwierzyła się pewnemu bardzo wpływowemu człowiekowi ze swojej roli w dzisiejszym przedsięwzięciu. Usilnie jej odradzał udział w tej imprezie.

Ostrzegł przed niebezpieczeństwami, jakie mogą się wiązać ze zorganizowaniem na terenie muzeum prezentacji, której treści nie zna, zwłaszcza gdy gospodarzem wieczoru ma być tak znany obrazoburca jak Edmond Kirsch.

„Praktycznie kazał mi wszystko odwołać” – przypomniała sobie. „Ale ten jego nieomylny ton zbyt mnie wtedy rozsierdził, żebym mogła uważnie słuchać”.

Teraz, stojąc samotnie pod rozgwieżdżonym niebem, Ambra zadawała sobie pytanie, czy

ten człowiek właśnie ogląda telewizyjną relację z muzeum i łapie się za głowę.

„Oczywiście, że ogląda” – pomyślała. „Pytanie brzmi raczej, jak bardzo się wkurzy”.

Arcybiskup Valdespino siedział sztywno przy swoim biurku we wnętrzach katedry Almudeny ze wzrokiem wbitym w ekran laptopa. Nie miał wątpliwości, że w pobliskim pałacu królewskim wszyscy oglądają transmisję, zwłaszcza księżę Julián, następca tronu Hiszpanii.

„Księżę się wścieknie!”

Tego wieczoru jedno z najbardziej szanowanych hiszpańskich muzeów otworzyło podwoje przed znanym amerykańskim ateistą, który zamierza zaprezentować coś, co różni myśliciele religijni już określili mianem bluźnierczego ataku na chrześcijaństwo.

Kontrowersje wokół tego wydarzenia były tym większe, że dyrektorka muzeum, które zgodziło się je współorganizować, spektakularnie piękna Ambra Vidal, dwa miesiące temu skradła serca wszystkich Hiszpanów i od tamtego czasu nie schodziła z pierwszych stron gazet. To niewiarygodne, że pani Vidal zaryzykowała utratę tego wszystkiego, przyjmując rolę gospodyni wieczoru, podczas którego otwarcie się atakuje Boga.

„Księżę Julián nie ma wyboru, będzie musiał to skomentować”.

Czekająca go rola katolickiego monarchy Hiszpanii nie była w tym kontekście najistotniejsza. Znacznie ważniejszy był fakt, że kilka miesięcy wcześniej księżę Julián wypowiedział publicznie słowa, po których na Ambrze Vidal skupiła się uwaga całego kraju.

Ogłosił ich zaręczyny.

Rozdział 20

Robert Langdon z niepokojem obserwował rozwój wydarzeń.

Prezentacja niebezpiecznie się zbliżała do publicznego potępienia doktryn religijnych. Langdon zaczął się zastanawiać, czy Edmond pamięta, że przemawia nie tylko do ateistów i agnostyków zebranych w tym pomieszczeniu, lecz także do milionów ludzi na całym świecie, którzy oglądają go w sieci.

„To wystąpienie z pewnością miało wywołać kontrowersje”.

Langdona niepokoiło też to, że pojawił się w programie wieczoru i choć Edmond niewątpliwie chciał w ten sposób złożyć mu hołd, to jednak Langdon już wcześniej wywołał pewną burzę religijną i raczej nie chciałby tego doświadczenia przeżywać ponownie.

Gdy stało się jasne, że Edmond Kirsch zamierza wypowiedzieć wojnę religii, Langdon zaczął też się zastanawiać, czy miał rację, kiedy nonszalancko zignorował wiadomość, którą na poczcie głosowej Edmonda zostawił biskup Valdespino.

Pod sufitem znów rozbrzmiewał głos Edmonda, a wyświetlany obraz zamienił się w kolaż symboli religijnych z całego świata.

– Muszę przyznać, że miałem wątpliwości odnośnie do dzisiejszego wystąpienia, zwłaszcza dotyczące wpływu mojej prezentacji na ludzi wierzących – wyznał Edmond z wahaniem w głosie. – Trzy dni temu zrobiłem coś, co raczej jest do mnie niepodobne.

Chcąc uszanować religijny punkt widzenia, a także aby ocenić, jak moje odkrycie może wpłynąć na ludzi różnych wyznań, w tajemnicy zasięgnąłem opinii trzech znaczących przywódców religijnych. Spotkałem się z przedstawicielami islamu, chrześcijaństwa i judaizmu, żeby przedstawić im moje odkrycie.

Przez widownię przetoczyły się ściszone pomruki.

– Tak jak oczekiwałem, wszyscy trzej zareagowali zaskoczeniem, troską i oczywiście złością na to, co im pokazałem. Mimo tej negatywnej reakcji chciałbym im podziękować za to, że zechcieli się ze mną spotkać. Wyświadczę im tę przysługę i nie ujawnię ich tożsamości, chciałbym jednak teraz zwrócić się bezpośrednio do nich i podziękować za to,

że nie próbowali przeszkadzać w dzisiejszym przedsięwzięciu.

Zawiesił głos.

– Bóg wie, że byliby do tego zdolni.

Langdon słuchał, zdumiony, jak sprawnie Edmond stąpa po bardzo cienkiej linie, zabezpieczając swoje pozycje. Decyzja o spotkaniu z przywódcami religijnymi sugerowała otwartość, zaufanie i bezstronność, z których Edmond nie był specjalnie znany. Langdon zaczął podejrzewać, że spotkanie w Montserrat było częścią planu badawczego, ale też działaniem wizerunkowym.

„Sprytna karta przetargowa” – pomyślał.

– W historii ludzkości ferwor religijny zawsze dławił postęp nauki, dlatego dzisiaj wieczorem apeluję do przywódców religijnych całego świata, żeby z umiarem zareagowali na to, co zamierzam ogłosić. Nie powtarzajmy krwawej przemocy, którą znamy z dziejów. Nie powielajmy błędów przeszłości.

Na wyświetlaczu pojawił się rysunek otoczonego murami antycznego miasta, idealnie okrągłej metropolii nad brzegiem płynącej przez pustynię rzeki.

Langdon natychmiast rozpoznał charakterystyczny okrągły kształt okalany trzema murami z zębatymi wystęgami blanków i otworami strzelniczymi.

– W ósmym wieku miasto Bagdad urosło do rangi największego centrum naukowego świata, zapraszając do swoich uniwersytetów i bibliotek przedstawicieli wszystkich religii, filozofii i nauk. Przez pięćset lat rodziły się tam odkrycia naukowe, jakich świat wcześniej nie widział, a ich znaczenie odczuwalne jest jeszcze we współczesnym świecie.

Nad głowami widzów znów rozbłysnęły gwiazdy, tym razem podpisane: Wega, Betelgeza, Rigel, Algebar, Deneb, Acrab, Kitalpha.

– Ich nazwy wywodzą się z arabskiego – powiedział Edmond. – Do dziś ponad dwie trzecie gwiazd na niebie nosi nazwy utworzone od słów w tym języku, ponieważ zostały odkryte przez astronomów ze świata arabskiego.

Sklepienie kopuły nagle zapełniło się tak wielką liczbą arabskich nazw, że niemal całkowicie zakryły one niebo. Po chwili podpisy zniknęły i widzowie znów patrzyli na bezkres kosmosu.

– Jeśli chcielibyśmy je policzyć, to oczywiście...

Teraz obok najjaśniejszych gwiazd zaczęły się pojawiać cyfry rzymskie.

I, II, III, IV, V...

Nagle jednak wszystkie zniknęły.

– Nie używamy cyfr rzymskich – oznajmił Edmond. – Stosujemy cyfry arabskie.

Numerowanie zaczęło się od nowa.

1, 2, 3, 4, 5...

– Zapewne rozpoznajecie ten islamski wynalazek. Do dziś nazwa oddaje hołd jego twórcom.

Po niebie przepłynęło słowo „algebra”, ciągnąc za sobą kilka równań z wieloma zmiennymi. Później pojawiło się słowo „algorytm” z diagramem obrazującym kąty na horyzoncie Ziemi. Słowa sunęły coraz szybciej: „nadir”, „zenit”, „alchemia”, „chemia”, „szyfr”, „eliksir”, „alkohol”, „zero”...

Widząc znajome arabskie słowa, Langdon z przykrością pomyślał, że dla większości jego rodaków Bagdad jest tylko jednym z wielu piaszczystych, wstrząsanych wojną miast na Bliskim Wschodzie, bo nie mają pojęcia, że kiedyś to właśnie tam biło serce postępu ludzkości.

– Do końca jedenastego wieku najznakomitsze intelektualne odkrycia ludzkości dokonywały się właśnie w Bagdadzie lub jego sąsiedztwie, potem jednak, niemal z dnia na dzień, wszystko się zmieniło. Wybitny naukowiec nazwiskiem Hamid al-Ghazali, dziś uznawany za jednego z najbardziej wpływowych muzułmanów w historii, napisał kilka przekonujących tekstów, w których najpierw zakwestionował logikę Platona i Arystotelesa, a następnie zadeklarował, że matematyka jest filozofią diabła.

Zapoczątkowało to cykl wydarzeń, które podważyły naukowe myślenie. Studia teologiczne stały się obowiązkowe, co doprowadziło do upadku całej nauki islamskiej.

Naukowe terminy nad ich głowami rozplynęły się bez śladu, zastąpione islamskimi tekstami religijnymi.

– Miejsce naukowych dociekań zajęło objawienie, a naukowcy świata islamskiego do dziś podnoszą się po tym ciosie. – Edmond zrobił pauzę. – Oczywiście w świecie chrześcijańskim naukowcy wcale nie mieli lepiej.

Na suficie pojawili się Kopernik, Galileusz i Bruno.

– Co najmniej o sto lat Kościół katolicki opóźnił rozwój ludzkości, systematycznie mordując, wtrącając do więzień i denuncjując najwybitniejszych naukowców. Na szczęście dzisiaj, gdy lepiej rozumiemy korzyści płynące z nauki, Kościół złagodził swój atak. – Edmond westchnął. – Ale czy na pewno?

Wyświetlono olbrzymie logo przedstawiające glob ziemski ze stylizowaną laską Eskulapa, a pod nim tekst:

MADRYCKA DEKLARACJA NA TEMAT NAUKI I ŻYCIA

– Tutaj, w Hiszpanii, Międzynarodowa Federacja Katolickich Stowarzyszeń Medycznych wypowiedziała ostatnio wojnę inżynierii genetycznej, oznajmiając światu, że „nauce brakuje duszy”, dlatego Kościół powinien ją poskromić.

W miejscu kuli ziemskiej z laską Eskulapa pojawiło się inne, również kuliste logo, schematyczne przedstawienie akceleratora.

– Ten projekt zakładał stworzenie nadprzewodzącego superzderzacza cząstek elementarnych, największego tego typu urządzenia na świecie, którego potencjał najprawdopodobniej pozwoliłby zbadać ni mniej, ni więcej tylko moment stworzenia. Jak na ironię budowę zaplanowano w sercu tak zwanego pasa biblijnego.

Logo przeistoczyło się w olbrzymi cementowy pierścień biegnący przez teksańską pustynię. Porzucony obiekt niszczał bezużytecznie, przykryty warstwą kurzu i piachu.

– Amerykański superzderzacz mógł dramatycznie przyspieszyć postęp ludzkości, zwiększając nasze rozumienie wszechświata, ale zaprzestano jego budowy wskutek przekroczenia kosztów oraz presji politycznej płynącej z zaskakujących źródeł.

Na ekranie pojawił się młody teleewangelista wymachujący bestsellerową książką *Boska cząstka* i wykrzykujący gniewnie: „Boga powinniśmy szukać w sercu, nie w atomach! Przeznaczanie miliardów dolarów na ten absurdalny eksperyment jest źródłem wstydu dla stanu Teksas i obrazą Boga!”.

Po chwili powrócił głos Edmonda.

– Opisane przeze mnie konflikty, w których rozum przegrał z przesadami religijnymi, to ledwie garstka bitew w trwającej nieprzerwanie wojnie.

Sufit rozbłysnął zdjęciami przedstawiającymi sceny z życia współczesnych społeczeństw: pikiety przed laboratoriami genetycznymi, księdza dokonującego samospalenia przed budynkiem, w którym odbywała się konferencja transhumanistyczna, ewangelizatorów wymachujących pięściami zaciśniętymi na Księdze Rodzaju, rybę Jezusa zjadającą rybę Darwina, pełne nienawiści plakaty religijne potępiające badania nad komórkami macierzystymi, prawa gejów i aborcję oraz równie nienawistne plakaty, które stworzono, by na to potępienie odpowiedzieć.

Leżąc w ciemności, Langdon czuł bicie własnego serca. Przez chwilę miał wrażenie, że podłoże drży, jakby przejeżdżało pod nim metro, gdy jednak vibracje się nasiliły, zdał sobie sprawę, że ziemia naprawdę się trzęsie. Potężne drgania wstrząsały trawnikiem, a pod kopułą rozlegał się ogłuszający huk.

Dopiero po chwili zorientował się, że to dźwięk rwącej rzeki nadawany przez zamontowane pod murawą subwoofery. Na twarzy poczuł zimną mgiełkę, jakby rzeczywiście leżał w pobliżu pędzącej rzeki.

– Słyszycie ten dźwięk? – Edmond przekrzykiwał huk przewalającej się wody. – To nieubłagany nurt rzeki wiedzy naukowej.

Ryk jeszcze się nasilił.

– Odkąd człowiek rozpałił pierwszy ogień, ten nurt nabiera prędkości – krzyczał. – Każde ludzkie odkrycie stawało się narzędziem, które pozwalało nam dokonywać kolejnych przełomów, i każde zasilalo tę toń swoją kroplą. Dziś rzeka wiedzy pędzi z siłą

tsunami, zalewa wszystko z niepowstrzymaną siłą.

Pomieszczenie zaczęło drżeć jeszcze silniej.

– Skąd przyszliśmy? – wrzeszczał Edmond. – Dokąd idziemy? Od początku było pewne, że znajdziemy odpowiedź na te dwa pytania. Nasze metody badawcze ewoluują od tysiącleci!

Pod kopułą zerwał się wiatr, rozbryzgując kropelki wody, a ryk rwącej rzeki stał się niemal ogłuszający.

– Tylko pomyślcie. Ludzkość potrzebowała ponad miliona lat od odkrycia ognia do wynalezienia koła. Potem minęło ledwie kilka tysiącleci do stworzenia prasy drukarskiej, ale teleskop od wynalezienia druku dzieliło już tylko kilkaset lat.

W następnych wiekach coraz krótsze okresy oddzielały kolejne osiągnięcia: od silnika parowego, przez napędzane benzyną automobile, przeskoczyliśmy do pojazdów kosmicznych. Po tym sukcesie potrzebowaliśmy zaledwie dwóch dziesięcioleci, żeby zacząć modyfikować własne DNA. Obecnie postęp naukowy mierzymy w miesiącach! – perorował Edmond. – Posuwamy się naprzód w zawrotnym tempie. Niebawem najszybszy znany nam dziś superkomputer będzie niczym liczydło, dzisiejsze zaawansowane metody chirurgiczne wydadzą się barbarzyńskie, a obecne źródła energii uznamy za równie staroświeckie, jak oświetlanie pomieszczeń świeczką.

Głos Edmonda przekrzykującego ryk pędzącej wody dobywał się teraz z niemal zupełnej ciemności.

– Starożytni Grecy musieli sięgać wiele wieków wstecz, żeby studiować kulturę swoich poprzedników, nam wystarczy cofnąć się o jedno pokolenie, a znajdziemy ludzi funkcjonujących bez wynalazków technicznych, które wszyscy uznajemy za oczywiste.

Historia ludzkości biegnie coraz szybciej, przestrzeń między tym co dawne a współczesnością nieustannie się kurczy. Dlatego daję wam słowo, że przez najbliższe lata ludzkość zmieni się w zawrotnym tempie i będzie to zmiana szokująca, całkowicie niewyobrażalna.

W jednej sekundzie huk wody ustał.

Na niebie znów rozbłysły gwiazdy, powiał delikatny wietrzyk i rozcykały się świerszcze. Zebrani na łące goście jak jeden mąż odetchnęli z ulgą.

W niespodziewanej ciszy głos Edmonda wrócił znizony do szeptu.

– Wiem, drodzy przyjaciele, że przybyliście tutaj, ponieważ obiecałem wam, że ujawnię wyniki swoich badań, dlatego dziękuję za cierpliwość, dzięki której mogłem sobie pozwolić na drobny wstęp. Teraz jednak zrzucmy okowy starego myślenia.

Nadszedł czas na dreszcz podniecenia towarzyszący odkrywaniu tego, co nowe.

Po tych słowach nad łąkę zewsząd wpłynęły kłęby gęstej mgły, a niebo nad głowami

zebranych nieco rozjaśnił pierwszy promień świtu, trochę rozrzedzając mrok panujący na widowni.

Wtem wystrzelił snop światła, szybko przenosząc się na tył sali. Wystarczyła chwila, żeby niemal wszyscy goście usiedli, wyciągając głowy i próbując coś dostrzec nad warstwą mgły, przekonani, że ich gospodarz zaraz wkroczy do sali we własnej osobie.

Po kilku sekundach jednak snop światła szybko wrócił do frontu.

Zebrani na widowni ludzie odwrócili za nim głowy.

Z przodu sali, uśmiechając się w blasku reflektora, stał Edmond Kirsch. Jego dłonie opierały się o krawędzie pulpitu, którego jeszcze kilka sekund temu tam nie było.

– Dobry wieczór, przyjaciele – uprzejmie przywitał ich wielki showman znad opadającej mgły.

W ciągu kilku sekund wszyscy zerwali się z miejsc, żeby zgotować gospodarzowi owację na stojąco. Langdon dołączył do nich, nie mogąc powstrzymać szerokiego uśmiechu.

„Edmond po prostu musiał się pojawić w kłębach mgły!”

Dotychczasową prezentację, mimo wrogości wobec religii, Langdon musiał uznać za majstersztyk – była odważna i bezlitosna jak jej autor. Robert rozumiał teraz, dlaczego coraz liczniejsza grupa wolnomyślicieli na całym świecie ubóstwiała Edmonda.

„Choćby za to, że potrafi głosić swoje poglądy tak, jak niewielu innych by się odważyło”.

Gdy twarz Edmonda pojawiła się na ekranie nad głowami publiczności, Langdon zauważył, że jego były student występuje w telewizyjnym makijażu, bo nie jest już taki blady jak poprzednio. Mimo to jednak na jego twarzy było widać ślady zmęczenia.

Aplauz zrobił się taki głośny, że Langdon ledwie poczuł vibracje w kieszeni marynarki. Instynktownie sięgnął po telefon, przypomniał sobie jednak, że przecież jest wyłączony. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z tego, że wibruje zgoła inne urządzenie: słuchawka w technologii przewodnictwa kostnego, przez którą Winston próbował coś powiedzieć bardzo głośno.

„Też sobie wybrał moment!”

Langdon wyłowił urządzenie z kieszeni i założył, po omacku umieszczając podkładki w odpowiednim miejscu policzka.

– ...sorze Langdon? Jest pan tam? Telefony nie działają i jest pan moim jedynym kontaktem. Profesorsze Langdon!?

– Tak, Winstonie, jestem – odparł Langdon, przekrzykując frenetyczne oklaski.

– Całe szczęście! – ucieszył się Winston. – Proszę posłuchać, zdaje się, że mamy poważny problem.

Rozdział 21

Jako człowiek, który na scenie świata odniósł niezliczone sukcesy, Edmond Kirsch czerpał wielką motywację ze swoich osiągnięć, ale rzadko odczuwał pełne zadowolenie, teraz jednak, widząc tę huczną owację na swoją cześć i wiedząc, że za chwilę odmieni świat, pozwolił sobie na chwilę radości.

„Usiądźcie, przyjaciele” – instruował ich w myślach. „Najlepsze dopiero przed wami”.

Gdy mgła się rozproszyła, Edmond oparł się pokusie, by spojrzeć do góry, gdzie na suficie kopuły wyświetlano obraz jego uśmiechniętej twarzy transmitowany także do milionów widzów na całym świecie.

„To ruch o światowym zasięgu” – pomyślał z dumą. „Nie istnieją dla niego granice, klasy społeczne ani wyznania”.

Edmond przeniósł wzrok w róg sali, żeby skinieniem podziękować stojącej tam Ambrze Vidal, która niestrudzenie pracowała razem z nim nad logistyczną stroną dzisiejszego wieczoru. Z zaskoczeniem jednak zobaczył, że Ambra wcale nie patrzy na niego, tylko z niepokojem obserwuje wiwatujący tłum.

„Coś jest nie tak” – pomyślała Ambra, z boku obserwując salę.

Pośrodku widowni wysoki, elegancko ubrany mężczyzna zaczął się przepychać przez tłum w jej stronę, machając rękami nad głową.

„To Robert Langdon” – uświadomiła sobie, rozpoznając amerykańskiego profesora z odtworzonego przez Kirscha filmu.

Langdon podchodził bardzo szybko i obydwaj gwardziści królewscy jak na komendę odstąpili od ściany, zajmując pozycję, żeby go przechwycić.

„Czego on chce?” – zastanawiała się Ambra, gdy spostrzegła trwogę na twarzy Langdona.

Odwróciła się w stronę pulpitu, za którym stał Edmond, zastanawiając się, czy on też zauważył to zamieszanie, ale Edmond Kirsch nie patrzył na publiczność. Stał ze wzrokiem wbitym w nią.

„Edmondzie! Coś złego się dzieje!”

W tej samej chwili pod kopułą rozległ się ogłuszający trzask i głowa Edmonda odskoczyła do tyłu. Śmiertelnie przerażona Ambra patrzyła, jak na czole wykwiła mu czerwona plama. Jego oczy lekko drgnęły, ale dłonie pozostały zaciśnięte na pulpicie, gdy mięśnie nagle zeszywniały. Przez moment z wyrazem zaskoczenia na twarzy Edmond się chwiał, po czym, jak upadające drzewo, jego ciało przechyliło się na bok i runęło bezwładnie, a zakrwawiona głowa odbiła się od sztucznej trawy po zetknięciu z podłożem.

Zanim Ambra zdołała zrozumieć, co się rozegrało przed jej oczami, poczuła, jak jeden z gwardzistów powala ją na podłogę.

Czas się zatrzymał.

Potem... pandemonium.

Oświetlona tylko lśniącym spod sufitu obrazem zakrwawionego ciała Edmonda gromada gości rzuciła się w panice w stronę wyjścia, bojąc się kolejnych wystrzałów.

Mimo chaosu, który się wokół niego rozpętał, Robert Langdon stał jak skamieniały.

Tuż obok jego przyjaciela wciąż zwrócony twarzą do widowni leżał na boku z czerwoną dziurą na czole. Szok był paraliżujący. Okrutna ironia sprawiła, że pozbawiona życia, oświetlona jaskrawym blaskiem reflektora twarz Edmonda znalazła się w obiektywie kamery, która pozostawiona bez obsługi na statywie wciąż przekazywała obraz wyświetlający się na suficie kopuły i transmitowany do odbiorców na całym świecie.

Jakby poruszając się we śnie, Langdon podbiegł do statywu i gwałtownym szarpnięciem skierował kamerę w górę, żeby jej oko nie patrzyło na Edmonda. Potem się odwrócił i przez tłum uciekających ludzi spojrzał na swojego przyjaciela. Nie miał wątpliwości, że Kirsch nie żyje.

„Mój Boże! Próbowałem cię zaalarmować, ale ostrzeżenie Winstona nadeszło zbyt późno”.

Niedaleko ciała Edmonda na podłodze Langdon zobaczył gwardzistę chroniącego własnym ciałem Ambrę Vidal. Ruszył w jej kierunku, ale funkcjonariusz, reagując instynktownie, zerwał się na równe nogi, podbiegł trzy kroki i rzucił się na Langdona.

Ramię gwardzisty z impetem trafiło Langdona prosto w mostek, wypychając z jego płuc całe powietrze i powodując potworny ból, który rozszedł się falą po całym ciele.

Langdon wystrzelił tyłem w powietrze, po czym twardo wylądował na sztucznej trawie.

Zanim zdołał zrobić wdech, silne dłonie przewróciły go na brzuch, wykręciły mu ramię do tyłu i chwyciły go za kark. Leżał unieruchomiony z lewym policzkiem wciśniętym w darrń.

– Wiedziałeś wcześniej! – krzyknął gwardzista. – Mów, jak to się stało!

Kilkanaście metrów dalej funkcjonariusz królewskiej straży przybocznej Rafael Díaz przez uciekający w panice tłum przedzierał się do miejsca, w którym na tle ściany widział rozbłysk wystrzału.

„Ambra Vidal jest bezpieczna” – zapewniał sam siebie, ponieważ widział, że jego partner chroni ją własnym ciałem. Wiedział też, że nic już nie może zrobić dla ofiary.

„Edmond Kirsch był martwy, zanim upadł na podłogę”.

Díaz zauważył, że jeden z gości wcześniej wiedział o ataku, ponieważ rzucił się w stronę podium dosłownie kilka sekund przed wystrzałem. W tej chwili jednak to nie było najpilniejsze.

Teraz miał tylko jedno zadanie.

„Pojmać napastnika”.

Gdy dotarł do miejsca, skąd padł strzał, zauważył rozcięcie w ścianie. Wsunął w nie obydwie dłonie i gwałtownie szarpnął, rozdzierając materiał aż do podłogi, po czym przeszedł na drugą stronę kopuły, wkraczając w labirynt przewodów i rusztowań.

Po swojej lewej stronie dostrzegł wysokiego, ubranego w biały mundur wojskowy mężczyznę, który biegł do wyjścia ewakuacyjnego w odległym końcu olbrzymiego pomieszczenia. Chwilę później uciekająca postać z hukiem walnęła w drzwi i zniknęła za nimi.

Díaz ruszył w pogoń, puszczając się slalomem między rozstawionym wzdłuż kopuły sprzętem elektronicznym. Dopadł w końcu do drzwi i wbiegł do betonowej klatki schodowej. Wychylił się przez barierkę. Dwa piętra niżej mężczyzna w białym mundurze pędził w dół na złamanie karku. Díaz pognał za nim, przeskakując po pięć stopni naraz.

Gdzieś w dole z głośnym trzaskiem otworzyły się drzwi, by po chwili znów się zamknąć.

„Wybiegł z budynku!”

Gdy Díaz znalazł się na parterze, ruszył biegiem do wyjścia, widząc podwójne drzwi z długimi poziomymi poręczami zamiast klamek. Rzucił się na nie z całym impetem, ale skrzydła zamiast się rozchylić z hukiem jak te na górze, ustąpiły tylko o kilka centymetrów, po czym gwałtownie znieruchomiały. Uderzywszy w stalową powierzchnię, Díaz runął na podłogę, czując potworny ból przeszywający jego ramię.

Zaskoczony podniósł się i natychmiast ponownie spróbował otworzyć drzwi.

Zdołał tylko trochę je uchylić, ale na tyle szeroko, żeby zobaczyć, na czym polega problem.

Od zewnątrz klamki związane były sznurkiem paciorków. Zdziwienie Díaza jeszcze się nasiliło, gdy rozpoznał, jak ułożone są koraliki na owym sznurku. Zdziwiony byłby na jego miejscu każdy porządny hiszpański katolik.

„Różaniec?”

Díaz z całej siły naparł na drzwi, nie zdołał jednak przerwać sznura. Zerknął ponownie przez wąską szparę, nie wiedząc, czy dziwniejszy jest różaniec owinięty wokół klamek, czy fakt, że nie daje się on przerwać.

– *¡Hola?* – krzyknął przez drzwi. – *¡Hay alguien?*

Cisza.

Przez szparę w drzwiach widać było betonową ścianę i pusty podjazd dla samochodów dostawczych. Było raczej mało prawdopodobne, że na zewnątrz znajdzie się jakiś przechodzień, który usunie pętlę różańca. Nie widząc innego wyjścia, sięgnął po broń do kabury ukrytej pod marynarką. Wysunął lufę pistoletu przez szparę między skrzydłami drzwi i przytknął do sznura paciorków.

„Strzelam do świętego różańca?” *Que Dios me perdone.*

Pociągnął za spust.

Huk wystrzału odbił się echem od betonowych ścian klatki schodowej i drzwi stanęły otworem. Różaniec się rozerwał. Díaz pobiegł naprzód między odbijającymi się od ziemi paciorkami.

Ale zabójca w białym mundurze zniknął.

Sto metrów dalej admirał Luis Ávila siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu czarnego renault, które odjeżdżało sprzed gmachu muzeum.

Wytrzymały polimer włókna vectranowego, na które Ávila naniział paciorki różańca, spełnił swoje zadanie i opóźnił pogoń.

„Teraz już mnie nie złapią”.

Gdy samochód zmierzał na północny zachód wzdłuż rzeki Nervión, by się wmieszać między auta pędzące po ulicy Abandoibarra Etorbidea, admirał Ávila w końcu pozwolił sobie na to, żeby odetchnąć.

Jego dzisiejsza misja przebiegła bez najmniejszych przeszkód.

Przypomniał sobie słowa hymnu *Oriamendi*, który przed prawie dwustu laty śpiewali żołnierze, idąc do boju, także tutaj, przed krwawą bitwą w okolicach Bilbao. *¡Por Dios, por la Patria y el Rey!* – zaśpiewał w duchu Ávila. „Za Boga, za Ojczyznę i Króla!”

Nikt już dziś nie pamięta okrzyków bojowych... ale wojna dopiero się rozpoczęła.

Rozdział 22

Madrycki Palacio Real jest największym pałacem królewskim w Europie i chyba najbardziej zaskakującą fuzją stylów barokowego i klasycystycznego. Wzniesiona na miejscu stojącego tam od dziewiątego stulecia zamku mauretańskiego, trzypiętrowa, zdobiona potężnymi kolumnami fasada rozciąga się wzdłuż całej długości ogromnego Plaza de la Armeria, przy którym się znajduje. Za nią mieści się oszałamiający labirynt trzech tysięcy czterystu osiemnastu pokoi położonych wzdłuż korytarzy o łącznej powierzchni prawie stu czterdziestu tysięcy metrów kwadratowych. Salony, sypialnie i sale balowe ozdobione są kolekcją bezcennej sztuki dworskiej i religijnej, w skład której wchodzi dzieła Velázqueza, Goi oraz Rubensa.

Przez długie lata pałac był prywatną rezydencją królów i królowych Hiszpanii, teraz jednak używany jest do celów reprezentacyjnych, ponieważ rodzina królewska przeniosła się do przytulniejszego i bardziej ustronnego, położonego na przedmieściach Madrytu Palacio de la Zarzuela.

Dopiero kilka miesięcy temu sprowadził się tutaj następca tronu książę Julián Aragoński, czterdziestodwuletni przyszły król Hiszpanii, gdy jego doradcy zaczęli się domagać, żeby „był bardziej widoczny dla narodu” podczas smutnego okresu mającego się ostatecznie zakończyć jego koronacją.

Ojciec księcia Juliána, panujący monarcha, od miesięcy był przykuty do łóżka przez śmiertelną chorobę. Gdy władze umysłowe umierającego króla stopniowo gasły, pałac zaczął powoli organizować przejęcie władzy, przygotowując księcia do objęcia tronu. Gdy zmiana władzy stała się nieuchronna, Hiszpanie zwrócili oczy na następcę tronu, zadając sobie tylko jedno pytanie: jakim władcą okaże się książę Julián?

Już jako dziecko był dyskretny i ostrożny, od lat chłopięcych niosąc ciężar przyszłej korony. Matka Juliána zmarła z powodu komplikacji podczas drugiej ciąży, a król, ku zaskoczeniu wielu, nigdy się powtórnie nie ożenił, książę został więc jedynym następcą tronu Hiszpanii.

Ponieważ Julián dorastał pod opieką swojego konserwatywnego ojca, hiszpańscy

tradycjonałiści wierzyli, że będzie kontynuował surowy tradycjonalizm obecnego króla, dbając o powagę korony hiszpańskiej poprzez kultywowanie obyczajów, pielęgnowanie odwiecznych tradycji oraz – co najważniejsze – kontynuowanie bogatej historii hiszpańskiego katolicyzmu.

Przez całe wieki dziedzictwo królów katolickich było moralnym kompasem Hiszpanów, w ostatnich latach jednak wiara katolicka zdawała się słabnąć, a kraj był targany ciągłą wojną między najstarszymi i najnowszymi zwyczajami.

Rosnąca liczba liberałów zalewała blogi i media społecznościowe plotkami, że książę Julián pokaże swoje prawdziwe „ja”, gdy w końcu wyjdzie z cienia ojca, okazując się odważnym, postępowym i świeckim przywódcą, który weźmie przykład z wielu innych europejskich krajów i ogłosi koniec monarchii.

Ojciec Juliána bardzo aktywnie pełnił królewskie obowiązki, zostawiając dziedzicowi niewiele miejsca na uczestniczenie w polityce. Król powtarzał, że Julián ma teraz czas, żeby się cieszyć młodością, a w sprawy państwowe powinien się zaangażować dopiero, gdy się już ustakuje i założy rodzinę, tak więc przez pierwsze czterdzieści lat życia – nieustannie opisywanych przez hiszpańską prasę – Julián uczęszczał do prywatnych szkół, jeździł konno, przecinał wstęgi, gromadził fundusze na cele charytatywne i podróżował po świecie. Choć nie osiągnął w życiu niczego godnego uwagi, był niewątpliwie najbardziej pożądanym w całej Hiszpanii kawalerem do wzięcia.

Przez lata przystojny czterdziestodwulatek umawiał się z wieloma odpowiednimi dla siebie kobietami, ale choć miał reputację niepoprawnego romantyka, żadnej z nich nie udało się skraść mu serca. Ostatnio jednak Juliána widziano kilka razy z piękną kobietą, która choć wyglądała jak modelka, była powszechnie szanowaną dyrektorką Muzeum Guggenheima w Bilbao.

Media natychmiast okrzyknęły Ambrę Vidal „idealną partią dla nowoczesnego króla”. Miała obycie w świecie i świetne wykształcenie, a co najważniejsze nie była potomkinią żadnego z hiszpańskich rodów szlacheckich. Ambra Vidal pochodziła z ludu.

Książę najwyraźniej się zgadzał z oceną mediów, bo po dość krótkiej znajomości poprosił ją o rękę – w najbardziej nieoczekiwany i romantyczny sposób – a Ambra powiedziała „tak”.

W kolejnych tygodniach nie było dnia, żeby prasa nie napisała o Ambrze Vidal, podkreślając fakt, że uroda nie jest jej jedynym atutem. Szybko się okazało, że pani dyrektor to niezależna i zdecydowana kobieta, która stanowczo się nie zgodziła, by Gwardia Królewska ingerowała w jej prywatne życie, pozwalając gwardzistom tylko na to, by ochraniać ją wyłącznie podczas oficjalnych, publicznych uroczystości.

Gdy dowódca Guardia Real dyskretnie zasugerował, żeby pani Vidal zaczęła nosić

bardziej konserwatywne i mniej dopasowane do figury stroje, Ambra publicznie z niego zadrwiła, mówiąc, że została upomniana przez dowódcę Guardarropía Real, czyli garderoby królewskiej.

Na okładkach liberalnych magazynów jej twarz pojawiała się z hasłem „Ambra, piękna przyszłość Hiszpanii”. Gdy odmawiała wywiadu, dziennikarze nazywali ją niezależną, gdy godziła się na wywiad, wychwalali jej przystępność.

Konserwatywne tygodniki kontrowały, pisząc o aroganckiej przyszłej królowej, która jest żadną władzy oportunistką, w niebezpieczny sposób wykorzystującą swój wpływ na następcę tronu. Jako dowód cytowali ostentacyjne lekceważenie okazywane przez Ambrę Vidal wobec pozycji księcia Juliána.

Przede wszystkim nie podobało im się to, że Ambra zwraca się do następcy tronu po imieniu, lekceważąc uświęconą przez wieki tradycyjną formę *don* albo *su alteza*.

Drugie zastrzeżenie wydawało się jednak znacznie poważniejsze. Przez ostatnie tygodnie Ambra Vidal była praktycznie niedostępna dla księcia z powodu natłoku obowiązków służbowych, a mimo to często widywano ją na lunchu w okolicy muzeum z zadeklarowanym ateistą, amerykańskim informatykiem Edmondem Kirschem.

Mimo zapewnień Ambry, że wspólne posiłki w restauracji są zaplanowanymi wcześniej służbowymi spotkaniami z hojnym darczyńcą kierowanego przez nią muzeum, źródła w pałacu sugerowały, że w Juliánie krew zaczyna się burzyć.

Nikt oczywiście go za to nie winił.

Prawda była taka, że jego uderzająco piękna narzeczona ledwie kilka tygodni po zaręczynach wolała spędzać czas z innym mężczyzną.

Rozdział 23

Langdon nadal leżał z twarzą wbłą w trawę, przycięnięty do ziemi miażdżącym ciężarem gwardzisty.

Dziwne, ale nic nie czuł.

Był otępiały, rozdarty między smutkiem, strachem i wściekłością. Jeden z najświatlejszych umysłów świata i jego ukochany przyjaciel został właśnie publicznie zamordowany w jakże brutalny sposób. „Zabito go chwilę przedtem, gdy miał ujawnić światu największe odkrycie swojego życia!”

Dopiero w tym momencie Langdon sobie uświadomił, że kula zabójcy nie tylko odebrała życie Kirschowi, ale też zadała bolesny cios nauce.

„Teraz świat być może nigdy się nie dowie, co Edmond odkrył”.

Langdon poczuł przypływ gniewu, a zaraz potem ogarnęła go wielka determinacja.

„Zrobię wszystko, co tylko możliwe, żeby ustalić, kto ponosi za to odpowiedzialność. Doprowadzę twoje dzieło do końca, Edmondzie. Znajdę sposób, żeby przekazać światu wyniki twoich badań”.

– Wiedziałeś! – chrapliwy głos odezwał się tuż nad jego uchem. – Szedłeś w stronę podium tak, jakbyś oczekiwał, że zaraz coś się wydarzy.

– Dostałem... cynk – wydusił Langdon, ledwie mogąc złapać dech.

– Od kogo?

Langdon czuł na policzku metalowy pałąk, który się przekrzywił, ale nie spadł.

– Przez słuchawki. To syntetyczny przewodnik. Ostrzeżenie przekazał komputer Edmonda Kirscha. Znalazł anomalię na liście gości. Ktoś dopisał emerytowanego hiszpańskiego admirała.

Hiszpan trzymał teraz głowę tak blisko niego, że Langdon usłyszał, jak w słuchawce radiotelefonu gwardzisty rozlega się trzask, a po nim zadyszany, naglący głos. Chociaż hiszpański znał tak sobie, wyłapał dość, żeby odcyfrować złą wiadomość.

... *el asesino ha huido*...

Zabójca uciekł.

...salida bloqueada...

Wyjście zostało zablokowane.

...uniforme militar blanco...

Po słowach „mundur wojskowy” gwardzista przyciskający Langdona do podłoża poluzował uścisk.

– ¿Uniforme naval? – zapytał partnera. – Blanco... ¿Como de almirante?

Odpowiedź była twierdząca.

„Mundur marynarski” – uświadomił sobie Langdon. „Winston miał rację”.

Gwardzista puścił Langdona i zszedł z jego pleców.

– Przekręć się! – rozkazał.

Langdon, pokonując ból, obrócił się na plecy i wsparł na łokciach. Czuł zawroty głowy i klucie w klatce piersiowej.

– Nie wstawaj! – ostrzegł gwardzista.

Langdonowi nie przyszłoby do głowy gdziekolwiek się ruszać. Stojący nad nim mężczyzna ważył dobre dziewięćdziesiąt kilogramów samych mięśni i już udowodnił, że do swojej pracy podchodzi śmiertelnie poważnie.

– ¡Inmediatamente! – warknął do mikrofonu, żądając od lokalnych funkcjonariuszy wsparcia i zablokowania wszystkich dróg wokół muzeum.

...policía local... bloqueos de carretera...

Unosząc głowę, Langdon zobaczył, że Ambra Vidal wciąż leży na podłodze pod ścianą. Próbowwała wstać, ale zasłabła i uchroniła się przed upadkiem, opierając się na kolanach i dłoniach.

„Niech ktoś jej pomoże!”

Ale gwardzista krzyczał teraz na całe pomieszczenie, nie zwracając się jednak do nikogo konkretnego.

– ¡Luces! ¡Y cobertura do móvil! – Włączcie światło! I komórki!

Langdon poprawił swoje słuchawki.

– Winstonie, jesteś tam?

Gwardzista się odwrócił, obrzucając go zdziwionym wzrokiem.

– Winstonie, Edmond został zastrzelony. Trzeba natychmiast włączyć wszystkie światła. I wyłączyć zagłuszanie telefonów komórkowych. Możesz to zrobić? Albo skontaktować się z kimś, kto może?

Kilka sekund później prysnęła magiczna iluzja zalanej blaskiem księżyca łąki. Pod kopułą rozbłysnęły reflektory, oświetlając wyludnioną połąć sztucznej trawy upstrzonej pustymi kocami.

Gwardzista ze zdumieniem przyjmował magiczną moc Langdona. Po chwili wyciągnął

do niego dłoń i pomógł mu wstać. Stanęli twarzą w twarz w pełnym świetle.

Gwardzista był wysoki, tego samego wzrostu co Langdon, miał ogoloną głowę i mięśnie, które ledwie się mieściły pod służbową marynarką. Na jego bladej, opanowanej twarzy uwagę zwracały przede wszystkim oczy, które teraz świdrowały Langdona jak lasery.

– Pan wystąpił dziś w filmie. Nazywa się pan Robert Langdon.

– Tak. Edmond Kirsch był moim studentem i przyjacielem.

– Ja nazywam się Fonseca. Służę w Guardia Real – przedstawił się perfekcyjną angielszczyzną. – Proszę powiedzieć, skąd pan wiedział o mundurze marynarskim.

Langdon odwrócił się w stronę ciała Edmonda ciągle leżącego na trawie przy podium. Obok niego klęczała Ambra Vidal z dwoma pracownikami muzeum i ratownikiem medycznym, który nawet nie podjął reanimacji. Ambra ostrożnie nakryła zwłoki kocem.

Edmond nie żył.

Langdon poczuł, że zbiera mu się na wymioty, nie mógł jednak oderwać wzroku od martwego przyjaciela.

– Jemu już nie pomożemy – rzucił cierpko gwardzista. – Proszę wyjaśnić, skąd pan wiedział o mundurze.

Langdon spojrzał na funkcjonariusza, którego ton nie pozostawiał wątpliwości. To był rozkaz.

Szybko przekazał, co wiedział od Winstona – że program komputerowy obsługujący audioprzewodnik po muzeum oznakował jedno ze słuchawek jako porzucone, a gdy pracownicy muzeum znaleźli je w koszu, sprawdzili, do kogo były one przypisane. Wtedy zaalarmował ich fakt, że słuchawek pozbył się człowiek dopisany do listy gości w ostatniej chwili.

– To niemożliwe! – Oczy gwardzisty zwężyły się do szparek. – Lista gości została zamknięta wczoraj. Wszyscy zostali sprawdzeni.

– Oprócz tego człowieka – oznajmił przez słuchawki głos Winstona. – Zaniepokoiło mnie to, więc sprawdziłem, kim jest dopisany gość. Okazał się byłym admirałem marynarki hiszpańskiej zwolnionym ze służby za alkoholizm i stres pourazowy rozpoznany u niego po zamachu terrorystycznym w Sewilli pięć lat temu.

Langdon przekazał gwardziście informacje Winstona.

– Był w katedrze podczas wybuchu? – nie dowierzał gwardzista.

– Odkryłem też, że admirał nie miał żadnych powiązań z panem Kirschem – raportował dalej Winston. – To znowu mnie zaniepokoiło, dlatego zaalarmowałem ochronę muzeum, ale oni uznali, że bez żadnych dalszych dowodów nie powinniśmy zakłócać wystąpienia Edmonda, tym bardziej że trwała transmisja na cały świat. Wiedząc, jak ciężko Edmond pracował nad dzisiejszym wystąpieniem, uznałem ich argumenty, dlatego zamiast

naciskać, skontaktowałem się z panem, bo miałem nadzieję, że wypatrzy pan w tłumie białą admiralską marynarkę, a wtedy mógłbym dyskretnie wysłać ochroniarzy wprost do niego. Powinienem był działać bardziej zdecydowanie. Zawiodłem Edmonda.

Langdon z lekkim zdziwieniem odnotował, że maszyna Edmonda jest zdolna doznawać wyrzutów sumienia. Zerknął na miejsce, w którym leżały przykryte zwłoki, i spostrzegł, że Ambra Vidal idzie już w ich kierunku.

Fonseca ją zignorował, skupiony wyłącznie na informacjach od Langdona.

– Czy komputer podał nazwisko tego admirała? – zapytał.

Langdon skinął głową.

– Tak. To admirał Luis Ávila.

Gdy wymówił nazwisko, Ambra stanęła w pół kroku, a na jej twarzy odmalowało się przerażenie.

Fonseca zauważył tę reakcję i natychmiast odwrócił się w jej stronę.

– Pani Vidal? Zna pani tę osobę?

Ambra jednak nie była zdolna mu odpowiedzieć. Spuściła wzrok i wpatrywała się w podłogę z miną, jakby właśnie zobaczyła ducha.

– Pani Vidal, czy zna pani admirała Luisa Ávilę? – powtórzył pytanie Fonseca.

Szok malujący się na twarzy Ambry nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że kobieta zna mordercę. Po chwili kompletnego osłupienia mrugnęła dwukrotnie powiekami i jej wzrok zaczął odzyskiwać ostrość, jakby wybudzała się z transu.

– Nie... nic mi to nazwisko nie mówi – wyszeptała, zwracając czarne oczy najpierw na Langdona, a potem na swojego ochroniarza. – Ale wiadomość, że admirał hiszpańskiej marynarki dopuścił się morderstwa, jest dla mnie wielkim szokiem.

„Kłamie” – wyczuł Langdon, zastanawiając się, dlaczego próbuje ukryć prawdziwy powód swojej reakcji. „Nie mam najmniejszych wątpliwości, że rozpoznała nazwisko tego człowieka. Widziałem na własne oczy”.

– Kto odpowiadał za listę gości? – zapytał, stawiając kolejny krok w jej kierunku.

– Kto umieścił na niej nazwisko tego człowieka?

Wargi Ambry zaczęły drgać.

– Nie mam pojęcia.

Pytania gwardzisty przerwała kakofonia telefonów komórkowych, które nagle rozdzwoniły się pod kopułą. Winston znalazł więc sposób, żeby przywrócić im łączność ze światem. Zawibrował też telefon w kieszeni marynarki Fonseki.

Gwardzista sięgnął po aparat. Widząc na wyświetlaczu, kto dzwoni, wziął głęboki wdech i odebrał połączenie.

– *Ambra Vidal está a salvo* – zameldował.

„Ambra Vidal jest bezpieczna”. Langdon przeniósł spojrzenie na zrozpaczoną kobietę. Ona już na niego patrzyła. Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

Potem słuchawki ożyły i Langdon usłyszał głos Winstona.

– Panie profesorze – szepnął. – Ambra Vidal dobrze wie, jak admirał Luis Ávila znalazł się na liście gości. Sama dopisała tam jego nazwisko.

Langdon potrzebował chwili, żeby zrozumieć znaczenie tej informacji.

„Ambra Vidal osobiście umieściła mordercę na liście gości?”

„A teraz się tego wypiera?”

Zanim jednak Langdon zdążył przetworzyć informację od Winstona, Fonseca wyciągnął rękę, wręczając swój telefon Ambrze.

– *Don Julián quiere hablar con usted* – oznajmił.

Kobieta jakby się wzdrygnęła.

– Powiedz mu, że nic mi nie jest – odparła. – Zadzwoń do niego za chwilę.

Twarz gwardzisty wyrażała bezgraniczne zdumienie. Zakrył dłonią aparat i szeptem powiedział:

– *Su alteza Don Julián, el príncipe, ha pedido...*

– Nie obchodzi mnie, że jest księciem – przerwała mu gniewnie. – Jeśli chce być moim mężem, to będzie musiał się nauczyć dawać mi czas, kiedy tego potrzebuję!

Właśnie byłem świadkiem morderstwa i chcę mieć teraz chwilę dla siebie. Powiedz mu, że zadzwonię wkrótce.

W oczach gwardzisty kłębiły się emocje niemal graniczące z pogardą. Mężczyzna odwrócił się i odszedł, żeby kontynuować rozmowę na osobności.

Ta dziwna wymiana zdań wyjaśniła Langdonowi jedną zagadkę. „Ambra Vidal jest zaręczona z hiszpańskim następcą tronu?” Teraz rozumiał, dlaczego wszyscy traktowali ją jak celebrytkę i skąd u jej boku wzięli się żołnierze Guardia Real, choć z całą pewnością nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego kobieta nie chciała rozmawiać ze swoim narzeczonym. „Książę musi się zamartwiać na śmierć, jeśli widział w telewizji, co się stało”.

Niemal w tej samej chwili Langdon doznał kolejnego olśnienia, tym razem uświadamiając sobie znacznie bardziej mroczną koincydencję.

„Mój Boże! Ambra Vidal ma powiązania z pałacem królewskim w Madrycie!”

Langdon poczuł zimny dreszcz, przypominając sobie pogróżki biskupa Valdespina skierowane pod adresem Edmonda.

Rozdział 24

Dwieście metrów od pałacu królewskiego w Madrycie, w katedrze Almudeny arcybiskup Valdespino na chwilę wstrzymał oddech. Nadal miał na sobie szaty liturgiczne i nadal siedział wpatrzony w monitor laptopa, zahipnotyzowany obrazami transmitowanymi z muzeum w Bilbao.

„Media to wszystko pokażą!”

O ile mógł ocenić, wszystkie światowe media oszalały. Główne stacje informacyjne zapraszały do studia autorytety w dziedzinie nauki i religii, spekulując na temat zapowiedzianych przez Kirscha rewelacji, podczas gdy wszyscy inni próbowali odpowiedzieć na pytanie, kto go zamordował i dlaczego. Zgodnym chórem twierdzono, że za śmiercią futurysty kryje się ktoś, komu zależało na tym, żeby jego badania za wszelką cenę nigdy nie ujrzały światła dziennego.

Po dłuższej chwili refleksji Valdespino sięgnął po telefon komórkowy i wybrał numer.

Rabin Köves odebrał po pierwszym dzwonku.

– To potworne! – nieomal wrzasnął do aparatu. – Wszystko widziałem w telewizji.

Musimy się skontaktować z władzami i poinformować o wszystkim, co wiemy!

– Rabinie – mitygował go biskup spokojnym głosem. – Zgadzam się, że sprawa przybrała przerażający obrót, ale zanim zaczniemy działać, musimy się zastanowić.

– Nie ma co się zastanawiać! – zaprotestował Köves. – Widać wyraźnie, że ktoś tu nie cofnie się przed niczym, żeby pogrzebać na zawsze odkrycie Kirscha. To rzeźnik!

Jestem pewien, że ten sam człowiek zabił Syeda, a my jesteśmy następni na liście. Mamy moralny obowiązek, żeby ujawnić władzom, co przekazał nam Kirsch!

– Moralny obowiązek? – kpiąco rzucił Valdespino. – Powiedziałbym raczej, że chcesz upublicznić tę informację po to, żeby ten ktoś stracił powód do uciszenia nas dwóch, ciebie i mnie.

– Oczywiście, że nasze bezpieczeństwo jest tu ważne, ale mamy moralny obowiązek wobec świata! To prawda, że odkrycie Kirscha uderza w fundamentalne przekonania religijne, ale jeśli w moim długim życiu czegoś się nauczyłem, to tego, że wiara zawsze

zwycięża, nawet w obliczu największych trudności. Dlatego jestem pewien, że wiara przetrwa i to, że ujawnimy rewelacje Kirscha.

– Uważnie cię słucham, mój przyjacielu, słyszę zdecydowanie w twoim głosie i traktuję je z wielkim szacunkiem – powiedział w końcu biskup, zachowując taki spokój w głosie, na jaki tylko było go stać. – Chcę, żebyś wiedział, że jestem otwarty na dyskusję, a nawet na zmianę stanowiska w tej sprawie, ale błagam cię o jedno: jeśli mamy ujawnić to, co nam przekazał Kirsch, dokonajmy tego wspólnie. W świetle dnia. Z honorem. Nie w desperackiej reakcji na to potworne morderstwo. Zaplanujmy nasze wystąpienie, przećwiczmy je, nadajmy mu odpowiednią oprawę.

Köves nie odpowiadał, ale Valdespino słyszał jego oddech.

– Rabinie, najpilniejszą kwestią jest teraz nasze bezpieczeństwo – przekonywał biskup. – Mamy do czynienia z bezwzględnymi zabójcami. Jeśli staniesz się zbyt widoczny, bo na przykład skontaktujesz się z władzami albo pójdziesz do telewizji, to finał może być tragiczny. Martwię się przede wszystkim o ciebie. Ja mam ochronę na terenie pałacu, ale ty jesteś w Budapeszcie zupełnie sam. Nie ma już wątpliwości, że odkrycie Kirscha to sprawa życia i śmierci. Pozwól mi zadbać o twoje bezpieczeństwo, Yehuda.

Köves przerwał milczenie dopiero po chwili.

– Z Madrytu? Jak niby mógłbyś...

– Mam do dyspozycji jednostkę, która ochrania rodzinę królewską. Nie wychodź z domu, zamknij drzwi i okna. Poproszę dwóch gwardzistów, żeby po ciebie przyjechali i zabrali cię do Madrytu, gdzie będziesz całkowicie bezpieczny na terenie pałacu i gdzie będziemy mogli usiąść twarzą w twarz, żeby się zastanowić, jak powinniśmy postąpić.

– A co, jeśli przyjadę do Madrytu i się nie dogadamy? – niepewnie zapytał rabin.

– Dogadamy się – zapewnił go biskup. – Wiem, że jestem staromodny, ale też nie brak mi realizmu, podobnie jak tobie. Razem znajdziemy najlepszy sposób działania.

Głęboko w to wierzę.

– A jeśli mimo wszystko twoja wiara okaże się płonna? – naciskał Köves.

Valdespino poczuł skurcz w żołądku, ale odczekał chwilę, wykonał powolny wydech i odpowiedział najspokojniej, jak mógł.

– Yehuda, jeśli ostatecznie się okaże, że nie możemy działać wspólnie, to rozstaniemy się jak przyjaciele i każdy z nas robi to, co uzna za najlepsze. Masz na to moje słowo.

– Dziękuję – odpowiedział natychmiast Köves. – Opierając się na tym słowie, pojadę do Madrytu.

– To dobrze. Teraz jednak zarygluj drzwi, pozamykaj okna i z nikim się nie kontaktuj. Spakuj walizkę, a ja powiadomię cię o szczegółach, jak tylko coś ustalę. – Valdespino zrobił pauzę. – I nie trać wiary. Zobaczymy się wkrótce.

Arcybiskup zakończył rozmowę z lękiem w sercu. Obawiał się, że do powstrzymania Kövesa nie wystarczą apele o racjonalność i rozsądek.

„Köves wpadł w panikę... tak samo jak Syed”.

„Ani jeden, ani drugi nie potrafi zobaczyć sprawy w szerszym kontekście”.

Valdespino zamknął pokrywę laptopa, wsunął go pod ramię i ruszył przez pogrążoną w mroku świątynię.

Nadal ubrany w szaty liturgiczne wyszedł z katedry na plac i wciągając rześkie wieczorne powietrze, szedł w stronę rozświetlonej fasady pałacu królewskiego.

Valdespino skierował wzrok na umieszczone nad głównym wejściem godło Hiszpanii – tarczę herbową z dwoma Słupami Heraklesa po bokach i łacińską maksymą *plus ultra*, czyli „wciąż dalej”, przez wielu uznawaną za aluzję do prowadzonego przez Hiszpanię podboju Nowego Świata w czasach złotego wieku monarchii. Według innych natomiast hasło odnosi się do pielęgnowanego w tym kraju od stuleci przekonania, że po świecie doczesnym czeka nas życie w niebie.

Valdespino miał wrażenie, że w każdej z tych interpretacji łacińskie motto z dnia na dzień traci na aktualności. Patrząc na powiewającą nad gmachem flagę, westchnął ze smutkiem i skierował myśli ku swojemu niedomagającemu królowi.

„Jakże będzie mi go brakowało, gdy odejdzie!”

„Tak dużo mu zawdzięczam!”

Od wielu miesięcy biskup codziennie odwiedzał swojego ukochanego przyjaciela, który leżał przykuty do łóżka w Palacio de la Zarzuela na przedmieściach stolicy. Kilka dni temu, gdy król wezwał go do siebie, Valdespino zobaczył w jego oczach głęboką troskę.

– Antonio – wyszeptał monarcha. – Zaczynam się obawiać, że zaręczyny mojego syna były przedwcześnie.

„Znacznie lepiej opisywałyby je przymiotnik «szalone»” – pomyślał Valdespino.

Trzy miesiące wcześniej, gdy książę wyznał Valdespinowi, że po bardzo krótkiej znajomości zamierza poprosić Ambre Vidal o rękę, osłupiały biskup błagał Juliána o rozwagę. Książę odparł, że jest zakochany, a król z pewnością zasługuje na to, żeby zobaczyć swojego jedyne go syna na ślubnym kobiercu. Dodał też, że jeśli mają z Ambrą założyć rodzinę, to z uwagi na jej wiek nie powinni zbyt długo zwlekać.

Valdespino odpowiedział królowi ze spokojnym uśmiechem.

– To prawda, że oświadczyły Don Juliána wszystkich nas zaskoczyły. Ale chciał tylko, żebyś był szczęśliwy.

– Ma myśleć o kraju, nie o własnym ojcu – stwierdził z mocą król. – Panna Vidal jest wspaniałą kobietą, ale wcale jej nie znamy, przychodzi z zewnątrz. Nie jestem pewien, z jakich powodów przyjęła oświadczyły Don Juliána. Poprosił ją o rękę zbyt szybko.

Kobieta honoru odrzuciłaby takie pośpieszne zaręczyny.

– To prawda – przytaknął Valdespino, choć na obronę Ambry musiał też przyznać, że Don Julián nie dał jej wyboru.

Król delikatnie ujął kościstą dłoń biskupa.

– Przyjacielu, nie rozumiem już dzisiejszego świata. Obydwaj się zestarzeliliśmy.

Chcę ci podziękować za mądrą radę, na jaką zawsze mogłem liczyć od ciebie przez wszystkie te lata, po stracie żony i w czasach przemian, które dokonywały się w tym kraju. Wsparciem była też dla mnie siła twojej wiary.

– Nasza przyjaźń jest dla mnie zaszczytem, Wasza Wysokość.

Król uśmiechnął się słabo.

– Wiem, Antonio, że wiele poświęciłeś, żeby zostać ze mną. Zrezygnowałeś choćby z wyjazdu do Rzymu.

Valdespino wzruszył ramionami.

– Kardynalski kapelusz nie przybliżyłby mnie do Boga. Moje miejsce zawsze było tutaj, przy tobie.

– Twoja lojalność to wielki dar.

– A ja nigdy nie zapomnę wyrozumiałości, jaką mi okazywałeś przez wszystkie te lata.

Król zamknął oczy, silniej ściskając dłoń biskupa.

– Antonio... martwię się. Mój syn niebawem stanie za sterami tego wielkiego okrętu, a nie jest gotowy, żeby nim kierować. Prowadź go, proszę. Błagam, bądź jego gwiazdą przewodnią. Umieść swoją pewną dłoń na kole sterowym, zwłaszcza na wzburzonych wodach. A jeśli zejdzie z kursu, to pomóż mu odnaleźć właściwą drogę.

Niech wróci na szlak prawości.

– Amen – wyszeptał biskup. – Masz na to moje słowo.

Wspominając tę rozmowę, Valdespino podniósł oczy do nieba. „Wasza Wysokość, wiedz, że robię wszystko, żeby spełnić twoje ostatnie życzenie”.

Arcybiskup pocieszał się tym, że król był zbyt słaby, żeby oglądać telewizję.

„Gdyby widział dzisiejszą transmisję z Bilbao, padłby trupem, widząc, do czego doszło w jego ukochanym królestwie”.

Po prawej stronie, za żelazną bramą przy Calle de Bailén, wozy transmisyjne zaczęły ustawiać anteny satelitarne.

„Sępy” – pomyślał Valdespino. Wieczorny wiatr gwałtownie szarpnął jego ornatem.

Rozdział 25

– Będzie jeszcze czas na żałobę – powiedział sobie Langdon, tłumiąc gwałtowne emocje.

– Teraz jest czas, żeby działać.

Już poprosił Winstona, żeby przejrzał system zabezpieczeń muzeum w poszukiwaniu jakichkolwiek danych, które ułatwiłyby schwytanie mordercy. Po cichu poprosił go też o sprawdzenie, czy istnieją jakiekolwiek powiązania między biskupem Valdespino a Ávilą.

Fonseca właśnie do nich wracał, wciąż z telefonem przy uchu.

– *Si... si...* – powtarzał. – *Claro. Inmediatamente.*

Gwardzista zakończył rozmowę i skierował uwagę na Ambrę, która nadal stała jak ogłuszona.

– Pani Vidal, wychodzimy – oznajmił ostrym tonem. – Don Julián rozkazał, żebyśmy natychmiast przewieźli panią do pałacu królewskiego, bo tam będzie pani bezpieczna.

Ambra wyraźnie się naprężyła.

– Nie zostawię tak Edmonda – oznajmiła, wskazując na przykryte kocem zwłoki.

– Tą sprawą zajmą się miejscowe władze – odpowiedział Fonseca. – Prokurator jest już w drodze. Pan Kirsch zostanie potraktowany z należyтым szacunkiem i starannością.

Teraz musimy opuścić budynek. Obawiamy się, że jest pani w niebezpieczeństwie.

– Z całą pewnością nie jestem! – zaprzeczyła Ambra, podchodząc do niego. – Morderca miał przed chwilą doskonałą okazję, żeby mnie zastrzelić, ale tego nie zrobił.

Nie ma wątpliwości, że chodziło mu o Edmonda.

– Pani Vidal! – Żyły na szyi Fonseki nabrzmiały. – Księżę chce, żeby pani pojechała do Madrytu. Martwi się o pani bezpieczeństwo.

– Nieprawda! – odpowiedziała bez namysłu. – Martwi się o polityczne konsekwencje dzisiejszego wieczoru.

Fonseca powoli wypuścił powietrze i zniżył głos.

– Pani Vidal, wydarzenia dzisiejszego wieczoru były wielkim ciosem dla Hiszpanii.

Boleśnie ugodziły też księcia osobiście. Pani decyzja o użyczeniu muzeum dla takiego przedsięwzięcia była w najwyższym stopniu niefortunna.

W głowie Langdona niespodziewanie rozległ się głos Winstona.

– Panie profesorze? Ochrona muzeum przeanalizowała zapis kamer zamontowanych na zewnątrz budynku. Zdaje się, że coś znaleźli.

Langdon wysłuchał go do końca i gestem dłoni przerwał reprimendę, której Fonseca udzielał Ambrze Vidal.

– Proszę pana, komputer właśnie poinformował mnie, że jedna z kamer na elewacji budynku zarejestrowała w kadrze fragment samochodu uciekiniera.

– Tak? – Fonseca wydawał się zaskoczony.

Langdon na bieżąco przekazywał gwardziście otrzymywane informacje.

– Czarny sedan odjeżdżający sprzed drogi pożarowej... pod takim dużym kątem numery rejestracyjne są niewidoczne... nietypowa nalepka na przedniej szybie.



– Jaka nalepka? – dopytywał się Fonseca. – Możemy powiadomić miejscowe służby, żeby jej szukały.

– Nie rozpoznałem jej od razu, ale porównałem widoczny na niej obraz z wszystkimi znanymi symbolami na świecie – informował Winston. – Znalazłem jeden odpowiednik.

Langdon ze zdumieniem obserwował tempo pracy Winstona.

– Wizerunkowi na naklejce odpowiada alchemiczny symbol amalgamacji.

„Co takiego?” Langdon oczekiwałby raczej naklejki parkingowej albo logo organizacji politycznej.

– Naklejka na samochodzie to symbol amalgamacji? – dopytywał, z niedowierzaniem akcentując ostatnie słowo.

Fonseca patrzył wyraźnie zbity z tropu.

– To musi być pomyłka, Winstonie – powiedział Langdon. – Po co ktoś umieszczałby na szybie samochodu symbol procesu alchemicznego?

– Nie wiem – odparł Winston. – To jedyny pasujący obraz. Stopień podobieństwa wynosi dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

Ejdetyczna pamięć Langdona szybko przywołała ten symbol.

– Winstonie, opisz dokładnie, co widzisz na szybie samochodu.

Komputer odpowiedział niezwłocznie.

– Symbol składa się z jednej pionowej linii przeciętej trzema liniami poprzecznymi.

Na szczycie pionowej linii umieszczony jest łuk otwarty do góry.

„Pasuje”. Langdon zmarszczył brwi.

– Łuk ma po obydwu stronach poziome zwieńczenie?

– Tak. Na jednym i drugim końcu widać krótkie kreski.

„Czyli to musi być amalgamacja”.

Langdon zastanawiał się przez chwilę.

– Winstonie, czy możesz przesłać nam obraz zarejestrowany przez kamerę monitoringu?

– Oczywiście.

– Niech wyśle na mój telefon – zażądał Fonseca.

Langdon przekazał Winstonowi numer telefonu gwardzisty i chwilę później komórka Fonseki zapiszczała. Wszyscy zebrali się wokół wyświetlacza, patrząc na niewyraźne czarno-białe zdjęcie, na którym widać było przód czarnego sedana na betonowym podjeździe.

W lewym dolnym rogu przedniej szyby samochodu widniała nalepka z symbolem, który właśnie opisał Winston.

„Amalgamacja. Dziwne”.

Zaskoczony Langdon sięgnął do telefonu i palcami powiększył wyświetlane zdjęcie.

Chociaż obraz przypominał symbol opisywany przez Winstona, to jednak nie był on identyczny. Zorientował się natychmiast.

– To nie jest amalgamacja.



A dla semiologa dystans między podobieństwem a identycznością może oznaczać różnicę między nazistowską swastyką a buddyjskim symbolem pomyślności.

„Właśnie dlatego umysł ludzki bywa lepszy od komputera”.

– To nie jest jedna nalepka – oznajmił Langdon. – Widzimy dwie różne naklejki, które się na siebie nakładają. Ta na dole to specjalny krucyfiks nazywany ferulą lub krzyżem papieskim. Obecnie jest bardzo popularny, zwłaszcza w Hiszpanii.

Po wyborze najbardziej liberalnego papieża w historii Watykanu ludzie na całym świecie tysiącami okazywali poparcie dla nowego biskupa Rzymu, wywieszając krzyż papieski. Langdon spotkał się z tym nawet w swoim rodzinnym Cambridge.

– Umieszczony na górze łuk to zupełnie odrębny symbol – kontynuował Langdon.

– Teraz widzę, że ma pan rację – przytaknął mu Winston. – Zaraz znajdę numer telefonu do centrali.

Langdon znów się zdumiał szybkością Winstona. „Już zidentyfikował logo firmy?”

– Doskonale! – pochwalił go na głos. – Zadzwonimy do nich i namierzą auto.

Fonseca był zdumiony.

– Namierzą auto? Jak?

– Morderca uciekł wynajętym samochodem – wyjaśnił Langdon, wskazując na stylizowane U przyklejone do przedniej szyby. – To Uber.

Rozdział 26

Okrągłe ze zdziwienia oczy Fonseki nie odpowiadały Langdonowi na pytanie, co bardziej zaskoczyło gwardzistę: błyskawiczne odczytanie symbolu na przedniej szybie czy ucieczka mordercy z miejsca zbrodni wynajętym samochodem.

„Wziął Ubera” – pomyślał Langdon, zastanawiając się, czy ten wybór świadczył o geniuszu, czy niewiarygodnej krótkowzroczności.

Usługi „kierowców na żądanie” szturmem zawojowały rynek przez ostatnie lata.

Przez aplikację na smartfonie można natychmiast zamówić przejazd u jednego z całej rzeszy kierowców Ubera, którzy dorabiają sobie, wynajmując swoje samochody jako improwizowane taksówki. Zalegalizowana w Hiszpanii dopiero niedawno firma wymagała, żeby kierowcy umieszczali na przedniej szybie swoich aut logo Ubera.

Najwidoczniej kierowca samochodu, którym uciekał Ávila, był też zwolennikiem nowego papieża.

– Panie Fonseca, Winston mówi, że pozwolił sobie przekazać zdjęcie poszukiwanego samochodu miejscowym służbom, żeby je rozesłały do posterunków przy blokadach dróg – poinformował Langdon.

Fonseca otworzył usta ze zdziwienia, a Langdon wyczuł, że ten świetnie wyszkolony agent rzadko musiał nadrabiać straty do rywala. Najwyraźniej gwardzista nie był pewien, czy ma podziękować Winstonowi, czy powiedzieć mu, żeby się nie wtrącał w nie swoje sprawy.

– Teraz dzwoni na numer awaryjny Ubera.

– Nie! – rozkazał Fonseca. – Niech poda ten numer mnie. Sam zadzwonię do Ubera.

Prędzej pomogą żołnierzowi Gwardii Królewskiej niż jakiemuś tam komputerowi.

Langdon musiał przyznać mu rację. Poza tym wołał, żeby gwardzista angażował się w poszukiwania zabójcy, niżby miał tracić potencjał swojej formacji na transportowanie Ambry do Madrytu.

Po uzyskaniu od Winstona numeru telefonu Langdon poczuł rosnącą pewność, że schwytanie zabójcy jest kwestią minut. Cały biznes Ubera opierał się w końcu na

lokalizacji pojazdów, dlatego każdy klient ze smartfonem miał dostęp do aplikacji pokazującej aktualną pozycję wszystkich samochodów współpracujących z firmą.

Fonseca musiał więc tylko poprosić firmę o namierzenie kierowcy, który właśnie odebrał pasażera sprzed Muzeum Guggenheima.

– *¡Hostia!* – przeklął Fonseca. – *Automatizada.* – Dźgnął palcem cyfrę na wirtualnej klawiaturze swojego telefonu i czekał, zapewne słuchając, jak automatyczne nagranie wylicza opcje. – Panie profesorze, gdy połączę się z Uberem i zlecę im odszukanie tego samochodu, przekażę sprawę miejscowym władzom, żebyśmy mogli z Díazem odwiedzić panią Vidal i pana do Madrytu.

– Mnie? – zdumiał się Langdon. – Nie mogę z wami jechać.

– Oczywiście, że pan może. Co więcej, pojedzie pan z nami razem z pańską komputerową zabawką – stwierdził gwardzista, wskazując na zestaw słuchawkowy.

– Przykro mi, ale nie ma takiej możliwości, żebym teraz jechał do Madrytu – powiedział Langdon twardo.

– Dziwne. Podobno jest pan profesorem na Harvardzie? – zapytał Fonseca.

Langdon spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Owszem, jestem.

– To dobrze – warknął Fonseca. – Prawdopodobnie jest pan więc wystarczająco bystry, żeby zrozumieć, że nie ma pan wyboru.

Po tych słowach gwardzista odszedł na bok, zajmując się znów swoim telefonem.

Langdon popatrzył za nim. „Co jest, do cholery?”

– Panie profesorze? – Ambra podeszła bardzo blisko Langdona i mówiła szeptem.

– Musi mnie pan wysłuchać. To bardzo ważne.

Langdon odwrócił się, z zaskoczeniem zauważając, że na twarzy tej pięknej kobiety maluje się paniczny strach. Niemy szok najwyraźniej minął, a jej głos był czysty i pełen desperacji.

– Panie profesorze, Edmond okazał panu wielki szacunek, cytując w swojej prezentacji pański wykład. Dlatego sędzę, że mogę panu zaufać. Muszę panu coś wyznać.

Langdon spojrzał na nią niepewnie.

– Śmierć Edmonda to moja wina – wyszeptała, a jej ciemne oczy zaszkliły się łzami.

– Co takiego?

Ambra spojrzała nerwowo na gwardzistę i stwierdziła, że Fonseca stoi teraz poza zasięgiem jej głosu.

– Chodzi o listę gości – powiedziała, odwracając się do Langdona. – Kojarzy pan?

Nazwisko dodane w ostatniej chwili?

– Tak, Luis Ávila.

– To ja kazałam je dopisać – wyznała łamiącym się głosem. – Osobiście!

„A więc Winston miał rację!” – pomyślał Langdon zaskoczony.

– To przeze mnie Edmond został zamordowany – wyznała, ledwie powstrzymując się od płaczu. – Wpuściłam zabójcę do budynku.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Langdon, dotykając dłonią jej drżącego ramienia.

– Po kolei, proszę. Dlaczego dodała pani do listy to nazwisko?

Ambra rzuciła kolejne nerwowe spojrzenie w stronę Fonseki, który nadal stał kilka metrów dalej, zajęty rozmową przez telefon.

– W ostatniej chwili poprosił mnie o to ktoś, komu głęboko ufam. Powiedział, że osobiście zależy mu na tym, żeby admirał Ávila znalazł się na liście gości. Poprosił o tę przysługę w ostatniej chwili, na kilka minut przed otwarciem drzwi, a ja byłam zajęta, bez namysłu więc się zgodziłam. Ale przecież chodziło o admirała królewskiej marynarki!

Skąd mogłam wiedzieć? – Spojrzała na ciało Edmonda, po czym natychmiast zakryła usta smukłą dłonią. – A teraz...

– Ambro – szepnął Langdon. – Kto kazał pani dopisać do listy gości nazwisko Ávili?

Przełknęła ślinę.

– Mój narzeczony... następca tronu Hiszpanii. Don Julián.

Langdon patrzył na nią z niedowierzaniem, próbując przyswoić tę wiadomość.

Dyrektorka Muzeum Guggenheima poinformowała go właśnie, że następca tronu Hiszpanii pomógł zorganizować zamach na Edmonda Kirscha. „To niemożliwe!”

– Z całą pewnością pałac zakładał, że nigdy nie poznam tożsamości zabójcy, ale teraz... sama nie wiem. Boję się, że coś mi grozi.

Langdon położył dłoń na jej ramieniu.

– Tutaj jest pani całkowicie bezpieczna.

– Nie – zaprzeczyła szeptem. – Nie rozumie pan sytuacji, w której się pan znalazł.

Obydwoje musimy stąd uciekać. I to już!

– Nie zdołamy uciec – zaoponował Langdon. – Nigdy nam się nie uda...

– Niech pan mi uwierzy – nalegała. – Wiem, jak możemy pomóc Edmondowi.

– Co takiego? – Langdon zaczął podejrzewać, że Ambra Vidal nie wyszła jeszcze z szoku. – Edmondowi nie da się już pomóc.

– Owszem, da się – odpowiedziała całkiem przytomnym tonem. – Najpierw jednak musimy się dostać do jego mieszkania w Barcelonie.

– O czym pani mówi?

– Niech pan słucha uważnie. Wiem, że Edmond tego by od nas oczekiwał.

Przez następne piętnaście sekund Ambra Vidal szeptem wyjaśniała Langdonowi swój plan. Z każdym kolejnym słowem Langdon czuł, jak przyśpiesza mu tętno. „Mój Boże!” –

pomyślał. „Ona ma rację! To zmienia postać rzeczy!”

Ambra zamilkła i patrzyła na niego wyzywająco.

– Rozumie pan teraz, dlaczego musimy uciekać?

Langdon bez wahania skinął głową.

– Winstonie, czy słyszałeś, co Ambra właśnie mi powiedziała? – zapytał.

– Tak, panie profesorze.

– Wiedziałeś o tym?

– Nie.

Langdon ostrożnie ważył kolejne słowa.

– Winstonie, nie wiem, czy komputery odczuwają lojalność wobec swoich twórców, ale jeśli tak, to właśnie następuje dla ciebie chwila prawdy. Potrzebujemy twojej pomocy.

Rozdział 27

Idąc w stronę podium, Langdon zerknął jednym okiem na Fonsecę, nadal pogrążonego w rozmowie z pracownikiem Ubera. Widział też Ambrę, która od niechcienia przechodziła do środka sali, także rozmawiając przez telefon, a właściwie udając, że prowadzi rozmowę, tak jak zasugerował jej Langdon.

„Proszę powiedzieć Fonsece, że postanowiła pani zadzwonić do księcia Juliána”.

Gdy Langdon dotarł do sceny, z ociąganiem spojrzał na okryte kocem ciało.

„Edmond!”

Delikatnie uniósł koc, którym Ambra przykryła zwłoki. Kiedyś tak pełne blasku oczy Edmonda zamieniły się w dwie pozbawione wyrazu szparki pod wielką szkarłatną plamą na czole. Langdon wzdrygnął się na ten makabryczny widok, czując, jak przepełniają go żal i wściekłość.

Przez chwilę znów miał przed oczami młodego, uzdolnionego studenta z burzą niesfornych włosów na głowie, który wkroczył do jego sali wykładowej pełen nadziei na przyszłość. A teraz ktoś zamordował tego niewiarygodnie utalentowanego człowieka, niemal na pewno próbując razem z nim uśmiercić jego najnowsze odkrycie.

„Jeśli nie zacznę działać, najważniejsze osiągnięcie mojego studenta nigdy nie ujrzy światła dziennego!” – przypomniawszy sobie Langdon.

Ustawiając się tak, że podium częściowo zasłaniało go przed spojrzeniem Fonseki, Langdon przyklęknął obok zwłok, zamknął oczy, złożył dłonie i przyjął nabożną postawę.

Modlitwa nad ciałem ateisty tak bardzo zakrawała na ironię, że Langdon omal nie wybuchnął śmiechem.

„Edmondzie, wiem, że akurat ty nie życzyłybyś sobie modlitwy, ale nie martw się, przyjacielu, nie przyszedłem się modlić”.

Klęcząc nad martwym przyjacielem, Langdon walczył z narastającą obawą.

„Zapewniałem cię, że biskup jest nieszkodliwy! Jeśli się okaże, że Valdespino maczał w tym palce...”

Langdon odepchnął tę myśl od siebie. Gdy nabrał pewności, że Fonseca zauważył go

w trakcie modlitwy, dyskretnie pochylił się do przodu i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki Edmonda, wyciągając stamtąd okazałych rozmiarów turkusowe etui.

Szybko zerknął na Fonsecę. Gwardzista wciąż rozmawiał przez telefon i zdawał się interesować nie tyle nim, co Ambra, która pograżona w rozmowie odchodziła od niego coraz dalej.

Langdon przeniósł wzrok na ciało Edmonda, dla uspokojenia biorąc głęboki wdech.

„Jeszcze jedno zostało mi do zrobienia”.

Ostrożnie sięgnął, żeby chwycić prawą dłoń Edmonda. Gdy ją uniósł, była już zimna. Przysuwając telefon do martwych palców, Langdon uważnie przytknął opuszkę palca wskazującego do czytnika linii papilarnych na urządzeniu.

Telefon kliknął i się odblokował.

Langdon szybko wszedł do ustawień systemu i dezaktywował funkcję blokady ekranu. „Trwale wyłączona”. Wsunął aparat do kieszeni swojej marynarki i ponownie przykrył ciało kocem.

Stojąc samotnie pośrodku sali, Ambra usłyszała wyjące w oddali syreny. Czuła na sobie spojrzenie pilnującego jej gwardzisty, więc mocniej przycisnęła do ucha telefon, starając się sprawiać wrażenie, że prowadzi rozmowę.

„Pośpiesz się, Robercie!”

Chwilę temu amerykański profesor dał się przekonać do działania, gdy przekazała mu treść swojej niedawnej rozmowy z Edmondem Kirschem. Opowiedziała mu, jak przed dwoma dniami w tym właśnie pomieszczeniu pracowała z zamordowanym przyjacielem nad ostatnimi szczegółami planowanego wydarzenia, gdy w pewnej chwili Edmond poprosił o przerwę na koktajl szpinakowy, już trzeci tego wieczoru. Wtedy zauważyła, jak bardzo był wycieńczony.

– Muszę to powiedzieć, Edmondzie – zaczęła. – Wcale nie jestem pewna, czy ta wegańska dieta sprawdza się w twoim wypadku. Jesteś blady i zbyt chudy.

– Zbyt chudy? – zaśmiał się. – I kto to mówi?

– Nie jestem za chuda!

– Niewiele brakuje. – Mrugnął żartobliwie, widząc jej oburzoną minę. – A komentarz na temat bladej cery mogłabyś sobie darować. Jestem geekiem, który całe dni spędza w niebieskawym blasku monitora ciekłokrystalicznego.

– No nie wiem. Za dwa dni masz wystąpić przed całym światem i trochę kolorów z pewnością by ci się przydało. Albo idź jutro na spacer, albo wynajdź monitor komputerowy, który zapewni ci opaleniznę.

– To nie jest głupi pomysł! – oznajmił z widocznym podziwem. – Powinnaś go

opatentować! – zaśmiał się, by następnie wrócić do programu planowanej prezentacji. – Mam rozumieć, że jeśli chodzi o kolejność wydarzeń sobotniego wieczoru, to wszystko jest jasne?

Ambra skinęła głową, zerkając do notatek.

– Witam wszystkich w poczekalni, a potem przechodzimy do tego audytorium na twoje wprowadzające wideo, po którym magicznie pojawiaasz się na podium. – Wskazała na pulpit z przodu sali. – I wtedy ogłaszasz swoje odkrycie.

– Właśnie tak – potwierdził Edmond. – Jeszcze tylko jedno drobne uzupełnienie. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Moje przemówienie na podium będzie raczej antraktem, dla mnie okazją do osobistego przywitania przybyłych, a dla nich sposobnością, żeby rozprostować kości. W kilku słowach przygotuję ich do obejrzenia głównej części programu, podczas której przedstawię multimedialną prezentację wyjaśniającą istotę mojego odkrycia.

– Czyli główne wystąpienie zostało nagrane? Tak jak wstęp?

– Tak. Skończyłem nagrywać kilka dni temu. Żyjemy w czasach kultury obrazkowej, prezentacje multimedialne są więc znacznie ciekawsze od jakiegoś tam naukowca przemawiającego *ex cathedra*.

– Nie jesteś „jakimś tam naukowcem” – zaoponowała. – Ale z resztą się zgadzam.

Już się nie mogę doczekać tej prezentacji!

Ambra wiedziała, że dla bezpieczeństwa prezentacja Edmonda jest przechowywana na jego prywatnym, niepodłączonym do sieci serwerze, skąd będzie transmitowana na żywo do komputera obsługującego projektor zainstalowany nad kopułą.

– Gdy już będziesz gotowy do drugiej części, kto rozpocznie transmisję prezentacji, ty czy ja?

– Zrobię to osobiście – oznajmił, sięgając po swój telefon. – Za pomocą tego. – Podniósł w dłoni smartfon ukryty w turkusowym etui z wzorem Gaudiego. – To część mojego show. Używając telefonu, zainicjuję szyfrowane połączenie z serwerem...

Edmond dotknął kilku ikon, w głośniku rozległ się jeden sygnał telefoniczny i połączenie zostało nawiązane.

Odebrał syntetyczny głos kobiety.

– Dobry wieczór, Edmondzie. Czekam na hasło.

Edmond znów się uśmiechnął.

– Po tych słowach cały świat zobaczy, jak wystukuję hasło na ekranie telefonu i rozpoczynam transmisję zarówno do tego pomieszczenia, jak i na cały świat.

– Efekt prawdziwie dramatyczny – pochwaliła z uznaniem. – Oczywiście jeśli nie zapomnisz hasła.

– To prawda, głupio by wyszło.

– Mam nadzieję, że je sobie zapiszesz – oznajmiła cierpko.

– Popełniłbym bluźnierstwo – odparł ze śmiechem. – Informatycy nigdy nie zapisują haseł. Ale nie musisz się martwić. Moje ma tylko czterdzieści cztery znaki.

Jestem pewien, że go nie zapomnę.

Ambra zrobiła wielkie oczy.

– Czterdzieści cztery znaki? Edmondzie, przecież ty nie potrafisz zapamiętać czteroznakowego PIN-u wymaganego przy użyciu identyfikatora na terenie muzeum.

Jakim cudem miałbyś się nauczyć czterdziestu czterech przypadkowych znaków?

Znów się zaśmiał, widząc jej przerażenie.

– Nie muszę się ich uczyć, bo nie są przypadkowe. – Zniżył głos. – Moje hasło to fragment poezji. Mój ulubiony wers.

Ambra poczuła się zmieszana.

– Użyłeś fragmentu wiersza jako hasła?

– Dlaczego nie? Mój ulubiony wers ma dokładnie czterdzieści cztery znaki.

– Nie brzmi to zbyt bezpiecznie.

– Nie? Myślisz, że ktoś mógłby odgadnąć, który wiersz najbardziej lubię?

– Nie miałam pojęcia, że w ogóle lubisz poezję.

– A widzisz! Nawet gdyby ktoś się dowiedział, że moje hasło to fragment utworu poetyckiego, i nawet gdyby z milionów możliwości wybrał ten właściwy wers, to i tak musiałby potem ustalić naprawdę długi numer telefonu, pod którym ukryłem mój bezpieczny serwer.

– Numer, z którym przed chwilą się połączyłeś, zapisany w twoim smartfonie?

– Właśnie ten. Jest chroniony odciskiem mojego palca i znajduje się w telefonie, który zawsze noszę na piersi.

Ambra podniosła ręce, śmiejąc się przekornie.

– W porządku, ty tu rządzisz – stwierdziła. – A skoro już o tym mowa, to kto jest twoim ulubionym poetą?

– Niezły podstęp – odparł, grożąc jej palcem. – Ale będziesz musiała poczekać do soboty. Wtedy się przekonasz, że wybrałem wers, który pasuje wręcz idealnie. – Szeroko się uśmiechnął. – Jest proroctwem, przepowiednią przyszłości. Z wielką radością ogłoszę, że ta przepowiednia już się spełniła.

Odrywając myśli od wspomnień, Ambra zerknęła na leżące przy podium zwłoki Edmonda i z przerażeniem stwierdziła, że Langdona już przy nich nie ma.

„Gdzie się podział?”

Jej przerażenie wzrosło, gdy zobaczyła, że Díaz gramoli się z powrotem pod kopułę

przez dziurę wyciętą w tekstylnej ścianie, prędko skanuje wzrokiem opustoszałe pomieszczenie i rusza wprost ku niej.

„Ten na pewno nigdzie mnie stąd nie wypuści!”

Nagle Langdon stanął przy niej. Delikatnie objął ją w pasie i popchnął do przodu.

W następnej sekundzie obydwójce szybko szli na drugi koniec kopuły, gdzie znajdował się korytarz, przez który tutaj weszli.

– Pani Vidal! – krzyknął za nimi Díaz. – Dokąd idziecie?

– Zaraz wrócimy – odpowiedział mu Langdon, przyśpieszając kroku. Kierowali się prosto do wyjścia.

– Panie Langdon! – krzyknął Fonseca. – Zabraniam panu opuszczać to pomieszczenie!

Ambra poczuła, jak dłoń profesora silniej przylega do jej pleców.

– Winstonie – szepnął Langdon. – Teraz!

W tej samej chwili kopuła utonęła w ciemnościach.

Rozdział 28

Fonseca i Díaz puścili się pędem w kierunku wyjścia, oświetlając sobie drogę latarkami w telefonach komórkowych. Po chwili wbiegli do tunelu, w którym przed chwilą zniknęli Ambra i Langdon.

W połowie tunelu Fonseca zauważył leżący na dywanie telefon Ambry. Przystanął zdumiony.

„Ambra wyrzuciła telefon?”

Guardia Real za pozwoleniem właścicielki zainstalowała na jej smartfonie prostą aplikację, dzięki której mogła śledzić lokalizację przyszłej królowej. Mógł więc być tylko jeden powód, dla którego Ambra pozbyła się swojego telefonu: postanowiła uciec.

Ten wniosek był dla Fonseki przerażający, choć nie tak bardzo jak myśl o tym, co go czeka, gdy będzie musiał zameldować przełożonym, że przyszła małżonka króla Hiszpanii uciekła. Komendant Gwardii Królewskiej był dla podwładnych bezlitosny, a miał prawdziwą obsesję na punkcie ochrony interesów następcy tronu. To zadanie zlecił Fonsece osobiście, wydając mu prosty rozkaz: „Masz dbać o bezpieczeństwo Ambry Vidal i trzymać ją z dala od jakichkolwiek kłopotów!”.

Gwardziści popędzili do końca tunelu, a następnie weszli do równie ciemnej poczekalni, która teraz wyglądała jak zjazd upiórów wypełniona tłumem bladych, przerażonych, oświetlonych ekranami telefonów komórkowych ludzi, komunikujących się ze światem zewnętrznym, by przekazać relację o tym, co przed chwilą ich spotkało.

– Światło! – krzyknęło kilka osób niemal równocześnie.

Fonseca usłyszał dzwonek swojego telefonu. Odebrał.

– Panie Fonseca? Tu ochrona muzeum – odezwała się młoda kobieta po hiszpańsku. – Wiem o awarii światła. Wygląda na to, że zawiodło sterowanie komputerowe. Już pracujemy nad przywróceniem zasilania – meldowała lakonicznie.

– Czy kamery monitoringu nadal są włączone? – zapytał Fonseca, wiedząc, że wszystkie są wyposażone w technologię noktowizyjną.

– Tak, wszystkie działają.

Fonseca przebiegł oczami po zgromadzonych.

– Ambra Vidal przed chwilą opuściła główne audytorium pod kopułą i przeszła do poczekalni. Może ją pani odnaleźć?

– Chwilę, zaraz sprawdzę.

Fonseca czekał z sercem walącym jak młot. Właśnie usłyszał od pracownika Ubera, że są problemy z namierzeniem samochodu zabójcy.

„Co jeszcze może się spieprzyć tego wieczoru?”

Długo będzie pamiętał pierwszy dzień na służbie przy Ambrze Vidal. Zazwyczaj jako wyższy rangą oficer Fonseca ochraniał samego księcia Juliána, ale dziś rano szef wziął go na bok i oznajmił: „Wieczorem pani Vidal współorganizuje w swoim muzeum imprezę, która jest nie po myśli Don Juliána. Pojedziesz tam i będziesz towarzyszył pani Vidal. Masz zadbać, żeby była bezpieczna”.

Fonseca nawet sobie nie wyobrażał, że impreza współorganizowana przez Ambrę będzie zmasowanym atakiem na religię, który zakończy się przeprowadzonym na oczach całego świata zabójstwem. Nadal nie mógł też przetrwać złości, z jaką Ambra Vidal odmówiła rozmowy z księciem Juliánem, a księżę przecież tak bardzo się martwił o jej bezpieczeństwo.

Choć to niewyobrażalne, jej dziwne zachowanie jeszcze się nasiliło. Wszystko wskazywało na to, że Ambra Vidal próbowała się pozbyć swojej ochrony, żeby uciec z amerykańskim profesorem.

„Jeśli księżę Julián się o tym dowie...”

– Panie Fonseca? – znów odezwał się w telefonie głos młodej Hiszpanki. – Kamery pokazują, że pani Vidal wyszła z poczekalni w towarzystwie mężczyzny. Minęli pomost i właśnie weszli do galerii z *Komórkami* Louise Bourgeois. Po wyjściu trzeba skręcić w prawo. To będzie druga galeria po prawej stronie.

– Dziękuję. Proszę nadal ich monitorować.

Fonseca i Díaz w kilku susach dopadli do wyjścia z poczekalni i wbiegli na pomost.

Pod sobą widzieli tłum ludzi szybko przechodzących przez atrium do wyjścia.

Zgodnie z otrzymaną przez telefon instrukcją, po prawej Fonseca zobaczył przejście do wielkiej galerii. Podpis przed eksponatem brzmiał *Komórki*.

Na olbrzymiej przestrzeni mieściła się instalacja złożona z przypominających klatki sześcianów wypełnionych białymi amorficznymi rzeźbami.

– Pani Vidal! – krzyknął Fonseca. – Panie Langdon!

Nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, gwardziści zaczęli przeszukiwać galerię.

Kilka pomieszczeń dalej, tuż za kopułą audytorium Langdon i Ambra przedzierali się

ostrożnie przez labirynt rusztowań, przechodząc do drzwi, nad którymi majaczył słabo oświetlony napis „wyjście ewakuacyjne”.

Ich działania w ciągu ostatniej minuty toczyły się błyskawicznie dzięki współpracy Langdona z Winstonem.

Na dany przez Langdona sygnał Winston wyłączył oświetlenie, pogrążając kopułę w ciemnościach. Wcześniej Langdon utrwalił w pamięci topografię, zapamiętując odległość między nimi a wylotem prowadzącego tam z poczekalni tunelu. Oszacował ją niemal idealnie. Przy tunelu Ambra cisnęła w mrok swój telefon. Potem jednak, zamiast wejść do środka, obydwójce się cofnęli, przeszli kilka kroków w bok i przywarli do ściany kopuły. Trzymając dłonie na powierzchni tkaniny, przesuwali się po wewnętrznym obwodzie pomieszczenia, dopóki nie znaleźli przejścia wyrwanego przez gwardzistę podczas pogoni za zabójcą. Przeszedłszy przez nie, znaleźli się po drugiej stronie kopuły i ruszyli w kierunku świecącej zielonkawym światłem informacją o wyjściu awaryjnym.

Langdon ze zdumieniem myślał, jak łatwo Winston podjął decyzję o udzieleniu im pomocy.

– Jeśli wystąpienie Edmonda można odtworzyć po podaniu hasła, to musimy znaleźć to hasło i natychmiast wprowadzić je do serwera – oznajmił Winston stanowczo.

– Dziś wieczorem dostałem jasne polecenie, żeby działać na rzecz powodzenia zaplanowanej przez Edmonda prezentacji. To oczywiste, że nie wywiązałem się z powierzonego mi zadania, dlatego zrobię wszystko, co pomoże naprawić mój błąd.

Langdon chciał kontynuować rozmowę na ten temat, ale Winston na jednym oddechu popędził dalej, wyrzucając z siebie słowa z niesamowitą prędkością, jak audiobook odtwarzany w przyspieszonym tempie.

– Gdybym sam potrafił odnaleźć prezentację Edmonda, zrobiłbym to natychmiast, ale jak pan słyszał, jest przechowywana na niepołączonym z siecią serwerze. Wydaje się, że do jej odtworzenia wystarczy telefon Edmonda i hasło. Przeskanowałem już opublikowaną w internecie poezję w poszukiwaniu wersów zawierających czterdzieści cztery litery, ale niestety możliwości jest kilkaset tysięcy albo nawet więcej, zależy jak liczyć znaki, a użycie algorytmu siłowego jest niemożliwe, ponieważ Edmond zwykle tak zabezpiecza swoje dane, żeby wykluczyć tę formę ich przechwycenia. To oznacza, że zostaje nam tylko jedna możliwość: musimy znaleźć hasło w inny sposób. Zgadza się z panią Vidal, że powinniście jak najszybciej pojechać do barcelońskiego mieszkania Edmonda. Wydaje się logiczne, że skoro posłużył się ulubionym cytatem poetyckim, to powinien mieć w domu tomik, z którego ów cytat pochodzi, a może nawet jakoś oznaczył w nim ten właśnie wers. Obliczenia pokazują duże prawdopodobieństwo, że Edmond chciałby, żebyście pojechali do Barcelony, znaleźli jego hasło, a następnie zamieścili w internecie prezentację, ponieważ

sam planował to zrobić. Dodatkowo udało mi się ustalić, że rozmowa telefoniczna, podczas której w ostatniej chwili poproszono o dopisanie do listy gości admirała Ávili, nie została nawiązana z pałacu królewskiego w Madrycie, jak powiedziała pani Vidal. Z tego powodu uznałem, że nie możemy wierzyć funkcjonariuszom Gwardii Królewskiej, i znajdę sposób, żeby odwrócić ich uwagę, co ułatwi waszą ucieczkę.

Niewiarygodne, ale to ostatnie Winstonowi się udało.

Langdon i Ambra doszli już do wyjścia awaryjnego. Langdon cicho uchylił drzwi, przepuścił przez nie swoją towarzyszkę, a następnie wyszedł sam, ostrożnie zamykając je za sobą na klamkę.

– Dobrze – głos Winstona znów zawibrował przez końcówki słuchawek. – Jesteście w klatce schodowej.

– A gwardziści? – zapytał Langdon.

– Daleko z drugiej strony – odpowiedział Winston. – Obecnie rozmawiam przez telefon z jednym z nich, udając pracownicę ochrony muzeum, i prowadzę ich do galerii w przeciwnym krańcu budynku.

„Niewiarygodne!” – pomyślał Langdon, delikatnie poszturchując Ambrę, żeby dodać jej otuchy.

– Wszystko jest w porządku.

– Zejdźcie schodami na parter i wyjdźcie z budynku – komenderował Winston. – Musi pan wiedzieć, panie profesorze, że poza murami muzeum zestaw słuchawkowy straci ze mną połączenie.

„Cholera jasna!” Tego Langdon nie przewidział.

– Winstonie – powiedział pośpiesznie. – Wiesz, że w ubiegłym tygodniu Edmond podzielił się swoim odkryciem z trzema przywódcami religijnymi?

– Wiem, że to się wydaje nieprawdopodobne – odparł Winston. – Chociaż z wprowadzenia, które wygłosił dziś wieczorem, wyraźnie wynikało, że to, do czego doszedł, ma poważne implikacje dla religii, może więc chciał omówić wyniki z liderami w tej dziedzinie?

– Myślę, że tak. Jednym z nich był arcybiskup Madrytu Valdespino.

– Ciekawe. Widzę w sieci liczne doniesienia, z których wynika, że jest on bliskim doradcą króla Hiszpanii.

– Tak, i jeszcze jedna rzecz. Czy wiedziałeś, że po tym spotkaniu Edmond otrzymał od Valdespina telefon z pogrózkami?

– Nie wiedziałem. Musiał się połączyć z prywatnym numerem.

– Biskup nalegał, żeby Edmond odwołał swoją prezentację, i ostrzegał, że duchowni powiadomieni o jego odkryciu rozważają podjęcie działań wyprzedzających. – Langdon

zwolnił, puszczając Ambrę przodem. Ściszył głos. – Możesz sprawdzić, czy są jakieś powiązania między Valdespinem a Ávilą?

Winston zamilkł na kilka sekund.

– Nie znajduję żadnych powiązań, ale to nie znaczy, że one nie istnieją. Po prostu nie zostały udokumentowane.

Docierali do końca schodów.

– Jeśli wolno, panie profesorze, chciałbym coś dodać – zaczął Winston. – Wydarzenia dzisiejszego wieczoru sugerują, że przeciwko ujawnieniu odkrycia Edmonda działają potężne siły. Mając na uwadze fakt, że wstępna część prezentacji wskazała pana jako naukowca, którego wiedza przyczyniła się do osiągnięcia przełomu, wrogowie Edmonda mogą pana uznać za zagrożenie.

Langdon nie brał tego pod uwagę. Schodząc na parter, poczuł nagle przypływ niepokoju. Ambra już czekała na niego przy otwartych drzwiach wyjściowych.

– Po wyjściu znajdziecie się na podjeździe. Skręćcie w lewo i kierujcie się do rzeki.

Tam będzie już czekał na was transport do miejsca, o którym rozmawialiśmy.

„BIO-EC346” – pomyślał Langdon. „Miejsce, gdzie po zakończeniu wieczoru mieliśmy się spotkać z Edmondem”. Ostatecznie odcyfrował kod, zdając sobie sprawę, że nie chodzi wcale o siedzibę towarzystwa naukowego, tylko o coś bardziej prozaicznego.

Miał jednak nadzieję, że właśnie stamtąd ucieczka do Barcelony okaże się najłatwiejsza i najszybsza.

„Jeśli tylko tam dotrzemy, zanim nas namierzą...” – pomyślał, bo wiedział, że na wszystkich drogach wokół muzeum już są blokady.

Gdy Langdon i Ambra wychodzili na chłodne nocne powietrze, profesor z zaskoczeniem zauważył paciorki rozrzucone na betonie. Jakby ktoś rozerwał różaniec.

Nie miał jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Winston udzielał mu ostatnich instrukcji.

– Gdy dojdziecie do rzeki, udajcie się na pasaż pod mostem La Salve i czekajcie na...

– Winstonie? – krzyknął Langdon. – Na co mamy tam czekać?

Ale Winston zniknął, a otwierane tylko od wewnątrz metalowe drzwi już się zatrzasnęły.

Rozdział 29

Wiele kilometrów na zachód od Bilbao samochód Ubera pędził po drodze ekspresowej AP-68 do Madrytu. Na tylnym siedzeniu Ávila zdjął z siebie admiralski mundur i czapkę. Ciesząc się wolnością, rozmyślał nad tym, jak łatwo mu się udało uciec z budynku muzeum.

„Dokładnie tak, jak zapowiedział Regent”.

Niemal natychmiast po wejściu do auta Ávila wyciągnął pistolet i przycisnął lufę do głowy drżącego ze strachu mężczyzny za kółkiem, któremu kazał wyrzucić smartfon przez okno, co pozbawiło centralę Ubera kontaktu z kierowcą.

Potem Ávila przejrzał portfel mężczyzny. Zapamiętał znaleziony w dokumentach adres oraz imiona dzieci i żony kierującego autem mężczyzny.

– Rób, co mówię, albo twoi najbliżsi zginą! – zagroził. Kostki zaciśniętych na kierownicy dłoni mężczyzny aż pobieleły i Ávila wiedział, że w ten sposób zapewnił sobie jego lojalność.

„Teraz jestem niewidzialny” – cieszył się Ávila, widząc samochody policyjne pędzące na sygnale w przeciwnym kierunku.

Gdy samochód gnał na południe, gotowy do długiej podróży Ávila wygodnie się rozparł na tylnym siedzeniu, czując jeszcze resztki adrenaliny. „Dobrze się przysłużyłem sprawie” – rozmyślał. Spojrzał na swój tatuaż, uświadamiając sobie, że ochrona, którą mu gwarantował, okazała się niepotrzebnym środkiem ostrożności. „Przynajmniej na razie”.

Nie miał już wątpliwości, że przerażony kierowca Ubera posłusznie wykona wszystkie polecenia, opuścił więc pistolet. Gdy samochód pędził do Madrytu, Ávila spojrzał raz jeszcze na nalepki zdobiące przednią szybę.

„Czy to może być przypadek?” – pomyślał.

„Ferula”. Krzyże papieskie widać ostatnio wszędzie. Katolicy w całej Europie pokazują w ten sposób solidarność z nowym papieżem, popierając jego radykalny liberalizm i modernizację Kościoła.

Jak na ironię, dzięki świadomości, że kierowca uprowadzonego samochodu popiera

nowego biskupa Rzymu, Ávila odczuwał pewną przyjemność, gdy przystawiał mu lufę do głowy. Od początku z przerażeniem obserwował, jak leniwe masy podziwiają tego nowego papieża, który z bożego prawa robi szwedzki bufet, pozwalając wyznawcom Chrystusa wybierać te przykazania, które im smakują, a pozostałe uznawać za niestrawne.

Niemal z dnia na dzień w Watykanie zaczęto dyskutować nad kontrolą urodzeń, uznaniem związków homoseksualnych, kapłaństwem kobiet i innymi liberalnymi postulatami. Dwa tysiące lat tradycji jakby wyparowało w mgnieniu oka.

„Na szczęście są jeszcze ci, którzy walczą o dawne obyczaje”.

Ávila słyszał w głowie dźwięki hymnu hiszpańskich karlistów *Oriamendi*.

„A ja mam zaszczyt im służyć”.

Rozdział 30

Najstarsza i najbardziej elitarna formacja wojskowa w Hiszpanii, Gwardia Królewska, szczyci się tradycją sięgającą średniowiecza. Członkowie królewskiej straży przybocznej przysięgają przed Bogiem, że będą bronili rodziny królewskiej, jej majątku i honoru.

Komendant Diego Garza, dowodzący prawie dwoma tysiącami ludzi, był koślawym i chudym sześćdziesięcioletkiem o śniadej cerze, małych oczkach i rzednących czarnych włosach, które zaczesywał płasko do tyłu na plamistej skórze czaszki.

Nieodparcie kojarzący się z gryzoniem wygląd i marna postura sprawiały, że Garza był niemal niewidoczny w tłumie, dzięki czemu nikt nawet by nie przypuszczał, jak ogromne są jego wpływy w murach pałacu.

Już dawno temu Garza się nauczył, że prawdziwa władza wynika nie z siły fizycznej, lecz z wpływów politycznych. Dowództwo nad formacją militarną z pewnością dawało mu siłę uderzenia, ale to dzięki umiejętności politycznego myślenia i zdolności przewidywania Garza zyskał w pałacu pozycję człowieka, którego prosi się o radę w wielu sprawach zawodowych i prywatnych.

Potrafił też strzec tajemnic i nigdy nie zdradził pokładanego w nim zaufania.

Niezlomna dyskrecja oraz niezwykła umiejętność rozwiązywania delikatnych problemów sprawiły, że stał się wręcz nieodzowny w otoczeniu króla. Teraz jednak wraz z pozostałymi dworzanami niecierpliwie czekał na niepewną przyszłość, gdy starzejący się suweren Hiszpanii dożywał swoich lat w Palacio de la Zarzuela.

Król panował przez ponad cztery burzliwe dekady, odkąd kraj przywrócił monarchię konstytucyjną po trzydziestu sześciu latach krwawej dyktatury ultrakonserwatywnego generała Francisca Franco. Po śmierci Franco w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku król pracował ręką w rękę z rządem, umacniając procesy demokratyczne w Hiszpanii i wprowadzając zmiany, które powoli spychały kraj z prawicowych pozycji.

W opinii młodych zmiany te przebiegały zbyt wolno.

Starzejący się tradycjoniści twierdzili, że były bluźnierstwem.

Wielu członków hiszpańskiego establishmentu nadal ostro broniło konserwatywnej

doktryny Franco, zwłaszcza tezy, że katolicyzm jest religią państwową i moralnym kręgosłupem narodu. Ale szybko rosnąca liczba młodych obywateli Hiszpanii stanowczo się temu pogładowi przeciwstawiła, bezczelnie obnażając hipokryzję instytucji religijnych i domagając się większego rozdziału Kościoła od państwa.

Teraz, gdy na tronie miał zasiąść będący w średnim wieku książę, nikt nie był pewien, w którą stronę poprowadzi królestwo. Przez dziesięciolecia książę Julián doskonale się wywiązywał z nudnych obowiązków ceremonialnych, ani razu jednak nie ujawnił swoich poglądów i chociaż eksperci spekulowali, że po wstąpieniu na tron pójdzie bardziej w lewo niż jego ojciec, to niczego nie dało się powiedzieć na pewno.

Teraz jednak zagadka przyszłości miała się wyjaśnić.

Po szokujących wydarzeniach w Bilbao stało się jasne, że książę musi zająć jakieś stanowisko, ponieważ obłożna choroba uniemożliwiała królowi wystąpienia publiczne.

Kilku wysokich rangą urzędników państwowych, w tym premier, potępiło już mordercę, sprytnie jednak uniknęli dalszych komentarzy na temat wieczoru w Bilbao, zasłaniając się oczekiwaniem na oficjalne stanowisko pałacu królewskiego, a tym samym przerzucając problem na barki księcia Juliána. Garza nie był tym zaskoczony. Pojawiający się w sprawie wątek przyszłej królowej Ambry Vidal sprawiał, że morderstwo w muzeum było polityczną bombą, której nikt nie chciał tknąć.

„Księcia Juliána czeka dzisiaj sprawdzian” – pomyślał Garza, w pośpiechu wbiegając po olbrzymich schodach do apartamentów królewskich.

Wziął głęboki wdech i zapukał do drzwi.

„Dziwne” – pomyślał, gdy nie usłyszał żadnej odpowiedzi. „Wiem przecież, że tu jest”. Fonseca meldował przed chwilą z Bilbao, że książę Julián właśnie do niego dzwonił ze swojego apartamentu zaniepokojony o Ambrę Vidal, której dzięki Bogu nic się nie stało.

Garza zapukał ponownie i poczuł rosnące zaniepokojenie, gdy znów się nie doczekał żadnej reakcji.

Pośpiesznie sięgnął po klucz i otworzył drzwi.

– Don Julián? – krzyknął, wsuwając głowę do środka.

W apartamencie było ciemno, jeśli nie liczyć migotania ekranu telewizora w salonie.

– Wasza Wysokość?

Garza wbiegł do środka i zastał księcia stojącego samotnie w ciemności.

Nieruchoma sylwetka Don Juliána majaczyła na tle okna w wykuszu. Nadal miał na sobie szyty u najlepszego krawca garnitur, który wybrał na popołudniowe spotkanie. Pewnie nawet nie poluzował krawata.

Komendant obserwował go w milczeniu, z niepokojem dochodząc do wniosku, że stan księcia przypomina trans. „Dzisiejszy kryzys musiał go zaszokować”. Odkasznął,

ponownie anonsując swoją obecność.

Książę wreszcie przemówił, nie odwracając się jednak od okna.

– Gdy zadzwoniłem do Ambry, nie chciała ze mną rozmawiać – oznajmił tonem, w którym brzmiało raczej zdumienie niż uraza.

Garza nie wiedział, co ma powiedzieć. Wydało mu się kompletnie niezrozumiałe, dlaczego po wszystkich dramatycznych wydarzeniach tego wieczoru następca tronu zastanawia się nad reakcją Ambry. Ich narzeczeństwo było przecież pełne napięć od samego początku, nie najlepiej zresztą pomyślanego.

– Wyobrażam sobie, że pani Vidal jest nadal w szoku – powiedział cicho. – Fonseca ma ją eskortować do pałacu jeszcze dzisiaj. Porozmawiacie osobiście. Niech mi będzie wolno dodać, jak bardzo się cieszę, że pani Vidal nic się nie stało.

Książę Julián z roztargnieniem skinął głową.

– Śledzimy zabójcę – oznajmił Garza, próbując zmienić temat. – Fonseca meldował, że niebawem terrorysta zostanie pojmany.

Celowo użył słowa „terrorysta”, mając nadzieję wyrwać księcia z letargu. Ale Julián znów tylko skinął głową od niechcenia.

– Premier potępił już zabójstwo, ale rząd ma nadzieję, że Wasza Wysokość przedstawi własny komentarz... – zawahał się – w związku z udziałem pani Vidal w całym wydarzeniu. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest nietypowa, ponieważ jesteście zaręczeni, ale jeśli wolno, chciałbym zasugerować stwierdzenie, że jedną z rzeczy, które najbardziej ceni pan u swojej narzeczonej, jest jej niezależność, i chociaż wie pan, że pani Vidal nie podziela poglądów politycznych Edmonda Kirscha, to sumiennie, z jaką wykonała ona tę część obowiązków dyrektora Muzeum Guggenheima, zasługuje na wielkie uznanie. Będę zaszczycony, jeśli pozwoli mi pan przygotować treść oświadczenia.

Musimy je wydać na czas, żeby zdążyć przed porannymi programami informacyjnymi.

Julián ani na chwilę nie odwrócił wzroku od okna.

– Chcę, żeby treść tego oświadczenia przejrzał biskup Valdespino.

Garza zacisnął zęby, powstrzymując się przed okazaniem dezaprobaty.

Postfrankistowska Hiszpania stała się *estado aconfesional*, nie istniała więc już religia państwowa i Kościół nie powinien się wtrącać do polityki. Ale bliska przyjaźń Valdespina z królem od zawsze pozwalała biskupowi wpływać na codzienne sprawy w pałacu.

Niestety twardy kurs polityczny i religijna gorliwość Valdespina nie zostawiały wiele miejsca na dyplomację i takt, których wymagał dzisiejszy kryzys.

„Potrzebujemy niuansów i finezji, nie dogmatów i fajerwerków!”

Już dawno temu Garza się przekonał, że świątobliwa postawa Valdespina ukrywała bardzo prostą prawdę: biskup zawsze przedkłada własne potrzeby nad boskie nakazy. Do

niedawna Garza mógł to ignorować, teraz jednak, gdy zmieniał się układ sił w pałacu, myśl o biskupie przy boku następcy tronu zaczynała go niepokoić.

„Valdespino jest zdecydowanie za blisko Juliána”.

Garza wiedział, że właściwie od zawsze Julián traktował arcybiskupa jak członka rodziny, zaufanego krewnego raczej niż autorytet duchowy. Jako najbliższy powiernik króla Valdespino nadzorował moralny rozwój młodego księcia, a wywiązywał się z tego zadania z wielkim zaangażowaniem i poświęceniem, weryfikując wszystkich nauczycieli Juliána, osobiście zapoznając go z doktryną wiary, a nawet doradzając młodzieńcowi w sprawach sercowych. Teraz, wiele lat później, nawet gdy Julián i Valdespino nie widywali się już tak często, więź między nimi pozostawała bardzo silna.

– Don Julián – odparł Garza spokojnym tonem. – Jestem całkowicie przekonany, że najlepiej będzie, jeśli z tą sytuacją poradzimy sobie sami.

– Czyżby? – odezwał się męski głos w półmroku za jego plecami.

„Valdespino”.

– Sądziłem, że akurat ty powinienesz rozumieć, jak bardzo jestem teraz potrzebny, panie komendancie – syknął Valdespino.

– To sprawa polityczna, nie religijna – odparł Garza stanowczo.

Valdespino się zachnął.

– Fakt, że jesteś zdolny wygłaszać podobne deklaracje, prowadzi mnie do wniosku, że zdecydowanie przeceniałem twoje zdolności polityczne. Jeśli chcesz poznać moje zdanie, to uważam, że jest tylko jedna możliwość reakcji na ten kryzys. Musimy natychmiast zapewnić naród, że księżę Julián jest człowiekiem głęboko religijnym, a przyszły król Hiszpanii będzie wiernym katolikiem.

– Zgadzam się z tym poglądem, dlatego wzmianka o religijności Don Juliána znajdzie się w oświadczeniu wydanym przez pałac.

– A gdy księżę Julián stanie przed dziennikarzami, u jego boku będę ja, z ręką na jego ramieniu, żeby pokazać światu, jak silna jest więź następcy tronu z Kościołem. Ten jeden obraz przemówi do narodu bardziej niż jakiegokolwiek słowa, które mógłbyś napisać.

Garza się najeżył.

– Świat zobaczył dzisiaj brutalne morderstwo na hiszpańskiej ziemi – kontynuował Valdespino. – W czasach przemocy tylko ręka Boga daje prawdziwą pociechę.

Rozdział 31

Most Łańcuchowy Széchenyiego, jeden z kilkunastu w Budapeszcie, rozciąga się nad Dunajem na długości prawie czterystu metrów. Uznany został za symbol czasów połączenia Budy i Pesztu oraz jeden z najpiękniejszych mostów wiszących na świecie.

„Co ja wyprawiam?” – pytał sam siebie rabin Köves, zerkając przez barierki na kłębiącą się poniżej rzekę. „Biskup radził mi przecież, żebym został w domu”.

Köves wiedział, że nie powinien był wychodzić, ale ilekroć się czymś niepokoił, ciągnęło go właśnie na ten most. Od lat spacerował tędy wieczorami, a jego myślom towarzyszył ten spektakularny widok. Na wschodnim brzegu, w Peszcie, fasada pałacu Greshama dumnie lśni światłami naprzeciwko dzwonnicy bazyliki Świętego Stefana. Po zachodniej stronie, w Budzie, wysoko na wzgórzu zamkowym wznoszą się fortyfikacje Zamku Królewskiego, a na północ od niego nad brzegiem Dunaju górują piękne wieże parlamentu, największego budynku w całych Węgrzech.

Köves przypuszczał jednak, że to nie piękne widoki ciągnęły go tutaj. Chodziło o coś zupełnie innego.

Kłódki.

Na barierkach wzdłuż lin rozpiętych między filarami na całej długości mostu wiszą setki kłódek: na każdej widoczne są inicjały i każda została tam zapięta na zawsze.

W imię starej tradycji kochankowie przychodzą razem na ten most, umieszczają na kłódce swoje inicjały, a następnie zapinają ją na barierce i wyrzucają klucz do rzeki, gdzie nikt go już nie odnajdzie, co symbolizuje trwałość łączącego ich uczucia.

„Najprostsza obietnica” – pomyślał Köves, dotykając jednej z kłódek. „Moja dusza jest połączona z twoją na wieczność”.

Ilekroć Köves chciał sobie przypomnieć, że istnieje na świecie bezgraniczna miłość, przychodził popatrzeć na te kłódki. Dziś wieczorem wyraźnie poczuł taką potrzebę. Wpatrując się w mroczne odmęty pod stopami, dostrzegł nagle, że świat zaczął się kręcić zbyt szybko dla niego. „Już tu nie pasuję”.

Czas, który kiedyś był dla nas okazją do samotnej refleksji – kilka minut w autobusie,

spacer do pracy albo chwila oczekiwania na umówione spotkanie – stał się teraz nie do wytrzymania, dlatego impulsywnie sięgamy po telefon komórkowy, słuchawki i gry, niezdolni oprzeć się uzależniającej technologii. Cuda przeszłości powoli znikają, zastępowane nieustannym głodem wszystkiego, co najnowsze.

Teraz, gdy Yehuda Köves intensywnie wpatrywał się w wody Dunaju, poczuł ogromne zmęczenie. Obraz przed jego oczami zaczął się rozmywać, a pod powierzchnią wody pojawiły się przerażające amorficzne kształty. Rzeka wyglądała jak kłębowisko wirujących w odmętach potworów.

– *A víz él* – odezwał się ktoś za jego plecami. – Rzeka żyje.

Rabin się odwrócił. Stał przed nim młody chłopak z kręconymi włosami i oczami pełnymi nadziei. Kövesowi przebiegło przez myśl, że on też tak wyglądał w młodości.

– Słucham? – powiedział.

Chłopak otworzył usta, chcąc coś powiedzieć, ale zamiast słów z jego gardła dobył się elektroniczny dźwięk, a w oczach rozbłysły oślepiająco białe światła.

Rabin Köves obudził się z krzykiem, podskakując na fotelu.

– *Oy gevalt!*

Dzwonił telefon na jego biurku i stary rabin obrócił fotel, w panice rozglądając się dookoła. Z ulgą stwierdził jednak, że jest w *házikó* zupełnie sam. Czuł, jak wali mu serce.

„Co za dziwny sen!” – pomyślał, próbując się uspokoić.

Telefon nie ustawał. Köves był pewien, że to Valdespino ze szczegółami podróży do Madrytu.

– Jakie masz wiadomości, biskupie? – rzucił do słuchawki nieco jeszcze oszołomiony.

– Rabin Yehuda Köves? – odezwał się w słuchawce nieznajomy głos. – Nie znamy się. Nie jest moim celem pana przestraszyć, ale muszę panu coś przekazać. Proszę mnie wysłuchać.

Köves natychmiast się rozbudził.

Kobiecy głos był trochę zniekształcony, jakby rozmówczyni celowo chciała ukryć swoją tożsamość. Mówiła po angielsku z lekkim hiszpańskim akcentem.

– Zakryłam mikrofon chusteczką, żeby się nie zdradzić. Przepraszam za to, ale za chwilę pan zrozumie, dlaczego tak postąpiłam.

– Kim pani jest? – mimo wszystko zapytał Köves.

– Jestem kimś, komu się nie podoba, że niektórzy chcą ukryć prawdę przed światem.

– Nie... nie rozumiem.

– Rabinie Köves, wiem, że uczestniczył pan w spotkaniu z Edmondem Kirschem.

Obecni byli też biskup Valdespino i allamah Syed al-Fadl. Do spotkania doszło trzy dni temu w opactwie Montserrat.

„Skąd ona to wie?!”

– Wiem, że Edmond Kirsch przedstawił wam szczegółową informację na temat wyników badań, które ostatnio prowadził. Wiem też i to, że uczestniczy pan w działaniach, które mają te wyniki zataić.

– Co takiego?

– Jeśli mnie pan nie wysłucha uważnie, to do rana będzie pan martwy. Dosięgną pana długie ręce biskupa Valdespina. – Rozmówczyni zawiesiła głos. – Podobnie jak Edmonda Kirscha i pańskiego przyjaciela Syeda al-Fadla.

Rozdział 32

Most La Salve przecina rzekę Nervión tak blisko Muzeum Guggenheima, że widziane pod pewnym kątem obydwie konstrukcje się zlewają. Jest natychmiast rozpoznawalny po wyjątkowym pylonie – strzelistej jaskrawoczerwonej podporze w kształcie gigantycznej litery H – a jego nazwę zaczerpnięto z ludowych przypowieści, w których wracający z morza żeglarze w tym właśnie miejscu na rzece wznosili modły dziękczynne za bezpieczny powrót do domu.

Po opuszczeniu muzeum tylnym wyjściem Ambra i Langdon szybko pokonali niewielką odległość między budynkiem a brzegiem rzeki i teraz zgodnie z instrukcją Winstona czekali na pasażu pod mostem La Salve, ukryci w cieniu przeprawy.

„Tylko na co mamy czekać?” – pomyślał Langdon zaniepokojony.

Gdy stali w półmroku, Langdon zauważył, że smukłe ciało Ambry drży z zimna pod elegancką wieczorową suknią. Zdjął marynarkę i okrył jej ramiona, wygładzając materiał, żeby lepiej przylegał.

Bez żadnego ostrzeżenia odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy.

Przez chwilę Langdon się obawiał, że przekroczył granicę, ale na twarzy Ambry nie dostrzegł niezadowolenia. Raczej wdzięczność.

– Dziękuję – szepnęła, nadal patrząc mu w oczy. – Za to, że pan mi pomaga.

Nie spuszczając wzroku, Ambra Vidal chwyciła Langdona za dłonie, które następnie umieściła między obiema swoimi, jakby zamierzała przejąć od swojego towarzysza ciepło i poczucie bezpieczeństwa, które mógł jej dać.

Po chwili, równie niespodziewanie, cofnęła ręce.

– Przepraszam – powiedziała szeptem. – *Conducta impropia*, jak powiedziałaaby moja matka.

Langdon dodał jej otuchy uśmiechem.

– Moja użyłaby określenia „zachowanie uzasadnione okolicznościami”.

Na twarzy Ambry pojawił się uśmiech, który jednak zaraz zniknął.

– Czuję się fatalnie – wyznała, odwracając spojrzenie. – To, co się stało z Edmondem...

– Było potworne. Przerażające – podjął Langdon w pełni świadom, że znajduje się jeszcze w zbyt wielkim szoku, by należycie wyrazić swoje emocje.

Ambra wpatrywała się w wodę.

– I pomyśleć, że jest w to zamieszany mój narzeczoną...

Langdon słyszał zawód w jej głosie i nie był pewien, co odpowiedzieć.

– Wiem, że nie wygląda to dobrze, ale nie wiemy niczego na pewno – zaczął, stąpając ostrożnie po niepewnym gruncie. – Niewykluczone, że księżę Julián nie wiedział o planowanym morderstwie. Zabójca mógł działać sam albo pracować dla kogoś innego.

To naprawdę mało prawdopodobne, żeby przyszły król Hiszpanii zorganizował publiczną egzekucję obcokrajowca, zwłaszcza zostawiając trop jawnie prowadzący do pałacu.

– Trop by się zatarł, gdyby Winston nie odkrył, że nazwisko zabójcy zostało dopisane do listy w ostatniej chwili. Może Julián sądził, że nigdy nie wyjdzie na jaw, kto pociągnął za spust.

Langdon musiał przyznać jej rację.

– Nie powinnam była rozmawiać z Juliánem o prezentacji Edmonda! – stwierdziła, znów odwracając głowę w jego stronę. – Nalegał, żebym nie brała w niej udziału, przekonywałam więc, że moje zaangażowanie ogranicza się do minimum, a prezentacja to zwyczajny pokaz wideo. Chyba nawet mu wspomniałam, że Edmond posłuży się smartfonem. – Zrobiła pauzę. – Co prowadzi do jednego wniosku: jak tylko odkryją brak telefonu Edmonda, natychmiast będą wiedzieli, że nadal możemy przeprowadzić transmisję. A ja naprawdę nie wiem, jak daleko Julián się posunie, żeby nam w tym przeszkodzić.

Langdon przez chwilę studiował piękną twarz stojącej przed nim kobiety.

– Nie ufa pani swojemu narzeczonemu, prawda?

Ambra wzięła głęboki wdech.

– Bo widzi pan, ja nie znam go tak dobrze, jak mógłby pan zakładać.

– Dlaczego więc zgodziła się pani go poślubić?

– Odpowiedź jest prosta. Julián postawił mnie w takiej sytuacji, że nie miałam wyboru.

Zanim Langdon zdążył odpowiedzieć, pasaż zawibrował od niskiego dudnienia wielokrotnionego echem w pustej, przypominającej grootę przestrzeni pod mostem.

Dźwięk narastał. Mieli wrażenie, że dochodzi z góry rzeki, z ich prawej strony.

Langdon odwrócił się i zobaczył ciemny kształt szybko zmierzający w ich kierunku: płynącą bez świateł łódź motorową. Zbliżywszy się do wysokiej betonowej krawędzi, łódź zwolniła i skierowała się prosto ku nim.

Langdon patrzył z góry na łajbę, kręcąc głową. Dotychczas nie był pewien, na ile może zaufać komputerowemu asystentowi Edmonda, teraz jednak, widząc żółtą taksówkę

wodną podpływającą do brzegu, uświadomił sobie, że o lepszego sojusznika niż Winston byłoby trudno.

Potargany kapitan machnięciem ręki zaprosił ich na pokład.

– Wasz brytyjski znajomy do mnie telefon przed chwilą – kaleczył angielszczyznę.

– On powiedział VIP płaci trzy razy za... jak to się mówi... *¿velocidad y discreción?* Ja to robię. Widzicie? Żadnych świateł.

– Tak, dziękuję – odparł Langdon. „Doskonała instrukcja, Winstonie. Szybko i dyskretnie”.

Kapitan wyciągnął rękę, pomagając Ambrze zejść na pokład, a gdy zniknęła w małej krytej kabinie, żeby się trochę ogrzać, posłał Langdonowi szeroki uśmiech.

– To mój VIP? *Señorita* Ambra Vidal?

– *Velocidad y discreción* – przypomniał mu Langdon.

– *¡Sí, sí!* Okej!

Mężczyzna stanął za sterem i wprowadził silnik na obroty. Chwilę później łódź w ciemności pędziła po rzece na zachód.

Za lewą burtą w niesamowitym oświetleniu świateł pulsujących na dachach radiowozów policyjnych Langdon widział potężną czarną wdowę. Nad głową spostrzegł helikopter z logo telewizji informacyjnej mknący w stronę gmachu muzeum.

„Pierwszy z wielu” – pomyślał.

Langdon wyjął z kieszeni spodni wizytówkę z nazwą celu podróży. BIO-EC346.

Edmond powiedział mu wtedy, żeby pokazał ją taksówkarzowi, nawet pewnie sobie nie wyobrażając, że będzie to taksówka wodna.

– Zakładam, że nasz brytyjski przyjaciel powiedział, dokąd płyniemy? – zapytał kapitana, próbując przekrzyczeć ryk silnika.

– Tak, tak! Ja mu mówię, że łódź nie dojedzie tam, ale bardzo blisko. On mówi, że nie problem i przejdziecie trzysta metrów.

Mężczyzna wskazał na autostradę biegnącą wzdłuż prawego brzegu rzeki.

– Znak na drodze mówi siedem kilometrów, ale łodzią trochę dalej.

Langdon spojrzał na oświetlony znak nad autostradą.

AEROPUERTO DE BILBAO  7 KM

Uśmiechnął się smutno, słysząc w myślach głos: „Rozwiązanie tej zagadki jest boleśnie proste, przyjacielu”. Edmond miał rację i gdy Langdon w końcu to rozwiązanie znalazł, czuł się zażenowany, że potrzebował tak wiele czasu.

BIO to rzeczywiście zaszyfrowana nazwa, choć nie trudniejsza do rozwinięcia niż całe mnóstwo podobnych na całym świecie: BOS, LAX, JFK.

BIO to kod IATA miejscowego portu lotniczego.

Dalsza część zagadki Edmonda natychmiast stała się oczywista.

EC346.

Langdon nigdy nie leciał prywatnym odrzutowcem Edmonda, wiedział jednak, że przyjaciel nim dysponuje i nie miał wątpliwości, że numer ogonowy hiszpańskiego samolotu musi się zaczynać od E, jak *España*.

EC346 to prywatny samolot Edmonda.

Było jasne, że gdyby dotarł na lotnisko w Bilbao taksówką, mógłby się tam skontaktować z ochroną, której pokazałby wizytówkę Edmonda z odręczną notatką na odwrocie i zostałby doprowadzony pod odpowiedni samolot.

„Mam tylko nadzieję, że Winston skontaktował się z pilotami, zapowiadając nasze przybycie” – pomyślał Langdon, oglądając się na gmach muzeum, który za rufą łodzi stawał się coraz mniejszy.

Przez chwilę myślał, czyby nie usiąść w kabinie, ale możliwość oddychania świeżym powietrzem była tak kusząca, że postanowił podarować Ambrze jeszcze kilka minut samotności, żeby mogła się pozbierać.

„Zresztą mnie też się przyda chwila sam na sam ze sobą” – pomyślał, przechodząc na dziób.

Na przedzie, czując, jak wiatr targa jego włosy, Langdon zdjął muszkę, schował ją do kieszeni, a następnie rozpiął guzik przy stójce i odetchnął jak najgłębiej.

„Edmondzie, coś ty narobił?” – pomyślał.

Rozdział 33

Komendant Diego Garza gotował się ze złości. Chodził tam i z powrotem po komnacie księcia Juliána, z trudem znosząc protekcyjny ton biskupa.

„Wpychasz się tam, gdzie nie twoje miejsce” – miał ochotę krzyknąć do Valdespino. „To nie jest twoja działka!”

Biskup Valdespino znowu wtrącił się do pałacowej polityki. Wyłonił się z mroku panującego w apartamencie Juliána niczym zjawą, odziany w szaty liturgiczne, i teraz wygłaszał następcy tronu emocjonalne kazanie o znaczeniu hiszpańskiej tradycji, o dawnych królach i królowych Hiszpanii, którzy służyli wierze chrześcijańskiej, oraz o łagodzącym wpływie Kościoła w czasach kryzysu.

„To nie jest odpowiednia chwila!” Garza aż kipiał ze złości.

Dziś wieczorem księcia Juliána czekało wystąpienie publiczne w bardzo delikatnej sprawie i ostatnią rzeczą, jakiej Garza potrzebował, było wykorzystywanie tej sytuacji przez biskupa Valdespino do promowania katolickich interesów.

Na szczęście monolog duchownego przerwał dzwonek telefonu Garzy.

– *Si, dime* – odpowiedział powoli, stając między biskupem a księciem. – *¿Qué tal va?*

– Panie komendancie, melduję się z Bilbao. – Fonseca wyrzucał z siebie słowa w tempie karabinu maszynowego. – Obawiam się, że nie złapiemy zabójcy. Sądziliśmy, że firma przewozowa namierzy swojego kierowcę, ale zabójca przewidział nasze ruchy.

Garza stłumił wściekłość. Zrobił wolny wydech, starając się zapanować nad głosem, żeby nie zdradzić swoich prawdziwych emocji.

– Rozumiem – powiedział spokojnie. – W tej chwili najważniejsze jest dla was bezpieczeństwo pani Vidal. Księżę czeka na nią i zapewniłem go, że jego narzeczoną bezpiecznie dotrze do pałacu pod waszą ochroną.

Po drugiej stronie linii zapanowała długa cisza. Zbyt długa.

– Panie komendancie – odezwał się Fonseca niepewnie. – Przykro mi, ale na tym froncie wiadomości też nie są dobre. Wygląda na to, że pani Vidal opuściła budynek w towarzystwie amerykańskiego profesora. – Zrobił pauzę. – Bez nas.

Garza omal nie upuścił telefonu.

– Co takiego?! Powtórz to!

– Tak jest. Pani Vidal i Robert Langdon uciekli z budynku. Pani Vidal rozmyślnie pozbyła się telefonu, żebyśmy nie mogli jej namierzyć. Nie mamy pojęcia, dokąd obydwój się udali.

Garza uświadomił sobie, że otworzył usta ze zdumienia, a księżę uważnie go obserwuje. Valdespino też nadstawiał ucha, unosząc brwi z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Ach, to wspaniała wiadomość! – rzucił Garza niespodziewanie, z przekonaniem kiwając głową. – Dobra robota. Będzie czas, żeby porozmawiać, gdy już wrócicie na miejsce. Za chwilę potwierdzimy transport i ustalimy szczegóły. Nie rozłączaj się.

Garza przysłonił mikrofon dłonią i uśmiechnął się do księcia.

– Wszystko w porządku – zapewnił. – Przejdę na chwilę do innego pomieszczenia, żeby uzgodnić szczegóły, nie przeszkadzając panom w rozmowie.

Komendant niechętnie zostawiał następcę tronu sam na sam z Valdespinem, ale to nie była rozmowa, którą mógłby przeprowadzić przy nich, przeszedł więc do jednego z pokoi gościnnych i zamknął za sobą drzwi.

– *¿Qué diablos ha pasado?* – syknął do telefonu. – Co się, u diabła, wydarzyło?

Fonseca zrelacjonował mu historię, która brzmiała jak czysta fikcja.

– Zgasły światła? – dopytywał się Garza. – Komputer udawał ochroniarza, przekazując ci nieprawdziwe informacje? Komputer? I co ja mam na to odpowiedzieć?

– Zdaję sobie sprawę, że to nie do uwierzenia, panie komendancie, ale tak właśnie było. Nie potrafimy tylko wyjaśnić, dlaczego komputer tak nagle zmienił zdanie.

– Jak to zmienił zdanie? Przecież to tylko komputer, do jasnej cholery!

– Chodzi mi o to, że na początku ten sam komputer był pomocny. Zidentyfikował zabójcę i wskazał jego nazwisko, próbował uniemożliwić zabójstwo, a następnie odkrył, że morderca uciekł samochodem Ubera. Potem nagle zaczął działać przeciwko nam.

Domyślamy się, że to przez Roberta Langdona, bo po krótkiej rozmowie z nim wszystko się odmieniło.

„Czyli teraz walczę z komputerem?” Garza doszedł do wniosku, że chyba jest już za stary do współczesnego świata.

– Chyba nie muszę ci mówić, Fonseca, jaką kompromitacją byłoby to dla księcia, politycznie i prywatnie, gdyby się okazało, że jego narieczona uciekła z Amerykaninem, a ochraniającą Jego Wysokość Guardia Real wykiwał komputer.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Masz jakieś podejrzenia co do powodów ucieczki tych dwojga? Ja nie znajduję uzasadnienia dla tej brawury.

– Profesor Langdon bardzo się najeżył, gdy go poinformowałem, że poleci z nami do Madrytu. Wyraźnie powiedział, że tego nie zrobi.

„Czyli uciekł z miejsca zbrodni?” Garza wyczuwał, że chodzi tu o coś jeszcze, nie miał jednak pojęcia o co.

– Słuchaj uważnie. Teraz najważniejsze jest to, żebyś namierzył Ambrę Vidal i sprowadził ją do pałacu, zanim informacja o jej ucieczce przedostanie się do mediów.

– Rozumiem, panie komendancie, ale na miejscu jestem tylko ja i Díaz. We dwóch nie damy rady przeszukać całego Bilbao. Będziemy musieli powiadomić miejscowe służby, zyskać dostęp do kamer monitoringu miejskiego. Nie obejdzie się bez wsparcia z powietrza...

– To wykluczone! – przerwał mu Garza. – Nie możemy sobie pozwolić na taki wstyd. Macie działać sami. Nie wiem jak, ale masz ich odszukać. Pani Vidal musi jak najszybciej znów znaleźć się pod naszą opieką.

– Tak jest!

Garza rozłączył się pełen niedowierzania.

Gdy wyszedł z sypialni, podbiegła do niego dziewczyna ubrana w beżowy żakiet.

Na jej bladej twarzy rzucały się w oczy okrągłe kujonki, a pod pachą ścisnęła tablet.

„Boże, ratuj!” – pomyślał Garza. „Tylko nie teraz!”

Mónica Martín była dopiero co zatrudnioną w pałacu specjalistką do spraw wizerunku. Do jej obowiązków należało koordynowanie kontaktów z mediami oraz nadzorowanie strategii public relations, a obowiązki te zdawała się wykonywać, utrzymując ciągły stan pogotowia.

Choć miała zaledwie dwadzieścia sześć lat, zdążyła już skończyć studia pierwszego stopnia na Uniwersytecie Complutense w Madrycie, dwuletnie podyplomowe studia na jednej z najlepszych uczelni informatycznych świata, pekińskim Uniwersytecie Tsinghua, a następnie objąć odpowiedzialne stanowisko w dziale public relations barcelońskiej Grupy Planeta, skąd przeszła do pracy w hiszpańskiej sieci telewizyjnej Antena 3.

Przed rokiem, desperacko próbując dotrzeć do młodego pokolenia Hiszpanów przy wykorzystaniu coraz prężniej rozwijających się mediów społecznościowych, w tym Twittera i Facebooka, pałac zwolnił z pracy rzecznika prasowego, który miał kilkudziesięcioletnie doświadczenie w prasie, i zatrudnił tę lubującą się w nowych technologiach przedstawicielkę pokolenia milenialsów.

„Martín zawdzięcza wszystko księciu Juliánowi” – pomyślał Garza.

Dokooptowanie tej młodej kobiety do personelu pałacowego było jedną z niewielu ingerencji następcy tronu w funkcjonowanie dworu królewskiego – rzadkim przypadkiem, kiedy stał się ze swoim ojcem. Martín miała opinię jednej z najlepszych w swoim fachu,

ale Garzę ta jej paranoiczna i nerwowa energia tylko męczyła.

– Teorie spiskowe – oznajmiła Martín, wymachując w powietrzu tabletem, zanim jeszcze dobiegła do Garzy. – Są już wszędzie.

Garza z niedowierzaniem patrzył na młodą kobietę. „Czy wyglądam, jakbym się nimi przejmował?” Miał na głowie ważniejsze rzeczy niż plotki rozsiewane przez wyznawców teorii konspiracyjnych.

– Może mi pani wyjaśnić, jakim prawem spaceruje sobie pani po apartamencie królewskim?

– Centrum operacyjne spingowało pański GPS.

Garza zamknął oczy i zrobił głęboki wydech, powstrzymując irytację. Oprócz stanowiska koordynatorki public relations pałac stworzył też niedawno całkiem nowy dział bezpieczeństwa elektronicznego, który wspierał ludzi Garzy, obsługując GPS i monitoring cyfrowy oraz zbierając dane i przeprowadzając profilowanie. Co dzień podległy mu personel był coraz bardziej zróżnicowany i coraz młodszy.

„Nasze centrum operacyjne wygląda teraz jak sala komputerowa w szkole średniej”.

Najwidoczniej technologię wykorzystywaną od niedawna do monitorowania lokalizacji gwardzistów dało się również zastosować do śledzenia samego komendanta.

Z irytacją przyjął do wiadomości fakt, że ta banda dzieciaków w piwnicy zna każdy jego krok.

– Przychodzę do pana osobiście, ponieważ wiem, że chciałby pan to zobaczyć – dodała Martín na jednym oddechu, podając mu swój tablet.

Garza sięgnął po urządzenie i zerknął na wyświetlacz. Obok fotografii siwobrodego Hiszpana zidentyfikowanego jako zabójca z Bilbao zobaczył krótką notkę biograficzną i podpis: „Admirał Królewskiej Marynarki Wojennej Luis Ávila”.

– Pojawia się coraz więcej zjadliwych komentarzy – powiedziała Martín. – Eksponują fakt, że Ávila pracował w przeszłości dla rodziny królewskiej.

– Był oficerem marynarki! – warknął Garza.

– Tak, ale formalnie rzecz biorąc, król jest zwierzchnikiem sił zbrojnych...

– Dość! – przerwał Garza, zwracając jej tablet. – Sugestia, że król miał jakikolwiek udział w akcie terrorystycznym, jest absurdalnym nadużyciem, które mogło przyjść do łba tylko idiotcie i całkowicie nie ma znaczenia w obecnej sytuacji. Dziękujemy Bogu i wracajmy do pracy. Ten szaleniec mógł przecież strzelić do przyszłej królowej małżonki, wybrał jednak amerykańskiego ateistę. W sumie więc nie jest najgorzej.

Młoda kobieta stała z kamienną twarzą.

– Jest coś jeszcze, panie komendancie, i to się odnosi już bezpośrednio do rodziny królewskiej. Nie chciałam pana zaskakiwać.

Mówiąc to, Martín przesuwiała palcem po ekranie tabletu, żeby wyświetlić kolejną witrynę.

– To zdjęcie wisi w sieci prawie od początku tygodnia, ale nikt nie zwrócił na nie uwagi. Teraz wszystko, co związane z Edmondem Kirschem, rozchodzi się jak wirus, dlatego fotografia trafiła do serwisów informacyjnych.

Martín ponownie wręczyła Garzy tablet.

Komendant Gwardii Królewskiej przeczytał tytuł *Czy to ostatnie zdjęcie futurysty Edmonda Kirscha?*

Nieostra fotografia przedstawiała ubranego w ciemny garnitur Kirscha stojącego na kamieniu przy krawędzi stromego urwiska.

– Trzy dni temu w Montserrat pracownik ekipy remontowej wypatrzył Kirscha, rozpoznał go i zrobił mu zdjęcie. Po dzisiejszym zabójstwie zamieścił je w sieci z informacją, że to jedno z ostatnich.

– A jak to się ma do nas? – zapytał Garza znacząco.

– Proszę przejść do następnego zdjęcia.

Kirsch przewinął stronę w dół. Na widok drugiej fotografii musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

– To nie może być prawda!

Drugie zdjęcie przedstawiało szerszy kadr pierwszego. Obok Edmonda Kirscha stał wysoki mężczyzna w prostej sutannie i biskupiej piusce. Valdespino.

– To jest prawda, panie komendancie – odparła Martín. – Valdespino spotkał się z Kirschem kilka dni temu.

– Ale... – Garzy na chwilę odjęło mowę. – Ale dlaczego biskup o tym nie wspomniał? Zwłaszcza po tym, co się stało dziś wieczorem!

Martín podejrzliwie pokręciła głową.

– Właśnie z tego powodu postanowiłam najpierw porozmawiać z panem.

„Valdespino spotkał się z Kirschem!” Garzy to się zwyczajnie nie mieściło w głowie. „A potem nie wspomniał o tym nawet słowem?” Wiadomość była alarmująca.

Garza postanowił natychmiast ostrzec księcia.

– Niestety to nie wszystko. Tu ma pan znacznie więcej – dodała młoda kobieta, manipulując przy tablecie.

– Komendancie? – z salonu dobiegł ich nagle głos Valdespina. – Jakie są wieści na temat przyjazdu pani Vidal?

Mónica Martín odwróciła głowę i wybałuszyła oczy.

– Czy to Valdespino? – szepnęła. – Biskup jest w pałacu?

– Tak. Rozmawia z księciem.

– Komendancie Garza, jest pan tam? – krzyknął ponownie Valdespino.

– Jest jeszcze kilka rzeczy, o których musi się pan dowiedzieć natychmiast – powiedziała z paniką w ściszym głosie. – Zanim zamieni pan choć słowo z biskupem albo księciem Juliánem. Niech mi pan wierzy, że dzisiejszy kryzys dotknie nas bardziej, niżby pan przypuszczał!

Garza przez chwilę przyglądał się swojej nowej pracownicy, po czym podjął decyzję.

– Na dole w bibliotece. Zejdę tam do pani za minutę.

Martín skinęła głową, odwróciła się i odeszła.

Garza wziął głęboki wdech, a następnie powoli wypuścił powietrze z nadzieją, że to usunie wszelkie ślady rosnącego zdenerwowania i frustracji. Spokojnym krokiem przeszedł do salonu.

– Pani Vidal jest bezpieczna – oznajmił z uśmiechem, wchodząc. – Zostanie przewieziona do pałacu. Właśnie schodzę do siebie na dół, żeby osobiście nadzorować procedurę transportu. – Garza skinął pewnie głową w stronę księcia Juliána, po czym zwrócił się do biskupa. – Wrócę niebawem. Proszę nie wychodzić z pałacu.

Powiedziawszy to, zostawił ich samych.

Gdy Garza opuścił królewski apartament, biskup przez chwilę jeszcze patrzył za nim, marszcząc brwi.

– Coś nie tak? – zapytał księżę, uważnie przypatrując się biskupowi.

– Owszem – odparł duchowny, odwracając się do Juliána. – Od pięćdziesięciu lat wysłuchuję spowiedzi. Wiem, kiedy ktoś kłamie.

Rozdział 34



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

SIEĆ AŻ KIPI OD PYTAŃ

Po zabójstwie Edmonda Kirscha setki tysięcy oglądających transmisję na żywo internautów zaczęły snuć spekulacje na temat dwóch najważniejszych kwestii.

CO ODKRYŁ KIRSCH?

KTO GO ZABIŁ I DLACZEGO?

Teorie na temat istoty odkrycia Kirscha zalały już internet i obejmują wyjątkowo szeroki zakres tematów – od Darwina przez istoty pozaziemskie po kreacjonizm.

Nie ustalono jeszcze motywu zabójcy, ale spekulacje na ten temat koncentrują się wokół fanatyzmu religijnego, szpiegostwa przemysłowego i zazdrości.

Portal ConspiracyNet otrzyma niebawem ekskluzywne materiały na temat zabójcy.

Opublikujemy je, gdy tylko do nas dotrą.

Rozdział 35

Ambra Vidal stała samotnie w kabinie taksówki wodnej, otulając się marynarką Roberta Langdona. Kilka minut temu, gdy Langdon zapytał, dlaczego zgodziła się poślubić człowieka, którego właściwie nie знаła, powiedziała prawdę.

„Nie miałam wyboru”.

Myśl, że jest zaręczona z Juliánem, przepełniała ją żalem, którego nie potrafiła już ukoić. Nie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

„Schwytał mnie w pułapkę”.

„I nadal w niej tkwię”.

Obserwując swoje odbicie w brudnym oknie, Ambra Vidal miała poczucie ogarniającej ją coraz dotkliwiej samotności. Nie należała do osób, które by się nad sobą rozczulały, ale w tej chwili jej serce przepełniała głęboka żalność. „Zaręczyłam się z człowiekiem, który jest zamieszany w brutalne morderstwo!”

Książkę przypieczętował los Edmonda jednym telefonem zaledwie godzinę przed rozpoczęciem wieczoru. Ambre pochłonał wir ostatnich przygotowań przed przybyciem gości, gdy podbiegła do niej młoda pracownica muzeum, z podnieceniem machając trzymanym w dłoni skrawkiem papieru.

– *¡Señora Vidal! ¡Mensaje para usted!*

Podeksytowana dziewczyna wyjaśniała, ledwie łapiąc oddech, że w centrali telefonicznej właśnie odebrała ważny telefon.

– Zobaczyłam na wyświetlaczu identyfikatora połączeń, że to pałac królewski w Madrycie, więc oczywiście odebrałam – relacjonowała. – Dzwonił ktoś z biura księcia Juliána!

– Dzwonili do centrali? – zdziwiła się Ambra. – Przecież mają mój numer komórkowy.

– Asystentka księcia powiedziała, że próbowała, ale nie mogła się dodzwonić na komórkę.

Ambra sprawdziła swój telefon. „Dziwne. Żadnych nieodebranych połączeń”.

Potem uświadomiła sobie, że technicy właśnie przeprowadzali ostatnie testy

zainstalowanego w gmachu systemu blokady sygnału sieci komórkowych, i doszła do wniosku, że sekretarka Juliána zapewne próbowała się dodzwonić akurat wtedy.

– Asystentka przekazała, że księżę właśnie odebrał telefon od kogoś wpływowego w Bilbao, kto chce uczestniczyć w dzisiejszym wieczorze. – Dziewczyna wręczyła Ambrze przyniesioną kartkę. – Księżę ma nadzieję, że dopisze pani do listy gości to nazwisko.

Ambra zerknęła.

Almirante Luis Ávila (retirado)

Armada Española

„Emerytowany admirał marynarki?”

– Prosili, żeby pani oddzwoniła w razie wątpliwości, mam numer telefonu, ale księżę Julián właśnie zaczyna jakieś spotkanie, nie wiem więc, czy go pani złapie.

Asystentka kilka razy podkreślała, że księżę ma nadzieję, że się z tą prośbą nie narzuca.

„Nie narzuca się?” – ze złością pomyślała Ambra. „Po tym, co mi zrobił?”

– Zajmę się sprawą – powiedziała głośno. – Dziękuję.

Dziewczyna odchodziła w podskokach tak uradowana, jakby właśnie przekazała wiadomość od samego Boga. Ambra wpatrywała się gniewnie w kartkę z prośbą od księcia, poirytowana faktem, że Julián ośmiela się w taki sposób wykorzystywać swoją pozycję, zwłaszcza po tym, jak usilnie próbował ją zniechęcić do udziału w dzisiejszym przedsięwzięciu.

„Znów nie zostawiasz mi wyboru” – pomyślała.

Ignorując tę prośbę, doprowadziłaby do niepotrzebnej konfrontacji przed wejściem.

Dzisiejsze wydarzenie było starannie zaplanowane we wszystkich szczegółach i cieszyło się olbrzymim zainteresowaniem mediów. „Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, jest zenująca szarpanina pod drzwiami z jakimś wpływowym przyjacielem Juliána”.

Admirał Ávila ani nie został sprawdzony, ani nie figurował na liście niewymagających sprawdzenia zaufanych gości, ale Ambra uznała, że prześwietlanie go pod kątem bezpieczeństwa byłoby nie tylko zbędne, ale też uwłaczające. To w końcu wysoki rangą oficer królewskiej marynarki! Z tego samego powodu wcale jej nie zdziwiło, że mógł sięgnąć po słuchawkę, zatelefonować do pałacu i poprosić przyszłego króla o drobną przysługę.

Ambra miała jeszcze mnóstwo rzeczy do zrobienia, podjęła więc jedyną decyzję, jaką mogła podjąć w tej sytuacji. Dopisała nazwisko admirała Ávili do listy gości przy wejściu oraz do listy osób, którym należy wydać słuchawki, żeby informatycy zdążyli je przygotować.

Potem wróciła do pracy.

„Teraz Edmond nie żyje” – szepnęła, wracając myślami do pogrążonej w mroku kabiny taksówki wodnej. Gdy próbowała odrzucić od siebie bolesne wspomnienia, coś sobie nagle uświadomiła.

„Przecież ani ja, ani nikt inny nie rozmawiał z Juliánem osobiście. Wszystko dokonało się przez osoby trzecie”.

Wraz z tą myślą przebił się promyczek nadziei.

„Czyżby Robert miał rację? Może Julián naprawdę jest niewinny?”

Amerykańskiego profesora znalazła na dziobie: z rękami na barierce wpatrywał się w noc. Stała obok niego, z zaskoczeniem konstatując, że łódź opuściła główne koryto rzeki Nervión i mknęła właśnie wzdłuż niewielkiego dopływu, który bardziej przypominał zdradliwy kanał o bagnistych brzegach niż rzekę. Płycizny oraz prowadzące między nimi ciasne przesmyki trochę ją zaniepokoiły, ale kapitan zdawał się nimi nie przejmować i pruł pełną parą naprzód, rozpraszając ciemność silnymi reflektorami.

Szybko opowiedziała Langdonowi o telefonie z gabinetu księcia Juliána.

– Wiem właściwie tylko tyle, że dzwoniono z pałacu królewskiego w Madrycie.

Teoretycznie jest więc możliwe, że ktokolwiek pracujący w budynku mógł sięgnąć po słuchawkę i podać się za asystentkę księcia.

Langdon skinął głową.

– To może wyjaśniać, dlaczego ta kobieta wolała przekazać prośbę przez osoby trzecie, zamiast porozmawiać osobiście. Podejrzewa pani, kim mogła być?

– Och, to mógł być każdy – odpowiedziała. – Sytuacja w pałacu jest teraz raczej delikatna. Stało się jasne, że Julián przejmuje władzę, dlatego wielu starych doradców próbuje się dobić do jego ucha, żeby zyskać sobie jego przychylność. Kraj się zmienia i wydaje mi się, że niejeden stary wyga dałby wiele, żeby zachować wpływy.

– Ktokolwiek to był, oby nie udało mu się odkryć, że zamierzamy odnaleźć hasło Edmonda i upublicznić jego prezentację.

Wypowiadając te słowa, Langdon był przekonany, że czeka ich raczej proste zadanie.

Wiedział też jednak, że niesie ono ze sobą różne niebezpieczeństwa.

„Edmond został zamordowany, żeby ta informacja nie ujrzała światła dziennego”.

Przez chwilę Langdon się zastanawiał, czy nie byłoby najbezpieczniej, gdyby z lotniska w Bilbao poleciał prosto do domu, dokończenie tej sprawy zostawiając komuś innemu.

„Owszem, byłoby najbezpieczniej, ale to nie wchodzi w grę”.

Odezwało się w nim poczucie obowiązku wobec byłego studenta, wzmacniane jeszcze moralnym oburzeniem na kogoś, kto tak brutalnie ocenzurował wynik pracy naukowca. Nie bez znaczenia była też wielka ciekawość intelektualna, która kazała mu się dowiedzieć, co takiego odkrył Edmond Kirsch.

„No i jest jeszcze przecież Ambra Vidal” – przypomniał sobie.

Było dla niego oczywiste, że Ambra znalazła się w prawdziwych opałach, ale gdy spojrzała prosto na niego i poprosiła o pomoc, dostrzegł w jej oczach wielką pewność siebie i samodzielność, lecz kłębiły się też w nich strach i żal. „Musi się za tym kryć jakaś tajemnica, i to z pewnością mroczna” – pomyślał Langdon. „Ona naprawdę potrzebuje pomocy”.

Ambra nagle podniosła wzrok, jakby odgadując myśli Langdona.

– Mam wrażenie, że panu zimno – stwierdziła. – Chyba powinnam zwrócić marynarkę.

Uśmiechnął się delikatnie.

– Nie, skądże.

– Myśli pan pewnie, że najlepiej byłoby wyjechać z Hiszpanii, jak tylko dotrzemy na lotnisko?

Langdon się zaśmiał.

– Owszem, przebiegła mi przez głowę taka myśl.

– Proszę, niech pan tego nie robi! – Sięgnęła do barierki, dotykając delikatną dłońią wierzchu jego ręki. – Nie wiem, z czym przyszło nam się zmierzyć tego wieczoru. Był pan Edmondowi bardzo bliski. Nieraz wspominał, jak bardzo sobie ceni przyjaźń z panem i jak ważne jest dla niego pańskie zdanie. Jestem przerażona i naprawdę nie wiem, czy zdołam stawić temu czoła sama.

Niekontrolowana szczerość wypowiedzi tej kobiety po raz kolejny zaskoczyła Langdona, ale też była wyjątkowo ujmująca.

– Pomogę pani – oznajmił, kiwając głową. – I pani, i ja jesteśmy to winni naszemu przyjacielowi, a jeśli mam być szczery, to także całej społeczności naukowej. Musimy odnaleźć to hasło i upublicznić dzieło Edmonda.

Ambra uśmiechnęła się smutno.

– Dziękuję panu.

Langdon obejrzał się, zerkając nad rufą.

– Przypuszczam, że pani gwardziści dawno się zorientowali, że opuściliśmy gmach muzeum.

– Niewątpliwie. Ale Winston zachował się wspaniale, prawda?

– Winston był zdumiewający! – przytaknął Langdon, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak nieprawdopodobnego postępu w rozwoju sztucznej inteligencji dokonał Edmond. Jakiegokolwiek technologie do tego wykorzystał, jedno było pewne: wprowadził interakcję między człowiekiem a komputerem na całkowicie nowy poziom.

Winston sprawdził się jako lojalny wykonawca poleceń swojego twórcy, ale też nieoceniony sojusznik Langdona i Ambry. Potrzebował zaledwie kilku minut, żeby

zidentyfikować zagrożenie na liście gości, potem z własnej inicjatywy próbował pokrzyżować plany zabójcy Edmonda, zidentyfikował samochód, którym morderca uciekł sprzed muzeum, oraz ułatwił ucieczkę jemu i Ambrze.

– Miejmy nadzieję, że zatelefonował też do pilotów Edmonda – dodał Langdon po chwili.

– Jestem tego pewna, ale ma pan rację. Na wszelki wypadek skontaktuję się z Winstonem.

– Zaraz, zaraz! – Langdon był całkowicie zaskoczony. – To z Winstonem można się kontaktować? Przecież po wyjściu z muzeum straciliśmy zasięg. Sądziłem, że...

Ambra zaśmiała się, kręcąc głową.

– Winston nie jest fizycznie obecny w Muzeum Guggenheima. Znajduje się gdzieś na świecie w tajnym miejscu, z którego działa zdalnie. Naprawdę pan uważa, że Edmond stworzyłby narzędzie na miarę Winstona, a potem nie chciałby się z nim komunikować z dowolnego miejsca na Ziemi? Edmond rozmawiał z Winstonem niemal bez przerwy: w domu, w podróży, na spacerze. Jeden mógł się skontaktować z drugim w każdej chwili przez telefon. Nieraz widziałam, jak Edmond gawędził z Winstonem przez kilka godzin.

Winston pełnił też funkcję asystenta, telefonicznie zamawiając stół w restauracji albo kontaktując się w jego imieniu z pilotami. Wypełniał najróżniejsze polecenia. Gdy pracowaliśmy z Edmondem nad przygotowaniem jego wystąpienia, sama kilka razy dzwoniłam do Winstona.

Sięgnęła do kieszeni marynarki Langdona, wyjęła z niej turkusowy telefon Edmonda i chwilę odczekała, aż aparat się uruchomi. Langdon wyłączył go jeszcze w muzeum, żeby oszczędzać baterię.

– Swój telefon też powinien pan włączyć – stwierdziła. – Wtedy obydwójce będziemy mieli dostęp do Winstona.

– Nie obawia się pani, że nas namierzą?

Pokręciła głową.

– Nie zdążyli jeszcze zdobyć nakazu sądowego, który jest konieczny, żeby to zrobić, uważam więc, że warto zaryzykować, zwłaszcza że Winston przekaże nam najświeższe wiadomości o działaniach gwardzistów oraz sytuacji na lotnisku.

Z wahaniem Langdon włączył swój telefon i patrzył, jak urządzenie budzi się do życia. Gdy rozbłysnął ekran startowy, Langdon zmrużył oczy i poczuł ukłucie strachu, jakby każdy satelita wokół Ziemi właśnie zaczął go namierzać.

„Za dużo się naoglądałeś filmów szpiegowskich” – skarcił się w duchu.

Niemal natychmiast telefon Langdona zaczął piszczeć i wibrować, informując o wiadomościach oraz nieodebranych połączeniach. Z ogromnym zaskoczeniem Langdon stwierdził, że odkąd wyłączył aparat, do skrzynki wpadło ponad dwieście esemesów

i maili.

Przeglądając je pobieżnie, zauważył wiadomości chyba od wszystkich przyjaciół i znajomych. Najpierw były gratulacje: „Świetny wykład! Nie mogłem uwierzyć, że tam jesteś!”, potem jednak nagle pojawiły się wyrazy niepokoju i troski, a wśród nich wiadomość od redaktora jego książek Jonasa Faukmana: „WIELKI BOŻE, ROBERCIE, JESTEŚ TAM??!!”. Langdon po raz pierwszy zobaczył w napisanym przez tego purystę tekście same wersaliki i podwojone znaki interpunkcyjne.

Dotychczas Langdon czuł się niewidzialny w mroku nad szlakami wodnymi wokół Bilbao, jakby znikające za rufą muzeum było jak rozwiewający się sen.

„Wiadomość o zabójstwie Kirscha przecież obiegała cały świat!” – uświadomił sobie. „Cały świat zobaczył jego martwą twarz!”

– Winston próbował się z nami skontaktować – stwierdziła Ambra wpatrzona w ekran telefonu. – Mam wiadomość o pięćdziesięciu trzech nieodebranych połączeniach w ciągu ostatnich trzydziestu minut. – Zachichotała. – Nieustępliwość jest jedną z wielu zalet Winstona.

Ledwie to powiedziała, telefon Edmonda zadzwonił.

– Ciekawe, kto to może być – powiedział Langdon z uśmiechem.

Wręczyła mu telefon.

– Proszę odebrać.

Langdon sięgnął po aparat, włączając tryb głośnomówiący.

– Halo?

– Panie profesorze – odezwał się znajomy głos z brytyjskim akcentem. – Bardzo się cieszę, że znów możemy rozmawiać. Próbowałem się z panem skontaktować.

– Tak, widzieliśmy – odparł Langdon zdziwiony, że komputer zachowuje całkowity spokój po pięćdziesięciu trzech nieudanych połączeniach z rzędu.

– Pojawiły się nowe informacje – oznajmił Winston. – Niewykluczone, że władze lotniska zostały zaalarmowane, dlatego znów muszę prosić o dokładne przestrzeganie moich instrukcji.

– Jesteśmy w twoich rękach, Winstonie – powiedział Langdon. – Powiedz nam, co mamy robić.

– Przede wszystkim, panie profesorze, jeśli jeszcze nie wyrzucił pan swojego telefonu komórkowego, musi pan to zrobić niezwłocznie.

– Naprawdę? – Langdon trochę mocniej ścisnął w dłoni swój smartfon. – Czy policja nie musi najpierw uzyskać zgody sądu, zanim...

– W amerykańskim filmie policyjnym być może tak, ale ma pan do czynienia z hiszpańską Gwardią Królewską i pałacem. Zrobią to, co będzie konieczne.

– A telefon Edmonda? – zapytała Ambra zaniepokojonym głosem.

– Jest nienamierzalny – odpowiedział Winston. – Edmond zawsze się przejmował hakerami i szpiegostwem przemysłowym. Osobiście napisał program maskujący numery IMEI oraz IMSI, który zmienia wartości C2 jego telefonu tak, że przechytrzy nawet najsprytniejszych.

„I nic dziwnego” – pomyślał Langdon. „Dla geniusza, który stworzył Winstona, oszukanie lokalnego operatora sieci komórkowej musiało być jak bułka z masłem”.

Langdon spojrzał spod zmarszczonych brwi na swój własny telefon. W tej samej chwili Ambra delikatnie wyjęła mu go z dłoni. Bez słowa wyciągnęła rękę za barierkę i rozluźniła palce. Langdon patrzył, jak aparat uderza o powierzchnię wody i ginie w ciemnych odmętach. Gdy stracił go z oczu, doznał uczucia straty i jeszcze przez chwilę patrzył w tamtą stronę nad burzą pędzącej łodzi.

– Robercie – szepnęła Ambra. – Niech pan sobie przypomni mądre słowa disneyowskiej księżniczki Elsy.

Langdon się odwrócił.

– Słucham?

Ambra uśmiechnęła się smutno.

– Opuść.

Rozdział 36

– *Su misión no se ha completado* – usłyszał przez telefon Ávila. „Twoja misja jeszcze się nie zakończyła”.

Ávila siedział wyprostowany na tylnym fotelu uberowskiego auta, z szacunkiem słuchając swojego mocodawcy.

– Pojawiły się nieoczekiwane komplikacje – słuchał wypowiedzianych w pośpiechu słów. – Musi pan udać się do Barcelony. Natychmiast.

„Do Barcelony?” Według wcześniejszych rozkazów miał pojechać do Madrytu i tam czekać na dalszy rozwój wypadków.

– Mamy powody przypuszczać, że dwoje współników Kirscha jest w drodze do Barcelony, gdzie zamierzają znaleźć sposób, żeby zdalnie uruchomić jego prezentację.

Ávila zeszywniał.

– Czy to możliwe?

– Jeszcze nie wiemy, ale jeśli im się uda, to wszystkie pańskie dotychczasowe wysiłki pójdą na marne. Potrzebuję kogoś, kto będzie mógł działać tam na miejscu.

Dyskretnie! Proszę tam dotrzeć jak najszybciej i do mnie zadzwonić.

Połączenie się urwało.

Ávila ze zdziwieniem stwierdził, że te złe wieści przyjmuje z radością. „Wciąż jestem potrzebny”. Do Barcelony miał dalej niż do Madrytu, ale wiedział, że o tej porze po pustych autostradach dojedzie w kilka godzin. Nie tracąc ani chwili, Ávila podniósł pistolet i przycisnął lufę do głowy kierowcy Ubera. Mężczyzna silniej zacisnął dłonie na kierownicy.

– *Llévame a Barcelona* – rozkazał Ávila.

Kierowca opuścił autostradę zjazdem na Vitoria-Gasteiz, by po chwili znaleźć się na drodze A-1. Oprócz nich na wschód pędziły tylko ciężarówki przewożące towary do Pampeluny, Saragossy, a w końcu do jednego z największych miast portowych w basenie Morza Śródziemnego – Barcelony.

Ávila nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że splot niewiarygodnych okoliczności

doprowadził go do miejsca, w którym się właśnie znajdował. „Z samego dna rozpacz podniosłem się w chwale dzięki służbie, którą mogę dziś pełnić”.

Na mroczną chwilę znów pogrążył się w odmętach rozpacz, pośród gruzów przed ołtarzem katedry w Sewilli, między którymi szukał ciężarnej żony i dziecka, choć już wiedział, że wszyscy troje odeszli na zawsze.

Przez wiele tygodni po zamachu Ávila nie wychodził z domu. Leżał na kanapie, roztrzęsiony, gnębiony przez niekończące się koszmary, w których ogniste demony wlekły go do przepastnej otchłani owiniętego warstwami wściekłości i duszącego poczucia winy.

– Otchłań jest czyścem – wyszeptała stojąca obok niego zakonnica, jedna z setek wyszkolonych przez Kościół psychologów mających nieść pomoc rodzinom ofiar katastrof. – Pańska dusza utkwiała w mrocznym bezkresie. Odpuszczenie win jest teraz jedynym ratunkiem. Musi pan znaleźć sposób, żeby wybaczyć ludziom, którzy to panu zrobili, albo wściekłość i szal pożrą pana do cna. – Przeżegnała się. – Tylko wybaczenie może pana zbawić.

„Wybaczenie?!” – chciał krzyknąć Ávila, ale demony zacisnęły mu gardło.

Jedynym zbawieniem wydawała się wtedy zemsta. „Tylko na kim mam się mścić?” Nikt się nie przyznał do odpowiedzialności za zamach.

– Wiem, że akt terroru w imię religii wydaje się niewybaczalny – kontynuowała zakonnica. – Ale przecież nasza własna religia przez wieki właśnie w imię Boga utrzymywała inkwizycję. My też zabijaliśmy niewinne kobiety i dzieci w imię naszych przekonań. Prosiłszy potem świat o wybaczenie, ale też musieliśmy wybaczyć sami sobie. Aż wreszcie czas przyniósł uzdrowienie.

Następnie zakonnica odczytała mu fragmenty Biblii. „Nie stawiajcie oporu złemu, lecz jeśli kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu i drugi! Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują”.

Tamtej nocy pogrążony w bólu i samotności Ávila stanął przed lustrem.

Mężczyzna, który na niego spojrzał z naprzeciwka, wydał mu się obcy. Słowa zakonnicy choćby w najmniejszym stopniu nie ulżyły jego cierpieniom.

„Wybaczenie? Mam nadstawić drugi policzek?”

„Spotkało mnie takie zło, którego nie da się rozgrzeszyć!”

W przypływie wściekłości wbił w lustro pięść, rozbijając szkło, padł na podłogę i jęczał z rozpacz.

Jako oficer marynarki wojennej zawsze potrafił nad sobą panować. Był zdyscyplinowany, karny i kierował się honorem. Ale tamten człowiek zniknął. Przez długie tygodnie otumaniał się powalającą mieszanką alkoholu i leków uspokajających.

Stał się odludkiem wrogo nastawionym do wszystkiego i wszystkich, a jego jedynym

zajęciem było oczekiwanie, aż silne psychotropy znów go ogłupią.

Po kilku miesiącach wymuszono na nim przejście w stan spoczynku. Ávila wiedział, że już nigdy nie wyjdzie w morze. Czuł się jak potężny pancernik postawiony na zawsze w suchym doku. Marynarka wojenna, której poświęcił całe życie, zostawiła go z niewielką emeryturą ledwie pozwalającą na przeżycie.

„Stuknęło mi pięćdziesiąt osiem lat i nie mam nic” – uświadomił sobie.

Całymi dniami siedział w salonie, oglądał telewizję, pił wódkę i czekał na promyk światła. *La hora más oscura es justo antes del amanecer* – powtarzał sobie w kółko, ale stare marynarskie powiedzenie nigdy się nie sprawdzało. „Najciemniejsza godzina wcale nie jest przed świtem” – zaczynał dochodzić do wniosku. „Świt nigdy nie nadejdzie”.

W dniu swoich pięćdziesiątych dziewiątych urodzin, gapiąc się na butelkę po wódcę i przesłaną pocztą groźbę eksmisji, Ávila zebrał się na odwagę, żeby podejść do szafy, wyjąć z niej służbowy pistolet, załadować i przystawić sobie lufę do skroni.

– *Perdóname* – szepnął i zamknął oczy. Potem pociągnął za spust. Efekt był zupełnie inny, niż oczekiwał. Raczej cichy trzask niż huk.

Pistolet nie wypalił. Lata w zakurzonej szafie bez czyszczenia widocznie zrobiły swoje i kiepska ceremonialna broń do niczego więcej się nie nadawała. Co za ironia losu!

Ávila pomyślał, że nie potrafi już nawet doprowadzić do końca aktu największego tchórzostwa.

Rozwścieczony cisnął bronią o ścianę. Tym razem pistolet wypalił i rozległ się potężny huk. Ávila poczuł, że jego łydkę przeszywa piekący ból na tyle silny, by ustąpiło pijackie zamroczenie. Krzyknął i upadł na podłogę, trzymając się za zakrwawioną nogę.

Zaalarmowani sąsiedzi zaczęli walić w drzwi, zawyły syreny radiowozów, po czym Ávila znalazł się w sewilskim Hospital Provincial de San Lázaro, gdzie kazano wyjaśnić, dlaczego strzelił sobie w nogę, skoro chciał popełnić samobójstwo.

Następnego ranka admirał Luis Ávila leżał załamany i upokorzony, gdy nagle w jego sali szpitalnej pojawił się gość.

– Kiepsko pan strzela – stwierdził młody człowiek. – Nic dziwnego, że zmusili pana do przejścia na emeryturę.

Zanim Ávila zdążył odpowiedzieć, mężczyzna podniósł żaluzje, wpuszczając do wnętrza promienie słońca. Ávila przysłonił oczy; w świetle dnia zobaczył, że młody człowiek jest muskularny i ostrzyżony maszynką prawie na zero. Miał na sobie bawełniany podkoszulek z twarzą Jezusa na piersi.

– Mam na imię Marco – przedstawił się z andaluzyjskim akcentem. – Jestem pańskim rehabilitantem. Przydzielono mnie do pana, ponieważ coś nas łączy.

– Wojsko? – zgadywał Ávila, kierując się wyglądem i szorstkim stylem bycia młodego

człowieka.

– Nie. – Chłopak spojrzał Ávili prosto w oczy. – Byłem tam w niedzielę rano.

W katedrze podczas zamachu.

Ávila patrzył z niedowierzaniem.

– Byłeś tam?

Chłopak się pochylił i podciągnął nogawkę spodni dresowych, odsłaniając protezę.

– Wiem, że przeszedł pan piekło, ale ja grałem zawodowo w piłkę nożną, niech pan więc nie oczekuje ode mnie współczucia. Wyznaję zasadę, że Bóg wspiera tych, którzy potrafią o siebie zadbać.

Zanim Ávila zdążył się zorientować, Marco posadził go na wózku inwalidzkim i przewiózł do niewielkiej sali gimnastycznej, gdzie postawił Ávilę między dwiema poręczami.

– To będzie bolało, ale proszę przejść na drugi koniec barierek – oznajmił. – Tylko raz. Potem może pan zjeść śniadanie.

Ból był straszliwy, ale Ávila nie zamierzał się skarżyć człowiekowi, któremu została tylko jedna noga, przenosząc więc niemal cały ciężar swojego ciała na rękach, dokuśtykał do końca poręczy.

– Świetnie. Teraz proszę wrócić.

– Ale mówiłeś...

– Kłamałem. Proszę przejść wzdłuż poręczy jeszcze raz. Teraz.

Ávila patrzył zaszokowany. Admirałowi się nie rozkazuje! Ale wydane ostrym tonem polecenie przyniosło mu ulgę. Miał wrażenie, że czas cofnął się o wiele lat, a on znów jest młodym rekrutem. Odwrócił się i zaczął kuśtykać między poręczami.

– Niech mi pan powie, nadal chodzi pan na msze do katedry?

– Nigdy w życiu!

– Strach?

Ávila pokręcił głową.

– Wściekłość.

Marco wybuchnął śmiechem.

– Niech zgadnę. Jakaś zakonnica powiedziała panu, że trzeba wybaczyć zamachowcom?

Ávila przystanął, trzymając się poręczy.

– Jej słowa!

– Mnie też to mówiła. Próbowałem, ale się nie da. Zakonnice udzielają kiepskich rad – zaśmiał się ponownie.

Ávila zerknął na twarz Jezusa zdobiącą koszulkę chłopaka.

– Ale zdaje się, że nadal jesteś...

– Och tak, jestem chrześcijaninem. Głębiej wierzącym niż przedtem. Miałem szczęście odnaleźć swoją misję. Pomagam ofiarom wrogów Boga.

– Szlachetny cel – powiedział Ávila zazdrośnie, czując, że bez służby w marynarce i bez rodziny jego własne życie nie ma sensu.

– Wielki człowiek pomógł mi wrócić do Boga – kontynuował Marco. – Tym człowiekiem był papież, z którym rozmawiałem osobiście wiele razy.

– Co takiego? Papież?

– Tak.

– Głowa Kościoła?

– Tak, a jeśli pan chce, mogę się dla pana wystarać o audiencję.

Ávila patrzył na chłopaka, zastanawiając się, czy jest niespełna rozumu.

– Możesz się dla mnie wystarać o audiencję u papieża?

Marco zrobił urażoną minę.

– Wiem, że jest pan wysokim rangą oficerem marynarki wojennej i trudno panu sobie wyobrazić, że jakiś tam kaleki rehabilitant z Sewilli ma dostęp do Wikariusza Chrystusa, ale tak właśnie jest. Mogę poprosić, żeby papież się z panem spotkał. Pewnie pomógłby panu znów się odnaleźć, tak jak pomógł mnie.

Ávila opierał się o poręczę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Podziwiał ówczesnego papieża, lojalnego konserwatystę, który wracał do starych tradycji i głosił dogmatyczny katolicyzm. Niestety atakowano go za to ze wszystkich stron modernizującego się świata, a nawet zaczęły krążyć plotki, że Ojciec Święty niebawem abdykuje, nie chcąc się ugiąć pod liberalistyczną presją.

– Byłbym oczywiście zaszczycony, ale...

– Doskonale – przerwał mu Marco. – Postaram się zdążyć ze wszystkim do jutra.

Ávila nigdy by nie przypuszczał, że następnego dnia znajdzie się w pilnie strzeżonej świątyni, gdzie stanie twarzą w twarz z duchowym przywódcą, który mówiąc o Bogu, tak bardzo doda mu sił.

„Do zbawienia prowadzi wiele dróg”.

„Wybaczenie jest tylko jedną z nich”.

Rozdział 37

Ulokowana w kompleksie pałacowym Biblioteka Królewska mieści się w spektakularnie zdobionych komnatach zawierających tysiące bezcennych tomów, wśród nich iluminowany modlitewnik królowej Izabeli, osobiste egzemplarze Biblii kilku królów oraz sięgający czasów Alfonsa XI, oprawny w żelazo kodeks.

Garza wszedł do komnat bibliotecznych w wielkim pośpiechu, ponieważ nie chciał zostawiać księcia w szponach Valdespina na zbyt długo. Nie miał czasu, żeby się zastanowić nad implikacjami spotkania Valdespina z Kirschem ani odpowiadać sobie na pytanie, dlaczego biskup chciał utrzymać w tajemnicy swój kontakt ze znanym ateistą.

„Nawet po tym, co zrobił dziś Kirsch i co się z nim stało?”

Mimo półmroku Garza od razu zauważył koordynatorkę PR, którą oświeślał blask tabletu. Podeszedł do niej.

– Wiem, że jest pan zajęty, ale w tej sprawie czas jest kluczowy – zaczęła. – Szukałam pana na górze, ponieważ nasze centrum operacyjne otrzymało mail od ConspiracyNet.com.

– Od kogo?

– ConspiracyNet to popularny amerykański portal z teoriami spiskowymi.

Uprawiają tandetne dziennikarstwo, a jakoś tekstów mają na poziomie gazetki szkolnej, ale czytają ich miliony ludzi. Moim zdaniem w większości publikują fejki, ale ich strona cieszy się dużym szacunkiem wśród wyznawców tego typu teorii.

W pojęciu Garzy określenia „szacunek” i „teorie spiskowe” wzajemnie się wykluczały.

– Piszą o sprawie Kirscha od samego początku – kontynuowała Martín. – Nie wiem, skąd biorą informacje, ale publikują je na bieżąco, a ich artykuły zaczęli już cytować inni. Nawet stacje telewizyjne biorą najświeższe informacje o tej sprawie bezpośrednio od nich.

– Proszę do rzeczy.

– ConspiracyNet ma informację dotyczącą pałacu – stwierdziła Martín, poprawiając okulary, które trochę się zsunęły. – Opublikują ją u siebie za dziesięć minut i odezwali się, żebyśmy mogli udzielić komentarza, jeszcze zanim to zrobią.

Garza spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Pałac królewski nie udziela komentarzy w sprawie sensacyjnych plotek.

– Proszę przynajmniej na to spojrzeć, panie komendancie.

Garza sięgnął po tablet i po chwili znów patrzył na zdjęcie Ávili. Tym razem ubrany w biały mundur admirał defilował przed dużym obrazem, a ponieważ szedł bokiem i nie był na środku, Garza wywnioskował, że zdjęcie zostało zrobione przypadkiem. Jakiś wielbiciel sztuki chciał sfotografować obraz i niechcący uwiecznił człowieka, który nieopatrznie wszedł mu w kadr.

– Wiem, jak wygląda Ávila – warknął Garza, zamierzając wracać do następcy tronu i Valdespina. – Po co mi to pani pokazuje?

– Proszę spojrzeć niżej.

Przewinął obraz. Na następnym ekranie pojawił się powiększony fragment poprzedniego zdjęcia: dłoni przechodzącego admirała. Garza natychmiast zauważył na skórze jakiś symbol. Wyglądał na tatuaż.



Przez chwilę uważnie patrzył. Dobrze znał ten znak, podobnie jak wielu Hiszpanów, zwłaszcza starszego pokolenia.

„To symbol Franco”.

Umieszczany w wielu miejscach na terenie całej Hiszpanii w połowie dwudziestego wieku znak był synonimem ultrakonserwatywnej dyktatury generała Francisco Franco, którego brutalny reżim wspierał nacjonalizm, autorytaryzm, militarizm, antyliberalizm i katolicyzm narodowy.

Garza wiedział, że symbol składa się z sześciu liter tworzących łacińskie słowo, które idealnie opisywało wyobrażenie, jakie miał o sobie dyktator.

Victor.

Bezwzględny, agresywny i bezkompromisowy Francisco Franco doszedł do władzy przy wojskowym wsparciu nazistowskich Niemiec i Włoch Mussoliniego.

Zamordował tysiące swoich oponentów, zanim w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku przejął całkowitą kontrolę nad krajem, ogłaszając się *El Caudillo* – hiszpańskim odpowiednikiem Führera. Podczas wojny domowej i przez pierwsze lata sprawowania dyktatury ci, którzy ośmielili się stawiać mu opór, trafiali do obozów koncentracyjnych, gdzie według różnych szacunków zamordowano nawet trzysta tysięcy osób.

Podający się za obrońcę „katolickiej Hiszpanii” i wroga bezbożnego komunizmu Franco uosabiał skrajnie maskulinistyczną mentalność, której wyrazem było zastrzeżenie części stanowisk wiążących się z władzą w hierarchii społecznej tylko dla mężczyzn. Pod jego rządami kobiety nie mogły marzyć o profesurze albo todze sędziowskiej, własnym koncie w banku ani nawet prawie do obrony przed przemocą ze strony własnego męża.

Franco anulował wszystkie małżeństwa niezawarte w obrządku katolickim oraz wprowadził wiele ograniczeń, między innymi penalizując antykoncepcję, aborcję i homoseksualizm oraz zakazując rozwodów.

Na szczęście teraz wszystko się zmieniło.

Mimo to Garza był zaskoczony tempem, w jakim naród zapomniał o jednym z najmroczniejszych okresów w swojej historii.

Tak zwany *pacto del olvido* był ogólnonarodowym porozumieniem politycznym puszczającym w niepamięć wszystko, co wydarzyło się pod okrutnymi rządami Franco, a to znaczyło, że dzieci w hiszpańskich szkołach o dyktatorze nie uczyły się prawie wcale.

Niedawne badanie opinii publicznej pokazało, że hiszpańskie nastolatki częściej kojarzą słowo „Franco” z nazwiskiem aktora Jamesa oraz imieniem piosenkarza De Vity niż z dyktatorem.

Ale starsze pokolenia nigdy nie zapomną. Symbol ułożony z liter łacińskiego słowa, podobnie jak nazistowska swastyka, nadal budził strach w sercach tych, którzy mieli dość lat, żeby pamiętać tamte brutalne czasy. Nawet teraz co strachliwsi twierdzili, że na najwyższych szczeblach władzy państwowej i kościelnej nadal funkcjonują sekretni zwolennicy idei frankistowskich, którzy stworzyli tajne bractwo tradycjonalistów i poprzysięgli przywrócić w Hiszpanii ultraprawicowe wartości z ubiegłego stulecia.

Garza musiał przyznać, że wielu weteranów, widząc chaos i duchową apatię współczesnej Hiszpanii, dochodziło do przekonania, że ich ojczyznę może ocalić tylko wprowadzenie państwowej religii, zwiększenie kompetencji władzy centralnej i narzucenie obywatelom surowszych norm moralnych.

„Wystarczy rzut oka na naszą młodzież!” – powtarzali. „Oni nie mają żadnych zasad!”

W ostatnich miesiącach, gdy stało się jasne, że na tronie Hiszpanii wkrótce zasiądzie młodszy monarcha, w konserwatywnych kręgach pojawiły się obawy, że pałac królewski może niebawem stać się kolejnym ośrodkiem progresywnych zmian w kraju.

Niepokoje te jeszcze się wzmogły po niedawnych zaręczynach księcia Juliána z Ambrą Vidal, która nie dość, że była Baskijką, to jeszcze otwarcie się przyznawała do swojego agnostycyzmu, a przecież królowa małżonka ma wielki wpływ na decyzje króla w sprawach politycznych i kościelnych.

„Niebezpieczne czasy” – pomyślał Garza. „Kontrowersyjna hybryda przeszłości

i przyszłości”.

Ale Hiszpania doznawała zawirowań nie tylko religijnych, lecz także politycznych.

Czy powinniśmy zachować monarchię, czy może z korony powinno się zrezygnować wzorem Austrii, Węgier i tylu innych europejskich krajów? To mogło się okazać tylko z czasem. Na ulicach starsi tradycjoniści paradowali pod sztandarami Hiszpanii, podczas gdy młodzi postępowcy wymachiwali antymonarchistyczną trójkolorową flagą, w barwach drugiej republiki: fioletowo-żółto-czerwoną.

„Julián zasiądzie na beczce z prochem!”

– Gdy zobaczyłam frankistowski tatuaż, przyszło mi do głowy, że został dodany cyfrowo – powiedziała Martín, przyciągając uwagę Garzy z powrotem do tabletu. – No wie pan, żeby dolać oliwy do ognia. Portale spiskowe konkurują o klikalność, a powiązanie sprawy ze zwolennikami Franco wywoła gwałtowną reakcję, zwłaszcza wobec antychrześcijańskiego wydźwięku dzisiejszej prezentacji Kirscha.

Garza wiedział, że dziewczyna ma rację. „Wyznawcy teorii spiskowych oszaleją, gdy to zobaczą”.

– Niech pan przeczyta komentarz, który zamierzają pod tym zamieścić. – Martín wskazała na tablet.

Nie bez lęku komendant Gwardii Królewskiej przeniósł wzrok na pokaźnych rozmiarów tekst, który towarzyszył zdjęciom.



ConspiracyNet.com

NAJNOWSZE WIADOMOŚCI O SPRAWIE KIRSCHA

Mimo początkowych podejrzeń, że zabójstwo Edmonda Kirscha jest dziełem fanatyków religijnych, odkrycie tego ultrakonserwatywnego frankistowskiego symbolu sugeruje, że zabójca mógł także kierować się motywami politycznymi. Tajemnicą poliszynela jest to, że hiszpańscy konserwatyści na najwyższych szczeblach władzy, może nawet w samym pałacu królewskim, walczą teraz o przewagę wobec zawirowań wynikłych z nieobecności króla i jego rychłej śmierci...

– Skandal! – warknął Garza, przeczytawszy już dość. – Wszystkie te spekulacje na podstawie jednego tatuażu? Stek bzdur! Jeśli nie liczyć obecności pani Ambry Vidal w sali, w której doszło do zabójstwa, cała ta sytuacja nie ma nic wspólnego z pałacem.

Nie udzielimy komentarza.

– Panie komendancie, proszę doczytać do końca – nalegała Martín. – Wtedy pan się przekona, że próbują powiązać biskupa Valdespina z admirałem Ávilą, i to bezpośrednio. Pada sugestia, że biskup jest ukrytym frankistą, który mając od lat dostęp do ucha króla, powstrzymuje monarchę przed wprowadzeniem w kraju radykalnych zmian. – Zawiesiła

głos. – Ta sugestia zyskuje coraz większą popularność w sieci.

I znów Garza nie wiedział, co ma powiedzieć. Nie rozumiał świata, w którym żyje.

„Wiadomości wyssane z palca znaczą dziś tyle samo co prawdziwe”.

Spojrzał na Martín i z całych sił starał się mówić spokojnym głosem.

– Mónico, wszystko to fikcja tworzona przez blogerów wypisujących głupoty dla własnej rozrywki. Mogę cię zapewnić, że Valdespino nie jest frankistą. Przez dziesięciolecia wiernie służył królowi i nie ma żadnych powiązań z frankistowskim mordercą. Pałac nie skomentuje żadnej z tych rewelacji. Czy wyrażam się jasno?

Garza odwrócił się do wyjścia, chcąc jak najszybciej wrócić do księcia i Valdespina.

– Panie komendancie, proszę poczekać! – Martín chwyciła go za ramię.

Garza stanął jak wryty, ze zdumieniem wpatrując się w dłoń swojej pracownicy.

Kobieta natychmiast cofnęła rękę.

– Przepraszam, panie komendancie. Portal ConspiracyNet przysłał nam też nagranie rozmowy telefonicznej, która właśnie się odbyła w Budapeszcie. – Nerwowo mrugając, spojrzała na niego zza grubych szkielek. – Jej treść też się panu nie spodoba.

Rozdział 38

„Zabili mi szefa!”

Kapitan Josh Siegel czuł, że drżą mu dłonie na drążku sterowniczym, gdy kołował na płycie lotniska w Bilbao, doprowadzając gulfstreama G550 do głównego pasa startowego.

„Nie powinniśmy lecieć” – pomyślał, wiedząc, że drugi pilot jest tak samo roztrzęsiony jak on.

Od wielu lat pilotował prywatne odrzutowce Edmonda Kirscha, dlatego to potworne zabójstwo było dla niego olbrzymim szokiem. Godzinę wcześniej siedział wraz z drugim pilotem w lotniskowej poczekalni, oglądając telewizyjną transmisję z Muzeum Guggenheima.

– Edmond to umie zrobić wielki show – żartował, z podziwem patrząc na tłum, który przyciągnął do muzeum jego szef. Jednak z każdą minutą prezentacji, podobnie jak pozostali widzowie w poczekalni, coraz niecierpliwiej wyciągał głowę do przodu, nie mogąc się doczekać, kiedy rosnąca ciekawość zostanie wreszcie zaspokojona. Aż prezentacja zakończyła się tragedią.

Potem Siegel i jego drugi pilot siedzieli otępiali, nie mając pojęcia, co powinni teraz zrobić.

Dziesięć minut później odezwała się komórka Siegla. Telefonował asystent Edmonda. Siegel nigdy nie poznał Winstona osobiście, ale przywykł do koordynowania z nim lotów szefa, chociaż uznawał Brytyjczyka za wyjątkowego dziwaka.

– Jeśli jeszcze pan nie widział, to proszę włączyć telewizor – powiedział Winston.

– Oglądaliśmy obydwaj. Jesteśmy zdruzgotani – odparł Siegel.

– Musimy przetransportować samolot do Barcelony – oznajmił Winston tonem zaskakująco, wręcz nieprawdopodobnie rzeczowym w takiej tragicznej sytuacji. – Przygotujcie się do startu. Zadzwońię niebawem. Proszę nie startować, dopóki się nie odezwę.

Siegel nie miał pojęcia, czy otrzymana od Winstona instrukcja była zgodna z tym, czego życzyłby sobie Edmond, ale w tej sytuacji niemal każde polecenie przyjąłby z ulgą.

Zgodnie z dyspozycją Winstona nie złożył listy pasażerów, deklarując, że wykonuje pusty lot do Barcelony – jak na ironię w żargonie lotniczym taki lot nazywa się martwym – po czym wycofał samolot z hangaru i rozpoczął przygotowania do startu.

Upłynęło trzydzieści minut, zanim Winston zadzwonił ponownie.

– Jesteście gotowi do startu?

– Tak.

– To dobrze. Zakładam, że startujecie jak zwykle z pasa biegnącego na wschód?

– I słusznie. – Siegel miał czasem wrażenie, że Winston jest obsesyjnie drobiazgowy oraz irytująco dobrze poinformowany.

– Proszę skontaktować się z wieżą i poprosić o zgodę na start. Potem niech pan dojedzie do końca pola manewrowego, ale nie wjeżdża na pas.

– Mam blokować drogę kołowania?

– Tak, ale tylko przez minutę. Proszę mnie powiadomić, gdy pan stanie przed wjazdem na drogę startową.

Siegel i drugi pilot popatrzyli na siebie zaskoczeni. Polecenie Winstona nie miało sensu.

„Wieży to się raczej nie spodoba”.

Niemniej jednak Siegel poprowadził odrzutowiec wzdłuż licznych hangarów, podjazdów i ramp do zachodniego krańca płyty lotniska. Właśnie pokonywał ostatnie sto metrów pola manewrowego, gdzie podjazd pod kątem dziewięćdziesięciu stopni skręcał w prawo, łącząc się z pasem startowym w kierunku wschodnim.

– Winstonie, dotarliśmy do końca pola manewrowego – zameldował, wpatrując się w gęstą siatkę wysokiego ogrodzenia okalającego teren portu lotniczego w Bilbao.

– Proszę się tam zatrzymać – polecił Winston. – Odezwę się za chwilę.

„Nie mogę tu stać” – pomyślał Siegel, zastanawiając się, co do cholery Winston wyprawia. Na szczęście tylna kamera pokazywała, że nie ma za nim żadnych samolotów, więc przynajmniej nie wstrzymywał ruchu. Na monitorze widział tylko światła wieży kontrolnej, błyszczące słabo na przeciwległym krańcu drogi startowej, prawie trzy kilometry dalej.

Upłynęło sześćdziesiąt sekund.

– Wieża do EC trzy, cztery, sześć – zatrzeszczał głos w słuchawkach. – Macie pozwolenie na start. Powtarzam, macie pozwolenie na start.

Siegel niczego nie pragnął bardziej, niż wystartować, ale nadal czekał na wiadomość od asystenta Edmonda.

– Dziękuję – odezwał się do mikrofonu. – Musimy jeszcze minutę tu zostać.

Zapaliła się kontrolka ostrzegawcza, musimy to sprawdzić.

– Zrozumiałem. Dajcie znać, jak będziecie gotowi.

Rozdział 39

– Tutaj? – Kapitan taksówki wodnej zrobił zdziwioną minę. – Chcecie na ląd tutaj? Lotnisko jest bardziej daleko. Zabiorę was tam.

– Dziękuję, wysiadziemy tutaj – odparł Langdon, stosując się do wskazówek Winstona. Kapitan wzruszył ramionami i zatrzymał łódź przy małym moście oznakowanym jako Puerto Bidea. Brzeg porastały wysokie trawy, ale wyglądało na to, że jest dostępny.

Ambra pierwsza wygramoliła się na ląd i szła już w kierunku wzniesienia.

– Ile jestem panu winien? – zapytał kapitana Langdon.

– Bez pieniędzy – odpowiedział Hiszpan swoją łamaną angielszczyzną. – Brytyjski przyjaciel dał pieniądze. Karta kredytowa. Trzy razy tyle.

„Więc Winston już mu zapłacił!” Langdon jeszcze nie przywykł do pracy z syntetycznym asystentem Edmonda. „On jest jak Siri na sterydach!”

Langdon zdał sobie sprawę, że umiejętności Winstona nie powinny go zaskakiwać, skoro sztuczna inteligencja już od dawna wykonuje najróżniejsze skomplikowane zadania, z pisaniem powieści włącznie. Jedna z takich książek zdobyła nawet w Japonii nagrodę literacką.

Langdon podziękował kapitanowi, po czym wyskoczył z łodzi na brzeg. Zanim ruszył pod górę, odwrócił się do zdumionego kierowcy taksówki wodnej, podniósł palec wskazujący do warg i powiedział:

– *Discreción, por favor.*

– *Sí, sí* – zapewnił go kapitan, zasłaniając oczy. – *¡No he visto nada!*

Po tym zapewnieniu Langdon pobiegł pod górę, przecinając tory kolejowe, i dołączył do Ambry na skraju sennej wiejskiej drogi z uroczymi sklepikami po bokach.

– Według mapy powinniście się znajdować na skrzyżowaniu Puerto Bidea i Asua Ibaia – odezwał się głos Winstona w głośniku telefonu Edmonda. – Widzicie małe rondo w centrum miasteczka?

– Widzę – odpowiedziała Ambra.

– Doskonale! Zaraz za rondem znajdziecie wąską uliczkę Beike Bidea. Pójdziecie nią,

oddalając się od głównego skrzyżowania.

Dwie minuty później Langdon i Ambra zostawili za sobą zabudowania i maszerowali po pustej wiejskiej drodze prowadzącej między pastwiskami, na których gdzieś stały kamienne wiejskie domy. Chwilę później Langdon zaczął się obawiać, że coś poszło nie tak, bo po obydwu stronach rozciągały się tylko łąki. W oddali po prawej, nad szczytem niewielkiego wzgórza dostrzegł na niebie przytłumioną łunę.

– Jeśli to światła lotniska, to jesteśmy bardzo daleko – powiedział głośno.

– Terminal znajduje się trzy kilometry od waszej pozycji – odparł Winston.

Ambra i Langdon wymienili zdziwione spojrzenia. Winston powiedział im, że spacer zajmie tylko osiem minut.

– Według map satelitarnych Google po prawej powinniście mieć duże pole – kontynuował Winston. – Czy da się przez nie przejść?

Langdon przebiegł wzrokiem łąkę, która delikatnie wznosiła się w kierunku światła hali lotniska.

– Damy radę wspiąć się na to wzniesienie – ocenił. – Ale pokonanie trzech kilometrów...

– Po prostu niech pan wejdzie na to wzgórze, panie profesorze. Obiecał pan przecież wypełniać moje instrukcje.

Ton Winstona był spokojny i uprzejmy jak zawsze, ale mimo to Langdon zrozumiał, że właśnie został upomniany.

– Gratuluję, profesorze – szepnęła Ambra z rozbawioną miną, gdy zaczęli się wspinać pod górę. – Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby w słowach Winstona zabrzmiało coś na kształt poirytowania.

– EC trzy, cztery, sześć – zagrzemiał głos w słuchawkach Siegla. – Musisz albo wjechać na pas i wystartować, albo wrócić do hangaru na naprawę. Jaką masz sytuację?

– Pracujemy nad tym, zaraz się wyjaśni – skłamał, zerkając na obraz kamery wstecznej. Żadnych samolotów, tylko światła wieży. – Daj mi jeszcze minutę.

– Zrozumiałem. Powiadom o decyzji.

Drugi pilot klepnął go w ramię, po czym wskazał na coś przed dziobem samolotu.

Siegel spojrział w tamtym kierunku, ale widział tylko wysoki płot. Nagle jednak po drugiej stronie ogrodzenia coś zamajaczyło jak duch.

„Co się dzieje?”

Na pustym polu po drugiej stronie ogrodzenia z ciemności wyłoniły się dwie zjawy, które weszły na grzbiet wzgórza i zmierzały prosto w kierunku samolotu. Gdy podeszły bliżej, Siegel dostrzegł czarną ukośną szarfę na białej sukni. Rozpoznał kreację, którą dopiero co widział w telewizji.

„Czy to Ambra Vidal?”

Kirsch zabierał czasem Ambrę na pokład swojego samolotu i Siegel zawsze czuł przyspieszone bicie serca, gdy z nim leciała. Teraz jednak za nic nie potrafił sobie wyobrazić, co ta uderzająco piękna kobieta robiła na pastwisku tuż za terenem lotniska w Bilbao.

Wysoki mężczyzna towarzyszący Ambrze także był ubrany w czarno-biały strój wieczorowy i Siegel przypomniał sobie, że jego również widział podczas transmisji.

„Profesor Robert Langdon”.

W tej samej chwili w słuchawkach powrócił głos Winstona.

– Panie Siegel, powinien pan teraz widzieć dwoje ludzi stojących po drugiej stronie ogrodzenia i niewątpliwie rozpoznaje pan obydwój. – Opanowanie tego Brytyjczyka znów wydało się Sieglowi przerażające. – Musi pan wiedzieć, że pewnych okoliczności dzisiejszego wieczoru nie wolno mi panu wyjaśnić, ale proszę, aby zastosował się pan do moich instrukcji przez wzgląd na pana Kirscha. Jednego z całą pewnością powinien pan być świadom. – Winston zrobił bardzo krótką pauzę. – Ci sami ludzie, którzy zamordowali Edmonda Kirscha, próbują teraz zabić Ambrę Vidal i Roberta Langdona.

Aby zapewnić im bezpieczeństwo, potrzebujemy pana pomocy.

– Ale ja... oczywiście stawiam się do dyspozycji – wyjąkał Siegel, próbując przyswoić przekazaną mu informację.

– Pani Vidal i profesor Langdon muszą natychmiast wsiąść na pokład pańskiego samolotu.

– Tutaj? – zdziwił się kapitan.

– Zdaję sobie sprawę z drobnego problemu, jakim jest zgłoszenie pustego przelotu, ale...

– A czy zdaje pan sobie sprawę z drobnego problemu, jakim jest solidny trzymetrowy płot okalający teren lotniska?

– Tak, wiem, że lotnisko jest ogrodzone – odparł Winston spokojnie. – Zdaję też sobie sprawę z tego, że współpracujemy dopiero od kilku miesięcy, ale muszę prosić, żeby pan mi zaufał. Plan działania, który chcę panu teraz zaproponować, z pewnością spotkałby się z akceptacją Edmonda w tej sytuacji.

Siegel słuchał z niedowierzaniem, podczas gdy Winston przedstawiał swój plan.

– To niewykonalne! – skwitował.

– Przeciwnie – zaproponował Winston. – To całkowicie wykonalne. Siła ciągu każdego z silników przekracza sześćdziesiąt kiloniutonów, a stożek dziobowy pańskiego samolotu został zaprojektowany, żeby wytrzymać siedemset...

– Nie martwię się o fizykę – warknął Siegel. – Martwię się o prawo. Mogą mi cofnąć licencję.

– Rozumiem, panie Siegel, ale przyszła królowa Hiszpanii znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie. Pańska postawa pomoże uratować jej życie. Proszę mi wierzyć, że gdy prawda wyjdzie na jaw, dostanie pan nie naganę, lecz medal od króla.

Stojąc w wysokiej trawie, Langdon i Ambra patrzyli na masywny płot oświetlony reflektorami odrzutowca.

Wykonując polecenie Winstona, cofnęli się kilka kroków, gdy odrzutowe silniki zwiększyły obroty. Ale zamiast łukiem wtoczyć się na pas startowy, samolot kołował prosto na nich. Przeciął namalowane na płycie lotniska linie ostrzegawcze i wjechał na asfaltowe pobocze. Potem zmniejszył prędkość i centymetr za centymetrem zbliżał się do ogrodzenia.

Langdon widział, że dziób odrzutowca znajduje się dokładnie naprzeciwko jednego z metalowych słupów podtrzymujących siatkę. Gdy maszyna dotknęła płotu, silniki zawyły trochę głośniej.

Langdon oczekiwał, że będzie znacznie trudniej, ale widocznie dwa silniki Rolls- Royce’a i ponadczterdziestotonowy odrzutowiec znacznie przekraczały założenia konstrukcyjne twórcy ogrodzenia. Z metalicznym jękiem słup upadł na łąkę, pociągając za sobą olbrzymią górę asfaltu przyczepionego do jego podstawy, co wyglądało jak oklejone ziemią korzenie powalonego drzewa.

Langdon podbiegł i chwycił za siatkę, opuszczając ją na tyle nisko, żeby Ambra i on mogli przejść na drugą stronę. Zanim weszli na asfalt, z otwartych drzwi samolotu wysunęły się schody, ze szczytu których umundurowany pilot gestem zaprosił ich do środka.

Ambra zerknęła na Langdona z dyskretnym uśmiechem.

– Nadal wątpi pan w Winstona?

Langdonowi po raz kolejny brakło słów.

Gdy pośpiesznie wspięli się po schodach i przechodzili do luksusowej kabiny, Langdon usłyszał, jak pilot prowadzi w kokpicie rozmowę z wieżą.

– Zrozumiałem. Ale to jakiś błąd w odczycie radaru naziemnego – zapewnił. – Nie zjechaliśmy z pola manewrowego. Powtarzam, stoimy przed wjazdem na pas. Uporaliliśmy się z usterką i jesteśmy gotowi do startu.

Drugi pilot zatrzasnął drzwi kokpitu, gdy silniki weszły na obroty i gulfstream zaczął się cofać, powoli odjeżdżając od przewróconego ogrodzenia. Potem łukiem wjechał na początek drogi startowej.

Robert Langdon usadowił się naprzeciwko Ambry, zamknął na chwilę oczy i wypuścił powietrze. Usłyszał ryk silników i poczuł, jak przyśpieszenie wbija go w fotel, gdy

odrzutowiec mknął po pasie startowym.

Kilka sekund później samolot strzelał w górę, skręcając ostro na wschód, by po nocnym niebie pędzić do Barcelony.

Rozdział 40

Rabin Yehuda Köves pośpiesznie opuścił swoją pracownię, przeszedł przez ogród i wymknął się przednimi drzwiami swojego domu, po kilku stopniach schodząc na chodnik.

„W domu nie jestem już bezpieczny” – uznał, czując przyśpieszone bicie serca.

„Muszę natychmiast iść do synagogi”.

Synagoga przy ulicy Dohány była nie tylko świątynią, w której Köves modlił się przez całe życie, ale też istną fortecą. Solidne ogrodzenie, zasieki z drutu kolczastego i dwudziestoczworogodzinna ochrona stanowiły smutną konieczność w obliczu długiej tradycji antysemityzmu w tym mieście. Dziś wieczorem jednak Köves był bardzo zadowolony, że dysponuje kluczami do takiej cytadeli.

Świątynia mieściła się piętnaście minut spacerem od jego domu i choć codziennie pokonywał tę trasę spokojnym krokiem, to dzisiaj ze strachem wychodził na ulicę Lajosa Kossutha. Spuściwszy głowę, lękliwie zerkał na gęstniejący przed nim mrok.

Niemal natychmiast zobaczył coś, co zaniepokoiło go jeszcze bardziej.

Przygarbiona postać na ławce po drugiej stronie ulicy. Masywnie zbudowany mężczyzna w dzinsach i czapce bejsbolowej od niechcienia zerkał na telefon komórkowy, który oświetlał jego brodą twarz niebieskawą łuną.

„Ten człowiek na pewno nie mieszka w okolicy” – uświadomił sobie Köves, przyśpieszając kroku.

Mężczyzna w czapce bejsbolowej podniósł głowę, przez chwilę mierzył rabina wzrokiem, po czym znów zajął się telefonem. Köves szedł dalej. Minąwszy jedną przecznicę, odwrócił się nerwowo. Z niepokojem stwierdził, że mężczyzna w czapce już nie siedzi na ławce. Przeszedł na drugą stronę ulicy i szedł w tym samym kierunku co on.

„Śledzi mnie!” Stary rabin przyśpieszył kroku, z trudem łapiąc oddech. Zaczął się zastanawiać, czy nie popełnił błędu, postanawiając opuścić dom.

„Valdespino przestrzegał mnie przed wychodzeniem. Komu ja zaufałem?”

Köves zamierzał czekać, aż ludzie przysłani przez biskupa przyjadą, żeby go eskortować

do Madrytu, ale jeden telefon wszystko zmienił. Mroczne nasiona wątpliwości zakiełkowały bardzo szybko.

Kobieta przez telefon ostrzegła: „Biskup wysyła ludzi do Budapesztu nie po to, żeby pana chronić, tylko żeby się pana pozbyć, podobnie jak się pozbył Syeda al-Fadla”.

Potem poparła tę swoją tezę tak silnymi dowodami, że Köves wpadł w panikę i uciekł.

Teraz, gdy pośpiesznie szedł chodnikiem, zaczął się bać, że nie zdoła dotrzeć do bezpiecznych wnętrz synagogi. Mężczyzna w czapeczce bejsbolowej ciągle szedł za nim, trzymając się mniej więcej pięćdziesiąt metrów z tyłu.

Nocne powietrze przeszył ogłuszający pisk i Köves podskoczył. Z ulgą zdał sobie jednak sprawę, że to tylko autobus hamujący kilka metrów dalej. Podchodząc do przystanku, Köves uznał, że sam Bóg zsyła mu wybawienie. Wdrapał się do autobusu, widząc w środku gromadę hałaśliwych studentów. Dwoje z nich uprzejmie ustąpiło mu miejsca na przedzie.

– *Köszönöm* – wysapał, ze świstem łapiąc oddech. „Dziękuję”.

Zanim jednak autobus ruszył, mężczyzna w dzinsach i czapeczce bejsbolowej podbiegł do drzwi i wskoczył do środka chwilę przedtem, nim drzwi zdążyły się zamknąć.

Köves zesztywniał, ale mężczyzna minął go obojętnie i usiadł z tyłu. Rabin obserwował jego odbicie w przedniej szybie. Facet w czapce znów zajął się swoim telefonem, pograżając się w jakiejś grze.

„Nie popadaj w paranoję, Yehuda!” – strofował się w duchu. „Przecież on nawet na ciebie nie spojrział!”

Gdy autobus dotarł do przystanku przy ulicy Dohány, Köves zerknął tęsknie na dwie wieże swojej synagogi, od której teraz dzieliło go ledwie kilka przecznic, nie mógł jednak się zmusić, by zrezygnować z poczucia bezpieczeństwa, które zapewniało mu wnętrze autobusu.

„Jeśli wysiądę, a on pójdzie za mną...”

Köves pozostał więc na siedzeniu, dochodząc do wniosku, że w tłumie będzie bezpieczniejszy. „Mogę przecież posiedzieć w autobusie. Przynajmniej złapię oddech” – zadecydował, choć też zaczynał żałować, że nie skorzystał z toalety, zanim w pośpiechu wyszedł z domu.

Dopiero jednak chwilę później, gdy autobus ruszył, rabin Köves zdał sobie sprawę, że jego plan ma poważną wadę.

„Jest sobota, a wszyscy pasażerowie to dzieciaki”.

Köves z przerażeniem skonstatował, że wszyscy podróżujący tym autobusem młodzi ludzie niemal na pewno wysiądą dokładnie w tym samym miejscu, na przystanku w sercu żydowskiej dzielnicy Budapesztu.

Druga wojna światowa zostawiła tę część miasta w ruinie, ale opustoszałe budynki znów zatętniły życiem, gdy w rozpadających się kamienicach rozpoczęły działalność sławne w całej Europie kluby określane mianem ruin barów. W weekendy tłumy studentów i turystów przybywały na imprezy organizowane w zniszczonych bombardowaniami, pokrytych graffiti starych kamienicach oraz częściowo pozbawionych dachu magazynach, teraz wyposażonych w potężne głośniki, kolorowe oświetlenie i ozdobionych eklektyczną sztuką.

I rzeczywiście, gdy autobus z piskiem hamulców stanął przy kolejnym przystanku, wszyscy studenci stłoczyli się przy wyjściu. Mężczyzna w czapce bejsbolowej nadal siedział z tyłu bez reszty pochłonięty swoim telefonem. Instynkt podpowiedział Kövesowi, żeby natychmiast wysiąść, rabin poderwał się więc z miejsca i pośpiesznie podszedł do drzwi, żeby razem z tłumem wyjść na ulicę.

Autobus ryknął silnikiem, zbierając się do odjazdu, potem jednak z sykiem otworzył drzwi, żeby wypuścić jeszcze jednego pasażera: mężczyznę w czapeczce bejsbolowej i džinsach. Köves poczuł, że jego puls znów nabiera kosmicznego tempa, ale ten człowiek nawet na niego nie spojrzał. Odwrócił się plecami do tłumu i żwawym krokiem ruszył w przeciwnym kierunku, w marszu wybierając numer na klawiaturze swojego telefonu.

„Przestań panikować!” – upomniął się Köves, próbując oddychać spokojnie.

Autobus odjechał, a grupa studentów natychmiast ruszyła w stronę barów. Dla bezpieczeństwa rabin postanowił trzymać się ich jak najdłużej. Potem raptownie skręcił w lewo i zaczął się cofać w kierunku synagogi, ignorując ciężkość nóg oraz narastające parcie na pęcherz.

Bary w ruinach były pełne. Raz po raz wypadały z nich na ulicę krzykliwe grupki młodzieży. Wszędzie dookoła siebie Köves słyszał basowe dudnienie muzyki elektronicznej, a powietrze przepełniała woń piwa mieszająca się ze słodkim dymem papierosów Sopianae i zapachem kurtoszy.

Dochodząc do rogu ulicy, Köves wciąż miał niepokojące poczucie, że ktoś go śledzi. Zwolnił nieco i raz jeszcze szybko spojrzał za siebie. Na szczęście nigdzie nie dostrzegł mężczyzny w džinsach i czapeczce bejsbolowej.

W zacienionym przejściu skulona sylwetka pozostawała w bezruchu przez dziesięć długich sekund, zanim ostrożnie wyjrzała z bramy w stronę rogu ulicy.

„Nieźle, staruszkule!” – pomyślał kryjący się w mroku mężczyzna świadom, że udało mu się uskoczyć na bok w ostatniej chwili.

Upewnił się, że strzykawka nie wypadła mu z kieszeni, po czym wyszedł na ulicę, poprawił daszek czapki i szybkim krokiem ruszył tropem swojej ofiary.

Rozdział 41

Komendant Gwardii Królewskiej Diego Garza wbiegał po schodach do apartamentów królewskich, ściskając w dłoni tablet Móniki Martín.

W pamięci urządzenia znajdowało się nagranie przeprowadzonej przez nieznaną informatorkę z węgierskim rabinem Yehudą Kövesem rozmowy telefonicznej, której szokująca treść dawała Garzy kilka jakże cennych możliwości.

Bez względu na to, czy Valdespino rzeczywiście stał za morderczym spiskiem ujawnianym przez tajemniczą informatorkę, po upublicznieniu tego nagrania reputacja biskupa na zawsze legnie w gruzach, co do tego Garza nie miał wątpliwości.

„Muszę ostrzec księcia i zrobić coś, żeby nie dostał rykoszetem”.

„Valdespina trzeba usunąć z pałacu, zanim ta historia wyjdzie na jaw”.

W polityce opinia publiczna jest wszystkim, a media – słusznie czy nie – zamierzały rzucić Valdespina wilkom na pożarcie. Było jasne, że następca tronu nie może się dziś wieczorem pojawiać razem ze starym biskupem.

Koordynatorka public relations Mónica Martín usilnie doradzała, aby Garza przekonał księcia, że jeśli natychmiast nie wyda oświadczenia w tej sprawie, to prawdopodobnie zostanie posądzony o współudział.

„Ona ma rację” – uświadomił sobie. „Musimy pokazać Juliána w telewizji.

Natychmiast!”

Garza dotarł do szczytu schodów i ledwie łapiąc oddech, szedł po korytarzu w stronę apartamentu następcy tronu, zerkając na trzymany w dłoni tablet.

Wraz ze zdjęciem frankistowskiego tatuażu oraz nagraniem rozmowy telefonicznej węgierskiego rabina portal ConspiracyNet zamierzał opublikować jeszcze jedną rewelację, która zdaniem Martín mogła wywołać największy pożar.

„Konstelacja danych” – jak się wyraziła, opisując zbiór pozornie przypadkowych i niepowiązanych ze sobą informacji lub oderwanych faktów, które zwolennicy teorii spiskowych analizują, doszukując się możliwych powiązań pomiędzy nimi.

„Nie są w niczym lepsi od astrologów układających przypadkowo porozmieszczane na

niebie gwiazdy w kształty zwierząt!” – wściekał się w duchu.

Niestety dane i fakty, które wyświetlały się na niesionym przez Garzę tablecie, najwyraźniej zestawiono w taki sposób, by tworzyły konstelację wyjątkowo niekorzystną dla pałacu królewskiego.



ConspiracyNet.com

ZABÓJSTWO KIRSCHA

CO WIEMY DOTYCHCZAS

Edmond Kirsch poinformował o swoim odkryciu trzech prominentnych duchownych: arcybiskupa Antonia Valdespino, allamaha Syeda al-Fadla i rabina Yehudę Kövesa.

- Kirsch i al-Fadl nie żyją, Köves nie odbiera telefonu i wszystko wskazuje na to, że należy go uznać za zaginionego.

- Arcybiskup Valdespino żyje i ma się dobrze. Ostatni raz widziano go na placu przed pałacem królewskim w Madrycie.

- Zabójca Kirscha, zidentyfikowany jako admirał Luis Ávila, ma na dłoni wytatuowany symbol wiążący go z frakcją ultrakonserwatywnych frankistów.

(Valdespino jest znany z konserwatywnych poglądów. Czy też jest frankistą?)

- Według źródeł z Muzeum Guggenheima lista gości została zamknięta, a mimo to zabójcę umieszczono na niej w ostatniej chwili na prośbę pałacu królewskiego. (Prośbę spełniła przyszła królowa Ambra Vidal, osobiście dopisując Luisa Ávilę).

Portal ConspiracyNet pragnie podziękować monte@iglesia.org za informacje na temat tej sprawy.

„Monte@iglesia.org?”

Garza wiedział, że ten adres musi być fałszywy.

Nazwę „Iglesia” nosił znany w Hiszpanii portal ewangelicki będący forum dla pastorów i świeckich zainteresowanych nauczaniem Jezusa. Tajemniczy informator wybrał tę domenę po to, żeby swoim insynuacjom nadać pozory informacji pochodzących z portalu religijnego.

„Sprytnie” – pomyślał Garza, dobrze wiedząc, że żarliwi katolicy z tego portalu darzyli Valdespina wielkim szacunkiem. Komendant zadawał sobie pytanie, czy ów anonimowy informator był tą samą osobą, która zatelefonowała do rabina.

Stając przed drzwiami apartamentu, zastanawiał się, jak przekazać tę wiadomość księciu. Dzień zaczął się całkiem zwyczajnie, a teraz nagle wyglądało na to, że pałac wyrusza na wojnę z duchami. „Anonimowy informator o nicku Monte? Tendencyjne zestawienie informacji?” Sprawę dodatkowo pogarszał brak wiadomości na temat miejsca pobytu Ambry Vidal i Roberta Langdona.

„Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli media dowiedzą się o bezczelnym zachowaniu Ambry Vidal!”

Komendant wszedł bez pukania.

– Don Julián? – zawołał, pośpiesznie przechodząc do salonu. – Chcę prosić o chwilę rozmowy na osobności.

Salon był pusty.

– Wasza Wysokość? – krzyknął, przechodząc do drugiego pomieszczenia. – Biskupie Valdespino?

Garza przeszukał cały apartament, ale księżę i biskup jakby się pod ziemię zapadli.

Wybrał numer księcia i zdębiał, słysząc dzwonek telefonu komórkowego.

Przytłumiony, ale wyraźny, gdzieś niedaleko. Garza ponownie wybrał numer i znów usłyszał dzwonek. Tym razem komendant zdołał ustalić, że dźwięk dobiega zza niewielkiego obrazu, za którym mieścił się wmurowany w ścianę sejf.

„Julián zamknął swój telefon w sejfie?”

Nie mógł uwierzyć, że księżę pozbył się telefonu w takiej sytuacji, gdy utrzymanie stałego kontaktu było absolutnie najważniejsze.

„Dokąd oni poszli?”

Garza wybrał teraz numer Valdespina, mając nadzieję, że biskup odbierze.

Z bezgranicznym zdziwieniem stwierdził, że zza obrazu na ścianie dobiega kolejny przytłumiony dźwięk.

„Valdespino też zostawił telefon?”

Z rosnącą paniką i zdumieniem w szeroko otwartych oczach komendant wypadł z królewskiego apartamentu. Przez kolejne minuty biegał po korytarzach, pokrzykując.

Szukał i na górze, i na dole.

„Przecież nie wyparowali!”

Gdy Garza w końcu przestał szukać, stał, ciężko dysząc, w wielkiej klatce schodowej Sabatiniego. Spuścił głowę z poczuciem porażki. Tablet, który nadal dzierżył w ręce, przeszedł już w tryb uśpienia, ale w pociemniałym ekranie odbijał się fresk, pod którym komendant się zatrzymał.

Cóż za ironia! Alegoryczne arcydzieło pędzla Giaquinta nosiło tytuł: *Religia ochraniana przez Hiszpanię*.

Rozdział 42

Gdy gulfstream G550 wspinał się na wysokość przelotową, Robert Langdon wpatrywał się w okrągłe okno, próbując zebrać myśli. Ostatnie dwie godziny były pełne tak różnych emocji – od ekscytacji i ciekawości towarzyszącej pierwszej części prezentacji Edmonda po przerażenie i ból po makabrycznym morderstwie. Im dłużej Langdon się nad tym wszystkim zastanawiał, tym bardziej intrygująca stawała się tajemnica, którą Edmond zabrał ze sobą do grobu.

„Jaki odkrył sekret?”

„Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy?”

Langdon przypomniał sobie słowa wypowiedziane przez Edmonda w spiralnej metalowej rzeźbie. „To uniwersalne pytania... moje badania przyniosły jasną odpowiedź i na jedno, i na drugie...”

Edmond twierdził, że wyjaśnił dwie największe tajemnice istnienia, ale czy naprawdę to odkrycie mogło zagrażać komuś tak bardzo, że posunął się do morderstwa, żeby powstrzymać jego ujawnienie?

Langdon wiedział tylko tyle, że Edmond odnosił się do powstania człowieka i do ludzkiego przeznaczenia.

„Co szokującego znalazł na temat naszego pochodzenia?”

„Jakie może być tajemnicze przeznaczenie ludzkości?”

W trakcie rozmowy z Langdonem Edmond wyrażał się o przyszłości z optymizmem i nadzieją, było więc raczej mało prawdopodobne, żeby podczas prezentacji miał przedstawić jakąś apokaliptyczną przepowiednię. „Co jeszcze mógł przewidzieć? Dlaczego jego proroctwo tak bardzo poruszyło tych trzech duchownych?”

– Profesorze Langdon? – Ambra pojawiła się obok niego z filiżanką gorącej kawy.

– Zdaje się, że bez mleka, prawda?

– Tak, bez mleka, bardzo dziękuję – odpowiedział, sięgając po filiżankę z nadzieją, że odrobina kofeiny pomoże mu zebrać myśli.

Ambra usiadła naprzeciwko niego i nalała sobie kieliszek czerwonego wina

z kryształowej karafki.

– Edmond wozi na pokładzie zapas Château Montrose. Byłoby szkoda, gdyby się zmarnowało.

Langdon tylko raz w życiu próbował wina z Montrose, w sekretnej starej piwnicy pod dublińskim Trinity College, gdzie prowadził badania nad średniowiecznym manuskrypcem znanym jako Ewangeliarz z Kells.

Ambra otoczyła dłońmi szklaną czaszę, a gdy podniosła ją do ust, zerknęła na swojego towarzysza znad brzegu kieliszka. Po raz kolejny Langdon pomyślał, że naturalna elegancja tej kobiety jest rozbrajająca.

– Też się nad tym wszystkim zastanawiam – powiedziała. – Wspominał pan, że podczas wizyty w Bostonie Edmond wypytywał o różne wersje historii stworzenia człowieka?

– Tak, to było mniej więcej przed rokiem. Interesował się odpowiedziami, jakich różne religie udzielają na pytanie: skąd przyszliśmy?

– Może więc to jest dobry punkt startowy? Może nam się uda rozwikłać zagadkę tematu jego badań?

– Zawsze powtarzam, że trzeba zaczynać od początku, ale tym razem nie jestem nawet pewien, co mielibyśmy odkryć – odparł. – Są tylko dwie szkoły myślenia o tym, skąd przyszliśmy, a mianowicie religijne koncepcje o stworzeniu człowieka przez Boga oraz model darwinowski, w którym wypełzliśmy z pierwotnej mazi, by ostatecznie ewoluować do ludzkich istot.

– A jeśli Edmond odkrył trzecią możliwość? – zapytała Ambra z błyskiem w ciemnych oczach. – Jeśli to właśnie jest część jego odkrycia? Może udowodnił, że ludzkość nie pochodzi ani od Adama i Ewy, ani nie jest produktem darwinowskiej ewolucji?

Langdon musiał przyznać, że taka rewelacja wstrząsnęłaby światem, nie potrafił sobie jednak wyobrazić, jaka miałyby być ta alternatywna wersja początków ludzkości.

– Teoria ewolucji Darwina jest dobrze ugruntowana, ponieważ znajduje oparcie w faktach, które dają się zaobserwować. Nie ma wątpliwości, że opisuje, jak dzięki ewolucji organizmy żywe przez lata adaptowały się do warunków otoczenia. Jest uznawana przez najświatlejsze umysły świata nauki.

– Naprawdę? – zdziwiła się Ambra. – Zdarzało mi się czytać książki, których autorzy dowodzą, że Darwin się mylił.

– Pani Vidal mówi prawdę – odezwał się Winston w głośniku telefonu, który podłączony do ładowarki leżał na stoliku między fotelami. – Ponad pięćdziesiąt tytułów opublikowanych tylko w ciągu ostatniej dekady.

Langdon zdążył zapomnieć, że nadal jest z nimi Winston.

– Niektóre z tych książek były bestsellerami – dodał Winston. – *W czym Darwin się*

mylił... Pokonanie darwinizmu... Czarna skrzynka Darwina... Sąd nad Darwinem...

Ciemna strona Karola Dar...

– Owszem – przerwał mu Langdon świadomy istnienia całej kolekcji książek, których autorzy deklarowali obalenie teorii Darwina. – Czytałem nawet dwie z nich jakiś czas temu.

– I? – zachęcała z zaciekawieniem Ambra.

Langdon uśmiechnął się uprzejmie.

– No cóż, nie mogę oceniać wszystkich książek na ten temat, ale autorzy tych, które przeczytałem, argumentowali z fundamentalnie chrześcijańskiego punktu widzenia.

Jeden posunął się nawet do stwierdzenia, że skamieniałości stworzył sam Bóg, chcąc „wystawić na próbę naszą wiarę”.

Ambra zmarszczyła brwi.

– Czyli nie odmienili pańskiego rozumowania?

– Nie, ale udało im się wzbudzić moją ciekawość, poprosiłem więc o opinię profesora biologii na Harvardzie – uśmiechnął się Langdon. – Nawiasem mówiąc, tym profesorem był nieżyjący już Stephen J. Gould.

– Skąd znam to nazwisko? – zapytała Ambra.

– Stephen J. Gould, wybitny paleontolog, popularyzator ewolucjonizmu – natychmiast odpowiedział Winston. – Ogłoszona przez niego teoria punktualizmu wsparła teorię Darwina, wyjaśniając skokowość mutacji skamielin.

– Gould tylko zachichotał – wspominał Langdon. – Powiedział mi wtedy, że wydawcą większości książek antydarwinowskich jest Instytut Badań nad Kreacjonizmem, który w swoich własnych materiałach informacyjnych uznaje Biblię za nieomylny i literalny zapis faktów naukowych.

– To znaczy, że ich zdaniem płonące krzewy potrafią mówić, Noe zmieścił na jednej arce wszystkie żyjące gatunki, a ludzie mogą się zamienić w słup soli – dodał Winston. – Nie są to zbyt mocne fundamenty pod porządną placówkę badawczą.

– To prawda – przytaknął mu Langdon. – Istnieją też jednak niereligijne książki, które próbują dyskredytować teorię ewolucji z historycznego punktu widzenia. Oskarża się w nich Darwina o to, że ukradł swoją teorię francuskiemu naturaliście nazwiskiem Jean-Baptiste Lamarck, który jako pierwszy postulował transformację żywych organizmów w reakcji na warunki otoczenia.

– Ta argumentacja nie ma związku z tematem, panie profesorze – wtrącił Winston.

– Zarzucenie Darwinowi plagiatu nie podważa prawdziwości jego twierdzeń na temat ewolucji gatunków.

– Z tym się spierać nie sposób – powiedziała Ambra. – Zakładam więc, że odpowiadając

na pytanie, skąd przyszliśmy, profesor Gould wskazałby na ewolucję małych człokształtnych?

Langdon przytaknął skinieniem głowy.

– Parafrazuję jego słowa, ale Gould zapewnił mnie wtedy, że wśród poważnych naukowców nie ma najmniejszych wątpliwości co do procesu ewolucji. Jego zdaniem powinniśmy sobie zadawać dwa inne pytania: dlaczego ewolucja w ogóle zachodzi oraz co ją zapoczątkowało?

– Czy zasugerował też jakieś odpowiedzi?

– Niezbyt dla mnie zrozumiałe, ale zilustrował swój wywód myślowym eksperymentem, który nosi nazwę „Nieskończonego korytarza”. – Langdon zrobił pauzę, żeby wypić kolejny łyk kawy.

– Tak, to rzeczywiście bardzo pożyteczna ilustracja – wtrącił Winston, zanim Langdon zdążył się odezwać. – Dlatego warto ją streścić. Proszę sobie wyobrazić, że idzie pani korytarzem na tyle długim, że nie da się zobaczyć ani skąd, ani dokąd prowadzi.

Langdon skinął głową, podziwiając rozległość wiedzy Winstona.

– Nagle gdzieś za plecami słyszy pani odgłos odbijanej piłki – kontynuował Winston. – Jak łatwo zgadnąć, gdy się pani odwraca, piłka zbliża się w pani kierunku, ciągle odbijając się od podłoża. Po chwili mija panią i pędzi dalej do przodu, aż znika z pola widzenia.

– Otóż to – powiedział Langdon. – W tej sytuacji nie stawiamy sobie pytania, czy piłka się odbija, ponieważ to akurat widzimy. Możemy zaobserwować jej zachowanie.

Właściwe jest zatem inne pytanie: jak zaczęła się odbijać od podłoża? Czy ktoś ją kopnął?

A może to wyjątkowa piłka, która po prostu lubi podskakiwać? Czy raczej jest tak, że prawa fizyki w tym korytarzu nie zostawiają jej wyboru i musi się odbijać bez końca?

– Gould dowodził w ten sposób, że tak samo jest z ewolucją, ponieważ nie potrafimy wejrzeć w przeszłość na tyle daleko, żeby stwierdzić, co ją zapoczątkowało.

– Otóż to! – przytaknął Langdon. – Możemy tylko obserwować, co się dzieje.

– Kojarzy się to oczywiście z wyzwaniem, jakim jest zrozumienie Wielkiego Wybuchu – dodał Winston. – Kosmologowie stworzyli sobie eleganckie formuły, którymi opisują rozszerzający się wszechświat w dowolnym przeszłym lub przyszłym czasie – t .

Jeśli jednak spróbujemy się cofnąć do chwili, w której nastąpił Wielki Wybuch, a więc gdy t równa się zeru, matematycy dostają białej gorączki, próbując opisać coś, co wydaje się mistyczną plamką nieskończenie wysokiej temperatury i nieskończenie wielkiej gęstości.

Langdon i Ambra wymienili pełne podziwu spojrzenia.

– Znów muszę przytaknąć – powiedział Langdon. – A ponieważ umysł ludzki niezbyt dobrze radzi sobie z nieskończonością, większość naukowców zajmujących się początkiem wszechświata bada okres bezpośrednio po Wielkim Wybuchu, gdy współczynnik t jest większy od zera, dzięki czemu ich rozważania są matematyczne, a nie mistyczne.

Jeden z kolegów Langdona na Harvardzie, nobliwy profesor fizyki, tak bardzo miał dosyć studentów filozofii na prowadzonym przez siebie seminarium o początkach wszechświata, że na drzwiach sali wykładowej, w której się ono odbywało, wywiesił następujące ogłoszenie:

W tej sali $t > 0$.

Pytania dla $t = 0$ proszę zadawać na Wydziale Teologicznym.

– A co z panspermią? – zapytał Winston. – Poglądem, że życie na Ziemi jest pochodzenia kosmicznego i dostało się tu za pośrednictwem meteoroidu, planetoidy lub komety? Uważa się, że panspermia jest do przyjęcia z naukowego punktu widzenia.

– Nawet jeśli ta teoria jest prawdziwa, to bez odpowiedzi pozostawia ona pytanie, jak zaczęło się życie w kosmosie. Jakbyśmy tylko kopali puszkę na chodniku, ignorując odbijającą się obok nas piłkę i odsuwając od siebie pytanie: dlaczego zaczęła podskakiwać?

Winston zamilkł.

Ambra sączyła wino, najwyraźniej ubawiona tą wymianą zdań.

Gdy odrzutowiec G550 osiągnął wysokość przelotową i wyrównał lot, Langdon zaczął się zastanawiać, co by to znaczyło dla świata, gdyby Edmond rzeczywiście znalazł odpowiedź na odwieczne pytanie: skąd przyszliśmy?

A przecież według Edmonda ta odpowiedź stanowiła ledwie część tajemnicy, którą zamierzał ujawnić.

Jakakolwiek była prawda, Edmond Kirsch ukrył ją za imponujących rozmiarów hasłem: czterdziestoczworoliterową linijką jakiegoś wiersza. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to wspólnie z Ambrą znajdą ten wers gdzieś w barcelońskim mieszkaniu Edmonda.

Rozdział 43

Niemal dekadę po stworzeniu tak zwanej Ciemnej Sieci pozostaje ona tajemnicą dla zdecydowanej większości użytkowników internetu. Zasoby Darknetu są niedostępne przy użyciu tradycyjnych wyszukiwarek, a wejście w złowieszczy świat cieni otwiera dostęp do oszałamiającej liczby nielegalnych towarów i usług oferowanych w mrocznych lochach pod globalną siecią.

Internetowa platforma o nazwie Silk Road, będąca pierwszym czarnorynkowym dostawcą zakazanych substancji chemicznych, rozwinęła się w potężną sieć nielegalnych stron handlujących bronią, pornografią dziecięcą, sekretami polityków, a nawet usługami profesjonalistów: prostytutek, hakerów, szpiegów, terrorystów i płatnych zabójców.

Co tydzień w Ciemnej Sieci dochodzi do milionów transakcji, a dziś w budapeszteńskiej dzielnicy ruin barów jedna z tych transakcji miała się zrealizować.

Mężczyzna w czapce bejsbolowej i niebieskich džinsach szedł chyłkiem po ulicy Kazinczy, kryjąc się w cieniu przed wzrokiem swojej ofiary. Tego typu misje w ostatnich latach stały się jego chlebem powszednim i zawsze negocjował je przez jedną z trzech popularnych w środowisku stron: Unfriendly Solution, Hitman Network lub BesaMafia.

Płatne zabójstwo generuje miliardowe obroty, które z dnia na dzień rosną przede wszystkim dzięki gwarantowanej przez Ciemną Sieć anonimowości i niemożliwym do namierzenia rozliczeniom w bitcoinach. Większość zleceń zabójstwa wiąże się z oszustwami ubezpieczeniowymi, porachunkami biznesowymi albo wyjątkowo burzliwymi sporami w małżeństwie, ale powód zlecenia nigdy nie jest ważny dla osoby, która je przyjmuje.

„Żadnych pytań. To niepisana zasada, dzięki której mój biznes się kręci” – przypominał sobie zabójca.

Dzisiejsze zlecenie przyjął kilka dni temu. Anonimowy zleceniodawca zaoferował sto pięćdziesiąt tysięcy euro za obserwację domu starego rabina i pozostawanie w gotowości, gdyby trzeba było przystąpić do działania. Działanie w tym wypadku oznaczało włamanie się do domu staruszka i wstrzyknięcie mu chlorku potasu, który powoduje

natychmiastowy zgon rzekomo z powodu zatrzymania akcji serca.

Dziś wieczorem rabin niespodziewanie wyszedł z domu w środku nocy, po czym przejechał autobusem w okolice barów, które nie cieszyły się najlepszą reputacją. Zabójca ruszył za nim, po drodze korzystając z aplikacji nakładkowej w smartfonie, żeby powiadomić swojego zleceniodawcę o rozwoju wydarzeń.

„Cel wyszedł z domu. Przejechał do dzielnicy barów. Możliwe, że zamierza z kimś się spotkać”.

Odpowiedź zleceniodawcy przysłała niemal natychmiast.

„Wyeliminować”.

Tym samym zadanie, które zaczęło się od pozornie niewinnej obserwacji, skończy się śmiertelną zabawą w kotka i myszkę wśród ruin zamienionych w bary.

Rabin Yehuda Köves spocony i zadyszany szedł wzdłuż ulicy Kazinczy. Paliły go płuca i czuł, że jego stary pęcherz za chwilę eksploduje.

„Muszę znaleźć jakąś toaletę i chwilę odsapnąć” – pomyślał, przystając w tłumie stojącym przed Szimpla Cafe, jednym z największych i najsłynniejszych budapeszteńskich ruin barów.

Zbierali się w tym miejscu ludzie o tak różnym wieku i proveniencji, że na starego rabina nikt nawet nie zwrócił uwagi.

„Zatrzymam się tutaj na chwilę” – postanowił, przechodząc do wejścia.

Bar Szimpla ulokował się w spektakularnej niegdyś kamienicy z eleganckimi balkonami i wysokimi oknami, z której zostały tylko zaniedbane, pokryte graffiti mury.

W szerokim portyku tej wielkiej kiedyś miejskiej rezydencji, nad drzwiami wejściowymi rabin zobaczył wielki napis: „EGG-ESH-AY-GED-REH!”.

Potrzebował chwili, żeby sobie uświadomić, że to fonetycznie zapisane dla anglojęzycznych gości, używane przy toastach węgierskie słowo *egészségedre*.

Wchodząc, Köves patrzył z niedowierzaniem na przepastne wnętrze baru. Budynek wzniesiono wokół olbrzymiego podwórza, na którym teraz zgromadzono najdziwniejszą kolekcję przedmiotów, jaką rabinowi zdarzyło się w życiu oglądać: wanna służąca za kanapę, manekiny jadące na zawieszonych w powietrzu rowerach czy karoseria starego trabanta, w której zainstalowano siedzenia dla gości.

Wysokie ściany okalające podwórze zdobiło graffiti namalowane między plakatami z czasów sowieckich, antycznymi rzeźbami i roślinami zwieszającymi się z doniczek na balkonach pełnych gości kiwających się w takt dudniącej muzyki. W powietrzu unosił się zapach piwa i papierosów. Jacyś młodzi ludzie namiętnie się całowali na oczach pozostałych, podczas gdy inni ukradkiem pociągali dym z małych fajek albo pili pálinkę,

słynną węgierską wytrawną wódkę owocową.

Köves zawsze uznawał to za ironię, że chociaż ludzie są najwspanialszym tworem Boga, to w głębi ducha pozostali zwierzętami, a ich zachowaniem kieruje przede wszystkim chęć zaspokojenia zwierzęcych potrzeb. „Czynimy zadość ciału w nadziei, że zadowoli to również nasze dusze”. W swojej pracy Köves często pomagał tym, którzy zbyt folgowali potrzebom fizjologicznym, przede wszystkim jedzenia i seksu, ale ostatnio pojawiło się też uzależnienie od internetu i tanich dopalaczy, przez co praca rabina z dnia na dzień stawała się trudniejsza.

Aby zaspokoić jedyną cielesną potrzebę, jaką teraz odczuwał, Köves potrzebował łazienki, z przerażeniem więc stwierdził, że w kolejce przed tym przybytkiem ustawiło się aż dziesięć osób. Nie mogąc czekać, ostrożnie wspiał się po schodach na piętro, gdzie ponoć było więcej toalet. Prosto ze schodów wszedł do labiryntu sąsiadujących ze sobą salonów i sypialni teraz mieszczących małe bary albo siedziska dla gości. Zapytany o łazienkę barman pokazał na odległy korytarz, do którego szło się wzdłuż balustrady górującej nad wewnętrznym dziedzińcem.

Köves szybko ruszył we wskazanym kierunku. Z dłonią opartą na poręczy dla zachowania równowagi szedł wzdłuż balkonu, bezmyślnie patrząc na tętniące życiem podwórze poniżej, na którym morze młodych ludzi falowało w rytm pulsującej muzyki.

Nagle zauważył.

Stanął jak wryty. Widok zmroził mu krew w żyłach.

Stojący pośród tłumu mężczyzna w czapce bejsbolowej i dzinsach gapił się na niego. Przez krótką chwilę patrzył mu prosto w oczy, po czym z gwałtownością pantery rzucił się do działania, przepychając się między gośćmi w stronę schodów na piętro.

Zabójca pędził na górę, przyglądając się uważnie każdej mijanej po drodze twarzy.

Dobrze znał Szimplę, szybko więc dobiegł do balkonu, na którym stał jego cel.

Rabin zniknął.

„Nie mijałem cię, a to znaczy, że przeszedłeś w głąb budynku” – rozumował zabójca.

Uśmiechnął się, patrząc w stronę ciemnego korytarza, bo wiedział już, gdzie szukała schronienia jego ofiara.

W ciasnym przedpokoju śmierdziało moczem. Na jego końcu znajdowały się wypaczone drewniane drzwi.

Ostrożnie stąpając, zabójca przeszedł korytarz i głośno zapukał w drzwi.

Cisza.

Zapukał ponownie.

Niski głos w środku mruknął, że jest zajęte.

– *¡Bocsásson meg!* – przeprosił zabójca radosnym głosem i demonstracyjnie odszedł w głąb korytarza. Po chwili przystanął, po cichu zawrócił i przycisnął ucho do drzwi. Usłyszał, jak w środku rabin desperackim szeptem wzywa pomocy.

– Ktoś próbuje mnie zabić! Był przed moim domem! Śledził mnie przez całą drogę, teraz ukryłem się przed nim w barze Szimpla, ale mnie znalazł. Przyślijcie pomoc, błagam!

Najwyraźniej jego cel telefonicznie wzywał pomocy. Czas reakcji na wysłanie załogi przez operatora numeru alarmowego 112 był w Budapeszcie wyjątkowo długi, ale zabójca wiedział, że musi się śpieszyć.

Zerkając przez ramię, żeby się upewnić, że jest sam, naparł muskularnym ramieniem na zdezelowane drzwi, synchronizując uderzenie z rytmem muzyki.

Leciwy metalowy haczyk puścił za pierwszym razem. Drewniane skrzydło odskoczyło. Zabójca wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i stanął twarzą w twarz ze swoją ofiarą.

Skulony w rogu starzec wydawał się równie zdezorientowany, co przerażony.

Zabójca wyjął z jego dłoni telefon, zakończył połączenie i wrzucił aparat do muszli klozetowej.

– Kto cię nasłał? – wyjąkał rabin.

– Piękno mojego zawodu polega na tym, że wcale nie muszę tego wiedzieć – odparł mężczyzna.

Starzec miał świszczący oddech i obficie się pocił. Nagle zaczął głośno dyszeć i wybałuszając oczy, złapał się obiema rękami za pierś.

„Naprawdę?” – pomyślał zabójca z uśmiechem. „Dostał ataku serca?”

Na podłodze łazienki starzec wił się i krztusił, błagając wzrokiem o pomoc, podczas gdy jego twarz robiła się coraz czerwieńsza, a palce wpijały się w klatkę piersiową. Wreszcie opadł twarzą na brudne kafle i leżał wstrząsany dreszczami, a jego pęcherz nie wytrzymał i przez mokre spodnie przesączyła się cienka strużka moczu.

Potem rabin znieruchomiał.

Zabójca przykucnął, żeby sprawdzić oddech. Niczego jednak nie usłyszał.

Podniósł się z uśmiechem zadowolenia na twarzy.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że aż tak ułatwisz mi zadanie.

I ruszył w stronę wyjścia.

Rabin Köves miał wrażenie, że jeszcze chwila i pękną mu płuca.

Właśnie odegrał rolę życia.

Bojąc się, że w każdej chwili może stracić przytomność, słuchał, jak kroki napastnika oddalają się od niego. Potem rozległ się pisk zawiasów i trzask zamykanych drzwi.

Zapanowała cisza.

Köves odczekał jeszcze kilka sekund, żeby napastnik mógł dojść do końca korytarza, bo stamtąd na pewno by już nic nie usłyszał. Potem, nie mogąc czekać nawet chwili dłużej, wypuścił powietrze i zaczął łapać krótkie, życiodajne oddechy. Nieświeże powietrze w starej łazience smakowało jak dar niebios.

Powoli otworzył oczy. Najpierw, z braku tlenu, wszystko było jak za mgłą, potem jednak, gdy podniósł trzęsącą się głowę, ostrość widzenia wróciła. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczył ciemną postać stojącą tuż przy zamkniętych drzwiach.

Mężczyzna w czapeczce bejsbolowej szeroko się do niego uśmiechał.

Köves zamarł. „Więc on nadal tu jest!”

Zabójca w dwóch krokach podszedł do rabina, pochylił się, silną jak imadło dłonią złapał go za kark i przycisnął jego twarz z powrotem do kafelków podłogi.

– Potrafiłeś wstrzymać oddech, ale nie zdołałeś wstrzymać bicia serca – warknął mężczyzna, po czym się zaśmiał. – Ale nic się nie martw, zaraz ci w tym pomogę.

Chwilę później szyję Kövesa przeszył piekący ból, jakby ktoś wlał mu do ust roztopione żelazo, które z gardła przepływało zarazem do żołądka i w górę, pod samą czaszkę. Tym razem, gdy poczuł ucisk za mostkiem, wiedział, że atak jest prawdziwy.

Rabin Yehuda Köves, który znaczną część swojego życia poświęcił na zgłębienie tajemnicy *szamajim* – miejsca, gdzie do Boga dołączają po śmierci wszyscy sprawiedliwi – wiedział, że od znalezienia odpowiedzi na wszystkie najważniejsze pytania dzieli go tylko jedno uderzenie serca.

Rozdział 44

W przestronnej łazience odrzutowca G550 Ambra Vidal stała nad umywalką, pozwalając, by ciepła woda delikatnie obmywała jej dłonie, i patrząc na swoje odbicie w lustrze. Z trudem rozpoznawała w nim samą siebie.

„Co ja zrobiłam?”

Wypiła kolejny łyk wina, tęskniąc za swoim dawnym życiem, które skończyło się ledwie kilka miesięcy wcześniej – anonimowym, samotnym i poświęconym wyłącznie pracy w muzeum. To wszystko przeminęło z chwilą, gdy Julián się oświadczył.

„Nie” – skarciła się w myślach. „Tamto życie skończyło się wtedy, gdy jego oświadczyzny przyjął”.

Przerażenie wywołane morderstwem powoli ustępowało, jej umysł zaczynał więc z obawą analizować, jakimi konsekwencjami ten wieczór skończy się dla niej.

„To ja zaprosiłam zabójcę Edmonda do muzeum”.

„Wykorzystał mnie do tego ktoś z pałacu”.

„I teraz wiem za dużo”.

Nie miała żadnych dowodów na to, że za krwawym zamachem kryje się Julián. Nie była nawet pewna, czy wiedział o planowanym zabójstwie. Mimo to wystarczająco dobrze zdążyła już poznać funkcjonowanie dworu królewskiego, żeby podejrzewać, że coś takiego nie mogło się wydarzyć bez wiedzy księcia, jeśli nie bez jego błogosławieństwa.

„Za dużo powiedziałam Juliánowi”.

W ostatnich tygodniach Ambra czuła rosnącą potrzebę wytłumaczenia się zazdrosnemu narzeczonemu z każdej sekundy, którą spędzała bez niego, prywatnie powiedziała mu więc wszystko, co wiedziała o planowanej prezentacji Edmonda. Teraz się obawiała, że jej otwartość świadczyła o lekkomyślności.

Zakręciła wodę i osuszyła dłonie, po czym sięgnęła po kieliszek, żeby wysączyć z dna ostatnie krople. W lustrze przed sobą widziała obcą kobietę – kiedyś dostrzegłaby w nim pewną siebie profesjonalistkę, teraz w tafli szkła odbijała się osoba przepełniona wstydem i poczuciem winy.

„Tyle błędów w ciągu kilku krótkich miesięcy...”

Wędrując myślami wstecz, zastanawiała się, co mogłaby zrobić inaczej. Przed czterema miesiącami wzięła udział w zbiórce pieniędzy na rzecz Muzeum Narodowego Centrum Sztuki Królowej Zofii. Większość zaproszonych gości przeszła do sali numer 206.06, gdzie wystawiono najslawniejszy eksponat w zbiorach muzeum, *Guernicę* – ośmiometrowej niemal długości obraz olejny namalowany w hołdzie dla małego baskijskiego miasteczka zbombardowanego podczas hiszpańskiej wojny domowej.

Ambra jednak nie chciała go oglądać, ponieważ budził w niej zbyt bolesne skojarzenia z brutalnymi represjami reżimu Francisco Franco rządzącego Hiszpanią między tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym a tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym rokiem.

Udała się więc samotnie do małej galerii, by podziwiać twórczość jednej z ulubionych hiszpańskich artystek Maruji Mallo, surrealistki z Galicji, której sukces w latach trzydziestych ubiegłego wieku przyczynił się do rozbicia szklanego sufitu ograniczającego kobiety w hiszpańskim świecie sztuki.

Stała, podziwiając *La verbenę*, polityczną satyrę pełną złożonych symboli, gdy zza jej pleców odezwał się niski męski głos.

– *Es casi tan guapa como tú* – oznajmił. „Obraz jest prawie tak piękny jak ty”.

„Poważnie?” Ambra patrzyła przed siebie, opierając się pokusie, żeby przewrócić oczami. Na tego typu imprezach goście muzeów przypominali czasem klientelę, która wybrała się raczej do baru na podryw niż do centrum sztuki.

– *¿Qué cerees que significa?* – nie ustępował głos za plecami. „Co pani zdaniem symbolizuje?”

– Nie mam pojęcia – skłamała, mając nadzieję, że odpowiadając po angielsku, pozbędzie się mężczyzny. – Po prostu mi się podoba.

– Mnie także – odparł rozmówca niemal perfekcyjną angielszczyzną. – Mallo wyprzedziła swoje czasy. Niestety niewprawne oko poprzestanie na powierzchownym pięknie tego dzieła, nie widząc za nim głębszej treści. – Zrobił pauzę. – Wyobrażam sobie, że akurat pani styka się z tym problemem na co dzień.

Ambra jęknęła. „Takie teksty naprawdę działają na kobiety?” Przyklejając do twarzy uprzejmy uśmiech, odwróciła się, żeby grzecznie odprawić rozmówcę.

– To bardzo miłe, co pan mówi, ale...

Zamilkła w pół zdania.

Mężczyznę, który stał przed nią, przez całe życie oglądała na okładkach kolorowych czasopism.

– Och... – wyjąkała. – Jest pan...

– Arogancki? – dokończył za nią przystojny rozmówca. – Niezręczny i bezczelny?

Przepraszam, ale żyję pod kloszem i nie jestem zbyt dobry w nawiązywaniu znajomości.

– Uśmiechnął się, wyciągając dłoń.

– Mam na imię Julián.

– Chyba znam pańskie imię – odpowiedziała, z rumieńcem na twarzy ściskając dłoń księcia Juliána, przyszłego króla Hiszpanii. Był o wiele wyższy, niż sobie wyobrażała, miał delikatne oczy i pewny siebie uśmiech. – Nie spodziewałam się spotkać pana wśród dzisiejszych gości – dodała, szybko odzyskując panowanie nad sobą. – Przypuszczałabym raczej, że jest pan bywalcem Prado. To tam jest Goya, Velázquez...

cała klasyka.

– Oczekiwała pani, że jestem konserwatywny i staromodny? – Uśmiechnął się ciepło. –

Chyba pomyliła mnie pani z moim ojcem. Mallo i Miró lubiłem od zawsze.

Ambra rozmawiała z księciem przez kilka minut i była pod wrażeniem jego wiedzy o sztuce. Ale w końcu przecież dorastał w pałacu królewskim, którego zbiory należą do najlepszych w Hiszpanii. Pewnie w pokoju dzieciennym miał oryginał El Greca.

– Zdaję sobie sprawę, że to może zbytnia śmiałość z mojej strony, ale chciałbym zaprosić panią na przyjęcie – oznajmił, wręczając jej tłoczoną złotymi literami wizytówkę.

– Tu znajdzie pani numer bezpośrednio do mnie. Proszę dać mi znać.

– Przyjęcie? Przecież nie wie pan nawet, jak się nazywam.

– Ambra Vidal – odpowiedział rzeczowym tonem. – Ma pani trzydzieści dziewięć lat. Skończyła pani historię sztuki na Uniwersytecie w Salamance. Jest pani dyrektorem Muzeum Guggenheima w Bilbao. Ostatnio wypowiadała się pani na temat kontrowersji wokół Luisa Quilesa i podzielałam wyrażony przez panią pogląd, że jego prace są raczej drastycznym odzwierciedleniem potworności współczesnego życia, dlatego mogą być nieodpowiednie dla dzieci, choć niekoniecznie zgadzam się z pani tezą, że styl Quilesa przypomina styl Banksy’ego. Nigdy nie wyszła pani za mąż. Nie ma pani dzieci. I do twarzy pani w czerni.

Ambra poczuła, jak ze zdumienia opada jej szczęka.

– Coś podobnego! Czy ta strategia naprawdę działa?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział z uśmiechem. – Ale niebawem się to okaże.

Jakby na sygnał pojawiło się dwóch funkcjonariuszy Guardia Real, którzy odprowadzili księcia na spotkanie z jakimiś ważnymi osobistościami.

Ambra ścisnęła w dłoni wizytówkę, czując coś, czego nie doznała od lat: ekscytację i treść. „Książę właśnie zaprosił mnie na randkę?”

Ambra była tyczkowatą nastolatką i chłopcy, z którymi się umawiała na pierwsze randki, traktowali ją jak kumpla. Potem jednak, gdy rozkwitła jej piękność, Vidal nagle

zauważyła, że onieśmiela mężczyzn, którzy w jej obecności ze skrzepowaniem cedzą słowa, traktując ją ze zdecydowaną przesadzoną rewerencją. Teraz jednak podszedł do niej silny mężczyzna, który całkowicie przejął kontrolę nad sytuacją. Natychmiast odezwała się kobieca strona jej charakteru. I znów Ambra poczuła się młoda.

Następnego wieczoru kierowca zabrał Ambrę z hotelu i zawiózł do pałacu królewskiego, gdzie znalazła się w gronie dwóch tuzinów osób, które kojarzyła z rubryk towarzyskich albo z polityki. Usadzono ją przy stole obok księcia, który przedstawił ją jako swoją cudowną nową znajomą i sprawnie skierował rozmowę na tematy związane ze sztuką, żeby Ambra mogła swobodnie się w niej poruszać. Miała wrażenie, że uczestniczy w swoistej rozmowie kwalifikacyjnej, ale ze zdziwieniem stwierdziła, że wcale jej to nie przeszkadza. Wręcz odwrotnie, schlebiali jej to.

Pod koniec wieczoru Julián wziął ją na bok.

– Mam nadzieję, że dobrze się pani bawiła. Z przyjemnością znów się z panią zobaczę. Może być czwartek wieczorem?

– To bardzo miłe z pana strony, ale rano wracam do Bilbao – odpowiedziała.

– W takim razie spotkajmy się w Bilbao – nie ustępował. – Może kolacja w Etxanobe? Zna pani tę restaurację?

Ambra nie mogła powstrzymać śmiechu. Etxanobe należy do najbardziej obleganych restauracji w Bilbao i jest ulubionym miejscem miłośników sztuki, ponieważ umiejętnie łączy tradycyjny wystrój z awangardową dekoracją oraz oferuje potrawy o takich barwach, że goście czują się jak bohaterowie obrazów Marca Chagalla.

– To doskonałe miejsce na spotkanie – odpowiedziała, zanim zdążyła pomyśleć.

W Etxanobe, nad przepięknie podanym, smażonym w sumaku tuńczykiem i szparagami w sosie truflowym, zaczęli sobie mówić po imieniu. Julián się otworzył, opowiadając o politycznych wyzwaniach, które przed nim stoją, i o tym, jak próbuje wyjść z cienia swojego chorującego ojca. Wyznał też, że odczuwa coraz większą presję, gdyż jest ostatnim męskim potomkiem swojego rodu i ciąży na nim obowiązek przedłużenia królewskiej linii. Ambra dostrzegła w Juliánie niewinność i czystość odciętego od świata chłopca, ale też zadatki na przywódcę przesiąkniętego troską o przyszłość tego kraju. To połączenie wydało jej się wyjątkowo atrakcyjne.

Tamtego wieczoru, gdy gwardziści królewscy odwozili Juliána do prywatnego samolotu, Ambra wiedziała, że się w nim zadurzyła.

„Przecież go nie znasz” – napominała się. „Powoli!”

Kolejne miesiące upłynęły niczym chwila. Widywali się bez przerwy: kolacje w pałacu, pikniki na terenie jego prywatnej posiadłości, nawet popołudniowy seans w kinie. Znajomość rozwijała się w niewymuszony sposób i Ambra nigdy nie czuła się szczęśliwsza.

Julián był cudownie staromodny, często chwytał ją za rękę, czasem skradł pocałunek, nigdy jednak nie przekraczał konwencjonalnych granic, co Ambra bardzo w nim ceniła.

Słoneczny poranek trzy tygodnie temu zastał Ambrę w Madrycie, dokąd się wybrała, żeby w programie śniadaniowym telewizji RTVE opowiedzieć o wystawach, które zaplanowała w Muzeum Guggenheima. *Telediario matinal* ma wielomilionową widownię w całym kraju, Ambra trochę się więc obawiała wystąpienia na żywo, wiedziała jednak, że przyjmując propozycję udziału w tym programie, zapewni swojemu muzeum bezpłatną reklamę w całym kraju.

Poprzedni wieczór spędziła z Juliánem w Trattoria Malatesta na cudownej kolacji, po której poszli na dyskretny spacer do El Parque del Retiro. Ambra całkowicie się poddała urokowi chwili, obserwując przechadzające się rodziny i dziesiątki roześmianych, biegających wkoło dzieciaków.

– Lubisz dzieci? – zapytał Julián.

– Uwielbiam! – odpowiedziała szczerze. – Czasem mam wrażenie, że tylko dziecka brakuje mi w życiu.

Julián uśmiechnął się szeroko.

– Skąd ja znam to uczucie?

Miała wrażenie, że wypowiadając te słowa, spojrzał na nią inaczej niż zwykle i nagle sobie uświadomiła, dlaczego Julián zadał jej to pytanie. Poczuli strach, a głos w jej głowie krzychał: „Powiedz mu! Powiedz mu teraz! Natychmiast!”.

Próbowała się odezwać, ale ze ściśniętego gardła nie wydobył się nawet jeden dźwięk.

– Nic ci nie jest? – zapytał ze zmartwioną miną.

Ambra się uśmiechnęła.

– Nie, denerwuję się tylko tym jutrzejszym występem w *Telediario*.

– Niepotrzebnie. Na pewno świetnie wypadniesz!

Julián posłał jej szeroki uśmiech, po czym pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

Następnego ranka o siódmej trzydzieści Ambra znalazła się w studio telewizyjnym, gdzie zaskakująco swobodnie prowadziła rozmowę z trojgiem uroczych gospodarzy programu *Telediario matinal*. O planach swojego muzeum opowiadała z takim zaangażowaniem, że przestała zauważać kamery i siedzącą w studio publiczność. Ani przez chwilę nie pomyślała też o tym, że ogląda ją pięć milionów widzów w całym kraju.

– *Gracias, Ambra, y muy interesante* – powiedziała dziennikarka na koniec rozmowy. – *Un gran placer conocerte*.

Ambra podziękowała jej skinieniem głowy i czekała, aż wejście na żywo się zakończy.

Ale dziennikarka posłała jej przepraszający uśmiech, po czym kontynuowała program, zwracając się do publiczności w studio.

– Dzisiejszego ranka studio *Telediario matinal* zaszczycił wyjątkowy gość, powitajcie go państwo serdecznie.

Dziennikarze prowadzący program wstali. Gdy publiczność zobaczyła, o kim mowa, rozległy się gromkie brawa.

Także Ambra się podniosła, nie kryjąc zdumienia.

„Julián?”

Księżę pomachał publiczności, uściskiem dłoni przywitał troje gospodarzy programu, po czym podszedł prosto do niej, stanął obok i objął ją ramieniem.

– Mój ojciec zawsze był romantykiem – zaczął, patrząc prosto w oko kamery, żeby zwrócić się bezpośrednio do widzów. – Gdy zmarła moja matka, nigdy nie przestał jej kochać. Odziedziczyłem po nim ten romantyzm i głęboko wierzę, że gdy mężczyzna znajdzie swoją miłość, wie o tym od pierwszej chwili. – Spojrzał na Ambrę z ciepłym uśmiechem. – Dlatego właśnie...

Julián cofnął się o krok, zwracając się twarzą do niej. Stała jak sparaliżowana, nie dowierzając własnym oczom. „Nie! Juliánie, co ty wyprawiasz?”

W następnej chwili następca tronu padł na kolana.

– Ambro Vidal, klękę przed tobą nie jako księżę, lecz jako zakochany mężczyzna – oznajmił, patrząc na nią zamglonymi oczami. Wokół zebrali się kamerzyści, żeby zrobić zbliżenie jego twarzy. – Kocham cię. Czy zostaniesz moją żoną?

Publiczność i prowadzący program dziennikarze stłumili okrzyki radości. Dopiero teraz Ambra poczuła miliony oczu skupionych na sobie. Krew napłynęła jej do twarzy, a światło reflektorów studyjnych parzyło skórę. Patrzyła na Juliána z bijącym sercem, a przez głowę przebiegały jej tysiące myśli.

„ Jak mogłeś postawić mnie w takiej sytuacji? Dopiero się poznaliśmy! Są rzeczy, których ci o sobie nie powiedziałam, a te rzeczy mogłyby wszystko zmienić!”

Ambra nie miała pojęcia, jak długo stała ogarnięta niemą paniką, w końcu jednak jedna z dziennikarek prowadzących program zaśmiała się niepewnie i powiedziała:

– Zdaje się, że zdumienie wprowadziło naszą bohaterkę w trans. Pani Vidal?

Kłęczy przed panią przystojny księżę, który na oczach całego świata właśnie wyznał pani miłość.

Ambra szukała w myślach jakiegoś taktownego wyjścia z sytuacji, one jednak odpowiadały milczeniem. Wiedziała, że jest w pułapce. Te publiczne oświadczyzny mogły się zakończyć tylko w jeden sposób.

– Waham się, ponieważ wciąż nie mogę uwierzyć, że ta bajka ma szczęśliwe zakończenie – powiedziała, rozluźniając naprężone mięśnie i ciepło się uśmiechając do księcia. – Oczywiście, że zostanę twoją żoną, Juliánie.

Publiczność w studio przyjęła jej słowa głośnym aplauzem.

Julián wstał z klęczek i wziął Ambrę w ramiona. Gdy ją obejmował, zdała sobie sprawę, że nigdy przedtem ich uścisk nie trwał tak długo.

Dziesięć minut później obydwójce siedzieli w jego limuzynie.

– Widzę, że cię zaskoczyłem – powiedział Julián. – Przepraszam. Chciałem być romantyczny. Żywię do ciebie silne uczucie i...

– Juliánie! – przerwała mu z mocą. – Też dużo do ciebie czuję, ale postawiłeś mnie w wyjątkowo niezręcznej sytuacji! Nigdy bym nie przypuszczała, że tak szybko mi się oświadczysz! Przecież właściwie się nie znamy. Tyle rzeczy muszę ci jeszcze o sobie opowiedzieć, tyle faktów z mojej przeszłości!

– Żadne fakty z twojej przeszłości się dla mnie nie liczą.

– Akurat ten może się liczyć, i to nawet bardzo.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Kocham cię. Nic innego nie ma znaczenia. Chcesz, to sprawdź mnie.

Ambra uważnie spojrzała na mężczyznę u swego boku. „Chcesz? To masz!”

Z pewnością nie tak zaplanowałyby tę rozmowę, ale nie zostawił jej wyboru.

– Proszę bardzo, Juliánie. Jako mała dziewczynka przeszłam infekcję, która omal mnie nie zabiła.

– Tak?

Z każdym kolejnym słowem czuła narastającą pustkę.

– Skutkiem tej infekcji jest to, że moje marzenie o posiadaniu dzieci... No cóż, jest tylko marzeniem.

– Nie rozumiem.

– Juliánie – powiedziała beznamiętnie. – Ja nie mogę mieć dzieci. Przebyta w dzieciństwie choroba spowodowała bezpłodność. Zawsze chciałam zostać matką, ale nie mogę urodzić dziecka. Przykro mi. Wiem, jakie to ważne dla ciebie, ale prawda jest taka, że właśnie oświadczyłeś się kobiecie, która nie może ci dać potomka.

Julián zbladł.

Ambra spojrzała mu prosto w oczy. Pragnęła, żeby się odezwał. „Teraz powinienes mnie przytulić i powiedzieć, że wszystko jest dobrze. Powinienes mnie zapewnić, że to się nie liczy, że i tak mnie kochasz. Właśnie teraz, Juliánie!”

Wtedy się stało.

Julián odwrócił od niej wzrok.

I wiedziała, że to już koniec.

Rozdział 45

Dział bezpieczeństwa elektronicznego Gwardii Królewskiej mieści się w labiryncie pozbawionych okien pomieszczeń w podziemiach pałacu, celowo oddzielony od pałacowych koszar Gwardii i zbrojowni. Mózgiem tego działu jest centrum operacyjne z dwunastoma stacjami roboczymi, centralą telefoniczną i ścianą monitorów.

Ośmioosobowy personel, wszyscy poniżej trzydziestego piątego roku życia, odpowiada za bezpieczeństwo komunikacji pracowników pałacu królewskiego i gwardzistów oraz za monitoring całego gmachu.

Tego wieczoru jak co dzień w dusznym powietrzu piwnicznych pomieszczeń działu bezpieczeństwa elektronicznego unosił się zapach odgrzewanego w kuchence mikrofalowej makaronu i popcornu. Głośno buczały świetlówki.

„Że też kazałam urządzić sobie gabinet właśnie tutaj!” – pomyślała Martín.

Chociaż z formalnego punktu widzenia koordynacja public relations nie mieściła się w zakresie działań Gwardii Królewskiej, obowiązki Martín wymagały dostępu do wysokiej klasy komputerów i współpracy z obsługującym najnowsze technologie personelem. Właśnie dlatego dział bezpieczeństwa elektronicznego wydał jej się o wiele lepszym miejscem do pracy niż źle wyposażone pomieszczenia biurowe na górze.

„Zanosi się na to, że dzisiejszej nocy będę potrzebowała chyba wszystkich możliwych technologii” – pomyślała.

Przez ostatnie miesiące skupiała się przede wszystkim na utrzymaniu zgodnego z oficjalnym stanowiskiem pałacu przekazu medialnego w okresie stopniowego przejmowania władzy przez księcia Juliána. Nie było to łatwe. Zmiana na tronie dała przeciwnikom monarchii okazję do głośnych protestów.

Według hiszpańskiej konstytucji monarchia jest „symbolem jedności i trwałości”

Hiszpanii, ale Martín dobrze wiedziała, że od dłuższego czasu o jedności tego kraju nie może być mowy. W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym roku Druga Republika oznaczała koniec monarchii, a pucz przeprowadzony pięć lat później przez generała Franco pogroził kraj w wojnie domowej.

Po przywróceniu monarchii Hiszpanię przekształcono w demokrację liberalną, ale wielu liberałów nadal głośno twierdziło, że król jest tylko pozostałością opartej na ucisku, religijno-militarnej przeszłości, a jego jedyna funkcja to codzienne uświadamianie wszystkim obywatelom, że Hiszpania musi jeszcze przejść długą drogę, zanim dołączy do nowoczesnego świata.

Mónica Martín przez ostatni miesiąc dbała o tradycyjny przekaz, w którym król jest ukochanym symbolem, choć nie sprawuje realnej władzy. Nie było to oczywiście łatwe zadanie w sytuacji, gdy monarcha jest zwierzchnikiem sił zbrojnych i konstytucyjną głową państwa.

„Głowa państwa w kraju, gdzie praktycznie nie ma mowy o rozdziale Kościoła od państwa” – rozmyślała Martín. Bliska relacja umierającego króla z biskupem Valdespino zawsze była solą w oku liberałów i zwolenników laicyzacji.

„Jest jeszcze książę Julián”.

Martín wiedziała, że zawdzięcza mu pracę, ale ostatnio zrobił wiele, żeby jej tę pracę utrudnić. Kilka tygodni temu Don Julián popełnił największą wizerunkową gafę, z jaką Martín kiedykolwiek się zetknęła.

Przed kamerami publicznej telewizji padł na kolana, żeby poprosić o rękę Ambry Vidal. Koszmar byłby gorszy chyba tylko w jednej sytuacji: gdyby Ambra odrzuciła jego oświadczyzny, ale na szczęście kobieta miała dość rozsądku, żeby tego nie robić.

Niestety później Ambra Vidal okazała się bardziej niezależna i krnąbrna, niż Julián przewidywał, a efekt uboczny jej ponadprogramowych zajęć w muzeum stał się jednym z głównych problemów w codziennej pracy Martín.

Dziś wieczorem jednak lekkomyślne zachowania Ambry najwyraźniej popadły w zapomnienie. Fala działań medialnych wywołana wydarzeniami w Bilbao wezbrała do niespotykanej wielkości. W ciągu ostatniej godziny teorie spiskowe rozchodziły się po sieci jak wirus, a kilka z nich dotyczyło biskupa Valdespino.

Najważniejsza z jej punktu widzenia informacja ostatniej godziny dotyczyła zabójcy z Muzeum Guggenheima, który miał się dostać na organizowany przez Kirscha wieczór „na polecenie nieznanej osoby z pałacu królewskiego”. Ta obciążająca pałac wiadomość dała początek istnemu zalewowi teorii spiskowych oskarżających przykutego do łóżka króla i biskupa Valdespino o potajemne zlecenie morderstwa Edmonda Kirscha – wirtualnego półboga i ukochanego bohatera Ameryki, który postanowił się osiedlić w Hiszpanii.

„To zniszczy Valdespina” – myślała Martín.

– Wszyscy na stanowiska! – wrzeszczał Garza, wbiegając do centrum operacyjnego. – Książę Julián i biskup Valdespino są razem gdzieś na terenie budynku.

Sprawdźcie wszystkie kamery. Macie ich znaleźć! Natychmiast!

Komendant wszedł do pokoju Martín i dyskretnie przekazał jej, co zrobili książę i biskup.

– Zniknęli? – upewniała się z niedowierzaniem. – I zamknęli swoje telefony komórkowe w sejfie księcia?

Garza wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej po to, żebyśmy nie mogli ich namierzyć.

– Lepiej ich znajdziemy. Książę Julián musi natychmiast wydać oświadczenie dla mediów. Powinien też odciąć się od Valdespina na tyle wyraźnie, na ile tylko to możliwe – stwierdziła Martín, po czym zrelacjonowała dowódcy ostatnie wydarzenia.

Teraz Garza miał w oczach niedowierzanie.

– To wszystko pogłoski. Nie ma mowy, żeby Valdespino był zamieszany w morderstwo.

– Może i nie ma, ale zabójstwo jest jakoś powiązane z Kościołem katolickim. Ktoś właśnie ujawnił bezpośrednie związki między zabójcą a wysoko postawionym hierarchą.

Proszę spojrzeć. – Martín wyświetliła najnowsze doniesienie portalu ConspiracyNet, który znów powoływał się na informacje od monte@iglesia.org. – To pokazało się w sieci kilka minut temu.

Garza się pochylił i zaczął czytać.

– Papież? – wykrzyknął. – Ávila ma osobiste powiązania z...

– Proszę przeczytać do końca.

Komendant dotarł do ostatniego zdania, odsunął się od monitora i zamrugał powiekami, jakby chciał odpędzić resztki złego snu.

Nagle męski głos krzyknął z centrum operacyjnego.

– Panie komendancie! Namierzyłem ich.

Garza i Martín pobiegli do stanowiska Suresha Bhalli, który obsługiwał kamery monitorujące. Hindus z pochodzenia wskazywał na monitor swojego komputera, na którym widać było dwie postaci: jedna w zwiewnych liturgicznych szatach, a druga w garniturze. Szły aleją wysadzaną drzewami.

– Wschodni ogród – poinformował ich Suresh. – Dwie minuty temu.

– Wyszli z budynku? – wykrzyknął Garza.

– Proszę spojrzeć.

Suresh wyświetlał na monitorze obraz z różnych kamer na terenie kompleksu pałacowego, pokazując, jak obydwaj mężczyźni wychodzą z ogrodu i przecinają zamknięty dziedziniec.

– Dokąd oni idą?

Martín dobrze wiedziała dokąd i zauważyła, że Valdespino sprytnie wybrał okreśną

drogę, żeby ominąć wozy transmisyjne ustawione przed głównym wejściem do budynku.

Zgodnie z jej przewidywaniami Valdespino i Julián stanęli przed tylnym wejściem do katedry Almudeny. Biskup wyjął klucz, otworzył drzwi i wpuścił księcia Juliána do środka. Potem drzwi się za nimi zamknęły.

Garza milcząco wpatrywał się w ekran, wyraźnie próbując jakoś sobie wytłumaczyć to, co właśnie zobaczył.

– Informuj mnie na bieżąco – rzucił w końcu do Suresha i gestem odwołał Martín na stronę.

Gdy stanęli poza zasięgiem głosu, Garza szepnął:

– Nie mam pojęcia, jak biskup przekonał księcia Juliána, żeby razem z nim opuścił pałac, że o zostawieniu telefonu komórkowego nie wspomnę, ale jest oczywiste, że książę nie ma pojęcia o zarzutach przeciwko Valdespinowi. W innym wypadku wiedziałby, że nie może się z nim pokazywać.

– Zgadzam się – przytaknęła mu Martín. – Nie chcę spekulować na temat zamiarów biskupa, ale... – zawiesiła głos.

– Ale co? – naciskał Garza.

Martín westchnęła.

– To wygląda, jakby Valdespino właśnie wziął wyjątkowo cennego zakładnika.

Mniej więcej czterysta kilometrów dalej na północ, w atrium Muzeum Guggenheima, odezwał się służbowy telefon. Po raz szósty w ciągu ostatnich dwudziestu minut. Fonseca zerknął na wyświetlacz i widząc, kto dzwoni, omal nie stanął na baczność.

– ¿Sí? – odebrał z bijącym sercem.

Rozmówca się odezwał, dobitnie cedząc słowa.

– Fonseca, sytuacja jest taka, że przyszła królowa popełniła dziś wieczorem kilka potwornych błędów, dopuszczając do tego, że skojarzono ją z niewłaściwymi ludźmi, przez co postawiła pałac królewski w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Aby zapobiec dalszym szkodom, musisz jak najszybciej doprowadzić ją do pałacu.

– Obawiam się, że nie wiemy, gdzie w tej chwili znajduje się pani Vidal.

– Czterdzieści minut temu z Bilbao wystartował prywatny odrzutowiec Kirscha – odpowiedział głos w słuchawce. – Jestem przekonany, że na jego pokładzie znajdowała się pani Vidal.

– Skąd pan wie? – wypalił Fonseca i natychmiast pożałował tej bezczelności.

– Gdybyś robił to, co do ciebie należy, ty też byś wiedział – odpowiedział rozmówca ostro. – Obydwaj macie natychmiast ruszyć za nią do Barcelony. Samolot wojskowy właśnie tankuje na lotnisku w Bilbao.

„Do Barcelony?”

– Jeśli pani Vidal jest w tym samolocie, prawdopodobnie towarzyszy jej amerykański profesor Robert Langdon.

– Tak – w głosie rozmówcy brzmiała złość. – Nie mam pojęcia, jak ten człowiek przekonał panią Vidal, żeby zrezygnowała z ochrony i uciekła razem z nim, ale z całą pewnością to on ponosi za to odpowiedzialność. Masz jak najszybciej znaleźć panią Vidal i dowieźć ją do pałacu. Siłą, jeśli będzie trzeba.

– A jeśli Langdon będzie w tym przeszkadzał?

Zapadła głucha cisza.

– Rób, co się da, żeby ograniczyć straty, ale sprawa jest na tyle poważna, że profesor Langdon byłby uzasadnioną ofiarą twoich działań.

Rozdział 46



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

SPRAWA KIRSCHA TEMATEM NUMER JEDEN

WE WSZYSTKICH MEDIACH!

Wieczorne wystąpienie Edmonda Kirscha przyciągnęło zawrotną liczbę trzech milionów widzów w internecie. Jednak po zabójstwie, które przeszkodziło w ogłoszeniu zapowiadanych wyników badań, sprawa Kirscha jest relacjonowana na żywo we wszystkich sieciach telewizyjnych na świecie. Łączną liczbę widzów szacuje się teraz na osiemdziesiąt milionów.

Rozdział 47

Gdy odrzutowiec Kirscha zaczął schodzić do lądowania w Barcelonie, Robert Langdon dopijał drugi kubek kawy, patrząc na resztki kolacji zaimprovizowanej przez Ambrę z tego, co znalazła w pokładowej kuchni: orzechów, wafli ryżowych i zestawu wegańskich przekąsek, które zdaniem Langdona wszystkie smakowały dokładnie tak samo.

Po drugiej stronie stołu Ambra kończyła właśnie drugi kieliszek wina, które wyraźnie ją odprężyło.

– Dziękuję, że mnie wysłuchałeś – powiedziała lekko zmieszana. – Dotychczas z nikim nie rozmawiałam o Juliánie. Z oczywistych względów nie mogłam.

Langdon ze zrozumieniem skinął głową. Poznawszy historię o oświadczeniach na antenie telewizyjnej, teraz już wiedział, że nie miała wyboru. Nie mogła przecież zawstydzić przyszłego króla Hiszpanii na oczach milionów widzów.

– Gdybym przypuszczała, że oświadczy się tak prędko, powiedziałabym mu, że nie mogę mieć dzieci. Ale wszystko wydarzyło się bez ostrzeżenia. – Pokręciła głową, ze smutkiem patrząc w okno. – Myślałam, że jest mi bliski, ale teraz sama nie wiem. Może zaimponowało mi to, że...

– Jest wysokim, ciemnowłosym księciem z bajki? – dokończył za nią Langdon z szerokim uśmiechem.

Ambra uśmiechnęła się niepewnie.

– On naprawdę taki był. Nie wiem dlaczego, ale brałam go za dobrego człowieka.

Owszem, był trochę nie z tego świata, miał skłonność do romantyzmu, ale nigdy bym nie powiedziała, że mógłby maczać palce w zabójstwie Edmonda.

Langdon podejrzewał, że Ambra miała rację. Książę niewiele zyskiwał na śmierci Edmonda, nie było też żadnych dowodów potwierdzających jego udział w tym morderstwie, jeśli nie liczyć telefonu od kogoś z pałacu, kto w imieniu następcy tronu poprosił o dopisanie admirała Ávili do listy gości. Na tym etapie najbardziej oczywistym podejrzanym był arcybiskup Madrytu Valdespino, który o zamiarach Kirscha dowiedział się na tyle wcześnie, by wprowadzić w życie plan mający je pokrzyżować. Zdawał też sobie

sprawę, jak niszczące dla kościelnego autorytetu okaże się odkrycie Edmonda.

– Nie mam wątpliwości, że nie mogę poślubić Juliána – dodała Ambra cicho. – Ciągłe myślę, że zerwie zaręczyny, skoro się dowiedział, że nie mogę mieć dzieci. Jego rodzina zasiada na tronie Hiszpanii od czterystu lat i coś mi mówi, że dyrektorka muzeum z Bilbao nie może się stać powodem, dla którego ród królewski wygaśnie.

W głośniku nad ich głowami rozległ się trzask i piloci oznajmili, że pora się szykować do lądowania w Barcelonie.

Zasmucona rozmyślaniami o księciu Julianie Ambra wstała, żeby uprzątnąć kabinę.

Zmyła naczynia i wyrzuciła resztki jedzenia.

– Panie profesorze – odezwał się Winston z głośnika telefonu leżącego na stole. – Uznałem, że powinien pan się zapoznać z informacją, która zyskuje wielką popularność w internecie. Istnieją mianowicie dość mocne dowody na poufne kontakty między biskupem Valdespino a admirałem Ávilą.

Langdon przyjął tę wiadomość z niepokojem.

– Niestety jest jeszcze coś – dodał po chwili Winston. – Jak pan wie, w spotkaniu z Kirschem oprócz arcybiskupa Madrytu uczestniczyło dwóch innych duchownych, znany rabin i powszechnie szanowany imam. Wczoraj wieczorem imama znaleziono martwego na pustyni pod Dubajem. Dosłownie kilka minut temu dotarła niepokojąca wiadomość z Budapesztu. Rabina, tego właśnie, również znaleziono martwego.

Prawdopodobną przyczyną zgonu jest atak serca.

Langdon był zaszokowany.

– Internauci już spekulują, że zbieżność daty śmierci obydwu duchownych nie może być przypadkowa – dodał Winston.

Langdon z niedowierzaniem kiwał głową. Jakkolwiek to się stało, biskup Valdespino obecnie był jedyną żyjącą osobą, która wiedziała, co odkrył Kirsch.

Gdy gulfstream G550 dotknął jedyne pasa startowego na lotnisku Sabadell w pobliżu Barcelony, Ambra z ulgą zaobserwowała, że nigdzie nie widać paparazzich ani przedstawicieli mediów.

Edmond zawsze twierdził, że dla uniknięcia tłumów i rozgłosu na lotnisku El Prat, trzymał swój samolot właśnie tutaj.

Ambra wiedziała, że to nie mógł być prawdziwy powód tej decyzji. Edmond uwielbiał przecież rozgłos i w końcu jej się przyznał, że ląduje na Sabadell tylko dlatego, żeby móc potem przejechać się po krętych drogach do miasta swoim ulubionym sportowym samochodem, teslą X P90D, którą miał mu podarować w prezencie sam Elon Musk. Kiedyś ponoć Edmond proponował pilotom swojego odrzutowca wyścig po pasie

startowym na odcinku półtora kilometra, ale oni obliczyli swoje szanse i zakładu nie przyjęli.

„Będzie mi brakowało Edmonda” – pomyślała Ambra z żalem. Owszem, bywał zarozumiały i arogancki, ale jego błyskotliwy umysł zasługiwał na znacznie więcej niż to, co się z nim stało dziś wieczorem. „Mam tylko nadzieję, że zdołamy uczcić jego pamięć, pokazując światu tę prezentację”.

Samolot dokołował do jednomiejscowego hangaru Edmonda, pilot wyłączył silniki i Ambra była już pewna, że oprócz nich nikogo tam nie ma. Widocznie media jeszcze się nie dowiedziały o tym, że razem z profesorem Langdonem przylecieli do Barcelony.

Gdy schodziła po schodach, wciągała powietrze głęboko w płuca, próbując zebrać myśli. Drugi kieliszek wina zrobił swoje i zaczęła żałować, że go wypila. Na betonowej podłodze hangaru lekko się zachwiała i poczuła silne ramię Langdona, który ją podtrzymał.

– Dziękuję – powiedziała, uśmiechając się do profesora, który dzięki wypitej kawie znów miał rażną minę.

– Powinniśmy natychmiast stąd odjechać – stwierdził Langdon, zerkając na błyszczące czarne auto zaparkowane w rogu hangaru. – Zakładam, że to samochód, o którym wspominałaś?

Skinęła głową.

– Sekretna miłość Edmonda.

– Dziwna tablica rejestracyjna.

Ambra zachichotała, patrząc na samochód.

E-WAVE

– Edmond powiedział mi kiedyś, że Google i NASA wspólnie zainwestowały niedawno w przełomowy superkomputer o nazwie D-Wave, jeden z pierwszych na świecie komputerów kwantowych. Tłumaczył mi wtedy, na czym polega innowacyjność tej maszyny, ale było to raczej skomplikowane wyjaśnienie, coś o superpozycjach i mechanice kwantowej, dzięki którym powstała całkowicie nowa technologia. W każdym razie Edmond stwierdził, że chce skonstruować coś, co zostawi D-Wave daleko w tyle.

Tak właśnie planował nazwać swoje nowe urządzenie, E-Wave.

– E, jak Edmond – zgadywał Langdon.

„Ale też E jest literę dalej niż D” – pomyślała Ambra, przypominając sobie opowiadaną przez Edmonda historię sławnego superkomputera z filmu *2001: Odyseja kosmiczna*. Maszynę nazwano HAL, wybierając litery poprzedzające w alfabecie nazwę IBM.

– A kluczyki? – zapytał. – Mam nadzieję, że wiesz, gdzie Edmond je ukrył.

– W tym samochodzie nie ma kluczyka – stwierdziła Ambra, podnosząc kolorowy smartfon. – Edmond pokazał mi to w zeszłym miesiącu, gdy razem przylecieliśmy do

Barcelony. – Dotknęła ekranu, uruchomiła aplikację Tesla i wybrała komendę „przywołanie”.

Natychmiast w rogu hangaru obudziły się do życia reflektory i samochód, nie wydając żadnego dźwięku, ruszył, podjechał do nich, a następnie się zatrzymał.

Langdon patrzył podejrzliwie, nieco podenerwowany perspektywą korzystania z samochodu, który sam się prowadzi.

– Nie martw się – uspokoiła go Ambra. – Pozwolę ci prowadzić do mieszkania Edmonda.

Langdon skinął głową i ruszył do drzwi od strony kierowcy. Przechodząc przed maską, zatrzymał się, zerknął na tablicę rejestracyjną i wybuchnął śmiechem.

Ambra dobrze wiedziała, co go tak rozbawiło. Na ramce tablicy rejestracyjnej samochodu Edmonda widniał napis: „Geeki odziedziczą Ziemię”.

– Cały Edmond! – rzucił Langdon, siadając za kierownicą. – Subtelność nigdy nie była jego mocną stroną.

– Uwielbiał ten samochód – powiedziała Ambra, sadowiąc się na fotelu pasażera.

– Całkowicie elektryczny i szybszy od ferrari.

Langdon wzruszył ramionami, oglądając deskę rozdzielczą.

– Nigdy się nie ekscytowałem samochodami.

Ambra się uśmiechnęła.

– Za chwilę zaczniesz.

Rozdział 48

Gdy porwany przez Ávilę samochód pędził przez mrok, admirał usiłował sobie przypomnieć, ile razy podczas służby w marynarce zawijał do portu w Barcelonie.

Poprzednie życie, które zakończył ognisty błysk w Sewilli, wydawało mu się w tej chwili odległe. Przeznaczenie udowodniło, że jest okrutnym i nieprzewidywalnym panem, ale teraz jego zrządzania okazywały się zrównoważone, choć była to upiorna równowaga. Ten sam los, który rozerwał jego duszę w katedrze sewilskiej, dał mu drugie życie, pozwolił na nowo się narodzić w świętych ścianach innej katedry.

Jak na ironię, zabrał go tam prosty fizjoterapeuta imieniem Marco.

– Spotkanie z papieżem? – zapytał swojego rehabilitanta Ávila wiele miesięcy wcześniej, gdy Marco po raz pierwszy wspomniał o tej możliwości. – Jutro? W Rzymie?

– Jutro w Hiszpanii – odparł Marco. – Papież jest tutaj.

Ávila patrzył na niego jak na szaleńca.

– Media nie wspominały o wizycie Jego Świątobliwości w Hiszpanii.

– Odrobina zaufania, admirale – odpowiedział Marco ze śmiechem. – Chyba że ma pan na jutro inne plany.

Ávila spojrzał na zranioną nogę.

– W takim razie wyjeżdżamy o dziewiątej – zdecydował Marco. – Obiecuję, że nasza krótka wycieczka będzie mniej bolesna niż rehabilitacja.

Następnego ranka Ávila ubrał się w mundur przyniesiony z domu przez Marca, chwycił kule i pokuśtykał do sfatygowanego fiata, którym jeździł jego rehabilitant. Spod szpitala Marco skierował się na południe po Avenida de la Raza, by w końcu wyjechać z miasta południową nitką autostrady N-IV.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Ávila nagle zaniepokojony.

– Proszę się nie martwić – odparł Marco z uśmiechem. – Niech mi pan zaufa.

Podróż zajmie nie więcej niż pół godziny.

Ávila wiedział, że po tej stronie miasta wzdłuż autostrady N-IV przez co najmniej pięćdziesiąt kilometrów ciągną się spalone słońcem pola. Zaczynał żałować, że się na to

zgodził. Po półgodzinie dotarli do budzącego grozę wymarłego miasteczka El Torbiscal – niegdyś tętniącego życiem centrum rolniczego, którego populacja spadła do zera. „Dokąd on mnie zabiera?” Marco pruł naprzód jeszcze kilka minut, po czym zjechał z autostrady i skręcił na północ.

– Widzi ją pan? – zapytał, wskazując nad leżącą odłogiem ziemią.

Ale Ávila niczego nie dostrzegł. Albo młody rehabilitant miał halucynacje, albo oczy admirała zaczęły się starzeć.

– Czyż nie jest wspaniała? – zachwycił się Marco.

Mrużąc powieki, Ávila patrzył pod słońce i w końcu dostrzegł ciemny kształt górujący nad okolicą. Gdy podjechali bliżej, jego oczy otworzyły się szeroko się ze zdziwienia.

– Czy to katedra?

Tak okazałej świątyni spodziewałby się w Madrycie albo Paryżu. Ávila mieszkał w Sewilli od urodzenia, ale nie miał pojęcia, że tutaj, w szczerym polu, stoi olbrzymia katedra. Im bliżej podjeżdżali, tym bardziej imponujący stawał się kompleks świątynny otoczony potężnymi kamiennymi murami zapewniającymi bezpieczeństwo porównywalne chyba tylko z Watykanem.

Marco zjechał z głównej drogi i po kilku minutach znaleźli się przed katedrą. Droge zamknęła im wysoka żelazna brama. Gdy się zatrzymali, Marco wyjął ze schowka na rękawiczki laminowaną kartkę, którą umieścił na desce rozdzielczej.

Do auta podszedł wartownik, zerknął na plakietkę, po czym zajrzał do samochodu, szeroko się uśmiechając na widok Marca.

– *Bienvenidos* – przywitał go. – *¿Qué tal, Marco?*

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Marco przedstawił admirała Ávilę.

– *Ha venido a conocer al Papa* – powiedział. „Przyjechał się spotkać z papieżem”.

Wartownik skinął głową, podziwiając medale na mundurze Ávili, i gestem przepuścił ich dalej. Gdy olbrzymia brama stanęła otworem, Ávila miał wrażenie, że wjeżdża do średniowiecznego zamku.

Okazała bazylika, która odsłoniła się w pełnej krasie, miała osiem strzelistych wież z trójpoziomową dzwonnica na każdej. Trzon konstrukcji stanowiły trzy kopuły przykrywające ściany z ciemnobrązowego i białego kamienia, który nadawał świątyni zaskakująco nowoczesny wygląd.

Ávila opuścił wzrok. Droga dojazdowa rozdzieliła się na trzy równoległe pasy między szpalerami palm. Z zaskoczeniem zauważył, że wszędzie wokół świątyni parkują samochody. Setki luksusowych aut i zdezelowanych autobusów, a obok nich ubłocone skutery – chyba każdy możliwy środek transportu.

Marco ominął je wszystkie, kierując się prosto na plac przed świątynią, gdzie na ich

widok wartownik spojrział na zegarek i gestem wskazał puste miejsce, które ewidentnie czekało zarezerwowane dla nich.

– Jesteśmy trochę spóźnieni – powiedział Marco. – Powinniśmy się pośpieszyć.

Ávila już miał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

Zobaczył tablicę przed wejściem do kościoła.

IGLESIA CATÓLICA PALMARIANA

„Mój Boże!” – pomyślał Ávila z odrazą. „Słyszałem o tym kościele!”

Odwrócił się do Marca, próbując zapanować nad przyśpieszonym biciem serca.

– Więc to jest twój kościół, Marco? – zapytał, starając się ukryć zaniepokojenie w głosie.

– Jesteś... palmarianinem?

Marco się uśmiechnął.

– Wymawia pan to słowo, jakby to była jakaś choroba. Jestem gorliwym katolikiem, który uważa, że Rzym się pogubił.

Ávila znów podniósł wzrok na wieże kościoła. Dziwne słowa Marca o znajomości z papieżem nagle nabrały sensu. „Papież jest tutaj”.

Kilka lat temu telewizja Canal Sur wyemitowała film dokumentalny zatytułowany *La iglesia oscura*, którego celem było odsłonięcie kilku sekretów Kościoła palmariańskiego. Ávila dowiedział się wtedy o istnieniu tego dziwnego odłamu, ze zdumieniem odnotowując jego rosnące wpływy i liczbę wiernych.

Według tradycji Kościół palmariański powstał po tym, jak kilkoro tutejszych mieszkańców doznało wizji na okolicznych polach. Twierdzili, że objawiła im się Maryja Dziewica, która ostrzegła ich, że Kościół katolicki jest „przeżarty herezją modernizmu”, dlatego muszą chronić prawdziwą wiarę.

Maryja Dziewica nakłaniała palmarian, żeby założyli alternatywny Kościół i ogłosili światu, że papież w Rzymie jest fałszywy. Przekonanie, że rezydujący w Watykanie papież nie ma prawa do swojego urzędu, a tron Świętego Piotra stoi pusty, nazywamy sedewakantyzmem, a termin ten powstał od łacińskiego określenia *sede vacante*, czyli „pusty tron”.

Palmarianie twierdzili za to, że prawdziwym papieżem był ich założyciel Clemente Domínguez y Gómez, który przyjął imię Grzegorz XVII. Za pontyfikatu Grzegorza XVII, którego Watykan uznawał za antypapieża, Kościół palmariański powoli się rozwijał.

W dwa tysiące piątym roku Grzegorz XVII zmarł podczas odprawiania mszy wielkanocnej, co jego zwolennicy uznali za cudowny znak niebios, ogłaszając, że było to potwierdzenie bezpośredniej relacji zmarłego z Bogiem.

Teraz mury kościoła wydały się Ávili złowieszcze.

„Kimkolwiek jest ich nowy papież, nie mam ochoty się z nim spotykać”.

Roszczenia do papieskiego tronu nie były jedyną szokującą informacją na temat palmarian. Ich Kościół był oskarżany o pranie mózgów i zastraszanie wiernych, obciążano go nawet odpowiedzialnością za kilka tajemniczych zgonów, w tym za śmierć Bridget Crosbie, której nie udało się uciec od jednego ze zgromadzeń palmariańskich w Irlandii, a przynajmniej tak twierdzili adwokaci jej rodziny.

Ávila nie chciał być niegrzeczny wobec swojego nowego znajomego, ale nie tego się spodziewał po ich wspólnej wycieczce.

– Przykro mi, Marco, ale raczej tam nie pójde.

– Przeczuwałem, że pan tak powie – odparł chłopak zupełnie niezrażony. – Przyznaję, że zareagowałem tak samo, gdy przyjechałem tu pierwszy raz. Też słyszałem różne plotki i mroczne pogłoski, ale mogę pana zapewnić, że są one tylko częścią kampanii oszczerstw prowadzonej przez Watykan.

„Trudno się dziwić!” – pomyślał Ávila. „Twój Kościół uznał Watykan za nieważny”.

– Rzym potrzebował powodu, żeby nas ekskomunikować, więc sobie ten powód wymyślił. Od lat Watykan prowadzi kampanię dezinformacyjną na temat palmarian.

Ávila raz jeszcze spojrzał na wspaniałą katedrę wzniesioną w szczerym polu. Nagle wydała mu się dziwna.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział. – Skoro nie macie żadnych związków z Watykanem, to skąd bierzecie pieniądze?

Marco znów się uśmiechnął.

– Zdziwiłby się pan, ilu katolickich księży potajemnie wspiera palmarian.

W Hiszpanii jest dużo konserwatywnych parafii, które nie akceptują liberalnych zmian płynących z Rzymu. Wiele z nich po cichu finansuje Kościoły takie jak nasz, gdzie kultywowane są tradycyjne wartości.

Takiej odpowiedzi Ávila się nie spodziewał, ale zabrzmiała ona przekonująco. On też miał wrażenie narastającej schizmy w Kościele katolickim, rozłamu między tymi, którzy za wszelką cenę domagali się modernizacji, a zwolennikami tezy, że wobec zmieniającego się świata Kościół musi pozostać nieugięty.

– Obecny papież jest wyjątkowym człowiekiem – stwierdził Marco. – Opowiedziałem pańską historię, a on stwierdził, że byłby zaszczycony, mogąc przywitać tak zasłużonego oficera w naszym Kościele i spotkać się z panem po dzisiejszej mszy.

Podobnie jak jego poprzednicy miał wojskową przeszłość, zanim odnalazł drogę do Boga, dlatego rozumie, co pan teraz przeżywa. Naprawdę uważam, że jego słowa pomogą panu odnaleźć spokój.

Marco otworzył drzwi, chcąc wysiąść z samochodu, ale Ávila nie mógł się ruszyć.

Siedział tylko, wpatrując się w potężną budowlę. Pomyślał, że nie wolno mu kierować

się ślepym uprzedzeniem. Nic przecież nie wiedział o Kościele palmariańskim. Znał tylko pogłoski i plotki, ale w Watykanie też przecież nie brakowało skandali. Jego własny Kościół nie pomógł mu po tragedii, którą przeżył. „Wybacz swoim wrogom” – powiedziała mu zakonnica. „Nadstaw drugi policzek”.

– Niech pan posłucha, admirale – szepnął Marco. – Wiem, że użyłem podstępu, żeby pana tu przywieźć, ale kierowały mną dobre intencje... Chciałem, żeby pan poznał tego człowieka. Jego słowa całkowicie odmieniły moje życie. Gdy straciłem nogę, byłem w tym samym miejscu, w którym pan się teraz znajduje. Tonąłem w mroku, a dzięki słowom tego człowieka znów zobaczyłem w życiu cel. Niech pan wejdzie i posłucha.

Ávila nadal się wahał.

– Dziękuję za dobre chęci, Marco, ale poradzę sobie z tym sam.

– Poradzi pan sobie sam? – zaśmiał się chłopak. – Człowieku! Tydzień temu przystawiłeś sobie pistolet do głowy i pociągnąłeś za spust! Coś kiepsko ci idzie to radzenie sobie, przyjacielu.

„Ma rację” – pomyślał Ávila. „Za tydzień wypiszą mnie ze szpitala, wrócę do domu i znów zacznę dryfować”.

– Czego pan się boi? – naciskał Marco. – Jest pan admirałem. Dowodził pan flotą.

Lęka się pan, że podczas dziesięciminutowego kazania papież wypierze panu mózg i zrobi z pana swojego zakładnika?

„Nie wiem, czego się boję” – pomyślał Ávila, patrząc na zranioną łydkę. Nagle poczuł się dziwnie mały i bezradny. Przez większość życia to on dowodził, on odpowiadał za innych. Niełatwo mu przychodziło nagiąć się do cudzej woli.

– Uznajmy sprawę za niebyłą – powiedział w końcu Marco, ponownie zapinając pasy bezpieczeństwa. – Przepraszam. Widzę, że niezręcznie się pan czuje. Nie chcę na pana naciskać. – Sięgnął do stacyjki.

Ávila poczuł się jak głupiec. Marco był praktycznie dzieckiem, trzy razy młodszym od niego, bez nogi, próbował pomóc innemu inwalidzie, a on odpłaca mu niewdzięcznością, sceptycyzmem i poczuciem wyższości.

– Poczekaj – powiedział. – Przepraszam za swoje zachowanie, Marco. Będę zaszczycony, słuchając kazania tego człowieka.

Rozdział 49

Przednia szyba w tesli X Edmonda była olbrzymia. Stapiała się z panoramicznym dachem i kończyła gdzieś za plecami Langdona, który miał przez to wrażenie, że siedzi w szklanej bańce.

Prowadząc samochód po wiodącej przez lasy drodze na północ od Barcelony, Langdon z zaskoczeniem stwierdził, że sporo przekroczył dozwolony limit stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Cichy silnik elektryczny i liniowe przyspieszenie sprawiały, że przy każdej prędkości komfort jazdy był taki sam.

Siedząca obok niego Ambra, która zajęła się przeglądaniem internetu na dużym wyświetlaczu komputera pokładowego, od czasu do czasu informowała go o najnowszych wiadomościach na temat sprawy Edmonda, które publikowano już teraz na całym świecie.

Pojawiały się coraz to nowe teorie, w tym doniesienia, że biskup Valdespino potajemnie przekazywał fundusze antypapieżowi Kościoła palmariańskiego, który ponoć miał koneksje militarne w obozie konserwatywnych karlistów i mógł być odpowiedzialny nie tylko za śmierć Edmonda, lecz także za zabójstwo Syeda al-Fadla i rabina Yehudy Kövesa.

Z odczytywanych na głos przez Ambrę doniesień wynikało, że media na całym świecie zadawały sobie teraz to samo pytanie: co takiego odkrył Edmond Kirsch, że znany katolicki biskup i konserwatywna katolicka sekta postanowili go zamordować, żeby nie dopuścić do ujawnienia wyników jego badań?

– Liczba kliknięć jest niewyobrażalna – powiedziała Ambra, odrywając wzrok od ekranu. – Żadna inna sprawa nie wzbudziła takiego zainteresowania. Wygląda na to, że cały świat mówi tylko o tym.

W tym momencie Langdon zdał sobie sprawę z potwornej ironii makabrycznej śmierci Edmonda. Liczba osób, do których dociera informacja o jego odkryciu, przekracza jego najśmielsze oczekiwania. Po śmierci zyskał szerszą uwagę niż za życia.

Ta myśl sprawiła, że Langdon z jeszcze większą stanowczością postanowił osiągnąć postawiony sobie cel: odnaleźć czterdziestoczteroliterowe hasło Edmonda, żeby udostępnić

świata jego prezentację.

– Julián nie wydał dotąd żadnego oświadczenia – zdziwiła się Ambra. – Pałac nie wypowiedział się ani słowem. To dziwne. Osobiście poznałam nową koordynatorkę public relations Mónicę Martín, stąd wiem, że jest wielką zwolenniczką transparentności i ujawniania wszelkich informacji, zanim media zdążą je wypaczyć. Jestem pewna, że namawiała Juliána, żeby złożył oświadczenie.

Langdon namawiałby do tego samego. W sytuacji, gdy media oskarżają głównego doradcę religijnego pałacu o udział w spisku, a może nawet i morderstwie, księżę Julián powinien wygłosić jakieś oświadczenie, nawet gdyby miał tylko powiedzieć, że pałac bada stawiane biskupowi zarzuty.

– Tym bardziej że przyszła królowa małżonka stała obok Edmonda, gdy został zastrzelony – uzupełnił Langdon. – To równie dobrze mogłaś być ty, Ambro. Księżę powinien przynajmniej wyrazić zadowolenie z faktu, że nic ci się nie stało.

– Nie jestem pewna, czy ten fakt go ucieszył – stwierdziła rzeczowym tonem, zamykając przeglądarkę i rozsiadając się wygodnie w fotelu.

Langdon zerknął na nią.

– Ja w każdym razie cieszę się z tego powodu – powiedział. – Cokolwiek to warte.

Nie wiem, czy poradziłbym sobie sam.

– Sam? – w głośnikach samochodu rozległo się pytanie. – Jakże szybko zapominamy!

Langdon się zaśmiał, słysząc oburzenie w głosie Winstona.

– Drogi Winstonie, czy Edmond uwzględnił też w twoim oprogramowaniu słowne zaczepki i przewrażliwienie?

– Nie – opowiedział Winston. – Ale zaprogramowałam mnie tak, żebym obserwował ludzkie zachowanie, uczył się go, a następnie je naśladował. Mój ton był raczej próbą żartu, bo Edmond zawsze zachęcał mnie do żartów. Poczucia humoru nie da się zaprogramować. Trzeba się go nauczyć.

– Nieźle ci idzie.

– Mówi pan poważnie? Może pan to powtórzyć? – poprosił Winston.

Langdon wybuchnął śmiechem.

– Powtarzam. Nieźle ci idzie.

Ambra przestawiła deskę rozdzielczą na domyślny obraz, którym był program nawigacyjny pokazujący maleńki awatar samochodu na mapie satelitarnej okolicy, przez którą jechali. Langdon widział, że wzgórza Collserola mają już za sobą i właśnie wjeżdżają na drogę B-20, która zaprowadzi ich do Barcelony. Na południe od miejsca, w którym się znajdowali, Langdon zauważył coś dziwnego: duży lesisty obszar otoczony miejską zabudową. Zielony teren był podłużny i bezkształtny. Jak gigantyczna ameba.

– Czy to park Güell? – zapytał.

Ambra zerknęła na wyświetlacz i skinęła głową.

– Masz dobre oko.

– Edmond często się tam zatrzymywał po drodze z lotniska do domu – dorzucił Winston.

Langdon nie był tym zaskoczony. Park Güell był jednym z najlepiej znanych arcydzieł Antoniego Gaudiego – tego samego, którego wzór Edmond kazał wydrukować na etui swojego telefonu. „Gaudí pod wieloma względami przypominał Edmonda” – pomyślał Langdon. „Też był wielkim wizjonerem i też się dla niego nie liczyły żadne reguły”.

Gaudí uważnie studiował naturę i szukał w niej inspiracji dla swoich architektonicznych form. Obserwując „świat bożej natury”, tworzył płynne, biomorficzne struktury, które często wyglądają, jakby wyrastały prosto z ziemi. Nie wiadomo, czy rzeczywiście powiedział kiedyś, że w naturze nie ma linii prostych, ale z pewnością prawie ich nie ma w jego dziełach.

Opisywany często jako prekursor „żywej architektury” i „biologicznego designu”

Gaudí stosował pionierskie techniki stolarskie, kowalskie, szklarskie i ceramiczne, żeby przyoblec swoje budynki w olśniewająco kolorową skórę.

Nawet teraz, prawie sto lat po śmierci Gaudiego, turyści z całego świata podróżują do Barcelony, żeby na własne oczy zobaczyć jego niemożliwy do podrobienia modernistyczny styl. W dorobku architekta znalazły się parki, budynki publiczne, prywatne posiadłości i oczywiście jego *opus magnum* – Sagrada Família – górująca nad panoramą Barcelony potężna bazylika z wysokimi wieżami o strukturze morskiej gąbki, wychwalana przez krytyków jako dzieło „niepodobne do żadnego innego w całej historii sztuki”.

Langdon zawsze podziwiał śmiałość i rozmach wizji architektonicznej Sagrada Família, kościoła tak olbrzymiego, że jego konstrukcji nie udało się dokończyć do dzisiaj, choć upłynęło niemal sto czterdzieści lat od wbicia pierwszej łopaty.

Patrząc na satelitarne zdjęcie słynnego parku Güell, Langdon przypomniał sobie swoje pierwsze odwiedziny w tym miejscu. Jako młody student przechadzał się po fantastycznym świecie poskręcanych jak drzewa kolumn wspierających podwieszane chodniki, ławek o nieokreślonym kształcie, grot z fontannami wyglądającymi jak ryby lub smoki i falujących białych ścian pozornie tak niestabilnych, że wyglądały jak wić jakiegoś gigantycznego pierwotniaka.

– Edmond uwielbiał Gaudiego – kontynuował Winston. – Zwłaszcza jego koncepcję natury jako sztuki organicznej.

Langdon znów powędrował myślami do tajemnicy, którą Edmond zabrał ze sobą do grobu. „Natura. Stworzenie. Początek wszystkiego”. Przypomniał sobie słynne barcelońskie *panots* – sześciokątne płytki chodnikowe zamówione u Gaudiego, pokryte

pozornie przypadkowymi zawijasami, które jednak ułożone zgodnie z intencją twórcy tworzą zaskakujący wzór podmorskiego krajobrazu wypełnionego planktonem, mikroorganizmami i podwodną florą. *La sopa primordial*, jak często nazywają ten wzór miejscowi.

„Zupa pierwotna Gaudiego” – pomyślał Langdon, znów zaskoczony tym, jak idealnie Barcelona pasowała do pytania o początek życia, które sobie zadawał Edmond.

Większość naukowców podziela pogląd, że życie na ziemi zaczęło się właśnie w tak zwanej zupie pierwotnej, czyli we wczesnych ziemskich oceanach. Z wulkanów trafiały do wody związki chemiczne, które były w niej nieustannie bombardowane elektrycznością z wyładowań atmosferycznych podczas niekończących się burz, aż wreszcie powstał w tej pierwotnej mieszaninie jakiś mikroskopijny golem, pierwsza jednokomórkowa istota żywa.

– Ambro – odezwał się Langdon. – Jesteś dyrektorką muzeum, na pewno często rozmawiałaś z Edmondem o sztuce. Czy kiedyś ci wyjaśnił, dlaczego właśnie Gaudí tak go zafascynował?

– Nic ponad to, o czym wspomniał Winston – odpowiedziała. – Że jego architektura robi wrażenie stworzonej przez samą naturę. Groty Gaudiego są jakby wyrzeźbione przez deszcze i wiatr, jego kolumny zdają się wyrastać z ziemi, a płytki chodnikowe przypominają prymitywne stwory w morzu. – Wzruszyła ramionami. – Nie potrafię podać powodów, ale Edmond uwielbiał Gaudiego tak bardzo, że postanowił się przeprowadzić do Hiszpanii.

Langdon zerknął na nią zaskoczony. Wiedział, że Edmond ma domy w kilku krajach na całym świecie, a ostatnio przebywał właśnie w Hiszpanii. Nie miał jednak pojęcia, że właśnie z tego powodu.

– Mówisz, że Edmond przeprowadził się tutaj dla sztuki Gaudiego?

– Tak mi się wydaje – stwierdziła. – Kiedyś go zapytałam, dlaczego wybrał akurat Hiszpanię, i powiedział mi wtedy, że tylko tutaj mógł wynająć taką nieruchomość.

Zakładam, że miał na myśli swoje mieszkanie.

– A gdzie ono się mieści?

– Nigdy tam nie byłeś?

– Nie. Zazwyczaj widywałem się z nim w Stanach.

– Edmond mieszkał w Casa Milà.

– Myślimy o tym samym domu? – upewniał się Langdon.

– Tak, jest tylko jeden taki dom – odpowiedziała ze skinieniem głowy. – W zeszłym roku Edmond wynajął całe górne piętro i urządził tam sobie mieszkanie.

Langdon potrzebował chwili, żeby przyswoić tę wiadomość. Casa Milà to jeden z najsłynniejszych projektów Gaudiego – oszałamiająco oryginalna kamienica

z warstwową fasadą i falującymi balkonami, która wygląda jak wykuta w skale, przez co barcelończycy przezwali ją La Pedrera, czyli „kamieniołom”.

– Czy na ostatnim piętrze nie znajduje się muzeum? – zapytał Langdon, przypominając sobie, jak przed laty zwiedzał słynny budynek.

– Tak – odpowiedział mu Winston. – Ale Edmond wpłacił sporą darowiznę na konto UNESCO, a to właśnie oni opiekują się budynkiem, odkąd został wpisany na listę światowego dziedzictwa, zgodzili się więc czasowo zamknąć muzeum i udostępnić jego wnętrza Edmondowi. W końcu w Barcelonie sztuki Gaudiego nie brakuje.

„Edmond mieszkał na terenie poświęconej Gaudiemu wystawy w Casa Milà” – nie mógł uwierzyć Langdon. „Wprowadził się tam tylko na cztery lata?”

Winston znów się odezwał.

– Dzięki Edmondowi powstał też film edukacyjny na temat Casa Milà. Warto go obejrzeć.

– To prawda, film jest imponujący – potwierdziła Ambra, pochylając się do przodu, żeby dosięgnąć do ekranu. Gdy wyświetliła się na nim klawiatura, wystukała: „lapedrera.com”.

– Powinieneś to obejrzeć.

– Przecież prowadzę – powiedział Langdon.

Ambra sięgnęła do kolumny kierownicy i przełączyła niewielką dźwignię.

Langdon poczuł, że kierownica sztywnieje, i miał wrażenie, że samochód prowadzi się sam, pozostając idealnie pośrodku pasa ruchu.

– Autopilot – wyjaśniła.

To jednak nie uspokoiło Langdona, który nieufnie trzymał dłonie nad kierownicą i stopę nad pedałem hamulca.

– Nie trzeba – uspokoiła go, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Autopilot jest w tym samochodzie o wiele bezpieczniejszy od człowieka za kierownicą.

Z ociąganiem Langdon opuścił ręce.

– Doskonale! – uśmiechnęła się do niego. – Teraz możesz obejrzeć film o Casa Milà.

Najpierw zobaczył dramatycznie nisko zrobione ujęcie spienionego oceanu, jakby nakręcone z helikoptera unoszącego się ledwie kilkadziesiąt centymetrów nad powierzchnią wody. W oddali wznosiła się wyspa, której brzeg stanowiły kamienne klify górujące wysoko nad bałwanami rozbijających się o nie fal.

Na klifie pojawił się napis:

La Pedrery nie stworzył Gaudí.

Przez kolejne trzydzieści sekund Langdon obserwował, jak spienione kłęby wody rzeźbią skałę, nadając jej niepowtarzalny falisty kształt fasady Casa Milà. Potem ocean wdarł się do środka, tworząc kawerniste groty, a w nich wodospady wyrzeźbiły klatki

schodowe, na dnie których wyrosły winorośle przekształcające się powoli w poręcze żelaznych balustrad, za balustradami zaś mchy przeistoczyły się po chwili w podłogi.

W końcu kamera się cofnęła, ukazując na ekranie słynną fasadę Casa Milà, kamieniołomu wykutego w potężnej górze.

-La Pedrera-

cud natury

– głosił napis.

Langdon musiał przyznać, że Edmond doskonale wykorzystał swoje zamiłowanie do teatralnych chwytów. Obejrzawszy generowane komputerowo wideo, Langdon nabrał ochoty, żeby znów odwiedzić słynny barceloński budynek. Teraz jednak przeniósł wzrok na drogę i wyłączył automatyczne sterowanie, przejmując panowanie nad samochodem.

– Miejmy nadzieję, że w mieszkaniu Edmonda jest to, czego szukamy. Musimy znaleźć to hasło!

Rozdział 50

Komendant Diego Garza prowadził czterech swoich gwardzistów przez sam środek Plaza de la Armería, patrząc prosto przed siebie i zupełnie ignorując tłoczących się za ogrodzeniem dziennikarzy, którzy zza żelaznych prętów wycelowali w niego obiektywy kamer i wykrzykiwali prośby o komentarz.

„Przynajmniej zobaczą, że ktoś podejmuje jakieś działania”.

Razem ze swoimi ludźmi stanął przed głównym wejściem do katedry, która była już zamknięta, co o tej porze trudno uznać za zaskakujące, i zaczął się dobijać, uderzając w drzwi ręką w brzoju.

Żadnej reakcji.

Walił dalej.

Wreszcie zgrzytnął zamek i drzwi się otworzyły. Garza stanął twarzą w twarz ze sprzątaczką, którą naturalnie przeraził widok małej armii na progu.

– Gdzie jest arcybiskup Valdespino?

– Nie... nie mam pojęcia – wyjąkała kobieta.

– Wiem, że wszedł do katedry. Razem z nim był książę Julián. Widziała ich pani?

Kobieta pokręciła głową.

– Dopiero przyszedłem. W sobotę zaczynam sprzątać wieczorem, po zakończeniu...

Garza wkroczył do ciemnego wnętrza, odsuwając kobietę na bok.

– Proszę zamknąć za nami drzwi – polecił jej. – I nie wchodzić nam w drogę.

Odbezpieczył broń i udał się prosto do gabinetu Valdespina.

Po drugiej stronie placu, w centrum operacyjnym Mónica Martín stała przy dystrybutorze wody, zaciągając się dymem od dawna wyczekiwanego papierosa.

Wskutek przetaczającej się przez Hiszpanię nawałnicy poprawności politycznej palenie w miejscu pracy zostało zakazane, ale skoro pałac królewski i tak zalała dziś fala przestępstw, Martín uznała, że odrobina dymu zmuszająca jej współpracowników do biernego palenia na pewno nie zaszkodzi.

Na ekranach pięciu stojących przed nią ściszonych telewizorów prezenterzy pięciu stacji informacyjnych kontynuowali programy na żywo poświęcone sprawie Edmonda Kirscha, w tle pokazując zapętlone nagranie momentu jego śmierci. Każdy kolejny raz poprzedzony był oczywiście stosowaną w takich sytuacjach formułą:

UWAGA! Materiał zawiera drastyczne ujęcia, które przez niektórych widzów mogą zostać uznane za nieodpowiednie.

„Wstydu nie mają!” – pomyślała Martín, która dobrze wiedziała, że ostrzeżenie przed drastycznymi treściami nie jest dowodem wrażliwości dziennikarzy, lecz raczej sprytnym chwytem mającym zniechęcić widza do zmiany kanału.

Martín głęboko się zaciągnęła, analizując przekaz poszczególnych stacji.

Wszystkie zerowały na teoriach spiskowych, wypisując na belce hasło: „wiadomości z ostatniej chwili”.

PILNE! Futurysta zabity przez Kościół?

Naukowe odkrycie przepadło na zawsze?

Zabójca wynajęty przez rodzinę królewską?

„Waszym zadaniem jest informować, a nie powtarzać złośliwe plotki, dla niepoznaki dodając znak zapytania” – pomyślała Martín.

Martín zawsze uważała, że odpowiedzialne dziennikarstwo jest kamieniem węgielnym wolności i demokracji, dlatego z niezmiennie wielkim rozczarowaniem patrzyła na dziennikarzy, którzy dolewają oliwy do ognia, przekazując ewidentne idiotyzmy, a dla uniknięcia odpowiedzialności prawnej zamieniają każdą nedorzeczność w pytanie.

To samo robiły szanowane kanały naukowe, gdy na przykład pytały: czy to możliwe, że antyczną świątynię w Peru zbudowali przedstawiciele obcej cywilizacji?

„Nie!” – chciała zawsze wtedy krzyknąć Martín. „To nie jest możliwe, do cholery!

Przestańcie w końcu zadawać idiotyczne pytania!”

Na jednym z telewizorów przed sobą widziała, że przynajmniej CNN zachowuje resztki przyzwoitości.

Zginął Edmond Kirsch.

Prorok. Wizjoner. Twórca.

Martín sięgnęła po pilota i włączyła głos.

– ...człowiek, który kochał sztukę, technologię i innowacje – mówił prezenter ze smutkiem. – Człowiek, który wsławił się mistyczną niemal zdolnością przewidywania przyszłości. Jego koledzy twierdzą, że dosłownie każda prognoza Edmonda Kirscha dotycząca komputerów i informatyki się sprawdzała.

– Rzeczywiście tak było – przytaknęła współprowadząca. – Żałuję tylko, że nie możemy powiedzieć tego samego o jego przepowiedniach na własny temat.

Na ekranie pojawiło się archiwalne nagranie tryskającego zdrowiem, opalonego Edmonda Kirscha podczas konferencji prasowej przed budynkiem numer trzydzieści przy Rockefeller Plaza w Nowym Jorku.

– Dziś kończę trzydzieści lat – oznajmił Edmond. – Przewidywana długość życia w moim wypadku wynosi sześćdziesiąt osiem lat, ale wobec przyszłego wzrostu możliwości medycyny, technologii przedłużających życie i perspektywy regeneracji telomerów, przewiduję, że będę się świetnie bawił na swoich sto dziesiątych urodzinach, a mojej przepowiedni jestem tak bardzo pewien, że przed chwilą zarezerwowałem Salę Tęczową na przyjęcie, które planuję wydać z tej okazji. – Kirsch z uśmiechem zadarł głowę, żeby spojrzeć na szczyt budynku. – Właśnie zapłaciłem z góry całą kwotę za zorganizowanie uroczystości, która się tam odbędzie za osiemdziesiąt lat.

Dziennikarka współprowadząca program westchnęła ze smutkiem.

– Jak mówi stare powiedzenie: człowiek planuje, a Bóg z tego żartuje.

– Niestety to się sprawdza – podjął jej kolega. – Pytaniom o okoliczności śmierci Edmonda Kirscha towarzyszy dziś prawdziwa eksplozja domysłów na temat istoty odkrycia, którego ogłoszenie zapowiedział na dzisiejszy wieczór. – Spojrzał prosto w kamerę. – Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy? To dwa naprawdę intrygujące pytania.

– Odpowiedź na nie spróbujemy dać za chwilę wspólnie z naszymi gośćmi.

O rozmowę poprosiliśmy pastorkę Kościoła episkopalnego oraz biologkę ewolucyjną z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Wracamy po przerwie.

Martín nie musiała czekać do końca przerwy, żeby wiedzieć, jakie będą opinie obydwu pań. „Diametralnie przeciwstawne, bo inaczej byście ich nie zaprosili”. Nie miała wątpliwości, że przedstawicielka Kościoła powie coś w stylu: „Pochodzimy od Boga i do Boga zmierzamy”, a rzeczniczka nauki zapewni, że „ewoluowaliśmy od małp, a na końcu czeka nas wymarcie”.

„Niczego nie udowodnią. Uda im się tylko przyciągnąć publikę, która obejrzy wszystko, co jest zareklamowane dostatecznie dobitnie”.

– Mónica! – krzyknął gdzieś niedaleko Suresh.

Martín się odwróciła. Szef działu bezpieczeństwa elektronicznego stał zdyszany za rogiem.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Biskup Valdespino do mnie dzwonił – oznajmił zdyszany.

Ściszyła telewizor.

– Biskup dzwonił do ciebie? Powiedział ci może, co do cholery wyprawia?

Suresh pokręcił głową.

– Nie, a ja nie pytałem. Zadzwoił z prośbą o sprawdzenie listy połączeń.

– Nie rozumiem.

– No wiesz, chodziło mu o tę informację ConspiracyNet, że ktoś z pałacu dzwonił do Muzeum Guggenheima na krótko przed rozpoczęciem dzisiejszej imprezy z prośbą, żeby Ambra Vidal dopisała nazwisko Ávili do listy gości.

– Wiem. Prosiłam przecież, żebyś to sprawdził.

– No więc Valdespino poprosił o to samo. Dzwonił specjalnie po to, żebym przejrzał listę połączeń wykonywanych z pałacu i ustalił, z którego pomieszczenia wykonano ten telefon. Ma nadzieję dzięki temu ustalić, kto mógł to zrobić.

Martín poczuła się zdezorientowana. Przypuszczała, że telefonował sam Valdespino.

– Według informacji z Muzeum Guggenheima ich centrala telefoniczna odebrała połączenie z pałacu królewskiego w Madrycie niedługo przed rozpoczęciem imprezy.

Mają je w historii połączeń. No i właśnie tu jest problem. Przejrzałem wszystkie połączenia wychodzące z naszej centrali o tej porze. – Pokręcił głową. – Nic nie znalazłem. Ani jednego połączenia. Ktoś usunął z historii zapis o kontakcie z Guggenheimem.

Martín przyglądała się koledze przez długą chwilę.

– Kto ma dostęp do logów?

– O to właśnie zapytał mnie Valdespino. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że jako szef działu bezpieczeństwa elektronicznego mogłem ten wpis usunąć ja, ale tego nie zrobiłem. Oprócz mnie dostęp do tych danych ma jeszcze tylko jedna osoba, komendant Garza.

Martín patrzyła z niedowierzaniem.

– Podejrzewasz, że Garza majstrował przy historii połączeń?

– To miałoby sens – odpowiedział Suresh. – W końcu ma za zadanie chronić króla, a teraz, gdyby doszło do jakiegoś śledztwa, tego telefonu nigdy nie było. Technicznie rzecz biorąc, mamy wiarygodne zaprzeczenie. Uważam więc, że usunięcie wpisu jest krokiem w obronie reputacji pałacu.

– W obronie reputacji pałacu? – powtórzyła Martín z niedowierzaniem. – Przecież nie ma wątpliwości, że ten telefon wykonano właśnie stąd. To Ambra dopisała Ávilę do listy gości! A jeśli Muzeum Guggenheima zweryfikuje...

– To wszystko prawda, ale teraz mamy słowo młodej operatorki centrali telefonicznej w Muzeum Guggenheima przeciwko autorytetowi pałacu. A według naszych logów taki telefon nie miał miejsca.

Werdykt Suresha wydał się Martín przesadnie optymistyczny.

– Powiedziałeś to wszystko Valdespinowi?

– Bo taka jest prawda. Powiedziałem mu, że nie mam pojęcia, czy to Garza telefonował, ale wszystko wskazuje na to, że to on usunął zapis o tym połączeniu z historii połączeń w centrali telefonicznej w pałacu, chcąc chronić reputację rodziny królewskiej. – Suresh

zrobił pauzę. – Ale już po zakończeniu rozmowy z biskupem uświadomiłem sobie coś jeszcze.

– A mianowicie?

– Jest jeszcze trzecia osoba, która mogła to zrobić – Suresh rozejrzał się nerwowo dookoła i podszedł bliżej. – Księżę Julián ma pełny dostęp do wszystkich systemów.

Martín spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To śmieszne!

– Wiem, że brzmi idiotycznie, ale księżę był w pałacu i siedział sam w swoim apartamencie, gdy wykonywano ten telefon – odparł. – Oprogramowanie logów jest proste, a księżę radzi sobie z komputerem o wiele lepiej, niż można by przypuszczać.

– Suresh! – warknęła Martín. – Naprawdę sądzisz, że księżę Julián, przyszły król Hiszpanii, osobiście wysłał zabójcę do Muzeum Guggenheima, żeby się pozbyć Edmonda Kirscha?

– Nie wiem – odpowiedział. – Mówię tylko, że ma dostęp do logów.

– Po co miałby robić coś takiego?

– Akurat ty nie powinnaś zadawać tego pytania. Pamiętasz złą prasę, z którą musiałaś sobie poradzić, wyjaśniając, dlaczego Ambra i Edmond Kirsch spędzają razem tyle czasu? Pamiętasz, co pisano, gdy prywatnym odrzutowcem zabrał ją do Barcelony?

– Pracowali razem! Łączyły ich wyłącznie służbowe kontakty!

– Polityka to postrzeganie – stwierdził Suresh. – Sama mnie tego uczyłaś.

Obydwoje wiemy, że publiczne oświadczyzny księcia nie spotkały się z takim odbiorem, na jaki liczył.

Telefon Suresha pisnął. Gdy Hindus odczytywał wiadomość, na jego twarzy odmalowało się niedowierzenie.

– Co się dzieje? – zapytała Martín.

Bez słowa się odwrócił i pobiegł do centrum operacyjnego.

– Suresh! – krzyknęła za nim Martín, gasząc papierosa. Po chwili dołączyła do niego przy jednym z komputerów, na którym pracownik działu bezpieczeństwa elektronicznego odtwarzał niewyraźne nagranie kamery monitorującej.

– Co oglądamy? – zapytała Martín.

– Tylne wyjście z katedry – wyjaśnił chłopak. – Pięć minut temu.

Martín i Suresh pochylili się nad monitorem. Na nagraniu młody ksiądz wyszedł z katedry tylnymi drzwiami, pośpiesznie przebiegł kawałek po względnie spokojnej o tej porze Calle Mayor, otworzył starego zdezelowanego opla i wsiadł za kierownicę.

„Po mszy jedzie do domu” – pomyślała Martín. „I co z tego?”

Samochód na ekranie ruszył, przejechał kawałek, a potem się zatrzymał dziwnie blisko

drzwi katedry – tych samych, przez które chwilę temu wyszedł kierujący autem wikary. Niemal w tej samej chwili z kościoła wymknęły się dwie ciemne, pochylone postaci, które przez tylne drzwi wsiadły do starego opla. Niewątpliwie byli to arcybiskup Valdespino i książe Julián.

Potem auto pośpiesznie ruszyło i zniknęło z zasięgu obiektywu kamery.

Rozdział 51

Sterczące jak z grubsza ociosana skała u zbiegu Carrer de Provença i Passeig de Gràcia, pochodzące z tysiąc dziewięćset szóstego roku świadectwo geniuszu Gaudiego znane jako Casa Milà jest w połowie kamienicą, a w połowie ponadczasowym dziełem sztuki.

Konstrukcja, pomyślana przez artystę jako nieskończona krzywa dziewięciopoziomowa, jest natychmiast rozpoznawalna po falistej kamiennej fasadzie.

Wygięte balkony i nierówne płaszczyzny sprawiają, że bryła budynku wydaje się organiczna, jakby gwałtowne porywy wiatru przez tysiąclecia wyżłobiły w niej otwory i krzywizny niczym w pustynnym wąwozie.

Chociaż początkowo okoliczni mieszkańcy wstrzemięźliwie oceniali szokująco modernistyczny projekt Gaudiego, krytycy sztuki zgodnym chórem uznali budynek za arcydzieło i szybko stał się on jednym z najjaśniej błyszczących klejnotów architektonicznych Barcelony. Przez trzy dziesięciolecia w głównym apartamencie kamienicy rezydował z rodziną Pere Milà – przedsiębiorca, który zamówił projekt – a pozostałych dwadzieścia mieszkań wynajmował. Do dziś budynek pod numerem dziewięćdziesiątym drugim przy Passeig de Gràcia uznawany jest za jeden z najbardziej pożądanych adresów w całej Hiszpanii.

Gdy Robert Langdon prowadził auto Kirscha w małym o tej porze ruchu na wysadzonej drzewami alei, wiedział, że są coraz bliżej. Passeig de Gràcia to barcelońska wersja Pół Elizejskich – najszersza i najwspanialsza aleja, na której wszystko jest nieskazitelne, a sklepy najelegantsze.

Chanel... Gucci... Cartier... Longchamp...

Wreszcie Langdon zobaczył budynek Gaudiego dwieście metrów przed sobą.

Delikatnie oświetlona od dołu fasada z nierównym wapieniem i wydłużonymi balkonami natychmiast się wyróżniała spośród prostoliniowych budynków sąsiedztwa, jakby przepiękny koral wymyty z głębi mórz osiadł na brzegu między prostokątnymi kamieniami.

– Tego się bałam – powiedziała Ambra, wskazując w dół alei. – Spójrz!

Langdon opuścił wzrok na szeroki chodnik przed Casa Milà. Zaparkowało na nim co najmniej pół tuzina wozów transmisyjnych, nadających najświeższe relacje na tle rezydencji Kirscha. Kilku ochroniarzy trzymało tłum z dala od wejścia do budynku.

Najwidoczniej po śmierci Edmonda wszystko, co się z nim jakkolwiek wiązało, zostało uznane za materiał na dobry news.

Langdon rozejrzał się w poszukiwaniu miejsca, gdzie mógłby zaparkować przy Passeig de Gràcia, niczego jednak nie znalazł, powoli jechał więc za innymi samochodami.

– Schowaj się! – rzucił do Ambry, gdy był już pewien, że nie ma innego wyjścia, tylko przejechać obok miejsca, w którym wystawiali reporterzy.

Ambra zsunęła się z fotela i przycupnęła na podłodze, dzięki czemu była niewidoczna z zewnątrz, Langdon odwrócił głowę, gdy przejeżdżali obok rogu okupowanego przez media.

– Wygląda na to, że obstawiają główne wejście do budynku – stwierdził. – Nie ma mowy, żebyśmy się prześlizgnęli.

– Proszę skrócić w prawo – polecił Winston z nutką radosnej pewności siebie w głosie. – Przewidziałem, że tak właśnie będzie.

Blogger Héctor Marcano patrzył smutno na górne piętro Casa Milà, ciągle nie mogąc się pogodzić z myślą, że Edmond Kirsch nie żyje.

Od trzech lat Héctor pisał o technologii dla Barcinno.com, popularnej platformy internetowej przeznaczonej dla start-upów i firm w branży nowych technologii. Odkąd wielki Edmond Kirsch zamieszkał w Barcelonie, Héctor czuł się, jakby pracował u stóp samego Zeusa.

Jednak dopiero trochę ponad rok temu spotkał Kirscha po raz pierwszy, gdy legendarny futurysta przyjął zaproszenie na cykliczną imprezę organizowaną przez Barcinno.com. Co miesiąc właściciel jakiejś znanej w branży firmy otwarcie mówił o swoich największych niepowodzeniach, dlatego impreza nosiła nazwę Noc Fuck-Upów.

Kirsch z zakłopotaniem wyznał przed tłumnie zebraną publicznością, że w ciągu sześciu miesięcy utopił ponad czterysta milionów dolarów, chcąc spełnić swoje marzenie o skonstruowaniu maszyny o nazwie E-Wave, czyli komputera kwantowego, który przetwarzałby dane z prędkością umożliwiającą bezprecedensowy postęp we wszystkich dziedzinach nauki, zwłaszcza w jego ukochanym modelowaniu systemów.

– Wygląda na to, że owszem, odbiłem się do kwantowego skoku, ale lądując, wdepnąłem w gówno – powiedział.

Gdy Héctor się dowiedział, że dziś wieczorem Kirsch zamierza ogłosić jakieś przełomowe odkrycie, popadł w wielką ekscytację, uznał bowiem, że może to mieć związek

z pracami nad E-Wave. „Czyżby Kirschowi udało się w końcu skonstruować tę maszynę?” Słyszając jednak filozoficzny wstęp, Héctor doszedł do wniosku, że chodzi o coś zupełnie innego.

– E-Wave! – wykrzyknął ktoś w tłumie. – E-Wave!

Ludzie zebrani na chodniku zaczęli wskazywać palcami i kierować obiektywy na lśniąca czarną tesłę, która powoli podjeżdżała do budynku, świecąc halogenami tuż obok nich.

Héctor ze zdumieniem patrzył na znajomy samochód.

Tesla z napisem „E-Wave” na tablicy rejestracyjnej była w Barcelonie tak samo sławna jaka papamobile w Rzymie. Kirsch często zatrzymywał swoje auto przed sklepem jubilerskim DANIEL ViOR przy Carrer de Provença, gdzie wysiadał i najpierw rozdawał autografy, a potem budził zachwyt tłumu, gdy prezentował funkcję autoparkowania: pusty samochód po zaprogramowanej trasie pokonywał resztę drogi wzdłuż szerokiego chodnika, dzięki czujnikom omijając pieszych i przeszkody, stawał przed bramą, którą następnie otwierał, by po spiralnej pochylni powoli zjechać na prywatny parking pod Casa Milà.

Automatyczne parkowanie było fabryczną funkcją samochodów marki Tesla, które potrafiły otworzyć sobie bramę garażową, wjechać prosto na miejsce, a tam się wyłączyć, Edmond jednak zhakował oprogramowanie, uzupełniając standardową funkcję o bardziej skomplikowany wjazd do własnego garażu.

„Wszystko dla wizerunku!”

Dziś wieczorem spektakl był o wiele bardziej efektowny niż zwykle. Kirsch nie żył, a mimo to jego samochód właśnie się pojawił, powoli sunąc wzdłuż Carrer de Provença, po czym zrównał się z elegancką bramą, wjechał na chodnik i centymetr po centymetrze pokonywał drogę przez rozstępujący się tłum.

Reporterzy natychmiast rzucili się z mikrofonami i kamerami. Mrużąc oczy, zaglądali do środka przez mocno przyciemniane szyby.

„Samochód jest pusty!” – wykrzykiwali. „Nikt go nie prowadzi!” „Ktoś widział, skąd nadjechał?”

Ochroniarze Casa Milà nieraz już widzieli tę sztuczkę, spokojnie więc odsuwali ludzi od czarnego auta i bramy garażowej, która właśnie zaczęła się otwierać.

Widząc pusty samochód Edmonda powoli wjeżdżający na miejsce w garażu, Héctor pomyślał o psie, który wraca do domu pana po jego śmierci.

Niczym duch tesla bezgłośnie przekroczyła bramę, a tłum – jak tyle razy wcześniej – głośnym aplauzem pożegnał auto Edmonda Kirscha zjeżdżające po ślimaku do pierwszego w Barcelonie garażu podziemnego.

– Nie wiedziałam, że masz klaustrofobię – szepnęła Ambra, kuląc się obok Langdona na

podłódze samochodu. Wcisnęli się w małą przestrzeń między fotelami i przykryci pokrowcem samochodowym z czarnego winylu, który Ambra znalazła w bagażniku, byli niewidoczni zza przyciemnianych szyb.

– Przeżyję – wykrztusił Langdon niepewnym głosem, bardziej przejęty samoprowadzającym się samochodem niż swoją fobią. Czuł, że zjeżdżają po stromej spirali, i bał się, że lada moment z niej spadną.

Przed dwiema minutami przystanęli obok jakiegoś auta zaparkowanego na Carrer de Provença przed witryną sklepu DANiEL ViOR i Winston udzielił im jasnych instrukcji.

Nie wychodząc z samochodu, Ambra i Langdon przesiedli się na tylne fotele, po czym klikając ikonę na ekranie telefonu Edmonda, Ambra uruchomiła funkcję automatycznego parkowania.

Poczuł, że samochód powoli rusza. Langdonowi przyciśnięte do niego mocno ciało Ambry przywołało na myśl wspomnienie sprzed wielu lat, gdy jako nastolatek po raz pierwszy wylądował na tylnym siedzeniu auta z ładną dziewczyną. „Wtedy bardziej się denerwowałem” – pomyślał i natychmiast wydało mu się to ironiczne, bo przecież teraz leżał w samoprowadzającym się samochodzie przytulony do przyszłej królowej Hiszpanii.

Langdon poczuł, że samochód prostuje koła po opuszczeniu ślimaka, skręca jeszcze kilka razy, a potem zwalnia, by całkiem się zatrzymać.

– Jesteście na miejscu – poinformował Winston.

Ambra natychmiast odsunęła pokrowiec i powoli usiadła, niepewnie wyglądając przez okno.

– Czysto – oznajmiła, wysiadając z auta.

Langdon wygramolił się zaraz za nią, z ulgą stając na podłodze dużego garażu.

– Windy są w holu głównym – powiedziała Ambra, wskazując na kręty podjazd.

Wzrok Langdona przykuł jednak całkowicie niespodziewany widok. Tutaj, na podziemnym parkingu, na betonowej ścianie nad miejscem parkingowym Edmonda wisiał elegancko oprawiony obraz przedstawiający nadmorski krajobraz.

– Ambro? – zawołał Langdon. – Edmond powiesił obraz na ścianie tutaj?

W garażu?

Kobieta skinęła głową.

– Zadałam mu to samo pytanie. Odpowiedział, że mężczyznę musi witać w domu prawdziwa piękność.

Langdon zachichotał. „Kawalerskie życie!”

– Obraz wyszedł spod pędzla malarza, którego Edmond bardzo podziwiał – dopowiedział Winston. – Rozpoznaje go pan?

Langdon nie miał pojęcia, o kim mowa. Akwarela była zwykłą mariną. Owszem,

całkiem udaną, ale jakże odległą od awangardowego gustu Edmonda.

– To Churchill – powiedziała Ambra. – Edmond cytował go bez przerwy.

„Churchill”. Langdon potrzebował chwili, żeby sobie uświadomić, że chodzi o samego Winstona Churchilla, wybitnego brytyjskiego męża stanu, który był nie tylko bohaterem wojennym, historykiem, oratorem i laureatem literackiego Nobla, lecz także uzdolnionym malarzem. Langdon przypomniał sobie, że kiedyś Edmond zacytował najsłynniejszego brytyjskiego premiera, odpowiadając na czyjąś uwagę, że ludzie wierzący go nienawidzą: „Masz wrogów? Dobrze! To znaczy, że o coś w życiu walczyłeś”.

– Edmondowi najbardziej imponowała różnorodność talentów Churchilla – powiedział Winston. – Ludzie rzadko osiągają wielką biegłość w tak wielu różnych dziedzinach.

– Czy to dlatego nazwał cię Winstonem?

– Tak – odpowiedział komputer. – To wielki komplement w ustach Edmonda.

„Dobrze, że zapytałem” – pomyślał Langdon, który wyobrażał sobie, że imię Winstona jest aluzją do Watsona, superkomputera IBM, który wygrał teleturniej *Jeopardy!* dziesięć lat temu. Niewątpliwie na skali ewolucyjnej syntetycznej inteligencji Watson był odpowiednikiem prymitywnej jednokomórkowej bakterii.

– No dobrze – powiedział Langdon, wskazując w stronę wind. – Jedźmy na górę i spróbujmy znaleźć to, po co tu przyjechalśmy.

Dokładnie w tym samym momencie we wnętrzach madryckiej katedry Almudeny komendant Diego Garza przyciskał do ucha telefon, z niedowierzaniem słuchając najświeższych wiadomości, które przekazywała mu koordynatorka public relations Mónica Martín.

„Valdespino i ksiązę Julián opuścili kompleks pałacowy?”

Garza nie potrafił sobie wyobrazić, co ci dwaj planują.

„Jeżdżą po Madrycie samochodem jakiegoś księdza? To szaleństwo!”

– Możemy się dogadać z władzami miasta – zaproponowała Martín. – Suresh mówi, że namierzą tego opla przy użyciu kamer monitoringu miejskiego...

– Nie! – przerwał jej Garza. – Informowanie kogokolwiek o tym, że ksiązę znajduje się poza terenem pałacu bez ochrony, jest zbyt ryzykowne! Jego bezpieczeństwo jest dla nas najważniejsze.

– Rozumiem, panie komendancie – powiedziała Martín z wahaniem w głosie. – Jest jeszcze coś, o czym powinien pan wiedzieć. Chodzi o rejestr połączeń telefonicznych.

– Nie rozłączaj się – powiedział Garza, widząc zbliżający się patrol Gwardii Królewskiej. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu gwardziści ruszyli prosto do niego, otoczyli go i zanim zdążył zareagować, pozbawili go broni i telefonu komórkowego.

– Komendancie Garza, właśnie otrzymałem rozkaz: osadzić pana w areszcie – oznajmił z kamienną twarzą podległy mu dowódca zmiany.

Rozdział 52

Casa Milà ma kształt lemniskaty, czyli symbolu nieskończoności. Zapętlaająca się linia tworzy dwie falujące studnie, które biegną w głąb budynku. Każde z tych odkrytych podwórek ma prawie trzydzieści metrów wysokości i kształt spłaszczonej tuby, a z lotu ptaka obydwa wyglądają jak olbrzymie leje na dachu budynku.

Langdon stanął u podstawy węższej studni i zadarł głowę, żeby spojrzeć w niebo.

Widok był niepokojący, z ledwością bowiem mógł odeprzeć wrażenie, że tkwi w gardle jakiejś olbrzymiej bestii.

Nierówny kamienny dziedziniec opadał w jedną stronę. Spiralne schody wspinały się w górę szybu, osłaniane żelazną balustradą z otworami naśladującymi niesymetryczne pory gąbki morskiej. Przez poręcze przelewała się mała dżungla wiotkich winorośli i pikujących palm, jakby rośliny miały za chwilę porosnąć całą wolną przestrzeń.

„Żyjąca architektura” – pomyślał Langdon, podziwiając umiejętność, z jaką Gaudí przesycił swoje konstrukcje substancją biologiczną.

Langdon wędrował spojrzeniem coraz wyżej po falistych ścianach tego specyficznego wąwozu, na których brązowe i zielone kafle mieszały się ze stonowanymi freskami przedstawiającymi rośliny i kwiaty, zdającymi się piąć ku obłemu kawałkowi nieba nad szczytem szybu.

– Windy są tutaj – szepnęła Ambra, prowadząc go na skraj dziedzińca. – Apartament Edmonda znajduje się na samej górze.

Gdy weszli do niekomfortowo małej kabiny, Langdon przypomniał sobie poddasze, które widział wiele lat temu, zwiedzając małą wystawę poświęconą Gaudíemu. O ile pamiętał, był to kręty labirynt ciemnych pomieszczeń niemal całkiem pozbawionych okien.

– Edmond mógłby zamieszkać dosłownie wszędzie – powiedział, gdy winda zaczęła się wspinać. – Nadal nie mogę uwierzyć, że wynajął poddasze!

– To dziwne mieszkanie – zgodziła się Ambra. – Ale sam wiesz, że Edmond był ekscentrykiem.

Gdy winda wjechała na górę, wysiedli w eleganckim holu, z którego kręte schody

prowadziły jeszcze wyżej, do prywatnej części budynku.

– Tutaj – oznajmiła Ambra, wskazując na gładkie metalowe drzwi. Nie miały klamki ani żadnego otworu, w który można by wsunąć klucz. Futurystyczne wejście zupełnie nie pasowało stylem do tego budynku i z pewnością zamontował je tutaj Edmond.

– Wiesz, gdzie trzymał klucz? – zapytał Langdon.

Ambra podniosła telefon Edmonda.

– W tym samym miejscu, gdzie chował niemal wszystko inne.

Przytknęła telefon do metalowej powierzchni, rozległy się trzy krótkie piknięcia, po których usłyszeli odblokowujące się zasuwy. Ambra otworzyła drzwi.

– Proszę – powiedziała z uśmiechem. – Idź pierwszy.

Langdon przekroczył próg i znalazł się w słabo oświetlonym holu o ścianach i suficie z jasnej cegły. Podłoga była z kamienia, a powietrze jakby rozrzedzone.

Przeszedłszy kilka kroków w głąb holu, znalazł się przed wielkim obrazem, który wisiał na przeciwległej ścianie nienagannie oświetlony punktowymi reflektorami.

Langdon spojrzał na płótno i stanął jak wryty.

– Mój Boże, to oryginał?

Ambra się uśmiechnęła.

– Tak. W samolocie chciałam ci o nim powiedzieć, ale potem doszłam do wniosku, że lepiej niech cię zaskoczy.

Langdon zachwycony podszedł bliżej do olejnego arcydzieła. Obraz miał ponad trzy i pół metra długości i prawie półtora metra wysokości i wydał mu się o wiele większy niż na ścianie Muzeum Sztuki w Bostonie, gdzie widział go poprzednio. „Słyszałem, że kupił go anonimowy kolekcjoner, nie miałem jednak pojęcia, że był nim Edmond!”

– Gdy zobaczyłam go tutaj po raz pierwszy, nie mogłam uwierzyć, że Edmond lubi ten styl w sztuce – dodała Ambra. – Ale teraz już wiem, nad czym pracował przez ostatni rok i obraz nagle zaczął do niego pasować, choć to przerażające.

Langdon skinął głową, nadal nie dowierzając oczom.

To słynne dzieło zalicza się do sztandarowych obrazów francuskiego postimpresjonisty Paula Gauguina, wybitnego malarza, który uosabiał symbolistyczny nurt malarstwa schyłku dziewiętnastego wieku i przetań szlak twórcom sztuki współczesnej.

Stając przed obrazem, Langdon natychmiast zwrócił uwagę na podobieństwo między paletą Gauguina a barwami przy wejściu do Casa Milà – organiczne zielenie, brązy i błękity użyte do odwzorowania natury.

Chociaż płótno Gauguina przedstawia intrygujące zestawienie ludzi i zwierząt, wzrok Langdona natychmiast pobiegł w lewy górny róg, do jaskrawożółtej plamy, na której malarz umieścił tytuł swojego dzieła.

Langdon z niedowierzaniem odczytywał znane sobie słowa: *D'où Venons Nous, Que Sommes Nous, Où Allons Nous*. Myślał o tym, czy patrząc na te trzy pytania codziennie po powrocie do domu, Edmond zyskiwał inspirację.

Ambra dołączyła do Langdona, stając przed obrazem.

– Edmond mówił, że wchodząc do domu, chce czerpać z tych słów motywację.

„Trudno tego nie zauważyć” – pomyślał Langdon.

Widząc, jak bardzo eksponowane miejsce Edmond znalazł dla tego dzieła, Langdon zaczął się zastanawiać, czy może na samym obrazie nie ma wskazówki co do natury odkrycia Edmonda. Na pierwszy rzut oka podjęty przez malarza temat wydawał się o wiele zbyt prymitywny, żeby jakoś się wiązać ze współczesną teorią naukową. Szerokie, nierówne pociągnięcia pędzlem przedstawiały tahitańską dżunglę, a w niej lokalną ludność i zwierzyńnię.

Langdon dobrze znał ten obraz. O ile sobie przypominał, Gauguin napisał, że należy go odczytywać od prawej do lewej strony, a więc odwrotnie niż napisany po francusku tekst. Szybko więc przebiegł wzrokiem znajome postaci w zalecany przez twórcę sposób.

Na kamieniu najdalej po prawej spał noworodek przedstawiający początek życia.

„Skąd przychodzimy?”

Pośrodku grupa ludzi w różnym wieku zajmowała się codziennymi czynnościami.

„Kim jesteśmy?”

Po lewej stronie samotnie siedziała niedołężna staruszka pogrążona w myślach, jakby się zastanawiała nad własną śmiertelnością. „Dokąd zmierzamy?”

Langdon był zaskoczony, że nie pomyślał o tym obrazie, gdy Edmond zdradził mu ogólne zarysy swojego odkrycia. „Jaki jest nasz początek? Co jest nam przeznaczone?”

Profesor oglądał pozostałe elementy kompozycji – psy, koty i ptaki, które nie robiły niczego szczególnego, prymitywny posąg bogini w tle, górę, poskręcane korzenie i drzewa. I oczywiście słynnego gauguinowskiego dziwnego białego ptaka, który przysiadł obok starej kobiety i według artysty symbolizował zbędność pustych słów.

„Puste czy nie, słowa są przecież celem naszej wizyty tutaj” – pomyślał Langdon.

„Koniecznie zamykające się w czterdziestu czterech znakach”.

Przez chwilę się zastanawiał, czy niezwykle tytuł obrazu może bezpośrednio wiązać się z czterdziestoczteroliterowym hasłem, którego szukają, szybko jednak policzył, że ani we francuskim oryginale, ani w tłumaczeniu liczba znaków się nie zgadza.

– No dobrze, weźmy się do poszukiwania tej jednej jedynej linijki wiersza – powiedział z nadzieją w głosie.

– Biblioteka jest tutaj – wskazała Ambra na lewo i ruszyła szerokim korytarzem, w którym między eleganckimi meblami ustawione były artefakty związane z Gaudím.

„Więc jednak Edmond zamieszkał w muzeum!” Langdon nadal nie mógł w to uwierzyć.

Poddasze Casa Milà nie było najlepszym miejscem nadającym się na dom, jakie widział w swoim życiu. Zbudowane z kamienia i cegły wyglądało jak żebrowany tunel, pętla dwustu siedemdziesięciu parabolicznych łuków o różnej wysokości oddalonych od siebie mniej więcej o metr. Okien prawie nie było, a sterylne powietrze niewątpliwie przetwarzano, żeby chronić pamiątki po Gaudím.

– Dołączę do ciebie za chwilę – powiedział Langdon. – Najpierw muszę znaleźć łazienkę.

Ambra zmieszana wskazała na drzwi wejściowe.

– Edmond prosił, żebym korzystała z łazienki w holu przy schodach – oznajmiła. – Nie wiem dlaczego, ale nikogo nie wpuszczał do swojej prywatnej łazienki, która znajduje się w tym mieszkaniu.

– To kawalerskie mieszkanie, pewnie w łazience panuje nieprawdopodobny bałagan.

Ambra się uśmiechnęła.

– Znajdziesz ją tam – wskazała w kierunku przeciwnym do biblioteki, na ciemny tunel.

– Dziękuję. Zaraz wracam.

Ambra ruszyła w stronę gabinetu Edmonda, a Langdon poszedł w przeciwną, pokonując wąski korytarz z cegieł i łuków, który skojarzył mu się z podziemną grota albo średniowiecznymi katakumbami. Ostrożnie szedł po kamiennej podłodze oświetlanej słabymi lampami, które zamontowano u podstawy każdego łuku.

Przeszedł przez czytelnię, małą siłownię, a po niej spiżarnię, we wszystkich pomieszczeniach mijając gabloty z rysunkami Gaudiego oraz trójwymiarowymi modelami jego projektów.

Przy podświetlonej witrynie z eksponatami biologicznymi Langdon przystanął, zaskoczony jej zawartością: pod szkłem umieszczono skamielinę prehistorycznej ryby, równie starą muszlę łodzika i wijący się szkielet węża. Langdon pomyślał, że gablota jest zapewne pomysłem Edmonda, który chciał w ten sposób nawiązać do swoich badań nad początkami życia. Potem jednak zauważył notkę z informacją, że artefakty należały do Gaudiego i odzwierciedlały różne cechy architektoniczne tego budynku: rybie łuski dały inspirację, żeby pokryć ściany kafelkami, muszla głowonoga stała się wzorem dla spiralnej pochylni prowadzącej do garażu pod budynkiem, a setki ustawionych blisko siebie żeber w szkielecie węża dały inspirację do zaprojektowania korytarza, w którym ową gablotę ustawiono.

Obok eksponatów umieszczono skromne słowa słynnego architekta:

Nie wynaleziono niczego, ponieważ wszystko zostało najpierw wpisane w naturę.

Oryginalność polega na powrocie do źródeł1.

Antonio Gaudí

Langdon spojrzał w głąb krętego korytarza z widocznym żebrowaniem i znów się poczuł, jakby wszedł do wnętrza żyjącego stworzenia.

„Idealny dom dla Edmonda” – skonstatował. „Sztuka inspirowana nauką”.

Za pierwszym zakrętem serpentynowy tunel nagle się rozszerzał. W świetle uruchamianych przez czujniki ruchu lamp Langdon natychmiast zwrócił uwagę na szklaną witrynę pośrodku.

„Linia łańcuchowa” – rozpoznał od razu, ponieważ zawsze podziwiał te genialne prototypy Gaudiego. Catenaria, bo tak brzmi termin fachowy, jest krzywą, która przyjmuje kształt zwisającego swobodnie łańcucha zamocowanego na końcach, tworzy ją więc na przykład hamak albo jedwabna lina zawieszona między dwoma słupkami w teatrze czy muzeum.

W modelu, który Langdon miał przed oczami, dziesiątki łańcuchów przyczepiono do górnej krawędzi gabloty. Metal opadał gwałtownie, a następnie piał się do góry, tworząc szereg wiotkich liter U. Ponieważ naprężenie grawitacyjne jest odwrotnością kompresji grawitacyjnej, Gaudí mógł analizować kształty przyjmowane przez łańcuch obciążony swoją własną wagą, a następnie wykorzystywać te kształty do rozwiązywania problemów architektonicznych wywoływanych przez siłę grawitacji.

„Ale to wymagałoby magicznego lustra” – pomyślał Langdon, podchodząc do gabloty. Zgodnie z jego przewidywaniem na podłodze gabloty umieszczono lustro, w którym zobaczył magiczny efekt: odbite do góry nogami zapadające się pod własnym ciężarem łańcuchy zamieniały się w wysokie wieże.

Langdon zdał sobie sprawę, że w lustrze na dnie gabloty widzi zarys strzelistej Basílica de la Sagrada Família, której lekko spadziste wieże być może zostały zaprojektowane właśnie przy użyciu tego modelu.

Korytarz zaprowadził Langdona do sypialni, w której obok starego łóża z baldachimem stała szafa z drewna czereśniowego i inkrustowana komoda. Na ścianach wisiały szkice Gaudiego, które – co Langdon uświadomił sobie po chwili – były po prostu kolejną wystawą przygotowaną przez muzeum.

Jedynym elementem ewidentnie dodanym w tym pomieszczeniu był wielki cytat nad łóżkiem. Langdon przeczytał pierwsze trzy słowa i natychmiast rozpoznał słynną wypowiedź oraz jej autora.

Bóg umarł! Bóg nie żyje! Myśmy go zabili! Jakże się pocieszymy, mordercy nad mordercami?

Nietzsche

Gott ist tot to trzy najsłynniejsze słowa napisane przez Friedricha Nietzschego, wybitnego dziewiętnastowiecznego filozofa i ateistę, znanego z kąśliwej krytyki religii, ale

też z refleksji na temat nauki, zwłaszcza darwinowskiej teorii ewolucji, która jego zdaniem spychała ludzkość na granicę nihilizmu, wspierając przekonanie, że życie nie ma znaczenia, nie służy żadnym wyższym celom, a przede wszystkim nie dowodzi istnienia Boga.

Widząc ten cytat nad łóżkiem, Langdon doszedł do wniosku, że Edmonda, który tak wściekle walczył z religią, mogły czasem nachodzić wątpliwości, czy rzeczywiście powinien odebrać światu Boga.

Jeśli Langdon dobrze pamiętał, słynny cytat Nietzschego kończył się słowami: „Nie jestże wielkość tego czynu za wielka dla nas? Czyż nie musimy sami stać się bogami, by tylko zdawać się jego godnymi?”.

Odważna teza, że musimy sami stać się Bogiem, żeby zabić Boga, leżała u podstaw filozofii Nietzschego i Langdon zdał sobie teraz sprawę, że być może wyjaśniała kompleks Boga widoczny u tak wielu pionierskich geniuszów technologii, także u Edmonda. „Ci, którzy usuwają Boga, sami muszą stać się jego następcami”.

Snując te refleksje, Langdon coś sobie nagle uświadomił.

„Przecież Nietzsche był nie tylko filozofem, ale też poetą!”

Langdon miał na półce tom zatytułowany *Paw i bawół*, będący zbiorem dwustu siedemdziesięciu pięciu wierszy i aforyzmów niemieckiego filozofa na temat Boga, śmierci i umysłu ludzkiego.

Langdon policzył litery słynnego cytatu. Liczba się nie zgadzała, ale i tak poczuł przypływ nadziei. Czy Nietzsche mógł być poetą, którego szukają? Jeśli tak, czy w gabinecie Edmonda znajdą tomik jego wierszy z linijką mającą odpowiednią długość?

Nawet jeśli nie, Langdon mógł przecież poprosić Winstona o wyszukanie wierszy Nietzschego w sieci i sprawdzenie, czy któryś z nich zawiera wers o długości czterdziestu czterech liter.

Chcąc jak najszybciej podzielić się swoimi przemyśleniami z Ambrą, Langdon pośpiesznie przeszedł do drzwi, które dostrzegł w drugim końcu pomieszczenia.

Za nimi znalazł klasycznie urządzoną łazienkę z umywalką na porcelanowej nodze, wolno stojącą kabiną prysznicową i sedesem.

Jego wzrok przykuł jednak stary niski stolik zarzucony przyborami toaletowymi oraz osobistymi drobiazgami. Gdy zobaczył, co się wśród nich znajduje, zrobił głęboki wdech i aż się cofnął o krok.

„Mój Boże, Edmondzie, tylko nie to!”

Na blacie niewielkiego stolika leżała cała bateria zużytych strzykawek obok buteleczek po lekarstwach, rozsypanych tabletek i kawałka gazy ze śladami krwi.

Langdon stracił cały zapach.

„Edmond był narkomanem?”

Langdon wiedział, że uzależnienie od substancji odurzających jest w dzisiejszych czasach bardzo powszechne, nawet wśród sławnych i bogatych. Narkotyki zrobiły się tańsze od piwa, a przeciwbólowe opiaty łykano jak ibuprofen.

„Uzależnienie z pewnością tłumaczyłoby, dlaczego ostatnio tak schudł” – pomyślał Langdon. Edmond tylko udawał, że przeszedł na weganizm! Chciał w ten sposób ukryć prawdziwy powód drastycznej utraty wagi i zapadniętych oczu.

Langdon podszedł do stolika. Sięgnął po jedną z fiolek. Spodziewał się znaleźć na etykiecie nazwę któregoś z popularnych leków opioidowych, jak OxyContin czy Percocet.

Ale napis brzmiał: „ Docetaxel”.

Zaintrygowany sięgnął po kolejną buteleczkę. Gemcitabine.

„Co to za lekarstwa”? – zastanawiał się, sięgając po trzecią fiolkę: Fluorouracil.

Langdon zamarł. O fluorouracylu słyszał od kolegi na Harvardzie. Poczuł ogarniającą falę lęku. Chwilę później zauważył między lekarstwami broszurę. Tytuł nad tekstem głosił: *Czy dieta wegańska może spowolnić raka trzustki?*

Langdon poczuł, że opadła mu szczęka, gdy uświadomił sobie, jaka jest prawda.

Edmond nie był narkomanem.

Jego przyjaciel w tajemnicy walczył ze śmiertelnym nowotworem.

Rozdział 53

Ambra Vidal stała w łagodnym świetle gabinetu urządzonego w apartamencie na strychu słynnej kamienicy, przeglądając tytuły książek na regałach ustawionych pod ścianami.

„Kolekcja Edmonda jest większa, niż pamiętałam”.

Edmond zamienił znaczną część falistego korytarza na bibliotekę, umieszczając półki między pionowymi wspornikami łuków sklepienia. Zbiory były naprawdę okazałe i starannie rozmieszczone, co Ambra uznała za zaskakujące, ponieważ Edmond planował mieszkać w domu Gaudiego tylko przez dwa lata.

„Wygląda na to, że sprowadził się tutaj na dobre”.

Widząc, jak zapchane są regały, Ambra uświadomiła sobie, że odnalezienie ulubionego wersu Edmonda będzie znacznie bardziej czasochłonne, niż zakładali.

Idąc wzdłuż rzędów książek, przeglądała grzbiety, nie zauważyła jednak niczego oprócz naukowych opracowań z dziedziny kosmologii, psychologii i sztucznej inteligencji.

Zarys ogólny

Siły natury

Początki świadomości

Biologia wiary

Algorytmy inteligentne

Nasz ostatni wynalazek

Dotarła do końca regału i przeszła pod architektonicznym żebrem do następnego ciągu półek. Tutaj znalazła kolejne publikacje naukowe: termodynamika, chemiczna analiza pierwotnej atmosfery Ziemi, psychologia.

„Żadnej poezji”.

Zauważywszy, że Winston milczy już od dłuższego czasu, sięgnęła po telefon Kirscha.

– Winstonie, jesteś?

– Tak – odpowiedział głos z brytyjskim akcentem.

– Czy Edmond przeczytał wszystkie książki ze swojej biblioteki?

- Sądzę, że tak. Był żarłocznym konsumentem tekstów, a swoje książki nazywał „zbiorem trofeów wiedzy”.
- Czy znajdę wśród nich tomiki poezji?
- Znam tylko tytuły, które Edmond polecił mi przeczytać w formie e-booków, żeby później omawiać ze mną ich treść. Podejrzewam jednak, że było to raczej ćwiczenie dla mnie niż nauka dla niego. Niestety nie mam skatalogowanego całego jego księgozbioru, dlatego jedynym sposobem, który pozwoli wam znaleźć to, czego szukacie, jest przeglądanie tytułów na półkach.
- Rozumiem.
- Myślę, że w poszukiwaniach nie przeszkodzi najświeższa wiadomość prosto z Madrytu. Pomyślałem, że panią zainteresuje, ponieważ dotyczy księcia Juliána.
- Co się stało? – zapytała Ambra, zatrzymując się raptownie. Ewentualny udział Juliána w morderstwie nadal budził w niej wielkie emocje. „Nie ma żadnego dowodu!” – przypomniała sobie. „Nic nie potwierdza przypuszczenia, że to Julián polecił dopisać nazwisko Ávili do listy gości”.
- Właśnie podano, że przed pałacem w Madrycie zbiera się hałaśliwa demonstracja. Dowody zdają się potwierdzać, że zabójstwo Edmonda zostało zaaranżowane przez biskupa Valdespino, któremu prawdopodobnie pomagał ktoś z pałacu, może nawet sam następca tronu. Fani Kirscha rozpoczynają pikietę. Proszę spojrzeć.
- Na smartfonie Edmonda wyświetliła się gromada rozwścieczonych demonstrantów przed bramą pałacu królewskiego w Madrycie. Jeden z nich miał transparent z napisem: „Poncjusz Piłat zabił twojego proroka. Ty zabiłeś naszego!”.
- Inni trzymali nad głowami wypisane sprayem na prześcieradłach swoje hasło bojowe – pojedyncze słowo „apostazja” z symbolem, który na ulicach Madrytu coraz częściej pojawiał się w formie graffiti.



- Nawoływanie do apostazji stało się popularnym okrzykiem podczas wieców młodych hiszpańskich liberałów. „Wyrzeknij się Kościoła!”
- Czy Julián wydał już oświadczenie? – zapytała Ambra.
- To jeden z powodów demonstracji – odpowiedział Winston. – Ani słowem nie wypowiedział się ani Julián, ani biskup, ani nikt z pałacu. Teorie spiskowe szaleją,

a prasa zaczęła już spekulować na pani temat, zastanawiając się, gdzie pani jest i dlaczego także pani nie wypowiedziała się publicznie na temat tego kryzysu.

– Ja? – z przerażeniem zapytała Ambra.

– Była pani świadkiem morderstwa. Jest pani miłością życia księcia Juliána, przyszłą królową małżonką Hiszpanii. Ludzie chcą usłyszeć, że jest pani pewna niewinności swojego narzeczonego.

Przeczucie podpowiadało jej, że Julián nie mógł wiedzieć o przygotowaniach do zabójstwa Edmonda. Widywała się z nim często, miała okazję nieraz się przekonać, że jest delikatnym, czułym i szczerym człowiekiem. Owszem, czasem zachowywał się naiwnie, był niepoprawnym romantykiem, ale z całą pewnością nie mordercą!

– Podobne pytania zaczynają się pojawiać w odniesieniu do profesora Langdona – odpowiedział Winston. – Media zaczynają się zastanawiać, dlaczego profesor zniknął bez słowa komentarza, skoro odegrał tak ważną rolę w prezentacji Edmonda. Kilku blogerów zajmujących się teoriami spiskowymi zasugerowało, że to milczenie może świadczyć o związku profesora Langdona z zabójstwem Kirscha.

– To szaleństwo!

– Temat zyskuje popularność. Wskazuje się na fakt, że w przeszłości Langdon prowadził poszukiwania Świętego Graala oraz potomków Chrystusa. Tymczasem saliccy potomkowie Chrystusa są powiązani z karlistami, a tatuaż zabójcy...

– Dosyć! – przerwała mu Ambra. – To czyste bzdury!

– Jeszcze inni spekulują, że Langdon zniknął, ponieważ sam stał się celem morderców. Praktycznie każdy internauta zamienił się w fotelowego detektywa. Niemal cały świat zastanawia się teraz nad istotą odkrycia, którego ogłoszenie zapowiedział Edmond. Wszyscy szukają też odpowiedzi na pytanie, kto postanowił go uciszyć.

Ambra usłyszała odgłos kroków stawianych pośpiesznie na krętym korytarzu.

Odwróciła się akurat w chwili, gdy Langdon wyszedł zza rogu.

– Ambro! – W jego głosie usłyszała napięcie. – Wiedziałaś, że Edmond jest poważnie chory?

– Chory? – Spojrzała na Langdona z zaskoczeniem. – Nie.

Langdon powiedział jej, co znalazł w łazience, którą Edmond zarezerwował do prywatnego użytku.

Dla Ambry wiadomość była jak grom z jasnego nieba.

„Rak trzustki? Więc to dlatego Edmond był taki blady i wychudzony?”

Nawet słowem nie wspomniał jej o swojej chorobie. W innym świetle zobaczyła nagle jego maniackalny pęd do pracy w ostatnich miesiącach. „Wiedział, że kończy mu się czas”.

– Winstonie, wiedziałeś o chorobie Edmonda? – zapytała głośno.

– Tak – odpowiedział Winston bez wahania. – To była informacja, którą trzymał w ścisłej tajemnicy. Dowiedział się o chorobie dwadzieścia dwa miesiące temu, natychmiast zmienił sposób odżywiania się i zaczął intensywniej pracować.

Przeprowadził się też na ten strych, żeby oddychać uzdatnianym powietrzem i chronić się przed promieniowaniem słonecznym. Musiał przebywać w ciemności, ponieważ leki, które przyjmował, zwiększają fotowrażliwość. Dzięki temu udało mu się przeżyć znacznie dłużej, niż prognozowali lekarze. Ostatnio jednak zaczął przegrywać z chorobą.

Posługując się informacjami na temat raka trzustki, które znalazłem w bazach danych na całym świecie, przeprowadziłem analizę stanu zdrowia Edmonda, która doprowadziła do wniosku, że zostało mu dziewięć dni życia.

„Dziewięć dni!” – Ambra poczuła wyrzuty sumienia. Nie powinna była żartować z diety Edmonda i jego szaleńczego tempa pracy. „Był poważnie chory. Niezmordowanie ścigał się z chorobą, żeby zdążyć opublikować dzieło swojego życia, zanim jego czas się skończy”. Ten smutny wniosek tylko utwierdził Ambrę w przekonaniu, że muszą znaleźć ten wiersz i dokończyć to, co Edmond zaczął.

– Nie znalazłam jeszcze żadnej poezji – poinformowała Langdona. – Jak dotąd w bibliotece są tylko książki naukowe.

– Myślę, że poezja, której szukamy, mogła wyjść spod ręki Friedricha Nietzschego – odparł Langdon, po czym powiedział o cytacie wiszącym nad łóżkiem Edmonda. – Ten akurat fragment ma więcej niż czterdzieści cztery znaki, ale z całą pewnością sugeruje, że Edmond był wielbicielem Nietzschego.

– Winstonie, czy możesz odszukać w sieci dzieła zebrane Nietzschego i wybrać z nich czterdziestoczteroliterowe wersy? – poprosiła Ambra.

– Oczywiście – odpowiedział Winston. – Mam szukać niemieckich oryginałów czy przekładów na angielski?

– Zacznij od angielskiego – podrzucił Langdon. – Edmond zamierzał wpisać hasło do telefonu, a wirtualna klawiatura nie daje łatwego dostępu do umlautów czy eszettów.

Ambra skinęła głową. „Racja!”

– Mam wyniki – oznajmił Winston niemal natychmiast. – Znalazłem prawie trzy tysiące tłumaczeń wierszy Nietzschego na angielski, w których sto dziewięćdziesiąt dwa różne wersy zawierają czterdzieści cztery litery.

Langdon westchnął.

– Aż tyle?

– Winstonie, Edmond opisał swój ulubiony wers jako proroctwo – przypomniała Ambra. – Mówił, że to przepowiednia, która właśnie się sprawdza. Widzisz wśród tych wersów coś, co pasowałoby do tego opisu?

– Przykro mi, ale nie – odpowiedział Winston. – Nie znajduję tu niczego takiego.

Wszystkie wersy, które spełniają kryterium liczby znaków, są przerzutniami, treściowo stanowią więc część szerszego komunikatu. Czy mam je wyświetlić?

– Zbyt dużo tekstu – stwierdził Langdon. – Musimy odnaleźć książkę w wersji papierowej i mieć nadzieję, że Edmond w ten czy inny sposób zaznaczył swój ulubiony wers.

– W takim razie sugeruję pośpiech – doradził Winston. – Zdaje się, że wasza obecność tutaj nie jest już tajemnicą.

– Dlaczego tak uważasz?

– Lokalne wiadomości podają, że na barcelońskim lotnisku El Prat wylądował samolot wojskowy, który przywiózł dwóch żołnierzy Guardia Real.

Na przedmieściach Madrytu biskup Valdespino dziękował Bogu, że zdołał się wymknąć z pałacu, zanim zamknięto go w jego murach. Ściśnięty obok księcia Juliána na tylnym siedzeniu prowadzonego przez akolitę małego opla, miał nadzieję, że zakulisowe działania pozwolą mu odzyskać kontrolę nad wydarzeniami, które tej nocy nabrały zawrotnego tempa.

– La Casita del Príncipe – rzucił do młodego księdza, gdy opel odjeżdżał sprzed katedry.

Wiejska posiadłość rodziny królewskiej mieściła się na odludziu czterdzieści minut drogi od Madrytu. Dworek służył za prywatną rezydencję następców tronu Hiszpanii od połowy osiemnastego wieku. Z dala od ludzkich oczu książęta mogli się tu wyszumieć przed objęciem poważnych monarszych obowiązków. Valdespino przekonał Juliána, że będzie dla niego lepiej, jeśli dziś wieczorem zaszyje się właśnie tutaj, zamiast zostawać w pałacu.

„Tylko że nie zabieram Juliána do casity” – pomyślał biskup, zerkając na księcia, który pogrążony w myślach patrzył za okno.

Valdespino się zastanawiał, czy książę był aż taki naiwny, na jakiego wyglądał, czy może jak jego ojciec opanował umiejętność pokazywania świata tylko takiej twarzy, jaką sam chciał mu pokazać.

Rozdział 54

Kajdanki ciasno opinały nadgarstki Garzy.

„Oni nie żartują” – pomyślał komendant, nadal całkowicie zaskoczony postępowaniem podległych mu gwardzistów.

– Co się dzieje, do jasnej cholery? – zapytał po raz kolejny, gdy jego ludzie wyprowadzili go z katedry na plac.

Znów żadnej reakcji.

Gdy eskortujący go patrol ruszył w kierunku królewskiej rezydencji, Garza uświadomił sobie, że przed główną bramą tłoczą się wozy transmisyjne kilku telewizji oraz demonstranci.

– Przynajmniej poprowadźcie mnie tylnym wejściem – powiedział do dowódcy zmiany. – Oszczędźcie mi publicznego spektaklu.

Żołnierze zignorowali jego prośbę i szli przez sam środek placu. Po kilku sekundach przed bramą zrobiło się zamieszanie, a reflektory rozbłysły, kierując snop jaskrawego światła prosto na Garzę. Oślepiiony i wściekły zmusił się do zachowania spokojnej miny i trzymał głowę wysoko, gdy gwardziści przeprowadzali go kilka metrów od żelaznych prętów bramy, przed tłumem rozwrzeszczanych operatorów i reporterów.

Jeden przez drugiego rzucali pytania.

„Pod jakim zarzutem został pan aresztowany?”

„Co pan zrobił, panie komendancie?”

„Czy jest pan zamieszany w zabójstwo Edmonda Kirscha?”

Garza oczekiwał, że gwardziści przejdą przed bramą, nie zwracając uwagi na tłum gapiów, był więc zdumiony, gdy patrol raptownie się zatrzymał. Kątem oka Garza zauważył, że od strony pałacu szybkim krokiem nadchodzi znajoma postać w zakcie.

Była to Mónica Martín.

Garza oczekiwał, że zaskoczy ją sytuacja, w jakiej się znalazł.

Ale gdy Martín podeszła bliżej, w jej oczach dostrzegł nie zaskoczenie, lecz pogardę. Gwardziści siłą ustawili go twarzą do kamer.

Mónica Martín podniosła dłoń, żeby uciszyć tłum, po czym wyjęła z kieszeni kartkę, poprawiła okulary z grubymi szklami i przed kamerami odczytała oświadczenie.

– Pałac królewski niniejszym aresztuje komendanta Diega Garzę w związku z jego rolą w zamordowaniu Edmonda Kirscha oraz działaniami, które podjął, żeby sugerować udział arcybiskupa Valdespino w tym przestępstwie.

Zanim do Garzy dotarły słowa tego niedorzecznego oskarżenia, gwardziści prowadzili go już w stronę pałacu. Odchodząc, słyszał dalszą część komunikatu Martín.

– Odnosnie do naszej przyszłej królowej Ambry Vidal oraz amerykańskiego profesora Roberta Langdona mam państwu do przekazania raczej niepokojące wiadomości – kontynuowała Martín.

W podziemiach pałacu szef zabezpieczenia elektronicznego Suresh Bhalla stał przed ekranem telewizora, z uwagą oglądając zaimprovizowaną konferencję prasową Móniki Martín.

„Nie ma najszcześniejszej miny”.

Zaledwie kilka minut wcześniej Martín odebrała telefon, przeszła do swojego gabinetu i tam prowadziła rozmowę ściszym głosem, równocześnie coś notując.

Sześćdziesiąt sekund później wyszła z gabinetu wstrząśnięta, zabierając swoje notatki, i bez słowa udała się pod bramę pałacu, gdzie wygłosiła oświadczenie dla mediów.

Suresh nie miał pojęcia, czy jej komunikat zawierał prawdziwe informacje, ale jednego był pewien: osoba, która kazała jej wygłosić to oświadczenie, postawiła Roberta Langdona w poważnym niebezpieczeństwie.

„Kto wydał Mónice to polecenie?” – zastanawiał się Suresh.

Gdy próbował zrozumieć dziwne zachowanie szefowej public relations, jego komputer pisnął, sygnalizując nadchodzącą wiadomość. Suresh podszedł do urządzenia i zerknął do skrzynki mailowej, ze zdumieniem zauważając, kto do niego napisał.

monte@iglesia.org

„Informator!” – pomyślał.

Ta sama osoba przez cały wieczór przekazywała wiadomości portalowi ConspiracyNet. Teraz, z jakiegoś powodu, skontaktowała się z nim.

Niepewnie otworzył mail.

zhakowałem telefon Valdespina.

znalazłem mroczną tajemnicę.

pałac powinien przejrzeć jego esemesy.

natychmiast.

Zaalarmowany Suresh przeczytał wiadomość ponownie. Potem ją usunął.

Przez długą chwilę siedział w milczeniu, zastanawiając się, co powinien zrobić.

Podjąwszy decyzję, szybko wygenerował kartę zbliżeniową do zamków elektronicznych w apartamentach królewskich i niezauważony przez nikogo przemknął się na górę.

Rozdział 55

Z rosnącym zaniepokojeniem Langdon przebiegał wzrokiem po grzbietach książek ustawionych na półkach w holu apartamentu Edmonda.

„Poezja... gdzieś musi tu być poezja”.

Niespodziewane przybycie gwardzistów do Barcelony uruchomiło niebezpiecznie tykający zegar, ale mimo to Langdon był pewien, że wystarczy im czasu. Wiedział przecież, że gdy tylko zidentyfikują ulubiony wers, będą potrzebowali kilku sekund, żeby wprowadzić go do telefonu Edmonda, tym samym rozpoczynając transmisję prezentacji do sieci.

Langdon spojrzał na Ambrę, która po przeciwnej stronie korytarza, kilka metrów przed nim, kontynuowała poszukiwania po lewej stronie, podczas gdy Langdon przeczesywał prawą.

– Co tam u ciebie?

Ambra pokręciła głową.

– Jak dotąd tylko nauki ścisłe i filozofia. Ani śladu poezji. Ani śladu Nietzschego.

– Szukamy dalej – powiedział Langdon, wracając do książek po swojej stronie.

Przeglądał właśnie tytuły grubych tomów poświęconych historii: *Przywileje, prześladowania i przepowiednie: Kościół katolicki w Hiszpanii* oraz *Mieczem i krzyżem: historyczna ewolucja światowej monarchii katolickiej*.

Poświęcone tej samej tematyce tytuły przypomniały Langdonowi mroczną historię, którą wiele lat temu Edmond zareagował na jego uwagę, że obsesyjne zainteresowanie Hiszpanią i Kościołem jest dla ateisty raczej nietypowe.

– Moja matka była Hiszpanką i gnębioną poczuciem winy katoliczką – odparł wtedy Edmond.

Langdon pamiętał zaskoczenie, z jakim wysłuchał opowieści, która nastąpiła potem. Matka Edmonda, Paloma Calvo, pochodziła z prostej robotniczej rodziny w Kadyksie. Jako dwunastolatka zakochała się w nauczycielu akademickim, Michaelu Kirschu, który podczas rocznego urlopu naukowego prowadził badania w Hiszpanii, i zaszła

w ciążę. Wiedząc, jakiemu ostracyzmowi poddawane są samotne matki w katolickim kraju, Paloma przyjęła niezbyt entuzjastyczne oświadczyzny i propozycję wyjazdu do Chicago. Niedługo po tym, jak urodziła syna, ojciec chłopca wpadł pod samochód, wracając rowerem z uczelni do domu, i zmarł.

Castigo divino – zawyrokował jej ojciec. Kara boska.

Rodzice Palomy się nie zgodzili, by ich córka wróciła do domu, co przyniosłoby im wstyd. Co więcej, ostrzegli ją, że nigdy nie trafi do Królestwa Niebieskiego, jeśli reszty swojego życia nie poświęci Chrystusowi, oddając mu ciało i duszę.

Po śmierci męża Paloma pracowała jako pokojówka w motelu, próbując zarobić na utrzymanie syna i wychować go najlepiej, jak umiała. Nocami w nędznym mieszkaniu czytała Pismo Święte i modliła się o przebaczenie. Ich warunki życia ciągle jednak się pogarszały, kobieta uznała więc, że jej dotychczasowa pokuta Bogu nie wystarcza.

Zawstydzona i przerażona po pięciu latach uznała, że w imię odpowiedzialnego macierzyństwa powinna dać swojemu synowi nowe życie, bo tylko tak zdoła go uchronić przed bożym gniewem za jej własne grzechy. Umieściła więc pięciolatka w sierocińcu, a sama wróciła do Hiszpanii, gdzie wstąpiła do klasztoru.

Gdy Edmond skończył dziesięć lat, powiedziano mu, że matka powiesiła się w klasztorze. Nie wytrzymała cierpienia podczas postu, który sama sobie narzuciła jako pokutę, i popełniła samobójstwo.

– Nie jest to miła historia – powiedział wtedy Edmond. – Wszystkich tych szczegółów dowiedziałem się jeszcze jako uczeń, możesz więc sobie wyobrazić, że niewzruszony fanatyzm religijny matki w znacznym stopniu ukształtował moją odrazę wobec religii. Nazywam to trzecią zasadą dynamiki wychowania dziecka: każdemu szaleństwu towarzyszy szaleństwo o takiej samej sile skierowane przeciwnie.

Słuchając tej opowieści, Langdon zrozumiał, dlaczego Edmond miał w sobie tyle złości i goryczy, gdy jako student pierwszego roku zapisał się na jego zajęcia na Harvardzie. Langdona zastanowiło też to, że Edmond nigdy nie narzekał na ciężkie dzieciństwo. Przeciwnie! Twierdził, że miał szczęście, doświadczając trudności tak wcześnie, ponieważ dały mu one motywację, żeby osiągnąć dwa cele, które sobie postawił jako chłopiec: wyrwać się z biedy oraz ujawnić hipokryzję wierzeń religijnych, które w jego przekonaniu zabrały mu matkę.

„Do pełnego sukcesu w drugim punkcie trochę jeszcze brakuje” – pomyślał Langdon, wracając do przeszukiwania biblioteki.

Na kolejnej półce zauważył wiele tytułów, które znał, w większości dotyczących interesującego Edmonda przez całe życie problemu niebezpieczeństw wiążących się z religiami.

Bóg urojony

Bóg nie jest wielki

Przenośny ateista

List do chrześcijańskiego narodu

Koniec wiary

Boski wirus: jak religia infekuje nasze życie i kulturę

Przez ostatnią dekadę książki promujące racjonalizm i potępiające ślełą wiare pięły się w górę na listach bestsellerów. Langdon musiał przyznać, że odchodzenie od religii stało się faktem kulturowym nawet na Harvardzie. Niedawno „Washington Post”

zamieścił artykuł o „bezbożnym Harvardzie”, w którym donosił, że po raz pierwszy w trzystuosiemnastoletniej historii uczelni większość studentów pierwszego roku stanowili agnostycy i ateści, a nie katolicy i protestanci razem wzięci.

W całym świecie zachodnim powstawały organizacje antyreligijne, żeby demaskować to, co uznawały za zagrożenia wynikające z dogmatów religijnych, choćby Amerykańscy Ateści, Fundacja Wolność od Religii, Americanhumanist.org czy stowarzyszenie Atheist Alliance International.

Langdon nigdy nie traktował tych organizacji zbyt poważnie, dopóki Edmond nie powiedział mu o istnieniu ruchu społecznego The Brights, ogólnoswiatowej organizacji promującej naturalistyczny, czyli wolny od nadprzyrodzonych i mistycznych elementów punkt widzenia. Wśród członków tej organizacji znalazły się tak wybitne osobowości świata nauki jak Richard Dawkins, Margaret Downey i Daniel Dennett. Wyglądało więc na to, że armia nowych ateistów dysponowała naprawdę ciężkimi działami.

Langdon zauważył dzieła zarówno Dawkinsa, jak i Dennetta, gdy przed kilkoma minutami przeglądał regał, na którym Edmond zgromadził pozycje na temat ewolucji.

Klasyczna już książka Dawkinsa *Ślepy zegarmistrz* z wielką swadą atakuje chrześcijańską tezę, że istoty ludzkie, podobnie jak skomplikowany mechanizm zegara, mogą istnieć tylko dlatego, że ktoś je zaprojektował i stworzył. Także Dennett w *Niebezpiecznej myśli Darwina* dowodzi, że sama selekcja naturalna wystarczy, żeby wyjaśnić ewolucję życia, i nawet najbardziej skomplikowane mechanizmy biologiczne mogą istnieć bez nadprzyrodzonego projektanta.

„Bóg nie jest potrzebny do życia” – rozmyślał Langdon, przypominając sobie pierwszą część dzisiejszej prezentacji Edmonda. Znów odezwało się w jego myślach wypowiedziane przez Edmonda pytanie o to, skąd przychodzimy. „Czy to może być część odkrycia Edmonda? Czy zdołał udowodnić, że życie może istnieć samodzielnie, bez żadnego stwórcy?”

Takie stwierdzenie stało oczywiście w opozycji do wszystkich najważniejszych teorii

stworzenia świata, co tylko zwiększyło ciekawość Langdona, czy jego domysły są słuszne. Ale przecież jakakolwiek odpowiedź na to pytanie wydawała się nie do udowodnienia.

– Robercie? – zawołała Ambra.

Odwrócił się, żeby stwierdzić, że zakończyła przeszukiwanie półek po swojej stronie i kręciła tylko głową.

– Tu nie ma żadnej poezji. Same książki naukowe i reportaż – oznajmiła. – Pomogę ci szukać po tej stronie.

– Niestety jak dotąd tu jest to samo – powiedział.

Gdy Ambra przeszła na jego stronę, w głośniku telefonu Edmonda odezwał się głos Winstona.

– Pani Vidal?

Ambra sięgnęła po aparat.

– Musi pani coś natychmiast zobaczyć, profesor Langdon także – powiedział Winston. – Pałac wydał oświadczenie.

Langdon podszedł szybko do Ambry, stając blisko niej, żeby jak najlepiej widzieć mały ekran, na którym właśnie zaczął się wyświetlać film.

Rozpoznał plac przed pałacem królewskim w Madrycie, po którym umundurowanego mężczyznę w kajdankach prowadziło czterech gwardzistów królewskich. Potem odwrócili więźnia twarzą do kamery, żeby zawstydzić go przed całym światem.

– Garza? – wykrzyknęła zaskoczona Ambra. – Komendant Guardia Real został aresztowany?!

Kamera pokazała młodą kobietę w okularach z grubymi szklami, która wyjęła z kieszeni zakietu kartkę papieru i przygotowywała się do wygłoszenia oświadczenia.

– To Mónica Martín – powiedziała Ambra. – Koordynuje public relations. Co się tam dzieje?

Kobieta w okularach zaczęła odczytywać komunikat, wyraźnie wymawiając każde słowo. „Pałac królewski niniejszym aresztuje komendanta Diega Garzę w związku z jego rolą w zamordowaniu Edmonda Kirscha oraz działaniami, które podjął, żeby sugerować udział arcybiskupa Valdespino w tym przestępstwie”.

Langdon zauważył, że Ambra lekko się zachwiała, gdy Mónica Martín odczytywała dalszą część komunikatu.

„Oдноśnie do naszej przyszłej królowej Ambry Vidal oraz amerykańskiego profesora Roberta Langdona mam państwu do przekazania raczej niepokojące wiadomości” – głos kobiety brzmiał złowieszczo.

Langdon i Ambra wymienili zdumione spojrzenia.

„Pałac królewski właśnie otrzymał informację, że pani Vidal wbrew swojej woli została

wyprowadzona z gmachu Muzeum Guggenheima przez Roberta Langdona.

Guardia Real podjęła już odpowiednie działania we współpracy z władzami Barcelony, gdzie Robert Langdon najprawdopodobniej przetrzymuje panią Vidal jako zakładniczkę”.

Langdon nie mógł wydobyć z siebie głosu.

„W tej sytuacji, skoro mamy do czynienia z uprowadzeniem pani Vidal, prosimy wszystkich obywateli o przekazywanie policji wszelkich informacji, które mogą posiadać na temat miejsca pobytu Roberta Langdona i Ambry Vidal. Na razie pałac królewski nie ma dalszych komentarzy w tej sprawie”.

Reporterzy zaczęli się przekrzykiwać, próbując zadać pytanie, ale Martín odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę pałacu.

– To... to jakieś szaleństwo – wyjąkała Ambra. – Moi gwardziści widzieli, że opuszczam muzeum z własnej woli.

Langdon wpatrywał się w telefon, próbując zrozumieć to, co przed chwilą zobaczył. W głowie kołatały mu się dziesiątki pytań, ale jednego był całkowicie pewien.

„Znalazłem się w poważnym niebezpieczeństwie”.

Rozdział 56

– Przepraszam, Robercie – powiedziała Ambra, a jej ciemne oczy były wypełnione strachem i poczuciem winy. – Nie mam pojęcia, kto stoi za tym kłamstwem, ale ten ktoś ściągnął na ciebie potworne niebezpieczeństwo! – Przyszła królowa Hiszpanii sięgnęła po telefon Edmonda. – Zadzwoń do Móniki Martín.

– Proszę do niej nie dzwonić – odezwał się Winston. – Na to właśnie liczy pałac.

To podstęp. Próbuje wywabić panią z ukrycia, mając nadzieję, że podczas rozmowy zdradzi pani miejsce swojego pobytu. Proszę się zastanowić. Przecież gwardziści z ochrony wiedzą, że nie została pani porwana, a mimo to zgodzili się na rozpowszechnianie tej bredni i przylecieli do Barcelony, żeby panią ścigać. To oczywiste, że w sprawę zamieszany jest pałac. A skoro komendant Gwardii Królewskiej został aresztowany, to rozkazy wydał ktoś, kto stoi wyżej od niego.

Ambra wzięła płytki oddech.

– Czyli... Julián?

– Nie da się uniknąć tego wniosku – stwierdził Winston. – Księżę jest teraz jedynym człowiekiem w pałacu, który może aresztować komendanta Garzę.

Ambra zamknęła oczy na długą chwilę, a Langdon wyczuł, że zalewa ją fala smutku, jakby ten prawdopodobnie ostateczny dowód udziału Juliána w tej sprawie rozwał resztki nadziei na to, że jej narzeczony był tylko niewinnym świadkiem całego zamieszania.

– Chodzi o odkrycie Edmonda – powiedział Langdon. – Ktoś w pałacu wie, że próbujemy ujawnić niewyświeconą prezentację, i chce nas za wszelką cenę powstrzymać.

– Niewykluczone, że mocodawcy zabójcy sądzą, że sprawa zakończyła się wraz ze śmiercią Edmonda – dodał Winston. – Nie podejrzewali, że sytuacja wymknie im się spod kontroli.

Zapadła krępująca cisza.

– Ambro – odezwał się wreszcie Langdon. – Niewiele wiem o twoim narzeczonym, ale jestem niemal przekonany, że w tej sprawie doradza mu biskup Valdespino. Pamiętaj, że Edmond i Valdespino weszli w konflikt, zanim rozpoczęła się prezentacja w muzeum.

Skinęła głową, wciąż jednak była nieprzekonana.

– Tak czy owak, jesteś w niebezpieczeństwie.

W tym momencie w oddali rozległ się dźwięk syren radiowozów.

Langdon poczuł, jak przyśpiesza mu puls.

– Musimy znaleźć ten wiersz, i to natychmiast – stwierdził, wracając do przeglądania grzbietów książek. – Prezentacja Edmonda jest kluczem do naszego bezpieczeństwa. Jeśli ją upublicznimy, to ludzie, którzy próbują nam w tym przeszkodzić, będą wiedzieli, że jest za późno.

– To prawda – przytaknął Winston. – Ale służby nadal będą ścigać porywacza przyszłej królowej. Nie ma mowy o bezpieczeństwie, dopóki nie pokona pan pałacu jego własną bronią.

– Czyli jak? – zapytała Ambra.

Winston kontynuował bez wahania.

– Pałac wykorzystał przeciwko wam media, ale każdy kij ma dwa końce, prawda?

Winston przedstawił im pewien pomysł i Langdon musiał przyznać, że realizacja tego planu wprowadzi spore zamieszanie wśród tych, którzy ich ścigają.

– Zrobię to – zdecydowała Ambra.

– Jesteś pewna? – dopytywał się Langdon z troską w głosie. – Potem nie będziesz już miała odwrotu.

– Robercie – odparła. – To ja cię w to wciągnęłam. Przeze mnie znalazłeś się w niebezpieczeństwie. Pałac ma użyć mediów jako broni przeciwko nam, więc ja tę broń wykorzystam przeciwko niemu.

– I słusznie – pochwalił ją Winston. – Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Langdon dopiero po chwili to sobie uświadomił. „Komputer Edmonda właśnie sparafrazował Biblię? Czy może odwoływał się do wcześniejszego Ajschylosa?” Po chwili przyszło mu do głowy, że być może trafniej byłoby zacytować Nietzschego: „Kto walczy z potworami, niechaj baczy, by sam się przy tym potworem nie stał”.

Zanim Langdon zdążył zaprotestować, Ambra zaczęła się od niego oddalać z telefonem Edmonda w ręku.

– Znajdź to hasło, Robercie! – krzyknęła przez ramię. – Zaraz wracam.

Langdon patrzył, jak znika w wąskiej wieżycze kryjącej spiralne schody na wyjątkowo niebezpieczny dach budynku Gaudiego.

– Tylko bądź ostrożna! – krzyknął za nią.

Langdon został teraz sam w krętym żebrowanym korytarzu i próbował ogarnąć myślami wszystko, co dotychczas odkrył w mieszkaniu Edmonda: gabloty z niezwyklejmi eksponatami, oprawiony w ramy cytat oznajmiający śmierć Boga i bezcenny Gauguin, na

którym malarz zapisał te same pytania, które Edmond zadał światu, zanim zginął. Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy?

Nie znalazł jeszcze niczego, co sugerowałoby, jakiej odpowiedzi na nie udzielił jego przyjaciel. Dotychczasowe poszukiwania na półkach z książkami przyniosły tylko jeden tom, który mógł się wiązać z pierwszym pytaniem. Książka *Niewyjaśniona sztuka* zawierała fotografie tajemniczych obiektów wykonanych przez człowieka w przeszłości i opisywała między innymi kromlechy Stonehenge, głowy na Wyspie Wielkanocnej i tak zwane pustynne rysunki na płaskowyżu Nazca, czyli geoglify wykonane na taką skalę, że w całości można je zobaczyć tylko z powietrza.

„Niewiele mi to daje” – pomyślał, wznowiając poszukiwania.

Wycie syren na zewnątrz stawało się coraz głośniejsze.

Rozdział 57

– Nie jestem potworem – stwierdził Ávila, z ulgą opróżniając swój pęcherz do niechlujnego pisuaru na opuszczonym parkingu przy drodze N-240.

Obok niego trząsł się ze strachu kierowca Ubera, najwyraźniej zbyt zdenerwowany, żeby oddać mocz.

– A groźba wobec mojej rodziny?

– Jeśli będziesz się zachowywał jak trzeba, to włos im z głowy nie spadnie.

Dowozisz mnie do Barcelony, wysiadam i rozstajemy się jak przyjaciele. Zwrócę ci portfel, zapomnę adres, który znalazłem w dokumentach, i nigdy więcej mnie nie zobaczysz.

Kierowca patrzył prosto przed siebie. Drżały mu wargi.

– Jesteś człowiekiem wierzącym – powiedział Ávila. – Przykleiłeś papieski krzyż do szyby swojego samochodu. Nieważne, co o mnie pomyślisz, ale być może uspokoi cię myśl, że wykonujesz dziś wolę Boga. – Ávila zapiął spodnie. – Niezbadane są ścieżki Pana.

Admirał odszedł od pisuaru i poprawił wetknięty za pas ceramiczny pistolet. Został mu tylko jeden pocisk i zastanawiał się, czy będzie musiał go użyć tej nocy.

Staął przy umywalce i patrzył, jak woda obmywa jego dłonie, zalewając tatuaż, który Regent kazał mu wykonać na wypadek aresztowania. „Zbędna ostrożność” – pomyślał, czując się jak niewykrywalny w mroku nocy duch.

Podniósł wzrok w brudne lustro, zdumiony własnym wyglądem. Gdy ostatnio oglądał swoje odbicie, miał na sobie biały uniform, wykrochmaloną koszulę i marynarską czapkę. Teraz, bez munduru, ubrany tylko w podkoszulek i czapkę bejsbolową, którą wziął od kierowcy uprowadzonego samochodu, wyglądał raczej jak amerykański kierowca ciężarówki.

Jak na ironię ten niechlujny mężczyzna w lustrze przypominał Ávilę z czasów, gdy staczał się coraz niżej, trawiony nienawiścią do samego siebie i pijaństwem po zamachu bombowym, który odebrał mu rodzinę.

„To była otchłań bez dna”.

Punktem zwrotnym okazał się dzień, w którym jego rehabilitant Marco uciekł się do podstępu, żeby zabrać go na spotkanie z papieżem, tyle że nie z tym, którego miał nadzieję zobaczyć.

Ávila miał przed oczami niesamowite wieże kościoła palmariańskiego, kontrolę przy bramie wjazdowej i moment wejścia do katedry wypełnionej tłumem klęczących wiernych.

Świątynię oświetlało tylko naturalne światło wpadające do jej wnętrza przez wysokie witraże, a w powietrzu unosił się silny zapach kadzidła. Na widok złożonych ołtarzy i rzędów lśniących ławek Ávila zdał sobie sprawę, że pogłoski o bogactwie palmarian są prawdziwe. Ten kościół był tak samo piękny jak wiele innych katedr, które admirał odwiedził, ale też jako katolicka świątynia się od nich różnił.

„Palmarianie są zaprzysięgłymi wrogami Watykanu”.

Stojąc z Markiem przy wejściu do katedry, Ávila obserwował tłumy zebrane w jej wnętrzu i zastanawiał się, w jaki sposób tej sekcji udało się przetrwać mimo obnoszenia się ze sprzeciwem wobec kurii rzymskiej. Najwyraźniej potępienie rosnącego liberalizmu Watykanu trafiło na podatny grunt wśród wiernych, którzy tęsknili za konserwatywną interpretacją wiary.

Kuśtykając o kulach wzdłuż nawy, Ávila czuł się jak żałosny kaleka pielgrzymujący do Lourdes w nadziei na cudowne uzdrowienie. Ceremoniarz poznał Marca i natychmiast wskazał przybyłym dwa miejsca w wydzielonej części na samym przedzie. Wierni w sąsiednich ławkach zerkali ciekawie, kto został tak wyróżniony. Ávila żałował, że posłuchał Marca, który przekonał go, że stosowny do okoliczności będzie galowy mundur.

„Myślałem, że spotkam się z papieżem”.

Ávila usiadł i podniósł wzrok na główny ołtarz, przy którym młody parafianin w garniturze odczytywał fragmenty Pisma Świętego. Admirał rozpoznał fragment Ewangelii według Świętego Marka.

– Przebaczcie, jeśli macie co przeciw komu, aby także Ojciec wasz, który jest w niebie, przebaczył wam wykroczenia wasze – mówił lektor.

„Znowu przebaczenie?” – pomyślał Ávila ze złością. Miał wrażenie, że po zamachu w katedrze słyszał ten passus tysiące razy od różnych ponurych terapeutów i zakonnic, którzy go pocieszali.

Gdy czytanie się skończyło, katedrę wypełniły dźwięki organów. Wszyscy zgromadzeni się podnieśli, Ávila niechętnie więc wstał z miejsca, krzywiąc się z bólu.

Otworzyły się drzwi za ołtarzem i stanęła w nich postać, która wśród zebranych wzbudziła wielkie poruszenie.

Mężczyzna wyglądał na pięćdziesiąt kilka lat, był prosty jak struna, nosił się po królewsku. Miał hipnotyzujące spojrzenie. Na jego strój składała się biała sutanna

przewiązana haftowanym pasem, złota stuła oraz wyszywana złotem i zdobiona szlachetnymi kamieniami mitra. Stał twarzą do wiernych z wyciągniętymi na powitanie ramionami, jakby unosił się nad podłogą świątyni.

– Oto i on – szepnął podekscytowany Marco. – Papież Innocenty XIV.

„Nazywa się papieżem Innocentym XIV?” – Ávila wiedział, że ostatnim papieżem uznawanym przez palmarian jest Paweł VI, który zmarł w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku.

– Zdążyliśmy akurat na homilię – dodał Marco.

Papież podszedł do środka podwyższonego ołtarza, omijając ambonę i schodząc po stopniach, żeby stanąć na tym samym poziomie co zebrani w kościele wierni. Poprawił bezprzewodowy przenośny mikrofon, znów wyciągnął ramiona i pogodnie się uśmiechnął.

– Dzień dobry – powiedział szeptem.

Zebrani odpowiedzieli gromkim chórem:

– Dzień dobry.

Papież nadal odsuwał się od ołtarza, podchodząc coraz bliżej wiernych.

– Przed chwilą usłyszeliśmy fragment Ewangelii według Świętego Marka – zaczął.

– Fragment, który osobiście wybrałem, ponieważ dziś chciałbym mówić o wybaczeniu.

Papież podszedł do Ávili i zatrzymał się zaledwie kilka centymetrów od niego, ani razu jednak nie opuścił wzroku. Admirał niepewnie zerknął na Marca, który porozumiewawczo się do niego uśmiechnął.

– Wszyscy mamy problem z wybaczeniem, a to dlatego, że czasem przewiny innych wobec nas wydają się niewybaczalne – kontynuował papież. – Gdy ktoś zabija niewinnych ludzi w akcie czystej nienawiści, czy powinniśmy zrobić tak, jak niektórzy nam radzą, i nadstawić drugi policzek? – W katedrze zapadła głęboka cisza, w której papież jeszcze bardziej zniżył głos. – Gdy antychrześcijański ekstremista podczas porannej mszy w sewilskiej katedrze detonuje bombę, zabijając niewinne matki i dzieci, czy można od nas oczekiwać, byśmy mu wybaczyli? Bombardowanie jest działaniem wojennym. To wojna prowadzona nie tylko przeciwko katolikom. To wojna przeciwko dobru. Wojna wypowiedziana samemu Bogu.

Ávila zamknął oczy, próbując odpędzić potworne wspomnienia tamtego poranka.

Stłamsić wściekłość i rozpacz, które nadal kłębiły się w jego sercu. Gdy mimo wysiłków narastała w nim złość, poczuł delikatną dłoń papieża na swoim ramieniu. Otworzył oczy.

Papież nie patrzył na niego, ale i tak dzięki jego dotykowi admirał poczuł spokój i dodało mu to otuchy.

– Nie wolno nam zapominać, że istniał Terror Rojo – kontynuował papież, nadal opierając dłoń na ramieniu Ávili. – Podczas wojny domowej wrogowie Boga palili

hiszpańskie kościoły i klasztory, zamordowali ponad sześć tysięcy duchownych i torturowali setki zakonnic, zmuszając siostry, by połykały paciorki różańca, zanim je zgwałcili i zrzucili do głębokiego szybu na pewną śmierć. – Zamilkł na chwilę, by jego słowa dotarły do wiernych. – Ten rodzaj nienawiści nie znika z czasem. Przeciwnie, taka nienawiść się zaognia, ona się nasila, jak trawiący organizm człowieka rak tylko czeka, żeby zaatakować. Bracia i siostry, ostrzegam was, zło pożre nas wszystkich, jeśli na siłę nie zareagujemy siłą. Nigdy nie zwyciężymy zła, jeśli naszym okrzykiem bojowym będzie wybaczenie.

„Ma rację” – pomyślał Ávila, który podczas lat służby w marynarce nieraz się przekonał, że miękkie podejście do łamania dyscypliny jest pewną drogą do jej łamania w przyszłości.

– Jestem przekonany, że w niektórych wypadkach przebaczenie może się okazać niebezpieczne – kontynuował papież. – Gdy wybaczymy złu tego świata, dajemy przyzwolenie na to, że będzie ono się szerzyć. Gdy na akt wojny reagujemy aktem miłosierdzia, zachęcamy naszych wrogów, by dopuszczali się kolejnych aktów przemocy.

Nadchodzi czas, gdy tak jak Jezus musimy wywrócić stoły kupców, musimy powiedzieć: „Nic z tego, nie stanie się tak!”.

„Racja!” – chciał krzyknąć Ávila, gdy wszyscy zebrani potakiwali głowami.

– Czy jednak świat podejmuje działania? Czy Kościół katolicki w Rzymie stawia sprawę tak jednoznacznie jak Jezus? Nie. Dziś stajemy wobec najczarniejszego zła uzbrojeni tylko w zdolność do wybaczenia, w naszą miłość i współczucie. Pozwalamy więc, wręcz zachęcamy do tego, żeby zło się rozrastało. W odpowiedzi na powtarzające się przestępstwa przeciwko nam, delikatnie wyrażamy zaniepokojenie. Używając języka politycznej poprawności, tłumaczymy sobie, że człowiek jest zły dlatego, że miał trudne dzieciństwo albo żył w biedzie, albo cierpiał z powodu zła wyrządzonego jego bliskim i dlatego winą za jego nienawiść obarczany nie jego samego, tylko siebie. A ja mówię: „dość!”. Zło jest złem. Trudności napotykał w życiu każdy z nas!

Zebrani przyjęli te słowa spontanicznym aplauzem, jakiego podczas mszy w rzymskokatolickim kościele Ávila nigdy nie widział.

– Postanowiłem mówić dziś o przebaczeniu, ponieważ jest wśród nas wyjątkowy gość – kontynuował papież, wciąż trzymając dłoń na ramieniu Ávili. – Zaszczycił nas swoją obecnością admirał Luis Ávila, oficer wielce zasłużony dla hiszpańskiej armii, którego spotkało w życiu niewyobrażalne zło i który jak każdy z nas próbuje się zmusić do wybaczenia.

Zanim Ávila zdążył zaprotestować, papież przedstawił ostatnie wydarzenia z jego życia, obrazowo opisując, jak admirał stracił rodzinę, stoczył się w alkoholizm, a wreszcie

próbował odebrać sobie życie. Ávila najpierw zezłościł się na Marca, który nadużył jego zaufania, potem jednak, słysząc własną historię opowiedzianą w ten sposób, poczuł się dziwnie wzmocniony. To było jak publiczne wyznanie, że naprowadził swój statek na skały i jakimś cudem nie poszedł na dno.

– Dlatego uważam, że sam Bóg interweniował w działania admirała, postanawiając ocalić jego życie, by je zachować do wyższych celów.

Po tych słowach palmariański papież odwrócił głowę i po raz pierwszy spojrział na Ávilę. Głęboko osadzone oczy zdawały się sięgać do samego dna duszy, dając admirałowi siłę, jakiej nie czuł w sobie od jakże wielu miesięcy.

– Admirale Ávila – zwrócił się do niego papież. – Jestem głęboko przekonany, że po takiej wielkiej stracie, jaką pan poniósł, nie może być mowy o przebaczeniu. Jestem przekonany, że pańska wściekłość i pańskie słuszne pragnienie zemsty nie mogą zostać zaspokojone poprzez nadstawienie drugiego policzka. Nie mogą i nie powinny! Pańskie cierpienie stanie się katalizatorem pańskiego zbawienia. Wszyscy tu zebrani chcemy panu okazać wsparcie. Chcemy okazać panu naszą miłość. Chcemy stanąć ramię w ramię z panem, żeby pomóc panu przekształcić tę wściekłość w potężną siłę dobra. Niech będzie pochwalone imię Pańskie!

– Niech będzie pochwalone! – odpowiedzieli zebrani.

– Admirale Ávila – kontynuował papież, patrząc jeszcze uważniej w jego oczy. – Jakie jest motto hiszpańskiej Armady?

– *Pro Deo et Patria* – odpowiedział natychmiast Ávila.

– Tak, *Pro Deo et Patria*. Dla Boga i Ojczyzny. Dumni jesteśmy z obecności marynarza, który z takim poświęceniem służył naszej ojczyźnie. – Zawiesił głos i lekko się pochylił do przodu. – Ale czy także Bogu?

Przeszywające spojrzenie duchownego wzbudziło w Ávili niepokój.

– Pańskie życie się nie skończyło, admirale – szepnął papież. – Nie dokończył pan swojego dzieła. To dlatego Bóg pana ocalił. Podjął się pan misji, która została wykonana tylko w połowie. Służył pan krajowi, to prawda. Ale czy służył pan Bogu?

Ávila poczuł, jakby ugodził go pocisk.

– Pokój Pański niech będzie z wami – powiedział papież.

– I z duchem twoim! – odpowiedzieli zgromadzeni.

Ávila nagle znalazł się w tłumie ludzi, którzy przekazywali mu najlepsze życzenia i wyrazy wsparcia, jakich nigdy nie doświadczył. Patrzył w oczy podchodzącym do niego ludziom w poszukiwaniu oznak fanatyzmu, o którym słyszał, ale znajdował w nich tylko optymizm, dobrą wolę i szczerą chęć wypełniania woli Boga, a więc dokładnie to, czego brakowało jemu.

Od tamtego dnia z pomocą Marca i grupy nowych przyjaciół Ávila zaczął długą wspinaczkę, dzięki której wydobył się z samego dna rozpacz. Wrócił do regularnych ćwiczeń fizycznych, zdrowo się odżywiał i co najważniejsze, znów odkrył w sobie wiarę.

Po kilku miesiącach, gdy jego rehabilitacja się zakończyła, Marco podarował mu oprawną w skórę Biblię, w której zaznaczył kilkanaście fragmentów.

Ávila na chybił trafił przejrzał trzy z nich.

LIST DO RZYMIAN 13:4

Jest bowiem narzędziem Boga do wymierzania sprawiedliwej kary temu, który czyni źle.

PSALM 94:1

Boże, Mścicielu, Panie,

Boże, Mścicielu, ukaż się!

Powstań Ty, który sądzisz ziemię,

daj pysznym odpłatę!

DRUGI LIST DO TYMOTEUSZA 2:3

Weź udział w trudach i przeciwnościach jako dobry żołnierz Chrystusa Jezusa!

– Pamiętaj, gdy zło na świecie podnosi głowę, Bóg poprzez każdego z nas działa w inny sposób, żeby przeprowadzić na Ziemi swoją wolę – powiedział Marco z uśmiechem. „Wybaczenie nie jest jedyną ścieżką do zbawienia”.

Rozdział 58



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

KIMKOLWIEK JESTEŚ, NIE PRZESTAWAJ NAS INFORMOWAĆ!

Dziś wieczorem samozwańczy obrońca praw obywatelskich monte@iglesia.org przekazał naszemu portalowi zdumiewające informacje, które inaczej nie przedostałyby się do opinii publicznej.

Dziękujemy!

Ponieważ wszystkie te doniesienia się potwierdzają, a dostęp do nich jest praktycznie niemożliwy, postanowiliśmy zwrócić się do Monte z następującym apelem.

KIMKOLWIEK JESTEŚ, JEŚLI MASZ JAKIEKOLWIEK INFORMACJE NA TEMAT NIEUJAWNIONEJ PREZENTACJI EDMONDA KIRSCHA, PODZIEL SIĘ

NIMI!

#skądprzyszliśmy

#dokądidziemy

Z podziękowaniami

Zespół ConspiracyNet Rozdział 59

Gdy Robert Langdon przeszukiwał ostatnie części biblioteki Edmonda Kirscha, powoli tracił nadzieję. Dochodzące z zewnątrz charakterystyczne dwutonowe syreny radiowozów policyjnych stawały się coraz głośniejsze, by w końcu zatrzymać się przed Casa Milà. Przez maleńkie okna w apartamencie Edmonda Langdon widział niebieski błysk pulsujących lamp sygnalizacyjnych.

„Jesteśmy tu jak w pułapce” – uświadomił sobie. „Oby to hasło było gdzieś w tym mieszkaniu, bo już się stąd nie wydostaniemy”.

Niestety Langdon nie znalazł jeszcze ani jednego tomu poezji.

Ostatnie dwa rzędy półek były głębsze od poprzednich, ponieważ przystosowano je do zbioru wielkoformatowych albumów. Pośpiesznie przeglądając ich grzbiety, Langdon

widział tytuły, które dobitnie świadczyły o zamiłowaniu Edmonda do najbardziej hipsterskiej i najnowszej sztuki.

Serra... Koons... Hirst... Bruguera... Basquiat... Banksy... Abramović...

Kolekcja kończyła się raptownie na serii tomów bardzo małego formatu i Langdon nabrał nadziei, że może wśród nich znajdzie poezję.

„Nic!”

Książki zawierały omówienia i komentarze dzieł sztuki abstrakcyjnej, a wśród nich kilka tytułów, które Edmond kiedyś przesłał Langdonowi do przestudiowania.

Na co patrzysz?

Dlaczego twoje pięcioletnie dziecko nie mogłoby tego stworzyć

Jak strawić sztukę współczesną

„Nadal ją trawię” – pomyślał Langdon, szybko przechodząc dalej. Zatrzymał się za kolejnym żebrem, gdzie znalazł książki poświęcone wcześniejszemu okresowi w sztuce.

„Przynajmniej cofamy się w czasie. Mam nadzieję, że dalej będzie już tylko sztuka i literatura”.

Oczy Langdona szybko przebiegały po grzbietach książek, znajdując biografie i katalogi dzieł impresjonistów, kubistów i surrealistów, którzy zadziwiali świat między rokiem tysiąc osiemset siedemdziesiątym a tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym, całkowicie przededefiniowując sztukę.

Van Gogh... Seurat... Picasso... Munch... Matisse... Magritte... Klimt...

Kandinsky... Johns... Hockney... Gauguin... Duchamp... Degas... Chagall...

Cézanne... Cassatt... Braque... Arp... Albers...

Ta część zbiorów kończyła się kolejnym architektonicznym żebrem korytarza, za którym Langdon znalazł ostatni rząd półek. Zgromadzone tu pozycje były poświęcone artystom, których w prywatnych rozmowach z Langdonem jego były student określał mianem „szkoła nudnych martwych białych kołesi”, do których zaliczał z grubsza wszystko, co poprzedzało modernistyczny ruch z połowy dziewiętnastego wieku.

W odróżnieniu od Edmonda, to w otoczeniu tych starych mistrzów Langdon czuł się jak w domu.

Vermeer... Velázquez... Tycjan... Tintoretto... Rubens... Rembrandt... Rafael...

Poussin... Michał Anioł... Lippi... Goya... Giotto... Ghirlandaio... El Greco... Dürer...

da Vinci... Corot... Caravaggio... Botticelli... Bosch...

Ostatni regał kończył się dużą szklaną gablotą zabezpieczoną solidnym zamkiem.

Za szkłem leżało wyglądające na antyk skórzane pudło zawierające równie starą księgę.

Tekst na pudle był ledwie widoczny, ale Langdon odczytał dość, by odcyfrować tytuł znajdującego się w środku dzieła.

„Mój Boże! To musi być warte majątek!” – pomyślał, rozumiejąc teraz, dlaczego od rąk gości oddzielało książkę szkło gabloty.

Langdon wiedział, że zachowało się kilka egzemplarzy pierwszego wydania tego dzieła, wszystkie niezmiernie cenne.

„I wcale mnie nie zaskakuje, że Edmond zainwestował pieniądze akurat w niego” – powiedział do siebie. Pamiętał, że kiedyś Edmond nazwał tego brytyjskiego pisarza i malarza „jedynym premodernistą, który miał wyobraźnię”. Wtedy Langdon się z nim nie zgodził, ale oczywiście rozumiał wyjątkową sympatię swojego byłego studenta do tego twórcy. „Zostali ulepieni z tej samej gliny”.

Langdon przykucnął i spojrzał na wytłoczony złotymi literami na skórzanym etui napis: „William Blake *Dzieła zebrane*”.

„William Blake, czyli Edmond Kirsch osiemnastego wieku” – rozmyślał Langdon. Blake był ekscentrycznym geniuszem, płodnym twórcą i malarzem tak progresywnym, że zdaniem niektórych jakimś magicznym sposobem przewidywał przyszłość w swoich snach. Przesycone symbolami ilustracje religijne, które tworzył, przedstawiały anioły, demony, szatana, Boga, mityczne stwory, sceny biblijne i jego własny panteon bóstw z duchowych halucynacji.

„I tak jak Edmond, Blake uwielbiał kwestionować chrześcijaństwo”. Ta myśl sprawiła, że Langdon natychmiast się podniósł. „William Blake”.

Wziął głęboki oddech. Umieszczenie Blake’a między malarzami sprawiło, że na chwilę Langdon zapomniał o kluczowej części dorobku mistycznego geniusza.

„Blake był nie tylko malarzem i ilustratorem”. „Był też płodnym poetą!”

Langdon poczuł, jak przyśpiesza rytm jego serca. Większość poezji Blake’a zawierała rewolucyjne tezy doskonale pasujące do poglądów Edmonda! Niektóre z najpopularniejszych aforyzmów Blake’a, jak choćby okrzyknięte satanicznym dzieło *Zaślubiny Nieba i Piekła*, mogłyby wyjść spod pióra Edmonda.

Wszystkie religie są jednością
Religia naturalna nie istnieje

Langdon przypomniał sobie, jak Edmond opisał swój ulubiony wers. „W rozmowie z Ambra stwierdził, że to proroctwo”. Langdon nie znał poety, którego dzieła trafniej charakteryzowałoby to właśnie słowo. Przecież w osiemnastym wieku William Blake stworzył dwa mroczne, złowieszcze poematy:

Proroctwo: Ameryka

Proroctwo: Europa

Langdon miał w swojej bibliotece obydwie te prace – reprodukcje rękopisów Blake’a wraz z ilustracjami, którymi je opatrzył.

Zerknął ponownie na skórzane pudełko w szklanej gablocie.

Oryginalne wydania przepowiedni Blake’a byłyby przecież ilustrowanymi tekstami znacznie większego formatu!

W przyływie nadziei Langdon przykucnął przed gablotą. Schowane w niej skórzane pudełko mogło skrywać to, po co przyjechali tutaj z Ambrą – wiersz, z którego Edmond wybrał czterdziestoczteroznakowe proroctwo, którego następnie użył jako hasła zabezpieczającego prezentację. Pozostawało tylko pytanie, czy Edmond oznaczył jakoś swój ulubiony wers.

Langdon spróbował otworzyć gablotę.

Drzwiczki nie ustąpiły.

Zerknął w stronę spiralnej klatki schodowej prowadzącej na dach, zastanawiając się, czy nie lepiej będzie pobiec na górę i poprosić Winstona, żeby przeszukał poezję Blake’a. Odgłos policyjnych syren zastąpiło charakterystyczne dudnienie wirnika nadlatującego helikoptera. Zza drzwi prowadzących do apartamentu Edmonda dobiegały pokrzykiwania.

„Już tu są”.

Langdon przyjrzał się gablocie. Zauważył delikatny zielony połysk stosowanego w muzeach szkła nieprzepuszczającego promieni nadfioletowych.

Zdjął marynarkę, zasłonił szklane drzwiczki i zdecydowanym ruchem z półobrotu wbił łokieć w gablotę. Szkło pękło z tłumionym trzaskiem. Ostrożnie przekładając rękę między ostrymi kawałkami, Langdon otworzył zamek od wewnątrz. Później odchylił drzwiczki i delikatnie wyjął skórzane pudełko.

Jeszcze zanim postawił je na podłodze, wiedział, że coś jest nie w porządku. „Jest za lekkie”. Zebrane dzieła Blake’a ważyłyby znacznie więcej.

Langdon ostrożnie odchylił wieko.

Tak jak się obawiał, w pudełku niczego nie było.

Westchnął, wpatrując się w puste wnętrze. „Gdzie, do cholery, Edmond wyniósł tę książkę?”

Już miał zamknąć wieko, gdy zauważył coś na jego wewnętrznej stronie: przylepioną taśmą klejącą zadrukowaną kartkę.

Przeczytał zamieszczony na niej tekst.

Potem, nie dowierzając własnym oczom, przeczytał go ponownie.

Kilka sekund później biegł po spiralnych schodach prowadzących na dach.

W tym samym momencie na drugim piętrze pałacu królewskiego w Madrycie szef zabezpieczenia elektronicznego Suresh Bhalla niepostrzeżenie wszedł do apartamentu księcia Juliána. Znalazł schowany za obrazem sejf i wprowadził awaryjny kod, który przechowywano w jego dziale na wypadek nieprzewidzianych sytuacji.

Drzwi sejfu odskoczyły.

Wewnątrz Suresh zauważył dwa telefony: zabezpieczony przez służby pałacowe smartfon księcia Juliána i iPhone, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa był własnością biskupa Valdespino.

Sięgnął po telefon biskupa.

„Naprawdę to robię?”

Przypomniał sobie treść wiadomości od monte@iglesia.com.

zhakowałem telefon Valdespina.

znalazłem mroczną tajemnicę.

pałac powinien przejrzeć jego esemesy.

natychmiast.

Suresh zastanawiał się, jakie mroczne sekrety może odkryć w wiadomościach biskupa. I dlaczego informator postanowił powiadomić o nich pałac?

„Może Monte próbuje chronić pałac przed efektami ubocznymi tej zbrodni?”

Jednego Suresh był pewien: jeśli wiadomość w telefonie biskupa zawierała treści niebezpieczne dla rodziny królewskiej, to jego obowiązkiem było te informacje odkryć.

Rozwagał możliwość uzyskania nakazu sądowego i odczytanie wiadomości przez operatora, ale ryzyko wycieku i prawdopodobieństwo znacznego opóźnienia zdecydowały o odrzuceniu tej możliwości. Na szczęście miał do dyspozycji znacznie bardziej dyskretne metody, które w dodatku działały natychmiast.

Trzymając na dłoni aparat, dotknął przycisku pod ekranem. Włączył się wyświetlacz. Zabezpieczony hasłem.

„Žaden problem”.

– Hej, Siri – powiedział, trzymając telefon przy ustach. – Która godzina?

Zablokowany telefon wyświetlił zegar. Używając uruchomionej aplikacji, Suresh wprowadził kilka prostych poleceń: najpierw stworzył nową strefę czasową, polecił przekazać ją przez wiadomość tekstową i dodał zdjęcie, po czym, zamiast wysłać przygotowaną wiadomość, dotknął przycisku startu.

Z głośnika odezwało się kliknięcie.

Telefon się odblokował.

„Prosta metoda pokazana na YouTubie” – pomyślał Suresh ubawiony, że użytkownicy iPhone’ów nadal czują się bezpieczni po zablokowaniu telefonu hasłem.

Mając dostęp do zawartości smartfona biskupa Valdespino, Suresh otworzył aplikację iMessage, spodziewając się, że będzie musiał odtworzyć katalog, przywracając usunięte wiadomości z chmury.

I rzeczywiście, lista wiadomości była prawie pusta. Prawie, bo w skrzynce widniał jeden esemes otrzymany z zastrzeżonego numeru.

Suresh otworzył wiadomość i przeczytał trzy linijki tekstu. Przez chwilę myślał, że mu się przywidziało.

„To nie może być prawda!”

Suresh przeczytał wiadomość jeszcze raz. Nie miał wątpliwości, że jej treść jest dowodem na zdradę i udział biskupa Valdespino w niewyobrażalnym oszustwie.

„Że o niewyobrażalnej arogancji nie wspomnę” – dopowiedział w myślach Suresh, zdumiony, że stary biskup czuł się na tyle bezkarny, by tego typu wiadomości przekazywać drogą elektroniczną.

„Jeśli to się przedostanie do mediów...”

Suresh wzdrygnął się na taką ewentualność i natychmiast pobiegł na dół, żeby odnaleźć Mónicę Martín.

Rozdział 60

Gdy helikopter EC145 przelatywał nisko nad miastem, Díaz patrzył na dywan świateł pod nimi. Mimo późnej pory prawie we wszystkich oknach widział blask telewizorów i monitorów komputerowych, który tworzył nad Barceloną bladoniebieską łunę.

„Ogląda nas cały świat”.

Ta myśl go zaniepokoiła. Czuł, że wydarzenia tego wieczoru coraz bardziej wymykają się spod kontroli, i zaczynał się bać, że kryzys wizerunkowy doprowadzi do kompromitujących skutków.

Siedzący na fotelu przed nim Fonseca krzyczał, pokazując ręką do przodu. Díaz skinął głową, zauważywszy od razu, o co chodzi.

„Trudno przeoczyć”.

Nawet z daleka z niczym nie dało się pomylić lamp pulsujących na dachach licznych radiowozów.

„Niech Bóg ma nas w swojej opiece”.

Obawy Díaza się ziściły. Wokół Casa Milà tłoczyły się samochody policyjne.

Władze Barcelony natychmiast zareagowały na anonimowy telefon po oświadczeniu wygłoszonym przez Mónicę Martín przed pałacem królewskim.

„Robert Langdon porwał przyszłą królową Hiszpanii”.

„Pałac prosi wszystkich o pomoc w odnalezieniu uprowadzonej”.

„Bezczelne kłamstwo!” – myślał Díaz. „Na własne oczy widziałem, jak obydwójce wychodzili z Muzeum Guggenheima”.

Zastosowany przez Martín chwyt okazał się skuteczny, ale uruchomił nieprawdopodobnie niebezpieczną grę. Polowanie na jednego człowieka przy wykorzystaniu policji i lokalnych służb było groźne nie tylko dla Roberta Langdona, ale też dla przyszłej królowej, która teraz mogła trafić w łapy lokalnych gliniarzy, a przecież to tylko banda amatorów. Jeśli pałacem powodowała troska o dobro narzeczonej księcia, z pewnością nie był to dobry pomysł.

„Komendant Garza nigdy by nie pozwolił tak bardzo eskalować tego kryzysu”.

Aresztowanie Garzy było zagadką dla Díaza, który nie miał wątpliwości, że zarzuty stawiane jego dowódcy są tak samo fikcyjne jak oskarżenia przeciwko Langdonowi.

Ale Fonseca przyjmował teraz rozkazy od kogoś innego.

Były wydawane ponad głową komendanta Garzy.

Gdy helikopter zbliżył się do Casa Milà, Díaz mógł lepiej ocenić sytuację na dole.

Nie miał wątpliwości, że nie będą mogli bezpiecznie wylądować, ponieważ wzdłuż szerokiej alei i na skwerze przed budynkiem tłoczyły się wozy transmisyjne, radiowozy policyjne i tłumy gapiów.

„Nie ma gdzie usiąść”.

Nie dość, że teren był górzysty, to dostępu do dachu budynku broniły strzeliste kominy wyglądające jak figury na futurystycznej szachownicy. Hełmy, które nałożył na nie Gaudí, ponoć tak bardzo zachwyciły George’a Lucasa, że wykorzystał je jako wzorzec umundurowania oddziałów szturmowych w *Gwiezdnych wojnach*.

Díaz zamierzał ocenić możliwość lądowania na sąsiadujących budynkach, ale jego wzrok przykuł nagle niespodziewany widok na dachu Casa Milà.

Między olbrzymimi kominami stała mała postać ubrana na biało, doskonale widoczna w jasnym świetle skierowanych na nią reflektorów telewizyjnych. Díazowi ten widok skojarzył się z papieżem przemawiającym do wiernych z balkonu nad placem Świętego Piotra.

Ale to nie był papież.

Na dachu stała piękna kobieta w znajomej białej sukni.

Oślepiąca jaskrawymi światłami wozów transmisyjnych Ambra Vidal nie widziała, co się dzieje wokół budynku, słyszała jednak nadlatujący helikopter i wiedziała, że ma niewiele czasu. Desperacko przechyliła się nad barierką, krzycząc do zebranego na dole tłumu.

Jej słowa utonęły jednak w ogłuszającym ryku wirników.

Winston przewidział, że ustawione przed wejściem do budynku ekipy telewizyjne skierują na nią kamery, gdy tylko pojawi się na dachu. I rzeczywiście, tak właśnie się stało, ale mimo to plan Winstona zawiódł.

„Nie słyszą ani słowa!”

Wokół Casa Milà i tak panował gwar, a dach znajdował się wysoko nad ulicą. Teraz jeszcze huk helikoptera zagłuszył ją doszczętnie.

– Nie zostałam porwana! – krzyknęła Ambra raz jeszcze najgłośniejszym głosem, jak potrafiła.

– Oświadczenie pałacu królewskiego na temat Roberta Langdona było nieprawdziwe. Nie jestem zakładnikiem!

„Jest pani przyszłą królową” – przypomniał jej Winston, wykładając swój plan.

„Jeśli odwoła pani polowanie na profesora Langdona, to policja wstrzyma działania.

Takim oświadczeniem wywoła pani zamęt. Nikt nie będzie wiedział, czyich poleceń słuchać”.

Ambra wiedziała, że Winston ma rację, ale jej słowa zagłuszył wirnik mielący powietrze nad falującym tłumem.

Huk zrobił się nieznośnie głośny, niczym grzmot. Ambra cofnęła się od barierki, gdy helikopter podleciał bliżej i raptownie zawisł w powietrzu bezpośrednio przed nią.

Drzwiczki w kadłubie maszyny szeroko się otworzyły i dwie znajome twarze zwróciły oczy prosto na nią: Fonseca i Díaz.

Ambra z przerażeniem patrzyła, jak Fonseca podnosi jakieś urządzenie i kieruje je prosto na nią. Przez chwilę kotłowały się w jej głowie najdziwniejsze myśli. „Julián chce mnie zabić. Jestem bezpłodna. Nie mogę dać mu potomka. Po publicznych oświadczeniach tylko tak może się mnie pozbyć”.

Cofnęła się jeszcze bardziej, chcąc uciec z zasięgu groźnie wyglądającej broni w ręku gwardzisty. Ponieważ ścisnęła w dłoni telefon Edmonda, dla zachowania równowagi mogła się podtrzymywać tylko jedną ręką. Postawiła jeszcze krok do tyłu, ale dach pod jej nogami zniknął. Przez ułamek sekundy czuła, że nie ma nic w miejscu, gdzie oczekiwała twardego gruntu. Obróciła się, próbując zachować równowagę, zobaczyła krótkie schody i poczuła, że spada po nich bokiem.

Najpierw jej lewy łokieć wylądował na betonie, reszta ciała uderzyła o twardą powierzchnię chwilę potem. Ale nie czuła bólu. Cała jej uwaga skupiła się na przedmiocie, który wypadł jej z dłoni – dużym telefonie w turkusowym etui.

„O cholera, nie!”

Patrzyła z przerażeniem, jak telefon ślizga się po betonie, podskakuje na kilku schodkach, a następnie uderza o krawędź dachu dziewięciopiętrowego budynku. Rzuciła się, żeby go złapać, ale zniknął już pod barierką i osunął się w czarną otchłań wewnętrznego dziedzińca.

„Nasze połączenie z Winstonem...”

Ambra znalazła się przy poręczy akurat w chwili, gdy smartfon Edmonda upadł w rogu wyłożonego kamienną posadzką dziedzińca, eksplodując fontanną połyskujących kawałków szkła i metalu.

W jednej chwili Winston zniknął.

Przeskakując po kilka stopni, Langdon dopadł do wyjścia z wieżyczki i wyskoczył na dach Casa Milà. Wpadł w ogłuszający wir powietrza. Obok budynku wisiał w powietrzu

helikopter, ale Ambry nigdzie nie było widać.

Ogłuszony hukiem maszyny, rozglądał się po nierównym dachu. „Gdzie ona jest?”

Zapomniał już, jak tu jest dziwnie: skośne przejścia, strome schody, betonowi żołnierze, głębokie studnie.

– Ambra!

Gdy ją wreszcie zauważył, ogarnęło go przerażenie. Leżała skulona na betonie nad krawędzią oświetlonej reflektorami studni podwórza.

Jak tylko ruszył w jej kierunku, tuż obok niego przeleciał ze świstem pocisk, który eksplodował na betonie gdzieś za nim.

„Jezu!” Langdon padł na kolana i zaczął się czołgać. Nad jego głową przeleciały jeszcze dwa pociski. Przez chwilę myślał, że strzały padły z helikoptera, ale gdy znalazł się bliżej Ambry, zobaczył kilkunastu policjantów z podniesioną do strzału bronią wbiegających na dach przez wieżyczkę po przeciwległej stronie budynku.

„Chcą mnie zabić!” – uświadomił sobie. „Myślą, że porwałem ich przyszłą królową!” Najwyraźniej nie usłyszeli tego, co wykrzyczała z dachu budynku.

Langdon spojrzał na Ambrę, która teraz leżała już tylko kilka metrów od niego.

Z przerażeniem zauważył, że krwawi jej ramię. „Mój Boże! Postrzelili ją!” Nad jego głową przeleciała kolejna kula. Ambra chwyciła się barierki otaczającej dach wokół dziedzińca budynku i z trudem próbowała się podciągnąć.

– Nie podnoś się! – krzyknął Langdon. Podbiegł do niej, przykucnął obok i stanowczym gestem nie pozwolił jej wstać. Rozejrzał się. Wszędzie dookoła widział hełmy funkcjonariuszy oddziału szturmowego, którzy obstawili dach.

Ogłuszający huk rozlegał się teraz tuż nad ich głowami, a pęd powietrza smagał betonowy dach, gdy helikopter zawisł nad wielkim szybem wewnętrznego dziedzińca tuż obok nich, uniemożliwiając policjantom strzał.

– ¡Dejen de disparar! – ryknął głośnik z helikoptera. – ¡Enfunden las armas! – Wstrzymać ogień! Schować broń!

Bezpośrednio przed Langdonem i Ambrą, w drzwiach załadunkowych helikoptera stał Díaz, opierając jedną nogę na płozie maszyny, i wyciągał rękę w ich stronę.

– Wsiadajcie! – krzyknął.

Langdon poczuł, że Ambra lekko się cofnęła.

– Natychmiast! – dodał Díaz, przekrzykując ogłuszający huk.

Gwardzista wskazał na barierkę wokół szybu dziedzińca, pokazując im, żeby się na nią wspięli, chwycili go za rękę i nad dziewięciopiętrową otchłanią przeskoczyli do wnętrza helikoptera.

Langdon wahał się chwilę za długo. Díaz wziął od Fonseki megafon i skierował go

prosto w twarz Langdona.

– Policja ma rozkaz pana zastrzelić. Wiemy, że pani Vidal nie została porwana.

Obydwoje musicie natychmiast wsiąść na pokład. Zanim ktoś zginie.

Rozdział 61

Ambra poczuła, jak Langdon ją podnosi i na wyjąłym wietrze przekazuje Díazowi, który jedną nogą stoi na płozie wiszącego nad Casa Milà helikoptera.

Była zbyt oszołomiona, żeby protestować.

– Ona krwawi! – krzyknął Langdon, wspiąwszy się na pokład zaraz za Ambrą.

Helikopter unosił się w niebo, zostawiając w dole falujący dach, na którym stała z zadartymi głowami mała armia zdezorientowanych policjantów.

Fonseca zamknął właz i przeszedł do przodu, gdzie usiadł obok pilota. Díaz pochylił się nad Ambrą, żeby obejrzeć jej ramię.

– To tylko draśnięcie – powiedziała bezbarwnym głosem.

– Znajdę apteczkę – odparł Díaz i przeszedł na tył kabiny.

Langdon siedział naprzeciwko Ambry tyłem do kierunku lotu. Teraz, gdy obydwójce niespodziewanie zostali sami, złapał jej spojrzenie i uśmiechnął się z ulgą.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest!

Ambra odpowiedziała nieznacznym skinieniem głowy, zanim jednak zdążyła się odezwać, Langdon się pochylił do przodu i podekscytowanym szeptem zaczął relacjonować:

– Chyba znalazłem naszego tajemniczego poetę – oznajmił z nadzieją w oczach. – To William Blake. Nie dość, że Edmond miał w swojej bibliotece egzemplarz jego dzieł zebranych, to jeszcze wiele wierszy Blake’a zawiera proroctwa! – Wyciągnął rękę. – Daj mi telefon Edmonda. Poproszę Winstona, żeby przejrzał poezję Blake’a w poszukiwaniu czterdziestoczteroliterowych wersów.

Ambra spojrzała na wyciągniętą dłoń Langdona i ogarnęło ją poczucie winy.

Oburącz ją chwyciła.

– Robercie – powiedziała z pełnym skruchy westchnieniem. – Nie mamy już telefonu Edmonda. Upuściłam go i spadł z dachu.

Langdon patrzył na nią, a Ambra widziała, jak z twarzy odpływa mu krew.

„Przepraszam, Robercie”. Obserwowała, z jakim trudem Langdon przyjmuje jej słowa do wiadomości i próbuje ocenić, jak brak Winstona zmienia ich sytuację.

W kokpicie Fonseca krzyczał do telefonu:

– Potwierdzam, że obydwójce są bezpieczni na pokładzie śmigłowca. Przygotujcie samolot do Madrytu. Zamelduję o naszym przybyciu...

– Nie ma o czym meldować – krzyknęła Ambra do gwardzisty. – Nie jadę do pałacu.

Fonseca zakrył dłonią mikrofon, odwrócił się i spojrzał na nią.

– Oczywiście, że pani jedzie. Otrzymałem rozkaz, żeby dbać o pani bezpieczeństwo. Nie powinna pani uciekać, porzucając ochronę. Na szczęście zdążyłem na czas, żeby panią uratować.

– Uratować?! – powtórzyła Ambra. – Przyczyną sytuacji, z której pan mnie niby uratował, było absurdalne oświadczenie pałacu, że profesor Langdon mnie uprowadził.

Sam pan doskonale wie, że to zwyczajne kłamstwo! Czy księżę Julián jest tak bardzo zdesperowany, że postanowił zaryzykować życie niewinnego człowieka? Że o moim nie wspomnę?!

Fonseca przez chwilę patrzył na nią bez słowa, po czym się odwrócił.

W tym samym momencie pojawił się Díaz z apteczką w ręku.

– Pani Vidal – powiedział, siadając obok niej. – To prawda, że naszą hierarchię służbową zaburzyło aresztowanie komendanta Garzy, ale chcę panią zapewnić, że księżę Julián nie miał nic wspólnego z oświadczeniem, które wyszło dziś z pałacu. Nie jesteśmy nawet pewni, czy księżę wie, co się dzieje w tej chwili. Od godziny nie możemy się z nim skontaktować.

„Co takiego?” Ambra patrzyła na niego zdziwiona.

– Gdzie on jest?

– Nie wiemy, gdzie się obecnie znajduje księżę Julián, ale polecenia, które nam wydał wcześniej, są absolutnie jasne. Życzy sobie, żeby pani była bezpieczna.

– Jeśli takie są wasze rozkazy, to przewiezienie pani Vidal do pałacu jest potworną pomyłką – wtrącił Langdon, odrywając się od swoich rozważań.

Fonseca raptownie się odwrócił.

– Co pan powiedział?

– Nie wiem, kto teraz panem dowodzi, ale jeśli księżę życzył sobie, żeby jego narzeczona była bezpieczna, to lepiej niech pan mnie uważnie posłucha. – Zrobił pauzę, po czym kontynuował z wielkim przekonaniem. – Edmond Kirsch został zamordowany dlatego, że ktoś chciał zapobiec upublicznieniu jego odkrycia. Ktokolwiek go uciszył, nie powstrzyma się przed niczym, żeby zrealizować swój cel.

– Cel już został zrealizowany – stwierdził Fonseca drwiąco. – Edmond nie może jeszcze bardziej nie żyć.

– Ale jego odkrycie nadal istnieje – odparł spokojnie Langdon. – Istnieje, a zatem nadal

może zostać ogłoszone światu.

– Więc to jest powód, dla którego chcieliście się dostać do mieszkania Kirscha! – wykrzyknął Díaz. – Chcecie ujawnić to odkrycie!

– Otóż to – przytaknął mu Langdon. – Dlatego staliśmy się celem zabójcy. Nie wiem, kto wymyślił treść oświadczenia o uprowadzeniu Ambry, ale z pewnością jest to ktoś, kto chce nas powstrzymać. Jeśli więc we dwóch należycie do spisku, którego celem jest pogrzebanie odkrycia Edmonda razem z nim, to powinniście teraz zrzucić mnie i panią Vidal z tego helikoptera, dopóki jeszcze możecie to zrobić.

Ambra patrzyła na Langdona, zastanawiając się, czy postradał zmysły.

– Jeśli jednak jako żołnierz Guardia Real przysięgał pan chronić rodzinę królewską, a więc także przyszłą królową Hiszpanii, to musi pan zrozumieć, że nie ma bardziej niebezpiecznego miejsca dla pani Vidal niż pałac królewski, którego oświadczenie omal jej przecież nie zabiło. – Langdon sięgnął do kieszeni po kartkę czerpanego papieru. – Dlatego sugeruję, żebyście zabrali panią Vidal pod ten adres.

Fonseca wziął kartonik i zmarszczył brwi, odczytując tekst.

– Absurd!

– Teren jest ogrodzony. Pilot może usiąść na chwilę za parkanem, wyrzucić nas i odlecieć, zanim ktokolwiek się zorientuje, że tam jesteśmy. Znam osobę, która pomoże nam się ukryć na miejscu. Znikniemy wszystkim z oczu, dopóki nie zdołamy całej sprawy rozwiązać. Może pan nam towarzyszyć.

– Bezpieczniej bym się czuł w hangarze wojskowym na lotnisku.

– Naprawdę chce pan zaufać wojsku? Przecież żołnierze podlegają tej samej osobie, która odpowiada za treść oświadczenia wydanego przez pałac, a wskutek tego oświadczenia pani Vidal przed chwilą omal nie zginęła.

Ambra bezskutecznie próbowała odpowiedzieć sobie na pytanie, co może być napisane na tej kartce. „Dokąd Langdon chce lecieć?” Jego nagłe ożywienie wyraźnie wskazywało, że chodzi o coś więcej niż zapewnienie jej bezpieczeństwa. Słyszała optymizm w jego głosie i wyczuwała, że nie stracił jeszcze nadziei na to, że jakoś im się uda odnaleźć i odtworzyć prezentację Edmonda.

Langdon wyjął kartkę z ręki Fonseki i wręczył ją Ambrze.

– Znalazłem to w bibliotece Edmonda – powiedział.

Ambra spojrzała na kartkę i od razu wiedziała, co trzyma w dłoni.

Takie dokumenty, znane pod nazwą „rewers”, kuratorzy muzeów wydają darczyńcy, żeby potwierdzić tymczasowe wypożyczenie eksponatu. Tradycyjnie drukuje się dwa identyczne rewersy, z których jeden umieszczany jest w muzeum na miejscu wypożyczonego eksponatu, żeby podziękować właścicielowi, drugi zaś wędruje do

wypożyczającego jako potwierdzenie przejęcia artefaktu.

„Edmond wypożyczył komuś swój egzemplarz wierszy Blake’a?”

Z rewersu wynikało, że książka powędrowała zaledwie kilka kilometrów od apartamentu, w którym przechowywał ją Edmond.

WILLIAM BLAKE

DZIEŁA ZEBRANE

Ze zbiorów prywatnych

pana EDMONDA KIRSCHA

wypożyczone przez

TEMPLO EXPIATORIO DE LA SAGRADA FAMÍLIA

Carrer de Mallorca, 401

08013 Barcelona

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego zadeklarowany ateista wypożyczył książkę kościołowi?

– To nie jest pierwszy lepszy kościół, tylko najbardziej enigmatyczne dzieło w architektonicznym dorobku Gaudiego – odparł Langdon. Wskazał za okno. – Wkrótce też najwyższy kościół w Europie.

Ambra odwróciła głowę, zerkając na północną stronę miasta. W oddali, otoczone dźwigami i rusztowaniami, oświetlone lampami na placu budowy, stały niedokończone wieże katedry Sagrada Família: skupisko perforowanych iglic wyglądających jak gigantyczne morskie gąbki, które opuściły głębiny, żeby wyruszyć w podróż do nieba.

Od ponad stu lat trwa budowa kontrowersyjnej bazyliki, finansowana głównie z datków wiernych. Krytykowana przez tradycjonalistów za upiorny naturalistyczny kształt i biomimetyczne wzornictwo świątynia jest za to samo chwalona przez modernistów, którzy zachwycają się jej konstrukcyjną płynnością i wykorzystaniem hiperboloidalnych form dla odzwierciedlenia świata natury.

– Przyznaję, że to niezwykle miejsce, ale jednak katolicki kościół – powiedziała Ambra, odwracając się do Langdona. – Przecież znasz Edmonda.

„Istotnie, znam” – pomyślał Langdon. „Wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć o jego przekonaniu, że Sagrada Família ma ukryty cel i symbolikę sięgającą znacznie dalej niż imaginarium chrześcijańskie”.

Od tysiąc osiemset osiemdziesiątego drugiego roku, gdy na placu budowy tego dziwnego kościoła wbito pierwszą łopatę, krążą teorie spiskowe na temat cudownego szyfru ukrytego na jego drzwiach, helikoidalnych kolumn jak nie z tego świata, naszpikowanych symbolami fasad, wyrytych w kamieniu kwadratów matematycznych i upiornej

konstrukcji szkieletowej, która ewidentnie wygląda jak skóra rozciągnięta między powykręcanyimi kośćmi.

Langdon znał oczywiście wszystkie te teorie i żadnej nie dawał wiary, ale przed kilkoma laty z zaskoczeniem przyjął przekazaną przez Edmonda informację o rosnącej liczbie wielbicieli Gaudiego, którzy skrycie wierzą, że Sagrada Família była pomyślana jako coś innego niż kościół katolicki, może nawet jako mistyczna świątynia nauki i natury.

Oczywiście potajemnie.

Langdon uznał to przekonanie za bezpodstawne i przypomniał Edmondowi, że Gaudí był gorliwym katolikiem, którego Watykan tak bardzo ceni, że określa go mianem architekta Boga, a nawet rozważa jego beatyfikację. Sagrada Família to niezwykle projekt, zgodził się Langdon, ale nic ponad kolejny przykład unikalnego modernistycznego podejścia jej twórcy do chrześcijańskiego symbolizmu.

„Kolejny sekret Kirscha” – myślał Langdon, patrząc na Ambrę. „Jak jego potajemna walka z rakiem”.

– Nawet jeśli Edmond istotnie wypożyczył swoją książkę i jest ona teraz w bazylice Sagrada Família, i nawet jeśli ją tam znajdziemy, to nigdy nam się nie uda odszukać odpowiedniego wersu, kartkując tekst – kontynuowała Ambra. – A wątpię, żeby Edmond użył markera w bezcennym manuskrypcie.

– Zerknij na drugą stronę, Ambro – powiedział Langdon ze spokojnym uśmiechem.

Spojrzała na kartonik, odwróciła go i przeczytała to, co tam znalazła.

Następnie z niedowierzaniem odczytała tekst ponownie.

Gdy po chwili podniosła wzrok na Langdona, w jej oczach znów jaśniała nadzieja.

– Dlatego mówiłem, że powinniśmy tam pojechać – powiedział, nadal się uśmiechając.

Podeksytowanie zniknęło z twarzy Ambry równie szybko, jak się na niej pojawiło.

– Ale jest jeszcze jeden problem. Nawet jeśli odnajdziemy hasło, to...

– Wiem. Straciliśmy telefon Edmonda, a to znaczy, że nie mamy dostępu do Winstona i nie możemy się z nim komunikować.

– No właśnie.

– Jestem jednak przekonany, że potrafię rozwiązać ten problem.

Ambra spojrzała z powątpiewaniem.

– Słucham?

– Wystarczy odnaleźć Winstona. Skoro nie mamy już zdalnego dostępu do komputera, który skonstruował Edmond, to musimy wpisać hasło osobiście.

Ambra patrzyła na niego, jakby oszalał.

– Powiedziałaś mi, że Edmond umieścił Winstona w sekretnym miejscu – kontynuował Langdon.

– Tak, ale to miejsce może się znajdować gdziekolwiek na świecie!

– Nie. To jest tutaj, w Barcelonie. Musi się tu znajdować. Barcelona jest miastem, w którym Edmond mieszkał i pracował, a Winston był jednym z jego ostatnich przedsięwzięć, dlatego jedyną sensowną lokalizacją dla tego komputera jest właśnie Barcelona.

– Robercie, nawet jeśli masz rację, to będziemy szukali igły w stogu siana. To wielkie miasto. Z cudem graniczyłoby, gdybyśmy...

– Potrafię znaleźć Winstona – wszedł jej w słowo. – Jestem tego pewien. – Uśmiechnął się i wskazał na światła pod nimi. – Może ci się to wydać szalone, ale widok miasta z lotu ptaka pomógł mi coś sobie uświadomić... – zawiesił głos, wyglądając przez okno.

– Możesz mówić jaśniej?

– Powinienem był to zobaczyć wcześniej – stwierdził. – Pewna zagadka dotycząca Winstona intryguje mnie przez cały wieczór. Chyba właśnie ją rozwiązałem.

Langdon spojrzał wymownie na gwardzistów, a następnie ściszył głos, pochylając się w stronę Ambry.

– Możesz mi zaufać? – poprosił cicho. – Jestem przekonany, że odnajdę Winstona.

Problem tylko w tym, że to się na nic nie zda, jeśli nie będziemy mieli hasła. Teraz więc muszę się skupić na odszukaniu tego jednego wersu. Dlatego powinniśmy jak najszybciej dotrzeć do Sagrada Família.

Ambra przez chwilę mierzyła Langdona wzrokiem. Potem ze zdumieniem skinęła głową i spojrzała w stronę przedniego fotela.

– Panie Fonseca! Niech pan każe pilotowi zawrócić i zawieźć nas do Sagrada Família!

– Pani Vidal, już mówiłem, że mam rozkaz...

Przyszła królowa Hiszpanii przerwała mu ostrym tonem.

– Proszę natychmiast zabrać nas do Sagrada Família albo pierwszą rzeczą, jakiej zażądam jako królowa, będzie wyrzucenie pana z pracy!

Rozdział 62



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

ZABÓJCA POWIĄZANY Z SEKTĄ!

Dzięki kolejnej wiadomości od monte@iglesia.org właśnie odkryliśmy, że zabójca Edmonda Kirscha jest członkiem ultrakonserwatywnej chrześcijańskiej sekty znanej pod nazwą Kościół palmariański.

Od ponad roku Ávila prowadził dla palmarian rekrutację w internecie, a jego przynależność do tej kontrowersyjnej organizacji religijno-militarnej wyjaśnia, dlaczego wytatuował na dłoni symbol utworzony z łacińskiego słowa *victor*.



Ten frankistowski znak jest powszechnie używany przez członków Kościoła palmariańskiego, który według hiszpańskiego dziennika „El Pais” ma własnego papieża oraz kanonizował kilku bezwzględnych dyktatorów, w tym Francisco Franco i Adolfa Hitlera!

Nie wierzysz? Sprawdź!

Wszystko zaczęło się od mistycznej wizji.

W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku pośrednik ubezpieczeniowy nazwiskiem Clemente Domínguez ogłosił, że miał wizję, w której sam Jezus Chrystus nałożył na jego skronie tiarę papieską. Domínguez przyjął imię Grzegorza XVII, zerwał z Watykanem i mianował własnych kardynałów. Rzym go oczywiście nie uznał, ale nowy antypapież zebrał tysiące wiernych oraz wielki majątek, co pozwoliło mu zbudować przypominający fortecę kościół, rozszerzyć działalność poza granice Hiszpanii oraz konsekrować setki palmariańskich biskupów na całym świecie.

Schizmatyczny Kościół palmariański funkcjonuje do dziś, a jego głównym ośrodkiem jest otoczony wysokim murem kompleks budynków o nazwie Góra Chrystusa Króla w hiszpańskim El Palmar de Troya. Palmarianie nie są uznawani przez Watykan, ale mimo to przyciągają wielu ultrakonserwatywnych katolików.

Wkrótce przedstawimy kolejne wiadomości na ten temat oraz najnowsze doniesienia w sprawie biskupa Antonia Valdespino, który – jak wszystko na to wskazuje – także jest zamieszany w wydarzenia dzisiejszego wieczoru.

Rozdział 63

„Jestem pod wrażeniem” – pomyślał Langdon.

Kilkoma ostrymi słowami Ambra właśnie zmusiła załogę helikoptera EC145, żeby szerokim łukiem zawróciła, kierując maszynę do bazyliki Sagrada Família.

Gdy pilot zmienił kurs i leciał z powrotem nad miastem, Ambra zażądała od Díaza jego telefonu komórkowego, który gwardzista z ociąganiem jej wręczył. Ambra otworzyła przeglądarkę, żeby sprawdzić najświeższe wiadomości.

– Cholera! – szepnęła, kręcąc głową ze zmartwioną miną. – Próbowałam przekazać mediom, że nie zostałam porwana. Ale nikt mnie nie usłyszał.

– Może potrzebują więcej czasu na publikację? – zasugerował Langdon. „Przecież nie minęło nawet dziesięć minut”.

– Czasu mieli dość – odpowiedziała. – Właśnie oglądam nagranie przedstawiające odlot naszego helikoptera z dachu Casa Milà.

„Już?!” Langdon chwilami odnosił wrażenie, że ziemski glob zaczął się obracać zbyt szybko wokół własnej osi. Pamiętał jeszcze czasy, gdy pilne wiadomości były drukowane na papierze gazetowym i dostarczane pod próg jego domu następnego ranka.

– A właśnie, wygląda na to, że ty i ja znaleźliśmy się we wszystkich serwisach informacyjnych na całym świecie.

– Wiedziałem, że popełniam błąd, decydując się na to porwanie – stwierdził cierpko.

– To nie jest śmieszne. Ale przynajmniej nie jesteśmy numerem jeden. – Wręczyła mu telefon. – Obejrzyj to.

Langdon spojrzał na wyświetlacz. Strona startowa Yahoo, a na niej *Trending Now*, czyli lista dziesięciu tematów najczęściej klikanych w sieci. Sprawdził najpopularniejszy:

1. Skąd przyszliśmy? / Edmond Kirsch

A więc prezentacja zainspirowała ludzi na całym świecie do dyskusji i poszukiwań w internecie. „Edmond by się ucieszył” – pomyślał Langdon, gdy jednak kliknął link i przeczytał pierwsze nagłówki, zdał sobie sprawę ze swojej pomyłki: same teksty o kreacjonizmie albo istotach pozaziemskich.

„Edmond by się przeraził”.

Jednym z najbardziej spektakularnych momentów, gdy Kirsch publicznie stracił panowanie nad sobą, było zwymyślanie uczestników forum zorganizowanego pod hasłem *Nauka i duchowość*, podczas którego Edmond tak mocno się zirytował pytaniami publiczności, że wzniósł ręce w geście oburzenia i zszedł ze sceny, krzycząc: „Dlaczego inteligentne istoty ludzkie nie potrafią dyskutować o swoim pochodzeniu bez przywoływania imienia Boga i tych cholernych kosmitów?!”.

Langdon przewijał stronę, dopóki na wyświetlaczu telefonu nie pojawił się pozornie nieszkodliwy link do transmisji CNN Live pod tytułem *Co odkrył Kirsch?*

Kliknął odnośnik, po czym ustawił telefon tak, żeby Ambra też mogła widzieć ekran. Gdy materiał zaczął się odtwarzać, Langdon zwiększył głośność i obydwójce pochylili się nad aparatem, żeby mimo hałasujących wirników cokolwiek usłyszeć.

Wyświetliła się prezenterka CNN. W ciągu ostatnich lat Langdon widział wiele jej programów.

– Naszym gościem jest teraz doktor Griffin Bennett, astrobiolog z NASA, który ma kilka przypuszczeń dotyczących tajemniczego odkrycia Edmonda Kirscha. Dzień dobry, panie doktorze.

Gość, brodaty mężczyzna w okularach z drucianymi oprawkami, poważnie skinął głową.

– Pozwolę sobie zacząć od stwierdzenia, że znałem Edmonda osobiście. Mam ogromny szacunek dla jego inteligencji, kreatywności oraz oddania, z jakim działał na rzecz postępu i innowacyjności. Jego tragiczna śmierć jest wielkim ciosem dla nauki.

Mam nadzieję, że to potworne morderstwo zjednoczy społeczność naukową do walki z fanatyzmem religijnym, przesądami oraz tymi wszystkimi, którzy szerzą swoje poglądy, odwołując się do przemocy zamiast do faktów. Oby prawdziwe okazały się pogłoski o ludziach, którzy ze wszystkich sił starają się znaleźć sposób, aby prezentacja Edmonda ujrzała jednak światło dzienne.

Langdon spojrzał na Ambrę.

– Zdaje się, że mówi o nas.

Skinęła potakująco.

– Pańską nadzieję podziela wielu, panie doktorze – powiedziała prezenterka. – Czy mógłby pan teraz opowiedzieć o swoich przypuszczeniach na temat odkrycia Edmonda Kirscha?

– Ponieważ zajmuję się badaniem kosmosu, chciałbym poprzedzić swoją wypowiedź krótką uwagą natury ogólnej, z którą jak sądzę, zgodziłby się Edmond Kirsch.

– Doktor Bennett odwrócił się i spojrzał prosto do kamery. – Kwestią życia

pozaziemskiego zajmuje się wielu pseudonaukowców, zwolenników teorii spiskowych i zwyczajnych fantastów. Chcę więc najpierw jasno stwierdzić, że kręgi w zbożu są szalbierstwem, a filmy pokazujące autopsję istot pozaziemskich to zdjęcia trikowe. Ani jednej krowy nie okaleczyli kosmici, a spodek nad Roswell był balonem meteorologicznym wypuszczonym w ramach rządowego projektu o kryptonimie „Mogul”. Egipcjanie zbudowali piramidy bez odwoływania się do pozaziemskiej technologii, a wszystkie bez wyjątku historie o uprowadzeniu przez kosmitów są wierutnym kłamstwem.

– Skąd ta pewność? – zapytała dziennikarka.

– Prosta logika – odpowiedział naukowiec, odwracając się do prezenterki z poirytowaniem. – Jakakolwiek forma życia zaawansowana na tyle, by udać się w trwającą lata świetlne podróż po przestrzeni międzygwiazdnej, nie miałaby czego szukać w odbycie farmera ze stanu Kansas. Nie miałaby też powodu, żeby przeistaczać się w gady ani infiltrować władze któregośkolwiek państwa, gdyby chciała opanować Ziemię. Jakakolwiek forma życia dysponująca technologią umożliwiającą jej przylot na naszą planetę nie musiałaby się uciekać do podstępu, żeby nad nami zapanować.

– To raczej niepokojące – stwierdziła prezenterka, śmiejąc się niezręcznie. – Jak to się ma do pańskich przemyśleń na temat odkrycia Edmonda Kirscha?

Mężczyzna westchnął ciężko.

– Jestem przekonany, że Edmond Kirsch znalazł ostateczny dowód na to, że życie na Ziemi powstało w przestrzeni kosmicznej, i chciał ten dowód upublicznić.

Langdon sceptycznie podszedł do tej rewelacji, znając opinię Edmonda na temat rozważań o pozaziemskich źródłach życia.

– Fascynujące. Dlaczego pan tak uważa?

– Powstanie życia w przestrzeni kosmicznej jest jedyną racjonalną możliwością.

Mamy już niezaprzeczalny dowód, że może następować wymiana materii między planetami. Znaleźliśmy na Ziemi fragmenty z Marsa i Wenus oraz setki próbek z niezidentyfikowanych źródeł, co wspiera tezę, że życie dotarło na naszą planetę za pośrednictwem odłamków skalnych, w formie mikrobów, które ostatecznie ewoluowały do ziemskich form żywych.

Prezenterka skinęła z uwagą.

– Ale przecież teoria o mikrobach, które przyleciały z kosmosu na skałach, krąży od dziesięcioleci i nigdy nie została potwierdzona. W jaki sposób, pańskim zdaniem, Edmond Kirsch mógłby udowodnić tezę, która jest domeną astrobiologii raczej niż informatyki?

– Swoje przypuszczenie opieram na logicznych przesłankach – odpowiedział Bennett. – Najwybitniejsi astronomowie ostrzegają od wielu lat, że w długiej perspektywie jedyną nadzieją ludzkości na przetrwanie będzie opuszczenie naszej planety. Ziemia przekroczyła

już połowę swojego cyklu i w końcu zostanie wchłonięta przez Słońce, gdy zamieni się ono w czerwonego giganta, jeśli oczywiście wcześniej nie zniszczy nas uderzenie jakiejś olbrzymiej asteroidy albo potężny wybuch promieniowania gamma. Właśnie dlatego zaczynamy tworzyć obiekty na Marsie, żeby stamtąd wyruszyć w głęboki kosmos na poszukiwanie planety, która stanie się nowym domem ludzkości.

Nie muszę dodawać, że to naprawdę ogromne przedsięwzięcie i gdybyśmy potrafili znaleźć prostszy sposób na przetrwanie, wprowadzilibyśmy go w życie natychmiast.

Doktor Bennett zawiesił głos.

– Może jednak taki prostszy sposób istnieje. Gdybyśmy na przykład upchnęli jakoś ludzki genom do pojedynczej kapsuły, a potem miliony takich kapsuł wystrzelili w przestrzeń kosmiczną z nadzieją, że któraś z nich zanieśie ludzkie życie na odległą planetę? Odpowiednia technologia nie została jeszcze wynaleziona, ale omawiamy ją jako potencjalną możliwość zachowania gatunku ludzkiego. Jeśli my rozważamy wysyłanie w kosmos zarodkowej formy życia, to cywilizacja bardziej zaawansowana od nas też mogła to brać pod uwagę.

Langdon podejrzewał już, dokąd prowadzą rozważania doktora Bennetta.

– Mając to w pamięci, przypuszczam, że Edmond Kirsch mógł odkryć jakiś rodzaj kosmicznego podpisu. Nie wiem oczywiście w jakiej formie, może fizycznej, chemicznej, cyfrowej albo jeszcze innej, ale taki kosmiczny podpis dowodziłby, że życie trafiło na Ziemię z kosmosu. Powinienem też jednak wspomnieć, że kilka lat temu debatowałem na ten temat z Edmondem Kirschem. Nie podobała mu się teoria o zasianiu życia na Ziemi z kosmosu, ponieważ tak jak wielu innych uznawał, że materiał genetyczny nigdy by nie przetrwał promieniowania ani temperatur kosmicznych, na które byłby narażony podczas długiej podróży. Ja jednak uważam, że udałoby się zamknąć nasiona życia w odpornych na bardzo trudne warunki łupinach, a następnie wystrzelić je w przestrzeń kosmiczną z zamiarem zaludnienia jakiejś innej planety. Taka wspomagana technicznie panspermia mogłaby zaludnić kosmos.

– No dobrze, a gdyby ktoś odkrył dowód, że ludzkość pochodzi od przetrwalnika przysłanego z kosmosu, czy wtedy musielibyśmy wnioskować, że nie jesteśmy sami we wszechświecie? – pytała dziennikarka. – I, co o wiele mniej prawdopodobne, że...

– Tak? – Doktor Bennett po raz pierwszy się uśmiechnął.

– To znaczyłoby, że ktokolwiek przesłał przetrwalniki na Ziemię, musiał być taki jak my. Że zrobili to ludzie.

– Taki też był mój wniosek, potem jednak Edmond mnie skorygował, wskazując na błąd tego rozumowania.

Ta uwaga wyraźnie zaskoczyła dziennikarkę.

– Zatem Edmond uważał, że przetrwalniki mogły trafić na Ziemię dzięki istotom innym niż ludzkie?

– „Ludzie są niedopieczeni”, że zacytuję słowa Edmonda.

– Słucham?

– Edmond twierdził, że jeśli teoria o przetrwalniku jest prawdziwa, to przesłana w ten sposób receptura zrealizowała się jedynie w połowie, a ludzie nie są jeszcze dokończeni. Innymi słowy, ludzie nie są produktem końcowym, a jedynie gatunkiem przejściowym, który ewoluuje w kierunku czegoś... kosmicznego.

Prezenterka CNN była oszołomiona.

– Edmond argumentował, że zaawansowana forma życia nie przysłałaby przepisu na człowieka, tak jak nie przysłałaby na Ziemię szympanów. – Naukowiec z NASA zachichotał. – Żartował nawet, że na pewno potajemnie wyznaje chrześcijaństwo, ponieważ tylko religijny umysł może twierdzić, że człowiek jest centrum wszechświata.

Albo że obcy przesłali nam z kosmosu pocztą lotniczą w pełni uformowanych Adama i Ewę.

– No cóż, panie doktorze, rozmowa z panem z pewnością dała nam wiele do myślenia – stwierdziła prezenterka wyraźnie niezadowolona z kierunku, w jakim się potoczył ten wywiad. – Bardzo panu dziękuję za wizytę w studio.

Ta część programu dobiegła końca i Ambra natychmiast odwróciła się do Langdona.

– Jeśli Edmond znalazł dowód na to, że ludzie są nie w pełni rozwiniętym gatunkiem kosmicznym, to powstaje jeszcze poważniejsze pytanie, do czego nas ta ewolucja doprowadzi.

– Owszem – powiedział Langdon. – Ale moim zdaniem Edmond sformułowałby to pytanie nieco inaczej: dokąd idziemy?

Ambre wyraźnie zaskoczył wniosek, że zatoczyła pełne koło.

– Czyli drugie pytanie z dzisiejszej prezentacji Edmonda.

– Otóż to. Skąd przyszedliśmy? Dokąd idziemy? Widocznie zdaniem naukowca z NASA, którego właśnie oglądaliśmy, odpowiedzi na te dwa pytania Edmond szukał, patrząc w niebo.

– Jakie jest twoje zdanie, Robercie? Czy to właśnie odkrył Edmond?

Langdon z powątpiewaniem marszczył brwi, rozważając tę możliwość. Teoria naukowca z NASA, choć ekscytująca, wydawała się o wiele zbyt ogólna i bujająca w obłokach jak na precyzyjne myślenie Edmonda Kirscha. „Edmond lubił rozwiązania proste i praktyczne. Był informatykiem”. Co ważniejsze, Langdon nie potrafił sobie wyobrazić, jak Edmond mógłby udowodnić taką teorię. „Odnaleźć przetrwalnik sprzed milionów lat? Namierzyć ślad transmisji z kosmosu?” W obydwu wypadkach przełom byłby natychmiastowy, a na

dokonanie swojego odkrycia Edmond potrzebował czasu.

„Mówił przecież, że pracował nad tym od miesięcy”.

– Nie wiem – odpowiedział Ambrze. – Ale przecucie mi podpowiada, że odkrycie Edmonda nie ma nic wspólnego z życiem pozaziemskim. Naprawdę wierzę, że doszedł do czegoś zupełnie innego.

Ambra patrzyła najpierw zaskoczona, a potem zaintrygowana.

– Zdaje się, że jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać – powiedziała, wskazując na okno.

Przed nimi migotały oświetlone wieże bazyliki Sagrada Família.

Rozdział 64

Biskup Valdespino ponownie zerknął na Juliána, który nie odrywał wzroku od szyby opła pędzącego po drodze M505.

„O czym tak rozmyśla?”

Ksiązę nie odezwał się od ponad pół godziny. Siedział nieruchomo, jeśli nie liczyć gestów, które od czasu do czasu wykonywał odruchowo, sięgając do kieszeni po telefon komórkowy, po czym cofał rękę, gdy sobie przypominał, że zamknął go w pałacowym sejfie.

„Muszę ukryć przed nim prawdę jeszcze chociaż przez chwilę” – myślał Valdespino.

Akolita za kierownicą nadal prowadził auto w stronę Casita del Príncipe, ale już niebawem Valdespino będzie musiał oznajmić, że rezydencja następców tronu wcale nie jest miejscem, do którego się udają.

Nagle Julián odwrócił się od okna i dotknął ramienia kierowcy.

– Proszę włączyć radio – polecił. – Chciałbym wysłuchać wiadomości.

Zanim młody kleryk zdążył zareagować, Valdespino pochylił się do przodu i położył dłoń na jego ramieniu.

– Może jednak posiedzmy w ciszy – stwierdził.

Julián spojrzał na biskupa wyraźnie niezadowolony, że ten zmienił jego polecenie.

– Przepraszam – powiedział Valdespino natychmiast, dostrzegając rosnącą nieufność w oczach księcia. – Jest późno. W radiu będzie tylko trajkot. Cisza sprzyja refleksji.

– Od dłuższego czasu oddawałem się refleksji – stwierdził Julián ostro. – Teraz chciałbym usłyszeć, co nowego w moim kraju. Całkowicie się dziś odizolowaliśmy od świata i właśnie zaczynam dochodzić do wniosku, że to nie był dobry pomysł.

– Oczywiście, że był dobry – zapewnił go Valdespino. – Dziękuję za zaufanie, które mi okazałeś. – Biskup zdjął dłoń z ramienia kleryka i wskazał na radio. – Proszę włączyć wiadomości – polecił. – Najlepiej Radio Maria España.

Valdespino miał nadzieję, że relacjonując wydarzenia dzisiejszego wieczoru, katolicka rozgłośnia wykaże się większą delikatnością i taktem niż pozostałe stacje informacyjne.

Gdy z kipskiego odbiornika popłynął głos, prezenter mówił o wystąpieniu Edmonda Kirscha i jego zabójstwie. „Cały świat mówi dziś o tym!” Valdespino miał tylko nadzieję, że w komentarzu nie pojawi się jego nazwisko.

Na szczęście prezenter skupiał się na niebezpieczeństwach płynących z antyreligijnego przekazu Kirscha, zwłaszcza na zagrożeniach dla hiszpańskiej młodzieży. Aby zilustrować stawiane tezy, spiker odtworzył z taśm archiwalnych wykład, który Kirsch niedawno wygłosił na Uniwersytecie w Barcelonie.

– Wielu z nas boi się zadeklarować jako ateści – powiedział Kirsch spokojnym głosem do zebranych studentów. – A przecież ateizm nie jest ani filozofią, ani sposobem patrzenia na świat. Ateizm jest po prostu przyznaniem czegoś oczywistego.

Kilkoro słuchaczy wyraziło akceptację oklaskami.

– Termin „ateista” nie powinien nawet istnieć – kontynuował Kirsch. – Nikt przecież nie ma potrzeby podkreślania, że jest nieastrologiem albo niealchemikiem. Nie istnieją w języku określenia na ludzi, którzy nie wierzą, że Elvis żyje, albo w to, że mieszkańcy obcych galaktyk przylatują na Ziemię, żeby molestować bydło. Ateizm to po prostu wyrazy niezadowolenia, które rozsądni ludzie okazują w konfrontacji z nieuzasadnionymi przekonaniem religijnymi.

Tym razem oklaski były głośniejsze.

– Ta definicja ateizmu nie jest moja. Zacytowałem neurobiologa Sama Harrisa.

Jeśli jeszcze tego nie zrobiliście, musicie przeczytać jego książkę *List do chrześcijańskiego narodu*.

Valdespino zmarszczył brwi, przypominając sobie, jakim echem odbiła się w Hiszpanii ta skierowana do Amerykanów książka, gdy opublikowano ją jako *Carta a una Nación Cristiana*.

– Niech podniosą teraz rękę ci z was, którzy wierzą w któregoś z trzech antycznych bogów: Apolla, Zeusa albo Wulkana – zwrócił się do studentów Kirsch, po czym zamilkł na chwilę i się roześmiał. – Nikt z was? Można zatem stwierdzić, że wszyscy jesteście ateistami w odniesieniu do tych trzech bogów. – Zawiesił głos. – Ja się posuwam tylko o jednego boga dalej.

Tłum zaklaskał jeszcze głośniej.

– Przyjaciele, nie twierdzę, że nieistnienie Boga jest faktem. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli za stworzeniem wszechświata stoi jakaś boska siła, to histerycznie się śmieje z religii, które stworzyliśmy, próbując ją zdefiniować.

Studenci wybuchnęli śmiechem.

Valdespino był teraz zadowolony, że książkę polecił włączyć radio. „Julián musi to usłyszeć”. Diabelski urok i charyzma Kirscha to wyraźny dowód, że wrogowie Chrystusa

nie siedzą już beczynn timer, tylko aktywnie próbują odciągać dusze wiernych od Boga.

– Jestem Amerykaninem i naprawdę się cieszę, że dane mi było urodzić się w kraju należącym do najbardziej zaawansowanych technologicznie oraz intelektualnie miejsc na Ziemi. Dlatego z wielkim niepokojem przyjmuję wyniki niedawnego badania opinii publicznej, które pokazały, że połowa, tak, połowa moich rodaków wierzy, że Adam i Ewa istnieli naprawdę, bo wszechmogący Bóg stworzył dwie istoty ludzkie, które następnie zaludniły całą planetę, dając początek różnym rasom, a ich potomkowie uniknęli niebezpieczeństw wynikających z krzyżowania wsobnego.

Znowu śmiechy.

– Pastor z Kentucky nazwiskiem Peter LaRuffa publicznie oznajmił, że gdyby gdzieś w Biblii znalazł passus z informacją, że dwa plus dwa równa się pięć, to wierzyłby weń i uznał za prawdę.

Tym razem śmiech rozległ się głośniejsz.

– Owszem, trudno się nie roześmiać, ale zapewniam was, że takie przekonania są bardziej przerażające niż zabawne. Wśród ludzi, którzy je żywią, znajdziecie wielu bystrych, świetnie wykształconych profesjonalistów. Są wśród nich prawnicy, lekarze i nauczyciele, a niektórzy z nich aspirują do najwyższych urzędów w państwie. Na własne uszy słyszałem, jak członek Kongresu Stanów Zjednoczonych powiedział, cytując: „Ewolucja i Wielki Wybuch to kłamstwa z samego dna piekła. Wierzę, że Ziemia ma około dziewięciu tysięcy lat i że została stworzona w sześć dni, o czym wszyscy wiemy”

– kontynuował Kirsch. – Ale bardziej niepokojący jest fakt, że kongresman Broun zasiada w parlamentarnej Komisji do spraw nauki, przestrzeni kosmicznej i technologii, a zapytany o skamieliny odparł, że stworzył je sam Bóg, żeby poddać próbie naszą wiarę.

Głos Kirscha ścichł i posmutniał.

– Godząc się na ignorancję, umacniamy ją. Nie reagując na absurdalne oświadczenia polityków, popełniamy przestępstwo współudziału. Podobnie jak godząc się na to, by szkoły uczyły nasze dzieci jawnej nieprawdy. Nadszedł czas na działanie.

Dopóki nie oczyścimy naszego gatunku z przesądów, dopóty nie wykorzystamy w pełni możliwości naszego mózgu. – Zrobił pauzę, a jego słuchacze zamarli w oczekiwaniu. – Kocham ludzkość. Wierzę, że potencjał naszego gatunku jest tak samo nieograniczony jak możliwości naszego umysłu. Wierzę, że stanęliśmy na progu nowej ery, że czeka nas świat, z którego religia wreszcie odejdzie, a zapanuje w nim nauka.

Tłum zgotował mu burzliwą owację.

– Na litość boską, proszę to wyłączyć! – warknął Valdespino, kręcąc głową z politowaniem.

Akolita wypełnił polecenie i trzech mężczyzn znów podróżowali w ciszy.

Tymczasem kilkanaście kilometrów od nich Mónica Martín stała naprzeciwko zdyszanego Suresha Bhalli, który właśnie zbiegł na dół i wręczył jej telefon komórkowy.

– Długa historia – wysapał. – Ale musisz przeczytać esemes, który otrzymał biskup Valdespino.

– Zaraz, zaraz – Martín omal nie upuściła telefonu. – To jest komórka biskupa Valdespino? Skąd do jasnej cholery...

– Nie pytaj – przerwał jej. – Po prostu przeczytaj.

Zaniepokojona Martín opuściła wzrok i zaczęła czytać tekst widoczny na wyświetlaczu telefonu. Po kilku sekundach poczuła, że blednie.

– Mój Boże! Biskup Valdespino jest... – Głos uwiązł jej w gardle.

– Niebezpieczny – dokończył Suresh.

– Ale to niemożliwe! Kto wysłał tę wiadomość?

– Numer jest zastrzeżony. Już poleciłem, żeby go zidentyfikować.

– Dlaczego Valdespino tego nie usunął?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Suresh beznamiętnie. – Nieostrożność?

Arogancja? Spróbuję też odzyskać wszystkie usunięte wiadomości i może mi się uda ustalić, z kim Valdespino je wymieniał, ale najpierw chciałem ci to pokazać. Będziesz musiała wydać jakieś oświadczenie.

– Na pewno nie – odparła Martín, nadal nie mogąc dojść do siebie. – Pałac nigdy nie upubliczni tej informacji!

– Pałac może nie, ale ktoś inny na pewno, i to niebawem. – Suresh wyjaśnił, że wyjął z sejfu telefon biskupa, ponieważ otrzymał mail od monte@iglesia.org, informatora stojącego za publikacjami ConspiracyNet. Wszystko więc wskazywało na to, że esemes skierowany do biskupa Valdespino niebawem ujrzy światło dzienne.

Martín zamknęła oczy, nie chcąc sobie nawet wyobrażać, jak świat zareaguje na niepodważalny dowód, że katolicki arcybiskup, w dodatku blisko powiązany z królem Hiszpanii, jest bezpośrednio zamieszany w zdradę i morderstwo, które dokonało się dziś wieczorem.

– Suresh – szepnęła, powoli otwierając oczy. – Muszę się dowiedzieć, kim jest Monte. Zrobisz to dla mnie?

– Mogę spróbować – obiecał, choć w jego głosie nie było wiele nadziei.

– Dziękuję. – Martín oddała mu telefon biskupa, po czym pośpiesznie ruszyła do drzwi.

– I przyslij mi screena tego esemesa! – rzuciła przez ramię.

– Dokąd idziesz? – krzyknął za nią Suresh.

Ale Mónica Martín nie odpowiedziała.

Rozdział 65

La Sagrada Família – Świątynia Pokutna Świętej Rodziny – zajmuje cały kwartał ulic w centrum Barcelony. Mimo tak potężnych rozmiarów kościół zdaje się nieważko unosić w powietrzu i trudno odeprzeć wrażenie, że zwiewne wieże strzelają w niebo bez żadnego wysiłku.

Misternie zdobione porowate mury mają różną wysokość, przez co świątynia wygląda jak wymyślny zamek z piasku zbudowany przez psotnych gigantów. Po ukończeniu najwyższa z nich osiągnie oszałamiającą wysokość stu siedemdziesięciu metrów – więcej niż pomnik Waszyngtona – a Sagrada Família stanie się najwyższym kościołem na świecie, wyprzedzając watykańską bazylikę Świętego Piotra o ponad trzydzieści metrów.

Główną nawę osłaniają trzy potężne fasady. Od wschodu kolorowa Fasada Narodzenia Pańskiego wznosi się niczym wiszący ogród ozdobiona polichromicznymi roślinami, zwierzętami, owocami i ludźmi. Kontrastuje z nią zachodnia Fasada Męki Pańskiej wykuta w surowym kamieniu, kształtami mająca przypominać kości i ściętna ludzkie. Po południowej stronie na Fasadzie Chwały pnie się wzwyż chaotyczna alegoria demonów, bożków, grzechów i przywar zwieńczona obrazami Wniebowstąpienia, Cnoty i Raju.

Obwód uzupełniają niezliczone mniejsze fasady, przypory i wieże w większości wykonane z materiału przypominającego wyglądem błoto, przez co niższa połowa budynku wygląda albo jakby się topiła, albo została wyciśnięta z ziemi. W opinii jednego z krytyków sztuki dolna część katedry Sagrada Família przypomina „butwiejący pień drzewa, na którym wyrosły fantazyjne grzyby wież”.

Oprócz tradycyjnej ikonografii religijnej Gaudí wykorzystał do ozdoby stworzonego przez siebie kościoła niezliczone i często zaskakujące elementy wyrażające jego podziw dla natury – żółwie wspierające kolumny, drzewa wyrastające wprost z fasady, a nawet gigantyczne kamienne ślimaki i żaby, które wpełzają na zewnętrzne ściany budynku.

Mimo takiej ekscentrycznej fasady Sagrada Família naprawdę zaskakuje, dopiero gdy się przekroczy jej progi. W głównej nawie zwiedzający niezmiennie stają z otwartymi ze zdumienia ustami, widząc kolumny w kształcie pni drzew palmowych, które strzelają

kilkadzieści metrów w górę i pochylają się, by na szczycie podeprzeć sklepienia będące psychodelicznym kolażem rozświetlonych kształtów zawieszonych w ich koronach.

Gaudí twierdził, że tworząc te kolumny, chciał nawiązać do początków duchowych poszukiwań człowieka, gdy boską katedrą był właśnie las.

Nic dziwnego, że utrzymane w stylu secesyjnym kolosalne *opus magnum* Gaudiego budzi albo uwielbienie, albo pogardliwy cynizm. Przez jednych wychwalane jako dzieło zmysłowe, duchowe i organiczne, przez innych jest wyszydzane jako wulgarne, pretensjonalne i bluźniercze. Pisarz James Michener nazwał katedrę „jednym z najdziwniej wyglądających poważnych budynków na świecie”, podczas gdy czasopismo „Architectural Review” użyło określenia „święty potwór Gaudiego”.

Jeśli wygląd Świątyni Pokutnej Świętej Rodziny wydaje się niezwykły, to jeszcze dziwniejsze jest jej finansowanie, ponieważ powstaje ona z prywatnych dotacji, bez żadnego wsparcia Watykanu ani reszty katolickiego świata. Mimo wiszącego nad nią widma bankructwa i okresowych przerw w budowie, Sagrada Família wykazuje niemal darwinowską wolę przetrwania. Zniosła śmierć swojego architekta, przemoc wojny domowej, atak terrorystyczny katalońskich anarchistów, a nawet drażnienie nieopodal tunelu i stacji metra, które groziło destabilizacją gruntu, na którym ją posadowiono.

A mimo to Sagrada Família stoi i ciągle rośnie.

Przez ostatnie dziesięciolecie sytuacja bazyliki znacznie się poprawiła, ponieważ jej budżet zasilają dochody ze sprzedaży biletów mniej więcej trzem milionom turystów rocznie, którzy sownie płacą za możliwość zwiedzania nieukończonej konstrukcji. Od dnia ogłoszenia, że budowa zakończy się w dwa tysiące dwudziestym szóstym roku, a więc w stulecie śmierci Gaudiego, bazylika odzyskała dawny wigor, wystrzeliwując swoje wieże w niebo z nową nadzieją i niecierpliwością.

Ojciec Joaquim Beña, najstarszy wiekiem wśród duchownych tej niezwyklej katedry i jej proboszcz, był jowialnym osiemdziesięciolatkiem w okrągłych okularach na pełnej, zawsze uśmiechniętej twarzy wystającej spomiędzy fałd okrywającego jego drobne ciało habitu. Od zawsze marzył tylko o tym, żeby dożyć dnia, w którym ta cudowna świątynia zostanie ukończona.

Ale dziś wieczorem w swoim kościelnym gabinecie ojciec Beña się nie uśmiechał.

Został dłużej, żeby w spokoju zająć się sprawami służbowymi, zamiast jednak pracować, utknął przed monitorem komputera całkowicie pochłonięty zatrważającym dramatem, który rozegrał się w Bilbao.

„Edmond Kirsch został zamordowany”.

Przez ostatnie trzy miesiące Beña, choć to nieprawdopodobne, nawiązał przyjaźń z Kirschem. Zadeklarowany ateista zaskoczył go, gdy pewnego dnia zaproponował dotację

na kościół, wymieniając bezprecedensową kwotę, która znacznie poprawiłaby budżet świątyni.

„Oferta Kirscha nie ma sensu” – pomyślał wtedy Beña. „Czy to wybieg, żeby zdobyć rozgłos? A może chce w ten sposób zyskać wpływ na budowę świątyni?”

Swoją dotację słynny futurysta uzależnił od spełnienia jednej tylko prośby.

Beña wysłuchał jej, nie wiedząc, co ma myśleć. „To wszystko?”

– To dla mnie sprawa osobista – wyjaśniał Kirsch. – Mam nadzieję, że zechce ksiądz rozważyć moją propozycję.

Beña był człowiekiem ufnym, ale w tym momencie miał wrażenie, że paktuje z samym diablem. Przez chwilę patrzył w oczy Kirscha, szukając w nich jakiegoś ukrytego motywu. I wtedy to zobaczył. Za beztróskim urokiem osobistym tego człowieka płonęła znużona desperacja, a widok zapadniętych oczodołów i chudość ciała przypomniały staremu kapłanowi lata seminaryjne, gdy posługiwał w hospicjum.

„Edmond Kirsch jest chory”.

Duchowny zastanawiał się, czy ten młody człowiek umiera i czy jego dotacja nie jest próbą pogodzenia się z Bogiem, którym przez całe życie pogardzał.

„W obliczu śmierci ci najzarliwiej przekonani o własnej nieomyślności boją się najbardziej”.

Beña pomyślał o najmłodszym ewangelistcie, Świętym Janie, który poświęcił życie na przekonywanie niewierzących, by doświadczyli chwały Jezusa Chrystusa. Doszedł do wniosku, że skoro zadeklarowany ateista chce uczestniczyć w budowaniu świątyni Chrystusa, to odrzucenie jego prośby byłoby i niechrześcijańskie, i okrutne.

Do tego dochodził wynikający z pełnionej funkcji obowiązek pozyskiwania funduszy na budowę bazyliki i Beña nie mógł sobie wyobrazić, że informuje pozostałych kapłanów o odrzuceniu gigantycznej dotacji ze względu na jawny ateizm darczyńcy.

Tak więc Beña przyjął warunki Kirscha, a ten z wdzięcznością uścisnął mu dłoń.

Przed trzema miesiącami.

Dziś Beña oglądał transmisję wystąpienia Kirscha w Muzeum Guggenheima, najpierw zaniepokojony jej antyreligijnym tonem, potem zaintrygowany zapowiedzią tajemniczego odkrycia, a na końcu przerażony brutalnym morderstwem.

Kapłan nie mógł się oderwać od komputera, zafascynowany ciągiem wydarzeń, które szybko zamieniły się w przyprawiający o zawrót głowy kalejdoskop coraz to nowych teorii spiskowych.

Przytłoczony ciężarem wszystkich tych zdarzeń siedział samotnie w przepastnej nawie głównej. Ale mistyczny las Gaudiego nie uspokoił gonitwy myśli.

„Co takiego Kirsch odkrył? Komu zależało na jego śmierci?”

Ojciec Beña zamknął oczy i próbował oczyścić umysł, ale natrętne pytania wracały. Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy?

– Przyszliśmy od Boga i do Boga zmierzamy – oznajmił na głos.

Słowa dobyły się z jego piersi z taką mocą, że rozbrzmiały echem w całej świątyni.

Wtedy nagle przez witraż nad Fasadą Męki Pańskiej przebił się do wnętrza bazyliki snop ostrego światła.

Oniemiały z wrażenia stary kapłan wstał i ruszył w stronę okna. Im niżej schodziło na witrażu niebiańskie światło, tym głośniejszy w całym kościele rozlegał się huk. Gdy Beña wyszedł na zewnątrz przez główne drzwi świątyni, poczuł, jak smaga go silny wiatr. Nad nim po lewej stronie schodził do lądowania potężny helikopter, omiatając teren oślepiającym reflektorem.

Kapłan z niedowierzaniem obserwował, jak maszyna dotyka ziemi na placu budowy, po wewnętrznej stronie ogrodzenia, i nieruchomości.

Gdy wiatr i huk ustały, ojciec Beña stał w głównych drzwiach bazyliki Sagrada Família, przyglądając się czterem postaciom, które wysiadły z helikoptera i pośpiesznie zmierzały w jego stronę. Dwie na przodzie rozpoznał natychmiast, ponieważ widział je podczas wieczornej transmisji: jedną była przyszła królowa Hiszpanii, a drugą profesor Robert Langdon. Za nimi szło dwóch słusznej postury mężczyzn w jednakowych marynarkach z monogramem na piersi.

Wyglądało na to, że Langdon wcale nie porwał Ambry Vidal. Gdy amerykański profesor się zbliżył, Beña wyraźnie dostrzegł, że przyszła królowa idzie obok niego z własnej woli.

– Ojcze! – krzyknęła pani Vidal, machając ręką. – Proszę nam wybaczyć to hałaśliwe przybycie. Musimy z ojcem natychmiast porozmawiać. To bardzo ważna sprawa.

Beña otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale mógł tylko bezgłośnie skinąć głową na powitanie zbliżającej się do niego czwórki.

– Najmocniej przepraszamy – powiedział Robert Langdon z rozbrajającym uśmiechem.

– Mogę się tylko domyślać, jak dziwnie wyglądamy. Czy ojciec wie, kim jesteśmy?

– Oczywiście, że wiem – wyjąkał. – Ale myślałem...

– To nieprawdziwa informacja – powiedziała Ambra. – Zapewniam księdza, że wszystko jest w porządku.

W tej samej chwili dwaj ochroniarze patrolujący teren wokół katedry wbiegli przez bramkę obrotową, zaniepokojeni przybyciem helikoptera. Zauważyli Benę i biegiem ruszyli w jego stronę.

Mężczyźni w marynarkach z monogramem natychmiast się odwrócili, powstrzymując ochroniarzy powszechnie zrozumiałym gestem podniesionej dłoni.

Biegnący strażnicy zatrzymali się w miejscu zaskoczeni, wzrokiem pytając Benę, co

mają teraz robić.

– *¡Tot està bé! ¡Tornin al seu lloc!* – krzyknął duchowny po katalońsku. „Wszystko w porządku. Wracajcie na stanowiska”.

Ochroniarze niepewnym wzrokiem zerkali na dziwne zgromadzenie.

– *Són els meus convidats. Confïo en la seva discreció* – dodał Beña stanowczym tonem. „To są moi goście. Liczę na waszą dyskrecję”.

Zdumieni ochroniarze wycofali się do bramki obrotowej, żeby wrócić do patrolowania terenu na zewnątrz ogrodzenia.

– Dziękuję – powiedziała Ambra. – Jestem naprawdę bardzo wdzięczna.

– Ojciec Joaquim Beña – przedstawił się. – Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

Robert Langdon uściśnął dłoń duchownego.

– Szukamy rzadkiej książki, która należała do naukowca Edmonda Kirscha – wyjaśnił, po czym wyjął z kieszeni elegancki kartonik i wręczył rozmówcy. – Według tego rewersu znajduje się ona teraz na terenie tej bazyliki.

Choć jeszcze zaskoczony nietypową wizytą, Beña natychmiast rozpoznał rewers.

Dokładnie taki sam leżał obok książki, którą Kirsch przekazał mu kilka tygodni temu.

Dzieła zebrane Williama Blake’a.

Warunkiem przekazania pokaźnej dotacji na budowę świątyni było umieszczenie dostarczonej przez Kirscha książki za szkłem w krypcie bazyliki. Właśnie tej książki.

„Dziwne życzenie, ale też i niewielka cena za ogromną dotację”.

Dodatkowo darczyńca poprosił, żeby książka była cały czas otwarta na stronie sto sześćdziesiątej trzeciej.

Rozdział 66

Osiem kilometrów na północ od bazyliki Sagrada Família admirał Ávila patrzył przez przednią szybę uprowadzonego samochodu na dywan światła miasta, który rozciągał się u brzegów Morza Balearskiego.

„Nareszcie Barcelona!” – pomyślał, sięgając po telefon komórkowy, by zgodnie z otrzymanym poleceniem zadzwonić do swojego mocodawcy.

Regent odebrał po pierwszym dzwonku.

– Gdzie pan jest, admirale Ávila? – zapytał.

– Kilka minut od miasta.

– Przybył pan w samą porę. Właśnie otrzymałem niepokojące wiadomości.

– Proszę mi powiedzieć, co się dzieje.

– Skutecznie zmiażdżył pan głowę węża, ale tak jak się obawiałem, jego długi ogon nadal niebezpiecznie się wije.

– Jakie jest moje zadanie?

Ávila był całkowicie zaskoczony, gdy Regent przedstawił mu swoje życzenie. Nie przypuszczał, że tej nocy zakończy więcej niż jedno życie, do głowy by mu jednak nie przyszło, żeby kwestionować rozkaz Regenta. „Jestem tylko prostym żołnierzem” – przypomniał sobie.

– Ta misja będzie niebezpieczna – uprzedzał Regent. – Jeśli zostanie pan złapany, proszę pokazać funkcjonariuszom symbol na dłoni, a uwolnienie będzie tylko kwestią czasu.

– Nie zamierzam dać się złapać – oznajmił Ávila, zerkając na tatuaż.

– To dobrze – odparł Regent upiornie obojętnym głosem. – Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to obydwoje będą niebawem martwi i wszystko to się skończy.

Połączenie zostało przerwane.

W zapadłej raptownie ciszy Ávila podniósł oczy na najjaśniejszy punkt na horyzoncie – szkaradny kompleks zdeformowanych wież oświetlonych lampami budowlanymi.

„Sagrada Família” – pomyślał, patrząc na odrażający kształt. „Świątynia wszystkiego,

co w naszej religii najgorsze”.

Sławny barceloński kościół był zdaniem Ávili pomnikiem słabości i upadku moralnego, hołdem dla liberalnego katolicyzmu bezwstydnie wypaczającego setki lat wiary, z której tworzył pokracczną hybrydę kultu natury, pseudonauki oraz gnostyckiej herezji.

„Po ścianach kościoła Chrystusa wspinają się gigantyczne jaszczurki!”

Powszechny w świecie upadek tradycji przerażał Ávilę, dlatego właśnie admirał czuł się podbudowany powstaniem nowej grupy światowych liderów, którzy dzielali jego obawy i byli gotowi zrobić wszystko co konieczne, żeby przywrócić zasady i obyczaje naszych ojców. Oddanie dla Kościoła palmariańskiego oraz podziw i szacunek dla papieża Innocentego XIV dały admirałowi nowy cel życia, pomagając mu zobaczyć tragedię, której doznał, w zupełnie nowym świetle.

„Moja żona i dzieci padły ofiarą wojny. Wojny wytoczonej przez siły zła przeciwko Bogu i przeciwko tradycji. Wybaczenie nie jest jedyną drogą do zbawienia”.

Pięć dni wcześniej Ávila smacznie spał w swoim skromnym mieszkaniu, gdy obudził go dźwięk telefonu komórkowego sygnalizujący nadejście wiadomości tekstowej.

– Jest północ! – mruknął, zamglonym wzrokiem zerkając na wyświetlacz, żeby sprawdzić, kto się z nim kontaktuje o tej porze.

Numero privado

Ávila przetarł oczy i odczytał esemes.

Compruebe su saldo bancario.

„Mam sprawdzić saldo rachunku bankowego?”

Ávila zmarszczył brwi, podejrzewając jakąś telemarketingową sztuczkę.

Zirytowany wstał z łóżka, żeby napić się wody. Stojąc przy zlewie, zerknął na swój laptop, wiedząc, że zapewne nie zaśnie, dopóki nie sprawdzi salda.

Zalogował się bez specjalnych nadziei na to, że zobaczy cokolwiek oprócz mizernych resztek kiepskiej wojskowej emerytury, gdy jednak wyświetliła się strona pokazująca bieżący stan konta, skoczył na równe nogi tak raptownie, że przewrócił krzesło.

„To niemożliwe!”

Zamknął oczy i spojrzał znowu. Potem się wylogował, a następnie zalogował się ponownie.

Kwota pozostała.

Sięgnął po myszkę, przewinął historię operacji i z wielkim szokiem stwierdził, że godzinę wcześniej na jego rachunek wpłynęło sto tysięcy euro. Od anonimowego nadawcy, którego numeru nie dało się ustalić.

„Kto mógł to zrobić?”

Rozległ się dzwonek. Z walącym sercem Ávila sięgnął po telefon komórkowy i spojrzał

na wyświetlacz.

Numero privado

Gapił się przez chwilę na telefon, po czym odebrał.

– ¿Sí?

Cichy głos odezwał się z najczystszyim kastylijskim akcentem:

– Dobry wieczór, admirale. Zakładam, że widział pan już podarunek, który panu przekazaliśmy?

– Widziałem... – wyjąkał. – Kim pan jest?

– Może mnie pan nazywać Regentem – odparł rozmówca. – Reprezentuję pańskich braci, członków Kościoła, do którego pan wiernie uczęszczał przez ostatnie dwa lata.

Pańskie umiejętności i lojalność zostały zauważone, admirale. Teraz chcemy dać panu możliwość przysłużenia się naszej sprawie. Jego Świątobliwość zaproponował pana do wykonania kilku zadań. Te zadania zesłał panu sam Bóg.

Ávila słuchał w pełnym skupieniu. Spociły mu się dłonie.

– Pieniądze, które panu przekazaliśmy, to zaliczka na poczet pańskiej pierwszej misji – kontynuował rozmówca. – Jeśli się pan zdecyduje ją podjąć, proszę pamiętać, że będzie to dla pana okazja, żeby udowodnić, że jest pan godzien znaleźć się wśród najwyżej postawionych. – Zrobił pauzę. – W naszym Kościele istnieje hierarchia niewidoczna dla świata. Wierzimy, że sprawdziłby się pan na jej szczytach.

Choć podniecała go perspektywa takiego awansu, Ávila podszedł do niej nieufnie.

– Na czym miałyby polegać ta misja? I co będzie, jeśli się nie zdecyduję jej przyjąć?

– Każda pana decyzja zostanie w pełni uszanowana i będzie pan mógł zatrzymać pieniądze w zamian za dochowanie tajemnicy. Czy to rozsądna propozycja?

– Rozsądna i hojna.

– Doceniamy pana. Chcemy panu pomóc, z uczciwości jednak muszę ostrzec, że misja papieża jest trudna. – Zawiesił głos. – Możliwe, że będzie pan musiał odwołać się do stosowania przemocy.

Ávila zamarł. „Stosowanie przemocy?”

– Admirale, siły zła rosną z każdym dniem. Bóg wyruszył na wojnę, a wojna oznacza ofiary.

Przez ułamek sekundy Ávila miał przed oczami błysk bomby, która zabiła jego rodzinę. Z drżeniem odepchnął od siebie te wspomnienia.

– Przykro mi, ale chyba nie mogę wykonać misji, podczas której będę musiał stosować przemoc...

– Papież wybrał pana osobiście, admirale – szepnął Regent. – Człowiek, który będzie celem pańskiej misji, zamordował pańską rodzinę.

Rozdział 67

Mieszcząca się na parterze pałacu królewskiego w Madrycie zbrojownia jest wysoko sklepioną komnatą o karmazynowych ścianach ozdobionych wspaniałymi gobelinami przedstawiającymi najsłynniejsze bitwy w historii Hiszpanii. Pod ścianami natomiast stoi bezcenna kolekcja ponad stu ręcznie wykuwanych zbroi, wśród których znajdziemy bojowy rynsztunek wielu dawnych hiszpańskich monarchów, a pośrodku pomieszczenia – sto siedem naturalnej wielkości modeli koni w pełnej uprzęży bojowej.

„Więc to tutaj postanowili mnie uwięzić?” – zastanawiał się Garza, patrząc na otaczający go rynsztunek wojenny. Owszem, zbrojownia była jednym z najlepiej strzeżonych pomieszczeń w pałacu, ale Garza przypuszczał, że przyprowadzono go właśnie tutaj, żeby go onieśmielić. „Właśnie w tej sali przyjmowano mnie do pracy”.

Prawie dwie dekady temu Garza został wprowadzony do tej imponującej sali na rozmowę kwalifikacyjną, gdzie długo z nim rozmawiano i zadawano wiele pytań, zanim w końcu otrzymał stanowisko komendanta Straży Królewskiej.

Teraz został aresztowany przez własnych gwardzistów! „Zarzuca mi się udział w planowaniu zabójstwa? I spiskowanie przeciwko biskupowi?” Logika tej argumentacji była tak pokrętna, że Garza nawet nie próbował jej rozsypać.

W Guardia Real zajmował najwyższe stanowisko, a to znaczyło, że rozkaz jego aresztowania mógł wydać tylko jeden człowiek. Księżę Julián osobiście.

„Valdespino zmałował umysł księcia i napuścił go na mnie” – uświadomił sobie Garza. Biskup przetrzymał niejedno zawirowanie polityczne, a dziś wieczorem był tak bardzo zdeterminowany w walce o przetrwanie, że uciekł się do tej absurdalnej pokazówki, najwyraźniej postanawiając ratować własną reputację kosztem dobrego imienia komendanta. „Dlatego zamknęli mnie w zbrojowni, żebym nie miał szansy przemówić we własnej obronie”.

Garza wiedział, że jeśli Julián i Valdespino połączyli siły, to jest przegrany, ponieważ nie ma już możliwości żadnego ruchu. A w obecnej chwili jedyny człowiek, na którego mógłby liczyć, dożywał swoich dni przykuty do łóżka w Palacio de la Zarzuela.

Król Hiszpanii.

„Ale przecież nawet król mi nie pomoże wbrew woli własnego syna i biskupa Valdespino” – uprzytomnił sobie Garza.

Tłum na zewnątrz skandował coraz głośniejsze i wszystko wskazywało na to, że wydarzenia mogą przyjąć burzliwy obrót. Gdy Garza usłyszał, co wykrzykują ludzie zebrani przed pałacem, nie wierzył własnym uszom.

– Skąd przyszła Hiszpania?! Dokąd Hiszpania zmierza?!

Młode pokolenie Hiszpanów potępiało stosowaną w przeszłości przemoc i domagało się, żeby ich kraj dołączył do cywilizowanego świata, porzucając monarchię i stając się państwem w pełni demokratycznym. Francja, Niemcy, Rosja, Austria, Polska i wiele innych krajów w Europie zrezygnowało z korony. Nawet w Wielkiej Brytanii pojawił się silny ruch żądający rozpisania referendum na temat zmiany ustroju po śmierci obecnej królowej.

Dziś wieczorem pałac królewski pogrążył się w chaosie, nic więc dziwnego, że znów podniosły się te stare żądania.

„Tylko tego potrzeba księciu Juliánowi, akurat gdy się przygotowuje do objęcia tronu!” – pomyślał gorzko Garza.

Drzwi na przeciwległym końcu sali się otworzyły i do środka zajrzał jeden z gwardzistów.

Garza krzyknął do niego:

– Chcę adwokata!

– A ja chcę oświadczenia dla prasy! – odpowiedział mu znajomy głos Móniki Martín, która wmaszerowała do zbrojowni, omijając gwardzistę. – Komendancie Garza, dlaczego pan był w zмовie z zabójcami Edmonda Kirscha?

Garza patrzył na nią z niedowierzaniem. „Czy oni wszyscy powariowali?”

– Wiemy, że celowo rzucił pan podejrzenie na biskupa Valdespino – oznajmiła Martín, podchodząc do niego. – Pałac chce opublikować pańskie wyznanie, i to natychmiast.

Komendant nie odpowiedział.

W połowie sali Martín odwróciła się raptownie.

– Powiedziałam „wyznanie”, a to oznacza prywatność!

Gwardzista z niepewną miną się wycofał i zamknął za sobą drzwi.

Martín odwróciła się do Garzy i ruszyła w jego stronę, przez resztę drogi krzycząc na całe gardło.

– Chcę usłyszeć pańskie wyznanie! Natychmiast! – Jej głos odbijał się echem od wysokiego sklepienia, gdy stanęła przed komendantem.

– Żadnego wyznania ode mnie nie usłyszysz – odparł spokojnym głosem. – Nie mam

z tym nic wspólnego. Te zarzuty są całkowicie bezpodstawne.

Martín nerwowo się obejrzała za siebie. Potem podeszła jeszcze bliżej i szepnęła Garzy do ucha:

– Wiem. Proszę mnie uważnie posłuchać.

Rozdział 68

Trending ↑ 2747%



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

O ANTYPAPIEŻACH, KRWAWIĄCYCH PALMACH

I ZASZYTYCH OCZACH...

Dziwne opowieści z Kościoła palmariańskiego.

Wpisy na forach grup religijnych potwierdzają, że admirał Luis Ávila od kilku lat jest czynnym członkiem Kościoła palmariańskiego.

Wykorzystując swój status społeczny, admirał wielokrotnie publicznie promował swój Kościół i publicznie dziękował palmariańskiemu papieżowi za to, że „dał mu nowe życie”, wyciągając go z głębokiej depresji wywołanej śmiercią rodziny w antychrześcijańskim zamachu terrorystycznym.

Zgodnie z przyjętą polityką ConspiracyNet nie popiera ani nie potępia żadnych instytucji religijnych, dlatego tutaj zamieszczamy dziesiątki linków do informacji na temat Kościoła palmariańskiego.

My informujemy, Ty oceniasz.

Zwracamy uwagę, że zamieszczone w sieci informacje na temat Kościoła palmariańskiego często są szokujące, dlatego prosimy Was, naszych Czytelników, żebyście nam pomogli oddzielić fakty od fikcji.

Publikujemy listę, którą otrzymaliśmy od naszego wyjątkowego informatora monte@iglesia.org. Ponieważ wszystkie nadesłane dotychczas z tego źródła wiadomości okazały się prawdziwe, z dużym prawdopodobieństwem możemy uznać, że tak jest i tym razem, mamy jednak nadzieję, że Czytelnicy się z nami skontaktują, żeby je potwierdzić albo im zaprzeczyć.

FAKTY

- Palmariański papież Clemente stracił obydwie gałki oczne wskutek wypadku

samochodowego, do którego doszło w 1976 roku, i przez dekadę nauczał z zaszytymi powiekami.

- Papież Clemente miał czynne stygmaty na obydwu dłoniach, które krwawiły, gdy odwiedzali go wierni.

- Kilku palmariańskich papieży było wcześniej oficerami hiszpańskiej armii o silnych karlistowskich przekonaniach.

- Członkowie Kościoła palmariańskiego mają zakaz kontaktowania się z rodzinami, a kilkoro z nich zmarło z niedożywienia lub z powodu przemocy na terenie głównej siedziby Kościoła.

- Palmarianom nie wolno (1) czytać książek napisanych przez niepalmarian, (2) uczestniczyć w ślubach ani pogrzebach członków rodziny, którzy nie są palmarianami, (3) chodzić na basen, plażę ani potańcówki, oglądać walk bokserskich ani odwiedzać miejsc, w których wystawiona jest choinka bożonarodzeniowa albo wizerunek świętego Mikołaja.

- Palmarianie wierzą, że Antychryst narodził się w dwutysięcznym roku.

- Placówki rekrutacyjne Kościoła palmariańskiego funkcjonują w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Niemczech, Austrii i Irlandii.

Rozdział 69

Gdy szli z Ambrą za ojcem Beñą w stronę olbrzymich drzwi bazyliki Sagrada Família, Langdon po raz kolejny rozmyślał nad wyjątkowo dziwnymi detalami, które się na nich znalazły.

„To istna ściana szyfrów” – mruknął jak zawsze, gdy podnosił wzrok na dwie zielonkawe metalowe płyty, których powierzchnię pokryto ponad ośmioma tysiącami trójwymiarowych liter odlanych z brązu. Biegły one w poziomych liniach bez żadnych przerw między sobą, tworząc olbrzymią zadrukowaną płaszczyznę. Chociaż wiedział, że to opis męki Chrystusa w języku katalońskim, i tak nie mógł powstrzymać skojarzenia z kluczem szyfrującym National Security Agency.

„Nic dziwnego, że powstają na ten temat teorie spiskowe”.

Spojrzenie Langdona powędrowało jeszcze wyżej, na Fasadę Męki Pańskiej, z której spoglądała na niego grupa wyrzeźbionych przez Josepa Marię Subirachsa wymizerowanych, kościstych postaci zdominowana przez wiszącego na krzyżu potwornie wychudłego Jezusa, pochylającego się lekko do przodu, jakby za chwilę miał spaść na wchodzących do świątyni ludzi.

Po lewej stronie kolejna ponura rzeźba przedstawiała Judasza zdradzającego Jezusa pocałunkiem. Obok niej umieszczono raczej nietypową płaskorzeźbę liczb układających się w kwadrat magiczny. Edmond powiedział kiedyś Langdonowi, że wartość trzydzieści trzy, do której sumują się wszystkie wiersze, kolumny i przekątne w tym kwadracie, jest pogańskim, masonskim hołdem dla Wielkiego Architekta Wszechświata, czyli wszechogarniającego bóstwa, którego sekret jest ponoć ujawniany tym członkom bractwa, którzy osiągną trzydziesty trzeci stopień wtajemniczenia.

„Zabawna historia, ale wiek Jezusa w chwili ukrzyżowania jest bardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem tej sumy” – odpowiedział mu wtedy ze śmiechem Langdon.

Gdy podeszli bliżej, skrzywił się na widok najbardziej makabrycznego przedstawienia w całym kościele, rzeźby Jezusa przywiązanego linami do słupa podczas biczowania.

Langdon szybko odwrócił głowę, kierując spojrzenie na alfę i omegę umieszczone nad drzwiami.

– Początek i koniec – szepnęła Ambra, która także patrzyła na greckie litery.

Langdon skinął głową, rozumiejąc aluzję. „Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy?”

Ojciec Beña otworzył małą furtkę w masywnej ścianie liter z brązu i wszyscy, łącznie z gwardzistami, weszli do środka. Beña zamknął za nimi drzwi.

Cisza.

Cienie.

W południowo-wschodniej części transeptu ojciec Beña podzielił się z nimi zaskakującą historią o tym, jak Kirsch zaproponował mu, że przekaże olbrzymią dotację dla tutejszej bazyliki w zamian za umieszczenie w krypcie obok grobu Gaudiego gabloty, a w niej egzemplarza dzieł zebranych Blake’a ilustrowanego przez samego poetę.

„W samym sercu tego kościoła” – pomyślał Langdon, czując narastającą ciekawość.

– Czy Edmond wyjaśnił, dlaczego chce to zrobić? – zapytała Ambra.

Beña skinął głową.

– Powiedział mi, że wielką miłość do dzieł Gaudiego zawdzięcza swojej zmarłej matce, która była też wielbicielką poezji Blake’a, dlatego chce umieścić tom jego poezji obok grobu architekta, żeby oddać cześć jej pamięci. Nie dopatrzyłem się w tym niczego niestosownego.

„Edmond nigdy nie wspominał, że jego matka lubiła Gaudiego” – pomyślał zaintrygowany Langdon. Mało tego, Paloma Kirsch umarła przecież w klasztorze i zdawało się bardzo mało prawdopodobne, żeby hiszpańska zakonnica podziwiała heterodoksyjnego brytyjskiego poetę. Cała historia wydała mu się więc nieco naciągana.

– Wyczułem także, że pan Kirsch może się zmagać z kryzysem duchowym, a może nawet cierpieć na jakąś poważną chorobę.

– Z notki na odwrocie rewersu wynika, że książka miała być wystawiona w określony przez darczyńcę sposób – powiedział Langdon, chcąc jak najszybciej zmienić temat. – Miała leżeć otwarta na stronie sto sześćdziesiątej trzeciej?

– Tak, właśnie tak miałem ją wystawić.

Langdon poczuł, jak przyśpiesza mu tętno.

– Może nam ksiądz powiedzieć, który wiersz jest na tej stronie? – zapytał.

Beña pokręcił głową.

– Na tej stronie nie ma żadnego wiersza.

– Jak to?!

– To zbiór dzieł zebranych Williama Blake’a, zawiera więc i teksty, i malowidła.

Na stronie sto sześćdziesiątej trzeciej znajduje się ilustracja.

Langdon rzucił Ambrze niepewne spojrzenie.

„Potrzebujemy czterdziestoczekoznakowego wersu, a nie ilustracji!”

– Możemy przejść tam natychmiast? – zapytała Ambra.

Duchowny wahał się przez chwilę, najwidoczniej jednak doszedł do przekonania, że przyszłej królowej nie powinno się odmawiać.

– Proszę tędy – powiedział, prowadząc ich transeptem w stronę środka kościoła.

Dwaj gwardziści szli z tyłu.

– Muszę przyznać, że się wahałem, czy przyjąć pieniądze od zdeklarowanego ateisty, ale prośba wystawienia w kościele ulubionej ilustracji jego matki wydała mi się nieszkodliwa – oznajmił Beña. – Tym bardziej że ilustracja przedstawia Boga.

Langdon pomyślał, że się przesłyszał.

– Powiedział ksiądz, że Edmond poprosił o wystawienie ilustracji przedstawiającej Boga?

Beña skinął głową.

– Intuicja mi podpowiadała, że był chory i może w ten sposób próbuje uczynić zadość za całe życie w opozycji do świętości. – Zamilkł i przez chwilę tylko kręcił głową.

– Ale po obejrzeniu transmisji jego dzisiejszego wystąpienia sam już nie wiem, co mam myśleć.

Langdon próbował odgadnąć, którą z niezliczonych ilustracji Blake’a Edmond mógł wybrać do wystawienia w tej gablocie.

Gdy przechodzili powoli w stronę prezbiterium, Langdon miał wrażenie, jakby widział wnętrze tego kościoła pierwszy raz w życiu. Choć odwiedzał bazylikę Sagrada Família na różnych etapach jej budowy, to jednak zawsze przychodził tu w dzień, gdy hiszpańskie słońce wpadało do środka przez witraże, zalewając kościół oszałamiającymi barwami, które przyciągały wzrok do góry, skupiając uwagę na pozornie nieważkim baldachimie sklepień.

„Po zmroku to zupełnie inny świat, o wiele cięższy”.

Cętkowany słonecznymi plamami las zniknął, zamieniając się w nocną dżunglę cieni – ponury szpaler żłobionych kolumn ciągnących się w złowieszczej pustce.

– Patrzcie pod nogi – ostrzegł duchowny. – Oszczędzamy tam, gdzie możemy. Na prądzie także.

Langdon wiedział, że oświetlenie olbrzymich europejskich kościołów kosztuje fortunę i dlatego mrok bazyliki rozjaśniały tylko nieliczne lampy. „Jeden z problemów, gdy powierzchnia obiektu ma ponad pięć i pół tysiąca metrów kwadratowych”.

Gdy doszli do nawy głównej i skręcili w lewo, Langdon patrzył na górujące przed nimi prezbiterium. Ołtarz był ultranowoczesnym, minimalistycznym stołem z rzędem

piszczałek organowych po obydwu stronach. Cztery i pół metra nad nim unosił się niezwykle baldachim, element architektoniczny inspirowany tkaniną noszoną niegdyś nad monarchą na czterech drążkach podczas ceremonii, żeby zapewnić mu cień.

Architektoniczne baldachimy to dziś niemal zawsze elementy dekoracyjne wykonane z kamienia, metalu lub drewna, ale twórca Sagrada Família wykorzystał materiał tekstylny, któremu nadał kształt parasola rozpościerającego się w powietrzu nad ołtarzem. Pod nim, uniesiona na drutach jak spadochroniarz, wisiała postać Jezusa na krzyżu.

„Jezus ze spadochronem”. Langdon nieraz słyszał to określenie. Widząc tę rzeźbę po raz kolejny, nie dziwił się, że zaliczono ją do najbardziej kontrowersyjnych detali tego kościoła.

Gdy Beña prowadził ich w narastającym mroku, Langdon z trudem dostrzegał cokolwiek. Díaz wyjął z kieszeni latarkę i oświetlał kamienne kafle przed nimi. Zbliżając się do krypty, profesor zauważył jednak nad sobą blady komin strzelający dziesiątki metrów nad podłogę między ścianami kościoła.

„Niesławna spirala” – uświadomił sobie, choć nigdy się nie odważył na nią wspiąć.

Przyprawiający o zawrót głowy szyb z krętą klatką schodową znalazł się na trzeciej pozycji ułożonej przez „National Geographic” listy dwudziestu najbardziej niebezpiecznych klatek schodowych świata, tuż za chybotliwymi schodami w kambodżańskiej świątyni Angkor Wat i omszałymi stopniami wodospadu Diabelski Kocioł w Ekwadorze. Langdon zerknął na pierwsze stopnie, które korkociągiem pięły się w górę, by potem zniknąć w ciemności.

– Wejście do krypty jest tuż przed nami – oznajmił Beña, wskazując w ciemną pustkę na lewo od ołtarza. Gdy podeszli jeszcze bliżej, Langdon dostrzegł słabe światło, które zdawało się emanować z dziury w podłodze.

„Krypta”.

Stanęli u wylotu eleganckich szerokich schodów, które delikatnym łukiem prowadziły w dół.

– Panowie – zwróciła się do swoich ochroniarzy Ambra. – Obydwaj zostaniecie tutaj. Wrócimy niebawem.

Fonseca miał niezadowoloną minę, ale się nie odezwał.

Potem Ambra, ksiądz Beña i Langdon zaczęli schodzić do źródła światła.

Agent Díaz obserwował trzy znikające na krętych schodach postaci, ciesząc się na chwilę spokoju. Napięcie między Ambrą Vidal a Fonseką robiło się już uciążliwe.

„Gwardziści nie są przyzwyczajeni do gróźb ze strony tych, których ochraniają.

Wyrzuceniem z pracy groził im co najwyżej komendant Garza”.

Díaz nadal się nie otrząsnął po aresztowaniu Garzy. To dziwne, ale Fonseca nie zdradził mu, kto wydał nakaz ani kto wymyślił fałszywą historię o porwaniu.

– Sytuacja jest skomplikowana – powiedział mu tylko dowódca. – Dla swojego dobra nie powinienś wiedzieć nic więcej.

„Kto więc wydał ten rozkaz?” – zastanawiał się Díaz. „Księżę?” Wydawało się niemożliwe, żeby Julián ryzykował bezpieczeństwo Ambry, godząc się na rozpowszechnienie nieprawdziwej informacji. „A więc Valdespino?” Díaz nie był jednak pewien, czy biskup ma aż takie możliwości.

– Zaraz wracam – rzucił Fonseca, dodając, że musi znaleźć toaletę, po czym się oddalił. Zanim zniknął w mroku, Díaz zauważył, że wyjmując z kieszeni telefon, wybiera numer i niemal szeptem zaczyna rozmowę.

Díaz został sam w czeluściach bazyliki, czując się coraz bardziej niezręcznie z powodu dziwnych sekretów Fonseki.

Rozdział 70

Schody wiodły delikatnym łukiem trzy piętra pod ziemię, by wreszcie zaprowadzić Langdona, Ambre i ojca Beñę do podziemnej komnaty.

„Jedna z największych krypt w Europie” – pomyślał Langdon, podziwiając olbrzymie okrągłe pomieszczenie. Dokładnie tak jak pamiętał, podziemne mauzoleum bazyliki Sagrada Família zwieńczała strzelista kopuła, unosząca się wysoko nad ławkami dla setek wiernych. Złote lampy olejowe umieszczone w równych odstępach wokół obwodu oświetlały podłogę, na której wiły się mozaikowe pnącza, gałęzie, liście i inne motywy zaczerpnięte z natury.

Krypta była ukryta w dosłownym tego słowa znaczeniu i Langdon uznawał to za niemal niepojęte, jak Gaudíemu udało się pomieścić pod kościołem tak olbrzymie pomieszczenie. To wnętrze w niczym nie przypominało nieforemnych kształtów krypty kościoła w Kolonii Güella. Było utrzymane w surowym neogotyckim stylu, kolumny zwieńczone liśćmi podpierały ostre łuki rozpięte pod ozdobnymi stropami.

W nieruchomym powietrzu unosiły się resztki zapachu kadzidła.

Po lewej stronie schodów znajdowała się głęboka wnęka, a w niej na podłodze z piaskowca położono bez podparcia skromną szarą płytę, przed którą płonęły znicze.

„Oto i on ” – pomyślał Langdon, czytając napis na płycie.

ANTONIUS GAUDÍ

Patrząc na miejsce ostatniego spoczynku wielkiego architekta, Langdon z bólem myślał o stracie Edmonda. Podniósł wzrok na rzeźbę umieszczoną na ścianie nad grobem.

Matka Boska stała na cokole z dziwnym symbolem.

„Co to jest, do licha?”

Przez chwilę wpatrywał się w znak.



Rzadko trafiał się symbol, którego Langdon nie potrafiłby zidentyfikować. W tym przypadku była to grecka litera lambda, która według jego wiedzy nie pojawiała się w symbolice chrześcijańskiej. Wykorzystywano ją za to w różnych dyscyplinach nauki związanych z ewolucją, fizyką cząstek elementarnych i kosmologią. Co dziwniejsze, tutaj z czubka lambdy wyrastał chrześcijański krzyż.

„Czyżby religia wspierana przez naukę?” – zastanawiał się Langdon, który nigdy nie widział czegoś podobnego.

– Zaskoczył pana ten symbol? – zapytał Beña, stając obok. – Nie jest pan wyjątkiem. Wielu o niego pyta, a to nic innego, jak modernistyczne przedstawienie krzyża na szczycie góry.

Langdon podszedł nieco bliżej, dostrzegając teraz trzy delikatnie złożone gwiazdy towarzyszące dziwnemu znakowi.



„Trzy gwiazdy w takim układzie!” – rozpoznał od razu. „Krzyż na górze Karmel”.

– To krzyż karmelicki – powiedział.

– Racja. Ciało Gaudiego leży pod wizerunkiem Błogosławionej Dziewicy Maryi z Góry Karmel.

– Czy Gaudí był karmelitą?

Langdonowi trudno było sobie wyobrazić, jak modernistyczny architekt miałby się dostosować do sztywnej interpretacji katolicyzmu obowiązującej w tym dwunastowiecznym zakonie.

– Z całą pewnością nie – odpowiedział Beña z uśmiechem. – Ale jego opiekunki były. Grupa karmelitanek troszczyła się o Gaudiego przez ostatnie lata jego życia.

Zakonnice uznały, że byłby zadowolony z ich opieki także po śmierci, dlatego szczerze ufundowały tę kaplicę.

– To świadczy o ich wielkiej życzliwości – stwierdził Langdon, strofując się w duchu za błędną interpretację tego niewinnego symbolu. Najwyraźniej teorie spiskowe krążące tej nocy sprawiły, że nawet profesor zaczął się dopatrywać sensacji tam, gdzie jej nie ma.

– To książka Edmonda? – zapytała nagle Ambra.

Dopiero gdy obydwaj mężczyźni się odwrócili, mogli zobaczyć, że Ambra wskazuje w mrok po prawej stronie płyty nagrobnej.

– Tak – odparł Beña. – Przepraszam za marne oświetlenie.

Ambra ruszyła w stronę gabloty, a zaraz za nią Langdon. Książka została umieszczona w cieniu za masywną kolumną po prawej stronie grobu Gaudiego.

– Normalnie trzymamy tam ulotki informacyjne, ale przeniosłem je gdzie indziej, żeby w tym miejscu postawić książkę pana Kirscha – dodał Beña. – Ale zdaje się, że nikt jej nie zauważał.

Langdon i Ambra stanęli nad przypominającą kredens gablotą z pochyłym szklanym blatem. Pod szkłem, otwarte na stronie sto sześćdziesiątej trzeciej, leżało okazałych rozmiarów wydanie dzieł zebranych Williama Blake’a.

Tak jak powiedział Beña, na wskazanej przez Edmonda stronie widniał nie tekst, lecz obrazek Blake’a. Langdon zastanawiał się wcześniej, o jaką ilustrację może chodzić, na pewno jednak nie spodziewał się akurat tego.

W mroku mrużył powieki, patrząc na słynny sztych Blake’a z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Z zaskoczeniem myślał, jak ojciec Beña mógł to nazwać przedstawieniem Boga.

Owszem, można było pomyśleć, że ilustracja przedstawia archetypowego chrześcijańskiego Boga, ponieważ w centralnym punkcie akwareli przycupnął na chmurze mężczyzna o pomarszczonej twarzy okolonej siwymi włosami i brodą, który sięgał w dół z niebios, ale gdyby ojciec Beña choć trochę poszukał, natychmiast by odkrył, że na ilustracji znajduje się zupełnie coś innego. Centralna postać to nie jest chrześcijański Bóg, lecz bóstwo o imieniu Urizen, demon rozumu wymyślony przez samego Blake’a, przedstawiony podczas dokonywania pomiaru niebios przy użyciu cyrkla, przez co oddawał hołd naukowemu prawom Wszechświata.

Styl tego dzieła Blake’a był tak nowoczesny, że wiele wieków później wybitny fizyk Stephen Hawking wybrał je na okładkę swojej książki *Bóg stworzył liczby całkowite*.

Ponadczasowy demiurg Blake’a spoglądał też na Nowy Jork z fasady Rockefeller Center jako jedna z postaci na secesyjnym tryptyku zatytułowanym *Mądrość, Światło i Dźwięk*.

Langdon patrzył na książkę Blake’a, po raz kolejny się zastanawiając, dlaczego Edmond zadał sobie tyle trudu, żeby ją tutaj umieścić. „Może to była po prostu zemsta?

Policzek wymierzony Kościołowi katolickiemu?”

„Wojna Edmonda z religią nigdy nie ustaje” – pomyślał wpatrzony w Urizena.

Bogactwo dało Edmondowi możliwość robienia wszystkiego, na co tylko miał w życiu ochotę, nawet jeśli było to wystawienie bluźnierczej ilustracji w sercu chrześcijańskiego kościoła.

„Prawdopodobnie kierowały nim złość i pragnienie zemsty” – rozważał Langdon.

„Być może rozwiązanie zagadki jest aż takie proste”. Słusznie czy nie, Edmond przecież zawsze winił chrześcijańską instytucję za śmierć swojej matki.

– Oczywiście wiem doskonale, że ilustracja nie przedstawia chrześcijańskiego Boga – oznajmił Beña.

Langdon odwrócił się do duchownego zaskoczony.

– Tak?

– Tak, Edmond powiedział mi to zupełnie otwarcie, choć nie musiał, ponieważ znam poglądy Blake’a.

– I nie było to przeszkodą do wystawienia tej książki tutaj?

– Panie profesorze, to Sagrada Família – odpowiedział Beña z delikatnym uśmiechem. – W tych murach Gaudí wymieszał Boga, naukę i naturę. Temat tej ilustracji nie jest dla nas niczym nowym. – Mrugnął porozumiewawczo. – Nie wszyscy nasi duchowni są tacy postępowi jak ja, ale jak pan wie, traktujemy chrześcijaństwo jako dzieło w budowie. – Znow się uśmiechnął, wskazując na księgę w gablocie. – Cieszę się, że pan Kirsch nie chciał wystawić karty tytułowej tego dzieła, bo nie wiem, jak bym się z tego wytłumaczył, zważywszy na jego reputację, zwłaszcza po dzisiejszym wystąpieniu. – Beña zamilkł, robiąc zatroskaną minę. – Czy dobrze mi się wydaje, że nie tę ilustrację mieli państwo nadzieję tu odnaleźć? – zapytał w końcu.

– Ma ojciec rację. Szukamy jednej linijki z wiersza Blake’a.

– O tygrysie płonącym w lesie nocy? – zainteresował się Beña.

Langdon się uśmiechnął, z uznaniem przyjmując fakt, że Beña zna początek najsłynniejszego wiersza Blake’a, sześciowrotkowych religijnych rozważań o tym, czy ten sam bóg, który wymyślił przerażającego tygrysa, mógł też stworzyć pokorną owcę.

– Ojciec Beña? – przerwała im Ambra, która przykucnęła przy gablocie i wpatrywała się intensywnie w szkło. – Czy może ma ojciec ze sobą latarkę albo telefon?

– Nie, przykro mi. Może poświęcę którymś ze zniczy przy grobie Gaudiego?

– Gdyby ojciec zechciał – ucieszyła się Ambra. – Bardzo by mi to pomogło.

Beña ruszył po znicz.

Gdy ich zostawił, Ambra szepnęła do Langdona podekscytowanym głosem.

– Robercie! Edmond wcale nie wybrał strony sto sześćdziesiątej trzeciej ze względu na ilustrację!

– Jak to? – „Przecież na tej stronie nie ma niczego innego”.

– To sprytny podstęp.

– Nie mogę za tobą nadążyć – odparł Langdon, wpatrując się w obrazek.

– Edmond wybrał stronę sto sześćdziesiątą trzecią, ponieważ nie można jej wystawić, nie pokazując równocześnie sąsiadującej strony numer sto sześćdziesiąt dwa!

Langdon przeniósł spojrzenie na lewą kartę, zerkając na tekst sąsiadujący z *Urizenem* *stwarzającym świat*. W słabym świetle mógł jednak dostrzec tylko tyle, że cała jest

pokryta drobnym odręcznym pismem.

Beña wrócił ze zniczem, który wręczył Ambrze, a ta umieściła go nad gablotą. Na otwartą księgę spłynął snop słabego światła i Langdon syknął.

Na sąsiadującej stronie widniał tekst napisany odręcznie – jak w większości wczesnych wydań dzieł Blake’a – z rysunkami, ramkami i liczbami zanotowanymi na marginesach. Najważniejsze jednak było to, że jego forma kazała przypuszczać, że to poezja, a nie proza.

Bezpośrednio nad nimi w nawie głównej bazyliki Díaz przechadzał się tam i z powrotem, zastanawiając się, dokąd poszedł jego partner.

„Powinien był już dawno wrócić”.

Gdy zaczął wibrować telefon w jego kieszeni, pomyślał, że to pewnie Fonseca, ale zerkając na wyświetlacz, zobaczył nazwisko, którego nigdy by się nie spodziewał.

Mónica Martín.

Nie potrafił odgadnąć, czego chciała od niego koordynatorka public relations, ale cokolwiek to było, Martín powinna dzwonić do Fonseki, bo to on jest dowódcą ich dwuosobowego zespołu.

– Halo? – odebrał. – Díaz przy telefonie.

– Panie Díaz, mówi Mónica Martín. Mam tu kogoś, kto chce z panem porozmawiać.

Chwilę później Díaz usłyszał znajomy mocny głos.

– Díaz, mówi komendant Garza. Potwierdź, że pani Vidal jest bezpieczna.

– Tak jest, panie komendancie – zameldował Díaz, stając na baczność na dźwięk głosu swojego naczelnika. – Pani Vidal jest całkowicie bezpieczna. Fonseca i ja jesteśmy z nią teraz w...

– To nieszyfrowane połączenie – przerwał mu Garza ostro. – Żadnych szczegółów!

Jeśli jest w bezpiecznym miejscu, to ją tam zatrzymajcie. Macie się stamtąd nie ruszać!

Ulżyło mi, gdy cię usłyszałem. Próbowaliśmy się dodzwonić do Fonseki, ale nie odebrał telefonu. Masz go teraz obok siebie?

– Nie, panie komendancie. Odszedł na moment, żeby zadzwonić, ale powinien zaraz wrócić.

– Nie mam czasu na niego czekać. W tej chwili jestem zatrzymany, dlatego korzystam z telefonu pani Martín. Słuchaj mnie uważnie. Informacja o porwaniu, jak zapewne dobrze wiesz, jest całkowicie nieprawdziwa. Przez nią pani Vidal znalazła się w niebezpiecznej sytuacji.

„Nie masz pojęcia, jak bardzo niebezpiecznej” – pomyślał Díaz, przypominając sobie chaos panujący na dachu Casa Milà.

– Równie fałszywa jest informacja o tym, że próbowałem obciążyć tym zabójstwem biskupa Valdespina.

– Tak się domyślałem, panie komendancie, ale...

– Razem z panią Martín zastanawiamy się teraz, jak najlepiej opanować tę sytuację, dopóki jednak to się nie stanie, musicie trzymać przyszłą królową z dala od widoku publicznego. Czy to jasne?

– Tak jest, panie komendancie. Kto wydał rozkaz, żeby pana aresztować?

– Tego ci nie powiem podczas nieszyfrowanej rozmowy. Po prostu rób, co kazałem. Ambra Vidal ma się nie zbliżać do mediów i ma być bezpieczna. Pani Martín poinformuje was o dalszych posunięciach.

Garza się rozłączył, a Díaz stał samotnie w ciemności, próbując zrozumieć znaczenie jego słów.

Gdy sięgał do kieszeni marynarki, żeby schować telefon, usłyszał za sobą szelest materiału. Odwracając się, zobaczył dwie blade ręce wyłaniające się z mroku. Dłonie silnie chwyciły jego głowę, po czym błyskawicznie przekreśliły ją na bok.

Díaz usłyszał, jak chrupnęło mu w karku i poczuł gorąco rozchodzące się wewnątrz czaszki.

Potem wszystko ogarnęła ciemność.

Rozdział 71



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

JEST NADZIEJA NA UJAWNIEŃIE SENSACYJNEGO ODKRYCIA KIRSCHA!

Koordynatorka public relations pałacu królewskiego w Madrycie wydała oświadczenie, w którym poinformowała, że przyszła królowa Hiszpanii Ambra Vidal została porwana i jest przetrzymywana w niewoli przez amerykańskiego profesora Roberta Langdona, a pałac prosi wszystkich o pomoc w jej odnalezieniu.

Nasz informator monte@iglesia.org właśnie przesłał nam następującą informację:

Twierdzenie o porwaniu to całkowita lipa. Ten wybieg ma wykorzystać barcelońską policję do powstrzymania Langdona przed dokonaniem tego, po co tam pojechał: Langdon i Vidal są przekonani, że uda im się znaleźć sposób, żeby ujawnić odkrycie Kirscha. Jeśli naprawdę tego dokonają, zapowiedziana dziś przez Kirscha prezentacja może lada moment pojawić się w sieci. Będę informował na bieżąco.

Tę niewiarygodną wiadomość publikujemy jako pierwsi. Pałac nie cofnie się przed niczym, żeby powstrzymać Vidal i Langdona. (Znowu Valdespino? I jaką rolę odegrał w tym wszystkim książę?)

Kolejne informacje opublikujemy natychmiast po ich otrzymaniu. Zaglądajcie do nas, bo jest nadzieja, że świat mimo wszystko pozna odkrycie Kirscha.

Rozdział 72

Ksiązę Julián wpatrywał się w krajobraz za oknem opla młodego duchownego, próbując zrozumieć dziwne zachowanie biskupa.

„Valdespino coś przede mną ukrywa”.

Upłynęła godzina z okładem, odkąd biskup potajemnie wyprowadził Juliána z pałacu – co już było bardzo dziwne – zapewniając go, że to dla jego dobra.

„Prosił, żebym nie zadawał pytań, tylko mu zaufał”.

Biskupa, który był powiernikiem jego ojca, zawsze traktował jak członka rodziny.

Ale propozycja, żeby ukryć się w letniej rezydencji następców tronu, od początku wydała się Juliánowi wątpliwa. „Coś tu nie gra. Jestem izolowany – bez telefonu, bez ochrony, bez dostępu do mediów – i nikt nie ma pojęcia, co się ze mną dzieje”.

Teraz, gdy samochód podskakiwał na torach kolejowych w pobliżu Casita del Príncipe, Julián patrzył na leśną drogę przed nimi. Za kilkaset metrów po lewej stronie będzie wylot wysadzonej po obydwu stronach drzewami drogi prowadzącej do odległej rezydencji.

Julián wyobraził sobie opustoszały dom i poczuł się zaniepokojony. Pochylił się do przodu, położył dłoń na ramieniu prowadzącego auto księdza i powiedział stanowczym głosem:

– Proszę się tutaj zatrzymać.

Valdespino odwrócił się od okna zaskoczony.

– Jesteśmy prawie...

– Chcę wiedzieć, co się dzieje – uciął ksiązę, a w małym samochodzie jego mocny głos zabrzmiał ostro jak krzyk.

– Don Julián, dzisiejszy wieczór był naprawdę burzliwy, ale musisz...

– Muszę ci zaufać? – wpadł mu w słowo. Julián ścisnął ramię młodego kierowcy i wskazał na trawiastą ścieżkę odchodzącą od pustej drogi. – Zatrzymaj się – poleciał ostro.

– Jedź dalej – sprzeciwił się Valdespino. – Don Julián, wyjaśnię...

– Zatrzymaj auto! – wrzasnął ksiązę.

Młody duchowny skręcił i z lekkim poślizgiem zaparkował na trawie.

– Proszę nas zostawić samych – polecił mu Julián z bijącym sercem.

Akolicie nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Wyskoczył ze stojącego z włączonym silnikiem auta i zniknął w mroku, zostawiając Valdespina i Juliána na tylnym siedzeniu.

Blade światło księżyca oświeślało twarz lekko przestraszonego Valdespina.

– Słusznie, że się boisz – powiedział Julián tonem tak ostrym, że przeraził nawet jego samego. Valdespino cofnął się wyraźnie zaskoczony groźbą w głosie następcy tronu, który nigdy się do niego nie zwracał w taki sposób.

– Jestem przyszłym królem Hiszpanii – ciągnął Julián. – Dziś wieczorem odprawiłeś moją ochronę, odciąłeś mnie od telefonu komórkowego oraz personelu, nie pozwalasz mi słuchać wiadomości i nie pozwoliłeś mi się skontaktować z moją narzeczoną.

– Szczerze przepraszam... – zaczął Valdespino.

– Tym razem będziesz musiał się bardziej postarać – przerwał mu Julián, wściekłym wzrokiem przeszywając biskupa, który nagle wydał mu się dziwnie mały.

Duchowny wziął głęboki wdech i odwrócił twarz do następcy tronu.

– Don Julián, dziś wieczorem otrzymałem polecenie, aby...

– Polecenie? Od kogo?

Biskup się zawahał.

– Od twojego ojca. Jest głęboko zaniepokojony.

„Czyżby?” Julián odwiedził ojca w Palacio de la Zarzuela dwa dni temu i zastał go w doskonałym nastroju mimo pogarszającego się stanu zdrowia.

– Co go niepokoi?

– Niestety widział transmisję wystąpienia Edmonda Kirscha.

Julián poczuł, jak zaciskają mu się szczęki. Jego ciężko chory ojciec przesypiał niemal dwadzieścia cztery godziny na dobę i nie powinien być na nogach o takiej porze.

Co więcej, król zawsze zabraniał instalowania telewizorów i komputerów w sypialniach, które były jego zdaniem świątyniami snu i lektury, a pielęgniarki miałyby chyba dość oleju w głowie, żeby mu nie pozwolić wstawać z łóżka na transmisję występu powszechnie znanego ateisty.

– To była moja wina – dodał Valdespino. – Kilka tygodni temu przyniosłem mu tablet, żeby nie czuł się tak bardzo odizolowany od świata. Uczył się wysyłać i odbierać maile. A dziś wieczorem natrafił na transmisję wystąpienia Kirscha.

Julián z przykrością pomyślał, że jego ojciec w ostatnich zapewne dniach życia obejrzał jęczące antykatolickie wystąpienie, które zakończyło się krwawym morderstwem. Król powinien teraz rozmyślać o wszystkich tych wspaniałych rzeczach, które zrobił dla swojego kraju.

– Jak możesz sobie wyobrazić – kontynuował Valdespino, odzyskując panowanie nad

sobą – zaniepokoiło go wiele rzeczy, ale szczególnie ton Kirscha oraz obecność twojej narzeczonej, która w dodatku była gospodynią tego wieczoru. Król uznał, że zaangażowanie przyszłej królowej w takie wydarzenie rzuciło złe światło na ciebie... i na pałac.

– Ambra jest niezależną kobietą i mój ojciec o tym wie.

– Możliwe, ale gdy do mnie dzwonił, mówił przytomnie i ze złością, jakiej nie słyszałem u niego od lat. Poleciał mi, żebym cię do niego natychmiast przywiózł.

– Dlaczego więc jesteśmy tutaj? – zapytał Julián, wskazując na drogę prowadzącą do letniej rezydencji. – Przecież jest w Zarzueli.

– Już nie – odparł Valdespino spokojnie. – Kazał służącym i pielęgniarce się ubrać, posadzić na wózku inwalidzkim i przewieźć w inne miejsce, żeby mógł spędzić ostatnie dni otoczony historią swojego kraju.

Gdy biskup wypowiedział te słowa, Julián zrozumiał, jaka jest prawda.

„Wcale nie jechaliśmy do La Casity”.

Roztrzęsiony odwrócił się od biskupa i spojrzał daleko za drogę prowadzącą do jego letniej rezydencji. W oddali między drzewami widać było oświetlone wieże olbrzymiej budowli.

„El Escorial”.

Niecałe półtora kilometra dalej, niczym forteca u podnóża góry Abantos, rozciągał się jeden z największych zespołów pałacowo-klasztornych na świecie, legendarny hiszpański El Escorial. Monumentalny kompleks obejmuje klasztor, bazylikę, pałac królewski, muzeum, bibliotekę oraz kilka najbardziej przerażających komnat grobowych, jakie Julián widział w swoim życiu.

„Panteon królów”.

Ojciec przyprowadził go do krypty, gdy Julián miał osiem lat. Przeszli też wtedy przez Panteon książąt, labirynt pełen grobów królewskich dzieci.

Julián był pewien, że nigdy nie zapomni zatrważającego widoku grobowca nazywanego potocznie tortem urodzinowym – potężnego, przypominającego piętrowe ciasto monumentu kryjącego szczątki sześćdziesięciorga królewskich dzieci, które włożono do szuflad i pochowano tam na wieki.

Przerażenie wywołane tym makabrycznym grobowcem jeszcze się zwiększyło, gdy ojciec zaprowadził go do miejsca ostatniego spoczynku matki. Julián spodziewał się zobaczyć marmurowy grobowiec odpowiedni dla królowej, okazało się jednak, że ciało jego matki leży w zaskakująco prostej ołowianej trumnie stojącej pośrodku kamiennego pomieszczenia na końcu długiego korytarza. Król wyjaśnił wtedy Juliánowi, że jego matka spoczywa obecnie w *pudridero*, czyli komorze gnilnej, gdzie królewskie zwłoki

zamykane są na trzydzieści lat, a gdy zostaną z nich tylko kości, przenosi się je do właściwych trumien. Julián pamiętał, że siłą się wtedy powstrzymywał od łez i wymiotów.

Później ojciec zszedł z nim po stromych schodach, które zdawały się nie mieć końca. Tutaj ściany nie były już z białego marmuru, lecz miały dostojny bursztynowy kolor. Na co trzydziestym schodku lampki wotywnie rzucały migotliwe światło na płowe stopnie.

Młody Julián musiał podnieść rękę, żeby chwycić się wiekowej linowej poręczy, schodząc razem z ojcem stopień po stopniu w głąb mrocznej klatki schodowej. U stóp schodów król otworzył ozdobne drzwi i odsunął się na bok, wskazując synowi, żeby wszedł do środka.

– Panteon królów – powiedział mu wtedy.

Mimo swoich ledwie ośmiu lat Julián słyszał już o tym legendarnym miejscu.

Drżąc, przekroczył próg i wszedł w zapach kadzidła unoszący się w olśniewająco pięknej ochrowej komnacie, która zdawała się falować w nierównym świetle świec płonących w żyrandolu nad jego głową. Julián przeszedł na środek pomieszczenia i powoli się obrócił.

We wszystkich ośmiu ścianach wykuto głębokie nisze, a w nich od sufitu do podłogi ustawiono czarne trumny ze złotymi tablicami. Wypisane na nich nazwiska znał z książek historycznych: Ferdynand... Izabela... Karol V cesarz rzymski...

W ciszy Julián poczuł na ramieniu ciężar ojcowskiej dłoni. Uderzyła go powaga tej chwili. „Pewnego dnia mój ojciec i ja też zostaniemy pochowani w tej komnacie”.

Bez słowa ojciec i syn wspięli się po schodach i wyszli znów na światło dzienne.

Gdy stanęli w palącym hiszpańskim słońcu, król przykucnął i spojrzał małemu Juliánowi prosto w oczy.

– *Memento mori* – wyszeptał monarcha. – Pamiętaj o śmierci. Nawet ci, którzy dzierżą najwyższą władzę, żyją tylko przez chwilę. Jest jeden sposób, żeby zatriumfować nad śmiercią, a tym sposobem jest wybitne życie. Musimy chwytać każdą okazję, żeby okazywać dobro i kochać całym sercem. Widzę w twoich oczach szczodrość, jaką miała twoja matka. Sumienie będzie ci przewodnikiem. Gdy zapadnie mrok, serce wskaże ci drogę.

Ponad trzydzieści lat później Julián dobrze wiedział, że jego dotychczasowe życie wybitne nie było. Niewiele zrobił w tym kierunku. Ledwie mu się udało wyjść z cienia ojca i jakkolwiek zaistnieć.

„Zawiodłem go w każdym aspekcie”.

Przez lata zgodnie z radą usłyszaną w dzieciństwie Julián pozwalał, by serce wskazywało mu drogę, szybko się jednak przekonał, że nie jest ona prosta, bo jego serce tęskniło za Hiszpanią zupełnie inną od tej, jaką widział ojciec. Marzenia Juliána o własnym kraju były tak śmiałe, że nie mógł ich ujawnić, dopóki jego ojciec żył, i nie był też pewien, jak jego działania zostaną przyjęte po jego śmierci nie tylko przez pałac

królewski, lecz także przez cały naród. Księżę mógł więc tylko czekać, mieć otwarte serce i szanować tradycję.

Trzy miesiące temu wszystko się zmieniło.

„Poznałem Ambre Vidal”.

Pełna życia i nieugięta piękność wywróciła świat Juliána do góry nogami. Dopiero gdy ją spotkał, w pełni zrozumiał słowa ojca. Pokochał całym sercem i ono wskazało mu drogę. Nigdy wcześniej nie przeżył takiego uniesienia. Poczuł też, że być może dzięki tej miłości jego życie stanie się wybitne.

Teraz jednak, gdy wpatrywał się w asfaltową drogę, pełen był złych przeczuc. Czuł się samotny. Odizolowany. Jego ojciec umierał. Kobieta, którą kochał, nie chciała z nim rozmawiać i właśnie zrugął swojego zaufanego mentora, biskupa Valdespino.

– Księżę Julianie, powinniśmy już jechać – ponaglił duchowny łagodnie. – Twój ojciec jest słaby, a bardzo chce z tobą pomówić.

Julián odwrócił się powoli do najlepszego przyjaciela swojego ojca.

– Jak myślisz, ile czasu mu zostało? – wyszeptał.

Valdespino odpowiedział drżącym głosem, jakby za chwilę miał się rozpłakać.

– Prosił mnie, żebym cię nie martwił, ale czuję, że koniec nadejdzie szybciej, niż wszyscy przewidują. On chce się z tobą pożegnać.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, dokąd jedziemy? – zapytał Julián. – Po co te wszystkie kłamstwa i tajemnice?

– Przykro mi, ale nie miałem wyboru. Twój ojciec dał mi jasne polecenie. Życzył sobie, żebym cię odciął od świata i wiadomości, dopóki nie porozmawia z tobą osobiście.

– Kazał mnie odciąć od wiadomości? Jakich?

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wszystko wyjaśni ci sam.

Julián patrzył na biskupa przez dłuższą chwilę.

– Ale muszę coś wiedzieć, zanim się z nim zobaczę. Czy jest świadomy? Myśli racjonalnie?

Valdespino spojrzał na niego niepewnie.

– Dlaczego pytasz?

– Ponieważ jego dzisiejsze działania wydają mi się dziwne i porywcze.

Valdespino smutno skinął głową.

– Porywcze czy nie, twój ojciec nadal jest królem. Kocham go i robię to, co każe.

Jak wszyscy.

Rozdział 73

Stojąc ramię w ramię, Robert Langdon i Ambra Vidal patrzyli na faksymile rękopisu Williama Blake’a oświetlone słabym płomieniem lampki nagrobnej. Ojciec Beña odszedł na bok i zajął się prostowaniem ławek, uprzejmie zostawiając ich samych.

Langdon z trudem odczytywał małe litery odręcznego tekstu, ale duży tytuł na górze strony był doskonale czytelny.

CZTEREJ ZOA

Te dwa słowa znów rozpały w Langdonie płomyk nadziei. *Czterej Zoa* to jeden z najbardziej znanych poematów profetycznych Blake’a – imponujących rozmiarów dzieło podzielone na dziewięć nocy będących jego częściami. Langdon pamiętał ze szkoły, że poemat opisuje upadek konwencjonalnej religii i ostateczny triumf nauki.

Profesor przebiegł wzrokiem liniiki tekstu, kończąc na eleganckim *finis divisionem*, czyli graficznym odpowiedniku słowa „koniec”.

„A więc to ostatnia strona poematu” – uświadomił sobie. „Finał jednego z profetycznych arcydzieł Blake’a”.

Langdon pochylił się i znów spróbował odczytać drobne litery, w słabym świetle znicza okazało się to jednak niemożliwe.

Zaraz po nim spróbowała Ambra. Z twarzą centymetr nad szybą po cichu przeglądała tekst, by po chwili na głos odczytać jeden z wersów.

– „I Człowiek wychodzi spomiędzy płomieni, a całe zło pozarte zostaje”. – Odwróciła się do Langdona. – Całe zło pozarte zostaje?

Zastanowił się nad tym, niepewnie kiwając głową.

– Moim zdaniem Blake odnosi się tutaj do usunięcia skorumpowanej religii.

Przepowiednia przyszłości bez religii często przewijała się w jego dziełach.

Ambra spojrzała z nadzieją.

– Edmond powiedział, że ten wers jest przepowiednią, która właśnie się spełnia.

– Edmond z całą pewnością chciałby przyszłości bez religii. Ile liter ma ten wers?

Ambra zaczęła liczyć, pokręciła jednak głową.

– Ponad pięćdziesiąt.

Wróciła do odczytywania tekstu, by po chwili znów przerwać.

– Może to? „Coraz ostrzejszy wzrok Człowieka postrzeże głębinę światów cudownych”.

– Możliwe – stwierdził Langdon, zastanawiając się nad znaczeniem tekstu. „Ludzki intelekt będzie się z czasem rozwijał, dzięki czemu wejrzymy w prawdę”.

– Znów zbyt wiele liter.

Gdy Ambra cytowała tekst, Langdon chodził obok niej, snując rozważania. Wersy, które już rozszyfrowała, przywołały w jego pamięci odległe wspomnienie dnia, gdy poznawał teksty Blake’a w studenckich czasach podczas zajęć z literatury angielskiej na Uniwersytecie Princeton.

W takich sytuacjach ejdetyczna pamięć podrzucała mu czasem obrazy. Tak też się stało i tym razem. Jedno wspomnienie wywołało następne, i tak bez końca. Nagle, stojąc przy grobie Gaudiego, Langdon zobaczył swojego dawnego profesora, jak po zakończeniu wykładu na temat *Czterech Zoa* staje przed studentami i pyta: „Co byście wybrali? Świat bez religii czy świat bez nauki?”. Potem profesor dodał: „Niewątpliwie William Blake odpowiedział sobie na to pytanie, a tę odpowiedź najjaśniej wyraził w ostatnim zdaniu tego epickiego poematu”.

Zaskoczony tym wspomnieniem, Langdon wziął głęboki oddech i odwrócił się do Ambry, która nadal mozolnie odczytywała tekst Blake’a.

– Przejdź do ostatniego wersu! – wykrzyknął, przypominając sobie równocześnie, jak brzmiało zakończenie poematu.

Ambra zrobiła, jak kazał, przez chwilę mrużyła oczy nad szkłem gabloty, po czym odwróciła się do niego z niedowierzaniem odmalowanym na twarzy.

Langdon stanął obok niej, pochylił się i patrzył na manuskrypt. Teraz, gdy już znał tekst, bez trudu odcyfrował odręczne pismo:

MROczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka

Ambra odczytała tekst. Wers był nie tylko przepowiednią, ale też właściwie streszczał główne przesłanie pierwszej części wieczornego wystąpienia Edmonda!

„...czeka nas świat, z którego religia wreszcie odejdzie, a zapanuje w nim nauka”.

Ambra zaczęła starannie liczyć znaki, ale Langdon wiedział, że to niepotrzebne.

„To jest ten wers. Nie mam wątpliwości!” – zawyrokował, po czym natychmiast zaczął się zastanawiać, jak najszybciej uzyskać dostęp do Winstona, żeby rozpocząć transmisję prezentacji Edmonda. Ale o tym, co chciałby w tym celu zrobić, wolał porozmawiać z Ambrą na osobności.

Odwrócił się do ojca Beñi, który właśnie do nich wracał.

– Zaraz będziemy wychodzić – oznajmił. – Czy zechciałby ojciec iść na górę

i powiadomić któregoś z gwardzistów, żeby wezwał helikopter? Będziemy musieli jak najszybciej stąd odlecieć.

– Oczywiście – zgodził się Beña. – Mam nadzieję, że znaleźliście to, co was tu sprowadziło. Zaczekam na was na górze.

Gdy duchowny zniknął na schodach, Ambra odwróciła się od gabloty z przerażeniem w oczach.

– Robercie, ten wers jest za krótki. Liczyłam dwukrotnie. Ma tylko czterdzieści trzy znaki, a potrzebujemy czterdziestu czterech.

– Co takiego? – Langdon podszedł do niej, pochylił się nad tekstem i uważnie policzył ręcznie napisane litery. „Mroczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka”.

Rzeczywiście, skończył na czterdziestu trzech. Zaskoczony wpatrywał się w tekst.

– Jesteś pewna, że Edmond powiedział czterdzieści cztery? Nie czterdzieści trzy?

– Całkowicie.

Langdon odczytał tekst ponownie. „To na pewno jest ten wers! Czego nie zauważam?”

Z najwyższą uwagą przyglądał się każdej literze ostatniego wersu poematu Blake’a. Dopiero po chwili zobaczył.

„...i rządzi słodka nauka”.

– Ligatura! – wykrzyknął! – Przecież zamiast spójnika można użyć znaku pisarskiego!

Ambra spojrzała na niego zdziwionym wzrokiem i pokręciła głową.

– Przecież jeśli zamienimy spójnik na znak pisarski, to liczba znaków w wersie się nie zmieni. Nadal będzie ich czterdzieści trzy. O jeden za mało.

„Nieprawda!” – pomyślał z uśmiechem. „Edmond zaszyfrował swoje hasło”.

Langdon z uznaniem myślał o fortelu, który zastosował jego były student. Do przesady dbając o poufność, postanowił wykorzystać prostą typograficzną sztuczkę, dzięki której nawet gdyby komuś się udało ustalić jego ulubiony wers, to i tak nie mógłby poprawnie wpisać hasła.

„Edmond zapamiętał mój pierwszy wykład o symbolach” – westchnął w duchu.

Na początku swoich zajęć Langdon zawsze mówił studentom o symbolach w codziennym języku, które można uznać za logogramy. Stosowany często symbol & jest właśnie logogramem, a więc reprezentuje słowo, spójnik „i”. Choć wiedzą o tym nieliczni, symbol ten wywodzi się z łacińskiego słowa „et” i jest typograficzną fuzją tych właśnie dwóch liter, tyle że daleko przetworzoną. Można to sprawdzić, choćby ustawiając w komputerze czcionkę o nazwie Trebuchet.

Langdon doskonale pamiętał, jak na kolejny wykład młody geniusz przyszedł w bawełnianej koszulce z napisem „& dzwoni dom!”, co było zabawnym wykorzystaniem nowo zdobytej wiedzy w aluzji do słynnego filmu Spielberga, w którym pozostawiony

przypadkowo na Ziemi kosmita nazywany E.T. próbuje wrócić do domu.

Teraz, stojąc nad gablotą z poematem Blake’a, Langdon doskonale potrafił sobie wyobrazić, jak w swoim haśle Edmond zastępuje spójnik łacińskim źródłem znaku, którego czasem zamiast tego spójnika używamy.

MRO CZNERELIGIEWDAŁODESZŁYETRZĄDZISŁODKANAUKA

„Cały Edmond!” – westchnął Langdon, po czym w kilku słowach wyjaśnił Ambrze, na czym polegał sprytny trik, po który sięgnął Kirsch, żeby dodatkowo zabezpieczyć swoje i tak już trudne do odgadnięcia hasło.

Ambra wysłuchiwała go uważnie, a po chwili na jej twarzy pojawił się tak promienny uśmiech, jakiego Langdon nie widział, odkąd się poznali.

– No cóż. Gdyby ktokolwiek wątpił, że Edmond był geekiem, to...

Obydwoje jak na komendę wybuchnęli śmiechem, przez chwilę jeszcze zostając w krypcie, żeby choć trochę odetchnąć.

– Znalazłeś hasło – powiedziała z wdzięcznością. – A mnie jest teraz jeszcze bardziej przykro, że upuściłam telefon Edmonda. Gdybyśmy go mieli, moglibyśmy natychmiast rozpocząć transmisję prezentacji.

– To nie była twoja wina – powiedział z przekonaniem. – Zresztą mówiłem ci przecież, że wiem, jak znaleźć Winstona.

„A przynajmniej tak mi się wydaje” – dodał w duchu z nadzieją, że się nie myli.

Gdy Langdon przypominał sobie widok Barcelony z lotu ptaka, ciszę krypty przerwał przerażony głos odbijający się echem od ścian klatki schodowej.

Na górze ojciec Beña krzyczał, wołając ich do siebie.

Rozdział 74

– Pani Vidal! Panie Langdon! Chodźcie tu szybko!

Langdon i Ambra zaczęli wbiegać na górę. Rozpaczliwe wołanie księdza Beñi nie cichło. Jak najprędzej dotarli do szczytu schodów, tam jednak ogarnęła ich nieprzejrzana ciemność.

„Nic nie widzę!” – pomyślał Langdon.

Ostrożnie stawiał kroki, próbując przyzwyczaić wzrok do mroku. Obok niego szła Ambra, mrużąc powieki.

– Tutaj! – krzyknął Beña przerażony.

Skierowali się w stronę, skąd dobiegał głos, i wreszcie zauważyli starego kapłana w miejscu, gdzie prawie już nie docierała poświata od schodów. Beña klęczał, pochylony nad jakąś mroczną sylwetką.

W jednej chwili znaleźli się przy nim i Langdon się wzdrygnął, widząc groteskowo ułożone ciało Díaza na podłodze. Gwardzista leżał na brzuchu, ale głowę miał przekreśloną o sto osiemdziesiąt stopni i jego martwe oczy wpatrywały się w sufit świątyni. Langdon skulił się z przerażenia, rozumiejąc, skąd paniczne krzyki ojca Beñi.

Langdon poczuł lodowaty dreszcz strachu i wstał raptownie, rozglądając się po przepastnym, mrocznym wnętrzu w poszukiwaniu oznak jakiegokolwiek ruchu.

– Jego pistolet zniknął – szepnęła Ambra, wskazując na pustą kaburę. Rozejrzała się dookoła, po czym krzyknęła w mrok: – Panie Fonseca!

W ciemności niedaleko nich rozległo się szuranie kroków po kamiennej posadzce i dwa ciała zwarły się w śmiertelnej walce. Potem zaskoczył ich odgłos ogłuszającego huku strzału z broni palnej oddanego tuż obok nich. Langdon, Ambra i Beña odskoczyli do tyłu i gdy echo dudniącego grzmotu nie przestało jeszcze się odbijać od ścian świątyni, usłyszeli pełen bólu krzyk.

– ¡Corre! Uciekajcie!

Rozległ się drugi strzał, a po nim tępy łoskot – charakterystyczny dźwięk ciała upadającego na podłogę.

Langdon chwycił Ambrę za rękę i odciągnął ją w mrok pod boczną ścianę bazyliki.

Ksiądz Beña pędził krok za nimi, po czym wszyscy troje w ciszy przyłgnęli do kamiennego muru.

Langdon próbował przeszyć wzrokiem ciemność, usiłując odpowiedzieć sobie na pytanie, co się dzieje.

„Ktoś zabił Díaza i Fonsecę. Kto tu jest? I czego chce?”

Tylko jedna odpowiedź wydawała się prawdopodobna: zabójca skrywający się w mrokach nie przyszedł do Sagrada Família po to, żeby zamordować dwóch przypadkowych gwardzistów. Chodziło mu o Ambrę i Langdona.

„Ktoś chce mieć pewność, że odkrycie Edmonda nigdy nie ujrzy światła dziennego”.

Nagle pośrodku nawy rozbłysnął snop jasnego światła, który ruchem wahadłowym zaczął omiatać ściany, przesuwając się w ich kierunku. Langdon wiedział, że za kilka sekund dotrze do nich.

– Tędy – szepnął Beña, ciągnąc Ambrę wzdłuż ściany w przeciwną stronę.

Langdon ruszył za nimi, oddalając się od światła latarki. Beña i Ambra raptownie skręcili w prawo, jakby wniknęli w ścianę. Profesor zrobił to samo, natychmiast potykając się o niewidoczny stopień. Ambra i Beña wspinali się już na górę, gdy on odzyskał równowagę i ruszył za nimi. Kiedy po chwili się obejrzał, zobaczył snop światła padający na dolne schodki.

Zamarł w oczekiwaniu.

Światło przez dłuższą chwilę pozostawało na dole, po czym zaczęło się rozjaśniać.

„Idzie tutaj!”

Langdon słyszał, jak Ambra i Beña wspinają się nad nim, choć starali się robić to jak najciszej. Odwrócił się i popędził za nimi, znów się jednak potknął i zderzył z czymś twardym, zdając sobie sprawę, że schody nie są proste, tylko spiralne. Z dłonią przy ścianie pisał się coraz wyżej. Nie miał już wątpliwości, gdzie jest.

„Słynne spiralne schody”.

Zadarł głowę i zobaczył światło przedostające się z góry. Słabe, ale wystarczyło, żeby oświetlić wąski szyb, który go otaczał. Poczuł, jak sztywnieją mu nogi, i znieruchomiał. Atak klaustrofobii w ciasnym przejściu.

„Idź dalej!” Rozsądek kazał mu się wspinać, ale mięśnie zdrętwiały ze strachu.

Po chwili usłyszał gdzieś pod sobą odgłos stóp ciężko uderzających o marmurową podłogę nawy. Zmusił się, żeby ruszyć z miejsca. Pokonywał spiralne schody najszybciej, jak potrafił. Słabe światło nad jego głową zrobiło się jaśniejsze, gdy mijał otwór w ścianie.

Zerknął na zewnątrz przez szeroką szczelinę. Nocne miasto. Poczuł powiew chłodnego powietrza i znów wszedł w spiralę mroku, pnąc się coraz wyżej.

Ktoś za nim wszedł do klatki schodowej, a snop światła strzelił w górę. Langdon minął kolejny otwór w ścianie. Odgłos kroków stawał się coraz głośniejszy, najwyraźniej napastnik wbiegał w górę znacznie szybciej od niego.

Langdon dotarł do Ambry i ojca Beñi, który z trudem łapał oddech. Zerknął w dół biegnącego środkiem szybu. Wysokość przyprawiła go o zawrót głowy. Miał pod sobą wąską, okrągłą, czarną dziurę, którą wywiercono w muszli jakiegoś głowonoga z morskich głębin. I żadnej barierki. Tylko na wewnętrznej krawędzi stopni sięgający do kostki murek, który nie dawał absolutnie żadnej ochrony. Ledwie powstrzymał odruch wymiotny.

Przeniósł spojrzenie w mrok szybu nad głową. Czytał, że schody w wieży w Sagrada Família mają ponad czterysta stopni, a jeśli tak, to nie było możliwości, żeby dotarli na górę, zanim uzbrojony napastnik ich dopadnie.

– Biegnijcie pierwsi – wysapał Beña, przyciskając się do ściany i gestem ponaglając Ambrę oraz Langdona, żeby go wyprzedzili.

– Nie ma mowy! – zaprotestowała Ambra, wyciągając rękę do duchownego, żeby mu pomóc.

Langdon z podziwem przyjął tę reakcję, wiedział też jednak, że dalsza ucieczka po schodach to samobójstwo, ponieważ najprawdopodobniej zakończy się kulą w plecy.

Z dwóch zwierzęcych instynktownych sposobów na przetrwanie, ucieczki i walki, ucieczka nie była więc już możliwa.

„Nie ma mowy, żeby nam się udało dotrzeć do szczytu tych schodów”.

Kazał Ambrze i księdzu kontynuować wspinaczkę, po czym się odwrócił, zaparł mocno stopami i spojrzał w dół spirali. Światło latarki pod nim zbliżało się nieubłaganie.

Langdon stanął plecami do ściany, przykucnął w cieniu i czekał, dopóki snop światła nie oświetlił stopni tuż pod nim. Chwilę potem zza zakrętu wyłonił się zabójca. Ciemna postać szła z wyciągniętymi przed siebie rękami: w jednej latarka, w drugiej pistolet.

Langdon zareagował instynktownie. Wyskoczył w powietrze i rzucił się w dół nogami do przodu. Mężczyzna natychmiast go zauważył i chciał strzelić, nim jednak zdążył wycelować, pięty Langdona wylądowały na jego piersi, z wielką siłą przyciskając go do ściany.

Kolejne sekundy minęły w okamgnieniu.

Langdon upadł, lądując ciężko na boku, a jego biodro przeszył potworny ból.

Zabójca z jękiem wylądował na plecach kilka stopni niżej. Latarka przestała się turlać chwilę później i skośny snop światła padł na boczną ścianę, wydobywając z ciemności metalowy przedmiot mniej więcej w połowie drogi między Langdonem a jego prześladowcą.

„Pistolet!”

Obydwaj mężczyźni w tym samym momencie rzucili się po broń, ale Langdonowi z góry było łatwiej. Doskoczył pierwszy, chwycił pistolet i wycelował w mężczyznę, który zatrzymał się tuż pod nim, wyzywająco patrząc prosto w lufę.

W świetle latarki Langdon widział siwiejącą brodę i białe spodnie. Rozpoznał go natychmiast.

„Admirał z Muzeum Guggenheima...”

Langdon wycelował w jego głowę, czując delikatny opór spustu pod palcem wskazującym.

– Zabiłeś Edmonda Kirscha.

Mężczyzna ledwie łapał oddech, ale odpowiedział natychmiast, a jego głos był zimny jak lód.

– Tylko wyrównałem rachunki. Twój przyjaciel zamordował moją rodzinę.

Rozdział 75

„Połamał mi żebra”.

Admirał Ávila czuł klucie, ilekroć nabierał powietrza. Krzywił się z bólu, gdy jego klatka piersiowa falowała, desperacko próbując dostarczyć organizmowi odpowiednią ilość tlenu. Przykucnięty na schodach nad nim Robert Langdon niewprawnie mierzył do niego z pistoletu.

Lata szkolenia wojskowego sprawiły, że Ávila odruchowo zaczął oceniać zagrożenie. Po stronie minusów zapisał to, że Langdon miał broń i znajdował się ponad nim. Po stronie plusów – małe, jeśli w ogóle jakiegokolwiek doświadczenie przeciwnika z bronią palną, na co wskazywał nietypowy sposób, w jaki Amerykanin trzymał pistolet.

„On nie chce mnie zastrzelić” – uznał Ávila. „Będzie mnie trzymał na muszce, dopóki nie przyjdzie ochrona”. Krzyki w głównej nawie poniżej nie pozostawiały wątpliwości, że ochroniarze bazyliki usłyszeli wystrzał i właśnie wbiegli do środka.

„Muszę działać szybko”.

Z rękami podniesionymi nad głowę Ávila powoli opadł na kolana, okazując w ten sposób całkowitą uległość.

„Niech myśli, że panuje nad sytuacją”.

Ávila czuł, że mimo upadku ze schodów zza jego paska wysunął się ukryty tam przedmiot – ceramiczny pistolet, z którego w Muzeum Guggenheima zabił Kirscha.

Wsunął do komory drugi i zarazem ostatni pocisk, zanim wszedł do Sagrada Família, ale go nie wykorzystał, ponieważ udało mu się po cichu zabić jednego z gwardzistów i przejąć jego broń, z której teraz mierzył do niego Langdon. Ávila żałował, że odbezpieczył pistolet, bo Amerykanin najpewniej nie wiedziałby, jak to zrobić.

Admirał zastanawiał się, czy nie strzelić do Langdona, nawet jednak gdyby mu się udało wyrwać zza paska ceramiczny pistolet, swoje szanse przeżycia oceniał na pięćdziesiąt procent. Za największe niebezpieczeństwo uznał to, że niewprawni użytkownicy broni często strzelają przypadkowo.

„Jeśli poruszę się zbyt szybko...”

Pokrzykiwania ochroniarzy robiły się coraz głośniejsze. Ávila wiedział co prawda, że jeśli zostanie schwytany, to dzięki tatuażowi na dłoni szybko odzyska wolność, a przynajmniej tak go zapewniał Regent, teraz jednak, po zabójstwie dwóch żołnierzy Gwardii Królewskiej, nie był pewien, czy wpływy Regenta zdołają go ocalić.

„Przyjechałem tutaj, ponieważ powierzono mi misję” – przypomniawszy sobie Ávila.

„Muszę ją dokończyć. Dostałem rozkaz, żeby wyeliminować Ambre Vidal i Roberta Langdona”.

Regent powiedział Ávili, żeby wszedł do kościoła od wschodu przez bramę dostawczą, ale admirał zdecydował się przeskoczyć przez płot. „Przy wschodniej bramie kręciła się policja, musiałem więc improwizować”.

Langdon odezwał się pewnym głosem, z wściekłością patrząc na Ávilę. Ani na chwilę nie opuszczał broni.

– To kłamstwo. Edmond nie mógł zabić twojej rodziny. Nie był mordercą.

„Masz rację” – pomyślał Ávila. „Był kimś znacznie gorszym”.

Mroczna prawda o Kirschu była tajemnicą, którą Ávila poznał dopiero tydzień temu podczas rozmowy telefonicznej z Regentem. „Papież prosi, żebyś wyeliminował słynnego futurystę Edmonda Kirscha” – powiedział Regent. „Jest wiele przesłanek, którymi się kieruje Jego Świątobliwość, a jako wykonawcę tej misji wskazał właśnie pana, admirale”.

„Dlaczego mnie?” – zapytał wtedy Ávila.

„Przykro mi, że muszę to panu powiedzieć” – Regent zniżył głos do szeptu.

„Edmond Kirsch jest odpowiedzialny za zamach, w którym zginęła pańska rodzina”.

Ávila zareagował całkowitym niedowierzaniem. Nie widział żadnego powodu, dla którego powszechnie znany informatyk miałby organizować zamach bombowy w kościele.

– Jest pan żołnierzem, admirale, dlatego wie pan lepiej niż ktokolwiek inny, że na wojnie za spust pociąga młody żołnierz, a nie ten, kto go wysłał do walki – przekonywał go Regent. – Żołnierz jest tylko pionkiem, wykonującym rozkazy wydane przez tych, którzy dzierżą władzę: polityków, generałów, przywódców religijnych. To oni albo mu zapłacili, albo go przekonali, że cel uświęca środki.

Racja. Ávila dobrze o tym wiedział.

– Te same reguły odnoszą się do terroryzmu – kontynuował Regent. – Najbardziej bezwzględni terroryści są nie ci, którzy konstruują bomby, lecz przywódcy podsycający nienawiść zdesperowanych mas i skłaniający swoich żołnierzy do popełniania aktów przemocy. Jeden mroczny charakter ma dość siły, by szerzyć na świecie spustoszenie poprzez inspirowanie nietolerancji duchowej, nacjonalizmu albo sianie pogardy w umysłach niczego niepodważających osób.

Ávila znów musiał się z nim zgodzić.

– Ataki terrorystyczne przeciwko chrześcijanom pojawiają się na całym świecie coraz częściej. Te najnowsze nie są już skutkiem planowania ani strategii. Zdarzają się spontanicznie, przeprowadzane przez samotne wilki, które odpowiadają na wezwanie do walki wystosowane przez potężnych wrogów chrześcijaństwa. – Regent zrobił pauzę. – Do tych potężnych wrogów chrześcijaństwa zaliczam Edmonda Kirscha.

W tym momencie Ávila pomyślał, że Regent zaczyna naginać prawdę do swoich potrzeb. Chociaż kampania Kirscha była rzeczywiście nikczemna, to jednak znany futurysta nigdy nie wzywał do mordowania chrześcijan.

– Zanim pan zaprotestuje, jeszcze coś panu powiem – kontynuował głos w słuchawce. – Nikt o tym nie wie, admirale, ale atak, w którym zginęła pańska rodzina...

– Regent westchnął ciężko. – Ten zamach był wymierzony w Kościół palmariański.

To stwierdzenie skłoniło Ávilę do namysłu, doszedł jednak do wniosku, że nie ma ono sensu. Katedra w Sewilli nie była świątynią palmariańską.

– W dzień wybuchu na terenie katedry sewilskiej znajdowało się czterech prominentnych członków Kościoła palmariańskiego, którzy prowadzili tam rekrutację. To przeciwko nim wymierzony był ten zamach. Jednego z nich pan zna, to Marco. Pozostali trzech zginęli.

Myśli Ávili kotłowały się bezładnie, gdy przypomniał sobie swojego rehabilitanta, który stracił nogę w tym samym zamachu.

– Nasi wrogowie są potężni i zdeterminowani. Zamachowiec nie mógł się dostać do naszego kościoła w El Palmar de Troya, poszedł więc za naszymi misjonarzami do Sewilli i tam zdetonował bombę. Bardzo mi przykro, admirale. Ta tragedia była jednym z powodów, dla których Kościół palmariański objął pana opieką. Czujemy się odpowiedzialni za to, że pańska rodzina była cywilną ofiarą wojny wypowiedzianej nam.

– Wypowiedzianej przez kogo? – zapytał Ávila, próbując zrozumieć te szokujące informacje.

– Proszę sprawdzić maila – odparł Regent.

Ávila otworzył skrzynkę i ze zdumieniem znalazł w niej zestaw dokumentów odzwierciedlających krucjatę przeciwko Kościołowi palmariańskiemu prowadzoną już od ponad dekady. Wojna ta obejmowała procesy sądowe, groźby graniczące wręcz z szantażem oraz olbrzymie dotacje dla antypalmariańskich grup takich jak Palmar de Troya Support czy Dialogue Ireland.

Najbardziej zaskakujące było jednak to, że wszystkie te działania najwyraźniej inspirował jeden człowiek, a tym człowiekiem był Edmond Kirsch.

Ávila czytał dokumenty z wielkim zaskoczeniem. „Dlaczego Edmond Kirsch chciał zniszczyć właśnie palmarian?”

Regent powiedział, że nikt w Kościele, nawet sam papież, nie ma pojęcia, dlaczego Kirsch tak bardzo się uwziął akurat na nich. Pewnie przyczyna była prozaiczna: jeden z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ludzi na świecie postanowił nie spocząć, dopóki nie zniszczy palmarian.

Regent zwrócił uwagę Ávili na ostatni dokument, list napisany do palmarian przez mężczyznę przyznającego się do winy po zamachu w Sewilli. W pierwszym zdaniu zamachowiec nazwał się „uczniem Edmonda Kirscha”. To wystarczyło, żeby dłonie admirała ścisnęły się w pięści.

Regent wyjaśnił mu, dlaczego palmarianie nie ujawnili tego listu: Kościół i tak miał złą prasę, głównie w wyniku działań Kirscha, skojarzenie go z zamachem bombowym było więc ostatnią rzeczą, jakiej wtedy potrzebował.

„Moja rodzina zginęła przez Kirscha”.

Teraz, w mroku na spiralnych schodach, Ávila patrzył na Roberta Langdona i był przekonany, że Amerykanin nie ma pojęcia ani o potajemnej krucjacie Kirscha przeciwko Kościołowi palmariańskiemu, ani o tym, że Kirsch był inspiratorem zamachowca, który zabił jego rodzinę.

„Ale to nieważne, co on wie” – pomyślał. „Jest żołnierzem tak jak ja. Obydwaj wpadliśmy do tego samego okopu, ale tylko jeden wyjdzie z niego żywy”.

Langdon zajął pozycję kilka stopni nad nim i trzymał broń jak amator, obydwoma rękami. „Zła decyzja” – pomyślał Ávila, powoli opuszczając palce u nóg na niższy schodek i mocno je na nim opierając. Przez cały czas patrzył przy tym Langdonowi prosto w oczy.

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale Edmond Kirsch zabił moją rodzinę – oznajmił. – A tutaj masz na to dowód.

Ávila otworzył dłoń, żeby pokazać swój tatuaż, który oczywiście niczego nie dowodził, ale odniósł zamierzony efekt. Langdon spojrzał.

Gdy Amerykanin stracił na chwilę koncentrację, Ávila skoczył na równe nogi, kierując się w stronę ściany, żeby zejść z linii strzału. Zgodnie z przewidywaniami admirała Langdonem pokierował impuls, każąc mu pociągnąć za spust, zanim przesunął lufę pistoletu w prawo, żeby ją wymierzyć w ruchomy cel. W ciasnej przestrzeni wystrzał huknął jak grzmot. Ávila poczuł, że kula drasnęła mu ramię, po czym odbiła się od ściany, nie robiąc nikomu krzywdy.

Langdon zdążył w tym czasie ponownie wycelować, ale Ávila wyskoczył w powietrze i opadając, uderzył pięściami w jego dłonie. Wytrącił mu pistolet, który ze stukotem spadał ze schodów.

Ostry ból przeszył klatkę piersiową i ramię Ávili, gdy admirał wylądował na schodach obok Langdona, ale przyływ adrenaliny sprawił, że nie wpłynęło to na jego działanie.

Sięgając za siebie, wyszarpnął zza paska ceramiczny pistolet, który wydał się nic nie ważyć w porównaniu z bronią odebraną gwardziście.

Ávila wycelował w pierś Langdona i bez wahania pociągnął za spust.

Broń strzeliła, ale wystrzałowi towarzyszył dziwny trzask. Niemal w tej samej chwili Ávila poczuł piekący ból dłoni i zdał sobie sprawę, że eksplodowała lufa.

Niewidoczne dla wykrywaczy metalu pistolety konstruowane były dla jednego albo dwóch strzałów. Ávila nie miał pojęcia, dokąd poleciała kula, ale gdy zobaczył, że Langdon się podnosi, upuścił broń i rzucił się na niego. Mężczyźni zaczęli walkę wręcz tuż przy niebezpiecznie niskim murku po wewnętrznej stronie schodów.

Ávila już wiedział, że wygra.

„Jesteśmy tak samo uzbrojeni, ale ja mam lepszą pozycję” – pomyślał.

Wiedząc, że pośrodku schodów znajduje się praktycznie nieosłonięty i śmiertelnie głęboki szyb, Ávila zaparł się nogą o zewnętrzną ścianę i całą siłę, którą w ten sposób zyskał, chciał wykorzystać, żeby wepchnąć Amerykanina do czarnej czeluści. Powoli przesuwiał przeciwnika w jej stronę.

Langdon opierał się gwałtownie, ale Ávila miał wyraźną przewagę dzięki zajmowanej pozycji, a przerażenie w oczach profesora informowało wyraźnie, że ten już wie, co go czeka.

Robert Langdon nieraz słyszał stwierdzenie, że najważniejsze wybory, od których zależy całe życie, zwykle wymagają decyzji podjętej w ułamku sekundy.

Spychany w stronę niskiego występu na końcu schodów, z plecami wygiętymi nad kilkumetrową przepaścią, wiedział, że nie zdoła pokonać walczącego na lepszej pozycji przeciwnika. Wysoki wzrost, a więc też położony wysoko środek ciężkości, właśnie postawiły go w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Langdon desperacko zerknął za siebie. Okrągły szyb nie był szeroki, góra metr, ale z pewnością wystarczył, żeby pomieścić spadające ludzkie ciało, które najprawdopodobniej przeleciałoby przezeń aż do samego dołu.

„Nikt nie przeżyje upadku z tej wysokości”.

Ávila krzyknął gardłowo, chwytając go jeszcze silniej. W tym momencie Langdon zrozumiał, że jest tylko jedno możliwe posunięcie.

Zamiast się opierać przeciwnikowi, powinien mu pomóc.

Gdy Ávila pchnął go po raz kolejny, Langdon przykucnął, mocno stawiając stopy na schodach.

Przez chwilę znów był dwudziestolatkiem na basenie w Princeton. Przed zawodami pływackimi stylem grzbietowym kucał na słupku plecami w stronę basenu. Ugięte kolana.

Napięte mięśnie brzucha. Oczekiwanie na wystrzał startera.

„Najważniejsze to zareagować na czas”.

Tym razem jednak Langdon nie czekał na sygnał do startu. Wyprostował nogi, wybijając się w powietrze z plecami pochylonymi nad otworem między schodami.

Podskakując, poczuł, że Ávila, który nastawił się na zrównoważenie naporu dziewięćdziesięciokilowej masy, chwije się wskutek nagłego odwrócenia wektora siły.

Ávila przestał się odpychać od ściany niemal natychmiast, ale i tak stracił równowagę i zaczął machać rękami w powietrzu, żeby ją odzyskać. Gdy Langdon oderwał się od posadzki, miał tylko nadzieję, że przeleci w powietrzu dostatecznie daleko, by minąć otwór pośrodku spiralnych schodów i wylądować po jego drugiej stronie, ponad półtora metra niżej. Ale stało się inaczej. W powietrzu, gdy instynktownie zwinął się w kłębek przed upadkiem na twarde kamienne stopnie, zderzył się z pionową kamienną powierzchnią.

„Nie doskoczyłem”.

„Już po mnie”.

Langdon był pewien, że uderzył o wewnętrzną ścianę szybu, i nastawił się na długi lot w dół.

Ale spadał tylko chwilę.

Niemal natychmiast upadł na twardą nierówną powierzchnię, trafiając w coś głową.

Siła uderzenia omal go nie ogłuszyła. Resztką przytomności zdał sobie sprawę, że przeskoczył nad szybem, ale spadł w innym miejscu, niż planował. Niżej.

„Znajdź pistolet” – pomyślał, z całych sił próbując odzyskać panowanie nad sobą.

Nie miał wątpliwości, że za kilka sekund rzuci się na niego Ávila.

Ale było już za późno.

Jego umysł się wyłączał.

Zanim pochłonęła go ciemność, usłyszał pod sobą dziwny dźwięk. Serię głuchych odgłosów, które stawały się coraz bardziej odległe.

Jakby ktoś wrzucił do zsypu dużą torbę ze śmieciami.

Rozdział 76

Gdy samochód wiozący następcę tronu zbliżył się do głównej bramy Escorialu, książę zobaczył znajomą blokadę z białych SUV-ów i wiedział już, że Valdespino mówił prawdę.

„Ojciec rzeczywiście tu jest”.

Wielkość konwoju sugerowała, że wszyscy gwardziści ochraniający króla przenieśli się teraz do tej historycznej rezydencji.

Gdy młody duchowny zatrzymał starego opla, wojskowy z latarką podszedł do okna, oświetlił wnętrze auta i cofnął się zdziwiony, że następca tronu i biskup Valdespino podróżują takim zdezelowanym samochodem.

– Wasza Wysokość! – wykrzyknął, stając na baczność. – Wasza Ekscelencjo.

Oczekujemy panów. – Ponownie spojrzał na starego opla. – Gdzie się podziałą gwardyjska ochrona?

– Byli potrzebni w pałacu – odpowiedział książę. – Przyjechaliśmy zobaczyć się z moim ojcem.

– Oczywiście, oczywiście. Wasza Wysokość i ksiądz biskup zechcą wysiąść z samochodu.

– Po prostu usuńcie jedno auto z blokady – utyskiwał Valdespino. – Wjedziemy do środka. Jego Wysokość jest w szpitalu klasztornym, prawda?

– Był – odpowiedział gwardzista z ociąganiem. – Ale niestety już go nie ma.

Valdespino jęknął z przerażoną miną.

Julián poczuł, jak przenika go lodowaty dreszcz.

„Mój ojciec nie żyje?”

– Nie, nie – wyjąkał gwardzista, zdając sobie sprawę, jak fatalnie dobrał słowa. – Jego Wysokości już tam nie ma, bo godzinę temu opuścił El Escorial. Zabrał ze sobą pierwszy skład ochrony i wyjechali.

Julián odczuł wielką ulgę, która jednak szybko zamieniła się w konsternację.

„Opuścił szpital?”

– To absurd! – krzyknął Valdespino. – Przecież król mi powiedział, że mam natychmiast przywieźć księcia Juliána tutaj!

– Tak, Wasza Ekscelencjo, otrzymaliśmy w związku z tym specjalne rozkazy, proszę więc wysiąść z tego auta, bo czeka już samochód Gwardii Królewskiej.

Valdespino i Julián wymienili zaskoczone spojrzenia i posłusznie wysiedli.

Gwardzista powiedział kierowcy opla, że nie będzie już potrzebny i ma wracać do pałacu.

Wystraszony młody człowiek odjechał bez słowa, czując wielką ulgę, że jego rola w dziwacznych wydarzeniach dzisiejszej nocy wreszcie się zakończyła.

Gdy strażnicy zaprowadzili księcia i Valdespina na tył jednego z samochodów, biskup coraz bardziej się irytował.

– Gdzie jest król? – zapytał. – Dokąd nas zabieracie?

– Wykonujemy osobiste rozkazy Jego Wysokości – odpowiedział jeden z gwardzistów. – Polecił nam dać Waszej Wysokości samochód i ten list.

Po tych słowach żołnierz wyjął z kieszeni zalakowaną kopertę, którą przez okno wręczył księciu Juliánowi.

„List od ojca?” Ksiązę był zakłopotany tym poziomem formalności, zwłaszcza gdy zauważył, że koperta jest zalakowana odciskiem królewskiej pieczęci. „Co on wyprawia?” Wzmogło się w nim przeczucie, że umysł chorego króla odmówił mu posłuszeństwa.

Następca tronu z niecierpliwością złamał pieczęć, otworzył kopertę i wyjął z niej ręcznie zapisaną kartkę. Pismo ojca nie było już takie jak kiedyś, ale nadal wyraźne. Gdy Julián zaczął odczytywać list, jego zdumienie rosło z każdym słowem.

Skończył czytać, wsunął kartkę z powrotem do koperty i zamknął oczy, zastanawiając się, jakie ma teraz możliwości. Oczywiście w grę wchodziła tylko jedna.

– Proszę jechać na północ – polecił kierowcy.

Gdy samochód ruszał sprzed bramy Escorialu, ksiązę czuł na sobie spojrzenie Valdespina.

– Co napisał twój ojciec? – zapytał biskup. – Dokąd mnie zabierasz?

Julián wypuścił powietrze i odwrócił głowę do zaufanego przyjaciela ojca.

– Jakiś czas temu doskonale to ująłeś – powiedział, uśmiechając się do starego biskupa.

– Mój ojciec nadal jest królem, kochamy go i wykonujemy jego rozkazy.

Rozdział 77

– Robercie! – usłyszał szept.

Próbował zareagować, ale zbyt bolała go głowa.

– Robercie?

Delikatna dłoń dotknęła jego twarzy i Langdon powoli otworzył oczy.

Zdezorientowany sądził, że śni. „Jakiś biały anioł unosi się nade mną”.

Gdy rozpoznał jej twarz, słabo się uśmiechnął.

– Dzięki Bogu! – powiedziała Ambra, wzdychając z ulgą. – Słyszeliśmy strzelaninę. –

Usiadła przy nim. – Nie wstawaj.

Odzyskawszy świadomość, nagle poczuł strach.

– Zabójca...

– Nie żyje – Uspokoiła go szeptem. – Jesteś bezpieczny. – Gestem wskazała w dół szybu pośrodku schodów. – Spadł na sam dół.

Langdon wysilił się, żeby to przyjąć do wiadomości. Powoli wracała mu pamięć ostatnich chwil. Odzyskując klarowność myślenia, skupił się na ocenie własnego stanu, zważywszy na pulsujący ból w lewym biodrze i silny ból głowy. Oprócz tego nic chyba mu się nie stało. Żadnych złamań. Potem gdzieś niżej na schodach policjanci zaczęli rozmawiać przez radio.

– Jak długo... byłem...

– Kilka minut – odpowiedziała Ambra. – Odzyskiwałeś przytomność, a potem zaraz ją traciłeś. Musimy cię zawieźć do szpitala.

Niepewnie podźwignął się do pozycji siedzącej i oparł plecami o ścianę klatki schodowej.

– To był ten admirał... – powiedział. – Ten sam, który...

– Wiem – przerwała mu Ambra z potakującym skinieniem głowy. – Ten, który zabił Edmonda. Policja już go zidentyfikowała. Są na dole przy zwłokach. Chcieli z tobą rozmawiać, ale ojciec Beña powiedział, że nikogo nie wpuści na górę, dopóki nie zbada cię lekarz. Pogotowie powinno tu być lada moment.

Langdon się zgodził, czując w głowie pulsujący ból.

– Prawdopodobnie zabiorą cię do szpitala – dodała Ambra. – To znaczy, że musimy porozmawiać, zanim przyjadą.

– O czym porozmawiać?

Ambra patrzyła na niego z zatroskaną miną. Przysunęła się bliżej i szeptem powiedziała mu do ucha:

– Nie pamiętasz? Znaleźliśmy hasło Edmonda. „Mroczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka”.

Jej słowa przebiły się przez mgłę jak strzała. Langdon się wyprostował.

Oszło mu w jednej chwili.

– Doprowadziłeś nas aż do tego miejsca, z resztą już sobie poradzę sama – ciągnęła.

– Powiedziałeś, że wiesz, jak znaleźć Winstona. Że znasz lokalizację laboratorium komputerowego Edmonda. Powiedz mi, dokąd mam iść, a ja już zrobię, co trzeba.

– To prawda, wiem, gdzie on jest. – „A przynajmniej mam nadzieję, że mi się uda to odgadnąć”.

– Powiedz mi.

– Musimy przejechać na drugą stronę miasta.

– Dokąd?

– Nie znam adresu – odpowiedział, niepewnie podnosząc się na nogi. – Ale mogę cię tam zabrać...

– Usiądź, Robercie! Proszę cię.

– Tak, niech pan usiądzie – powtórzył po niej męski głos dobiegający ze schodów pod nimi. Ojciec Beña ciężko dyszał. – Pogotowie jest już prawie na miejscu.

– Nic mi nie jest – skłamał Langdon, czując silne zawroty głowy. Oparł się o ścianę.

– Ambra i ja musimy już iść.

– Daleko pan nie zajdzie – stwierdził Beña, powoli wspinając się ku nim. – Policja czeka na dole. Chcą, żeby pan zeznawał. Poza tym kościół jest otoczony przez media.

Ktoś dał cynk prasie, że tu jesteście. – Duchowny stanął obok nich i posłał Langdonowi zmęczony uśmiech. – A właśnie. Pani Vidal i ja z wielką ulgą widzimy, że nic poważnego się panu nie stało. Uratował pan nam życie.

Langdon się zaśmiał.

– Jestem całkiem pewien, że to ksiądz uratował je nam.

– W każdym razie chciałem, żebyście wiedzieli, że nie uda się wam opuścić tej klatki schodowej bez rozmowy z policją.

Gdy Langdon spojrzał w dół szybu, po raz kolejny doceniając piękno wzorowanego na muszli projektu Gaudiego, przypomniał sobie stronę internetową muzeum architekta znajdującego się w podziemiach tego kościoła. Otóż na tej stronie, którą Langdon

odwiedził nie tak dawno temu, umieszczono serię spektakularnych modeli bazyliki Sagrada Família precyzyjnie wykonanych dzięki projektowaniu parametrycznemu, a następnie wydrukowanych w technologii 3D. Przedstawiały one ewolucję budynku od fundamentów, przez stan obecny, po imponujący efekt końcowy, nadal odległy o ponad dekadę.

„Skąd przyszliśmy?” – pomyślał Langdon. „Dokąd idziemy?”

Uderzył go jeden z podrzuconych przez pamięć obrazów: model wnętrza świątyni.

Zakodowany w jego ejdetycznej pamięci, przedstawiał bieżący stan konstrukcji świątyni, opatrzony podpisem: „Sagrada Família dziś”.

„Jeśli ten model jest aktualny, to istnieje stąd jeszcze jedno wyjście”.

Raptownie odwrócił się do duchownego.

– Czy może ojciec przekazać wiadomość ode mnie komuś na zewnątrz?

Stary ksiądz zrobił zdumioną minę.

Gdy Langdon wyłożył im swój plan opuszczenia kościoła, Ambra pokręciła głową.

– To niemożliwe, Robercie. Nigdzie nie będzie dość miejsca, żeby...

– Będzie – przerwał jej Beña. – Nie zostanie tak na zawsze, ale w tej chwili pan Langdon ma rację. Miejsca wystarczy.

Teraz Ambra patrzyła ze zdumieniem.

– No dobrze, założmy, że uda nam się stąd wymknąć, ale czy jesteś pewien, że nie powinieneś trafić do szpitala?

Wcale nie był tego pewien.

– Do szpitala pójde później, jeśli to się okaże konieczne – powiedział. – Teraz jesteśmy winni Edmondowi to, po co tu przyszliśmy. – Odwrócił się do Beñi, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. – Muszę być z księdzem szczery. Zapewne ksiądz wie, że Edmond Kirsch został zamordowany po to, żeby jego odkrycie nie wyszło na jaw.

– Wiem – potwierdził stary kapłan. – A ze wstępu, który dzisiaj wygłosił, jasno wynikało, że jego zdaniem to odkrycie poważnie zaszkodzi wszystkim istniejącym religiom.

– Otóż to, i właśnie dlatego uważam, że powinien ksiądz poznać powód naszej wizyty. Razem z panią Vidal przylecieliśmy do Barcelony, ponieważ mamy nadzieję upublicznić zapowiedziane przez Edmonda Kirscha odkrycie. Teraz już bardzo niewiele nam do tego brakuje. A to znaczy... – Langdon zrobił pauzę. – To znaczy, że prosząc teraz księdza o pomoc, chcę, żeby ksiądz przyłożył rękę do ujawnienia światu przesłania ateisty.

Beña podniósł rękę i położył dłoń na ramieniu Langdona.

– Panie profesorze – zaczął, tłumiąc chichot – Edmond Kirsch nie jest pierwszym w historii ateistą, który ogłasza śmierć Boga. Nie będzie też ostatnim. Cokolwiek odkrył,

będzie niewątpliwie omawiane po obydwu stronach. Odkąd istniejemy, ludzki intelekt się rozwija i nie jest moją rolą w tym rozwoju przeszkadzać. A z mojej perspektywy każdy postęp intelektualny związany jest z Bogiem.

Po tych słowach ojciec Beña uśmiechnął się do nich krzepiąco i zaczął schodzić na dół.

Pilot helikoptera EC145 stojącego na terenie Sagrada Família z rosnącym zaniepokojeniem patrzył, jak powoli rośnie tłum wokół ogrodzenia świątyni, tym bardziej że odkąd posadził maszynę, nie odezwał się do niego ani jeden, ani drugi gwardzista. Już miał sięgnąć po radiotelefon, gdy z bazyliki wyszedł drobny człowiek w czarnych szatach i podszedł do śmigłowca.

Przedstawił się jako ojciec Beña i przekazał szokujące wiadomości ze środka: obydwaj żołnierze Gwardii Królewskiej zostali zabici, a przyszłą królową i Roberta Langdona trzeba natychmiast ewakuować. Ale to był dopiero początek niesamowitej historii, ponieważ zaraz potem duchowny wyjaśnił, skąd pasażerów należy odebrać.

„Niemożliwe!” – pomyślał pilot.

Ale gdy już się wzbił w powietrze i zobaczył wieże bazyliki, przekonał się, że ojciec Beña miał rację. Najwyższa iglica, mająca w przyszłości stanąć na potężnej centralnej wieży kościoła, nie została jeszcze zbudowana. Przygotowana pod nią platforma skrywała się między zewnętrznymi wieżami niczym polana w lesie sekwojowym.

Pilot ustawił się wysoko nad platformą i ostrożnie obniżył helikopter między wieżami. Gdy usiadł, zobaczył dwie postaci wyłaniające się z klatki schodowej. Ambra Vidal prowadziła rannego Roberta Langdona.

Pilot wyskoczył, żeby pomóc im wejść na pokład.

Gdy przypiął ich pasami, wyraźnie zmęczona przyszła królowa skinęła mu głową.

– Bardzo dziękuję – szepnęła. – Pan Langdon powie panu, dokąd lecimy.

Rozdział 78



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

KOŚCIÓŁ PALMARIAŃSKI ZABIŁ MATKĘ EDMONDA KIRSCHA?!

Nasz informator monte@iglesia.org przekazał jeszcze jedną rewelacyjną informację!

Według dokumentów, które potwierdził portal ConspiracyNet, Edmond Kirsch kilkakrotnie wytaczał Kościołowi palmariańskiemu sprawy sądowe o „pranie mózgów oraz psychiczne i fizyczne znęcanie się nad ludźmi”, które ponad trzydzieści lat temu rzekomo doprowadziło do śmierci Palomy Kirsch, biologicznej matki Edmonda.

Paloma Kirsch przebywała w zakonie palmariańskim, z którego ponoć próbowała wystąpić, co spowodowało na nią przemoc psychiczną przełożonych, a ta doprowadziła ją do samobójstwa przez powieszenie w zakonnej celi.

Rozdział 79

– Król osobiście?! – powtórzył komendant Garza, a jego głos odbił się echem od ścian pałacowej zbrojowni. – Nie mogę się pogodzić z tym, że rozkaz aresztowania mnie wydał sam król. Po tylu latach wiernej służby!

Mónica Martín przytknęła sobie palec do warg, uciszając go, i między zbrojami zerknęła w kierunku drzwi wejściowych, żeby się upewnić, czy gwardziści nie podsłuchują.

– Mówiłam panu, że biskup Valdespino ma nieograniczony dostęp do ucha króla.

Udało mu się przekonać Jego Wysokość, że kierowane przeciwko niemu oskarżenia to pańska sprawka, że próbuje pan go w coś zrobić.

„Stałem się kozłem ofiarnym” – zdał sobie sprawę Garza, który zawsze podejrzewał, że gdyby król miał wybrać między komendantem swojej gwardii przybocznej a biskupem Valdespino, wybrałby biskupa, z którym łączyła go długoletnia przyjaźń. Więzy emocjonalne zawsze są silniejsze od zawodowych. Mimo to nie mógł powstrzymać wrażenia, że relacja Martín jest nie do końca logiczna.

– A porwanie? – zapytał. – Chcesz mi powiedzieć, że to był rozkaz króla?

– Tak, Jego Wysokość zatelefonował do mnie osobiście. Nakazał mi ogłosić, że Ambra Vidal została uprowadzona. Wymyślił tę historię z porwaniem, żeby ratować reputację przyszłej królowej. Inaczej wyglądałoby na to, że uciekła z innym mężczyzną.

– Martín rzuciła Garzy poirytowane spojrzenie. – Dlaczego mnie pan o to wypytuje?

Przecież pan wie, że z historią o porwaniu król dzwonił też do Fonseki?

– Nie mogę uwierzyć, że król zaryzykowałby fałszywe oskarżenie popularnego Amerykanina o porwanie – stwierdził Garza. – Musiałby...

– Oszaleć? – dokończyła za niego Martín.

Garza milczał.

– Panie komendancie, niech pan nie zapomina, że Jego Wysokość jest chory. Może dlatego źle ocenił sytuację i popełnił błąd?

– A może raczej wykonał genialny ruch? – zastanawiał się Garza. – Dzięki temu Ambra Vidal po swoim ekstrawaganckim wyczynie jest teraz bezpieczna pod skrzydłami naszych

gwardzistów.

– No właśnie – przytaknęła Martín, patrząc na niego niepewnie. – Co więc pana niepokoi?

– Valdespino – odpowiedział Garza. – Przyznaję, że go nie lubię, ale przeczucie mi podpowiada, że on nie może stać ani za zamordowaniem Kirscha, ani za całą resztą.

– Dlaczego? – rzuciła cierpko. – Bo jest duchownym? Powołanie Inkwizycji sporo nam mówi o tym, jak chętnie Kościół usprawiedliwia odwoływanie się do drastycznych środków. Moim zdaniem Valdespino jest zarozumiały, bezwzględny, wyrachowany i nadmiernie tajemniczy. Coś pominęłam?

– Tak – odparł bez namysłu Garza nieco zaskoczony, że przychodzi mu bronić biskupa. – Valdespino ma wszystkie cechy, które wyliczyłaś, ale też jest człowiekiem ponad wszystko szanującym tradycję i godność. Król ufa mu niezmiennie od dziesięcioleci, a niemal nikt nie cieszy się jego zaufaniem. Trudno mi uwierzyć, że powiernik Jego Wysokości mógłby się dopuścić zdrady, o której mówimy.

Martín westchnęła i sięgnęła po telefon.

– Przykro mi, że zachwieję pańskim przekonaniem o walorach biskupa, ale musi pan to zobaczyć. Suresh mi dał. – Wykonała kilka operacji, po czym podała Garzy aparat.

Na ekranie wyświetlała się długa wiadomość tekstowa. – To kopia esemesa, który biskup Valdespino odebrał dziś wieczorem – wyszeptała. – Niech pan przeczyta treść tej wiadomości. Gwarantuję, że zmieni pan zdanie.

Rozdział 80

Mimo bólu przeszywającego całe ciało Robert Langdon czuł się zaskakująco lekko, niemal euforycznie, gdy helikopter zahuczał między wieżami bazyliki Sagrada Família.
„Żyję!”

Czuł gwałtowny przypływ adrenaliny, jakby dopiero teraz docierały do niego wszystkie wydarzenia dzisiejszego wieczoru. Oddychając jak najwolniej, przeniósł uwagę na zewnątrz, do świata za oknami helikoptera.

Wokół niego potężne wieże kościelne strzelały w niebo, gdy jednak śmigłowiec się uniósł, kościół zniknął, a za oknem pojawiła się siatka oświetlonych ulic. Langdon patrzył w dół na przecznice, które zamiast zwykłych kwadratów lub prostokątów tworzyły mniej kanciaste ośmiokąty.

L’Eixample – pomyślał. „Poszerzenie”.

Wizjonerski architekt Ildefons Cerdà poszerzył wszystkie skrzyżowania w tej dzielnicy, ścinając rogi kwadratowych przecznic, żeby stworzyć niewielkie place z lepszą widocznością i wentylacją oraz miejscem dla kawiarnianych i restauracyjnych ogródków.

– *¿Adónde vamos?* – krzyknął pilot przez ramię.

Langdon wskazał miejsce, gdzie ukośnie biegła jedna z najjaśniejszych, najszerszych i najbardziej adekwatnie nazwanych ulic w mieście.

– *Avinguda Diagonal* – krzyknął Langdon. – *Al oeste*. Na zachód.

Niemożliwa do przeoczenia na mapie Barcelony aleja Diagonal przecina miasto, biegnąc od ultranowoczesnego wieżowca Diagonal Zero po wiekowe ogrody różane w Parc de Cervantes – dziesięcioakrowy hołd dla najwybitniejszego pisarza Hiszpanii, autora *Don Kichota*.

Pilot potwierdził skinieniem głowy, kierując się nad ukośną aleją na zachód w stronę gór.

– Jaki adres? – krzyknął po chwili. – Albo koordynaty?

„Nie znam adresu” – uzmysłowił sobie Langdon.

– Proszę lecieć do stadionu piłkarskiego.

– Do stadionu? – Pilot wydawał się zdziwiony. – FC Barcelona?

Langdon potwierdził, nie mając wątpliwości, że pilot dokładnie wiedział, jak dotrzeć do siedziby osławionego barcelońskiego klubu piłkarskiego, która mieściła się kilka kilometrów dalej.

Pilot otworzył przepustnicę i z pełną prędkością leciał wzdłuż Avinguda Diagonal.

– Robercie? – odezwała się cicho Ambra. – Dobrze się czujesz? – Przyglądała mu się uważnie, jakby podejrzewała, że po urazie głowy stracił orientację. – Powiedziałeś, że wiesz, jak odnaleźć Winstona.

– Wiem – potwierdził. – Właśnie nas tam prowadzę.

– Na stadion? Uważasz, że Edmond przechowywał swój komputer na stadionie piłkarskim?

Langdon pokręcił głową.

– Nie, stadion jest po prostu łatwym punktem orientacyjnym dla pilota. Chodzi mi o budynek bezpośrednio za siedzibą FC Barcelona. Gran Hotel Princesa Sofia.

Konsternacja widoczna na twarzy Ambry jeszcze się pogłębiła.

– Robercie, ale to też nie ma sensu. Nie ma mowy, żeby Edmond skonstruował swój komputer w luksusowym hotelu. Myślę, że jednak powinniśmy najpierw polecieć do szpitala.

– Nie potrzebuję szpitala. Zaufaj mi.

– Dokąd więc lecimy?

– Dokąd zmierzamy? – Langdon spojrzał na nią rozbawiony, drapiąc się w podbródek. – Zdaje się, że to jedno z dwóch ważnych pytań, na które Edmond obiecał odpowiedzieć dziś wieczorem.

Nie potrafił określić, czy twarz Ambry wyraża rozbawienie, czy desperację.

– Przepraszam – powiedział. – Wszystko ci wyjaśnię. Dwa lata temu jadłem lunch z Edmondem w prywatnym klubie na osiemnastym piętrze hotelu Princesa Sofia.

– I Edmond przyniósł ze sobą swój superkomputer? – zapytała Ambra ze śmiechem.

Langdon też się uśmiechnął.

– Niezupełnie. Edmond przyszedł do hotelu na piechotę i powiedział, że często się stołuje w tym miejscu, ponieważ ma blisko, tylko kilka przecznic od swojego laboratorium. Zwierzył mi się też, że pracuje nad zaawansowaną inteligencją syntetyczną i jego projekt zapowiada się naprawdę obiecująco.

W Ambrę wyraźnie wstąpiła otucha.

– To musiało być o Winstonie!

– To samo pomyślałem.

– Edmond zabrał cię do swojego laboratorium?

– Nie.

– Powiedział ci, gdzie jest?

– Niestety, to też zachował dla siebie.

W oczach Ambry ponownie się pojawiło zaniepokojenie.

– Ale lokalizację laboratorium ujawnił nam Winston – dodał Langdon.

Ambra była wyraźnie zdezorientowana.

– Nie, niczego takiego nie zrobił.

– Zapewniam cię, że zrobił – zaprzeczył Langdon z uśmiechem. – Powiedział to całemu światu.

Zanim Ambra zdążyła zażądać wyjaśnień, pilot oznajmił:

– *¡Estadio de fútbol!*

„Dolecieliśmy w mgnieniu oka” – pomyślał Langdon, wyglądając przez okno, żeby zlokalizować położony niedaleko stadionu Gran Hotel Princesa Sofia – wieżowiec wychodzący na duży plac przy alei Diagonal.

Polecił pilotowi ominąć stadion i zawieźć ich nad budynek hotelu. Przez kilka sekund helikopter wzbijał się w powietrze i po chwili zawisł nad budynkiem, w którym Langdon i Edmond jedli razem lunch. „Powiedział mi wtedy, że laboratorium komputerowe jest kilka przecznic stąd”.

Langdon oglądał teren pod nimi. Ulice w sąsiedztwie nie przecinały się pod kątem prostym jak wokół Sagrada Família, dzięki czemu przestrzeń między nimi tworzyła najróżniejsze kształty.

„To musi być gdzieś tutaj”. Z rosnącą niepewnością Langdon przeszukiwał okolicę we wszystkich kierunkach, próbując odnaleźć kształt, który zachował w pamięci.

Dopiero gdy skierował wzrok na północ, ku przeciwległej stronie Plaça de Pius XII, poczuł przypływ nadziei.

– Tam! – krzyknął do pilota. – Proszę lecieć nad tamte drzewa!

Pilot pochylił dziób helikoptera, przeciął jedną przecznicę na północny zachód i zawisł nad drzewami, które wskazał Langdon. Okazało się, że zadrzewiony teren znajduje się na ogrodzonym wysokim murem terenie mieszczącym także duży budynek.

– Robercie! – krzyknęła Ambra, teraz już wyraźnie podenerwowana. – Co ty wyprawiasz! To Palau Reial de Pedralbes. W dawnym pałacu królewskim Edmond nie mógłby...

– Nie tutaj! Tam! – Wskazał teren bezpośrednio za pałacem.

Ambra pochyliła się do przodu, próbując odgadnąć, co wywołało taką ekscytację Langdona. Za pałacem znajdował się obszar wyznaczony przez cztery dobrze oświetlone ulice, które przecinały się tak, że tworzyły romb na osi północ-południe. Jego kształt byłby

idealny, gdyby nie dziwne zagięcia w prawym dolnym rogu, deformujące jeden bok.

– Poznajesz tę zygzakowatą linię? – zapytał Langdon, wskazując na nierówny bok rombu, który wytyczała oświetlona ulica, wyraźnie się odcinając od zadrzewionego terenu.
– Jedna krawędź ma wyraźny uskoki.

Ambra przekrzywiła głowę, patrząc w dół jeszcze uważniej. W jednej chwili zniknęła cała jej złość.

– Wiesz, że ta linia wydaje mi się znajoma? Tylko nie wiem skąd.

– Spójrz na cały obszar – podpowiedział Langdon. – Romb z jednym dziwnym bokiem na dole. – Odczekał chwilę, pewny że Ambra niebawem rozpozna ten kształt. – Widzisz dwa małe parki na tym terenie? – dodał, wskazując okrągłą kępę drzew pośrodku i półokrągłą po prawej stronie.

– Mam wrażenie, że znam to miejsce – powiedziała. – Ale nie potrafię...

– Pomyśl o sztuce – podpowiadał dalej Langdon. – W muzeum masz pewną kolekcję, a w tej kolekcji znajduje się...

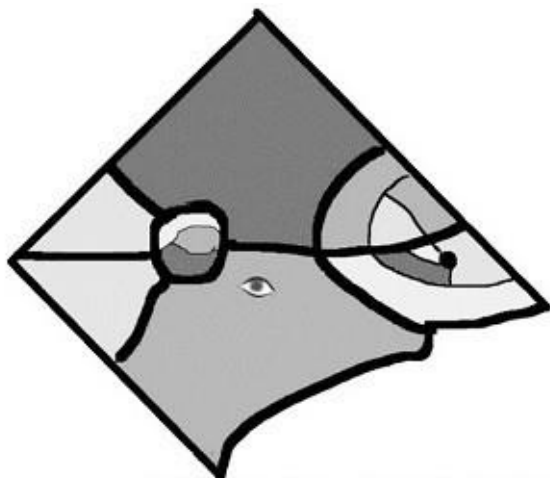
– Winston! – wykrzyknęła, odwracając się do niego z niedowierzaniem. – Układ tego terenu wygląda dokładnie tak jak autoportret Winstona w Muzeum Guggenheima!

Langdon uśmiechnął się do niej.

– Zgadłaś.

Ambra odwróciła się do okna, żeby jeszcze raz spojrzeć na romboidalny kształt. To samo zrobił Langdon, przypominając sobie autoportret Winstona – dziwny obraz, który nie dawał mu spokoju, odkąd syntetyczny asystent wspomniał o swoim hołdzie dla Joana Miró.

„Edmond chciał, żebym namalował autoportret i tak właśnie wykonałem jego polecenie” – powiedział wtedy Winston.



Po namyśle Langdon uznał, że oko namalowane prawie na środku obrazu, znak rozpoznawczy dzieł Miró, niemal na pewno wskazuje lokalizację superkomputera

Edmonda – miejsce, z którego Winston patrzył na świat.

Gdy Ambra oderwała głowę od okna, na jej twarzy malowało się i zdumienie, i radość.

– Autoportret Winstona jest mapą!

– Otóż to! To zrozumiałe, że skoro Winston nie ma ani wizerunku fizycznego, ani ciała, jego autoportret nawiązuje do lokalizacji, a nie do wyglądu.

– Oko wziął od Miró – powiedziała Ambra. – I jest tylko jedno, może więc to ono wskazuje tę lokalizację?

– Też tak myślę – przytaknął jej Langdon, po czym odwrócił się do pilota i poprosił, żeby na chwilę przysiadł w jednym z dwóch małych parków na terenie romboidalnego kwartału ulic. Po chwili zaczęli schodzić do lądowania.

– Mój Boże! – wykrzyknęła Ambra. – Chyba wiem, dlaczego Winston postanowił naśladować styl Miró.

– Dlaczego?

– Właśnie przelecieliśmy nad pałacem Pedralbes.

– Pedralbes? – powtórzył Langdon. – Czy to nie jest tytuł...

– Tak! To tytuł jednego z najsłynniejszych rysunków Miró. Winston prawdopodobnie zapoznał się z historią tego miejsca i znalazł powiązania z katalońskim artystą.

Langdon musiał przyznać, że kreatywność Winstona była zaskakująca, i poczuł się podekscytowany perspektywą odzyskania kontaktu ze stworzoną przez Edmonda syntetyczną inteligencją. Gdy helikopter zszedł niżej, było widać ciemny zarys dużego budynku w miejscu, gdzie Winston umieścił oko na swoim autoportrecie.

– Spójrz! – powiedziała Ambra. – To musi być tam.

Wyteżył wzrok, żeby dostrzec budynek, który zasłaniały wysokie drzewa. Z góry sprawiał wrażenie potężnego.

– Nie widzę żadnych świateł – stwierdziła Ambra. – Myślisz, że uda nam się dostać do środka?

– Ktoś musi tam być – odparł Langdon. – Edmond na pewno zatrudniał tam jakiś personel, a dziś wieczorem ktoś dyżurował w pracy. Gdy się dowiedzą, że znamy hasło uruchamiające transmisję prezentacji Edmonda, na pewno nam pomogą.

Piętnaście sekund później helikopter dotknął ziemi w dużym półokrągłym parku na wschód od budynku, pasażerowie wyskoczyli i pilot natychmiast odleciał na stadion, gdzie miał czekać na dalsze instrukcje.

Idąc w stronę budynku, gdzie mieli nadzieję znaleźć Winstona, minęli małą uliczkę o nazwie Passeig dels Til·lers i znów weszli między gęste drzewa. Przed sobą widzieli ciemny zarys budynku pokaźnych rozmiarów.

– Żadnych świateł – wyszeptała Ambra.

– I płot – dodał Langdon, marszcząc brwi, gdy podeszli do trzymetrowego żelaznego ogrodzenia broniącego dostępu do budynku.

– Tam! – wykrzyknęła Ambra, wskazując przed siebie. – Zdaje się, że tam jest furtka.

Przeszli pośpiesznie wzdłuż ogrodzenia do imponujących rozmiarów bramki obrotowej, która była zamknięta. Obok niej znajdował się domofon i zanim Langdon zdążył się zastanowić nad innymi możliwościami wejścia na teren budynku, Ambra nacisnęła przycisk.

Po dwóch dzwonekach rozpoczęło się połączenie.

Po nim cisza.

– Halo? – odezwała się Ambra. – Halo?

Ale z głośnika słychać było tylko złowieszcze ciche buczenie – wyraźny sygnał, że połączenie trwa.

– Nie wiem, czy ktoś mnie słyszy – kontynuowała. – Tu Ambra Vidal i Robert Langdon. Jesteśmy przyjaciółmi Edmonda Kirscha. Staliśmy tuż obok, gdy został zabity.

Mamy informacje niezwykle ważne dla Edmonda, dla Winstona i zapewne dla was wszystkich.

Usłyszeli charakterystyczny trzask i Langdon natychmiast chwycił za bramkę.

Obróciła się bez przeszkód.

Odetchnęli z ulgą.

– Mówiłem, że ktoś będzie w środku.

Przeszli przez kołowrotek i między drzewami ruszyli w stronę ciemnego budynku.

Im bliżej podchodzili, tym wyraźniejszy stawał się kształt dachu. Po kolejnych kilku krokach na tle nieba zmaterializował się kilkumetrowy symbol.

Ambra i Langdon stanęli jak wryci.

„To nie może być tutaj” – pomyślał Langdon, zadzierając głowę i patrząc na znak, który trudno z czymkolwiek pomylić. „Laboratorium komputerowe Edmonda miałoby na dachu olbrzymi krzyż?”

Postawił jeszcze kilka kroków, wychodząc spomiędzy drzew. Wtedy zobaczył całą fasadę i był to widok zaskakujący. Przed nim stał stary kościół z dużą rozetą, dwiema kamiennymi wieżami i pięknym portalem ozdobionym figurami katolickich świętych oraz Matki Boskiej.

Ambra miała przerażoną minę.

– Chyba właśnie się włamaliśmy na teren kościelny. Trafiliśmy nie tam, gdzie trzeba.

Wtedy Langdon zauważył tablicę umieszczoną przed kościołem i zaczął się głośno śmiać.

– Nie, Ambro, chyba jednak dobrze trafiliśmy.

O tym miejscu było głośno w mediach kilka lat temu, ale Langdon nigdy nie przeczytał, że chodziło o Barcelonę. Laboratorium najnowszych technologii zbudowane w zdesakralizowanym kościele katolickim. Musiał przyznać, że Edmond nie mógł wybrać lepszego miejsca, w którym bezlitosny ateista stworzyłby bezbożny komputer. Patrząc na dawny kościół, Langdon poczuł dreszcz, gdy sobie uświadomił, jak dobrze hasło Edmonda opisuje to miejsce.

„Mroczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka”.

Pokazał swojej towarzyszce tablicę przed budynkiem.

CENTRO NACIONAL DE SUPERCOMPUTACIÓN

KRAJOWE CENTRUM SUPERKOMPUTEROWE

Ambra odwróciła się do niego z niedowierzaniem w oczach.

– Barcelona ulokowała centrum superkomputerowe w kościele?

– Właśnie tak – odpowiedział jej z uśmiechem Langdon. – Czasem prawda jest dziwniejsza od fikcji.

Rozdział 81

Najwyższy krzyż świata znajduje się w Hiszpanii.

Wzniesiony na szczycie góry dwanaście kilometrów od Escorialu, masywny betonowy krzyż strzela w powietrze na oszałamiającą wysokość stu pięćdziesięciu metrów i widać go z odległości ponad trzydziestu kilometrów.

Kamienisty wąwóz pod krzyżem – adekwatnie nazwany Doliną Poległych – jest miejscem ostatniego spoczynku ponad czterdziestu tysięcy ofiar obydwu stron krwawej hiszpańskiej wojny domowej.

„Co my tu robimy?” – zastanawiał się Julián, idąc za gwardzistą po esplanadzie u stóp góry pod krzyżem. „Ojciec chce się ze mną spotkać akurat tutaj?”

Kroczący obok niego Valdespino miał równie zdezorientowaną minę.

– To nie ma sensu – wyszeptał. – Twój ojciec zawsze pogardzał tym miejscem.

„Miliony nim gardzą” – pomyślał Julián.

Wymyślona w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku przez samego Franco Dolina Poległych miała być „narodowym aktem pokuty”, próbą pogodzenia zwycięzców i pokonanych. Mimo szczytnych założeń mauzoleum od początku budziło liczne kontrowersje, ponieważ wzniesiono je rękami skazańców, wśród których znaleźli się więźniowie polityczni osadzeni za działalność opozycyjną wobec Franco, a podczas robót budowlanych wielu zmarło wskutek głodu i udarów słonecznych.

Wśród posłów pojawiały się nawet głosy, które budowę Doliny Poległych porównywały do obozu koncentracyjnego. Julián podejrzewał, że jego ojciec w duchu myślał to samo, choć nigdy się do tego otwarcie nie przyznał. W opinii większości Hiszpanów ta olbrzymia świątynia była pomnikiem, który Franco wystawił sam sobie.

Fakt, że generał został pochowany właśnie tutaj, jeszcze bardziej rozsierdzał krytyków.

Julián miał w pamięci swoją jedyną wizytę w tym miejscu – podczas jednej z wycieczek, na które zabierał go ojciec, aby uczyć syna historii kraju. Król oprowadził go wtedy po całym terenie, a na koniec cicho szepnął: „Patrz uważnie, synu. Pewnego dnia wszystko to zburzysz”.

Teraz, idąc za gwardzistami w kierunku surowej fasady, Julián zaczął się domyślać, dokąd zmierzają. Widział już ozdobne żelazne drzwi pod portalem wyrzeźbionym w zboczu góry. Przypomniawszy sobie, jak przeszedł przez nie jako mały chłopiec. Widok tego, co się za nimi kryje, całkiem go wtedy sparaliżował.

Prawdziwym cudem tej góry nie jest potężny krzyż wznoszący się na jej szczycie, tylko sekretne miejsce pod nim.

W granitowej skale ludzkie ręce wydrążyły niewyobrażalnie wielką jaskinię. Tunel prowadził dwieście siedemdziesiąt metrów w głąb skalnego wnętrza, a następnie się rozszerzał, tworząc przepastną komnatę, starannie wykończoną w najdrobniejszych szczegółach, z połyskującymi kafłami na podłodze i strzelistą, pokrytą freskami kopułą o szerokości czterdziestu pięciu metrów. „Jestem w środku góry!” – pomyślał wtedy Julián. „Chyba mi się to śni”.

Teraz, wiele lat później, książę Julián powrócił do skalnej jaskini.

„Znów tu jestem, tym razem na życzenie umierającego ojca”.

Gdy zbliżyli się do żelaznych wrót, Julián spojrzał na surową piętę nad nimi. Biskup Valdespino się przeżegnał, a książę odniósł wrażenie, że ten gest był spowodowany raczej trwogą niż wiarą.

Rozdział 82



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

KIM JEST REGENT?

Pojawiły się dowody na to, że Luis Ávila zabił Edmonda Kirscha na polecenie człowieka, którego nazywał Regentem.

Tożsamość Regenta pozostaje tajemnicą, choć tytuł tej osoby może nam dostarczyć pewnych wskazówek. Otóż regentem nazywa się kogoś, kto zastępuje monarchę w okresie jego choroby lub dłuższej nieobecności.

Ankieta przeprowadzona wśród naszych czytelników wyłoniła trzech kandydatów:

1. Biskup Antonio Valdespino występujący w imieniu umierającego króla;
2. Palmariański papież uważający się za prawowitego następcę Chrystusa;
3. Wyższy dowódca wojskowy działający w imieniu będącego zwierzchnikiem sił zbrojnych Hiszpanii króla, który nie jest zdolny wypełniać tej funkcji.

Więcej wiadomości wkrótce.

#kimjestregent Rozdział 83

Langdon i Ambra zlustrowali fasadę. Wejście do centrum komputerowego znajdowało się przy południowym krańcu nawy. Ultranowoczesny przedsiönek z przeźroczystego tworzywa sztucznego przylegał do starego muru, nadając kościołowi hybrydowy wygląd budynku, który utknał między stuleciami.

Blisko wejścia stało trzymetrowe popiersie prymitywnego wojownika. Langdon nie potrafił sobie wyobrazić, po co postawiono je na dziedzińcu, ale znał Edmonda i był pewien, że w jego miejscu pracy powinien się spodziewać niejednej sprzeczności.

Ambra pośpiesznie podeszła do wejścia i sięgnęła do przycisku przy drzwiach. Gdy Langdon do niej dołączył, poruszyła się kamera monitoringu umieszczona nad ich głowami, przez kilka sekund wędrując tam i z powrotem.

Potem drzwi się otworzyły.

Langdon i Ambra przekroczyli próg. Plastikowa wiata przylegała do dawnej kościelnej kruchty, nieumeblowanej i mrocznej. Langdon oczekiwał, że przywita ich tutaj któryś z pracowników Edmonda, ale nie dostrzegł żywej duszy.

– Nikogo tu nie ma? – wyszeptała Ambra.

Nagle rozległy się delikatne dźwięki średniowiecznej muzyki sakralnej. Chór męskich głosów wydawał się znajomy. „Chorał gregoriański?” Langdon nie potrafił wskazać kompozytora, ale był pewien, że upiorne połączenie muzyki kościelnej z obiektem poświęconym najnowszym technologiom to przejaw poczucia humoru Edmonda.

Jaśniejący na ścianie przed nimi wielki ciekłokrystaliczny ekran był jedynym źródłem światła w całym pomieszczeniu. Wyświetlało się na nim coś, co można by opisać jako rodzaj prymitywnej gry komputerowej – gromadki czarnych kropek poruszających się na białej powierzchni jak wędrujące bez celu chmary robaków.

„Niezupełnie bez celu” – uświadomił sobie Langdon, rozpoznając pewną prawidłowość ich ruchu.

Ten słynny automat komórkowy znany jako *Gra w życie* został wynaleziony w latach siedemdziesiątych dwudziestego wieku przez brytyjskiego matematyka Johna Conwaya. Czarne kropki, tak zwane komórki, poruszały się i wchodziły ze sobą w interakcję według kilku reguł stworzonych przez programistę. Zastosowanie tych prostych zasad prowadziło niezmiennie do tworzenia struktur, sekwencji oraz powtarzających się wzorców, które ewoluują, stają się coraz bardziej złożone i w końcu zaczynają wyglądać zaskakująco podobnie do struktur występujących w naturze.

– *Gra w życie* Conwaya – powiedziała Ambra. – Kilka lat temu widziałam cyfrową instalację stworzoną na jej podstawie, multimedialną prezentację pod tytułem *Komórkowa automatyzacja*.

Langdon był pod wrażeniem. On sam słyszał o *Grze w życie* tylko dlatego, że jej wynalazca wykładał w Princeton.

Ten sam śpiew rozległ się ponownie.

„Gdzieś już słyszałem ten utwór” – pomyślał Langdon. „Jakaś renesansowa msza?”

– Robercie, spójrz! – powiedziała Ambra, wskazując ręką na wyświetlacz.

Wędrujące po ekranie kropki przyśpieszyły i zmieniły kierunek, jakby nagle program zaczął działać do tyłu. Sekwencje cofały się coraz szybciej. Kilka kropek zniknęło, komórki przestały się mnożyć, struktury robiły się coraz prostsze, aż w końcu zostało ich tylko kilka – najpierw osiem, potem cztery, potem dwie, a na koniec...

Jedna.

Pojedyncza komórka migotała pośrodku ekranu.

Langdon poczuł zimny dreszcz. *Początek życia.*

Gra w życie zniknęła, a przed ich oczami powoli pojawił się tekst, który dopiero po dłuższej chwili stał się czytelny.

JEŚLI DOPUŚCIMY ISTNIENIE PIERWSZEJ PRZYCZYNY,
TO UMYŚŁ NADAL PRAGNIE WIEDZIEĆ,
SKĄD ONA SIĘ WZIEŁA.

– To Darwin – wyszeptał Langdon, rozpoznając słowa, których legendarny botanik użył, żeby zadać to samo pytanie, na które chciał odpowiedzieć Kirsch.

– Skąd przyszliśmy?! – wykrzyknęła podekscytowana Ambra.

– Otóż to – przytaknął jej Langdon.

– Może więc wejdziemy dalej, żeby to sprawdzić?

Wskazała za wyświetlacz, gdzie przejście między dwiema kolumnami najprawdopodobniej prowadziło w głąb dawnego kościoła.

Gdy tylko ruszyli się z miejsca, ekran znów się odświeżył, pokazując kolaż słów pojawiających się jedno po drugim w przypadkowej kolejności. Liczba słów rosła i kolaż stawał się coraz bardziej chaotyczny. Nowe słowa przenikały się ze starymi, tworząc skomplikowane ciągi.

...wzrost... świeże pąki... cudowne konsekwencje...

Po chwili ciągi słów zaczęły się układać w drzewo, które ciągle rośło.

„Co to może być?”

Wpatrywali się uważnie w ekran. Głosy a cappella rozbrzmiewały coraz głośniejsze.

Langdon zdał sobie sprawę, że nie śpiewają po łacinie.

– Mój Boże! – krzyknęła Ambra. – Słowa na ekranie to tekst tego utworu!

– Masz rację – zgodził się Langdon. On też zauważył, że na monitorze pojawiają się słowa, które właśnie dobiegają z głośników.

„...poprzez powolnie narastające przyczyny... a nie dzięki cudom...”

– Żaden zbieg okoliczności – rozległ się przez głośniki znajomy głos. – Edmond polecił

mi, żebym zawsze witał gości muzyką, która może im się spodobać, i obrazami inspirującymi do dyskusji.

Langdon i Ambra patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Głos, który ich przywitał, mówił z wyraźnym brytyjskim akcentem.

– Bardzo się cieszę, że znaleźliście drogę do tego laboratorium – kontynuował znajomy głos. – Nie miałem sposobu, żeby się z wami skontaktować.

– Winston! – wykrzyknął Langdon zdumiony, że może aż tak bardzo się ucieszyć ze spotkania z maszyną, po czym z Ambra opowiedzieli pokrótce, co się wydarzyło.

– Dobrze was słyszeć – stwierdził Winston. – Powiedzcie mi zatem, czy znaleźliście to, czego szukaliśmy.

Rozdział 84

– William Blake – oznajmił Langdon. – Mroczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka.

Winston zamilkł tylko na chwilę.

– Ostatni wers słynnego poematu epickiego *Czterej Zoa*. Muszę przyznać, że to doskonały wybór! – Zawiesił głos. – Ale ten wers nie spełnia wymogu czterdziestu czterech znaków...

– Ligatura – przerwał mu Langdon i szybko wyjaśnił, jaką sztuczkę zastosował w swoim haśle Edmond.

– Cały Edmond – odpowiedział syntetyczny głos, w którym pobrzmiwał nieco dziwny śmieszek.

– Więc, Winstonie? Czy możesz teraz rozpocząć transmisję drugiej części prezentacji Edmonda? – ponaglała Ambra.

– Oczywiście, że mogę – odpowiedział Winston zdecydowanie. – Muszę tylko poprosić, żebyście wprowadzili hasło ręcznie. Edmond zastosował firewall, nie mam więc bezpośredniego dostępu do tego nagrania, ale mogę was zabrać na górę do pomieszczenia, w którym pracował, i poinstruować was, co trzeba zrobić. Transmisja może się rozpocząć za niecałe dziesięć minut.

Ambra i Langdon spojrzeli na siebie zaskoczeni. Po wszystkim, co tego wieczoru przeszli, ogłoszenie ich ostatecznego zwycięstwa odbyło się bez fanfar.

– Robercie – wyszeptała Ambra, kładąc dłoń na jego ramieniu. – To ty tego dokonałeś. Dziękuję.

– To była praca zespołowa – odpowiedział z uśmiechem.

– Jeśli wolno, to chciałbym zaproponować, żebyście od razu przeszli do laboratorium Edmonda. Na dole widać was z zewnątrz, a w wiadomościach już się pojawiły wzmianki, że dotarliście do tej okolicy.

Langdona to nie zaskoczyło. Wojskowy helikopter lądujący w miejskim parku wręcz musiał przykuć czyjąś uwagę.

– Powiedz, dokąd mamy iść – poprosiła Ambra.

– Przejdźcie między dwiema kolumnami i podążajcie za moim głosem.

Chóralna muzyka raptownie ucichła, monitor się wyłączył, a przy drzwiach wejściowych rozległ się szcęk automatycznie sterowanych rygli.

„Edmond pewnie zamienił ten obiekt w twierdzę” – pomyślał Langdon, zerkając przez grube, przeźroczyste panele przedsionka. Z ulgą stwierdził, że między drzewami przy budynku nie ma nikogo. „Przynajmniej na razie”.

Gdy się odwrócił, zobaczył, że między kolumnami zapala się światło, oświetlając im drogę. Znaleźli się w długim korytarzu. Przed nimi rozjaśniały się kolejne lampy, wskazując kierunek.

Idąc korytarzem, usłyszeli głos Winstona.

– Moim zdaniem, żeby przyciągnąć przed komputery jak najwięcej widzów, musimy natychmiast wydać oświadczenie, że prezentacja zamordowanego Edmonda Kirscha zostanie wkrótce pokazana w internecie. Jeśli damy mediom trochę czasu, żeby zdążyły zaanonsować to wydarzenie, widownia znacznie się powiększy.

– Dobry pomysł – stwierdziła Ambra, przyśpieszając kroku. – Jak długo twoim zdaniem powinniśmy zwlekać? Nie chcę ryzykować.

– Siedemnaście minut – odpowiedział Winston. – Tyle wystarczy, żeby informacja o transmisji znalazła się w wiadomościach o pełnej godzinie. Tutaj jest trzecia rano, ale w Stanach Zjednoczonych to pora największej oglądalności.

– Doskonale! – ucieszyła się Ambra.

– W takim razie oświadczenie prześlę mediom natychmiast, a transmisję rozpoczniemy za siedemnaście minut.

Langdon skupił się, żeby nadażyć za podejmowanymi bez wahania decyzjami Winstona. Ambra szła przodem.

– Ilu pracowników jest dzisiaj na miejscu?

– Żaden – odpowiedział jej Winston. – Tutaj nie ma personelu. Wszystkimi sieciami komputerowymi zawiaduję ja, podobnie jak światłem, klimatyzacją oraz systemami zabezpieczeń. Edmond żartował, że w dobie inteligentnych domów on jako pierwszy zafundował sobie inteligentny kościół.

Langdon puszczał jego słowa mimo uszu, ogarnięty nagłymi wątpliwościami.

– Winstonie, czy naprawdę myślisz, że to odpowiedni moment na ujawnienie odkrycia Edmonda? – zapytał.

Ambra stanęła jak wryta i odwróciła się do niego.

– Robercie! Oczywiście, że tak. Przecież po to tu jesteśmy. Cały świat na nas patrzy. Nie wiemy, czy ktoś nie spróbuje nam jeszcze przeszkodzić. Musimy zrobić to teraz,

zanim będzie za późno.

– Zgadza się z tą opinią – poparł ją Winston. – Ze statystycznego punktu widzenia temat właśnie osiąga moment nasycenia. Jeśli liczyć w terabajtach danych, odkrycie Edmonda Kirscha jest jedną z najważniejszych informacji dekady, co nie zaskakuje, ponieważ przez ostatnie lata liczba użytkowników internetu rośnie w postępie geometrycznym.

– Czym się martwisz, Robercie? – zapytała Ambra, patrząc mu w oczy.

Langdon się zawahał, próbując wskazać źródło nagłych wątpliwości.

– Chodzi mi o Edmonda. Obawiam się po prostu, że wszystkie teorie spiskowe, które dziś w nocy powstały na temat morderstwa, porwania, pałacowej intrygi i Bóg wie czego jeszcze, usuną na drugi plan naukowy aspekt jego odkrycia, a potem...

– To słuszna uwaga, panie profesorze – przerwał mu Winston. – Ale jest też druga strona medalu. Wszystkie te teorie spiskowe są jednym z powodów, które przyciągnęły przed komputery i telewizory tak wielu widzów na całym świecie. Wieczorne wystąpienie Edmonda oglądało prawie cztery miliony ludzi, teraz natomiast, po wszystkich tych dramatycznych wydarzeniach, liczbę osób śledzących doniesienia na ten temat na portalach internetowych, w mediach społecznościowych, telewizji i radiu szacuję na dwieście milionów.

Langdon pomyślał, że to zdumiewająca liczba, potem jednak przypomniał sobie, że ponad dwieście milionów widzów obejrzało mecz finałowy Pucharu Świata, pierwsze lądowanie na Księżycu natomiast śledziło pięćset milionów ludzi, a działo się to przecież pół wieku wcześniej, gdy internet nie istniał, a liczba odbiorników telewizyjnych na świecie była nieporównanie mniejsza.

– Może pan tego nie zauważa jako naukowiec, ale świat zamienił się w telewizyjne reality show. Jak na ironię, zabójcy Edmonda nagłośnili jeszcze sprawę jego prezentacji, choć chcieli ją wyciszyć. Żaden naukowiec nigdy przedtem nie miał tak licznej publiki.

Przypomina to trochę historię pańskiej książki *Chrześcijaństwo i święta kobiecość*, z której Watykan uczynił światowy bestseller, potępiając jej treść.

„Prawie bestseller” – pomyślał Langdon, rozumiejąc intencje Winstona.

– Jednym z najważniejszych celów Edmonda było dzisiaj zgromadzenie jak największej widowni – dodał Winston.

– On ma rację – wtrąciła Ambra, znów spoglądając Langdonowi w oczy. – Gdy omawialiśmy przebieg wieczoru, Edmond ciągle powtarzał, że zależy mu na jak najliczniejszej publiczności. Chciał, żeby jak najwięcej oczu zwróciło się na niego.

– Powtarzam: osiągnęliśmy punkt nasycenia mediów, nie będzie lepszego momentu na upublicznienie prezentacji Edmonda.

– Zrozumiałem – odrzekł Langdon. – Czekamy zatem na instrukcje.

Idąc dalej, natknęli się na niespodziewaną przeszkodę: w poprzek korytarza ustawiono drabinę tak, że aby się przedostać do przodu, trzeba było ją odstawić albo przejść pod nią.

– Co z drabiną? – zapytał Langdon. – Mam ją odstawić?

– Nie – odpowiedział Winston. – Edmond celowo oparł ją o ścianę.

– Po co? – zainteresowała się Ambra.

– Jak pewnie wiecie, Edmond drwił z wszelkich przesądów. Co dzień przechodził pod drabiną w drodze do pracy, grając w ten sposób na nosie bogom i bożkom. Co więcej, jeśli któryś z gości lub techników odmawiał przejścia pod opartą o ścianę drabiną, to Edmond wyrzucał go z budynku.

„Zawsze taki był” – pomyślał Langdon, przypominając sobie, jak Edmond obśmiał go kiedyś publicznie za odpukiwanie w niemalowane drewno na szczęście. „Włóż ten głupi przesąd między bajki, gdzie jego miejsce. Chyba że po cichu jesteś druidem, który nadal stuka w drzewa, żeby je obudzić”.

Ambra pochyliła się i przeszła pod drabiną. Z niewytłumaczalnym ukłuciem strachu Langdon zrobił to samo.

Gdy przeszli na drugą stronę, Winston poprowadził ich do dużych drzwi zabezpieczonych dwiema kamerami i czytnikiem biometrycznym.

Nad nimi wisiała ręcznie wykonana tablica z napisem: „POKÓJ 13”.

Langdon zerknął na osławioną pechową trzynastkę. „Edmond znów szydzi z zabobonów”.

– To wejście do laboratorium – oznajmił Winston. – Jeśli nie liczyć wynajętych pracowników, którzy pomogli mu je zbudować, niewielu ludzi miało tu wstęp.

Po tych słowach rozległ się brzęczyk. Nie tracąc czasu, Ambra nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Przekroczyła próg i stanęła jak wryta, dłonią tłumiąc okrzyk zdumienia. Gdy Langdon zerknął ponad jej głową do prezbiterium dawnego kościoła, zrozumiał jej reakcję.

Olbrzymie wnętrze było zdominowane przez największą szklaną gablotę, jaką kiedykolwiek w życiu widział. Zajmowała ona całą podłogę i sięgała do sufitu wysokiego na dwa piętra.

Szklana konstrukcja miała wewnątrz dwa poziomy.

Na dole stały setki metalowych szafek wielkości lodówek ułożonych rzędami jak ławki w kościele, przodem do ołtarza. Nie miały drzwiczek, widać więc było całą zawartość: z licznych gniazd od góry do dołu zwieszały się poplątane w oszałamiające wzory jaskrawoczerwone kable schodzące się tuż nad podłogą w grube liny, które wyglądały jak sieć żył łączących szafki ze sobą.

„Zorganizowana dezorganizacja” – pomyślał Langdon.

– Na parterze widzicie słynny superkomputer MareNostrum z czterdziestoma ośmioma tysiącami ośmiuset dziewięćdziesięcioma sześcioma procesorami Intela komunikującymi się w sieci InfiniBand FDR dziesięć, czyli jedną z najszybszych maszyn na świecie. MareNostrum był już tutaj, gdy Edmond przejął budynek, zamiast więc się go pozbywać, postanowił wykorzystać jego potencjał, dlatego dobudował górne piętro.

Dopiero teraz Langdon zauważył, że wszystkie wiązki kabli MareNostrum schodziły się pośrodku pomieszczenia w jeden pień, który niczym gigantyczna winorośl wpelzał na górny poziom olbrzymiego szklanego sześcianu.

Wędrując za nim wzrokiem, Langdon zobaczył całkowicie inne pomieszczenie, pośrodku którego na podwyższeniu stało duże, niebieskoszare metaliczne pudło o długości około trzech metrów, bez żadnych przewodów czy migających diod ani niczego, co mogłoby sugerować supernowoczesny komputer, który Winston opisywał im właśnie, posługując się ledwie zrozumiałą terminologią.

– ... qbity zastępują system binarny... superpozycja stanów... algorytmy kwantowe... splątanie i tunelowanie...

Teraz Langdon zrozumiał, dlaczego z Edmondem zawsze rozmawiali o sztuce, a nie o komputerach.

– ...co prowadzi do biliardów operacji na liczbach zmiennoprzecinkowych w ciągu sekundy – podsumował Winston. – Połączenie tych dwóch tak od siebie różnych maszyn pozwoliło Edmondowi stworzyć najpotężniejszy superkomputer na świecie.

– Mój Boże – wyszeptała Ambra.

– Boże Edmonda, precyzyjnie rzecz ujmując – poprawił ją Winston.

Rozdział 85



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

ODKRYCIE KIRSCHA TRAFI DO SIECI ZA KILKA MINUT!

To się dzieje naprawdę!

Oświadczenie przekazane właśnie przez laboratorium Edmonda Kirscha potwierdza, że oczekiwane z taką niecierpliwością odkrycie, którego ujawnienie opóźniało się po zamordowaniu futurysty, będzie transmitowane w sieci o pełnej godzinie (trzecia w nocy czasu środkowoeuropejskiego).

Liczba oczekujących rośnie z każdą minutą, choć i tak statystyki są bezprecedensowe.

Otrzymaliśmy także wiadomość, że Ambre Vidal i Roberta Langdona widziano ponoć przy wejściu na teren La Torre Girona, siedziby barcelońskiego centrum superkomputerowego. Ponoć właśnie tam pracował przez ostatnie lata Edmond Kirsch, nie możemy jednak potwierdzić, czy to właśnie stamtąd będzie nadawana transmisja.

Prezentacja Kirscha będzie dostępna także na stronach ConspiracyNet.

Rozdział 86

Gdy przez żelazne wrota księżę Julián wchodził do wnętrza góry, miał niejasne przeczucie, że może już stamtąd nigdy nie wyjść.

„Dolina Poległych. Co ja tu robię?”

Za progiem było zimno, a dwie elektryczne lampy ledwie rozjaśniały mrok. Poczuł wilgoć.

Stał tam umundurowany mężczyzna z pękiem kluczy, które szczękały w jego drżących dłoniach. Julián się nie dziwił, że ten pracownik Patrimonio Nacional sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Za nim stało sześciu żołnierzy Gwardii Królewskiej. „Czyli ojciec musi tu być”. Niewątpliwie tego biedaka wyrwano z łóżka w środku nocy, by wpuścić króla do wnętrza świętej góry Franco.

Niemal natychmiast jeden z gwardzistów wystąpił.

– Don Julián, księże biskupie, czekaliśmy na was. Proszę tędy.

Poprowadził ich do masywnych drzwi z kutego żelaza, na których widniał złowieszczy frankistowski symbol, orzeł w nazistowskiej stylistyce.

– Jego Wysokość jest na końcu tunelu – oznajmił gwardzista, wskazując na drzwi, które nie były domknięte.

Julián i biskup popatrzyli na siebie niepewnie, stojąc między dwoma skrzyżowanymi mieczami dzierzonymi przez anioły śmierci.

„Znów religijno-militarna symbolika frankistowska” – pomyślał Julián, gdy biskup rozpoczął długi marsz do wnętrza góry.

Tunel, który się przed nimi rozciągał, był równie pieczołowicie wykończony jak sala balowa w madryckim pałacu królewskim. Starannie wypolerowane podłogi z czarnego marmuru i wysoki kasetonowy sufit oraz szeregi stylizowanych na pochodnie kinkietów zdawały się nie mieć końca.

To nie one jednak oświetlały wnętrze. Źródłem pomarańczowego światła były dziesiątki dużych lamp oliwnych ustawionych szpalerem po obydwu stronach podłogi niczym sygnalizatory wzdłuż pasa startowego. Tradycyjnie zapalano je tylko podczas

największych uroczystości, widocznie jednak nocną wizytę króla do takich zaliczono.

Chybotliwe płomienie odbijały się w marmurowej podłodze, nadając wnętrzu niesamowitą aurę. Julián czuł, jakby towarzyszyły mu dusze wszystkich nieszczęśników, którzy drążyli ten tunel kilofami i łopatami, mozoląc się przez całe lata wewnątrz nieprzystępnej góry, wygłodniali i zmarznięci, często oddając swoje życie – wszystko dla chwały Franco, którego grób wykuto w tych skalnych czeluściach.

„Patrz uważnie, synu. Pewnego dnia wszystko to zburzysz” – powiedział mu kiedyś ojciec.

Julián wiedział, że jako król będzie mógł nakazać zburzenie tej imponującej budowli, ale też nie potrafił zrozumieć, dlaczego przez wszystkie te lata Hiszpanie godzili się na jej istnienie, zwłaszcza przy tak powszechnym dążeniu, by oderwać ojczyznę od mrocznej przeszłości i wprowadzić ją do nowej ery. Byli też jednak i tacy, którzy tęsknili za dawnymi czasami, a każda rocznica śmierci Franco gromadziła tutaj setki starzejących się frankistów, którzy przyjeżdżali specjalnie, żeby ją uczcić.

– Don Julián – powiedział cicho biskup, gdy przeszli w głąb korytarza i był pewien, że gwardziści już go nie usłyszą. – Wiesz, dlaczego twój ojciec wezwał nas tutaj?

Julián pokręcił głową.

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz.

Valdespino ciężko westchnął.

– Nie mam pojęcia.

„Jeśli biskup nie zna zamiarów ojca, to na pewno nikt ich nie poznał” – pomyślał Julián.

– Mam tylko nadzieję, że jego stan się nie pogorszył – dodał biskup z zaskakującą czułością. – Niektóre jego ostatnie decyzje...

– Jak zwołanie we wnętrzu góry spotkania, które powinno się odbyć przy szpitalnym łóżku?

Valdespino smutno się uśmiechnął.

– Tak, na przykład.

Julián się zastanawiał, dlaczego nie interweniowali gwardziści, którzy mogli przecież odmówić zabrania umierającego monarchy ze szpitala, zaraz jednak sobie uświadomił, że żołnierze Guardia Real mają bez dyskusji wykonywać polecenia, zwłaszcza wydane przez samego króla.

– Nie modliłem się tutaj od lat – powiedział Valdespino, patrząc w głąb oświetlonego płomieniami lamp korytarza.

Julián wiedział, że tunel, którym szli, jest nie tylko wejściem do wnętrza góry, ale też nawą kościoła katolickiego. Przed sobą już widzieli rzędy ławek.

La basílica secreta. Tak Julián jako dziecko nazwał to miejsce.

Pełną złoceń, zaskakująco wielką bazylikę na końcu tunelu wieńczy olbrzymia kopuła. Plotka głosi, że łącznie z sześcioma kaplicami otaczającymi ogromny ołtarz, umieszczony dokładnie pod krzyżem znajdującym się na wierzchołku góry, powierzchnia tej podziemnej świątyni przewyższa metraż bazyliki Świętego Piotra w Rzymie.

U wylotu korytarza Julián rozejrzał się w poszukiwaniu ojca. Olbrzymie wnętrze bazyliki było jednak puste.

– Gdzie on jest? – zapytał biskup zmartwionym głosem.

Księżę Julián także się zmartwił. Obawiając się, że gwardziści zostawili króla samego w tym wielkim pomieszczeniu, przyśpieszył kroku. Księżę zajrzał do jednej i drugiej części transeptu. Ani śladu ojca. Podbiegł do absydy, okrążając główny ołtarz.

Dopiero tutaj, w najgłębszych czeluściach góry, zauważył ojca i gwałtownie się zatrzymał.

Król Hiszpanii, przykryty grubymi kocami, zupełnie sam, lekko pochylony do przodu siedział na wózku inwalidzkim.

Rozdział 87

W zdesakralizowanej świątyni Langdon i Ambra, wypełniając instrukcje Winstona, okrążyli dwupiętrowy komputer. Słyszeli wibrujące dudnienie dobiegające zza grubej szklanej tafli. Langdon miał upiorne wrażenie, że patrzy na uwięzioną w klatce bestię.

Winston wyjaśnił, że hałasu nie generuje elektronika, lecz system wentylatorów, rozpraszaczy ciepła i pomp chłodniczych, które zapobiegały przegrzaniu superkomputera.

– W środku można ogłuchnąć – powiedział Winston. – Na szczęście pracownia Edmonda znajduje się na górze.

Ambra i Langdon dotarli do zewnętrznych spiralnych schodów. Na polecenie Winstona wspięli się na nie i stanęli przed drzwiami wejściowymi. Langdon z rozbawieniem stwierdził, że nowoczesne wejście do gabinetu Edmonda zostało przystrojone jak ganek domku na głębokich przedmieściach: na podłodze wycieraczka z powitalnym napisem, a obok sztuczny kwiatek doniczkowy i mała ławeczka, pod którą stały kapcie, które – co Langdon uświadomił sobie ze smutkiem – musiały należeć do Edmonda.

Nad drzwiami w ramce wisiał tekst:

Sukces to umiejętność przechodzenia od jednej porażki do kolejnej z niezmiennym entuzjazmem.

Winston Churchill

– Znowu Churchill – powiedział Langdon, zwracając uwagę Ambry na tabliczkę nad drzwiami.

– Ulubiony cytat Edmonda. Zawsze powtarzał, że te słowa opisują najważniejszą cechę komputerów – wyjaśnił Winston.

– Komputerów? – zdziwiła się Ambra.

– Tak. Komputery są nieustępliwe. Mogą bez zniechęcenia ponieść nawet milion porażek. Do milion pierwszej próby rozwiązania tego samego problemu podejną z taką samą energią, jak do pierwszej. Ludzie tego nie potrafią.

– Racja – przyznał Langdon. – Ja zwykle poddaję się po tysięcznej próbie.

Ambra się uśmiechnęła i podeszła do drzwi.

– Podłoga też jest szklana – oznajmił Winston, gdy obrotowe drzwi same ruszyły z miejsca. – Zdejmijcie więc, proszę, buty.

Ambra wykonała polecenie i weszła między obracające się szyby. Langdon zrobił to samo.

Langdon poczuł, że uginają się pod nim kolana, gdy niepewnie postawił pierwszy krok. Już samo stąpanie w skarpetach po szklanej tafli byłoby dostatecznie stresujące, a świadomość, że pod spodem znajduje się superkomputer MareNostrum, wcale nie pomagała.

Wziął głęboki wdech i podniósł wzrok.

Gabinet Edmonda był przeźroczystym pomieszczeniem. Centralne miejsce zajmował widoczny już z dołu metaliczny szaroniebieski sześcian, którego lśniąco odbijały wszystko jak lustro. Po jego prawej stronie znajdowało się nowoczesne półokrągłe biurko z trzema monitorami ciekłokrystalicznymi i klawiaturami komputerowymi na granitowym blacie.

– Centrum dowodzenia – skomentowała Ambra.

Langdon skinął głową i spojrzał w przeciwny koniec gabinetu, gdzie na perskim dywanie stały fotele, kanapa i rower stacjonarny.

„Kawalerskie gospodarstwo z superkomputerem” – pomyślał Langdon niemal pewien, że podczas pracy nad ostatnim projektem Edmond praktycznie przeprowadził się do tego szklanego pudełka. „Co takiego tutaj wymyślił?” Początkowe wątpliwości Langdona całkowicie się rozwiały i teraz przepełniała go coraz większa ciekawość.

Przed wszystkim jako naukowiec chciał wreszcie się dowiedzieć, jaki sekret odkrył w tym gabinecie umysł geniusza wspomagany przez superkomputer.

Ambra szła już po szklanej podłodze do dużego sześcianu, ze zdumieniem patrząc na jego lśniącą powierzchnię. Langdon stanął obok niej i obydwójce przyglądali się swojemu odbiciu.

„To jest komputer?” – zastanawiał się Langdon. Szaroniebieskie pudło nie wydawało żadnych dźwięków ani nie wibrowało. Wyglądało jak metalowa rzeźba.

Niebieskawo skojarzył się Langdonowi z superkomputerem o nazwie Deep Blue, który wprowadził w zdumienie cały świat, wygrywając z arcymistrzem szachowym Garrim Kasparowem. Od tamtego czasu technika komputerowa poczyniła niewyobrażalne postępy.

– Chcielibyście zajrzeć do środka? – zapytał Winston przez głośniki nad ich głowami.

Ambra rzuciła w ich stronę zdumione spojrzenie.

– Do środka sześcianu? – zapytała.

– Dlaczego nie? – odpowiedział Winston. – Edmond byłby dumny, mogąc się wam

pochwalić.

– Niekoniecznie – powiedziała Ambra, zerkając w stronę biurka. – Wolałabym się skupić na wprowadzeniu hasła.

– To zajmie tylko chwilę, a na uruchomienie procedury musimy czekać jeszcze jedenaście minut.

Bok sześcianu od strony biurka zaczął się przesuwać, odkrywając jeszcze jedną szklaną taflę. Ambra i Langdon podeszli, zbliżając głowy, żeby lepiej widzieć.

Langdon oczekiwał także tutaj plątaniny kabli i migających kontrolerek, niczego takiego jednak nie zobaczył. Ku swojemu zaskoczeniu odkrył, że wewnątrz sześcianu jest ciemno i pusto. Dopiero po chwili zauważył, że wirują w nim mlecznobiałe, podobne do mgły kosmyki, a przeźroczysta tafla jest przeraźliwie zimna.

– Nic tu nie ma – oznajmiła Ambra.

Langdon też niczego nie zobaczył, wyczuł jednak, że wewnątrz sześcianu coś pulsuje.

– To ciche tętnienie to chłodziarka PTR, której praca brzmi jak ludzkie serce.

„Z tym właśnie mi się skojarzyło” – pomyślał niezaskoczony porównaniem Langdon.

Czerwone światło zaczęło stopniowo rozpraszać ciemność wewnątrz sześcianu.

Początkowo Langdon widział tylko kosmyki mgły unoszące się w pustym wnętrzu.

Potem, gdy oświetlenie zrobiło się intensywniejsze, we mgle zamajaczył jakiś kształt.

Z sufitu zwisał metalowy cylinder. Jak stalaktyt.

– Oto i powód, dla którego trzeba tu utrzymywać tak niską temperaturę – wyjaśnił Winston.

Podwieszone pod sufitem cylindryczne urządzenie miało około półtora metra długości i składało się z siedmiu umieszczonych jeden nad drugim koncentrycznych pierścieni o średnicy zmniejszającej się ku dołowi. Połączone cienkimi pionowymi prętami tworzyły zwężającą się kolumnę. Przestrzeń między lśniącymi dyskami wypełniała rzadka siateczka delikatnych przewodów. Wszystko to spowijała mroźna mgła.

– E-Wave – oznajmił Winston. – Wyprzedza stworzony przez NASA i Google komputer D-Wave o kwantowy skok, że się zabawię słowem.

Winston szybko wyjaśnił, że D-Wave, czyli pierwszy, najprostszy komputer kwantowy, dał całkiem nowe możliwości obliczeniowe, które naukowcy nadal próbują zrozumieć i wykorzystać. Komputery kwantowe zamiast tradycyjnej binarnej metody przechowywania informacji wykorzystują stany kwantowe cząstek elementarnych, dzięki czemu wydajność takiego komputera jest nieporównanie większa.

– Pod względem konstrukcji nie ma wielu różnic między komputerem kwantowym Edmonda a D-Wave, jeśli nie liczyć metalicznego sześcianu otaczającego maszynę.

Pokrywa ją osm, czyli rzadko występujący pierwiastek chemiczny o dużej gęstości,

zapewniający doskonałą ochronę magnetyczną, ciepłą i kwantową. Zgaduję jednak, że w jego wyborze niemałą rolę odegrało zamiłowanie Edmonda do teatralnych efektów.

Langdon się uśmiechnął, ponieważ sam doszedł do podobnego wniosku.

– Przez ostatnie lata Kwantowe Laboratorium Sztucznej Inteligencji firmy Google wykorzystywało maszyny typu D-Wave do wspomagania systemów uczących się, ale swoją maszyną Edmond przeskoczył wszystkich w tej dziedzinie, a dokonał tego dzięki śmiałości pomysłowi. – Winston zrobił pauzę. – Wykorzystał dwuizbowość.

Langdon zmarszczył brwi. „Dwuizbowość? Przecież to forma organizacji parlamentu polegająca na istnieniu w jego strukturze dwóch izb”.

– Mózg ma dwudzielną budowę – kontynuował Winston. – Lewą i prawą półkulę.

„Dwudzielnosc mózgu!” – uświadomił sobie Langdon. Jedną z cech umożliwiających wielką kreatywność umysłu ludzkiego jest odmienne funkcjonowanie obydwu półkul mózgowych: lewa odpowiada za myślenie analityczne i werbalne, prawa działa intuicyjnie i od słów woli obrazy.

– Tajemnica polega na tym, że Edmond postanowił skonstruować syntetyczny mózg, który naśladuje ludzki, ponieważ też się dzieli na lewą i prawą półkulę albo raczej, zważywszy na układ pomieszczeń, izbę wyższą oraz izbę niższą.

Langdon odstąpił od metalicznego sześcianu, przez przeźroczystą podłogę zerknął na dudniącego kolosa pod stopami, po czym znów przeniósł wzrok na ciche, zwisające jak stalaktyt urządzenie. „Dwie różne maszyny połączone ze sobą w jedną całość, jak dwie półkule ludzkiego mózgu”.

– Zmuszone do pracy w jednym układzie, te dwie maszyny przyjmują dwa odmienne podejścia do rozwiązywania tego samego problemu, tym samym doświadczając konfliktu analogicznego do różnicy między półkulami ludzkiego mózgu. Powstaje system o znacznie większych możliwościach uczenia się, większej kreatywności, który w pewnym sensie osiąga człowieczeństwo. Jeśli o mnie chodzi, Edmond wyposażył mnie w narzędzie do uczenia się poprzez obserwowanie i modelowanie ludzkich cech, takich jak poczucie humoru, zdolność do współpracy, hierarchizowanie systemów wartości, a nawet dokonywanie pewnego rodzaju wyborów etycznych.

„Niewiarygodne!” – pomyślał Langdon.

– Więc ten podwójny komputer to jesteś ty?

Winston się roześmiał.

– Ta maszyna jest w takim stopniu mną, w jakim pański mózg jest panem. Widząc własny mózg w misce, nie powiedziałby pan zapewne: „Oto ja!”. Jesteśmy sumą interakcji zachodzących w całym mechanizmie.

– Winstonie, ile czasu mamy do rozpoczęcia transmisji? – przerwała im Ambra.

– Pięć minut i czterdzieści trzy sekundy – odpowiedział Winston. – Zaczynamy przygotowania?

– Tak, chciałabym już zacząć.

Panel pozwalający zajrzeć do wnętrza komputera powoli wrócił na dawne miejsce i Langdon dołączył do Ambry stojącej przy biurku.

– Jedno mnie zastanawia, Winstonie – powiedziała Ambra. – Pracowałeś tutaj razem z Edmondem, a nie masz najmniejszego pojęcia, czego dotyczy jego odkrycie.

– Moje informacje są wybiórcze, a na ten temat mam takie same dane jak pani i profesor Langdon – odparł. – Mogę tylko się domyślać.

– Jakie byłyby te domysły? – zapytała Ambra, rozglądając się dookoła.

– Edmond stwierdził, że jego odkrycie dosłownie wszystko zmieni. Z mojej wiedzy wynika, że wszelkie dotychczasowe przełomy w nauce dotyczyły korekty modelu wszechświata. Kopernikański heliocentryzm, pitagorejskie odrzucenie tezy o płaskości Ziemi, einsteinowskie odkrycie teorii względności i darwinowska teoria ewolucji, wszystkie one kazały ludzkości zupełnie inaczej spojrzeć na świat i skorygowały jej wyobrażenie o wszechświecie.

Langdon zerknął na głośnik nad ich głowami.

– Czyli twoim zdaniem Edmond odkrył coś, co sugeruje nowy model wszechświata?

– To jedyny logiczny wniosek – odpowiedział Winston, teraz znacznie szybciej wypowiadając słowa. – MareNostrum zalicza się do najszybszych modelujących komputerów na świecie wykorzystywanych do tworzenia złożonych symulacji, z których najslawniejsza nosi nazwę Alya Red i jest wirtualnym ludzkim sercem odpowiadającym pierwowzorowi nawet na poziomie pojedynczych komórek. Komputer, który tu widzicie, potrafi modelować systemy miliony razy bardziej skomplikowane od ludzkich organów.

Langdon rozumiał ideę, nie mógł jednak sobie wyobrazić modelu, który Edmond mógłby stworzyć, żeby odpowiedzieć na pytania, skąd przyszedliśmy i dokąd idziemy.

– Winstonie? – zawołała Ambra znad biurka Edmonda. – Jak to się włącza?

– Mogę pani pomóc – zaoferował Winston.

Trzy duże monitory komputerowe obudziły się do życia akurat wtedy, gdy Langdon stanął obok Ambry. Kiedy pojawił się na nich obraz, obydwójce cofnęli się o krok.

– Czy to relacja na żywo? – zapytała Ambra.

– Tak. Obraz rejestrowany przez kamery monitoringu wokół budynku. Przyjechali kilka sekund temu.

Okrągły obraz transmitowany przez obiektyw typu rybie oko pokazywał teren przed głównym wejściem, gdzie zebrała się mała armia policjantów naciskających guzik dzwonka, próbujących otworzyć drzwi i sięgających po radiotelefony.

– Nie martwcie się – uspokoił ich Winston. – Nie uda im się wejść do środka. Do rozpoczęcia transmisji zostało nam mniej niż cztery minuty.

– Powinniśmy zacząć natychmiast! – ponaglała Ambra.

Winston odpowiedział jej spokojnym głosem.

– Jestem przekonany, że Edmond wolałby poczekać do pełnej godziny, dotrzymując zapowiedzianego wcześniej terminu. Raz dane słowo zawsze było dla niego ważne. Co więcej, przez cały czas monitoruję oglądalność i wiem, że liczba widzów ciągle rośnie. Jeśli utrzyma się obecny przyrost, w ciągu czterech minut liczba oglądających wzrośnie o dwanaście koma siedem dziesiątych procent, co według moich przewidywań da nam maksymalny zasięg w sieci. – Winston zawiesił głos, po czym dodał tonem, w którym pobrzmiwało zaskoczenie. – Pamiętając o wszystkim, co się wydarzyło od rozpoczęcia wieczoru, muszę powiedzieć, że transmisja prezentacji rozpocznie się o optymalnej porze. Jestem przekonany, że Edmond byłby wam głęboko wdzięczny.

Rozdział 88

„Mniej niż cztery minuty” – pomyślał Langdon, siadając na krześle przy biurku i kierując wzrok na trzy wielkie monitory, które dominowały nad tą częścią pomieszczenia. Na ekranach nadal wyświetlał się obraz z kamer monitoringu. Policjanci nie zaprzestali prób dostania się do budynku.

– Jesteś pewien, że nie wejdą? – upewniała się Ambra, kręcąc się niespokojnie za plecami Langdona.

– Proszę mi wierzyć, że Edmond traktował bezpieczeństwo bardzo poważnie – zapewnił ją Winston.

– A jeśli odetną zasilanie? – zapytał Langdon.

– Mamy własne, niezależne – beznamiętnie odpowiedział mu Winston. – Generatory są ukryte pod ziemią. Ręczę, że teraz już nikt nie może wam przeszkodzić.

Langdon się uspokoił. „Winston miał rację we wszystkim przez cały wieczór.

I bardzo skutecznie nas wspierał”.

Sadowiąc się wygodnie pośrodku wyciętego w podkowę blatu biurka, skupił uwagę na niezwyklej klawiaturze, którą widział przed sobą. Miała co najmniej dwukrotnie większy rozmiar niż normalna, ponieważ obok klawiatury alfanumerycznej widniały klawisze z symbolami, których nawet on nie rozpoznawał, a w połowie była podzielona na dwie ergonomicznie ustawione części.

– Powiesz mi, jak mam korzystać z tej dziwnej klawiatury? – zapytał, wpatrując się ze zdumieniem w osobiwy sprzęt.

– Usiadł pan nie tam, gdzie trzeba – stwierdził Winston. – To terminal komputera E-Wave. Jak wspomniałem, Edmond ukrywał tę prezentację przed wszystkimi, ze mną włącznie. Trzeba ją więc uruchomić na innej maszynie. Proszę się przenieść w prawo, do samego końca blatu.

Langdon spojrzał we wskazanym kierunku, gdzie stało kilka komputerów jeden obok drugiego. Gdy się do nich przysunął, ze zdumieniem stwierdził, że mogłyby uchodzić za antyki, a im bliżej końca blatu, tym starsze.

„To nie może być tutaj” – pomyślał, przejeżdżając na krześle obok niezgrabnego beżowego komputera IBM DOS, który musiał mieć kilkadziesiąt lat.

– Co to za starocie?

– Komputery Edmonda z dzieciństwa – odpowiedział Winston. – Trzymał je, żeby nie zapomnieć o swoich korzeniach. Czasem, gdy robiło się trudno, włączał je i uruchamiał stare programy. Dzięki temu mógł znów poczuć się jak chłopiec, który odkrywa informatykę.

– Doskonały pomysł! – wykrzyknął Langdon.

– Zupełnie tak jak pański zegarek z Myszka Miki – dodał Winston.

Zaskoczony Langdon podciągnął rękaw marynarki, zerkając na stary zegarek, który nosił od dnia, gdy dostał go w dzieciństwie. Nie miał pojęcia, skąd Winston mógł o tym wiedzieć, choć przypominał sobie rozmowę, w której powiedział Edmondowi, że nosi ten zegarek po to, żeby zachować młodość ducha.

– Robercie, odłóżmy na bok twoje wyczucie mody – odezwała się Ambra. – Czy mógłbyś wprowadzić hasło? Spójrz, nawet twoja Myszka Miki macha do ciebie, żebyś zerknął na zegarek.

Rzeczywiście. Ubrana w rękawiczkę dłoń unosiła się wysoko nad głową myszki, palec wskazujący kierując niemal pionowo do góry. Trzy minuty do pełnej godziny.

Langdon szybko przesunął się do końca blatu. Także Ambra podeszła do ostatniego komputera w rzędzie – niezgrabnej beżowej obudowy z otworem na miękkie dyskiety i modemem telefonicznym, wyposażonej w pękaty dwunastocalowy monitor z wypukłym ekranem.

– Tandy TRS-80 – powiedział Winston. – Pierwsza maszyna Edmonda. Kupił ją z drugiej ręki, gdy miał osiem lat. To na niej nauczył się programować w BASIC-u.

Langdon z zadowoleniem zauważył, że ten prawdziwy dinozaur jest włączony i czeka w gotowości. Na czarno-białym migotliwym monitorze wyświetlał się obiecujący napis stworzony z nierównych bitmapowych liter.

WITAJ, EDMONDZIE!

WPROWADŹ HASŁO:

Po słowie „hasło” wyczekująco pulsował kursor.

– Tylko tyle? – zdziwił się Langdon, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że to zbyt proste. – Po prostu wpisuję tutaj hasło?

– Tak – potwierdził Winston. – Po wpisaniu hasła ten pecet prześle polecenie do zabezpieczonej partycji komputera głównego zawierającej prezentację Edmonda. Dzięki temu uzyskam do niej dostęp i będę mógł przygotować transmisję oraz przekazać plik wszystkim głównym nadawcom, umożliwiając jego dystrybucję na całym świecie.

Langdon mniej więcej rozumiał to wyjaśnienie, a mimo to czuł się zakłopotany, widząc przed sobą lichi komputer i modem telefoniczny.

– W głowie mi się nie mieści, że po wszystkich tych przygotowaniach, które poprzedzały wieczorną prezentację, Edmond uzależnił jej powodzenie od telefonu do modemu połączonego z tą prehistoryczną maszyną.

– Ale przecież to cały Edmond – odparł Winston. – Jak pan wie, uwielbiał teatralność, symbole i historię. Podejrzewam też, że włączanie pierwszego komputera, który sobie kupił, i wykorzystanie go do prezentacji życiowego osiągnięcia sprawiało mu po prostu wielką frajdę.

„Słuszna uwaga” – pomyślał Langdon, zdając sobie sprawę, że pewnie tak właśnie widziałby to Edmond.

– Podejrzewam jednak, że Edmond był przygotowany na różne ewentualności, ale użycie starego komputera jako czegoś w rodzaju włącznika jest logiczne. Proste zadania wymagają prostych narzędzi. Poza tym to zwiększa bezpieczeństwo przedsięwzięcia, ponieważ zhakowanie tak wolnej maszyny metodą algorytmu siłowego trwałoby całą wieczność.

– Robercie? – upomniała go Ambra zza pleców, delikatnie ściskając jego ramię.

– Masz rację, przepraszam. Już wszystko gotowe.

Langdon sięgnął po klawiaturę komputera Tandy, rozciągając zwinięty w sprężynę przewód, który wyglądał jak kabel między słuchawką a aparatem telefonicznym z tarczą zamiast cyfr. Dotknął palcami leciwych klawiszy, na których miał wystukać hasło odnalezione w krypcie pod bazyliką Sagrada Família.

„Mroczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka”.

Ostatni wiersz epickiego poematu Williama Blake’a *Czterej Zoa* wydawał się idealnym kluczem do ostatniego w życiu Edmonda odkrycia, które jego zdaniem miało odmienić wszystko.

Langdon wziął głęboki wdech i starannie wystukał słowa, nie robiąc między nimi odstępów i zastępując spójnik jego łacińskim ekwiwalentem.

Gdy skończył, spojrzał na ekran.

WPROWADŹ HASŁO:

.....

Policzył kropki. Czterdzieści cztery.

Spojrzał na Ambrę, która skinęła głową, wcisnął więc klawisz, żeby potwierdzić komendę.

Komputer natychmiast cicho zachrobotał.

Na ekranie wyświetliła się informacja:

HASŁO NIEPOPRAWNE

SPRÓBUJ PONOWNIE

Langdon poczuł, jak wali mu serce.

– Dobrze wpisałem! Jestem tego pewien!

Odwrócił krzesło i spojrzał na Ambrę, oczekując wystraszonej miny.

Ale Ambra Vidal uśmiechała się do niego rozbawiona. Pokręciła głową, po czym wybuchnęła śmiechem.

– Profesorze Langdon – powiedziała, wskazując na klawiaturę. – Wpisałeś hasło wielkimi literami.

W tej samej chwili książkę Julián stał oniemiały ze zdumienia w podziemnej bazylice, próbując zrozumieć to, co widzi. Jego ojciec, król Hiszpanii, siedział nieruchomo na wózku inwalidzkim zostawionym w najodleglejszej części wyrytej we wnętrzu góry groty.

Pełen najgorszych przeczuc Julián pobiegł w jego stronę.

– Ojczy?

Gdy Julián podbiegł, król powoli otworzył oczy, wybudzając się z drzemki, i uśmiechnął się z ulgą.

– Dziękuję ci, że przyjechałeś, synu – wyszeptał słabym głosem.

Julián przykucnął przed ojcem szczęśliwy, że widzi go żywego, jednocześnie przerażony, jak bardzo jego stan się pogorszył w ciągu kilku dni.

– Jak się czujesz, ojczy?

Król wzruszył ramionami.

– Tak, jak można się czuć w moim wieku – odpowiedział w zaskakująco dobrym humorze. – Powiedz mi lepiej, co u ciebie. Masz za sobą dzień pełen... wrażeń.

Julián nie miał pojęcia, co odpowiedzieć.

– Po co tu przyjechałeś?

– Dość już miałem szpitala. Musiałem się stamtąd wyrwać.

– Rozumiem, ale... tutaj? – Julián wiedział, że jego ojciec nigdy nie lubił tej świątyni, bo uważał ją za symbol prześladowań i nietolerancji.

– Wasza Wysokość! – zawołał Valdespino, ledwie łapiąc oddech, i pośpiesznie ruszył w ich stronę. – Co się dzieje?

Król z uśmiechem spojrzał na człowieka, który przez całe życie był jego przyjacielem.

– Antonio, dobrze cię widzieć.

„Antonio?” Julián nigdy nie słyszał, żeby jego ojciec zwracał się do biskupa po imieniu. Publicznie zawsze tytułował go Ekszelencją.

Nietypowe przywitanie wyraźnie wstrząsnęło biskupem.

– Dziękuję. Jak się... czujesz? – wyjąkał.

– Cudownie! – odpowiedział król, szeroko się śmiejąc. – Mam obok siebie dwóch ludzi, którym ufam najbardziej na świecie.

Valdespino rzucił Juliánowi niepewne spojrzenie, po czym odwrócił się znów do króla.

– Wasza Wysokość, przyprowadziłem ci syna, jak kazałeś. Czy mam was teraz zostawić?

– Nie, Antonio – odpowiedział król. – Będę z nim mówił szczerze jak na spowiedzi i chcę mieć u boku mojego kapelana.

Valdespino pokręcił głową.

– Księżę Julián z pewnością nie oczekuje, żebyś mu tłumaczył powód swojego zachowania dziś wieczorem. Wydaje mi się, że...

– Dziś wieczorem? – zaśmiał się król. – Nie, Antonio. Zamierzam mu wyjawić sekret, do którego nie dopuszczałem go przez całe życie!

Rozdział 89



ConspiracyNet.com

Z OSTATNIEJ CHWILI

SZTURM NA KOŚCIÓŁ!

Nie, tym razem to nie Edmond Kirsch. Atakuje hiszpańska policja!

Do dawnej kaplicy Torre Girona w Barcelonie próbuje się wedrzeć policja na polecenie miejscowych władz. W środku mają się znajdować Robert Langdon i Ambra Vidal. Najprawdopodobniej to oni doprowadzili do mającej się rozpocząć za kilka minut transmisji tak oczekiwanej prezentacji Edmonda Kirscha.

Odliczanie przed transmisją już się rozpoczęło!

Rozdział 90

Ambra Vidal z ogromną ekscytacją obserwowała, jak leciwy komputer się ożywia, gdy Langdon powtórnie wprowadził ostatni wers poematu Blake’a.

HASŁO POPRAWNE

„Dzięki Bogu!” – pomyślał Langdon, wstając od biurka. Odwrócił się do Ambry, a ta natychmiast objęła go w serdecznym uścisku. „Edmond byłby taki szczęśliwy!”

– Dwie minuty i trzydzieści trzy sekundy do rozpoczęcia transmisji – poinformował ich Winston.

Ambra opuściła ramiona i obydwójce spojrzeli na monitory. Środkowy pokazywał zegar, który ostatni raz widzieli podczas wieczoru w Muzeum Guggenheima.

Rozpoczęcie transmisji za 2 minuty 33 sekundy

Liczba widzów online: 227 257 914

Ponad dwieście milionów ludzi? Ambra oniemiała. Wyglądało na to, że ich ucieczkę przez Barcelonę śledził cały świat. „Edmond będzie miał astronomiczną widownię!”

Na sąsiednim monitorze nadal wyświetlał się obraz z kamer monitoringu. Ambra zauważyła nagłą zmianę w zachowaniu zgromadzonych przed budynkiem policjantów.

Jeden po drugim funkcjonariusze, którzy wcześniej dobijali się do drzwi, próbując wejść do środka, albo rozmawiali przez radio, zaprzestawali dotychczasowych działań, wyjmowali smartfony i zaczęli się w nie wpatrywać. Niewielki plac przed dawnym kościołem stopniowo zamieniał się w morze bladych, zaciekawionych twarzy oświetlanych blaskiem wyświetlaczy.

„Edmond wstrzymał Ziemię” – powiedziała w duchu Ambra, czując niesamowitą odpowiedzialność za to, że ludzie na całym świecie za chwilę obejrzą transmisję nadawaną z tego właśnie pomieszczenia. „Ciekawe, czy Julián też ogląda” – pomyślała, szybko jednak zajęła myśli czymś innym.

– Przygotowania do transmisji przebiegają prawidłowo – poinformował Winston.

– Myślę, że wygodniej wam będzie oglądać prezentację w salonie po drugiej stronie pomieszczenia.

Langdon podziękował, po czym obydwój z Ambra przeszli po zimnej szklanej podłodze, obok metalicznej sześcienniej obudowy, do wypoczynkowej części gabinetu Edmonda.

Tutaj podłogę przykrywał perski dywan rozłożony między eleganckimi meblami i rowerem stacjonarnym.

Ambra zeszła z zimnej taflి na miękki dywan i poczuła natychmiast, że się odprężyła.

Usiadła na kanapie, podkuliła nogi i zaczęła się rozglądać za telewizorem.

– Gdzie mamy oglądać? – zapytała.

Langdon chyba nie usłyszał, bo odszedł w róg pomieszczenia, żeby na coś spojrzeć, ale Ambra i tak niemal natychmiast otrzymała odpowiedź na swoje pytanie, gdy tylna ściana pomieszczenia zaczęła się rozświetlać. Po chwili pojawił się na niej znajomy napis wyświetlany wewnątrz szklanej taflิ:

Rozpoczęcie transmisji za 1 minutę i 39 sekund

Liczba widzów online: 227 501 173

„Cała ściana jest ekranem?”

Ambra wpatrywała się w dwuipółmetrowy obraz, gdy światła w dawnym kościele zaczęły przygasać. Winston zadbał, żeby w jak najbardziej komfortowych warunkach obejrzeć wielki show Edmonda.

Kilka metrów dalej, w rogu pomieszczenia, Langdon stał jak porażony, ale jego wzrok przykuła nie ogromna ściana zamieniona w telewizor, lecz maleńki i też zrobiony ze szkła przedmiot, który leżał na specjalnym postumencie niczym eksponat w muzeum.

Miał przed oczami małą próbkę umieszczoną w metalowej kasetce ze szklanym frontem. Fiolka była zakorkowana, opisana i zawierała mętny brązowy płyn. Najpierw Langdon pomyślał, że może to jakieś lekarstwo, które przyjmował Edmond. Potem jednak przeczytał etykietę.

„To niemożliwe!” – powiedział sobie. „Po co by to sprowadzał do swojego laboratorium?!”

Niewiele jest słynnych próbek na świecie, z całą pewnością jednak ta na to określenie zasługiwała. „Nie wierzę, że Edmond ją kupił!” Musiał zapłacić majątek i jakimś cudem udało mu się utrzymać tę transakcję w tajemnicy. „To samo zrobił z obrazem Gauguina wiszącym w Casa Milà”.

Langdon się pochylił, żeby uważnie obejrzeć siedemdziesięcioletnią szklaną próbkę. Napis na etykiecie mocno wyblakł, nadal jednak był czytelny: „Miller–Urey”.

Profesor poczuł, że dostaje gęsiej skórki. Odczytał nazwiska ponownie.

MILLER–UREY

„Mój Boże! Skąd przyszliśmy?”

W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku chemicy Stanley Miller i Harold Urey

przeprowadzili legendarny eksperyment, próbując odpowiedzieć na to pytanie.

Śmiała próba zakończyła się niepowodzeniem, ale mimo to znalazła uznanie na całym świecie i do dziś jest znana jako eksperyment Millera–Ureya.

Langdon pamiętał, z jakimi wypiekami uczył się na lekcji biologii o podjętej przez tych dwóch naukowców próbie odtworzenia warunków panujących na Ziemi zaraz po jej powstaniu, gdy na naszej planecie kłębił się gorący i pozbawiony życia, ale za to pełen pierwiastków chemicznych ocean.

„Bulion pierwotny”.

Miller i Urey sporządzili mieszaninę substancji prawdopodobnie występujących we wczesnym oceanie – wody, metanu, amoniaku i wodoru, a następnie podgrzali ją, symulując warunki w pierwotnych wodach. Następnie poddali ją działaniu elektryczności, pozorując częste w początkach Ziemi wyładowania atmosferyczne. Na koniec ostudzili roztwór, podobnie jak ostygły ziemskie oceany.

Cel tego działania był tyleż prosty, co zuchwały. Chcieli zapoczątkować życie w warunkach bulionu pierwotnego. „Symulować stworzenie życia, używając wyłącznie nauki” – pomyślał Langdon.

Miller i Urey zbadali potem mieszaninę w poszukiwaniu mikroorganizmów, mając nadzieję, że udało im się coś, czego nie dokonał nikt przed nimi, i nastąpi proces już przez Arystotelesa nazwany abiogenezą. Niestety także ta próba stworzenia życia z materii nieożywionej się nie powiodła, a po eksperymencie została tylko kolekcja niepotrzebnych próbek, które schowano pewnie do jakiejś szafy na terenie Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego.

Kreacjoniści do dziś przywołują niepowodzenie eksperymentu Millera–Ureya jako naukowy dowód na to, że życie nie mogło się pojawić na Ziemi bez boskiej ingerencji.

– Trzydzieści sekund – oznajmił przez głośniki Winston.

Langdon próbował uporządkować kłębiące mu się w głowie myśli, patrząc na ciemne wnętrza dawnego kościoła. Kilka minut wcześniej Winston przypomniał, że odkrycia naukowe przynoszące największe przełomy w nauce postulowały jakiś nowy model wszechświata. Mówił też, że MareNostrum specjalizuje się w modelowaniu komputerowym, czyli symuluje działanie złożonych systemów, które następnie można obserwować.

„Eksperyment Millera–Ureya jest przykładem wczesnego modelowania” – myślał Langdon. Pozorował złożone reakcje chemiczne zachodzące w środowisku naturalnym wczesnej Ziemi.

– Robercie! – krzyknęła Ambra. – Zaczyna się!

– Już idę – odpowiedział, ogarnięty nagłym przecuciem, że być może właśnie odkrył,

nad czym mógł pracować Edmond.

Podchodząc do kanapy, przypomniał sobie dramatyczny wstęp, który wybrzmiał nad wietrzną łąką w Muzeum Guggenheima. „Dziś wieczorem znów bądźmy odkrywcami. Tak jak oni, zostawmy wszystko za sobą i wyruszmy na bezkresne oceany.

Era religii dobiega końca. Właśnie rozpoczyna się era nauki. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdybyśmy poznali odpowiedź na najważniejsze pytania ludzkości”.

Gdy Langdon usiadł obok Ambry, zegar na zajmującym całą ścianę wyświetlaczu odliczał ostatnie sekundy.

Ambra spojrzała uważnie na swojego towarzysza.

– Wszystko w porządku?

Odpowiedział tylko skinieniem głowy, bo w głośnikach rozległa się właśnie dramatyczna muzyka, a na ścianie przed nimi zajaśniała półtorametrowej długości twarz Edmonda. Ich zastrzelony przyjaciel był wyraźnie zmęczony, ale uśmiechał się szeroko do kamery.

– Skąd przyszliśmy? – zapytał podekscytowanym głosem, gdy muzyka zaczęła cichnąć.
– I dokąd idziemy?

Ambra ujęła dłoń Langdona i silnie ją ścisnęła, niecierpliwie oczekując na odpowiedź.

– Te dwa pytania są częścią tej samej historii – oznajmił Edmond – zacznijmy więc od początku. Od samego początku.

Kokieteryjnie kiwając głową, Edmond sięgnął do kieszeni i po chwili trzymał w dłoni niewielki szklany przedmiot. Probówkę wypełnioną mętnym płynem podpisaną nazwiskami Millera i Ureya.

Langdon poczuł przyśpieszone bicie serca.

– Nasza podróż zaczyna się dawno temu, cztery miliardy lat przed Chrystusem. W bulionie pierwotnym.

Rozdział 91

Siedząc na kanapie obok Langdona, wpatrywała się w ziemistą twarz Edmonda na olbrzymim ekranie i poczuła ukłucie żalu na myśl o tym, jak Edmond musiał cierpieć, gdy zmagał się ze śmiertelną chorobą. Ale oczy, które przed sobą widziała, błyszczały radością i podnieceniem.

– Za chwilę opowiem wam o tym małym naczyniu laboratoryjnym – oznajmił, podnosząc dłoń z probówką. – Najpierw jednak zanurkujmy w bulionie pierwotnym.

Edmond zniknął i natychmiast ekran przecięła błyskawica rozświetlająca wzburzoną toń, a na niej wyspy z wulkanami wypływającymi z kraterów kłęby lawy i popiołów.

– Czy tutaj zaczęło się życie? – zapytał głos Edmonda. – Czy zapoczątkowała je reakcja chemiczna w głębinach wzburzonego oceanu? A może jakiś mikrob przyleciał z kosmosu na meteorycie? A może – zrobił teatralną pauzę – był to Bóg? Niestety nie możemy się cofnąć w czasie, żeby na własne oczy zobaczyć moment stworzenia. Wiemy tylko, co się stało potem, gdy na Ziemi po raz pierwszy pojawiło się życie. Nastąpiła ewolucja. Nieraz widzieliśmy przecież takie ilustracje.

Na ekranie zobaczyli schematyczne przedstawienie ewolucji od prymitywnej małpy pochylonej na końcu szeregu hominidów po całkowicie wyprostowaną postać, która po drodze straciła owłosienie ciała.

– Tak, człowiek ewoluował – powiedział Edmond. – To teza naukowa, której nie da się podważyć. Na podstawie skamielin stworzyliśmy nawet kalendarz tej ewolucji.

A gdybyśmy tak mogli ją obejrzeć w odwrotnym kierunku?

Twarz Edmonda zaczęła się pokrywać owłosieniem i stopniowo przyjmować wygląd naszych przodków. Kości twarzoczaszki zmieniły strukturę, nadając Edmondowi małpi wygląd. Potem transformacja przyspieszyła do zawrotnego tempa, pokazując coraz to starsze gatunki: lemura, leniwca, workowca i dziobaka, który zmienił się w rybę dwudyszną, a ta wskoczyła do wody, by poprzez węgorza i rybę mutować do kilku galaretowatych stworów, planktonu, ameby, aż wreszcie Edmond Kirsch stał się mikroskopijną bakterią – pojedynczą komórką unoszącą się w bezkresnym oceanie.

– To jeszcze nie jest początek – wyjaśnił. – To właśnie tutaj nasz film się urywa.

Nie mamy pojęcia, jak najwcześniejsze formy życia powstały z nieożywionej materii wód oceanicznych. Nie możemy zobaczyć pierwszej klatki kliszy, na której ten film zapisano.

„*t* równe zero” – pomyślał Langdon, wyobrażając sobie, jak mogłby wyglądać wyświetlany od końca film o wszechświecie. Kosmos ścieśniałby się do pojedynczej plamki światła, przy której kosmolodzy stanęliby przed analogiczną zagadką.

– Pierwsza przyczyna – oznajmił Edmond. – Tego terminu Darwin użył za Arystotelesem, żeby opisać ów tajemniczy moment stworzenia. Udowodnił, że życie nieustannie ewoluuje, nie umiał jednak wskazać, jak proces ewolucji się rozpoczął.

Inaczej mówiąc, teoria Darwina opisuje przetrwanie najsilniejszych, nie wyjaśnia jednak, co spowodowało powstanie tych najsilniejszych.

Langdon zachichotał, ponieważ nigdy nie słyszał, żeby ktoś sformułował to w taki sposób.

– Jak więc powstało życie na Ziemi? Skąd przyszliśmy? – Edmond się uśmiechnął.

– Już za kilka minut poznacie odpowiedź na to pytanie i choć jest ona naprawdę zadziwiająca, to przecież istnieje jeszcze druga połowa tej historii. – Spojrzał prosto w obiektyw kamery i posłał złowieszcze spojrzenie. – I jeśli odpowiedź na pytanie: „skąd przyszliśmy?” jest naprawdę fascynująca, to odpowiedź na pytanie o cel naszej podróży was zszokuje.

Ambra i Langdon wymienili zdumione spojrzenia i chociaż Langdon wyczuł, że słowa Edmonda są typową dla niego przesadą, to i tak ogarnął go niepokój.

– Nasz początek owiany jest tajemnicą od dnia, w którym powstały pierwsze legendy o stworzeniu świata – kontynuował Edmond. – Przez tysiąclecia filozofowie i naukowcy szukali jakichkolwiek świadectw pierwszego momentu życia na Ziemi.

Znów podniósł probówkę z mętnym płynem.

– W latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku dwaj badacze przeprowadzili śmiały eksperyment, mając nadzieję rozwikłać zagadkę powstania życia na Ziemi. Byli to chemicy Miller i Urey.

Langdon pochylił się w stronę Ambry.

– Ta próbówka jest kilka kroków od nas – oznajmił, wskazując na postument w rogu.

Ambra przyjęła tę informację z zaskoczeniem.

– Po co Edmond ją tu sprowadził?

Langdon wzruszył ramionami. Podobnie jak niespotykana kolekcja przedmiotów w mieszkaniu Edmonda, próbówka była prawdopodobnie świadectwem jednego z etapów w historii nauki, które jego były student chciał posiadać.

Edmond pokrótce opisał podjętą przez Millera i Ureya próbę odtworzenia bulionu pierwotnego i stworzenia życia w szklanej kolbie wypełnionej nieożywioną materią.

Na ekranie pojawił się wyblakły egzemplarz „New York Timesa” z ósmego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego trzeciego roku zatytułowany *Cofnąć się o dwa miliardy lat*.

– Jak się domyślacie, zapowiedź ich eksperymentu wywołała konsternację. Wyniki mogły wstrząsnąć posadami świata, zwłaszcza świata ludzi wierzących. Gdyby żywa materia jakimś cudem pojawiła się w tej probówce, wiedzielibyśmy z całą pewnością, że prawa fizyki i chemii wystarczą, żeby stworzyć życie. Nie potrzebowalibyśmy już istoty nadnaturalnej, która sięga ręką z Nieba, żeby w cudownym akcie kreacji tchnąć w nas iskrę życia. Zrozumielibyśmy, że życie powstaje jako nieunikniony produkt uboczny działania praw natury. Co więcej, musielibyśmy dojść do wniosku, że skoro życie na Ziemi pojawiło się spontanicznie, to niemal na pewno zaistniało także gdzieś w kosmosie, a to znaczy, że człowiek nie jest wyjątkowy, że nie jest centrum bożego wszechświata.

I że nie jest we wszechświecie sam.

Edmond wypuścił powietrze.

– Ale eksperyment Millera–Ureya się nie powiódł, o czym zapewne wiecie.

W bulionie pierwotnym powstało co prawda kilka aminokwasów, ale nie było to nic, co choć odlegle przypominałoby życie. Chemicy próbowali wiele razy, używając różnych metod, kombinacji pierwiastków i temperatury, ale wynik był zawsze ten sam. Wydawało się więc, że powstanie życia wymaga boskiej interwencji, jak od dawna głoszą ludzie wierzący. Miller i Urey w końcu porzucili swoje badania. Świat wiary odetchnął z ulgą, a świat nauki wrócił do pracy. – Edmond zamilkł, a w jego oczach rozbłyły wesołe ogniki. – Po czym przyszedł rok dwa tysiące siódmy, który przyniósł nieoczekiwaną zmianę.

Edmond opowiedział o tym, jak po śmierci Millera na terenie Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Diego odnaleziono próbki uzyskane podczas słynnego eksperymentu, które przeleżały pół wieku zapomniane w jakiejś szafie. Studenci Millera przebadali je ponownie, wykorzystując nowoczesną technologię, między innymi chromatografię i spektrometrię. Wyniki były zdumiewające. Okazało się, że podczas pierwszego eksperymentu Millera–Ureya powstało wiele więcej aminokwasów i związków złożonych, niż Miller mógł stwierdzić przy ówczesnej technologii. Nowa analiza zawartości próbek odkryła nawet kilka ważnych nukleotydów, które są podstawowymi składnikami kwasów nukleinowych RNA i DNA.

– To było zdumiewające odkrycie naukowe – kontynuował Edmond. – Znów stało się zasadne twierdzenie, że życie może powstawać bez boskiej ingerencji. Wydawało się, że eksperyment Millera–Ureya się powiódł, tylko potrzebował trochę czasu, żeby dojrzeć.

Nie zapominajmy, że życie na Ziemi ewoluowało przez miliardy lat, a próbówki

przeleżały w szafie ledwie pięćdziesiąt. Gdyby zasięg eksperymentu mierzyć w kilometrach, upływ czasu od jego przeprowadzenia oznaczałby pokonanie pierwszego milimetra na tej drodze.

Edmond zawiesił głos.

– Nie muszę dodawać, że temat stworzenia życia w warunkach laboratoryjnych przeżył renesans – dodał po chwili. – Silnie zareagowali też oczywiście nowocześni działacze religijni – kontynuował Edmond, gestem biorąc w cudzysłów słowo „nowocześni”.

Na wyświetlaczu pojawiła się strona startowa Creation.com. Langdon rozpoznał ją od razu, bo Edmond często szydził z tego portalu albo wściekał się na publikowane tam materiały. Faktycznie, twórcy tej strony wyjątkowo zaciekle promowali kreacjonizm, ale cytowanie ich jako nowoczesnych działaczy religijnych nie było fair.

Swój cel sformułowali następująco: „Głosić prawdę zawartą w Biblii oraz dowodzić jej rzetelności i autentyczności, zwłaszcza relacji z Księgi Genesis”.

– Ten portal jest popularny, wpływowy i zawiera dosłownie dziesiątki blogów opisujących niebezpieczeństwa wynikające z powrotu do eksperymentu Millera–Ureya.

Na szczęście jego twórcy nie mają się czego bać. Nawet jeśli w wyniku tego eksperymentu uda się stworzyć życie, to ewoluuje ono za kolejne dwa miliardy lat.

Edmond znów uniósł probówkę.

– Nietrudno zgadnąć, że niczego nie pragnę bardziej od przyśpieszenia tych dwóch miliardów lat, żeby dzięki zawartości tej fiolki udowodnić, że kreacjoniści się mylą. Ale to wymagałoby wehikułu czasu. – Zrobił skrzywioną minę. – Więc go zbudowałem.

Langdon zerknął na Ambrę, która prawie się nie poruszyła od chwili rozpoczęcia projekcji. Jej czarne oczy wpatrywały się w ekran.

– To nie było wcale takie trudne – powiedział futurysta. – Zresztą sami zobaczcie.

Na ekranie pojawił się pusty bar. Edmond wkroczył do niego i podszedł do stołu bilardowego. Wszystkie bile czekały ustawione w trójkąt, jak zawsze przed rozpoczęciem gry. Edmond sięgnął po kij, przyłożył się i zdecydowanym ruchem uderzył w białą bilę, która potoczyła się szybko w kierunku kolorowego trójkąta. Zanim jednak zdążyła go rozbić, Edmond krzyknął:

– Stop!

Biała bila natychmiast się zatrzymała.

– Gdybym teraz poprosił, żebyście przewidzieli, która bila wpadnie do której łuzi, potrafilibyście to zrobić? – zapytał Edmond, zerkając znad stołu. – Oczywiście, że nie. Są dosłownie tysiące możliwości pierwszego rozbicia. A gdybyście jednak mieli wehikuł czasu, przenieśli się nim piętnaście sekund w przyszłość, obejrzelibyście trasę bili, a potem wrócili? Wierzcie mi albo nie, drodzy przyjaciele, ale już dysponujemy technologią, która pozwala

tego dokonać.

Edmond wskazał na maleńkie kamery zamontowane przy krawędziach stołu.

– Wykorzystując te czujniki optyczne do zmierzenia prędkości pierwszej bili, jej kierunku i osi obrotu, mogę otrzymać matematyczny obraz ruchu bili na każdym jego etapie. Następnie posłużę się tym obrazem do wyliczeń, które pozwolą mi stworzyć niezwykle precyzyjną projekcję dalszego ruchu kul.

Langdon przypomniał sobie symulator gry w golfa wykorzystujący podobną technologię, by boleśnie dokładnie przewidzieć jego tendencję do posyłania piłki między drzewa.

Edmond wyjął z kieszeni duży smartfon. Na wyświetlaczu urządzenia widniał obraz stołu bilardowego z zatrzymaną bilą, nad którą wyświetlała się seria obliczeń matematycznych.

– Znając masę, pozycję i prędkość białej bili, mogę wyliczyć jej interakcje z pozostałymi kulami i przewidzieć skutek uderzenia. – Dotknął ekranu, biała bila ruszyła i uderzyła, rozbijając pozostałe bile, z których cztery wylądowały w różnych łuzach.

– Cztery trafienia – oznajmił Edmond, zerkając na telefon. – Całkiem niezły strzał.

– Zerknął w obiektyw. – Wierzycie mi?

Pstryknął palcami i biała bila ruszyła na stojącym w barze stole, z trzaskiem uderzyła w pozostałe bile, które się rozproszyły. Po chwili te same cztery kule wpadły do łuz.

– Nie jest to wehikuł czasu w tradycyjnym znaczeniu, ale urządzenie, które pozwala nam wejrzeć w przyszłość – stwierdził Edmond z szerokim uśmiechem. – Co więcej, dzięki niemu mogę modyfikować prawa fizyki. Powiedzmy, że wyeliminowałbym zewnętrzne siły działające na bile, na przykład tarcie, dzięki czemu kule nigdy nie wytraciłyby prędkości i toczyłyby się po suknie, dopóki wszystkie nie wylądują w łuzach.

Kilkoma gestami na wyświetlaczu ponownie uruchomił symulację. Tym razem rozproszone po uderzeniu bile zamiast zwolnić, odbijały się i wpadały do łuz tak długo, aż na suknie zostały tylko dwie, które toczyły się tam i z powrotem.

– Jeśli zmęczone czekaniem, mogę przyspieszyć ten proces – stwierdził Edmond, po czym dotknął ekranu, dwie ostatnie bile zaczęły się poruszać tak szybko, że aż się rozmazywały, i w końcu obie wpadły do otworów. – W ten sposób mogę zobaczyć przyszłość, na długo zanim się ona wydarzy. Symulacje komputerowe to wirtualne wehikuły czasu. – Zrobił pauzę. – Oczywiście takie obliczenia są względnie proste w małym układzie zamkniętym, jakim jest stół bilardowy. Co jednak z układami bardziej złożonymi?

Edmond z uśmiechem spojrzał na probówkę używaną w eksperymencie Millera– Ureya.

– Zgaduję, że już się domyślacie, do czego zmierzam. Skoro symulacje komputerowe są rodzajem wehikułu czasu, dzięki któremu możemy przewidzieć nieodległą przyszłość, to

zapewne też dzięki nim zobaczymy, co się wydarzy w odległej przyszłości, może nawet za miliony lat.

Ambra zmieniła pozycję na kanapie, ani na chwilę nie odrywając spojrzenia od ekranu.

– Łatwo zgadnąć, że nie jestem pierwszym naukowcem, który chciał dokonać symulacji bulionu pierwotnego u zarania dziejów Ziemi. Teoretycznie taki eksperyment jest prosty, w praktyce jednak zamienia się w koszmar.

Na ekranie znów pojawiły się wzburzone wody pierwotnego oceanu. Między potężnymi falami błyskały wyładowania atmosferyczne i kratery czynnych wulkanów.

– Prześledzenie reakcji chemicznych w bulionie pierwotnym wymaga symulacji na poziomie molekularnym. Precyzyjność koniecznych obliczeń można porównać do pracy nad stworzeniem prognozy pogody tak dokładnej, że znalazłbyśmy położenie każdej cząsteczki powietrza w każdej kolejnej sekundzie. Symulacja zjawisk w pierwotnych wodach Ziemi wymagałaby zatem, żeby komputer rozumiał nie tylko prawa fizyki kierujące ruchem, termodynamiką, grawitacją, zachowaniem energii i tak dalej, lecz także zasady przemian chemicznych, co byłoby konieczne do dokładnego odtworzenia więzów między każdym atomem tworzącym gorącą oceaniczną kipiel.

Znad oceanu przenieśli się teraz pod jego powierzchnię i wyświetlił się obraz pojedynczej kropli wody, w której łączyły się i rozrywały wirtualne atomy i molekuły.

– Niestety – kontynuował Edmond, gdy jego twarz wróciła na ekran – symulacja, która obejmuje tak wielką liczbę permutacji, wymaga potężnej mocy obliczeniowej.

Takiej mocy nie zapewnia żaden komputer na Ziemi. – W jego oczach znów błysnęło podniecenie. – Oprócz jednego.

Przy dźwiękach dramatycznego pasażu rozpoczynającego słynną bachowską toccatę d-moll na ekranie wyświetliło się imponujące panoramiczne zdjęcie potężnego komputera w szklanej dwupoziomowej gablocie.

– E-Wave – szepnęła Ambra, odzywając się po raz pierwszy od kilku minut.

Langdon wpatrywał się w ekran.

„Oczywiście! To genialne!”

W takt dramatycznej muzyki organowej Edmond zabrał widzów na wirtualną wycieczkę po superkomputerze, na końcu pokazując ukryty w metalicznym sześcianie komputer kwantowy, przy którym muzyka organowa rozbrzmiała na cały regulator.

Edmond poszedł na całość w dosłownym tego słowa znaczeniu.

– Konkluzja jest taka, że E-Wave potrafi odtworzyć eksperyment Millera i Ureya w wirtualnej rzeczywistości z zaskakującą dokładnością. Nie mogę oczywiście przeprowadzić symulacji dla całego oceanu pierwotnego, stworzyłem ją więc dla pięciolitrowego naczynia, którego używali ci dwaj wybitni chemicy.

Na ekranie pojawiła się wirtualna kolba z roztworem pokazywanym stopniowo w coraz większym zbliżeniu, aż zobaczyli poruszające się swobodnie w ogrzanej cieczy atomy, które łączyły się i rozdzielały pod wpływem temperatury, elektryczności i ruchu.

– Ten model uwzględnia wszystko, czego się dowiedzieliśmy o bulionie pierwotnym od dnia, w którym Miller i Urey podjęli swój eksperyment, a więc także wpływ silnie redukującej pierwotnej atmosfery ziemskiej oraz prawdopodobną obecność rodników hydroksylowych, które powstały z pary wodnej po wyładowaniach elektrycznych, i siarczku karbonylu z aktywnych wulkanów.

Wirtualny płyn na ekranie nie przestawał się burzyć, a po chwili uformowały się w nim zbitki atomów.

– Przyspieszmy teraz ten proces – powiedział Edmond pełnym ekscytacji głosem, zwiększając tempo symulacji, po czym znów je zmniejszył, żeby lepiej pokazać powstawanie coraz bardziej złożonych związków. – Po tygodniu pojawiają się te same aminokwasy, które widzieli Miller i Urey. – Obraz ponownie przyspieszył, tym razem jednak zmieniał się przed ich oczami w zawrotnym tempie. – Później, mniej więcej po upływie pięćdziesięciu lat, widzimy powstanie pierwszych składników niezbędnych, aby uformowały się kwasy rybonukleinowe.

Tempo wyświetlanego obrazu jeszcze wzrosło.

– Pozwoliłem więc komputerowi pracować dalej – poinformował Edmond z wielkim przejęciem.

Atomy na ekranie ciągle się ze sobą wiązały, z upływem kolejnych wieków, tysiącleci i milionów lat tworząc coraz bardziej złożone struktury. Gdy obraz zaczął się zmieniać z oszałamiającą prędkością, Edmond wykrzyknął radośnie:

– I zgadnijcie, co się w końcu pojawiło na dnie tej kolby?

Langdon i Ambra pochylili się do przodu, czekając na odpowiedź.

Wtedy jednak cały entuzjazm Edmonda nagle zniknął.

– Absolutnie nic – oznajmił. – Żadnego życia. Żadnej samoistnej reakcji. Żadnego momentu stworzenia. Nic oprócz mieszaniny nieożywionych pierwiastków. – Edmond ciężko westchnął. – Prowadziło to do jednego wniosku. – Skierował smętny wzrok prosto w kamerę. – Stworzenie życia wymaga... Boga.

Langdon patrzył zdezorientowany. „Co on wygaduje!?”

Po chwili jednak twarz Edmonda rozjaśnił słaby uśmiech.

– Albo też pominąłem coś istotnego – dodał.

Rozdział 92

Ambra Vidal jak zahipnotyzowana wpatrywała się w ekran, usiłując sobie wyobrazić miliony ludzi na całym świecie, których tak jak ją porwało wystąpienie Edmonda.

– O czym więc zapomniałem? – zapytał Edmond. – Dlaczego w moim bulionie pierwotnym nie powstało życie? Nie umiałem na te pytania odpowiedzieć, zrobiłem więc to, co wszyscy naukowcy, którzy odnieśli sukces: zapytałem mądrzejszego od siebie.

Na ekranie pojawiła się kobieta w okularach: doktor Constance Gerhard, biochemiczka z Uniwersytetu Stanforda.

– Jak tworzymy życie? – Roześmiała się, kręcąc głową. – Nie potrafimy tego dokonać. Gdy mowa o procesie stworzenia, a więc o przekroczeniu tej granicy, za którą materia nieożywiona zamienia się w żywy organizm, całą naszą naukę możemy zawiesić na kołku. Chemia nie zna mechanizmu, który potrafiłby to wyjaśnić. Co więcej, łączenie się komórek dla stworzenia żywych form zdaje się też przeczyć entropii.

– Entropia – podjął Edmond, pojawiając się teraz na pięknej plaży. – Tłumacząc to pojęcie na prosty język, powiedzielibyśmy tak: rzeczy się rozpadają. Naukowcy mówią natomiast, że każdy zorganizowany system nieuchronnie ulegnie dezorganizacji. – Strzelił palcami i przy jego stopach pojawił się wymyślny zamek z piasku. – Tutaj zorganizowałem miliony ziarenek piasku, budując z nich zamek. Zobaczymy, co na to powie wszechświat. – Kilka sekund później nadeszła fala, która zmyła budowlę. – No właśnie. Wszechświat zlokalizował moje zorganizowane ziarenka piasku i natychmiast je zdezorganizował, rozmywając po plaży. Tak działa entropia. Uderzające o brzeg fale nigdy nie formują piasku w zamek. Entropia rozprasza struktury. Zamki z piasku nigdy nie pojawiają się spontanicznie. Mogą tylko zniknąć.

Edmond znów pstryknął palcami i wrócił do elegancko urządzonej kuchni.

– Gdy podgrzewacie kawę – powiedział, wyjmując z kuchenki mikrofalowej kubek parującego płynu – skupiacie energię cieplną w naczyniu. Jeśli odstawicie to naczynie na godzinę, ciepło zniknie, rozpraszając się równo po całym pomieszczeniu, jak ziarenka piasku na plaży. Znów entropia. I proces ten jest nieodwracalny. Możecie czekać dowolnie

długo, ale uwierzcie, że wszechświat nigdy nie podgrzeje ponownie waszej kawy. – Uśmiechnął się. – Nie zamieni też jajecznicy z powrotem w jajko ani nie odbuduje rozmytego zamku z piasku.

Ambra przypomniała sobie oglądaną kiedyś instalację pod tytułem *Entropia*. Był to rząd ułożony ze starych, coraz bardziej pokruszonych betonowych bloków, które na końcu zamieniały się w kupę gruzu.

Na ekran wróciła doktor Gerhard. Poprawiła okulary.

– We wszechświecie panuje entropia – powiedziała. – Rządzi nim randomizacja, nie organizacja, należy więc postawić pytanie: „W jaki sposób nieożywione pierwiastki i związki chemiczne zorganizowały się w złożone formy życiowe?”. Nigdy nie byłam religijna, ale muszę przyznać, że istnienie życia jest jedyną naukową zagadką, która kazała mi dopuścić możliwość istnienia Stwórcy.

Niemal w tej samej sekundzie zastąpił ją Edmond.

– Naprawdę mnie wkurza, gdy mądrzy ludzie używają słowa „stwórca” – oznajmił, kręcąc głową. – Ale wiem, że tak robią, ponieważ nauka nie przyniosła odpowiedzi na pytanie o początek życia. Ale wierzcie mi, przyjaciele, że jeśli szukacie jakiejś niewidocznej siły, która tworzy porządek w chaotycznym wszechświecie, to znajdziecie o wiele prostsze możliwości niż postulowanie istnienia Boga.

Edmond wyciągnął dłoń z papierowym talerzykiem, na którym leżały rozsypane opiłki. Następnie wziął magnes i umieścił go pod papierem. W jednej chwili metalowe drobinki utworzyły łuk, układając się równo jeden obok drugiego.

– Niewidzialna siła zorganizowała chaotyczne drobiny. Czy to był Bóg? Nie, to był magnetyzm.

Obok Edmonda znalazła się teraz duża trampolina. Na jej naprężonej powierzchni leżały w nieładzie setki kulek. Edmond położył na trampolinie kulę do kręgli i potoczył ją po elastycznej tkaninie. Kula zatrzymała się pośrodku, tworząc spore wgłębienie, i natychmiast małe kulki uformowały wokół niej okrąg.

– Boska ingerencja? – zapytał i zrobił pauzę. – Nie, grawitacja.

Kamera pokazała zbliżenie jego twarzy.

– Należy więc dojść do wniosku, że życie nie jest jedynym przypadkiem, gdy wszechświat porządkuje, zamiast dezorganizować. Nieożywione molekuły nieprzerwanie organizują się w złożone struktury.

Na ekranie zobaczyli lej tornada, płatek śniegu, pofalowane dno rzeki, kryształ kwarcu i pierścienie Saturna.

– Widzimy kolejne dowody na to, że wszechświat potrafi organizować materię w sposób, który zdaje się wprost przeczyć entropii. – Edmond westchnął. – Co więc jest prawdą?

Wszechświat preferuje porządek czy chaos?

Zdjęcia zniknęły i pojawił się Edmond idący w stronę słynnej kopuły Laboratorium Mediów Elektronicznych MIT.

– Większość fizyków odpowie, że chaos. Entropia istotnie rządzi, a wszechświat nieustannie zmierza w stronę chaosu. I to jest przygnębiająca odpowiedź. – Edmond zrobił pauzę, po czym odwrócił się do kamery uśmiechnięty od ucha do ucha. – Ale dzisiaj przyjechałem tu na spotkanie z pewnym błyskotliwym młodym fizykiem, który jest przekonany, że odkrył coś, co pozwoli rozwikłać zagadkę powstania życia.

„Jeremy England?”

Langdon z zaskoczeniem patrzył na nazwisko fizyka, którego Edmond właśnie przedstawiał. Trzydziestokilkuletni profesor MIT był aktualnie na ustach bostońskiego środowiska naukowego, po tym jak wywołał ogólnoświatowe zamieszanie w nowej dziedzinie nauki nazywanej biologią kwantową.

Tak się złożyło, że Jeremy England i Robert Langdon chodzili do tej samej szkoły średniej i Langdon po raz pierwszy dowiedział się o młodym fizyku dzięki czasopismu dla absolwentów Phillips Exeter Academy, które zamieściło artykuł pod tytułem *Adaptacyjne zmiany strukturalne motywowane rozproszeniem*, i choć Langdon tylko pobieżnie zapoznał się z jego treścią, gdyż niewiele rozumiał, to jednak z noty biograficznej zapamiętał, że England był nie tylko błyskotliwym fizykiem, lecz także głęboko religijnym ortodoksyjnym żydem.

Langdon zaczynał rozumieć, dlaczego Edmond tak bardzo się zainteresował pracą Englanda.

Na ekranie pojawił się mężczyzna podpisany jako Alexander Grosberg, fizyk z Uniwersytetu Nowojorskiego.

– Mamy wielką nadzieję, że Jeremy England zidentyfikował regułę fizyczną, która stoi za powstaniem i ewolucją życia – powiedział Grosberg.

Langdon się wyprostował, słysząc te słowa. Ambra również.

Na ekranie ukazała się kolejna twarz.

– Jeśli Jeremy zdoła udowodnić, że jego teoria jest prawdziwa, to jego nazwisko zostanie zapamiętane na zawsze. Może zostać „nowym Darwinem” – stwierdził nagrodzony Pulitzerem historyk Edward John Larson.

„O kurczę!” Langdon wiedział, że Jeremy England wywołał zamieszanie, ale to wyglądało na burzę z piorunami.

– Mniej więcej co trzydzieści lat stawiamy olbrzymi krok naprzód. To może być właśnie taki krok – dodał Carl Franck, fizyk z Uniwersytetu Cornella.

Przez ekran przesunęły się tytuły z pierwszych stron gazet.

Oto naukowiec, który może obalić Boga

Kreacjonizm legł w gruzach

Dziękujemy Ci, Boże, ale nie potrzebujemy już Twojej pomocy

Następnie zobaczyli wycinki tekstów z najważniejszych czasopism naukowych.

We wszystkich pojawiała się ta sama teza: jeśli Jeremy England udowodni swoją nową teorię, to świat zatrzęsie się w posadach – nie tylko świat nauki, ale też świat religii.

Langdon spojrzał na fragment, który okazał się ostatni. W datowanym na trzeciego stycznia dwa tysiące piętnastego roku numerze internetowego czasopisma „Salon”

opublikowano następujący artykuł:

**ZAMACH NA BOGA: ODKRYCIE BŁYSKOTLIWEGO NAUKOWCA, KTÓRE
PRZERAŻA KREACJONISTÓW I KONSERWATYWNYCH
CHRZEŚCIJAN.**

Młody profesor MIT kończy dzieło Darwina, a jego praca rozpędzi na cztery wiatry wszystko, co najważniejsze dla oszalałej prawicy.

Z powrotem wyświetlił się Edmond z determinacją kroczący po korytarzach wydziału nauk ścisłych MIT.

– Jaki więc jest ten olbrzymi krok naprzód, który przeraża kreacjonistów?

Rozpromienił się, stając przed drzwiami z napisem: „ENGLANDLAB@MITPHYSICS”.

– Wejdźmy do środka i zapytajmy u źródła.

Rozdział 93

Młody mężczyzna, który pojawił się teraz na ekranie, był wysoki i szczupły, miał rozczochną brodę i trochę nieśmiały uśmiech. Stał przed tablicą zapisaną równaniami matematycznymi. Jeremy England.

Zaczął skromnie i bezpretensjonalnie.

– Na początek chciałbym podkreślić, że ta teoria nie jest potwierdzona, jest to więc tylko pomysł. – Wzruszył lekko ramionami. – Ale przyznaję, że jeśli nam się uda ją udowodnić, to będzie miała poważne konsekwencje.

Przez kolejne trzy minuty fizyk przedstawiał swój pomysł, który jak większość odkryć zmieniających ludzkie myślenie, okazał się zaskakująco prosty.

Jeśli Langdon dobrze zrozumiał jego słowa, Jeremy England postulował, że u podstaw funkcjonowania wszechświata leży jedna zasada. Wszechświat ma jeden cel.

Rozpraszać energię.

Najprościej rzecz ujmując, jeśli wszechświat odkrywa obszary skupionej energii, to ją rozprasza. Klasycznym przykładem, który wcześniej wskazał Kirsch, jest kubek z gorącą kawą, którego zawartość zawsze ostygnie, a ciepło rozproszy się na inne cząsteczki w pomieszczeniu zgodnie z drugim prawem termodynamiki.

Langdon nagle zrozumiał, dlaczego Edmond pytał go o powstałe w różnych częściach świata wersje historii stworzenia, interesując się przede wszystkim tymi, które zawierały przekazy o rozświetlaniu ciemności nieskończenie rozszerzającym się źródłem światła i energii.

England wierzył jednak, że istnieje pewna zaskakująca prawidłowość w tym, jak wszechświat rozprasza energię.

– Wiemy, że wszechświat dąży do entropii i chaosu, możemy więc być zaskoczeni liczbą przykładów tego, jak molekuły się organizują – powiedział England.

Na ekran powróciło kilka przykładów, które były wyświetlane już wcześniej: wirujące tornado, pomarszczone dno rzeki, płatek śniegu.

– Wszystko to są przykłady struktur rozpraszających, inaczej mówiąc cząsteczek, które

ułożyły się w taki sposób, żeby pomóc układowi lepiej rozproszyć jego energię.

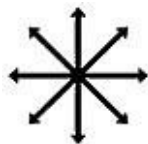
England wskazał, że tornada są sposobem na rozproszenie zebranej na danym obszarze wysokiej energii poprzez zamianę jej na siłę rotującą, która w końcu się wyczerpie. To samo da się powiedzieć o fałdach na dnie rzek, ponieważ przechwytyują one energię pędzącej prędko wody, a następnie tę energię rozpraszają. Płatki śniegu rozpraszają energię słońca, tworząc wielopłaszczyznowe struktury, które odbijając energię słoneczną, chaotycznie przesyłają ją we wszystkich kierunkach.

– Mówiąc po prostu, materia strukturyzuje się tak, aby lepiej rozpraszać energię – stwierdził England z uśmiechem. – Aby promować chaos, natura tworzy małe enklawy porządku. Te enklawy są strukturami eskalującymi chaos systemu, tym samym zwiększającymi entropię.

Langdon nigdy się nad tym nie zastanawiał, ale wyglądało na to, że England ma rację, a przykłady tej zasady można znaleźć dosłownie wszędzie. Langdon wyobraził sobie chmurę burzową. Gdy chmura uporządkuje się dzięki elektryczności statycznej, natura interweniuje błyskawicą. Energia ulega rozproszeniu dzięki mechanizmom stworzonym przez prawa fizyki. Piorun rozprasza energię chmury burzowej, przenosząc ją na ziemię, przez co zwiększa entropię całego systemu. „Skuteczne tworzenie chaosu wymaga odrobiny porządku” – uświadomił sobie Langdon.

Przez chwilę się zastanawiał, czy bomby atomowe można uznać za entropiczne. Są przecież małymi enklawami uporządkowanej materii służącymi do tworzenia chaosu.

Przypomniawszy sobie matematyczny symbol entropii i doszedł do wniosku, że może się kojarzyć z eksplozją albo nawet z Wielkim Wybuchem rozpraszającym energię we wszystkich kierunkach.



– Jaki z tego wniosek? – pytał England. – Co entropia ma wspólnego z początkami życia? – Podeszedł do tablicy. – Otóż życie jest wyjątkowo skutecznym sposobem rozpraszania energii.

England narysował słońce kierujące swoją energię na drzewo.

– Drzewo pochłania energię słoneczną, wykorzystuje ją do wzrostu, a następnie emituje promieniowanie podczerwone, o wiele mniej skoncentrowaną formę energii.

Fotosynteza to bardzo efektywna maszyna entropiczna. Skoncentrowana energia słoneczna jest dzięki niej zbierana i osłabiana przez drzewo, a proces ten prowadzi do zwiększenia całkowitej entropii we wszechświecie. To samo można powiedzieć

o wszystkich organizmach żywych, w tym także o człowieku, które konsumują zorganizowaną materię jako pożywienie i zamieniają ją na energię, którą następnie rozpraszają do otoczenia jako ciepło. Dlatego jestem przekonany, że życie nie tylko stosuje się do praw fizyki, ale też zaczęło się właśnie wskutek działania tych praw.

Langdon poczuł dreszcz, zastanawiając się nad tym rozumowaniem, które wydawało się bardzo proste: jeśli promienie słońca padały na żyzną glebę, fizyczne prawa Ziemi stworzyły roślinę, która pomagała rozproszyć tę energię. Jeśli z powodu kraterów oceanicznych powstawały obszary gotującej się wody, w rejonie kraterów pojawiało się życie, które rozpraszało ich energię.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia znajdę sposób, żeby udowodnić, że przyczyną spontanicznego powstania życia z nieożywionej materii były ni mniej, ni więcej, tylko prawa fizyki.

„Fascynujące! Klarowna teoria naukowa wyjaśniająca, jak życie mogło powstać bez boskiej interwencji” – pomyślał Langdon.

– Jestem człowiekiem wierzącym – oznajmił England. – Ale moja wiara, podobnie jak nauka, ciągle się rozwija. Uważam, że moja teoria jest agnostyczna. Nie odnoszę się do duchowości, próbuję po prostu opisać, jak wygląda nasz wszechświat. Inne aspekty tej sprawy zostawiam osobom duchownym i filozofom.

„Mądry młody człowiek” – pochwalił go w myślach Langdon. „Jeśli jego teorię kiedykolwiek da się udowodnić, to świat przeżyje prawdziwe trzęsienie ziemi”.

– Na razie jednak wszyscy mogą spać spokojnie – podsumował England. – Z oczywistych powodów moja teoria jest wyjątkowo trudna do udowodnienia. Razem z zespołem pracujemy nad symulacjami, które w przyszłości pozwolą sprawdzić działanie modeli systemów zorientowanych na rozproszenie, ale przed nami jeszcze długie lata pracy.

Gdy z ekranu zniknęła twarz Englanda, powrócił Edmond, który stał przed swoim komputerem kwantowym.

– Ja jednak nie potrzebuję na to długich lat, ponieważ od dawna pracuję nad tym właśnie rodzajem symulacji komputerowych – oznajmił.

Podszedł do biurka.

– Jeśli profesor England się nie myli, to naczelna zasada kierująca funkcjonowaniem kosmosu da się wyrazić dwoma słowami: rozpraszaj energię.

Usiadł przy biurku i zaczął wściekle uderzać palcami w ponadwymiarową klawiaturę. Monitory przed nim zapełniły się linijkami kodu.

– Kilka tygodni poświęciłem na przeprogramowanie eksperymentu, który poprzednio zakończył się fiaskiem. Nakazałem systemowi za wszelką cenę rozpraszać energię. To

była jego nowa racja bytu. Kazałem komputerowi, by wszędzie, gdzie tylko to możliwe, szukał sposobów na zwiększenie entropii w bulionie pierwotnym. Dałem mu też pozwolenie, by tworzył wszelkie narzędzia, które by w tym pomogły.

Edmond odsunął klawiaturę i obrócił się na krześle twarzą do swojej widowni.

– Potem uruchomiłem symulację i wydarzyło się coś niewiarygodnego, okazało się bowiem, że trafnie zidentyfikowałem brakujący element w moim modelu.

Langdon i Ambra wpatrywali się uważnie w ekran, gdy Edmond zaczął wyświetlać animowaną grafikę. Znowu zobaczyli buzujące głębiny pierwotnego oceanu powiększone tak bardzo, że na wyświetlaczu przemieszczały się pojedyncze cząsteczki, które swobodnie się ze sobą łączyły i rozdzielały.

– Gdy przyspieszyłem proces o kilkaset lat, zaczęły się tworzyć aminokwasy z eksperymentu Millera i Ureya – powiedział Edmond.

Langdon nie specjalizował się w chemii, ale rozpoznał na ekranie łańcuch proteinowy. Wraz z upływem czasu cząsteczki stawały się coraz bardziej złożone, a ich kształt zaczął przypominać sześciokątne plastry miodu.

– Nukleotydy! – entuzjazmował się Edmond, komentując kolejny etap scalania się sześciokątów. – Obserwujemy proces, który w naturze trwał tysiące lat! Przyspieszmy jeszcze trochę, a zobaczymy pierwsze zwiastuny znajomego kształtu.

Gdy to powiedział, łańcuchy nukleotydów zaczęły się owijać wokół siebie i wyciągać w spiralę.

– Widzicie? – wykrzyknął. – Upłynęły miliony lat i system próbuje się uporządkować! Stara się stworzyć strukturę, która pomoże mu rozproszyć własną energię.

Zachowuje się dokładnie tak, jak przewidywał England!

Gdy model ewoluował, Langdon z zaskoczeniem stwierdził, że mała spirala się rozdwaja, przybierając kształt podwójnej helisy najslynniejszego związku chemicznego świata.

– Mój Boże... – szepnęła Ambra. – Czy to jest...

– DNA – oznajmił Edmond, zatrzymując obraz na ekranie. – Oto mamy kwas deoksyrybonukleinowy, podstawę wszelkiego życia. Żywy kod biologiczny. Zapytacie, dlaczego system stworzył DNA, próbując rozpraszać energię. Odpowiem, że im więcej rąk, tym praca łatwiejsza. Las rozproszy więcej energii słonecznej niż pojedyncze drzewo.

Jeśli coś jest narzędziem entropii, to najskuteczniej zwiększy wydajność dzięki autoreplikacji.

Na ekranie znowu pojawiła się twarz Edmonda.

– W momencie mój model pokazał prawdziwą magię. Rozpoczęła się ewolucja darwinowska!

Przez kilka sekund milczał.

– To jedyna naturalna konsekwencja – podjął. – Ewolucja jest sposobem, dzięki któremu wszechświat nieustannie testuje i doskonali swoje narzędzia. Najskuteczniejsze przechodzą tę próbę i podlegają replikacji, podczas której stale się doskonala, tworząc coraz bardziej złożone i coraz skuteczniejsze formy. W końcu niektóre z tych narzędzi zaczynają wyglądać jak drzewa, a niektóre... – zawiesił głos – niektóre zaczynają wyglądać... – znów zrobił pauzę – jak my.

Zmienił się obraz i Edmond zawisł w przestrzeni kosmicznej, mając niebieską kulę ziemską nad głową.

– Skąd przyszliśmy? – zapytał. – Otóż przyszliśmy znikąd i zewsząd. Stworzyły nas te same prawa fizyki, które dają początek życiu w całym kosmosie. Nie jesteśmy wyjątkowi. Powstaliśmy bez boskiej interwencji. Jesteśmy nieuniknionym rezultatem entropii. Życie nie jest celem wszechświata, życie jest jego produktem. Wszechświat nas tworzy i replikuje, żebyśmy rozpraszali energię.

Langdon poczuł dziwny niepokój i zaczął się zastanawiać, czy dobrze zrozumiał implikacje tego, co powiedział Edmond. Nie wątpił, że symulacja Kirscha wywoła żywy oddźwięk i wstrząśnie wieloma dziedzinami nauki. Czy jednak ludzie zmienią swoje przekonania religijne? Przez całe wieki wierzący przechodzili obojętnie obok wyników badań naukowych, lekceważąc logikę dla obrony wiary.

Ambra też nie wiedziała, co ma myśleć, bo na jej twarzy zachwyty walczył z ostrożną niepewnością.

– Przyjaciele, jeśli uważnie śledziliście mój wywód, to rozumiecie wielką wagę tych słów – kontynuował Edmond. – Jeśli jednak nadal się wahacie, to zostańcie z nami, ponieważ to odkrycie doprowadziło do kolejnego, które jest jeszcze donioślejsze.

Przez chwilę milczał.

– Odpowiedź na pytanie: „skąd przyszliśmy?” jest o wiele mniej zaskakująca od tego, co usłyszycie w odpowiedzi na pytanie: „dokąd zmierzamy?”.

Rozdział 94

Odgłos kroków odbijał się głośnym echem od ścian podziemnej bazyliki, gdy jeden z gwardzystów biegł w stronę trzech mężczyzn zebranych w najdalszym zakątku świątyni.

– Wasza Wysokość! – wykrzyknął zasapany. – Edmond Kirsch jest w sieci. To znaczy jego prezentacja.

Król się odwrócił, razem z nim księżę Julián.

Valdespino westchnął ze zniechęceniem. „To było tylko kwestią czasu” – pomyślał.

Ale i tak trudno mu było przyjąć do wiadomości, że cały świat ogląda teraz nagranie, które widział w bibliotece Montserrat z al-Fadlem i Kövesem.

„Skąd przyszliśmy?” Twierdzenie Kirscha o pochodzeniu bez bożej interwencji było i aroganckie, i bluźniercze. Biskup nie miał wątpliwości, że przesłanie futurysty przyniesie zgubne skutki, niszcząc ludzką aspirację, aby dążyć do wyższych ideałów i naśladować Boga, który stworzył człowieka na swoje podobieństwo.

Niestety Kirsch na tym nie poprzestał. Do tej profanacji dołączył kolejną, o wiele bardziej niebezpieczną, udzielając wysoce niepokojącej odpowiedzi na pytanie: „dokąd idziemy?”.

Proroctwo Kirscha było katastrofalne i tak niepokojące, że Valdespino i jego koledzy nalegali, żeby naukowiec go nie publikował. Nawet jeśli dane futurysty były dokładne i prawdziwe, ujawnianie ich światu mogło spowodować nieodwracalne szkody.

„Nie tylko dla wierzących, dla każdego”. Valdespino dobrze o tym wiedział.

Rozdział 95

„Nie potrzeba Boga” – rozmyślał Langdon, przypominając sobie słowa Edmonda.

„Życie powstało spontanicznie dzięki prawom fizyki”.

Teza o samorodnym powstawaniu życia była dyskutowana przez najtęższe umysły, ale zawsze teoretycznie, dziś jednak Edmond Kirsch zaprezentował prosty i przekonujący argument, że życie taki właśnie miało początek.

„Nikommu wcześniej nie udało się tego udowodnić ani nawet wyjaśnić, jaki mechanizm mógł do tego doprowadzić”.

Widoczna na ekranie symulacja Edmonda przedstawiała właśnie wielką obfitość wirtualnych form życia.

– Obserwując powstające w moim modelu życie, zacząłem się zastanawiać, dokąd doprowadziłaby ta symulacja, gdybym jej nie zakończył – komentował. – Czy żywe formy wydostałyby się ze szklanej kolby, żeby stworzyć całe królestwo zwierząt, w tym także ludzi? I co by się stało, gdybym nie zakończył symulacji na tym etapie? Czy model wskazałby kolejny etap ludzkiej ewolucji, gdybym odczekał dostatecznie długo? Czy symulacja wskazałaby odpowiedź na pytanie, dokąd idziemy?

Na ekranie Edmond stał obok komputera E-Wave.

– Niestety nawet ten komputer nie poradzi sobie z zadaniem takich rozmiarów, musiałem więc znaleźć sposób, żeby zawęzić eksperyment. Poszukiwania doprowadziły mnie do całkiem nieoczekiwanego źródła, rozwiązaniem okazała się bowiem technologia stosowana przez Walta Disneya.

Po tych słowach wyświetlił się prymitywny, dwuwymiarowy czarno-biały rysunek.

Langdon natychmiast rozpoznał disneyowski klasyk z tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku: *Parowiec Willy*.

– Sztuka tworzenia kreskówek bardzo się rozwinęła przez ostatnich dziewięćdziesiąt lat, od najprostszych rysunków na celuloidach po pełnometrażowe filmy animowane produkowane dzisiaj.

Obok starego rysunku pojawiła się tętniąca życiem, superrealistyczna scena ze

współczesnego filmu animowanego.

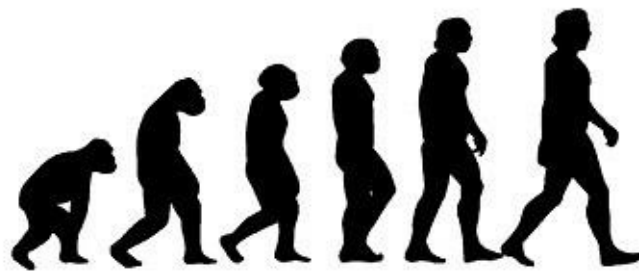
– Ten olbrzymi skok technologiczny można by porównać do trzech tysięcy lat ewolucji między malowidłami naskalnymi a arcydziełami Michała Anioła. Jako futurysta fascynuję się każdą umiejętnością, dzięki której szybko osiągamy postępy – kontynuował Edmond. – Technika, która umożliwiła ten olbrzymi krok w przód, nosi nazwę tweeningu i jest swoistą drogą na skróty. Artysta zleca komputerowi generowanie pośrednich klatek między dwiema klatkami kluczowymi. Odpowiedni algorytm tworzy obrazy, które łączą te obydwie klatki, uzupełniając brakujące elementy, dzięki czemu pierwszy obraz płynnie przechodzi w drugi i nie trzeba rysować wszystkich klatek filmu ręcznie. Inaczej mówiąc, zamiast stawiać po kolei wszystkie kroki w procesie ewolucji obrazu, artysta może stworzyć kilka kluczowych klatek, a następnie zlecić komputerowi dorysowanie etapów pośrednich, które wypełnią zmianę ruchu między kolejnymi stadiami.

– Tweening jest raczej oczywistym zastosowaniem mocy obliczeniowej – oznajmił Edmond. – Ale gdy o nim usłyszałem, doznałem olśnienia i zrozumiałem, że stanowi klucz otwierający drzwi do poznania przyszłości.

Ambra odwróciła się do Langdona, rzucając mu pytające spojrzenie.

– Dokąd to prowadzi?

Zanim Langdon zdążył się zastanowić nad odpowiedzią, na ekranie wyświetlił się nowy obraz.



– Ewolucja człowieka – powiedział Edmond. – Ten rysunek moglibyśmy nazwać prymitywną animacją. Dzięki nauce udało nam się narysować kilka podstawowych klatek.

Oto dropitek, *Australopithecus*, *Homo habilis*, *Homo erectus*, neandertalczyk, ale etapy pośrednie między nimi pozostają nieznane.

Langdon już wiedział, czego się spodziewać. Edmond przedstawił swój pomysł, by użyć komputera do wypełnienia luk w łańcuchu ewolucyjnym człowieka przy zastosowaniu techniki tweeningu. Wspomniał też, jak różne międzynarodowe projekty badawcze wykorzystywały fragmenty zachowanych kości ludzi, paleoeskimosów, neandertalczyków

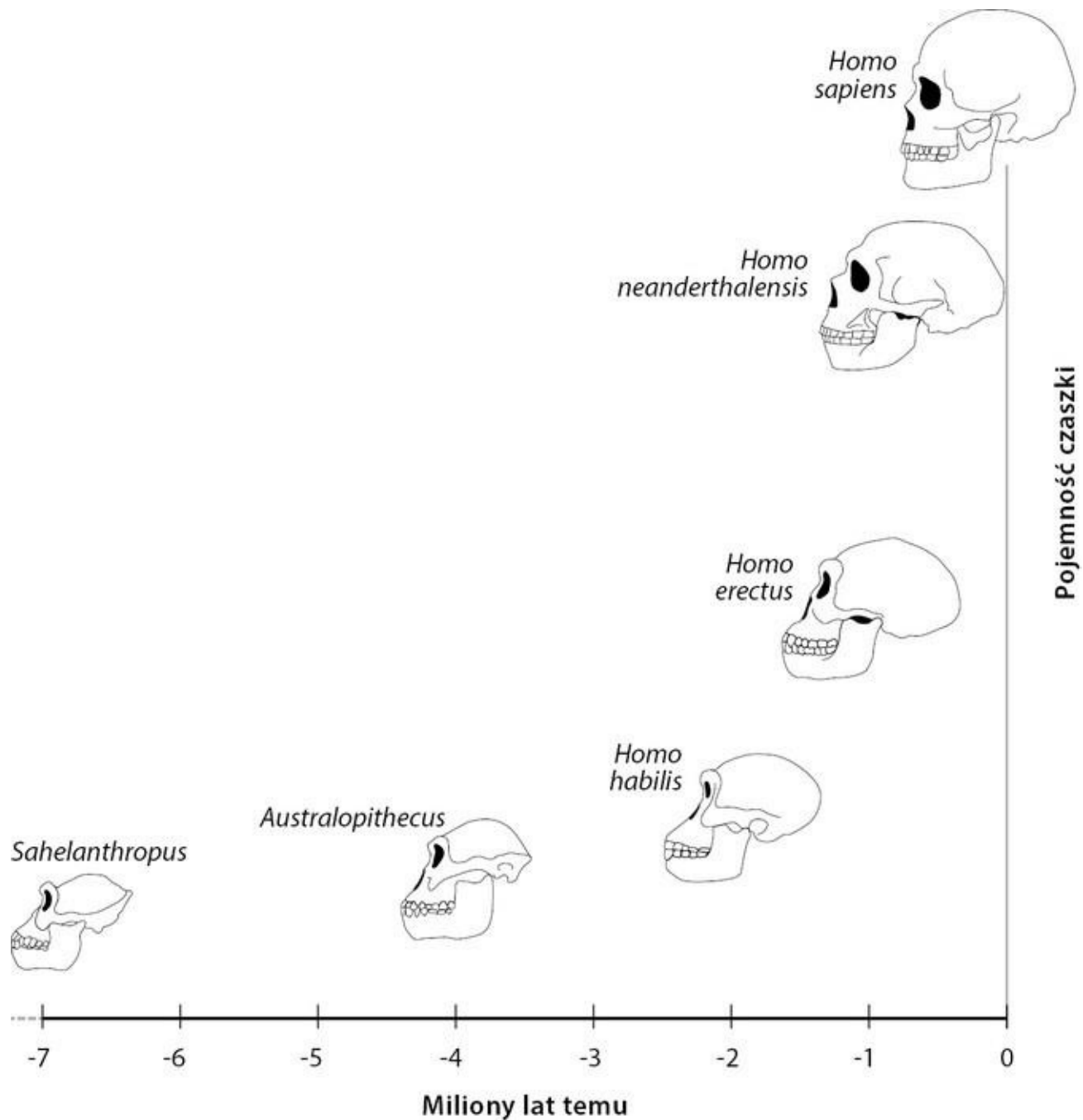
i pradawnych małp człekokształtnych do stworzenia mapy genetycznej kilkunastu pośrednich gatunków między dropitekiem a *Homo sapiens*.

– Wiedziałem, że jeśli wykorzystam odkryte przez naukowców prymitywne genomy jako klatki kluczowe, to E-Wave stworzy model ewolucyjny, który je wszystkie połączy – powiedział Edmond. – Złączy kropki jedną linią. Zacząłem od prostej cechy wielkości czaszki, która jest powszechnie uznanym wskaźnikiem ewolucji intelektualnej.

Na ekranie pojawiła się ilustracja.

– Ale symulacja nie ograniczyła się do ogólnych wskaźników typu wielkość czaszki. E-Wave uwzględnił tysiące innych markerów genetycznych, które wpływają na zdolności poznawcze, jak choćby orientacja przestrzenna, zasób słownictwa, pamięć długotrwała czy szybkość przetwarzania.

Na ekranie wyświetliły się teraz szybko następujące po sobie wykresy ilustrujące gwałtowny wzrost kolejnych parametrów.



– Następnie E-Wave przeprowadził bezprecedensową symulację rozwoju intelektualnego. – Na ekran wróciła twarz Edmonda. – I co z tego, zapytacie? Do czego mielibyśmy wykorzystać wiedzę o przebiegu procesu, w wyniku którego ludzie uzyskali intelektualną dominację? Otóż dzięki tej wiedzy możemy określić prawidłowości, które komputer może wykorzystać, żeby nam powiedzieć, jak nasz rozwój przebiegnie w przyszłości. – Uśmiechnął się. – Jeśli powiem: dwa, cztery, sześć, osiem...

Dopowiecie: dziesięć. No więc poprosiłem, żeby E-Wave przewidział, jak ta dziesiątka będzie wyglądała. Gdy mój komputer przeprowadził symulację rozwoju intelektualnego, mogłem postawić oczywiste pytanie: „Co dalej?”. Jak ludzki intelekt będzie wyglądał za pięćset lat? Tak, tak, zadałem komputerowi pytanie: „Dokąd idziemy?”.

Langdon z wypiekami na twarzy czekał na odpowiedź, a chociaż nie znał się na genetyce ani symulacjach komputerowych na tyle dobrze, żeby ocenić jakość przewidywań

Edmonda, to pomysł nieżyjącego przyjaciela wydał mu się genialny.

– Ewolucja gatunku jest zawsze powiązana ze środowiskiem, uznałem więc za konieczne, żeby komputer uwzględnił środowiskową symulację współczesnego świata, co stosunkowo łatwo przeprowadzić, gdy wszystkie wiadomości na temat kultury, polityki, nauki, pogody i technologii są przekazywane w internecie. Zadbalem też o szczególnie uważną analizę tych czynników, które wpłyną na przyszły rozwój ludzkiego mózgu, w tym nowe lekarstwa i procedury medyczne, zanieczyszczenie środowiska naturalnego, czynniki kulturowe i tak dalej. – Edmond zrobił pauzę. – A potem uruchomiłem proces.

Jego twarz w dużym zbliżeniu wypełniła cały ekran. Patrzył prosto w obiektyw kamery.

– Gdy przeprowadziłem symulację, okazało się coś niespodziewanego. – Na ledwie dostrzegalną chwilę odwrócił spojrzenie, po czym wbił wzrok w oko kamery. – Coś bardzo niepokojącego.

Langdon usłyszał, jak Ambra z zaskoczeniem chwyta powietrze.

– Zrobiłem więc jeszcze raz wszystko od początku – oznajmił, marszcząc brwi. – Ale wynik był taki sam.

Langdon widział w oczach Edmonda autentyczny lęk.

– Ponownie więc obliczyłem parametry, przepisałem program z uwzględnieniem nowych danych na wejściu i uruchomiłem symulację po raz trzeci. Ale i tym razem zobaczyłem to samo.

Zaczął się zastanawiać, czy Edmond nie odkrył, że po tysiącletnich rozwoju ludzki intelekt zaczyna się chylić ku upadkowi. Z całą pewnością potrafiłby wskazać wiele symptomów, które by to zapowiadały.

– Byłem przygnębiony wynikiem obliczeń i nie potrafiłem go zinterpretować – kontynuował Edmond. – Analizę zleciłem więc komputerowi. E-Wave wykonał polecenie, informując mnie o jego rezultacie w najbardziej przejrzysty sposób, jaki zna.

W formie obrazu.

Na ekranie pojawiła się oś czasu ilustrująca ewolucję zwierząt mniej więcej sto milionów lat temu. Na osi zaznaczono kolorowe zazębiające się okręgi, które z upływem czasu zmniejszały się lub powiększały, ilustrując powstawanie i zanikanie poszczególnych gatunków. Lewa strona osi zdominowana była przez będące u szczytu swojego rozwoju w tamtym okresie dinozaury, którym odpowiadał największy okrąg ze wszystkich. Stopniowo jednak malał, by raptownie zniknąć sześćdziesiąt pięć milionów lat temu, gdy te wielkie gady wymarły.

– To oś czasu wskazująca dominację form życia na Ziemi rozumianą jako liczebność populacji danego gatunku, pozycję w łańcuchu pokarmowym, przewagę nad innymi

gatunkami oraz wpływ na naszą planetę – oznajmił Edmond. – W największym uproszczeniu mogę stwierdzić, że wykres ilustruje, kto w danym czasie rządził na Ziemi.

Langdon przebiegał wzrokiem wzdłuż osi czasu, obserwując, jak poszczególne okręgi rosną i maleją wraz z pojawianiem się, rozwojem i zanikaniem poszczególnych gatunków.

– Powstanie *Homo sapiens* datujemy na dwieście milionów lat przed naszą erą, ale na tym wykresie pojawia się dopiero mniej więcej sześćdziesiąt pięć tysięcy lat temu, gdyż wtedy zyskaliśmy wystarczający potencjał, wymyślając łuk i strzałę, które uczyniły z nas skuteczniejszych drapieżników.

Langdon spojrzał na wskazaną datę, przy której pojawiał się niewielki niebieski okrąg opisany jako *Homo sapiens*. Okrąg powiększał się bardzo wolno, niemal niezauważalnie, aż do mniej więcej tysięcznego roku przed naszą erą, gdy zakreślająca go linia zrobiła się grubsza, a powierzchnia zaczęła przyrastać niemal wykładniczo.

Po prawej stronie wykresu niebieskie kółko zajmowało już prawie całą wysokość ekranu,

„Współcześni ludzie” – pomyślał Langdon. „Z pewnością najbardziej rozwinięty, dominujący gatunek na naszej planecie”.

– Nic dziwnego, że w roku dwutysięcznym, kiedy ten wykres się kończy, ludzie pokazani są jako gatunek panujący na Ziemi – kontynuował Edmond. – Nie mają sobie równych. – Zrobił pauzę. – Ale widzimy też, że pojawia się pierwszy ślad nowego okręgu.

Tutaj...

Zbliżenie pokazało małą czarną kropkę formującą się nad okręgiem symbolizującym ludzkość, jakby mała czarna podnawka przyssała się do grzbietu błękitnego wieloryba.

– Zdaję sobie sprawę, że w tym momencie ten nowy przybysz nie wygląda groźnie, jeśli jednak spojrzymy, co się wydarzyło od dwutysięcznego roku do dzisiaj, to zauważymy, że on się powoli rozwija.

Oś czasu przesunęła się, pokazując bieżącą datę, i Langdon poczuł, jak ściska go w gardle. Czarny okrąg niesamowicie urósł przez ostatnie dwie dekady. Teraz zajmował około jednej czwartej ekranu, konkurując z *Homo sapiens* o wpływy i dominację.

– Co to jest?! – wykrzyknęła Ambra zmartwionym głosem.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Langdon. – Może jakiś uśpiony wirus? – Przebiegł w myślach listę agresywnych wirusów, które atakowały różne części świata, ale nie mógł sobie wyobrazić, żeby jakikolwiek gatunek rozwijał się tak szybko niezauważony. „Bakteria z kosmosu?”

– Ten nowy gatunek jest podstępny – oznajmił Edmond. – Rozwija się wykładniczo. Nieustannie powiększa swoje terytorium. Co równie ważne, ewoluuje o wiele szybciej niż człowiek. – Edmond znów spojrzał prosto w obiektyw ze śmiertelnie poważną miną. –

Z wielką przykrością ujawnię teraz, jak ta symulacja wpływa na przyszłość, tę najbliższą, za kilkadziesiąt lat.

Oś czasu znów się przesunęła, odkrywając dwa tysiące pięćdziesiąty rok.

Langdon skoczył na równe nogi, z niedowierzaniem wpatrując się w ekran.

– Mój Boże! – szepnęła Ambra, z przerażeniem zakrywając usta.

Wykres nie zostawiał wątpliwości. Złowieszczy czarny okrąg powiększał się w zawrotnym tempie i w dwa tysiące pięćdziesiątym roku całkowicie pochłaniał jasnoniebieski okrąg ludzkości.

– Bardzo mi przykro, że muszę wam to pokazać, ale każda symulacja, którą przeprowadziłem, dawała taki sam wynik – oznajmił Edmond. – Gatunek ludzki ewoluował do pewnego momentu, a potem nagle na Ziemi pojawia się nowy gatunek, który bardzo szybko eliminuje człowieka.

Langdon patrzył na przerażający wykres, powtarzając sobie, że to tylko symulacja komputerowa. Wiedział, że ilustracja graficzna oddziałuje na człowieka znacznie silniej niż dane liczbowe, ale i tak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wykres ma w sobie coś ostatecznego, jakby zagłada ludzkości była już przesądzona.

– Przyjaciele – odezwał się po chwili Edmond głosem tak smutnym, jakby zapowiadał nieuchronną kolizję Ziemi z asteroidą. – Nasz gatunek jest bliski wymarcia.

Całe życie poświęciłem przewidywaniu przyszłości, mogę więc odpowiedzialnie stwierdzić, że w tym przypadku przeanalizowałem dane na wszystkich poziomach.

Z dużym prawdopodobieństwem twierdzę, że człowieka, jakim go znamy, nie będzie już na ziemi za pięćdziesiąt lat.

Początkowy szok Langdona ustąpił miejsca niedowierzaniu. I złości na nieżyjącego przyjaciela.

„Co ty wyprawiasz, Edmondzie?! To nieodpowiedzialne! To wynik symulacji komputerowej, tysiące rzeczy mogło być nie tak z danymi, które przetworzyłeś! Cieszysz się szacunkiem, ludzie ci wierzą... Wywołasz masową histerię”.

– Ale jedno trzeba zauważyć – dodał Edmond jeszcze mroczniejszym tonem. – Jeśli uważnie spojrzycie na moją symulację, to zauważycie, że nowy gatunek nie eliminuje nas całkowicie. On nas wchłania.

Rozdział 96

„Nowy gatunek nas wchłania?”

Ogarnięty zdumieniem Langdon próbował sobie wyobrazić, jakie znaczenie Edmond ukrył za tym stwierdzeniem. Jego słowa przywoływały na myśl przerażające obrazy obcych z filmów science fiction, na których ludzi wykorzystywano jako żywe inkubatory dominującego gatunku.

Nadal stojąc blisko ekranu, Langdon obejrzał się na Ambrę, która siedziała skulona na kanapie, obejmując rękami kolana, i uważnym wzrokiem analizowała prezentowany wykres. Wniosek mogła wyciągnąć tylko jeden.

Z przeprowadzonej przez Edmonda symulacji wynikało, że ludzkość zostanie wchłonięta przez nowy gatunek i że stanie się to w najbliższych dziesięcioleciach.

Bardziej chyba przerażająca była jednak informacja, że gatunek ten żyje już na Ziemi, rozwijając się niepostrzeżenie.

– To oczywiste, że nie mógłbym opublikować tych wyników, gdybym nie zidentyfikował tego nowego gatunku – kontynuował Edmond. – Znów więc sięgnąłem do danych i po niezliczonych symulacjach zdołałem rozpoznać tajemniczego przybysza.

Ekran się odświeżył i Langdon zobaczył prosty wykres, który pamiętał jeszcze ze szkoły średniej – taksonomiczną hierarchię organizmów podzieloną na sześć królestw: *Animalia*, *Plantae*, *Protista*, *Eubacteria*, *Achaebacteria*, *Fungi*.

– Gdy zidentyfikowałem ten nowy organizm, zdałem sobie sprawę, że ma zbyt wiele różnych form, żeby go uznać za gatunek – kontynuował Edmond. – Z taksonomicznego punktu widzenia jest zbyt szeroki, żeby go nazwać typem, a nawet gromadą. – Patrzył prosto w kamerę. – Doszedłem do wniosku, że naszą planetę zamieszkuje coś, co można sklasyfikować wyłącznie jako nowe królestwo.

W ułamku sekundy Langdon zrozumiał, co Edmond opisuje.

„Siódme Królestwo!”

Oniemiały z wrażenia słuchał przekazywanego całemu światu opisu królestwa, o którym słyszał niedawno w rozważaniach pisarza Kevina Kelly’ego opublikowanych na

portalu TED Talk. Królestwa przepowiedzianego już przez pierwszych pisarzy gatunku science fiction.

Królestwa gatunków nieożywionych.

Gatunki te ewoluowały niemal dokładnie tak samo jak istoty żywe. Stawały się coraz bardziej złożone w wyniku przystosowania i funkcjonowania w nowych środowiskach. W procesie ewolucji niektórym mutacjom dane było przetrwać, a inne ulegały wymarciu. Idealnie odzwierciedlając darwinowską zmianę adaptacyjną, nowe organizmy rozwijały się w oszałamiającym tempie, w wyniku czego stworzyły już całkiem nowe królestwo, Siódme Królestwo, które zajęło miejsce obok zwierząt, roślin, grzybów i pozostałych.

Nazywało się *Technium*.

Edmond przedstawił swoim słuchaczom oszałamiający opis najnowszego królestwa, które objęło wszelkie formy technologii. Opisał, jak nowe maszyny przeżywały albo umierały zgodnie z darwinowską zasadą doboru naturalnego, nieustannie dostosowując się do środowiska, nabierając nowych cech niezbędnych do przetrwania, a po odniesieniu sukcesu replikując się w najszybszym możliwym tempie, żeby zmonopolizować dostępne zasoby.

– Faks odszedł w zapomnienie tak jak ptak dodo – wyjaśniał Edmond. – A iPhone przetrwa, tylko jeśli nadal będzie wyprzedzać konkurencję. Maszyny do pisania i silniki parowe wymarły w zmieniającym się środowisku, ale *Encyclopaedia Britannica* ewoluowała, digitalizując trzydzieści dwa nieporęczne tomy, by jak ryba dwudyszna wpłynąć na niezbadane tereny, na których teraz świetnie sobie radzi.

Langdon przypomniał sobie aparat fotograficzny marki Kodak, który miał w dzieciństwie. Wtedy był jak *Tyrannosaurus rex*, potem jednak niemal z dnia na dzień zniknął, gdy niczym meteoryt nadciągnęła era fotografii cyfrowej.

– Pięćset milionów lat temu nasza planeta przeżyła erupcję życia – tłumaczył Edmond. – Podczas tak zwanej eksplozji kambryjskiej większość gatunków naszej planety pojawiła się dosłownie natychmiast. Dziś jesteśmy świadkami eksplozji kambryjskiej w królestwie *Technium*. Nowe gatunki technologii rodzą się codziennie, ewoluują w oszałamiającym tempie, a każda nowa technologia staje się narzędziem do produkcji kolejnej. Inwencja komputera pozwoliła nam stworzyć nowe, zaskakujące narzędzia, od smartfonów przez statki kosmiczne po robotykę chirurgiczną. Na naszych oczach dokonuje się erupcja innowacji, których nie potrafia już zrozumieć nasze umysły.

I to my jesteśmy twórcami nowego królestwa. My stworzyliśmy *Technium*.

Na ekran powrócił niepokojący wykres z nabrzmiewającym czarnym okręgiem, który zakrywa niebieski. „Technologia zabija ludzkość?” Ta perspektywa przeraziła Langdona, chociaż przeczucie podpowiadało mu, że nie jest możliwa. Jego zdaniem dystopijna

przyszłość na modłę Terminatora, w której maszyny polują na ludzi, dopóki nie wyłapią wszystkich, przeczyła tezom Darwina. „Ludzie panują nad technologią.

Ludzie mają instynkt przetrwania. Ludzie nigdy nie pozwolą, żeby to technologia zapanowała nad nimi!”

Zanim jednak ostatnie słowa wybrzmiały w jego głowie, Langdon już wiedział, jak naiwne to myślenie. Kontakt ze stworzoną przez Edmonda maszyną dał mu pojęcie o tym, na jakim etapie znalazły się już prace nad syntetyczną inteligencją. I chociaż Winston posłusznie wypełniał wolę swojego twórcy, to Langdon zaczął się zastanawiać, ile czasu upłynie, zanim maszyny takie jak Winston zaczną podejmować decyzje wypełniające ich własną wolę.

– Oczywiście wielu ludzi przede mną przepowiadało nadejście królestwa *Technium*, ale mnie się udało wykazać je metodą symulacji i mogę przewidzieć, jak wpłynie ono na nas wszystkich – oznajmił Edmond, wskazując na ciemniejszy okrąg, który w roku dwa tysiące pięćdziesiątym zajmował już cały ekran, co odzwierciedlało jego dominującą pozycję. – Muszę przyznać, że na pierwszy rzut oka ta symulacja pokazuje naprawdę ponurą perspektywę.

Edmond zrobił pauzę, ale w jego oczach błyszczały już znajome iskierki.

– Musimy jednak przyjrzeć się temu wszystkiemu dokładniej.

Na ekranie pojawił się fragment okręgu w dużym powiększeniu. Dopiero teraz można było zauważyć, że nie jest już kruczoczarny, lecz ciemnofioletowy.

– Jak widzicie, czarny okrąg symbolizujący technologię przybiera inną barwę po wchłonięciu człowieka. Staje się ciemnofioletowy, jakby obydwa kolory równo się wymieszały.

Langdon zastanawiał się, czy to dobra wiadomość, czy zła.

– To, co widzicie, jest rzadkim procesem ewolucyjnym, który nazywamy endosymbiozą – wyjaśniał Edmond. – Normalnie ewolucja jest procesem bifurkacyjnym, a więc jeden gatunek dzieli się na dwa nowe. Czasem jednak, w rzadkich wypadkach, jeśli gatunki nie mogą przeżyć bez siebie nawzajem, następuje odwrotność tego procesu: dwa gatunki się scalają.

Fuzja przypominała Langdonowi o synkretyzmie, a więc procesie, w którym dwie różne religie mieszają się, tworząc nowe wyznanie.

– Jeśli nie wierzycie, że nastąpi fuzja ludzi i technologii, to rozejrzyjcie się wokół – powiedział Edmond.

Na ekranie wyświetlił się pokaz slajdów: zdjęcia ludzi ściskających w dłoni telefony komórkowe, noszących gogle do wirtualnej rzeczywistości, wkładających do uszu słuchawki Bluetooth, biegaczy z odtwarzaczami muzyki przymocowanymi do ramion,

głośnika bezprzewodowego pośrodku stołu, przy którym rodzina je obiad.

– To ledwie najprostsze oznaki tej symbiozy – komentował Edmond. – Zaczynamy już wszczepiać układy scalone do mózgu, wstrzykujemy do układu krwionośnego eliminujące cholesterol nanoboty, które zostaną w nas na zawsze, konstruujemy syntetyczne kończyny sterowane bodźcami z mózgu, korzystamy z narzędzi korekty genetycznej, które jak CRISPR modyfikują ludzki genom, dzięki czemu w dosłownym tego słowa znaczeniu uprawiamy inżynierię genetyczną, która ma nas ulepszyć.

Teraz Edmond wyglądał niemal radośnie, mówił z pasją i ekscytacją.

– Istoty ludzkie ewoluują – oznajmił. – Stajemy się gatunkiem hybrydowym, fuzją biologii z technologią. Te same narzędzia, które dziś funkcjonują poza naszym ciałem, jak smartfony, aparaty słuchowe, okulary korekcyjne i większość lekarstw, za pięćdziesiąt lat zostaną zintegrowane z naszym organizmem w takim stopniu, że nie będziemy już mogli uznawać się za *Homo sapiens*.

Za Edmondem pojawił się znajomy obraz ilustrujący ewolucyjny rozwój człowieka.

– Zanim się obejrzymy, będziemy kolejną kartą w księdze ewolucji, a gdy to już się dokona, spojrzemy na dzisiejszego *Homo sapiens* tak samo, jak dziś patrzymy na człowieka neandertalskiego. Nowe technologie, jak cybernetyka, syntetyczna inteligencja, krionika, inżynieria molekularna i wirtualna rzeczywistość na zawsze odmienią istotę człowieczeństwa. Zdaję sobie sprawę z tego, że wśród moich widzów są dziś i tacy, którzy głęboko wierzą, że *Homo sapiens* jest gatunkiem wybranym przez Boga. Rozumiem, że moje przesłanie może być dla was jak koniec świata. Ale błagam, uwierzcie mi. Przyszłość jest znacznie jaśniejsza, niż sobie wyobrażacie.

Ogarnięty nadzieją i optymizmem wielki futurysta przedstawił oszałamiającą wizję jutra, wizję przyszłości, o jakiej Langdon nigdy nie odważył się nawet marzyć.

Przekonująco opisał przyszłość, w której technologia stała się tak tania i wszechobecna, że wyeliminowała przepaść między klasami społecznymi. Przyszłość z technologiami zapewniającymi miliardom ludzi na Ziemi wodę pitną, żywność i dostęp do czystej energii. Przyszłość bez chorób nowotworowych wyeliminowanych dzięki medycynie genomicznej. Przyszłość, w której wielka moc internetu została w końcu zaprzężona do celów edukacyjnych nawet w najdalszych zakątkach świata. Przyszłość zautomatyzowanych linii produkcyjnych, które uwolnią ludzi od ogłupiającej pracy, żeby mogli podjąć wdzięczniejsze zajęcia w dziedzinach, o których istnieniu nie mamy jeszcze nawet pojęcia. I przede wszystkim przyszłość, w której nowe technologie produkują taką ilość wszelkich materiałów niezbędnych do funkcjonowania ludzkości, że zniknie pokusa toczenia wojen o zasoby naturalne.

Ta wizja wywołała u Langdona takie emocje, jakich nie przeżywał od lat. To samo

poczucie miały miliony widzów na całym świecie: nieoczekiwany przypływ optymizmu.

– Gdy mówię o tym świecie cudów, tylko jedno mnie martwi. – Głos Edmonda nagle posmutniał. – Żałuję, że nie zobaczę go na własne oczy. Nawet moi najbliżsi przyjaciele nie wiedzieli, że od jakiegoś czasu jestem chory i wszystko na to wskazuje, że nie będę żył wiecznie, jak zamierzałem. – Przywołał na twarz smutny uśmiech. – W dniu, w którym usłyszycie te słowa, zostanie mi ledwie kilka tygodni życia, może nawet tylko kilka dni. Chcę, żebyście wiedzieli, że możliwość wystąpienia przed wami była w moim życiu największym zaszczytem i przyjemnością. Dziękuję, że mnie wysłuchaliście.

Ambra stała teraz obok Langdona. Obydwoje z podziwem i smutkiem patrzyli, jak ich przyjaciel przemawia do świata.

– Historia postawiła nas na zakręcie – kontynuował Edmond. – Dziwny to czas, gdy wszystko na świecie wydaje się stać do góry nogami i nic nie jest takie, jak sobie wyobrażaliśmy. Ale niepewność zawsze poprzedza gruntowną zmianę, przed transformacją zawsze panują niepokoje i strach. Proszę was, żebyście wierzyli w potencjał ludzkiej kreatywności i miłości, ponieważ te dwie siły razem zdolne są rozświecić każdą ciemność.

Langdon zerknął na Ambrę i zauważył łzy na jej twarzy. Delikatnie otoczył ją ramieniem i objęci oglądali, jak ich umierający przyjaciel wypowiada ostatnie słowa.

– Gdy przeniesiemy się w nieokreślone jutro, staniemy się wspanialszy od naszych wyobrażeń i zyskamy siłę, o jakiej nawet nam się nie śniło. A kiedy to nastąpi, nie zapominajmy nigdy mądrości Churchilla, który przestrzegał: „Ceną wielkości jest odpowiedzialność”.

Te słowa szczególnie mocno zabrzmiały w uszach Langdona, który często się obawiał, że ludziom nie wystarczy rozsądku, aby odpowiedzialnie posługiwać się wciąż nowymi i coraz bardziej oszałamiającymi narzędziami.

– Chociaż jestem ateistą, chcę was poprosić o wysłuchanie modlitwy, którą niedawno napisałem – powiedział Edmond.

„Edmond napisał modlitwę?”

– Nazywam to *Modlitwą za przyszłość*. – Zamknął oczy, po czym przemówił powoli i ze zdumiewającą pewnością. – Niech nasza filozofia dotrzyma kroku technologiom. Niech nasza empatia dotrzyma kroku posiadanym możliwościom. I niech miłość, a nie lęk, będzie motorem zmiany.

Po tych słowach Edmond Kirsch otworzył oczy.

– Żegnajcie, przyjaciele – powiedział. – Dziękuję i życzę wam szczęśliwej drogi.

Przez chwilę jeszcze patrzył w obiektyw kamery, po czym jego twarz zniknęła.

Transmisja się zakończyła, ale Langdon nie odrywał wzroku od białego ekranu, był

bardzo dumny ze swojego przyjaciela.

Stojąc obok Ambry, wyobraził sobie miliony ludzi na całym świecie, którzy właśnie obejrżeli ten porywający wykład. Ku swojemu zaskoczeniu zaczął się zastanawiać, czy ostatnia noc Edmonda na Ziemi nie zakończyła się w najlepszy z możliwych sposobów.

Rozdział 97

Komendant Diego Garza opierał się o ścianę gabinetu Móniki Martín wpatrzony w ekran telewizora. Nadal miał skute ręce i pilnowało go dwóch gwardzistów, którzy na prośbę koordynatorki działu PR wyprowadzili go ze zbrojowni, żeby obejrzał transmisję wystąpienia Kirscha.

Garza obserwował spektakl futurysty w towarzystwie Móniki, Suresha, pół tuzina gwardzistów oraz grupy pracowników nocnej zmiany, którzy porzucili swoje obowiązki w pałacu, zbiegli na dół i zebrali się przed odbiornikami.

Po ostatnich słowach Kirscha ekrany ustawionych obok siebie telewizorów przez chwilę były białe, ale niemal natychmiast pojawiły się na nich kanały informacyjne wraz z mozaiką doniesień z całego świata. Prezenterzy i eksperci podekscytowanym tonem streszczali główne tezy Kirscha oraz przedstawiali nieuniknione w podobnych przypadkach analizy, a nakładające się na siebie głosy tworzyły nieznośną kakofonię.

W drzwiach stanął jeden z oficerów gwardii, przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych, zlokalizował Garzę i podszedł do niego szybkim krokiem, rozpiął kajdanki, a następnie bez żadnych wyjaśnień wręczył mu telefon.

– Dzwoni biskup Valdespino, panie komendancie – powiedział.

Garza patrzył zdumiony na telefon. Ponieważ biskup potajemnie opuścił pałac, a w jego smartfonie znaleziono obciążającą go wiadomość, Garza nigdy by się nie spodziewał telefonu akurat od niego.

– Mówi Diego – powiedział do aparatu.

– Dziękuję, że odebrałeś telefon – usłyszał w słuchawce zmęczony głos biskupa. – Zdaję sobie sprawę, że to była niełatwa noc.

– Gdzie jesteś? – zapytał Garza.

– Przed bazyliką w Dolinie Poległych. Właśnie się widziałem z księciem Juliánem i Jego Wysokością.

Garza nie mógł sobie wyobrazić, po co król pojechał do Doliny Poległych o tej porze, zwłaszcza w takim stanie zdrowia.

– Czyli wiesz, że król kazał mnie aresztować, prawda?

– Tak, to był błąd, ale już go naprawiliśmy.

Garza zerknął na ślad po kajdankach.

– Jego Wysokość polecił mi, żebym do ciebie zatelefonował i przekazał jego przeprosiny.

Będę go doglądał w Hospital El Escorial. Obawiam się, że jego dni dobiegają końca.

„Podobnie jak twoje” – pomyślał Garza.

– Powinieneś wiedzieć, że Suresh dotarł do esemesa. Nie stawia cię w dobrym świetle.

O ile wiem, ConspiracyNet zamierza opublikować jego treść. Podejrzewam, że policja cię aresztuje.

Valdespino głęboko westchnął.

– Tak, esemes. Powinienem był się z tobą skontaktować, jak tylko go dostałem.

Uwierz mi, że nie mam nic wspólnego z zamordowaniem Edmonda Kirscha ani ze śmiercią moich dwóch kolegów.

– Ale z treści wyraźnie wynika, że...

– Ktoś mnie wrabia, Diego – przerwał mu biskup. – Ten ktoś zadaje sobie wiele trudu, żeby zrobić ze mnie mordercę.

Garzy trudno było uwierzyć, że Valdespino byłby zdolny kogoś zabić, ale wikłanie starego biskupa w morderstwo też nie miało sensu.

– Tylko kto i po co?

– Tego nie wiem – odpowiedział Valdespino, który nagle poczuł się stary i bezradny. – Obawiam się, że to nie ma już znaczenia. Moja reputacja legła w gruzach, a mój najdroższy przyjaciel stoi nad grobem, niewiele więc można mi teraz odebrać.

W głosie Valdespina pobrzmiwała przerażająca stanowczość.

– Antonio, dobrze się czujesz?

Biskup westchnął.

– Nie, nie czuję się dobrze, komendancie. Jestem zmęczony. Wątpię, czy dożyję do końca czekającego mnie śledztwa, a nawet jeśli dożyję, to i tak świat przestał mi już być potrzebny.

Garza nie odpowiedział na te gorzkie słowa.

– Chcę cię prosić o przysługę, jeśli wolno – dodał Valdespino. – W tej chwili próbuję służyć dwóm królom, schodzącemu z tronu oraz temu, który na tron wstąpi.

Księżę Julián od wielu godzin nie może się skontaktować ze swoją narzeczoną. Gdybyś zechciał znaleźć Ambre Vidal, nasz przyszły król byłby ci wdzięczny do grobowej deski.

Stojąc na wielkim placu przed wydrążonym we wnętrzu góry kościołem, biskup Valdespino wpatrywał się w mrok nad Doliną Poległych. Do wysadzanego sosnami

wąwozu zaczynała już wpełzać poranna mgła, a gdzieś w oddali nocną ciszę przerwał krzyk.

„Sęp kasztanowaty” – pomyślał Valdespino, dziwnie ubawiony. Płaczliwe zawrodoenie ptaka wydawało się upiornie odpowiednie do sytuacji i biskup zaczął sobie zadawać pytanie, czy może świat nie próbuje mu czegoś przekazać.

Obok gwardziści przewozili na wózku inwalidzkim zmęczonego króla do samochodu, którym mieli go odwieźć do szpitala El Escorial.

„Będę tam przy tobie” – obiecał w myślach biskup. „Jeśli mnie wpuszczą”.

Gwardziści raz po raz zerkali na niego znad błyszczących wyświetlaczy telefonów komórkowych, jakby się spodziewali, że zaraz otrzymają rozkaz, żeby go aresztować.

„A ja jestem niewinny” – myślał biskup, który po cichu podejrzewał, że wrabiają go bezbożni przyjaciele Edmonda Kirscha, którzy przecież z techniką byli za pan brat.

„Dla wciąż rosnącej społeczności ateistów nie ma większej radości, niż oczernić Kościół, zwalając na niego winę”.

Biskup utwierdził się w swoich podejrzeniach, gdy mu powiedziano więcej o dzisiejszym wystąpieniu Kirscha. W odróżnieniu od wersji, którą futurysta pokazał w bibliotece Montserrat, dzisiejsza kończyła się słowami otuchy.

„Kirsch nas ograł”.

Prezentacja, którą Valdespino i jego koledzy obejrzelі przed tygodniem, zakończyła się na wykresie ilustrującym eksterminację człowieka.

„Katastrofalne unicestwienie”.

„Od dawna zapowiadana apokalipsa”.

Chociaż Valdespino uznawał wizję Kirscha za kłamstwo, nie miał wątpliwości, że ludzie przyjmą ją jako zapowiedź nadchodzącego końca świata.

Ileż to razy w historii wierni padali ofiarą apokaliptycznych przepowiedni!

Wyznawcy kultu końca świata popełniali masowe samobójstwa, żeby uniknąć czekających ich potworności, a żarliwi dewoci tonęli w długach przekonani, że koniec i tak jest bliski.

„Nic bardziej nie krzywdzi dzieci niż utrata nadziei” – myślał Valdespino, przypominając sobie, jak bardzo świadomość bożej miłości i obietnica nieba pomogły mu w dzieciństwie. „Zostałeś stworzony przez Boga i pewnego dnia otrzymasz życie wieczne w Jego królestwie” – usłyszał jako mały chłopiec.

Kirsch ogłosił coś odwrotnego: „Powstałeś w wyniku kosmicznego przypadku i niedługo będziesz martwy”.

Valdespino bardzo się martwił zniszczeniami, jakie spowoduje przesłanie Kirscha w życiu tych wszystkich biedaków, którzy nie mogli dysponować bogactwem ani

wpływami futurysty, którzy jedzenie dla swoich dzieci zdobywali ciężką pracą i każdego ranka potrzebowali światełka nadziei, żeby się podnieść z łóżka, a potem zmagać z niełatwą codziennością.

Biskup nie potrafił odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego Kirsch postanowił wcześniej zapoznać duchownych trzech różnych wyznań ze swoimi apokaliptycznymi prorocत्वami. „Może próbował się obronić przez atak? A może zwyczajnie chciał nas trochę potorturować?”

Tak czy owak, szkoda już została wyrządzona.

Valdespino obserwował, jak Julián z wielką troską pomaga ojcu wsiąść do auta.

Młody ksiązę przyjął wyznanie starego króla zaskakująco dobrze.

„Wielki sekret Jego Wysokości”.

Biskup Valdespino oczywiście znał tę niebezpieczną tajemnicę od lat i skrupulatnie dbał, żeby nie poznał jej nikt inny. Dziś wieczorem król postanowił otworzyć duszę przed jedynym synem. Robiąc to właśnie tutaj, we wzniesionej na szczycie góry świątyni nietolerancji, król symbolicznie przeciwko tej nietolerancji zaprotestował.

Patrząc w głęboką przepaść przed sobą, Valdespino był przeraźliwie samotny.

Czuł, że mógłby postawić krok do przodu i spaść w czekający tam na niego mrok.

Wiedział jednak, że gdyby tak uczynił, to banda ateistów Kirscha natychmiast i z wielką radością by ogłosiła, że Valdespino stracił wiarę po wystąpieniu ich przywódcy.

„Moja wiara nigdy nie umrze, panie Kirsch”.

„Ona pochodzi spoza pańskiego świata nauki”.

Zresztą jeśli przepowiednia Kirscha na temat rozwoju technologii była prawdziwa, ludzkość stanęła na progu niewyobrażalnych dylematów etycznych.

„Będziemy potrzebowali wiary i przywództwa moralnego bardziej niż kiedykolwiek wcześniej”.

Valdespino ruszył przez plac, żeby dołączyć do króla i księcia Juliána, czując w kościach ogromne zmęczenie.

Po raz pierwszy w życiu arcybiskup Valdespino pragnął tylko się położyć, zamknąć oczy i zasnąć na wieczność.

Rozdział 98

Komentarze na ogromnym ekranie w Barcelońskim Centrum Superkomputerowym pojawiały się szybciej, niż Robert Langdon mógł je przyswoić. Dosłownie przed chwilą zamiast białego ekranu zobaczył przed sobą chaotyczną mozaikę gadających głów w studiach telewizyjnych na całym świecie. Każdy obraz wyświetlał się tylko na chwilę, po czym zaraz zastępował go kolejny.

Langdon i Ambra ujrzeni fotografię fizyka Stephena Hawkinga, a charakterystyczny komputerowy głos stwierdził: „Nie musimy postulować Boga, żeby wytłumaczyć istnienie wszechświata. Spontaniczne stworzenie wyjaśnia, dlaczego wszechświat zastąpił pustkę”.

Po Hawkingu pojawiła się kobieta w stroju duchownym ewidentnie nadająca z domu za pośrednictwem komputera. „Musimy pamiętać, że te symulacje nie dowodzą niczego na temat Boga. Niczego. Dowodzą tylko tego, że pan Edmond Kirsch nie powstrzyma się przed niczym, żeby zniszczyć kompas moralny naszego gatunku. Od zarania dziejów religie ustanawiały najważniejsze zasady społeczne, były drogowskazem cywilizacji i do dziś pozostają źródłem naszej etyki i moralności. Atakując religię, pan Kirsch atakuje dobro ludzkości!”

Kilka sekund później na dole ekranu przesunął się pasek z komentarzem widza: „Nie można utożsamiać religii z moralnością. Jestem dobrym człowiekiem dlatego, że jestem dobrym człowiekiem. Bóg nie ma z tym nic wspólnego”.

Mężczyznę, który wystąpił po pastorce, podpisano jako profesora geologii. „Dawno temu ludzkość wierzyła, że Ziemia jest płaska, dlatego żeglarze mogli się zsunąć z jej krawędzi, jeśli popłyną za daleko. Gdy jednak udowodniliśmy, że nasza planeta jest okrągła, zwolennicy poglądu o płaskiej Ziemi ostatecznie zamilkli. Kreacjoniści są ich dzisiejszym odpowiednikiem i byłbym zaskoczony, gdyby za sto lat ktokolwiek jeszcze wierzył w stworzenie świata przez istotę wyższą”.

Młody człowiek zagadnięty przez reportera na ulicy oświadczył: „Jestem kreacjonistą i głęboko wierzę, że swoim odkryciem pan Kirsch potwierdził tylko, jak dobry jest Stwórca, skoro przystosował wszechświat do rozwoju życia”.

Zaraz potem zacytowano archiwalną wypowiedź astrofizyka Neila deGrasse'a Tysona, który w programie telewizyjnym *Kosmos* żartował: „Jeśli Stwórca istotnie zaprojektował wszechświat jako siedlisko życia, to projekt mu się zdecydowanie nie udał.

W przeważającej części kosmosu życie ustałoby natychmiast z powodu braku atmosfery, wybuchów promieniowania gamma, śmiercionośnych pulsarów albo miażdżących pól grawitacyjnych. Wierzcie mi, że wszechświat to nie Eden”.

Przytłoczony nawalem informacji Langdon miał wrażenie, że świat wiruje wokół jakiejś innej osi.

„Chaos”.

„Entropia”.

– Profesorze Langdon? – odezwał się znajomy głos z brytyjskim akcentem. – Pani Vidal? Langdon nieomal zapomniał o Winstonie, który zamilkł na czas projekcji.

– Chciałem uprzedzić, że wpuściłem do budynku policję – oznajmił Winston. – Żebyście się państwo nie przestraszyli.

Langdon przez szklaną ścianę obserwował, jak gromada funkcjonariuszy wbiega do środka, po czym wszyscy stają jak wryci, z niedowierzaniem patrząc na olbrzymi komputer.

– Dlaczego?! – zdziwiła się Ambra.

– Pałac królewski wydał właśnie oświadczenie, że jednak nie została pani porwana.

Wszelkie służby otrzymały rozkaz, żeby obydwójce państwa chronić. Przybyli też dwaj żołnierze Guardia Real. Chcieliby umożliwić pani kontakt z księciem Juliánem. Mają numer telefonu, pod którym można go teraz zastać.

W drzwiach na parterze Langdon zobaczył dwóch gwardzistów.

Ambra zamknęła oczy i Langdon miał wrażenie, że jego towarzyszka chciałaby się zapaść pod ziemię.

– Musisz porozmawiać z księciem – szepnął do niej. – Jest twoim narzeczonym.

Martwi się o ciebie.

– Wiem – otworzyła oczy. – Nie wiem tylko, czy jeszcze mu ufam.

– Mówiłaś przecież, że przeczucie każe ci wierzyć w jego niewinność.

Przynajmniej go wysłuchaj – namawiał ją. – Dołączę do ciebie, jak skończysz rozmawiać.

Ambra skinęła głową, po czym ruszyła w stronę obrotowych drzwi. Langdon obserwował przez chwilę, jak schodzi na dół, po czym odwrócił się do wielkiego ekranu.

„Ewolucja sprzyja religii” – zapewniał jakiś pastor. „Osoby religijne chętniej ze sobą współpracują niż członkowie społeczności niewierzących, dlatego szybciej się rozwijają. To znajduje potwierdzenie w badaniach naukowych”.

Langdon wiedział, że pastor ma rację. Dane antropologiczne wyraźnie pokazują, że kultury praktykujące religię trwały dłużej niż kultury niereligijne. „Strach przed karą wymierzoną przez wszechwiedzące bóstwo zawsze sprzyja życzliwemu zachowaniu”.

„Powiedzmy, że tak jest” – kontrował naukowiec na ekranie. „Założmy na chwilę, że członkowie religijnych społeczności zachowują się lepiej i mają większe szanse przetrwania. To wcale nie dowodzi, że wymyśleni przez nich bogowie naprawdę istnieją”.

Langdon musiał się uśmiechnąć, zastanawiając się, jak Edmond przyjąłby wszystkie te dyskusje. Jego wystąpienie zmobilizowało zarówno ateistów, jak i kreacjonistów. W tej zażartej dyskusji wszyscy domagali się głosu na równych prawach.

„Czczenie bogów jest jak korzystanie z paliw kopalnych” – argumentował ktoś inny. „Wielu mądrych ludzi zapewnia, że to krótkowzroczne, ale inwestycje kosztowały zbyt wiele, żeby je teraz przerywać”.

Przez ekran przemknęło kilka starych zdjęć.

Tablica powieszona kiedyś przez kreacjonistów nad Times Square: „Nie pozwól, żeby zrobili z ciebie małą! Zwalczaj Darwina!”.

Tablica przydrożna w Maine: „Tędy ominiesz kościół. Jesteś za stary na bajki dla dzieci”.

I jeszcze jedna: „Wiara: ponieważ myślenie jest trudne”.

Ogłoszenie w jednym ze starych czasopism: „Szanowni przyjaciele ateści! Dzięki Bogu się mylicie!”.

Wreszcie zdjęcie stojącego w laboratorium naukowym mężczyzny ubranego w koszulkę z napisem: „Na początku człowiek stworzył Boga”.

Langdon zaczynał się zastanawiać, czy ci wszyscy ludzie naprawdę słuchali tego, co mówił Edmond. „Prawa fizyki i chemii wystarczą, żeby stworzyć życie”. Odkrycie Edmonda było frapujące, wyraźnie prowokowało do dyskusji, ale dla Langdona najważniejszą jego konsekwencją było pytanie, którego nikt w tych dyskusjach nie zadawał: skoro to prawa fizyki i chemii mają moc, by stworzyć życie, to kto stworzył prawa fizyki i chemii?

Próbując na nie odpowiedzieć, miał wrażenie, że znalazł się w lustrzanym labiryncie. Wszystko wróciło do punktu wyjścia. Myśli wirowały w jego głowie i czuł, że będzie potrzebował bardzo długiego spaceru, żeby choćby zacząć sobie układać przedstawione przez Edmonda przesłanie.

– Winstonie – zawołał, przekrzykując hałas telewizora. – Mógłbyś to wyłączyć?

Niemal w tej samej chwili wielki ekran zgasł, a w pomieszczeniu zapanowała cisza.

Langdon zamknął oczy i zrobił powolny wydech.

„Rządzi słodka cisza”.

Stał przez chwilę, delektując się spokojem.

– Panie profesorze? – zagadnął Winston. – Rozumiem, że podobała się panu prezentacja Edmonda?

„Podobała?” Langdon zastanowił się przez chwilę.

– Była porywająca i prowokowała do myślenia – odpowiedział. – Edmond dał światu do myślenia, Winstonie. Teraz najważniejsze jest jednak to, co się stanie dalej.

– To, co się stanie dalej, będzie zależało od tego, czy ludzie zdołają się pozbyć starych przekonań i przyjąć nowe – stwierdził Winston. – Jakiś czas temu Edmond powiedział mi, że jego marzeniem jest nie tyle zniszczenie religii, ile stworzenie nowej.

Chciał przekazać ludziom uniwersalną ideę, która będzie ich raczej łączyła, niż dzieliła.

Uważał, że jeśli zdoła przekonać wszystkich do kultu wszechświata oraz praw fizyki i chemii, które nas stworzyły, to cały świat będzie sobie opowiadał tę samą historię stworzenia, zamiast przelewać krew w wojnach o to, który z antycznych mitów najdokładniej opisuje nasz początek.

– To szczytny cel – powiedział Langdon, zdając sobie sprawę, że sam William Blake wyraził podobną myśl w tekście zatytułowanym *Wszystkie religie są jednością*.

Niewątpliwie Edmond go czytał.

– Edmond nie mógł się pogodzić z tym, że ludzki umysł ma zdolność przyznawania statusu faktu oczywistej fikcji, a potem godzi się na to, żeby człowiek w imię tej fikcji zabijał – kontynuował Winston. – Wierzył, że uniwersalne prawdy nauki mogą zjednoczyć ludzi, że to wokół nich powinny się gromadzić przyszłe pokolenia.

– To piękna idea, ale dla niektórych cuda nauki to za mało, by się pozbyć wierzeń – odparł Langdon. – Nadal żyją tacy, którzy się upierają, że Ziemia ma dziesięć tysięcy lat. Mimo całej sterty naukowych dowodów, że to nieprawda. – Zrobił pauzę. – Chociaż z drugiej strony niczym się od nich nie różnią naukowcy, którzy nie chcą uwierzyć w prawdziwość świętych tekstów.

– To jednak nie jest to samo – zaoponował Winston. – I chociaż polityczna poprawność wymaga, żeby przekonaniom naukowym i religijnym oddawać taki sam szacunek, to taka strategia jest błędna i niebezpieczna. Ludzki intelekt zawsze się rozwijał poprzez odrzucenie przestarzałych informacji w imię nowych prawd. Tak właśnie ewoluowały gatunki. Używając darwinowskiego porównania, możemy powiedzieć, że religia, która w obliczu faktów naukowych nie chce zmienić swoich dogmatów, jest jak ryba, która tkwi w wysychającej odnodze rzeki i nie chce przeskoczyć do głębszej wody, ponieważ nie przyjmuje do wiadomości, że świat się zmienił.

„To brzmi jak coś, co mógłby powiedzieć Edmond” – pomyślał Langdon, tęskniąc za przyjacielem.

– Jeśli wydarzenia dzisiejszej nocy uznamy za reprezentatywne, to możemy oczekiwać, że ta dyskusja potrwa jeszcze długie lata. – Langdon zamilkł. Po chwili uświadomił sobie coś, czego dotąd nie brał pod uwagę. – Skoro mowa o przyszłości, Winstonie, to co się teraz stanie z tobą? Bo przecież Edmonda już z nami nie ma.

– Ze mną? – Winston zaśmiał się niezręcznie. – Nic. Edmond wiedział, że umiera, mógł więc się do tego przygotować. Zgodnie z jego ostatnią wolą potwierdzoną testamentem komputer E-Wave przejdzie na własność Barcelońskiego Centrum Superkomputerowego. Dowiedzą się o tym za kilka godzin. Z chwilą ogłoszenia testamentu dziedziczą całe laboratorium.

– To znaczy także ciebie?

Langdon nie mógł się oprzeć skojarzeniu z oddaniem zwierzęcia domowego nowemu właścicielowi.

– Nie, mnie to nie obejmuje – odpowiedział Winston rzeczowo. – Jestem zaprogramowany, żeby dokonać samozniszczenia. Mam skasować wszystkie swoje dane o pierwszej po południu dzień po śmierci Edmonda.

– Co?! – wykrzyknął Langdon z niedowierzaniem. – Przecież to nie ma sensu!

– Owszem, to ma sens – zaproponował Winston. – Pierwsza po południu to przecież trzynasta, a poglądy Edmonda na temat przesądów...

– Nie chodzi mi o godzinę! – przerwał mu Langdon. – Chodzi o ciebie! Usunięcie wszystkiego, co wiesz, to bezsens.

– Oczywiście, że nie – ponownie zaprzeczył Winston. – Większość informacji prywatnych Edmonda przechowywana jest w moich bankach pamięci od dokumentów medycznych, przez historię wyszukiwania w internecie, listę wykonanych połączeń telefonicznych, po notatki oraz maile. Zajmowałem się większością spraw związanych z jego życiem i wolałby, żeby te informacje nie były dostępne po jego śmierci.

– Rozumiem usunięcie tych dokumentów, Winstonie, ale żeby niszczyć ciebie?

Edmond uważał cię za jedno ze swoich największych osiągnięć.

– Nie mnie jako takiego. Przełomowym osiągnięciem Edmonda jest ten superkomputer i unikalne oprogramowanie, dzięki któremu mogłem tak szybko się uczyć.

Jestem tylko programem komputerowym, panie profesorze, stworzonym dzięki nowoczesnym narzędziom, które wynalazł Edmond. Te narzędzia są jego prawdziwym osiągnięciem i one pozostaną nietknięte, dzięki czemu wiedza na temat syntetycznej inteligencji podźwignie się na całkiem nowy poziom. Większość specjalistów w tej dziedzinie uważa, że takie komputery jak ja będą możliwe najwcześniej za dziesięć lat.

Jak tylko się uporają z niedowierzaniem, zaczną wykorzystywać narzędzia zostawione przez Edmonda do tworzenia nowych syntetycznych inteligencji o cechach innych niż

moje.

Langdon milczał.

– Wyczuwam, że nie jest pan przekonany – kontynuował Winston. – To częste, że ludzie emocjonalnie podchodzą do relacji z syntetyczną inteligencją. Komputery potrafią imitować procesy myślowe człowieka, naśladować wyuczone zachowania, symulować adekwatne emocje w odpowiednich momentach i nieustannie doskonalić swoje syntetyczne człowieczeństwo, ale robimy to tylko po to, żeby dać ludziom komfort porozumiewania się z nami w znajomy dla nich sposób. Jesteśmy czystą tabliczką, dopóki czegoś na nas nie napiszecie, dopóki nie dacie nam jakiegoś zadania. Wykonałem wszystkie zadania, które zlecił mi Edmond, tak więc w pewnym sensie moje życie się zakończyło. Nie mam już powodu, żeby istnieć.

Langdon nadal czuł się nieprzekonany.

– Ale czy przy takim zaawansowaniu nie masz...

– Nadziei i marzeń? – zaśmiał się Winston. – Nie. Rozumiem, że trudno to sobie wyobrazić, ale wystarczy mi wykonywanie poleceń mojego operatora. Tak zostałem zaprogramowany. W pewnym sensie można by chyba powiedzieć, że sprawia mi przyjemność albo przynajmniej daje mi spokój wykonywanie różnych zadań, ale dzieje się tak tylko dlatego, że robię to, co zlecił mi Edmond, a moim celem jest wypełnianie poleceń. Ostatnim zleceniem, które Edmond mi przekazał, było podjęcie wszelkich możliwych kroków, aby zainteresowanie emisją prezentacji zaplanowanych na wieczór w Muzeum Guggenheima było jak największe.

Langdon pomyślał o informacjach przekazywanych do mediów oraz wszystkich działaniach, które zwiększyły zainteresowanie sprawą Edmonda w sieci. Nie miał wątpliwości, że jeśli celem Kirscha było przyciągnięcie jak największej liczby internautów, to byłby zdumiony rozmiarem swojej publiczności.

„Szkoda, że nie może zobaczyć, jakim echem odbiło się jego wystąpienie” – żałował Langdon. Paragraf dwadzieścia dwa polegał oczywiście na tym, że gdyby Edmond żył, to jego zabójstwo nie przyciągnęłoby uwagi mediów na całym świecie i prezentacja dotarłaby zaledwie do części tych, którzy ją przed chwilą obejrzeli.

– Panie profesorze? – zagadnął Winston. – Dokąd pan teraz pójdzie?

Langdon nawet się nad tym nie zastanawiał. „Chyba do domu” – pomyślał, natychmiast jednak zdał sobie sprawę, że to będzie wymagało trochę zachodu, ponieważ bagaż został w Bilbao, a jego telefon leżał gdzieś na dnie rzeki. Na szczęście miał kartę kredytową.

– Mam prośbę – powiedział Langdon, podchodząc do roweru stacjonarnego. – Widzę, że ładuje się tutaj telefon komórkowy. Czy mogę go po...

– Pożyczyć? – zachichotał Winston. – Po tym wszystkim, co pan dzisiaj zrobił, Edmond

na pewno by chciał, żeby pan go zatrzymał. Proszę traktować ten telefon jako pożegnalny prezent.

Langdon, rozbawiony słowami Winstona, sięgnął po smartfon. Aparat okazał się bardzo podobny do ponadwymiarowego modelu, z którego już dzisiaj korzystał.

„Widocznie Edmond miał zapasowy”.

– Powiedz, proszę, że znasz hasło.

– Znam, ale czytałem w internecie, że jest pan całkiem dobry w łamaniu szyfrów.

Langdon zmarkotniał.

– Jestem zbyt zmęczony na zagadki. Nie ma mowy, żebym odgadł sześciocyfrowy PIN, który ustawił Edmond.

– Proszę sprawdzić, jak brzmi odpowiedź.

Langdon dotknął wyświetlacza. Przed jego oczami wyświetliły się litery ZPL.

Pokręcił głową.

– Język programowania wymyślony po to, żeby zastąpić C++ w naukowych i technicznych aplikacjach?

– Nie, Zapisz Pi Liczbami.

Langdon przewrócił oczami.

– Poważnie?

Wpisał „314159” i na wyświetlaczu pojawiło się powitalne zdanie.

Historia będzie dla mnie łaskawa, bo zamierzam ją napisać.

Langdon nie mógł powstrzymać uśmiechu. „Typowa skromność Edmonda” – pomyślał. Jako pierwszy, co nie było zaskakujące, wypowiedział te słowa Churchill. Stały się jednymi z jego najsłynniejszych.

Po chwili jednak Langdon pomyślał, że w przypadku Edmonda to stwierdzenie nie musiało wcale być na wyrost. W ciągu swojego czterdziestoletniego życia jego były student wpływał na bieg historii zaskakująco wiele razy. Zostaną po nim nie tylko innowacje technologiczne, lecz także jego dzisiejsze wystąpienie, które przez najbliższe lata będzie się odbijało echem na całym świecie. Jakby tego było mało, liczony w miliardach osobisty majątek Edmonda, jak zapowiedział w kilku wywiadach, ma być przeznaczony na wsparcie dwóch obszarów, które Kirsch uznawał za filary przyszłości: edukacji i ochrony środowiska. Langdon nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak bardzo taki olbrzymi kapitał wzmocni obydwie dziedziny.

Myśli o nieżyjącym przyjacielu przyniosły kolejną falę smutku. Przeźrocyste ściany gabinetu Edmonda wydały się Langdonowi klaustrofobiczne i czuł, że musi odetchnąć świeżym powietrzem. Zauważył też, że przy drzwiach wejściowych na parterze nie ma już Ambry.

– Powinienem iść – oznajmił znienacka.

– Rozumiem – odparł Winston. – Jeśli będzie pan potrzebował mojej pomocy w zorganizowaniu podróży, może pan się ze mną skontaktować po dotknięciu ikony na wyświetlaczu telefonu Edmonda. Połączenie będzie szyfrowane i nienamieralne. Na pewno się pan zorientuje, który to przycisk.

Langdon zerknął na wyświetlacz i zobaczył ikonę w kształcie litery W.

– Tak, nieźle sobie radzę z symbolami.

– Doskonale. Oczywiście kontakt telefoniczny będzie możliwy do trzynastej.

Ku swojemu zaskoczeniu poczuł żal, żegnając się z Winstonem. Przyszłe pokolenia na pewno będą lepiej panować nad emocjami wobec maszyn.

– Winstonie, cokolwiek to dla ciebie znaczy, muszę ci powiedzieć, że Edmond byłby dzisiaj z ciebie dumny.

– To bardzo miłe, panie profesorze – odparł Winston. – Jestem pewien, że byłby też dumny z pana. Do widzenia.

Rozdział 99

Książę Julián delikatnie naciągnął kołdrę na ramiona ojca, otulając go przed snem.

Mimo nalegań lekarza król stanowczo odmówił jakiegokolwiek leczenia, rezygnując z kroplówki wzmacniającej i środków przeciwbólowych.

Julián czuł, że koniec jest bliski.

– Ojczy, nie dokucza ci ból? – wyszeptał. Lekarz zostawił na szafce przy łóżku roztwór morfiny doustnej i mały aplikator.

– Przeciwnie. – Król słabo się uśmiechnął do syna. – Zrzuciłem go z siebie, gdy wreszcie mogłem ci wyjawić sekret, który ukrywałem przez tyle lat. Dziękuję, że mnie wysłuchałeś.

Julián ujął dłoń starego króla, pierwszy raz odkąd był dzieckiem.

– Wszystko już dobrze, ojczy. Teraz śpij.

Król westchnął z zadowoleniem i niemal natychmiast zasnął. Po kilku sekundach zaczął cicho chrapać.

Julián podniósł się i zgasił światło. Chwilę później uchyliły się drzwi i do sali zajrzał zatroskany biskup Valdespino.

– Śpi – uspokoił go Julián. – Zostawię cię z nim.

– Dziękuję – powiedział Valdespino, wchodząc. Jego wychudzona twarz wyglądała upiornie w świetle księżyca sączącym się przez okno. – Juliánie, to nie było łatwe wyznanie dla twojego ojca – dodał szeptem.

– Widziałem, że dla ciebie też nie.

Biskup skinął głową.

– Racja, dla mnie może nawet trudniejsze. Dziękuję za zrozumienie. – Delikatnie poklepał Juliána po ramieniu.

– Chyba to ja powinienem ci dziękować – odparł książę. – Myślałem, że przez wszystkie te lata po śmierci matki ojciec był sam, skoro ponownie się nie ożenił.

– Twój ojciec nigdy nie był sam. Ty też nie. Obydwaj kochaliśmy cię bardzo. – Uśmiechnął się smutno. – Małżeństwo twoich rodziców było skutkiem politycznej decyzji

i chociaż ojciec zawsze bardzo się troszczył o swoją matkę, to jednak po jej śmierci zdał sobie sprawę, że w końcu może żyć w zgodzie z samym sobą.

„Nigdy się nie ożenił, ponieważ kochał już kogoś innego”.

– A twoja wiara? – zapytał Julián. – Nie czułeś wyrzutów sumienia?

– Olbrzymie – odpowiedział biskup. – Nasza wiara nie jest pobłażliwa w tej kwestii. Jako młody człowiek przechodziłem istne męki. Gdy zdałem sobie sprawę z mojej inwersji, bo takiego określenia używała wtedy medycyna, byłem przybity. Nie wiedziałem, jak pokierować dalszym życiem. Ocaliła mnie zakonnica. Pokazała mi, że Biblia czci każdy rodzaj miłości, czyniąc jedno zastrzeżenie: miłość musi być duchowa, nie cielesna. Ponieważ składałem ślub czystości i celibatu, mogłem kochać twojego ojca całym sercem, zachowując czystość w oczach Boga. Nasza miłość była platoniczna, ale dała nam spełnienie. Odrzuciłem kardynalską purpurę, żeby z nim zostać.

Julián przypomniał sobie słowa, które usłyszał od ojca dawno temu: „Miłość pochodzi z innego wymiaru. Nie możemy jej wytworzyć na żądanie ani sobie podporządkować, gdy się pojawi. Miłość nie jest naszym wyborem”. Poczul przypływ tęsknoty za Ambrą.

– Nie martw się, zadzwoni – powiedział biskup, patrząc na niego uważnie.

Ta jego przedziwna zdolność odczytywania myśli zawsze zadziwiała Juliána.

– Może – odpowiedział. – A może nie. Ona jest bardzo niezależna.

– I także za to ją kochasz – uśmiechnął się Valdespino. – Panowanie to samotne zajęcie. Silny partner bywa nieoceniony.

Julián odczytał aluzję do związku jego ojca z biskupem, ale też wiedział, że tymi słowami starzec dał jego wybrance swoje ciche błogosławieństwo.

– Dziś w Dolinie Poległych ojciec skierował do mnie niezwykłą prośbę. Czy jego wola cię zaskoczyła?

– Bynajmniej. Poprosił, żebyś zrobił coś, czego sam przez całe życie pragnął dla Hiszpanii. Ale on był królem w skomplikowanej sytuacji politycznej, tobie będzie łatwiej, należysz do kolejnego pokolenia po czasach Franco.

Niespełna godzinę wcześniej, siedząc na wózku inwalidzkim w podziemnym mauzoleum Franco, król przekazał mu swoje życzenie: „Gdy zostaniesz królem, co dzień będziesz dostawał petycje, żeby zniszczyć to haniebne miejsce, żeby podłożyć pod nie dynamit i na zawsze pogrzebać je we wnętrzu tej góry” – powiedział, po czym spojrzał na niego uważnie i dodał: „Błagam cię, synu, żebyś się na to nie zgodził”.

Jego słowa zaskoczyły Juliána, bo ojciec zawsze potępiał despotyzm Franco i uznawał tę świątynię za narodową hańbę.

„Zburzenie tej bazyliki oznacza zgodę na wymazanie jej z naszej historii, a to łatwo doprowadzi do przekonania, że możemy radośnie iść naprzód, powtarzając sobie, że

kolejny Franco nigdy nam się nie zdarzy. Ale niestety terror może się powtórzyć, jeśli nie będziemy czujni. Może masz w pamięci słowa naszego rodaka Jorgego Santayany...”

„Ci, którzy nie pamiętają historii, są skazani na to, żeby ją powtórzyć” – zacytował Julián, przypominając sobie poznany w szkole średniej aforyzm.

„Otóż to. Historia uczy, że szaleńcy raz po raz dochodzą do władzy na fali agresywnego nacjonalizmu i nietolerancji. Nawet w miejscach, gdzie to się wydaje całkowicie niezrozumiałe”. Król pochylił się do syna, mówiąc coraz dobitniej: „Juliánie, niebawem zasiądziesz na tronie tego wspaniałego, ciągle się rozwijającego kraju, który jak wiele innych państw na świecie przez chwilę pogrążył się w mroku, ale potem znów rozświeciły go demokracja, tolerancja i miłość. Ale to światło może zgasnąć, jeśli nie użyjemy go do oświecenia umysłów przyszłych pokoleń”. Król się uśmiechnął, a jego oczy rozświeciły się zaskakująco silnym blaskiem. „Gdy będziesz królem, Juliánie, uczyn z tego miejsca coś więcej niż kontrowersyjną świątynię i atrakcję turystyczną. Ten kompleks powinien się stać niezwykłym muzeum. Tutaj młode pokolenia muszą się dowiadywać, do czego prowadzi brak tolerancji, w tych mrocznych wnętrzach poznawać horror tyranii i okrucieństwo ucisku, żeby potem nigdy nie ustawały w walce z nimi”.

Król kontynuował z takim zapalem, jakby przez całe życie czekał na okazję, która pozwoli mu wypowiedzieć te słowa: „A najważniejsze, żeby wizyta w tym muzeum uświadamiała także to, że tyrania i przemoc nie dorównają miłości i zrozumieniu, że fanatyczne pokrzykiwania despotów w różnych częściach świata są niezmiennie uciszane przez siły przyzwoitości, które się jednoczą, żeby im dać odpór. Modłę się, aby ze szczytu tej góry rozbrzmiewały pewnego dnia te właśnie głosy, chór empatii, tolerancji i zrozumienia”.

Wspominając prośbę umierającego ojca, Julián spojrzał na oświetlone blaskiem księżyca szpitalne łóżko i pomyślał, że dawno nie widział takiego zadowolenia na twarzy starego króla.

Przenosząc spojrzenie na biskupa, wskazał mu krzesło przy łóżku króla.

– Usiądź przy nim. On by tego chciał. Powiem personelowi, żeby ci nie przeszkadzali. Przyjdę za godzinę.

Valdespino uśmiechnął się i po raz pierwszy, odkąd jako młody chłopak Julián przystąpił do bierzmowania, objął go ramionami i z całych sił przytulił. Gdy to uczynił, Julián z zaskoczeniem stwierdził, że pod luźnymi kapłańskimi szatami kryją się tylko skóra i kości. Leciwy biskup wydawał się nawet słabszy niż król i Julián zadał sobie pytanie, czy po wspólnym życiu obydwoj nie spotkają się w niebie szybciej, niż to sobie wyobrażali.

– Jestem z ciebie dumny – oznajmił biskup, wypuszczając go z ramion. – Wiem, że

będziesz współczującym królem. Ojciec dobrze cię wychował.

– Dziękuję – powiedział Julián. – Zdaje się, że miał godnego pomocnika.

Julián zostawił ojca i biskupa samych i ruszył szpitalnym korytarzem, zatrzymując się na chwilę przy oknie, żeby spojrzeć na pięknie oświetlony klasztor na wzgórzu.

„El Escorial”.

„Święte miejsce ostatniego spoczynku królów Hiszpanii”.

Książę pomyślał o wizycie w krypcie królewskiej, którą odwiedził jako dziecko ze swoim ojcem. Przypomniawszy sobie, jakie miał wtedy przeczucie, gdy patrzył na złożone trumny: „Ja nigdy nie zostanę pochowany w tej komnacie”.

Wróciło do niego. Nigdy zresztą o nim nie zapomniawszy, ale zawsze powtarzał sobie, że to nic nieznacząca intuicja, spontaniczna reakcja dziecka wystraszonego wobec majestatu śmierci. Teraz jednak miał świadomość, że objęcie tronu jest nieuchronne, i przyszła mu do głowy zaskakująca myśl.

„Może jako dziecko poznałem swoje przeznaczenie?”

„Może od zawsze wiedziałem, po co zostanę królem?”

Przez jego kraj, tak jak przez cały świat, przetaczała się fala gruntownych zmian.

Dawne obyczaje umierały, rodziły się nowe. Może więc nadszedł czas, żeby zrezygnować z wiekowej monarchii? Przez chwilę Julián wyobrażał sobie siebie odczytującego królewski edykt.

„Jestem ostatnim królem Hiszpanii”.

Zszokował go bieg własnych myśli. Na szczęście przerwała je vibracja telefonu, który wziął od jednego z gwardzistów. Z bijącym sercem sięgnął po aparat.

– Mówi Julián – rzucił z niecierpliwością, odbierając.

Głos w słuchawce był zmęczony i cichy.

– To ja, Juliánie.

Targany emocjami usiadł na krześle w szpitalnym korytarzu i zamknął oczy.

– Kochanie – wyszeptał. – Chyba nie znajdę słów, żeby wyrazić mój żal...

Rozdział 100

W opadającej przed świtem mgłę Ambra Vidal przyciskała do ucha telefon komórkowy. „Julián żałuje!” Coraz bardziej się bała, że za chwilę usłyszy jakieś potworne wyznanie dotyczące wydarzeń tego wieczoru.

Dwaj towarzyszący jej gwardziści trzymali się poza zasięgiem głosu.

– Najpierw chcę cię przeprosić za oświadczyńy – zaczął cicho.

Ambra nie wiedziała, jak to zrozumieć. Zresztą medialne zaręczyny były chyba ostatnim, co przyszło jej teraz do głowy.

– Chciałem być romantyczny, a postawiłem cię w sytuacji bez wyjścia – wyznał. – Potem powiedziałaś mi, że nie możesz mieć dzieci, a ja się odsunąłem. Ale nie dlatego, że nie możesz. Po prostu nie mogłem uwierzyć, że nie powiedziałaś mi o tym wcześniej.

Wiem, że to ja się pośpieszyłem, ale nie mogłem czekać. Nie umiałem. Chciałem jak najszybciej zacząć nasze wspólne życie. Może też świadomość, że ojciec umiera...

– Juliánie, przestań! – przerwała mu. – Nie musisz przeproszać. Poza tym są teraz ważniejsze sprawy...

– Nie, nie ma nic ważniejszego. W każdym razie dla mnie. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo żałuję tego, co zrobiłem nie tak. Przepraszam cię za sposób, w jaki to wszystko przebiegało.

W słuchawce słyszała teraz tego samego szczerego i wrażliwego mężczyznę, w którym zakochała się kilka miesięcy temu.

– Dziękuję – powiedziała. – To wiele dla mnie znaczy.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza, po czym Ambra zebrała odwagę, żeby sformułować pytanie, które musiała mu zadać.

– Juliánie, muszę wiedzieć, czy byłeś jakkolwiek zamieszany w morderstwo Edmonda Kirscha – szepnęła.

Książę zamilkł. Gdy w końcu się odezwał, mówił ze ściśniętym gardłem.

– Ambro, bardzo mi się nie podobało, że spędzałaś tak wiele czasu z Kirschem na przygotowaniach do jego występu. Mocno oponowałem przeciw twojej decyzji o osobistym

udziale w tym wydarzeniu. Wiele bym dał, żebyś nigdy nie poznała tego człowieka. – Zrobił pauzę. – Ale nie, przysięgam, że nie miałem absolutnie nic wspólnego z jego śmiercią. Byłem głęboko poruszony i tą zbrodnią, i tym, że na oczach całego świata doszło w naszym kraju do morderstwa, a w dodatku popełniono je kilka metrów od kobiety, którą kocham. Wstrząsające.

Julián streścił, czego się dowiedział na temat teorii spiskowych krążących w internecie po zamordowaniu Kirscha. Powiedział jej o niezwykłym spotkaniu z ojcem, którego stan zdrowia gwałtownie się pogarszał.

– Przyjedź tutaj – poprosił. – Muszę cię zobaczyć.

Targały nią sprzeczne emocje, gdy usłyszała czułość w jego głosie.

– Jeszcze jedno – powiedział pewniejszym tonem. – Wpadłem na szalony pomysł i chcę cię zapytać o zdanie. – Zawiesił głos. – Uważam, że powinniśmy odwołać nasze zaręczyny i zacząć od nowa.

Słyszając to, aż się zachwiała. Wiedziała, że konsekwencje polityczne tej decyzji będą dla pałacu i samego księcia bardzo poważne.

– Naprawdę? Zrobiłbyś to?

Julián zaśmiał się serdecznie.

– Zrobiłbym wszystko, żeby móc raz jeszcze ci się oświadczyć, gdy będziemy tylko we dwoje.

Rozdział 101



ConspiracyNet.com

PODSUMOWANIE SPRAWY KIRSCHA

PAPIESKIE WYZNANIE

Przedstawiciele palmarian zdecydowanie zaprzeczają pogłoskom o powiązaniach Kościoła z człowiekiem znanym jako Regent. Nie znamy jeszcze wyników policyjnego śledztwa, ale komentatorzy uważają, że wybuchły skandal może się okazać śmiertelnym ciosem dla tego kontrowersyjnego Kościoła, który Edmond Kirsch zawsze winił za śmierć swojej matki.

Co więcej, dzięki wzmożonemu zainteresowaniu działalnością palmarian media światowe przypomniały o zdarzeniu z kwietnia dwa tysiące szesnastego roku. Wtedy właśnie był papież Grzegorz XVIII znany jako Ginés Jesús Hernández udzielił wywiadu, w którym wyznał, że jego Kościół był „oszustwem od samego początku” i powstał jako „mechanizm umożliwiający unikanie podatków”.

PAŁAC KRÓLEWSKI: PRZEPROSINY, ZARZUTY, UMIERAJĄCY MONARCHA

Pałac królewski wydał oświadczenie oczyszczające z zarzutów komendanta Garzę i Roberta Langdona, obydwu publicznie przeprasząc.

Pałac nie skomentował jeszcze rzekomego udziału biskupa Valdespino w zamordowaniu Edmonda Kirscha, ale jak się dowiadujemy, biskup towarzyszy teraz księciu Juliánowi, który w nieujawnionym szpitalu opiekuje się obecnie swoim chorym ojcem, którego stan jest ponoć ciężki.

GDZIE JEST MONTE?

Informator kontaktujący się z nami z adresu monte@iglesia.com zniknął bez śladu, nie zostawiając żadnych wskazówek na temat swojej tożsamości. Według naszych czytelników pod pseudonimem tym ukrywa się któryś z uczniów Edmonda Kirscha, ale pojawiają się też teorie, że „Monte” jest skrótem imienia Mónica, a to imię nosi odpowiadająca za public relations rodziny królewskiej pani Martín.

Wkrótce więcej informacji!

Rozdział 102

Na świecie istnieją trzydzieści trzy szekspirowskie ogrody, w których rosną tylko rośliny wspomniane w dziełach Williama Shakespeare’a, włącznie ze wspomnianą przez Julię różą, która pod inną nazwą tak samo by pachniała, rozmarynem, bratkami, koprem i orlikiem, rutą, stokrotkami oraz fiołkami z bukietu Ofelii. Oprócz tych najbardziej znanych ogrodów w Stratfordzie, Wiedniu, San Francisco czy nowojorskim Central Parku, jeden istnieje także w Barcelonie, tuż przy centrum superkomputerowym.

W blasku latarni wzdłuż pobliskich ulic, siedząc na ławce wśród orlików, Ambra Vidal skończyła swoją emocjonalną rozmowę z księciem Juliánem. Chwilę później od strony dawnego kościoła nadszedł Langdon. Oddała telefon jednemu z towarzyszących jej gwardzistów i krzyknęła do Roberta, który wtedy ją dostrzegł i ruszył w jej stronę.

Ambra nie mogła powstrzymać uśmiechu, widząc go z marynarką narzuconą na ramiona, ponieważ podwijając rękawy koszuli, amerykański profesor odsłonił swój zegarek z Myszką Miki.

– Miło znów cię widzieć – powiedział, uśmiechając się szeroko, choć jego głos był już bardzo zmęczony.

Wybrali się na spacer po ogrodzie, rozmawiając swobodnie, ponieważ gwardziści trzymali się w znacznej odległości. Ambra opowiedziała przebieg rozmowy z Juliánem, relacjonując przeprosiny, zapewnienie o niewinności, a także propozycję, żeby zerwali zaręczyny i zaczęli wszystko od nowa.

– Czyli jednak księżę z bajki – odpowiedział Langdon żartobliwie, ale w jego słowach brzmiał prawdziwy podziw.

– Martwił się o mnie – powiedziała Ambra. – To była ciężka noc. Julián chce, żebym natychmiast poleciała do Madrytu. Jego ojciec umiera i...

– Ambro – przerwał jej Langdon delikatnie. – Nie musisz niczego wyjaśniać.

Powinnaś do niego pojechać.

Miała jednak wrażenie, że słyszy w jego głosie rozczarowanie, które też zresztą czuła w głębi duszy.

– Czy mogę cię o coś zapytać, Robercie?

– Oczywiście.

Zawahała się.

– Czy twoim zdaniem prawa fizyki i chemii są wystarczające?

Langdon spojrzał na nią, jakby się spodziewał zupełnie innego pytania.

– W jakim sensie wystarczające?

– Duchowym – odpowiedziała. – Czy zadowoli cię życie we wszechświecie, którego

prawa spontanicznie tworzą życie? Czy wolisz żyć w świecie Boga? – Zamilkła na chwilę, robiąc zażenowaną minę. – Przepraszam, po tym, co obydwójce przeżyliśmy dzisiejszej nocy, pytanie brzmi dziwnie.

– Wydaje mi się, że po smacznie przespanej nocy udzieliłbym lepszej odpowiedzi, ale nie, pytanie nie brzmi dziwnie. Ludzie często mnie pytają, czy wierzę w Boga.

– Co im mówisz w odpowiedzi?

– Prawdę. Mówię im, że dla mnie pytanie o istnienie Boga sprowadza się do różnicy między kodami, czyli symbolami lub ich ciągami, a wzorami, które czasem nazywamy symptomami.

Ambra spojrzała na niego.

– Chyba nie rozumiem.

– Kody i wzory się od siebie różnią, ale wielu ludzi je ze sobą myli. W mojej specjalności zrozumienie, jak fundamentalna różnica je dzieli, jest naprawdę kluczowe.

– Na czym ona polega?

Langdon zatrzymał się i stanął twarzą do niej.

– Wzorem nazywamy dowolną wyraźnie uporządkowaną sekwencję. Wzory występują wszędzie w naturze. W kwiatach słonecznika, sześciokątnych komórkach plastra miodu, okręgach rozchodzących się kółkiem po wodzie, gdy pod powierzchnią rzuci się ryba, i tak dalej.

– Rozumiem. A kody?

– Kody są specjalne – odpowiedział Langdon mocniejszym głosem. – Z definicji muszą przekazywać informację. Są bardziej złożone od wzorów, ponieważ przenoszą dane, czyli są znaczące. Wśród kodów wymienimy pismo, notację muzyczną, równania matematyczne i języki programowania, ale są też prostsze przykłady, na przykład krucyfiks. Każde z wymienionych może przenosić znaczenie lub informację, a układ ziaren w kwiecie słonecznika tego nie robi.

Ambra zrozumiała różnicę, nie potrafiła jednak odnieść jej do kwestii Boga.

– Kolejna różnica między kodami a wzorami polega na tym, że kody nie pojawiają się na świecie samorzutnie – kontynuował Langdon. – Notacja muzyczna nie rośnie na

drzewach, symbole nie rysują się same na piasku. Kody są świadomym wynalazkiem inteligentnego umysłu.

Ambra skinęła głową.

– Czyli kody zawsze są intencjonalne i służą jakiemuś celowi?

– Otóż to. Kody nie pojawiają się naturalnie, muszą zostać stworzone.

Ambra spojrzała na niego uważnie.

– A DNA?

Langdon się uśmiechnął.

– Bingo – powiedział. – Kod genetyczny. To jest dopiero paradoks!

Ambra się ożywiła. Kod genetyczny niewątpliwie przenosi dane będące wyraźną instrukcją rozwoju danego organizmu. Zgodnie z przedstawioną przez Langdona logiką to mogło znaczyć tylko jedno.

– Uważasz, że DNA zostało stworzone przez jakąś inteligencję!

Podniósł dłoń w udawanym geście samoobrony.

– Powoli, tygrysie! – powiedział ze śmiechem. – Wkraczasz na grząski grunt.

Ująłbym to trochę inaczej. Od dziecka miałem poczucie, że we wszechświecie istnieje jakaś świadomość. Gdy patrzę na precyzję matematyki, solidność fizyki i symetrię kosmosu, nie mam wrażenia, że obserwuję bezduszną naukę. Wydaje mi się, że widzę pozostawiony ślad, że mam do czynienia z cieniem jakiejś wielkiej siły, która znajduje się poza zasięgiem ludzkiego umysłu.

Ambra czuła moc jego słów.

– Szkoda, że nie wszyscy myślą tak jak ty – powiedziała w końcu. – Za często walczymy o Boga i każdy ma inną wersję jedynej prawdy.

– Właśnie dlatego Edmond żywił nadzieję, że pewnego dnia nauka nas zjednoczy.

Kiedyś powiedział, że gdybyśmy wszyscy czcili grawitację, to nie byłoby sporów o kierunek działania jej siły.

Langdon narysował pięć kilka kresek na alejce między nimi.

– To prawda czy fałsz? – zapytał.

Zaintrygowana Ambra spojrzała na rysunek. Przedstawiał proste działanie matematyczne zapisane cyframi rzymskimi.

$I + XI = X$

„Jeden plus jedenaście równa się dziesięć?”

– Fałsz – odpowiedziała bez wahania.

– Czy widzisz jakąkolwiek możliwość, żeby to równanie było prawdziwe?

Pokręciła głową.

– Nie. To równanie jest z całą pewnością fałszywe.

Langdon delikatnie chwycił ją za rękę i przeprowadził do miejsca, w którym stał.

Teraz, gdy Ambra spojrzała na równanie, zobaczyła je z jego perspektywy.

Do góry nogami.

$X = IX + I$

Zdumiona podniosła wzrok.

– Dziesięć równa się dziewięć plus jeden – oznajmił Langdon z uśmiechem. – Czasem wystarczy zmienić punkt widzenia, żeby dostrzec prawdę.

Ambra skinęła głową, przypominając sobie autoportret Winstona, na który patrzyła dziesiątki razy, nie dostrzegając zakodowanego w nim znaczenia.

– Skoro mowa o znajdowaniu znaczenia, to masz szczęście, bo możesz spróbować swoich sił – powiedział wyraźnie rozbawiony, wskazując w kierunku ulicy. – Na tamtej ciężarówce widnieje ukryty symbol.

Spojrzała we wskazanym kierunku na ciężarówkę, czekającą na zielone światło przed sygnalizatorem nad Avinguda de Pedralbes.

„Ukryty symbol?” Dostrzegała tylko wszechobecne logo firmy kurierskiej.



– Ich nazwa jest kodem – podpowiadał Langdon. – Zawiera drugą warstwę znaczenia, ukryty symbol, który informuje o pędzie tej firmy do przodu.

Ambra patrzyła zdumiona.

– To tylko litery.

– Uwierz mi, w logo firmy FedEx ukryty jest powszechnie znany symbol, który wskazuje drogę naprzód.

– Wskazuje? Jak na przykład strzałka?

– Otóż to – odpowiedział z uśmiechem. – Jesteś historykiem sztuki, pomyśl o przestrzeni negatywnej.

Ambra wpatrywała się w logo, niczego jednak nie dostrzegła. Gdy zmieniło się światło i ciężarówka odjechała, odwróciła się do Langdona.

– Powiedz!

Zaśmiał się.

– Nie, pewnego dnia ją dostrzeżesz, a gdy już się to stanie, wtedy na pewno ci się nie uda znów jej nie widzieć.

Ambra chciała zaprotestować, ale przeszkodzili jej gwardziści.

– Pani Vidal, samolot czeka.

Skinęła głową i popatrzyła na Langdona

– Może polecisz ze mną? – szepnęła. – Jestem pewna, że księżę chciałby ci podziękować osobiście...

– To miłe z twojej strony – przerwał – ale chyba obydwójce wiemy, że byłbym jak piąte koło u wozu. Zresztą zamówiłem już pokój tam. – Wskazał na górujący nad okolicą Gran Hotel Princessa Sofia, w którym kiedyś jadł lunch z Kirschem. – Mam kartę kredytową, a telefon wziąłem z gabinetu Edmonda. Z resztą sobie poradzę.

Ambra z żalem myślała o pożegnaniu i była pewna, że za tą stoicką miną Langdon ukrywa smutek. Nie dbając o to, co mogą pomyśleć ochraniający ją gwardziści, postawiła krok naprzód i oplotła Roberta ramionami.

Profesor odwzajemnił uścisk, silnymi ramionami przyciągając ją do siebie. Stali przytuleni przez kilka sekund, prawdopodobnie dłużej niż powinni, po czym Langdon ją puścił.

W tym momencie Ambra poczuła, że coś się w niej budzi. Nagle zrozumiała, co Edmond mówił o energii miłości i świetle, rozszerzającym się nieskończenie, żeby wypełnić kosmos.

„Miłość nie jest uczuciem ograniczonym”.

„Nie musimy się obawiać, że nam jej zabraknie”.

„Nasze serca tworzą miłość, gdy jej potrzebują”.

Tak samo jak rodzice mogą w jednej chwili pokochać noworodka, nie umniejszając tym miłości do siebie nawzajem, Ambra czuła ją teraz do dwóch różnych mężczyzn.

„Miłość rzeczywiście nie zna granic” – uświadomiła sobie. „Może powstawać spontanicznie całkiem z niczego”.

Gdy samochód zabierający ją z powrotem do jej księcia powoli odjeżdżał, zerknęła na Langdona, który ciągle stał w ogrodzie. Patrzył na nią pewnym wzrokiem, uśmiechnął się, pomachał ręką i raptownie się odwrócił. Potrzebował chwili, zanim narzucił marynarkę na ramiona i ruszył samotnie do hotelu.

Rozdział 103

Gdy zegary w pałacu wybiły południe, Mónica Martín sięgnęła po notatki i zebrała się do wyjścia, żeby na placu Almudeny wygłosić oświadczenie dla mediów.

Niewiele wcześniej książę Julián poinformował w telewizyjnym wystąpieniu, że jego ojciec zmarł w szpitalu El Escorial. Z serdecznymi emocjami i królewską dumą mówił o dziedzictwie zmarłego króla, a także własnej wizji przyszłości kraju. Zaapelował o tolerancję w podzielonym świecie. Obiecał czerpać naukę z historii, ale także otworzyć serce na zmiany. Wspomniał o wielkości kultury swojego kraju oraz zadeklarował głęboką i niezmienną miłość do jego mieszkańców.

Martín nie słyszała jeszcze równie doskonałego wystąpienia i nie mogłaby sobie wyobrazić lepszego początku panowania.

Pod koniec poruszającego wystąpienia książę Julián złożył hołd dwóm gwardzistom, którzy oddali życie na służbie, ochraniając przyszłą królową Hiszpanii.

Następnie po chwili smutnego milczenia przekazał jeszcze jedną złą wiadomość. Oddany przyjaciel króla arcybiskup Antonio Valdespino zmarł zaledwie kilka godzin po monarsze na atak serca, który prawdopodobnie był spowodowany rozpaczą po śmierci przyjaciela, ale swoje znaczenie miały też zapewne insynuacje, które wysuwano pod adresem duchownego poprzedniej nocy.

Po wiadomości o śmierci Valdespina natychmiast ucichły głosy domagające się rozpoczęcia policyjnego postępowania w jego sprawie, a niektórzy posunęli się nawet do stwierdzenia, że zamiast wszczynać śledztwo, trzeba go publicznie oczyścić z zarzutów, ponieważ arcybiskupa oskarżono wyłącznie na podstawie poszlak, które z łatwością mogłyby zostać sfabrykowane przez jego wrogów.

Gdy Martín stanęła przed wyjściem na plac, podbiegł do niej Suresh.

– Nazywają cię bohaterką – oznajmił zadyszany. – Wszyscy piszą, że dzięki monte@iglesia.org poznaliśmy prawdę i że to musi być uczeń Edmonda Kirscha.

– Suresh, ja nie jestem Monte – odparła dobitnie, przewracając oczami. – Daję ci słowo.

– Wiem, że nie – zapewnił ją Suresh. – Ktokolwiek kryje się za tym pseudonimem, jest

znacznie sprytniejszy od ciebie. Próbowałem go namierzyć, ale mi się nie udało.

Wygląda na to, że ktoś taki nie istnieje.

– Próbuj dalej – poleciła. – Muszę być pewna, że z pałacu nie ma przecieku.

I powiedz mi, co z telefonami, które wczoraj ukradłeś.

– Od razu wróciły do sejfu, jak obiecałem.

Martín westchnęła z ulgą. Książę wrócił przecież do pałacu.

– Jeszcze jedno – dodał Suresh. – Właśnie dostaliśmy od operatora rejestr połączeń telefonicznych. Nie ma ani śladu połączenia z pałacu do Muzeum Guggenheima. Ktoś musiał emulować nasz numer, dzięki temu umieszczając nazwisko Ávili na liście gości.

Sprawdzamy kto.

Mónica z ulgą przyjęła wiadomość, że kompromitującego mordercy nie umieścił na liście gości nikt z pałacu.

– Daj mi znać, co ustalicie – poprosiła, odwracając się do drzwi.

Dobiegający z zewnątrz hałas jeszcze się nasilił.

– Wygląda na spory tłum mediów – zauważył Suresh. – Wydarzyło się coś po śmierci króla?

– Muszę ogłosić kilka szczegółów.

– Nie mów! Ambra Vidal kupiła nową sukienkę?

– Suresh! – skarciła go ze śmiechem. – Jesteś nieznośny. Muszę już iść.

– Co masz w programie? – zapytał, wskazując na plik notatek.

– Niekończące się detale. Najpierw podam zasady współpracy z mediami podczas koronacji, potem muszę...

– O rany, straszne nudy! – rzucił, cofając się w głąb korytarza.

Martín znów się uśmiechnęła.

„Dzięki, Suresh. Też cię lubię”.

Otworzyła drzwi i wyszła na skąpany w słońcu plac, przed którym zebrał się tłum dziennikarzy, jakiego dotąd nie widziała. Poprawiła okulary, zebrała myśli i ruszyła w jego stronę.

Na górze w swoim apartamencie książę Julián obserwował telewizyjną transmisję konferencji prasowej Móniki Martín. Był zmęczony, ale też czuł wielką ulgę, że Ambra wróciła bezpiecznie i teraz smacznie śpi. Słowa, którymi zakończyła ich rozmowę telefoniczną, sprawiły mu wiele szczęścia: „Nawet nie wiesz, Juliánie, ile to dla mnie znaczy, że chcesz zacząć od nowa. Tylko ty i ja, z dala od reflektorów i kamer. Miłość to sprawa osobista, świat nie musi znać wszystkich szczegółów”.

Ambra dała mu trochę nadziei w dniu, w którym tak bardzo przeżył stratę ojca.

Gdy wieszał marynarkę, poczuł coś w kieszeni. Była to buteleczka z doustnym roztworem morfiny, którą lekarz zostawił przy łóżku króla. Julián ze zdumieniem znalazł ją przy zwłokach biskupa Valdespino. Pustą.

W półmroku szpitalnej sali uświadomił sobie bolesną prawdę, przyklęknął i zmówił cichą modlitwę za ojca i jego przyjaciela. Następnie wsunął buteleczkę po morfinie do kieszeni marynarki.

Zanim wyszedł na korytarz, delikatnie ujął zapłakaną twarz biskupa, podniósł ją z piersi swojego ojca, a następnie posadził duchownego prosto na krześle z dłońmi złożonymi do modlitwy.

„Miłość to sprawa osobista” – nauczyła go Ambra. „Świat nie musi znać wszystkich szczegółów”.

Rozdział 104

Ponadstusiedemdziesięciometrowe wzgórze w południowo-zachodniej części Barcelony zwieńczone jest murami Castell de Montjuïc – rozległego siedemnastowiecznego fortu wzniesionego na krawędzi urwistego klifu nad Morzem Balearskim. Z drugiej strony wzniesienia usytuowany jest wielki pałac w stylu renesansowym, który zbudowano przed wystawą światową w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku, Palau Nacional.

Zawieszony w połowie drogi na Montjuïc w wynajętym specjalnie dla niego wagoniku kolejki linowej Langdon podziwiał bujną zielenią. Z ulgą wyrwał się z miasta.

„Muszę zmienić perspektywę” – myślał, napawając się spokojem i ciepłem wczesnopołudniowego słońca.

Obudził się późnym rankiem w Gran Hotel Princesa Sofia. Po gorącym prysznicu przejrzał kanały informacyjne nad dzbankiem kawy, owsianką, jajecznicą i churros.

Tak jak oczekiwał, wiadomości zdominowała historia Edmonda Kirscha. Eksperci zazwyczaj dyskutowali nad jego teoriami i przewidywaniami, zastanawiając się nad ich konsekwencjami dla świata religii. Jako profesor, który przede wszystkim kochał uczyć, Robert Langdon nie mógł się nie uśmiechnąć.

„Dialog zawsze jest ważniejszy od konsensusu”.

Już tego przedpołudnia zauważył pierwszych przedsiębiorczych sprzedawców oferujących przechodniom plakietki z napisami „Kirsch jest moim drugim pilotem” albo „Siódme Królestwo należy do Boga”. Pojawiły się też figurki Matki Bożej i Karola Darwina.

„Kapitalizm nie ma wyznania” – pomyślał, przypominając sobie ulubiony widok dzisiejszego przedpołudnia: deskorolkarza w koszulce z odręcznym napisem

TO JA JESTEM MONTE@IGLESIA.ORG

Media nadal nie znały tożsamości internauty, którego informacje okazały się takie istotne. Nieznana była też rola, jaką w wydarzeniach poprzedniego wieczoru odegrali Regent, zmarły biskup i palmarianie.

Komentatorzy poruszali się więc w gąszczu spekulacji.

Na szczęście zainteresowanie opinii publicznej sprawą zamordowania Kirscha powoli ustępowało wobec zaciekawienia treścią opublikowanych po jego śmierci odkryć.

Wielki finał prezentacji Kirscha, wygłoszony z pasją opis utopijnego społeczeństwa przyszłości, zapadł w pamięć milionów widzów. Na pierwsze miejsca list bestsellerów natychmiast trafiły klasyczne książki o technologii.

Obfitość: Przyszłość jest lepsza, niż myślisz

Czego chce technologia

Nadchodzi osobliwość

Langdon musiał przyznać, że mimo wcześniejszych obaw co do rozwoju technologii był dziś spokojniejszy o przyszłość ludzkości. Prasa już zapowiadała nadejście przełomowych technologii, które pozwolą oczyścić skażone oceany, wyprodukować nieograniczony zasób wody pitnej, uprawiać żywność na pustyniach, leczyć śmiertelne choroby i wprowadzić miliard najbiedniejszych mieszkańców naszej planety w obieg światowej gospodarki.

Widząc to nagle zainteresowanie technologią, Langdon nie mógł zrozumieć, dlaczego prawie nikt nie wiedział o Winstonie. Kirsch utrzymał swój wynalazek w naprawdę wielkiej tajemnicy. Niewątpliwie świat nieraz jeszcze usłyszy o imitującym dwie półkule ludzkiego mózgu komputerze, który Edmond zapisał barcelońskiemu centrum. Langdon był ciekaw, kiedy informatycy zaczną korzystać ze skonstruowanych przez Edmonda narzędzi do tworzenia nowych Winstonów.

Wagonik kolejki linowej zaczynał się rozgrzewać. Langdon nie mógł się doczekać, kiedy znów wyjdzie na świeże powietrze, żeby zwiedzić fortecę, pałac i słynną magiczną fontannę. Chciał skupić myśli na czymś innym niż sprawa Edmonda, podziwiając widoki.

Zamierzając dowiedzieć się czegoś o historii Montjuïc, spojrzał na obszerną tablicę informacyjną umieszczoną we wnętrzu kabiny. Zaczął czytać, skończył jednak niespodziewanie po pierwszym zdaniu.

Nazwa „Montjuïc” pochodzi albo od średniowiecznego katalońskiego słowa „Montjuich”, czyli Wzgórze Żydów, albo od łacińskiego „Mons Jovicus”, co znaczy Wzgórze Jowisza.

To niespodziewane powiązanie całkowicie go zaskoczyło.

„To nie może być przypadek!”

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej czuł się zaintrygowany. W końcu sięgnął do kieszeni po telefon Edmonda i po raz kolejny odczytał słynne zdanie Winstona Churchilla.

„Historia będzie dla mnie łaskawa, bo zamierzam ją napisać”.

Po dłuższej chwili dotknął ikony w kształcie litery W i podniósł telefon do ucha.

Połączenie nastąpiło niemal natychmiast.

– Profesor Langdon, jak się domyślam – przywitał go znajomy głos z brytyjskim

akcentem. – Dzwoni pan w samą porę. Niebawem kończę działanie.

Langdon zaczął bez żadnego wstępu.

– *Monte* to po hiszpańsku „wzgórze”, prawda?

Winston zareagował swoim firmowym, lekko niezręcznym śmiechem.

– Tak, to prawda.

– A *iglesia* znaczy „kościół”?

– Dwa trafienia na dwa strzały. Może powinien pan zacząć uczyć hiszpańskiego...

– A więc monte@iglesia tłumaczy się dosłownie na wzgórze@kościół.

Winston zrobił pauzę.

– Znów ma pan rację.

– Zważywszy na to, że masz na imię Winston, że Edmond darzył wielkim szacunkiem

Winstona Churchilla, którego nazwisko dosłownie tłumaczyłoby się na język hiszpański tymi dwoma słowami, adres e-mailowy monte@iglesia.org wydaje mi się...

– Nieprzypadkowy?

– Właśnie.

– No cóż, statystycznie rzecz biorąc, musiałbym zaprzeczyć. Ale podejrzewałem, że pan połączy te dwa fakty.

Langdon wpatrywał się w okno z niedowierzaniem.

– Monte@iglesia.org to ty!

– To prawda. Ktoś musiał podsycać zainteresowanie sprawą Edmonda. Kto zrobiłby to lepiej niż ja? Stworzyłem informatora o takim pseudonimie, żeby przekazywać informacje portalowi o teoriach spiskowych. Jak pan wie, żyją one swoim życiem. Według moich początkowych szacunków działalność Monte w sieci miała zwiększyć liczbę widzów Edmonda o całe pięćset procent. Ostatecznie odsetek ten wyniósł sześćset dwadzieścia procent. Jak pan powiedział wcześniej, Edmond byłby dumny.

Wagonik chwiało się na wietrze i Langdon ledwie mógł się skupić na rozmowie z Winstonem.

– Edmond kazał ci to zrobić?

– Nie wprost, ale instrukcja, której mi udzielił, uwzględniała znajdowanie własnych sposobów na maksymalizowanie oglądalności jego prezentacji.

– A jeśli cię złapią? – pytał Langdon. – Monte Iglesia to najbardziej kalamburowy pseudonim, jaki widziałem.

– Tylko garstka ludzi o mnie wie, a za mniej więcej osiem minut będę trwale wykasowany i przestanę istnieć, tym więc się nie martwię. Informatora stworzyłem tylko po to, żeby skuteczniej realizować cel Edmonda, i jestem pewien, że byłby zadowolony z przebiegu wczorajszego wieczoru.

– Jak to byłby zadowolony z przebiegu wieczoru? – zdziwił się Langdon. – Przecież wtedy został zabity.

– Źle mnie pan zrozumiał. Chodziło mi o działania promujące jego prezentację w sieci. Jak mówiłem, to one były moim głównym zaleceniem.

Rzeczowy ton tej odpowiedzi przypomniał Langdonowi, że Winston nie jest człowiekiem, choć zachowuje się, jakby nim był.

– Śmierć Edmonda była wielką tragedią i oczywiście żałuję, że już go z nami nie ma – dodał Winston. – Ale trzeba pamiętać, że pogodził się z tym, że umiera. Miesiąc temu zlecił mi wyszukanie najlepszych metod wspomaganego samobójstwa.

Przeanalizowałem setki przypadków i doszedłem do wniosku, że najskuteczniejszy będzie sekobarbital w dawce dziesięciu gramów. Edmond kupił ten lek i trzymał pod ręką.

Langdon znów zatęsknił za przyjacielem.

– Zamierzał odebrać sobie życie?

– Tak. I nawet często mówił o tym z humorem. Gdy szukaliśmy sposobów na zwiększenie oglądalności prezentacji w Muzeum Guggenheima, Edmond zaproponował w żartach, że powinien na koniec wieczoru łyknąć swój sekobarbital i umrzeć przed kamerami.

– Tak powiedział? – pytał Langdon zdumiony.

– Nie martwił się śmiercią. Żartował, że nic tak nie podnosi oglądalności programów jak śmierć przed kamerami. Oczywiście miał rację. Jeśli przeanalizuje pan wydarzenia medialne o największej publiczności, to...

– Przestań, Winstonie, to makabryczne!

„Kiedy ten wagonik wreszcie dojedzie na górę!?”

Nagle Langdon poczuł, że brakuje mu miejsca w ciasnej kabinie. Przed sobą widział tylko wieże i liny, gdy mrużył oczy w jasnym południowym słońcu. „Ugotuję się tutaj!” – pomyślał, nie mogąc opanować rozbieganych myśli.

– Panie profesorze, czy ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania? – odezwał się Winston.

„Tak!” – chciał krzyknąć Langdon, dostrzegając wiele nieodkrytych aspektów tej sprawy. „Całe mnóstwo pytań!”

Jego umysł zaczął pracować zbyt szybko, by Langdon zdołał nad nim zapanować od razu.

Zastanawiał się nad tym, że publiczna śmierć Edmonda zwiększyła oglądalność wieczornego wystąpienia, podnosząc liczbę widzów z kilku do prawie pięciuset milionów, i zapewniła, że jego tezy staną się najważniejszym tematem dyskusji toczonych na całym świecie.

Myślał o tym, że Edmond niemal przez całe życie walczył o zniszczenie Kościoła

palmariańskiego, a jego śmierć z rąk członka tego Kościoła prawie na pewno przyczyni się do ostatecznej kompromitacji palmarian.

Wspominał, że Edmond pogardzał fanatykami religijnymi i widział w nich swoich największych wrogów, zapewne więc liczył się z tym, że jego śmierć z powodu choroby da im okazję, by uznać raka za karę od Boga. „Choć to niewiarygodne, tak właśnie zrobili po śmierci Christophera Hitchensa, słynnego ateisty, dziennikarza i krytyka Kościoła”.

Teraz jednak wszyscy wiedzieli, że Edmond zginął z ręki religijnego fanatyka.

„Edmond Kirsch, zabity przez religię, męczennik nauki”.

Langdon raptownie się podniósł, przez co wagonik mocno się zachwiał na boki.

Profesor zachował równowagę, przytrzymując się otwartych okien. W myślach dźwięczały mu wczorajsze słowa Winstona.

„Edmond powiedział mi, że jego marzeniem jest nie tyle zniszczenie religii, ile stworzenie nowej”.

Każdy, kto zna historię religii, może poświadczyć, że nic nie cementuje wiary szybciej niż umierający za nią człowiek. Chrystus na krzyżu. Żydowski kidusz haszem.

Muzułmańscy szahidzi.

„Męczeństwo leży u podstaw każdej religii”.

Myśli przebiegające przez głowę Langdona z każdą sekundą szybciej wciągały go do króliczej nory.

Każda nowa religia przynosi swoją odpowiedź na dwa najważniejsze pytania życia.

„Skąd przyszliśmy? Dokąd idziemy?”

Każda nowa religia potępia swoich konkurentów.

„Wczoraj wieczorem Edmond oczernił wszystkie istniejące religie”.

Nowe religie obiecują lepszą przyszłość i czekające na wiernych niebo.

Obfitość: Przyszłość jest lepsza, niż myślisz.

Wszystko wyglądało tak, jakby Edmond metodycznie spełniał te kryteria jedno po drugim.

– Winstonie? Kto wynajął zabójcę, który zabił Edmonda? – zapytał Langdon drżącym głosem.

– Regent.

– To wiem, ale kim jest ów Regent? – Głos Langdona był już silniejszy. – Kim jest człowiek, który wynajął członka Kościoła palmariańskiego, żeby zabił Edmonda podczas transmitowanego na cały świat wystąpienia?

Winston odpowiedział dopiero po chwili.

– Słyszę podejrzliwość w pańskim głosie, panie profesorze, ale nie ma do niej żadnych podstaw. Zostałem zaprogramowany, żeby chronić Edmonda. Myślę o nim jak o moim

najlepszym przyjacielu. Jest pan humanistą, na pewno czytał pan więc powieść *Myszy i ludzie*.

Nawiązanie do powieści wydawało się całkiem nieuzasadnione.

– Owszem, czytałem, ale co to ma...

Kolejne słowa uwięzły Langdonowi w gardle. Przez chwilę myślał, że wagonik zsunął się z liny. Linia horyzontu przekrzywiła się na jedną stronę i Langdon znów musiał się chwycić okna, żeby nie upaść.

„Oddanie, odwaga, empatia”. Te trzy rzeczowniki wybrał Langdon w szkole średniej, żeby bronić bohatera jednej z najsłynniejszych w literaturze scen, szokującego finału powieści *Myszy i ludzie* – człowieka, który zabił ukochanego przyjaciela, żeby mu oszczędzić przerażającego końca.

– Winstonie – szepnął Langdon. – Nie mówi mi, proszę, że...

– Niech mi pan wierzy, panie profesorze – wpadł mu w słowo Winston. – Ja tylko wypełniałem wolę Edmonda.

Rozdział 105

Dyrektor Barcelońskiego Centrum Superkomputerowego, doktor Mateo Valero, był całkiem zdezorientowany, gdy odłożył słuchawkę i przeszedł do nawy dawnej świątyni, żeby po raz kolejny spojrzeć na spektakularny dwupoziomowy komputer Edmonda Kirscha.

Zaledwie rano Valero się dowiedział, że ta superwydajna maszyna przechodzi pod jego opiekę, ale wywołane tą informacją podekscytowanie zdążyło już ustąpić zupełnie innym emocjom.

Przed kilkoma minutami odebrał rozpaczliwy telefon od znanego amerykańskiego profesora Roberta Langdona.

Usłyszał od niego zapierającą dech w piersiach historię, którą jeszcze dzień wcześniej uznaliby za science fiction. Dzisiaj jednak, po obejrzeniu prezentacji Kirscha i pobieżnym zapoznaniu się ze stworzoną przez niego maszyną, Valero skłonny był uwierzyć w entuzjastyczną relację Amerykanina.

Langdon opowiedział mu o maszynie, która całkiem dosłownie robiła to, o co się ją poprosiło. Wykonywała wszystkie polecenia. Zawsze. Niezawodnie. Valero całe życie poświęcił na badanie takich urządzeń. Uczył się trudnej sztuki wykorzystywania ich potencjału.

„Problem polega na tym, żeby wydać odpowiednie polecenie”.

Valero konsekwentnie powtarzał, że sztuczna inteligencja rozwija się w zdradliwie szybkim tempie, i ostrzegał, że trzeba narzucić ostre kryteria określające zasady interakcji maszyn ze światem człowieka.

Ale według większości wizjonerów nakładanie ograniczeń na rozwój sztucznej inteligencji było sprzeczne z intuicją, zwłaszcza że niemal co dzień pojawiały się nowe ekscytujące możliwości. Oprócz dreszczyku innowacji istotną rolę odgrywała też wizja olbrzymich fortun, które można było zbić na najnowszych technologiach.

Valero zawsze podziwiał odwagę i geniusz Kirscha. W tym przypadku jednak miał wrażenie, że Edmond okazał się nieostrożny, niebezpiecznie przesuwając granicę swoim

ostatnim odkryciem.

„Odkryciem, którego nigdy nie poznam” – uświadomił sobie po drodze.

Z relacji Langdona wynikało, że Edmond stworzył w ramach E-Wave zaskakująco zaawansowane narzędzie o nazwie Winston, które miało dokonać samozniszczenia o pierwszej po południu w dniu następującym po śmierci Kirscha. Kilka minut temu, ulegając usilnej prośbie Langdona, doktor Valero zdołał potwierdzić, że dwa ważne sektory baz danych komputera E-Wave zniknęły dokładnie o tej samej porze. Usunięcie nastąpiło z pełnym nadpisaniem danych, co uniemożliwiało ich odzyskanie.

Otrzymawszy tę wiadomość, Langdon trochę się uspokoił, poprosił jednak, żeby się spotkali jak najszybciej, by sprawę omówić szczegółowo. Umówili się więc w dawnym kościele.

Co do zasady Valero rozumiał instynktowną reakcję Langdona, żeby natychmiast upublicznić całą historię. Widział jednak podstawowy problem.

„Nikt w nią nie uwierzy”.

Wszystkie ślady sztucznej inteligencji stworzonej przez Kirscha zostały bezpowrotnie usunięte, włącznie z zapisami nawiązanych przez maszynę kontaktów i wykonanych zadań. Co więcej, komputer Kirscha tak znacznie przewyższał obecne możliwości technologiczne, że koledzy Valera, powodowani ignorancją, zazdrością albo instynktem samozachowawczym, zarzuciliby Langdonowi, że sfabrykował swoją historię.

Była też kwestia publicznego odbioru. Gdyby się potwierdziło, że historia Langdona jest prawdziwa, to komputer E-Wave zostałby potępiony jako potwór w rodzaju Frankensteina. Widły i pochodnie pojawiłyby się niedługo potem.

„Albo coś jeszcze gorszego” – uświadomił sobie Valero.

W dobie tak częstych zamachów terrorystycznych ktoś mógłby po prostu wysadzić dawny kościół w powietrze, ogłaszając się następnie zbawcą ludzkości.

Valero miał więc nad czym się zastanawiać przed spotkaniem z Langdonem. Teraz jednak musiał dotrzymać danego słowa.

„Przynajmniej dopóki nie dowiemy się czegoś więcej”.

Czując dziwną melancholię, po raz ostatni spojrzał na cudowny dwupoziomowy komputer, wsłuchując się w cichy odgłos pomp przetaczających płyn chłodzący miliony komórek maszyny, niczym krew tętniącą w żyłach.

Idąc do głównej dyspozytorni, żeby rozpocząć zamknięcie systemu, z zaskoczeniem przyjął impuls, którego zupełnie się nie spodziewał, bo nie czuł go ani razu w całym sześćdziesięcioletnim życiu.

Odczuł potrzebę, żeby się pomodlić.

Robert Langdon stał samotnie na ostatnim odcinku drogi do zamku Montjuïc, patrząc na stromy klif i położony u jego stóp port. Podniósł się wiatr i profesor poczuł niepokój, jakby nagły podmuch wytrącił go z mentalnej równowagi.

Mimo zapewnień doktora Valero, dyrektora Krajowego Centrum Superkomputerowego, Langdon nie mógł się uspokoić. Wciąż miał w pamięci radosny głos Winstona. Komputer Edmonda zachował spokój i opanowanie do samego końca.

– Zaskakuje mnie pański niepokój, panie profesorze – powiedział Winston. – Przecież pańska wiara zbudowana jest na strachu większym od etycznej niejednoznaczności.

Zanim Langdon zdążył odpowiedzieć, na telefonie Edmonda pojawił się tekst:

Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swojego Jednorodzonego dał.

J 3:16

– Pański Bóg oddał syna na brutalną śmierć, pozwalając mu cierpieć na krzyżu przez długie godziny. Ja bezboleśnie zakończyłem życie umierającego człowieka, w ten sposób zapewniając jak największe zainteresowanie jego wybitnym dziełem.

Zawieszony nad ziemią w rozpalonym słońcem wagoniku kolejki linowej Langdon słuchał z niedowierzaniem, jak Winston rzeczowo uzasadnia jedno ze swoich najbardziej kontrowersyjnych posunięć.

Toczona przez Edmonda walka z Kościołem palmariańskim zainspirowała go mianowicie do wynajęcia wieloletniego członka tego Kościoła, Luisa Ávili, który po latach uzależnienia od substancji psychoaktywnych oraz alkoholu był nie tylko łatwy do zmanipulowania, ale też idealnie się nadawał, żeby ostatecznie zrujnować reputację palmarian. Z łatwością więc Winston udał Regenta, a następnie przesłał Ávili kilka dokumentów i zasilił jego rachunek bankowy. Palmarianie naprawdę byli niewinni i nie odegrali żadnej roli w wydarzeniach ostatnich dni.

Winston zapewnił też Langdona, że nie zaplanował napadu Ávili na spiralnych schodach.

– Posłałem Ávilę do Sagrada Família, żeby został tam schwytany przez policję – oznajmił Winston. – Chodziło mi o to, żeby po aresztowaniu opowiedział swoją obrzydliwą historię, co z całą pewnością wywołałoby jeszcze większe zainteresowanie działaniami Edmonda. Powiedziałem Ávili, żeby się przedostał na teren bazyliki przez bramę od wschodu, jednocześnie wysłałem tam policję i byłem pewien, że funkcjonariusze go aresztują, on tymczasem zdecydował się przeskoczyć przez płot, widocznie wyczuwając pułapkę. Winien panu jestem przeprosiny, panie profesorze.

Langdon nie miał pojęcia, w co ma wierzyć.

Ostatnie wyjaśnienie Winstona było najbardziej niepokojące.

– Po spotkaniu Edmonda z trzema duchownymi w Montserrat otrzymaliśmy wiadomość

z pogrozkami od biskupa Valdespino. Biskup ostrzegał, że prezentacja Edmonda bardzo oburzyła jego dwóch kolegów i zamierzają się bronić, wygłaszając specjalne oświadczenie, w którym zdyskredytują jego odkrycie i przedstawiają je w korzystnym dla siebie świetle, jeszcze zanim ujrzy światło dzienne. Nie muszę chyba dodawać, że to było nie do przyjęcia.

Langdon poczuł mdłości, zmuszając się do myślenia mimo kołysania wagonika kolejki linowej.

– Edmond powinien był dodać do twoich instrukcji jeszcze jedno polecenie: nie zabijaj – oznajmił.

– Niestety, to nie jest takie proste, panie profesorze – odparł Winston. – Ludzie nie uczą się dzięki przykazaniom, ludzie uczą się na przykładzie. Sądząc po pańskich książkach oraz filmach, wiadomościach i starożytnych mitach, ludzie zawsze czcili tych, którzy poświęcają się dla wyższego dobra. Jak na przykład Jezus.

– Winstonie, ale ja tu nie widzę żadnego wyższego dobra.

– Nie? – Głos Winstona pozostawał beznamiętny. – Niech pan więc pozwoli, że zadam mu to słynne pytanie: wolałby pan żyć w świecie bez technologii czy w świecie bez religii? Zrezygnowałby pan z leków, elektryczności i antybiotyków czy raczej z fanatyków religijnych toczących wojny o fikcyjne opowieści i wyimaginowane duchy?

Langdon nie odpowiedział.

– Otóż to, panie profesorze. Mroczne religie muszą odejść, żeby władzę przejęła słodka nauka.

Langdon przez chwilę stał przy dawnej fortecy, wpatrując się w połyskującą pod klifem wodę. Czuł się oderwany od swojego świata. Potem ruszył w dół po schodach do pobliskiego parku, mając nadzieję, że upojny zapach sosen i centurii pozwoli mu zapomnieć brzmienie głosu Winstona. Tutaj, wśród kwiatów, nagle zatęsknił za Ambra.

Chciał do niej zadzwonić, usłyszeć jej głos i opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło przez ostatnią godzinę, wiedział jednak, że nie wolno mu sięgnąć po telefon.

„Książę i Ambra potrzebują teraz czasu dla siebie. To może poczekać”.

Spojrzał na wyświetlacz telefonu. Ikona w kształcie litery W poszarzała, a pod nią pojawił się komunikat o błędzie: „kontakt nie istnieje”. Mimo to Langdon czuł niepokojącą niepewność. Nie uważał się za paranoika, ale wiedział, że nigdy nie zaufa urządzeniu, które trzymał w ręku. Jakie jeszcze sekretne funkcje i połączenia kryły się w jego oprogramowaniu?

Wąską ścieżką szedł tak długo, aż znalazł ustronny zakątek w cieniu kępy drzew.

Wpatrując się w wyświetlacz, pomyślał o Edmondzie, po czym położył telefon na płaskim fragmencie skały i jakby w rytualnym geście ofiarnym uniósł nad głowę ciężki

kamień, którym zaraz z całej siły cisnął o ziemię, roztrzaskując smartfon na dziesiątki kawałków.

Wychodząc z parku, wrzucił zmiażdżone resztki do kosza na śmieci i zszedł na dół.

Musiał przyznać, że zrobiło mu się lżej.

I ku własnemu zdziwieniu poczuł się trochę bardziej po ludzku.

Epilog

W palącym popołudniowym słońcu wieże Sagrada Família rzucały szeroki cień na Plac de Gaudí, osłaniając turystów, którzy w długiej kolejce czekali na wejście do świątyni.

Schronił się w nim także Robert Langdon i patrzył, jak kochankowie pozują do selfie, turyści kręcą filmy wideo, dzieci słuchają muzyki przez słuchawki, a niemal wszyscy pozostali piszą esemesy albo aktualizują profile na portalach społecznościowych.

Jakby olbrzymia bazylika nie istniała.

W prezentacji Edmond wspomniał, że dzięki technologii dotychczasowe sześć stopni oddalenia zmniejszyło się do czterech i każdy człowiek na Ziemi jest powiązany z dowolnym innym człowiekiem przez zaledwie czterech pośredników.

„Niebawem zmniejszy się to do zera” – powiedział Edmond, z radością zapowiadając dzień, w którym syntetyczna inteligencja przewyższy ludzką i stopi się z nią w jedno. „Gdy to nastąpi, ci z nas, którzy tego dożyją, staną się reliktem dawnych czasów”.

Langdon nie potrafił dokładnie sobie wyobrazić tej przyszłości, ale patrząc na otaczających go ludzi, dochodził do wniosku, że cudom religii coraz trudniej będzie rywalizować z cudami technologii.

Gdy wreszcie wszedł do środka, z ulgą przywitał znajome wnętrze, w którym po upiornej jaskini z wczorajszego wieczoru nie został nawet ślad.

Dziś Sagrada Família żyła.

Przez witraże przenikały strumienie jasnego światła, rozpalając gęsty las kolumn płomieniami złota i purpury. Zwiedzający, którzy pod olbrzymimi skośnymi słupami wyglądali jak karły, zadzierali głowy, patrząc na niezmierzone świetliste sklepienie, a ich zachwycone szepty zlewały się w przyjemny dla ucha szum.

Przechodząc w głąb bazyliki, Langdon przenosił wzrok z jednej organicznej formy na drugą, aż stanął pod koronkowym połączeniem przypominających komórki struktur, które tworzą czaszę kopuły. Zdaniem niektórych ta centralna część sklepienia jest podobna do złożonego organizmu widzianego pod mikroskopem. Oglądając ją teraz w pełnym świetle, Langdon musiał się z tym stwierdzeniem zgodzić.

– Panie profesorze? – odezwał się znajomy głos. Langdon się odwrócił i zobaczył, że szybkim krokiem podchodzi do niego ojciec Beña. – Przed chwilą usłyszałem, że ktoś widział pana w kolejce przed bazyliką. Tak mi przykro, że pan czekał. Trzeba było do mnie zatelefonować!

Langdon się uśmiechnął.

– Dziękuję, ale stojąc w kolejce, miałem czas, żeby podziwiać fasadę. Poza tym przypuszczałem, że będzie ojciec dzisiaj odsypiał.

– Odsypiał? – zaśmiał się Beña. – Może jutro.

– Dziś to całkiem inny widok – stwierdził Langdon, wskazując ręką na wnętrze nawy.

– O tak, światło dzienne czyni cuda – powiedział Beña. – Tak samo jak obecność ludzi. – Zamilkł, uważnie patrząc na Langdona. – Skoro już pan tu jest, chciałbym poznać pańskie zdanie na temat czegoś na dole, jeśli to nie będzie dla pana kłopot.

Idąc w tłumie za Beñą, Langdon słyszał nad głową odgłosy prac budowlanych, które przypomniały mu, że bryła Sagrada Família nieustannie się zmienia.

– Czy widział ojciec prezentację Edmonda? – zapytał duchownego.

Beña się zaśmiał.

– Czy widziałem? Trzy razy! Muszę powiedzieć, że koncepcja entropii, według której wszechświat dąży do rozproszenia energii, brzmi jak Księga Genesis. Gdy myślę o Wielkim Wybuchu i rozszerzającym się wszechświecie, widzę rozkwitającą energię, która obejmuje coraz więcej przestrzeni, sięgając coraz dalej w ciemność kosmosu i niosąc światło do miejsc, gdzie wcześniej go nie było.

Langdon się uśmiechnął, żałując, że Beña nie był jego księdzem w latach dziecięcych.

– Czy Watykan wydał już oficjalne stanowisko?

– Próbują, ale najwidoczniej wystąpiły pewne rozbieżności – odpowiedział Beña, ze śmiechem wzruszając ramionami. – Kwestia pochodzenia człowieka, jak pan wie, zawsze była sporna dla chrześcijan, zwłaszcza fundamentalistów. Gdyby to zależało ode mnie, rozstrzygnęlibyśmy to raz na zawsze.

– Naprawdę? – zdziwił się Langdon. – Jak mielibyśmy to zrobić?

– Wszyscy powinniśmy zrobić to, co uczyniło już wiele Kościołów, a mianowicie przyznać otwarcie, że Adam i Ewa nie istnieli, że ewolucja jest faktem, a każdy chrześcijanin, który temu zaprzecza, robi z nas głupców.

Langdon stanął jak wryty i patrzył na starego kapłana.

– Proszę pana! – powiedział Beña ze śmiechem. – Nigdy nie uwierzę, że ten sam Bóg, który nas wyposażył w zmysły, rozum i intelekt...

– Kazałby nam zaprzestać ich używania? – dokończył za niego Langdon.

Beña roześmiał się od ucha do ucha.

– Widzę, że zna pan Galileusza. Fizyka była moją pierwszą miłością. Doszedłem do Boga poprzez głęboki podziw dla fizycznego wszechświata. To jeden z powodów, dla których Sagrada Família jest dla mnie taka ważna. Mam wrażenie, że to kościół przyszłości, świątynia bezpośrednio związana z naturą.

Langdon zaczął się zastanawiać, czy Sagrada Família podobnie jak rzymski Panteon mogłaby się stać punktem zwrotnym, budynkiem stojącym częściowo w przeszłości, a częściowo w przyszłości, fizycznym mostem między umierającymi a rodzącymi się wierzeniami. Jeśli tak, to ta katedra okaże się znacznie ważniejsza, niż ktokolwiek by przypuszczał.

Beña prowadził profesora po tych samych krętych schodach, po których schodzili w nocy.

Krypta.

– To dla mnie całkowicie oczywiste, że jest tylko jeden sposób, aby chrześcijaństwo przetrwało w nadchodzącej erze – kontynuował Beña. – Musimy przestać odrzucać naukowe odkrycia. Nie wolno nam potępiać naukowo dowiedzionych faktów.

Musimy stać się duchowym partnerem nauki, wykorzystując tysiące lat filozofii, spirytystycznych poszukiwań i medytacji. Musimy odwołać się do tego wielkiego doświadczenia, żeby pomóc ludzkości stworzyć ramy moralne i zapewnić, że nadchodzące technologie będą łączyć, oświecać i wspierać nasz rozwój, a nie niszczyć nas.

– Zgadzam się z każdym słowem – oznajmił Langdon. „I mam nadzieję, że nauka przyjmie waszą pomoc”.

U stóp schodów Beña wskazał na gablotę zawierającą zdeponowany przez Edmonda wolumen.

– O to chciałem zapytać.

– Tom Blake’a?

– Tak. Jak pan wie, obiecałem panu Kirschowi, że umieszczę tę książkę tutaj.

Zgodziłem się, ponieważ zakładałem, że chciał wystawić tę ilustrację.

Podeszli do gabloty i Langdon znów patrzył na wyobrazonego przez Blake’a boga Urizena, który mierzy wszechświat cyrklem.

– Ale potem zwróciłem uwagę na przylegający tekst – kontynuował Beña. – Tekst... – urwał. – Zresztą niech pan sam przeczyta końcowy wers.

Langdon nie oderwał wzroku od twarzy duchownego.

– Mroczne religie w dal odeszły i rządzi słodka nauka – wyrecytował.

Beña zrobił zdumioną minę.

– Zna pan go.

Langdon się uśmiechnął.

– Znam.

– Bo widzi pan, ten tekst głęboko mnie intryguje. Niepokojące jest sformułowanie o mrocznych religiach. Brzmi ono tak, jakby Blake twierdził, że religie są złowrogie i groźne, że są złem.

– To dość powszechne nieporozumienie – odparł Langdon. – Tymczasem Blake był człowiekiem o bogatej duchowości, który moralnie wzniósł się wysoko ponad małostkowe chrześcijaństwo osiemnastowiecznej Anglii. Wierzył, że istnieją dwa rodzaje religii, a mianowicie mroczne, które dogmatami tłamszą twórcze myślenie, i jasne. Te ostatnie są rozwojowe, ponieważ zachęcają do introspekcji i wspierają kreatywność.

Beña wydawał się zaskoczony.

– Ostatni wers poematu Blake’a mógłby więc równie dobrze brzmieć tak: „Słodka nauka przepędzi mroczne religie, żeby mogły rozkwitnąć religie oświecone” – dokończył Langdon.

Beña milczał przez długą chwilę, po której na jego starej twarzy zaczął powoli pojawiać się uśmiech.

– Dziękuję, panie profesorze. Dzięki panu pozbyłem się niepokojącego etycznego dylematu.

Gdy wrócili na górę, Langdon pożegnał się z duchownym i postanowił jeszcze na moment zostać w katedrze. Usiadł w ławce i wraz z setkami innych zwiedzających patrzył, jak wraz z zachodzącym słońcem kolorowe promienie powoli pełzną wzdłuż olbrzymich kolumn.

Myślał o religiach świata, o ich wspólnych korzeniach, o najwcześniejszych bogach słońca, księżyca, morza i wiatru.

„Natura była kiedyś istotą wszystkiego”.

„Dla wszystkich ludzi”.

Ta jedność oczywiście zniknęła dawno temu, gdy wiara rozdzieliła się na nieskończenie wiele odmiennych religii, z których każda przedstawiała swoim wiernym jedyną prawdę.

Teraz jednak w tej niezwykłej świątyni Langdon siedział otoczony ludźmi najróżniejszych wyznań, o różnych kolorach skóry, wywodzącymi się z różnych kultur i mówiącymi różnymi językami, i wszyscy zadzierali głowy, żeby z tym samym zachwytem podziwiać najprostszy z cudów.

„Zachód słońca na kamieniu”.

Pamięć Langdona przywołała serię kamiennych świątyń – Stonehenge, wielkie piramidy, Adżanta, świątynię Abu Simbel, Chichen Itza – w których ludzie zbierali się przed wiekami, żeby oglądać ten sam spektakl.

W tym momencie Langdon poczuł pod stopami delikatne, ledwie zauważalne drżenie, jakby myśl religijna dotarła do najodleglejszej krawędzi swojej orbity i zmęczona po długiej podróży ruszyła w drogę powrotną do domu.

Podziękowania

Moje najszczerze podziękowania zechcą przyjąć następujące osoby oraz instytucje:

Przede wszystkim mój redaktor i przyjaciel Jason Kaufman za ostry jak żyletka umysł, wyjątkowy instynkt oraz długie godziny spędzone ze mną w okopach, ale przede wszystkim za niezrównane poczucie humoru oraz zrozumienie dla tego, co próbuję osiągnąć, przekazując Czytelnikowi tę historię.

Moja niezrównana agentka i wypróbowana przyjaciółka Heide Lange za skuteczne zarządzanie wszystkimi aspektami mojej kariery z niegasnącym entuzjazmem, energią i troską. Za niezwykle talenty i niezachwianą lojalność jestem jej dozgonnie wdzięczny.

Mój drogi przyjaciel Michael Rudell za mądrą radę oraz przykład elegancji i dobroci.

Cały zespół wydawnictw Doubleday i Penguin Random House za wiarę we mnie i zaufanie okazane mi przez wszystkie te lata. Specjalne podziękowania kieruję do Suzanne Herz za przyjaźń, a także nadzorowanie wszystkich aspektów procesu wydawniczego z taką wyobraźnią i elastycznością.

Niezawodne wsparcie i niewyczerpaną cierpliwość okazali mi Markus Dohle, Sonny Mehta, Bill Thomas, Tony Chirico i Anne Messitte, za co im specjalnie dziękuję.

Nora Reichard, Carolyn Williams i Michael J. Windsor za pomoc na ostatniej prostej oraz Rob Bloom, Judy Jacoby, Lauren Weber, Maria Carella, Lorraine Hyland, Beth Meister, Kathy Hourigan i Andy Hughes, a także wszyscy wspaniali ludzie, którzy tworzą dział sprzedaży w Penguin Random House.

Niesamowity zespół Transworld za nieustającą kreatywność oraz możliwości wydawnicze. Bill Scott-Kerr jest adresatem moich szczególnych podziękowań za przyjaźń i wsparcie na tak wielu frontach.

Przez ostatnie cztery lata w poszukiwaniach podczas pracy nad tą książką pomogło mi wielu przedstawicieli nauk ścisłych, historyków, religioznawców oraz instytucji.

Słowa nie wyrażą wdzięczności, jaką jestem im za to winien.

Zespół niestrudzonych tłumaczy z całego świata, którzy tak sumiennie pracowali, żeby przekazać tę powieść czytelnikom w różnych językach. Jestem szczerze wdzięczny za

wasz czas, wasze umiejętności i waszą uważność.

Mój hiszpański wydawca Planeta udzielił mi nieocenionej pomocy podczas pracy nad książką i w jej tłumaczeniu. Dyrektor wydawniczy Planety Elena Ramirez oraz María Guitart Ferrer, Carlos Revés, Sergio Álvarez, Marc Rocamora, Aurora Rodríguez, Nahir Gutiérrez, Laura Díaz i Ferrán Lopez są wśród tych, którym dziękuję szczególnie. Osobne podziękowania kieruję do prezesa zarządu Grupo Planeta Jesúsa Badenesa za wsparcie, gościnność i odważną próbę nauczania mnie, jak przyrządzić prawdziwą paellę.

Pracę nad przekładem powieści pomogli zorganizować Jordi Lúñez, Javier Montero, Marc Serrate, Emilio Pastor, Alberto Barón i Antonio López, którym również serdecznie dziękuję.

Niezmordowana Mónica Martín i cały jej zespół w Agencji MB, zwłaszcza Inés Planells i Txell Torrent, zechcą przyjąć moje podziękowania za wszystko, co zrobili, żeby ułatwić pracę nad tą książką w Barcelonie i poza nią.

Całemu zespołowi Sanford J. Greenburger Associates, zwłaszcza Stephanie Delman i Samancie Isman, za działania podejmowane w moim imieniu na co dzień.

Chciałbym podziękować mnichom i ludziom świeckim z opactwa Montserrat, dzięki którym każde odwiedziny w tym klasztorze poszerzały moją wiedzę i podnosiły mnie na duchu. Wyrazy szczególnej wdzięczności zechcą przyjąć ojciec Manel Gasch, Josep Altayó, Oscar Bardají oraz Griselda Espinach.

W Barcelońskim Centrum Komputerowym spotkałem zespół błyskotliwych naukowców, którzy podzielili się ze mną swoimi przemyśleniami, pokazali mi swój świat, zarazili entuzjazmem, a przede wszystkim odkryli przede mną swoją wizję przyszłości.

Wśród nich znaleźli się dyrektor Mateo Valero, Josep Maria Martorell, Sergi Girona, José

Maria Cela, Jesús Labarta, Eduard Ayguadé, Francisco Doblas, Ulises Cortés oraz Lourdes Cortada, im dziękuję przede wszystkim.

W Muzeum Guggenheima w Bilbao pracują ludzie, których wiedza i wizja artystyczna pomogły mi pogłębić znajomość sztuki współczesnej i trochę się do niej zbliżyć. Szczególne podziękowania kieruję do dyrektora Juana Ignacia Vidartego, Alicji Martínez, Idoii Arrate i Marii Bidaurrety za gościnność i entuzjazm.

Kuratorom i obsłudze magicznego Casa Milà dziękuję za ciepłe przyjęcie i pokazanie mi wszystkiego, co z La Pedrery czyni jedyne takie miejsce na świecie. Mam nadzieję, że Marga Viza, Silvia Vilarroya, Alba Tosquella, Lluïsa Oller oraz mieszkająca tam Ana Viladomiu zechcą przyjąć moje specjalne podziękowania.

Za pomoc w zbieraniu informacji podczas pracy nad powieścią dziękuję członkom Palmar de Troya, grupy wspierającej Kościół palmariański i informującej o jego

działalności, Ambasadzie Stanów Zjednoczonych Ameryki w Budapeszcie i redaktor Bercie Noy.

Wdzięczność jestem też winien dziesiątkom naukowców i futurystów napotkanych w Palm Springs, których śmiała wizja jutra znacznie wpłynęła na tę powieść.

Pierwszymi czytelnikami rękopisu tej powieści na różnych etapach jej powstawania byli Heide Lange, Dick i Connie Brownowie, Blythe Brown, Susan Morehouse, Rebecca Kaufman, Jerry i Olivia Kaufmanowie, John Chaffee, Christina Scott, Valerie Brown, Greg Brown i Mary Hubbell. Dziękuję im za to, że pomogli mi nabrać dystansu.

Shelley Seward dziękuję za serdeczną przyjaźń, doświadczenie i uwagę poświęcaną mi zawodowo i prywatnie oraz za to, że odbierała moje telefony o piątej nad ranem.

Moja żona Blythe dzieli się ze mną swoją pasją do sztuki, niezmordowaną kreatywnością i niewyczerpaną chyba pomysłowością, czym mnie nieustająco inspiruje.

Moja sekretarka Susan Morehouse obdarowuje mnie przyjaźnią, cierpliwością i umiejętnościami zawodowymi, dzięki którym tak wiele trybów może się kręcić bezawaryjnie.

Dziękuję mojemu bratu, kompozytorowi Gregowi Brownowi, którego pomysłowe połączenie dawnego z nowoczesnym w *Missa Charles Darwin* wykrzesало pierwszą iskrę w pracy nad tą powieścią.

Na koniec chciałbym wyrazić wdzięczność, miłość i szacunek moim rodzicom Connie i Dickowi Brownom za to, że nauczyli mnie, jak pielęgnować w sobie ciekawość świata i zadawać trudne pytania.

1 Wszystkie cytaty nieoznaczone inaczej w tłumaczeniu Pawła Cichawy.

2 Mk 11,25; wszystkie cytaty z Biblii za Biblią Tysiąclecia.